

TEOFIL GAUTIER

KAPITAN FRACASSE

TYTUŁ ORYGINAŁU: LE CAPITAINE FRACASSE
PRZEKŁAD: WOJCIECH NATANSON



INSTYTUT WYDAWNICZY „NASZA KSIĘGARNIA”
WARSZAWA 1989

WSTĘP

Teofil Gautier, autor tej powieści, należy do młodszego pokolenia romantyków francuskich. Urodzony w 1811 r., pochodził z południowej Francji i wniósł w życie artystyczne Paryża werwę południowca, która znalazła sobie doskonałe pole do popisu w okresie, kiedy toczyły się zacięte walki między zwolennikami i przeciwnikami romantyzmu. Aby pognębić przeciwników nowego prądu, głoszących niewzruszalność przestarzałych reguł klasycznych, młody pisarz nie cofał się nawet przed skandalem. Do historii literatury przeszła jego mało-wnicza manifestacja w lutym 1830 r., na premierze dramatu Wiktora Hugo *Hernani*, którego powodzenie ostatecznie już przypieczętowało zwycięstwo romantyków. Gautier paradował tego wieczora w nieprawdopodobnym stroju: miał na sobie jasnozielone

spodnie, czarny frak i różową kamizelkę. Oznaczało to pogardliwe wyzwanie pod adresem licznie zgromadzonych zwolenników klasycznego umiaru i rozsądku w sztuce.

Takie młodzieńcze ekstrawagancje nie wystarczyły oczywiście, aby osiągnąć coś więcej niż chwilowy rozgłos, ale już pierwsze jego utwory, zarówno poetyckie, jak i prozaiczne, wy-kazały, że Teofil Gautier wzbogacał romantyzm francuski dzięki swej wyobraźni szczególnie wrażliwej na kształty i barwy. Świadczy o tym i *Kapitan Fracasse*. „Jestem człowiekiem, dla którego świat zewnętrzny istnieje. Moja twórczość to kształt, plastyka” — mówił Gautier o sobie. Bardzo trafnie nazwano go zabłąkanym do literatury malarzem; nie jest to zresztą ty-lko przenośnią, gdyż kształcił się on w tym kierunku, zanim wybrał zawód pisarza.

Miał więc pierwszorzędne dane, aby stać się wybitnym realistą. Ale realizm polega nie tylko na odtwarzaniu malowniczych stron otaczającej nas rzeczywistości. O wiele ważniejsze jest dla realisty wierne uchwycenie stosunków społecznych i praw, które nimi rządzą. Tę sztukę posiadał w doskonałym stopniu największy ze współczesnych Gautiera, Balzac. Autor *Kapitana Fracasse* przyjaźnił się z nim, rozumiał i podziwiał jego geniusz. Podobnie jak Balzac czuł się obcy społeczeństwu, w którym pieniądz był najwyższą miarą wartości i celem wszystkich dążeń ludzkich. I on boleśnie doświadczał na sobie, jak beznadziejne warunki egzystencji narzucał człowiekowi kapitalizm w tej epoce. Utrzymywał się głównie z pisania do gazet, gdzie interesy burżuazji ze szczególną brutalnością podporządkowywały sobie słowo pisane. „Doprawdy, rumienię się czasem za swoje rzemiosło — mówił kiedyś w gronie przyjaciół. — Za nędzną sumę, którą muszę zarobić, bo inaczej umarłbym z głodu, nie mówię ani pół ćwierci tego, co myślę, i jeszcze ryzykuję każdym zdaniem, że zataszczą mnie pod sąd”. Nie były to

bynajmniej obawy urojone. Raz ledwo uniknął on rozprawy sądowej z powodu jednego ze swych drobnych utworów, gdzie występuje diabeł, który mówi: „Nie jestem królem, żebym miał nie dotrzymać danego słowa”. Po wydaniu *Kapitana Fracasse* Gautier zwierzał się, że z największym przejęciem opisywał w tej powieści wynędzniałą, konającą w zaprzęgu szkapę, bo w jej męczarniach widział symbol swojego własnego życia.

Jak u wielu pisarzy tych czasów rodził się pod jego piórem protest. Nie miał jednak Gautier odwagi rozprawić się z rzeczywistością w sposób tak zdecydowany jak Balzac. Z biegiem lat, coraz bardziej zgorzkniały i zrezygnowany, ucieka w krainę fantazji i sztuki. *Kapitana Fracasse* również można by uważać za ucieczkę w przeszłość, ale ta książka wcale nie wyraża goryczy ani rezygnacji — wprost przeciwnie, tchnie pogodą i wiarą w życie.

Akcja powieści rozgrywa się na początku XVII wieku, za panowania Ludwika XIII. Jest to epoka burzliwa i barwna, szczególnie pociągająca wyobraźnię tych romantyków, którzy jak Hrabia z *Pana Tadeusza* nade wszystko uwielbiali stare zamki „gotyckiej architektury” i awanturnicze przygody ze szpadą w ręku.

W XVII wieku nie brakło we Francji starych, niegdyś obronnych zamków, które powoli obracały się w ruiny; ich panowie wiedli żywot niczym nie przypominający dawnej świe-tności, gdyż wskutek udoskonalenia techniki wojennej szlachta utraciła swoje znaczenie jako podstawa obronności państwa, i odległym już tylko wspomnieniem były dla niej czasy, kiedy rzemiosło rycerskie pozwalało zdobywać bogactwa. Na drobnych panach feudalnych odbiło się to tym dotkliwiej, że jednocześnie malała rentowność ziemi uprawianej przez pańszczy-źnianych chłopów.

Awantury wszelkiego rodzaju, pojedynki, akty samowoli i

bezprawia były wtedy chle-bem powszednim szlachty — to zjawisko towarzyszyło innemu procesowi, który w tym samym okresie zmieniał oblicze Francji. Właśnie dobiegała końca walka o wzmocnienie władzy królewskiej i stworzenie monarchii absolutnej, która by podtrzymywała ustrój feudalny, zagrożony przez niezadowolenie rosnące w masach ludowych i przez szybki rozwój ekonomiczny mieszczaństwa. Mimo iż absolutyzm miał na widoku przede wszystkim interesy ogółu szlacheckiego i z każdym rokiem był bliższy zwycięstwa, liczni przedstawiciele starych rodów uparcie bronili swej niezależności i siali w kraju zamęt, zachowując się jak udzielni władczy. W postaci Vallombreuse'a pokazał Gautier takiego zuchwałego i bezwzględного magnata, który nie uznaje innych praw niż własne zachcianki. Baron de Sigognac reprezentuje natomiast zubożałą szlachtę prowincjonalną, dziedziczkę muzealnych już tradycji dawnego rycerstwa, nie mającą innego wyjścia niż szukanie protekcji u magnatów lub — co było pewniejsze — dosługiwanie się urzędów królewskich.

Na historii wędrownej trupy aktorskiej autor pokazał nam ponadto, że epoka feudalnego absolutyzmu, która już niebawem, za Ludwika XIV, miała przeżyć tak wspaniały rozkwit, nie była bynajmniej epoką sprawiedliwości. Sytuacja aktorów w XVII wieku była rzeczywiście jaskrawym przykładem krzywdy społecznej, jaką musieli znosić wszyscy ci, którzy nie należeli do klas uprzywilejowanych. Po stronie tych pogardzanych przez szlachtę i mieszczaństwo biedaków jest cała sympatia autora. Oni to składają najpiękniejsze dowody odwagi, przyjaźni i poświęcenia, od nich podczas wspólnej wędrowki uczy się baron de Sigognac właściwej oceny szlacheckich przesądów. W porównaniu zaś z księciem de Vallombreuse nawet zawodowy bandyta Jacquemin Lampourde wydaje się ideałem cnót rycerskich. *Kapitan*

Fracasse jest więc nie tylko romantyczną opowieścią o Francji w latach trzydziestych XVII wieku, ale jednocześnie wyrazem niezwykle postępowej oceny tego okresu dziejów.

Zamykając książkę, czytelnik stwierdzi na pewno, że historia Sigognaca i pięknej Iza-beli kończy się trochę zanadto cudownie, nieprawdopodobnie, jak w bajce. Gautier miał dużo kłopotów z jej zakończeniem. Naprzód kazał Sigognacowi uśmiercić Vallombreuse'a w drugim pojedynku, ale to psuło pogodny nastrój powieści. Wybrał wobec tego zakończenie wzo-rowane na starych, naiwnych romansach, gdzie dla uciechy czytających najniebezpieczniejsze przygody bohaterów kończą się szczęśliwie bez względu na prawdopodobieństwo. Cztery ostatnie rozdziały nie zmieniają zasadniczo wymowy *Kapitana Fracasse*, nie miejmy więc za złe autorowi tak wyjątkowego u niego optymizmu, którym chciał się z nami podzielić.

MACIEJ ŻUROWSKI

ROZDZIAŁ I

PAŁAC NĘDZY

Na stoku jednego z tych nagich wzgórz, które urozmaicają płaski krajobraz landów *, między Dax i Mont-de-Marsan wznosiła się za panowania Ludwika XIII siedziba szlachecka z rodzaju niezmiernie pospolitego w Gaskonii, przez wieśniaków szumnie określana nazwą zamku.

Dwie okrągłe baszty, o dachach przypominających gasidła, przylegały symetrycznie do budynku, w którego frontowej ścianie widać było dwa wyżłobienia świadczące, że niegdyś istniał tu most zwodzony, niepotrzebny, odkąd fosa zrównała się z otaczającym terenem; te baszty, ich wykusze strażnicze i blaszane chorągiewki w kształcie jaskółczych ogonów nadały całości wygląd prawdziwie feudalny. Jedna z baszt niknęła do połowy pod draperią bluszczu, której ciemna zieleń odcinała się efektownie od szarego muru, już wówczas bardzo starego.

Podróżny, widząc z daleka ten zamek i jego ostre szczyty na tle nieba, ponad krzakami janowca i wrzosowiskiem, mógłby sądzić, że jest odpowiednim domostwem dla jakiegoś pro-wincjonalnego hreczkosieja. Gdyby się jednak zbliżył, zmieniłby zdanie. Droga, która prowa-dziła z gościńca do zabudowań, uległa inwazji mchów i chwastów; w końcu stała się już tylko wąską, białą ścieżką podobną do wytartego galonu na zniszczonym płaszczu. Głębokie koleiny były pełne wody deszczowej i zamieszkiwały je żaby; kiedyś przejeżdżały tędy ekipaże, ale spokój, jaki okazywały lokatorki tego błotka, dowodził, że zawładnęły nim już dawno i nie żywiły najmniejszej obawy, że ktoś może je stąd ruszyć. Na ciągnącej się wśród chwa-stów ścieżce, rozmięklej po ostatniej ulewie, nie było widać ani jednego śladu stopy ludzkiej; widocznie też nikt od dłuższego czasu nie odchyłał gałązek sąsiednich krzaków, bo jeszcze zwisały z nich lśniące krople.

Wielkie, żółte plamy porostów rysowały desenie na ściemniałych i nierówno leżących dachówkach, pod którymi tu i ówdzie zapadły się zbutwiałe krokwie; rdza unieruchomiła cho-raćiewki i każda z nich wskazywała inny kierunek wiatru; okiennice na poddaszu spaczyły się i popękały. W basztach gruz zasypał strzelnice. Na dwanaście okien frontowych osiem zabito deskami, a dwa miały szyby pełne skaz, przy najłżejszym podmuchu wiatru drżące w siatce ołowianych listewek. Tynk pomiędzy oknami odpadał jak zniszczona w chorobie skóra, od-słaniając cegły i wykruszoną zaprawę murarską i kamienie zniszczone przez wilgoć. Nad bra-mą ozdobioną u góry kamiennym fryzem, przypominającym swoimi regularnymi wypukło-ściami jakiś ornament unicestwiony przez czas i brak ochrony, widniał herb tak źle zachowa-ny, że najbieglejszy heraldyk nie potrafiłby go odcyfrować. Na górnej części drzwi pozostały jeszcze resztki ciemnoczerwonej farby, jak gdyby rumieniec wstydu na widok tej rujnacji. Otwierała się zresztą tylko jedna połowa bramy, co nielicznym z pewnością mieszkańcom mogło w zupełności wystarczać. Oparte o nią stało połamane i rozsypujące się koło, ostatni szczątek karety, która wyzionęła ducha za czasów poprzedniego monarchy. Na kominach i pod oknami uwiły sobie gniazda jaskółki. Gdyby nie cienka smuga dymu wznosząca się kor-kociągiem w powietrze, jak nad domami rysowanymi niezdarnie przez uczniaków po margi-nesach książek, można by pomyśleć, że nikt tu nie mieszka. Nędzne wszakże musiało być pożywienie gotowane na takim ogniu, bo jedna żołnierska fajka wydobywa z siebie gęstsze kłęby dymu. To tylko zresztą zdradzało życie w całym domostwie, tak samo jak znakiem, że

* landy — piaszczyste, miejscami podmokłe równiny południowo-zachodniej Francji, charakterystyczne zwłaszcza

dla Gaskonii. Miasta Dax i Mont-de-Marsan leżą mniej więcej w połowie odległości między Bordeaux a Pirenejami. Konający człowiek jeszcze nie umarł, jest obłoczek oddechu, który wychodzi z jego ust.

Ponieważ czytelnik zmęczył się już chyba spacerem wśród tego bezludzia, nędzy i opuszczenia, zaprowadźmy go do jedynej jako tako żywej części zamku — do kuchni, wysyłającej ku niebu wspomnianą smużkę dymu.

Wąły ogień lizał płowymi językami płytę kominka i co parę chwil dosięgał dna żelaznego kociołka, zawieszzonego na haku, jednocześnie ozdabiając czerwonymi błyskami kilka garnków wiszących na ścianie. W świetle, które wpadało przez szeroki przewód wychodzący bez zakrętów aż na dach i zamierało w popiołach siną plamą, ogień wydawał się jeszcze bardziej blady, tak że na tym zimnym palenisku nawet płomień wyglądał jak zmarznięty. Gdyby nie pokrywka, do garnka napadałby deszcz i rozcieńczył zupę.

Z wolna ogrzewająca się woda zaczęła wreszcie bulgotać i kociołek charczał jak astmatyk wśród panującej dokoła ciszy. Kilka liści kapusty, wypływając na wierzch wraz z pianą, świadczyło, że uprawna część ogrodu została wykorzystana do przyrządzenia tej polewki skromniejszej niż spartańska.

Stary, czarny kot, chudy, wyleniały jak znoszona mufka i ukazujący platy niebieskawej skóry w miejscach, gdzie stracił owłosienie, siedział tak blisko ognia, jak tylko mógł bez ryzyka opalenia sobie wąsów. Z wyrazem interesownej troskliwości utkwiał w garnku spojrzenie swych zielonych oczu o wąskich źrenicach w kształcie litery „I”. Uszy i ogon miał krótko ucięte, co nadawało mu wygląd jakiegoś smoka japońskiego ze zbiorów osobliwości albo też fantastycznego zwierzęcia, któremu czarownica, odchodząc na sabat *, powierza zbieranie szumowin z kotła, gdzie gotuje się magiczny filtr.

Ten kot, sam jeden w kuchni, zdawał się przyrządzać zupełnie dla siebie. On to zapewne ustawił na dębowym stole talerz w zielone i czerwone kwiaty, cynowy kubek polerowany widocznie jego pazurami, bo cały w rysach, oraz kamienny dzbanek niezdarnie ozdobiony nie-bieskimi kreskami odtwarzającymi herb, który można było oglądać nad bramą, na sklepieniu i na portretach.

Kto miał zasiąść przy tym skromnym nakryciu przyniesionym do nie zamieszkanego zamku? Może duch domowy, genius loci **, kobold *** wierny raz obranemu miejscu? Może czarny kot, o tajemniczym spojrzeniu, czekał na jego przybycie, aby go obsłużyć z serwetką pod pachą?

Zawartość kociołka wrzała ciągle, a kot czuwał bez ruchu jak wartownik, którego zapomniano zluźnić. Wreszcie rozległy się kroki powolne i ociążałe, kroki starego człowieka. Dał się słyszeć kaszel, zgrzytnęła zasuwka i postać, trochę podobna do wieśniaka, a trochę do służącego, zjawiała się w kuchni.

Czarny kot powitał przybysza jak starego znajomego. Porzucił swój posterunek przy zupie i zaczął się ocierać przyjaźnie o jego nogi, wyginając grzbiet, wysuwając i chowając pazury, przy akompaniamencie chrapliwych pomruków, które u przedstawicieli kociego rodu oznaczają najwyższe zadowolenie.

— Dostyc już, dostyc, Belzebubie! — rzekł starzec schylając się, aby pogłaskać swą szorstką dłonią wyleniały grzbiet i nie pozostać dłużnym w uprzejmości. — Wiem, że mnie kochasz! Mój biedny pan i ja jesteśmy tu dostatecznie samotni, żeby umieć ocenić serdeczność zwierzęcia, które nie ma duszy, a przecież zachowuje się, jakby nas rozumiało.

Po tej wymianie grzeczności kot zaprowadził człowieka w stronę kominka, jakby chcąc mu przypomnieć o garnku, na który spoglądał ze wzruszającą pożądlivością istoty wygło-

dniałej. Zaczynał się starzeć, miał słuch przytępiony, wzrok mniej bystry, ruchy nie takie już zwinne jak kiedyś i coraz rzadziej udawało mu się przynieść jakąś zdobycz z polowania na ptaki i myszy. Toteż nie spuszczał oczu z kociołka, oblizując się zawczasu na myśl, że i jemu

* sabat — w starych legendach sobotnie zgromadzenie czarownic.

** genius loci (łac.) — duch opiekuńczy danego miejsca.

*** kobold — odpowiednik krasnoludka w niemieckich wierzeniach ludowych.

przypadnie w udziale porcja zupy.

Piotr — tak bowiem zwał się stary sługa — wziął wiązkę chrustu i rzucił ją na gasnący ogień. Gałązki zaczęły trzeszczeć i skręcać się. Po chwili, poprzedzany przez kłęb dymu, buchnął jasny i żywy płomień, strzelając radośnie tysiącem iskier. Rzekłbyś, że to stado sala-mander zaczęło harcować i tańczyć w ogniu sarabandę. Świerszczyk suchotnik, rozradowany ciepłem i jasnością, próbował nawet wybijać takt na swym bębenku, ale bez powodzenia — wydobywał z niego tylko zgrzytliwe dźwięki.

Piotr usiadł na drewnianym stołku pod okapem kominka ozdobionym pasem zielonej materii wycinanej w ząbki i pożółkłej od dymu. Belzebub usadowił się obok. Blask ognia oświecał twarz starca, która pod wpływem wieku, słońca, wiatrów i niepogody wyglądała jak uwędzona i była ciemniejsza niż twarz Indianina. Kilka siwych kosmyków, wymknąwszy się spod granatowego beretu na skronie, jeszcze bardziej podkreślało smagłość jego cery. Czarne brwi stanowiły kontrast ze śnieżnobiałymi włosami. Jak wszyscy Baskowie * miał twarz po-ciągłą i nos podobny do dzioba drapieżnego ptaka. Głębokie zmarszczki pokrywały jego policzki jakby poorane ostrzem szpady.

— Nasz młody pan bardzo się dziś spóźnia — szeptał Piotr, widząc przez zadymione i pożółkłe szyby jedyne okna, które oświecało kuchnię, że na horyzoncie niknie i przygasa ostatnia smuga światła i ciężkie, deszczowe chmury wiszą nad ziemią. — Jaką przyjemność może znajdować w tych swoich samotnych spacerach po landach? Co prawda nasz zamek jest taki smutny, że nigdzie nie może być bardziej nudno niż tu.

Wtem pies zaszczekał radośnie, koń w stajni uderzył kopytem o ziemię i zadzwonił łań-cuchem, którym był przywiązany do żłobu. Czarny kot przestał sobie myć poślinioną łapą py-szczek i głowę nad obciętymi uszami, podniósł się i zrobił kilka kroków w stronę drzwi, jako czułe i dobrze wychowane zwierzę, które wie, co się komu należy.

Drzwi otworzyły się. Piotr wstał i zdjął z szacunkiem берет. Pierwszy ukazał się w kuchni stary pies, który usiłował podskakiwać, ale pod brzemieniem lat ciężko opadał na ziemię. Belzebub nie okazywał Mirautowi antypatii, jaką jego pobratymcy zazwyczaj żywią wobec psów. Przeciwnie, bardzo przyjaźnie spoglądał na niego swoimi zielonymi oczami i wyginał się w pałak. Widać było, że łączy ich dawna przyjaźń i że często dotrzymują sobie towarzy-stwa.

Baron de Sigognac — bo rzeczywiście sam dziedzic zrujnowanego zamku wszedł teraz do kuchni — był młodym człowiekiem liczącym dwadzieścia pięć, może dwadzieścia sześć lat, chociaż na pierwszy rzut oka można by mu dać więcej — taki był poważny i skupiony.

Poczucie bezsilności, towarzyszące nędzy, rzuciło cień przygnębienia na twarz barona i zwarzyło jej młodzieńczą świeżość. Sine obwódki otaczały jego zmęczone oczy i chudość uwydatniała kości policzkowe. Wąsów nie podkręcał — opadały mu ku dołowi, jakby łącząc swą melancholię ze smutnym wyrazem ust. Włosy miał uczesane niedbale, czarne

kosmyki zwisały na czoło i blade policzki. Brakiem elegancji — niezwykle u młodego człowieka, który mógł uchodzić za przystojnego — dowodził, że zupełnie zrezygnował z podobania się komukolwiek.

Usiadł w milczeniu przy stole, odpowiedziawszy życzliwym gestem na pełen szacunku ukłon Piotra. Stary sługa zdjął garnek z haka, wylał jego zawartość do glinianej miski, w którą przedtem nakroił chleba, i postawił zupę przed baronem. Następnie wyjął z szafy ciasto z prosa obsypane mąką kukurydzianą i zaniósł je również na stół. To regionalne danie i zupa, okraszona kawałkiem słoniny tak małym, że chyba wydobytym z pułapki na myszy, stanowiły cały posiłek barona, który jadł z roztargnieniem. Po jednej stronie krzesła siedział Miraut, po drugiej — Belzebub. Obaj wznosili do góry pyski w pełnym ekstazy oczekiwaniu na okrucy z tej uczy. Od czasu do czasu baron rzucał Mirautowi kawałki chleba potarte słoniną,

* Baskowie — plemię góralskie mieszkające po obu stronach zachodnich Pirenejów.

żeby przynajmniej pachniały tłuszczem, i pies chwycił je w locie. Skórka przypadła czarnemu kotu, który wyrażał swoje zadowolenie, mrużąc głucho i wysuwając do przodu łapę z wyciągniętymi pazurami jakby na znak, że gotów jest bronić swojej zdobyczy.

Ukończywszy ten chudy posiłek, baron pograżył się w bolesnych rozmyślaniach czy też w jakichś projektach, które nie miały w sobie nic przyjemnego. Miraut położył głowę na kolanach pana i utkwiał w nim oczy przesłonięte niebieską mgłą starości, w których zdawała się błyszczeć inteligencja niemal ludzka. Można by sądzić, że rozumiał myśli barona i chciał mu okazać współczucie. Belzebub mruczał głośno i czasem miauczał płacząco, żeby ściągnąć na siebie

spojrzenie barona błędzące gdzieś daleko. Piotr stał oddalony o kilka kroków, nieru-chomy jak wysokie i sztywne posągi granitowe, które można oglądać w przedsionkach katedr.

Szanował zadumę swego pana i czekał, czy nie usłyszy jakiegoś rozkazu.

Tymczasem zapadła noc i wielkie cienie wypełniły kąty izby jak błoniaste skrzydła nie-toperzy czepiających się załamów ścian. Podmuchy wiatru wpadały chwilami przez komin i rozniecały dogasający ogień, który rzucał niesamowite blaski na grupę znieruchomiałą wokół stołu i złączoną we wspólnym smutku, jeszcze bardziej uwydatniającym melancholię tych pustych murów. Żył tu już jeden tylko potomek potężnego niegdyś i bogatego rodu, samotny, błędzący po zamku, który ongiś tłumnie zamieszkiwali jego przodkowie; z licznego orszaku domowników pozostał tylko jeden sługa, bo zbyt był przywiązany, żeby odejść, ale po nim nie będzie już ani jednego; sforę trzydziestu psów gończych przypominał ostatni ogar, prawie ślepy ze starości i całkiem siwy; i wreszcie ognisku domowemu patronował czarny kot.

Baron dał znak Piotrowi, że chce iść spać. Piotr schylił się ku ognisku, zapalił żywiczną drzazgę sosnową, która mu zastępowała świecę, podobnie jak ubogim wieśniakom, i poszedł naprzód, jego młody pan za nim, a Miraut i Belzebub na końcu orszaku. W świetle kopącego płomienia zaczęły drgać wyblakłe freski na ścianach sieni i nabrały pozorów życia zadymione portrety w sali jadalnej; ich czarne i nieruchome oczy zdawały się rzucać na ostatniego z rodu spojrzenia pełne bolesnego współczucia.

Gdy przybyli do sypialni, stary sługa zapalił miedzianą lampkę, której knot zwijał się w oleju jak tasiemiec w spirytusie na wystawie apteki, po czym odszedł razem z Mirautem. Belzebub, korzystający z wyjątkowych praw,

rozsiadł się na jednym z foteli. Na drugi fotel opadł baron przygnębiony samotnością, beczynnością i nudą.

Jego pokój nawet za dnia wyglądał, jakby go nawiedziły upiory, a wieczorem, przy sła-bym świetle lampy, sprawiał wrażenie jeszcze bardziej niesamowite. Sigognac wziął ze stołu niewielki tom, na którego pociemniałej oprawie był wytłoczony jego herb rodzinny, i zaczął niedbale przewracać kartki. Chociaż przebiegał wzrokiem szeregi liter, nie widział ich wcale albo też mało go interesowały sonety miłosne Ronsarda * mimo ich pięknych rymów i zapo-życzonych od Greków wyrażen. Niebawem baron rzucił książkę i zaczął powoli odpinać swój kaftan z miną człowieka, który nie ma ochoty spać i kładzie się do łóżka tylko dlatego, że nie wie, co robić. Smutno przesypuje się piasek w klepsydrze czasu, kiedy na dworze jest noc i pada deszcz, a dokoła zamku, otoczonego oceanem wrzosowisk, nie ma żywej duszy w pro-mieniu dziesięciu mil. Młody baron, ostatni potomek rodu Sigognaków, miał zresztą niemało powodów do melancholii. Jego przodkowie roztrwonili majątek na rozmaite sposoby: grając w kości, wojując, ulegając pustej żądzy olśniewania innych zbytkiem; wskutek tego każde po-kolenie przekazywało następnemu dziedzictwo coraz bardziej uszczuplone.

Nagle Belzebub zaczął zdradzać niepokój: podniósł głowę, jakby węszył coś niepokoją-cego; wskoczył na okno i oparł przednie łapy o szyby, usiłując przeniknąć wzrokiem ponure ciemności przecinane gwałtownie strumieniami deszczu. Jego nos marszczył się i poruszał. Szczekanie Mirauta, rozlegające się wśród ciszy, potwierdziło niebawem ową kocią pantomi-mę **. Stanowczo działo się coś niezwykłego w okolicach zamku, tak spokojnego zazwyczaj.

* Piotr Ronsard — wielki poeta francuski z okresu

Odrodzenia.

** pantomima — scena odgrywana bez słów, tylko za pomocą mimiki i gestykulacji.

Miraut szczeakał bez przerwy z cała energią, na jaką mu pozwalała jego chroniczna chrypka. Baron, aby być na wszelki wypadek gotowym, zapiął na nowo kaftan i wstał. „Co się stało Mirautowi, że dziś szczeaka jak oszalały, a zwykle zaraz po zachodzie słońca zasypia sobie spokojnie na słomie w swojej budzie? Może to wilk krąży dokoła murów?” — myślał młody człowiek przypasując zdjętą ze ściany szpadę o ciężkiej, żelaznej rękojeści. Zapiął sprzączkę na ostatnią dziurkę, gdyż pas miał długość przystosowaną do figury jego ojca i młody baron mógłby się nim okręcić podwójnie.

Trzy dosyć mocne uderzenia zabrzmiały u bramy zamkowej w równych odstępach, aż echo zajęczało w pustych pokojach. Któż to żądał wstępu do tej gospody głodu, do tego przy-bytku postu i pałacu nędzy?

ROZDZIAŁ II

WÓZ TESPISA *

Sigognac zszedł ze schodów, ochraniając dłonią lampę od przeciągu, który mógł ją zgasić. Blask płomienia prześwietlał jego chude palce i zabarwiał je na różowo. Chociaż była noc i baron poprzedzał nie wschód słońca, ale czarnego kota, który szedł za nim krok w krok, to jednak zasługiwał na epitet stosowany przez poczciwego Homera do palców Jutrzenki **. Odryglował bramę i uchyliwszy ruchomą jej połowę, znalazł

się naprzeciw osoby, do której twarzy podniósł swą lampę. Światło wydobyło z mroków dosyć groteskową figurę. Czaszka koloru zjełczałego masła lśniła pod promieniami lampy i strumieniami deszczu; szpakowate włosy przyklejone do skroni; nos, za sprawą soku winorośli, obleczony w kardynalską purpurę, obsypany brodawkami i wystający cebulasto między małymi, bezbarwnymi oczkami; nad nimi brwi bardzo gęste i niezwykle czarne; policzki obwisłe, pokryte siatką czerwonych żyłek i fioletowymi plamami; grube usta pijaka i satyra; podbródek z brodawką, na której rosło kilka włosków twardych jak szczotka — wszystko to razem składało się na fizjonomię mogącą godnie uzupełnić kolekcję maszkar na gzymsie Nowego Mostu w Paryżu. Wyraz dowcipnej dobroduszości łagodził to, co na pierwszy rzut oka mogło się wydać w tych rysach mało zachęcające. Ta głowa pajaca, podana jak na półmisku na krezie wątpliwej białości, sterczała nad tułowiem owiniętym czarną opończą i kłaniającym się nisko z przesadną grzecznością.

Skończywszy ukłony, groteskowy jegomość jakby uprzedzając pytanie, które za chwilę musiał postawić baron, odezwał się z lekka pompatycznym tonem:

— Raczcie mi wybaczyć, dostojny kasztelanie, że pukam do bramy waszego grodu, nie wysławszy przodem giermka lub karła grającego na rogu, i że czynię to o godzinie tak spóźnionej. Konieczność nie zna bowiem prawa i zmusza ludzi o najlepszych manierach do przekraczania reguł dobrego tonu.

— Czego pan sobie życzył — przerwał sucho baron, znudzony gadatliwością starego.

* Tespis — legendarny twórca tragedii greckiej, który

razem ze swoim zespołem miał wędrować po kraju.

** ...epitet stosowany przez pocziwego Homera do palców Jutrzenki — w „Iliadzie” i „Odysei” świt jest uosobiony w postaci Jutrzenki, którą Homer przy każdej okazji nazywa „rózanopalcą”. Takie stałe powracające określenia, czyli epitety zdobnicze, są bardzo charakterystyczne dla stylu Homera.

— Gościnności dla mnie i dla moich towarzyszy, książąt i księżniczek, Leandrów i Izabeli *, doktorów i kapitanów jeżdżących po kraju na wozie Tespisa, który to wóz, starożytnym sposobem zaprzęgnięty w woły, ugrzązł w błocie o kilka kroków od tego zamku.

— Jeżeli dobrze zrozumiałem, jesteście wędrownymi aktorami i zmyliliście drogę?

— Nie można lepiej objaśnić moich słów — odpowiedział aktor. — Mówi pan wspa-niale. Czy mogę żywić nadzieję, że jego dostojność przychylił się do mojej prośby?

— Chociaż mój dom jest dosyć zniszczony i niewiele wam mogę ofiarować, będzie wam w każdym razie trochę lepiej niż pod gołym niebem w czasie tak ulewnego deszczu.

Pedant (gdyż tę rolę grywał prawdopodobnie stary aktor) skłonił głowę na znak potwie-rdzenia.

Podczas tej rozmowy Piotr, obudzony szczekaniem Mirauta, wstał z łóżka i zjawił się w przedsionku obok swego pana. Powiadomiony o tym, co zaszło, zapalił latarnię i wszyscy trzej skierowali swe kroki w stronę wozu, który ugrzązł w błocie.

Leander i Matamor pchali koła, a Król ponaglał woły swoim tragicznym sztyletem. Otulone w płaszcze kobiety jęczały i rozpaczały. Dzięki niespodziewanej pomocy, a zwłaszcza doświadczeniu Piotra, wóz wydostał się niebawem na twardy grunt, dotarł do zamku, przejechał pod gotyckim sklepieniem bramy i stanął na podwórzu.

Wyprzęgnięte woły zajęły miejsce w stajni obok siwego wierzchowca; aktorki wyskoczyły z wozu i, przyprowadzając do porządku spódnice, udały się za Sigognakiem do sali jadalnej, jako najbardziej nadającej się do zamieszkania części zamku. Piotr dorzucił jeszcze trochę chrustu, który zapłonął wesoło w kominku. Choć był to dopiero początek jesieni, ogień był konieczny do wysuszenia mokrych szat, jako też do ogrzania tej nie zamieszkaney komnaty, gdyż wiatr świstał przez szpary w ścianach. Mimo iż przyzwyczajeni byli przez swe wędrownie życie do najrozmaitszych noclegów, aktorzy ze zdumieniem oglądali ten dziwny zamek wyglądający, jak gdyby ludzie od dawna odstąpili go duchom, i nasuwający na myśl rozmaite tragiczne historie. Byli jednak zbyt dobrze wychowani, aby okazywać lęk albo zdziwienie.

— Mogę wam dać tylko nakrycie — rzekł młody baron — bo w mojej spiżarni nie ma kolacji nawet dla jednej myszki. Żyję tu samotnie, nie przyjmuję nikogo i widzicie dobrze, że Fortuna nie mieszka ze mną.

— Nic nie szkodzi — odpowiedział Pedant. — Choć w teatrze podają nam kurczęta z tektury i drewniane butelki, w codziennym życiu odżywiamy się pokarmami bardziej realnymi. Takie jałowe jedzenie i urojone napoje nie napęłniłyby naszych żołądków, toteż jako intendent trupy mam zawsze w zapasie jakąś szynkę, pasztet z dzika lub dyszek cielęcy oraz tuzin butelek wina z Cahors albo Bordeaux.

— Złote słowa, Pedancie! — zawołał Leander. — Idź, poszukaj czegoś do jedzenia i jeżeli pan tego zamku pozwoli i raczy zasiąść z nami do kolacji, to urządzimy ją tutaj. W kredensie jest wszystko, czego trzeba do nakrycia, i nasze panie już się tym zajmą.

Oszołomiony przygodą, baron skinął przyzwalająco; na ten znak Izabela i Serafina wstały ze swych miejsc przy kominku, aby ustawić talerze na stole, poprzednio wytartym

* Leander, Izabela — aktorzy przybyli do zamku Sigognaca noszą imiona postaci, które odtwarzali w popularnych wówczas komediach improwizowanych. Komedia improwizowana, zwana *commedia dell'arte*, powstała w drugiej połowie XVI w. we Włoszech i niebawem rozpowszechniła się w innych krajach. Autorzy (przeważnie anonimowi) szkicowali tylko zarys akcji i główne sytuacje, pozostawiając dialog pomysłowości aktorów.

We wszystkich utworach tego rodzaju powtarzały się pewne stałe typy: naiwna, zakochana panna (często mająca na imię Izabela), jej opryskliwy, ale dający się za nos wodzić ojciec (Kasander albo Pandolf), dama do towarzystwa, zwana z hiszpańska *duena*, ładna i przebiegła subretka, czyli służąca (w tej powieści Zerbina), przystojny i elegancki młodzieniec (tu Leander), jego sprytny lokaj (Scapin), śmieszny i nudny mól książkowy (Pedant). Do najbardziej ulubionych postaci improwizowanej komedii należał podszyty tchórzem samochwał, kapitan Matamor (dosłownie „pogromca Maurów”) albo Fracasse („hałaburda”). Kierownik tej wędrownej trupy jest nazywany Herodem albo Tyranem, ponieważ w tragediach gra rolę złych władców.

przez Piotra i przykrytym zniszczonym, ale czystym obrusem.

Pedant wrócił niebawem, niosąc w każdej ręce koszyk, i triumfalnie umieścił na środku stołu fortecę z pasztetu o murach żółtozłoty, kryjących garnizon figojadek i młodych kuro-patw. Obstawił tę fortecę sześcioma butelkami jako szańcami, które należało zdobyć przede wszystkim. Wędzony ozór wołowy i szynka dopełniły symetrii.

Belzebub, który usiadł na szczycie kredensu i uważnie śledził te przygotowania, usiło-wał przywłaszczyć sobie przynajmniej węchem wszystkie te doskonałe rzeczy wystawione w takiej obfitości. Jego nos koloru trufli głęboko

wdychał rozkoszne zapachy, zielone źrenice płonęły z radości i ślinka pożądliwości srebrzyła mu podbródek. Chętnie by się zbliżył do stołu i wziął udział w festynie niesłychanie przekraczającym klasztorną wstrzemięźliwość tego domu, ale widok tylu nieznanymi twarzami przerażał go. Strach walczył w nim z łakomstwem.

Uważając, że światło lampy nie jest dość jasne, Matamor poszedł do wozu po dwa wie-loramienne świeczniki, rekwizyty teatralne z drewna oklejonego złotym papierem. Osiągnięto w ten sposób iluminację nader wspaniałą.

Cieplejsze i żywsze powietrze zaczęło krążyć w tej obszernej sali, która zwykle ziała grobową pleśnią. Zły stan mebli i malowideł był mniej widoczny i blady upiór nędzy jak gdyby wyniósł się z zamku na kilka chwil.

Sigognac, z początku nieprzyjemnie zaskoczony przybyciem aktorów, powoli uległ nie znanemu mu dotąd uczuciu błogości. Izabela, Serafina i nawet subretka wprowadziły rozko-szny zamęt w jego wyobraźnię i sprawiały na nim wrażenie raczej bóstw, które zeszyły na zie-mię, niż zwyczajnych śmiertelniczek.

Serafina była młodą, dwudziestoletnią kobietą. Grając kokietki, nabyła światowych ma-nier i sprytu dworskich intrygantek; owalna twarz, nieco wydłużona, nos zagięty, szare oczy, czerwone usta tworzyły całość powabną i wytworną, do czego przyczyniały się jeszcze dwie kaskady ciemnych włosów spływających falami wzdłuż policzków, na których ożywienie i ciepło wywołały piękne rumieńce.

O ile jej toaleta nie była nowa, o tyle ona sama tchnęła świeżością; zresztą strój wyda-wał się olśniewający młodemu baronowi de Sigognac. Nie był on przyzwyczajony do podobnych wspaniałości, bo dotąd widywał tylko wieśniaczki ubrane w spódnice z grubej wełny i w peleryny. Poza tym zbyt go pochłaniały oczy pięknej kobiety, aby mógł zwrócić uwagę

na braki jej stroju.

Izabela była młodsza od Serafiny, jak tego wymagała rola naiwnej; ubierała się skromniej, z mieszczańską prostotą. Jej urocza twarzyczka wyglądała jeszcze niemal dziecinnie. Była szatynką o włosach delikatnych jak jedwab, miała długie rzęsy, usta wycięte w serdu-szko i niewinne spojrzenie, raczej z natury niż udane. Jeżeli nie olśniewała, to pociągała wdziękiem, co też dużo znaczy.

Subretka w pełni zasługiwała na epitet morena, który Hiszpanie dają brunetkom. Miała cerę złotą i ciemną jak u Cyganki, gęste, kręcone włosy były czarne jak piekło. W jasnobrązowych źrenicach iskrzyła się demoniczna złośliwość, a w jej ustach wielkich i bardzo czyszonych błyskały chwilami białe zęby, które przyniosłyby zaszczyt młodemu wilkowi. Była zresztą chuda, jakby spalona własną werwą i dowcipem, ale była to chudość młoda i zdrowa, przyjemna dla oka. Miała jaskrawą, niebiesko-żółtą suknię, na głowie czepek ze sztucznych koronek.

Imć pani Leonarda, reprezentująca w zespole typ czcigodnej matrony, była ubrana na czarno jak hiszpańska duena. Czepek z gazy obejmował jej tłustą twarz o wielu podbródkach, bladą i jakby zużytą przez czterdzieści lat malowania się. Leonarda miała talent; chociaż stara, potrafiła zdobywać oklaski nawet w towarzystwie młodych i ładnych kobiet, które nie mogły zrozumieć braw przeznaczonych dla tej wiedźmy.

Personel męski składał się z Pedanta, już opisanego poprzednio w sposób wystarczający, z Leandra, Scapina, tragicznego Tyrana i Matamora.

Leander liczył sobie trzydzieści lat, ale dzięki niezmiernej troskliwości o swoją powierzchowność wyglądał dużo młodziej. Podkreślał słowa westchnieniami i mówiąc o sprawach najbardziej obojętnych, mrużył oczy, pochylał głowę i

robił takie miny, że można było pęknąć ze śmiechu, ale kobiety uważały, że jest zachwycający.

Scapin miał twarz lisa, przebiegłą, spiczastą. Jego brwi, sięgające wysoko na czoło, przypominały kształtem odwrócone piątki rzymskie i okrywały oczy wesole, wiecznie ruchliwe, o żółtych źrenicach, drgających jak złote monety na żywym srebrze. Miał złośliwe zmarszczki koło powiek, które kryły otchłanie kłamstw, podstępów i szalbierstw. Jego cienkie wargi poruszały się ustawicznie i odsłaniały w dwuznacznym uśmiechu ostre kły. Kiedy zdejmował czapkę w czerwone i białe paski, jego włosy, ostrzyżone na jeża, ukazywały dziwnie nieregularny kształt czaszki. Te włosy, płowe i zbite jak sierść wilka, dopełniały obrazu dra-pieżnego zwierzęcia.

Tyran natomiast był bardzo dobrym człowiekiem, którego natura obdarzyła, zapewne dla żartu, zewnętrznymi cechami okrucieństwa. Nigdy chyba dusza bardziej dobrotliwa nie przybrała tak groźnej powłoki zewnętrznej.

Matamor był chudy, mizerny, czarny i suchy jak drzazga. Jego skóra wyglądała jak pergamin przyklejony do kości; duży nos jak dziób drapieżnego ptaka dzielił na połowy twarz o kształcie czółenka, przedłużoną jeszcze przez spiczastą bródkę. Jego rola śmiesznego samo-chwała wycisnęła na nim trwałe piętno. Schodząc ze sceny, nie przestawał kroczyć jak rozwa-rty cyrkiel, z głową zadartą, trzymając jedną rękę na biodrze, a drugą — na rękojeści rapiera.

Początek wieczery był cichy. Wielki apetyt jest niemy, podobnie jak wielkie namiętno-ści! Po zaspokojeniu pierwszego głodu języki się rozwiązały. Młody baron, który zapewne nie jadł do syta od czasu, gdy przestał ssać pierś matki, miał wprawdzie wielką ochotę, aby wyglądać w oczach Izabeli i Serafiny na człowieka zakochanego i sentymentalnego, ale jadł lub raczej pożerał z takim

entuzjazmem, że nikt by nie przypuszczał, iż jest to już druga jego kolacja. Rozbawiony tym młodzieńczym apetytem Pedant nakładał na talerz Sigognaca skrzydła kuropatw i kawałki szynki, które znikwały równie szybko, jak płatki śniegu na rozżarzonej blasze. Belzebub w przystępie łakomstwa postanowił pokonać strach i zejść z bezpiecznego miejsca, które zajmował na kredensie. Uświadomił sobie z olśniewającą pewnością, że trudno go będzie pociągnąć za uszy, ponieważ ich nie ma, i że nikt nie zdoła przywiązać mu rondla do ogona, gdyż brak ogona nie pozwalał na ten ordynarny żart, godniejszy zresztą uliczników niż porządnych ludzi, jakimi wydawali się biesiadnicy siedzący dookoła stołu, na którym było tyle potraw niezwykle smakowitych i pachnących. Zbliżył się korzystając z mroku jak czarna pantera czyhająca na gazelę, z brzuchem tak spłaszczonym na podłodze, że przeguby jego łap wystawały wysoko ponad jego ciało. Nie zauważony przez nikogo, dotarł aż do krzesła barona de Sigognac, podniósł się i dał mu znać o sobie pazurami.

Wyrozumiały dla skromnego przyjaciela, który tak długo cierpiał głód w jego służbie, Sigognac zaczął się dzielić z nim, rzucając pod stół kości, resztki potraw przyjmowane przez Belzebuba z żywiołową wdzięcznością. Miraut, który znalazł sposób wejścia na salę biesiadną w ślad za Piotrem, też dostał swój udział.

Życie zdawało się wracać do tych ruin; było jasno, ciepło i głośno. Opróżniono dokładnie dziesięć butelek i gdy Pedant strząsnął sobie na palec ostatnią kroplę wina z dziesiątej, Matamor zrozumiał ten gest i poszedł do wozu szukać następnych. Baron, trochę już sobie podchmieliwszy, nie mógł się oprzeć pokusie wzniesienia czerwonym winem toastu na cześć artystek i to go dobiło.

Pedant i Tyran popijali wino, jak przystało na doświadczonych pijaków, którzy nie są wprawdzie nigdy

całkiem trzeźwi, ale też nigdy zupełnie pijani. Matamor odznaczał się wstrzemięźliwością na sposób hiszpański: mógł on żyć jak hidalgowie *, którzy spożywają na

* hidalgo — szlachcic hiszpański.

obiad trzy oliwki, a na kolację — muzykę mandoliny. Ta wstrzemięźliwość miała swoje uzasadnienie: Matamor obawiał się, że jedząc i pijąc dużo, straci swą wyjątkową chudość, której zawdzięczał najlepsze efekty komiczne. Duena pochłaniała pokarmy stałe i płynne z nieprawdopodobną energią; jej obwisłe policzki i podgardle drżały w takt ruchów szczęki, dobrze jeszcze uzbrojonej. Izabela i Serafina, nie mając pod ręką wachlarzy, ziewały na wyścigi za ażurowymi zasłonami swych ładnych paluszków. Mimo iż odurzony winem, Sigognac spostrzegł to i powiedział:

— Widzę, moje panie, że tylko przez uprzejmość walczycie ze snem, bo bardzo chce wam się spać. Chciałbym dać każdej z was obszerny pokój z gotownią, ale mój biedny zamek leży w ruinach, tak jak mój ród, którego jestem ostatnim potomkiem... Odstąpię wam mój pokój, jedyny chyba, do którego nie dostaje się jeszcze deszcz; połóżcie się tam ze starszą panią — łóżko jest szerokie. Jedna noc nie trwa długo. Panowie zostaną tutaj i urządzą sobie posłanie na fotelach i ławkach. Nie obawiajcie się falowania gobelinów, jęków wiatru w kominku ani harców myszy; chociaż ta sala wygląda dość ponuro, zaręczam wam, że duchy tu nie straszą.

— Gram rolę Bradamanty * i nie jestem bojaźliwa. Będę uspokajała Izabelę — rzekła Serafina z uśmiechem. — Nasza duena ma w sobie coś z czarownicy, jeżeli więc diabeł przyjdzie, to będzie miał z kim rozmawiać.

Sigognac poświęcił damom po drodze do sypialni, której widok przyprawił je o dreszcz, gdyż przeciąg poruszający

plomieniem lampy ożywiał na suficie dziwaczne cienie, a zakamarki pokoju, gdzie nie docierało światło, wydawały się pełne jakichś przyczajonych potworów.

— Doskonale by z tego były dekoracje do piątego aktu tragedii — rzekła Serafina rozglądając się dokoła, gdy tymczasem Izabela, czując, że otacza ją atmosfera mroku i wilgoci, drżała mimo woli z zimna i ze strachu.

Wszystkie trzy wsunęły się pod kołdrę, tak jak stały. Izabela wybrała sobie miejsce między Serafiną a dueną, licząc, że jeżeli włochata łapa jakiegoś upióra czy zmory wysunie się spod łóżka, to natrafi najpierw na jedną z towarzyszek. Dwie odważne aktorki zasnęły niebawem, ale najmłodsza i najbardziej lękliwa długo leżała z otwartymi oczami, które utkwiała w miejscu, gdzie było widać ślad zamurowanych drzwi — jak gdyby przeczuwała po drugiej ich stronie cały świat duchów i wampirów. Drzwi nie otworzyły się jednak, żaden upiór ubrany w biały całun i potrząsający łańcuchami nie wyszedł z nich, chociaż dziwne hałasy rozbrzmiewały czasem w pustych pokojach. Sen rzucił w końcu swój złoty pył na powieki trwożliwej Izabeli i jej równy oddech przyłączył się wkrótce do chrapania towarzyszek.

Noc przeszła bez żadnego wydarzenia, raz tylko Belzebub przeraził Izabelę, gdyż wszedł na jej piersi i nie chciał zejść, uważając, że znalazł sobie miejsce bardzo wygodne.

Sigognac natomiast nie zmrużył oka — czy to dlatego, że nie był przyzwyczajony do sypiania gdzie indziej niż w swoim łóżku, czy też że sąsiedztwo ładnych kobiet podniecało jego wyobraźnię.

Naszym zdaniem nie było to ani jedno, ani drugie — jakiś niejasny projekt zaczął kiełkować w umyśle barona, przygotowując go o bezsenność i niepokój. Przybycie aktorów wydało mu się zrzędzeniem losu i jakby wskazówką, której mu udzieliła Fortuna, żeby porzucił feudalną rudere, gdzie bez

żadnego pożytku marnował swoje młode lata.

Subretka obudziła się pierwsza; stanęła na swych zgrabnych nóżkach, strzepnęła spódnicą jak ptak piórkami, przyglądała dłonią włosy i widząc, że baron de Sigognac siedzi w fotelu i oczy ma szeroko otwarte, zwróciła się ku niemu i pozdrowiła go pięknym teatralnym reweransem.

— Żałuję — rzekł Sigognac oddając ukłon — że stan mojego domu, który jest teraz od-

* ...gram rolę Bradamanty — w tragikomedii Garniera (pisarza francuskiego z XVI w.), zatytułowanej „Bradamanta”; bohaterka tej sztuki jest tak dzielna, że staje do pojedynku z mężczyzną.

powiedniejszy dla duchów niż dla żywych istot, nie pozwolił mi przyjąć pani bardziej elega-cko. Chciałbym dać pani nocleg na pościeli z holenderskiego płótna, w łóżku zasłoniętym kotarą z indyjskiego adamaszku, żeby nie musiała pani marznąć na tym spróchniałym gracie.

— Nie ma czego żałować — odpowiedziała subretka — gdyby nie pan, spędzilibyśmy noc na wozie, szcękając zębami pod ulewnym deszczem, i rano zastałby nas w bardzo nieszczęśliwym stanie. Zresztą nie można nawet porównać tego zamku, którym pan gardzi, z bardzo przewiewnymi szopami, gdzie podczas naszych aktorskich wędrówek często musimy sypiać na wiązkach słomy, tyrani razem ze swoimi ofiarami, książęta i księżniczki, amanci i subretki.

Kiedy baron i subretka wymieniali te uprzejmości, Pedant runął na ziemię wśród trza-sku łamiących się desek. Fotel, na którym spał, nie wytrzymał jego ciężaru: grubas przebiegał teraz nogami w powietrzu jak żółw przewrócony na plecy i wydawał nieartykułowane dźwięki. Spadając, chwycił machinalnie za brzeg obrusa i ściągnął na siebie kaskadę zastawy. Reszta towarzystwa obudziła się. Tyran,

strząsnąwszy z siebie resztki snu, podał rękę staremu komikowi i pomógł mu wstać.

— Coś podobnego nie mogłoby się wydarzyć Matamorowi — stwierdził Herod z głuchym rechotem, który mu zastępował śmiech. — Spadłby na pajęczynę i nie porwałby jej.

— To prawda — odpowiedział chudy aktor prostując swe długie członki przypominające pajaka — nie każdy ma szczęście być takim Polifemem czy Kakusem *, taką górą mięsa jak ty, ani bukłakiem na wino albo chodzącą beczką jak Blazjusz.

Hałas przywołał na próg jadalni Izabelę, Serafinę i duenę. Dwie młode kobiety, chociaż trochę zmęczone i blade, w świetle dnia też wyglądały uroczo.

Przyszedł Piotr, żeby posprzątać i dorzucić drzewa na kominek, gdzie kilka spalonych głowni bielą pod popiołem. Baron wziął na stronę starego sługę i zapytał go, czy nie udało-by się zdobyć we wsi kilku tuzinów jaj albo paru kurcząt na śniadanie dla aktorów. Piotr udał się na poszukiwania, które nie mogły trwać długo, ponieważ zespół chciał wcześniej wyjechać, aby zrobić w ciągu dnia jak najwięcej drogi i nie przybyć zbyt późno na nocleg.

— Boję się bardzo, że dostaniecie kiepskie śniadanie — rzekł Sigognac do swych gości — będziecie się musieli zadowolić dietą pitagorejską **, ale lepsze złe śniadanie niż żadne, tym bardziej że na sześć mil wkoło nie ma ani jednego zajazdu czy szynku; wygląd zamku mówi wam jasno, że nie jestem bogaty. To ubóstwo jest skutkiem wydatków, jakie ponieśli moi przodkowie walcząc w obronie naszych królów, więc nie mam czego się wstydzić.

— Z pewnością, panie baronie — odpowiedział Herod swoim basowym głosem. — Niejeden, co się chełpi majątkiem, byłby w kłopotcie, gdyby musiał wskazać jego

pochodzenie. Kiedy handlarz chodzi w złotogłowi, płaszcz szlachcica świeci dziurami, ale przez te dziury widać honor.

— Dziwi mnie tylko — dodał Blazjusz — że tak świetny szlachcic, na jakiego mi wygląda pan baron, marnuje młodość na odludziu, gdzie Fortuna nie odnajdzie go, żeby nawet nie wiem jak chciała. Przechodząc przed tym zamkiem, którego architektura mogła dobrze wyglądać dwieście lat temu, nie zatrzymałaby się ani na chwilę, przekonana, że tu nikt nie mieszka.

Pan baron powinien pojechać do Paryża — to jest oko i pepek świata, miejsce spotkania wszystkich ludzi znamienitych dowcipem i odwagą, miasto wybrane, na które padają promienie słońca dworskiego. Tam niezawodnie oceniono by pana jak należy. Zrobiłby pan karierę, poszukawszy opieki wpływowej osoby albo dokonując jakiegoś sławnego czynu, do którego na pewno łatwo znaleźć okazję.

* Polifem i Kakus — dwaj mityczni olbrzymi. Polifem — cyklop wielki jak góra, znany z „Odysei”; Kakus — olbrzym ziejący ogniem, zaduszony przez Herkulesa .

** Pitagoras — na wpół legendarny filozof i matematyk grecki z VI w. przed n.e., miał nakazywać swoim uczniom, tworzącym pod jego przewodnictwem rodzaj sekty, daleko posuniętą wstrzeźliwość w odżywianiu.

Te słowa pocziwca, mimo śmiesznie napszonego stylu, pozostałości z ról Pedanta, nie były pozbawione rozsądku. Sigognac czuł, że aktor ma rację; nieraz, w czasie swoich drugich spacerów po landach, myślał o tym, co Blazjusz powiedział głośno. Nie miał jednak pieniędzy na taką długą podróż i nie był w stanie ich zdobyć. Odważny, ale jednocześnie bardzo dumny, więcej lękał się drwiącego uśmiechu niż ciosu szpady. Nie znał się na modzie, ale czuł,

że wygląda śmiesznie w swoim zniszczonym ubraniu i że raziłoby ono swoim przesta-rzałym krojem już za poprzedniego króla. Jak zwykle ludzie, których ubóstwo czyni nieśmia-łymi, nie dostrzegał w sobie żadnych zalet i jego sytuacja przedstawiała mu się z najgorszej strony. Mógłby może za cenę niezbyt męczących zabiegów uzyskać pomoc kilku dawnych przyjaciół swego ojca, ale to było ponad jego siły i wolałby raczej umrzeć na swoim kufrze pod tarczą herbową, gryząc wykałaczkę jak hidalgo hiszpański, niż prosić kogoś o najdro-bniejszą choćby pożyczkę. Należał do tych, co, zaproszeni na wystawny obiad, twierdzą, że już jedli, aby nikt nie mógł pomyśleć, że są głodni.

— Zastanawiałem się już nad tym, ale nie mam przyjaciół w Paryżu, a potomkowie tych, którzy znali moją rodzinę, kiedy była bogata i odznaczana urzędami dworskimi, nie zatroszczą się o chudego i wynędzniałego Sigognaca, który otwierając dziób przyleci ze swej zrujnowanej wieży upomnieć się o przypadający mu udział. Poza tym przyznam się bez fałszywego wstydu, że nie mam powozu i nie mógłbym się ukazać tak, jak przystoi mojemu nazwisku; nie wiem nawet, czy za wszystkie pieniądze, swoje i Piotra, zdołałbym dotrzeć aż do Paryża.

— Przecież panu wcale nie jest potrzebny triumfalny wjazd do Paryża na cesarskiej kwadrydze ciągnionej przez białe konie — odpowiedział Blazjusz. — Jeżeli nasz skromny wóz, zaprzężony w wory, nie obraża dumy waszej miłości, proszę jechać z nami, bo właśnie nasza trupa wybiera się do Paryża. Niejeden tam dziś opływa w dostatki, chociaż przyszedł piechotą z zawiniątkiem zawieszonym na końcu rapiera i trzymając w garści buty, żeby ich nie zniszczyć.

Sigognac zarumienił się lekko — trochę ze wstydu, a trochę z radości. Z jednej strony, jego duma rodowa protestowała przeciw zaciąganiu długu wdzięczności u

zwyczajnego ko-medianta, z drugiej znów — wrażliwe z natury serce barona wzruszyło się tą propozycją tak pełną prostoty, a odpowiadającą jego tajnym pragnieniom. Myślał też, że odmawiając sprawi przykrość Blazjuszowi i może stracić sposobność, która się już nigdy więcej nie powtórzy... Zapewne potomek Sigognaców siedzący na wozie Tespisa pospołu z wędrownymi aktorami będzie przedstawiał widok niesłychany, który może wywoła rumieniec wstydu i ryk oburzenia u heraldycznych lwów i jednoroźców. Ale ostatecznie młody baron już dosyć się wypościł w swojej feudalnej siedzibie. Nie był pewien, co należało odpowiedzieć: „tak” czy „nie”; ważył w myśli te decydujące sylaby, gdy Izabela stanęła z wdziękiem między nim a Blazjuszem i powiedziała słowa, które położyły kres niepewności młodego człowieka:

— Mieliliśmy w zespole poetę, ale dostał spadek i rzucił nas. Zdaje mi się, że pan baron mógłby go zastąpić, bo w tomie Ronsarda, leżącym na stole przy łóżku, niechcący znalazłam pokreślony sonet widocznie pańskiej kompozycji. Poprawiałby nam pan nasze role, skracałby je i rozszerzał według potrzeby, a w razie czego napisałby pan sztukę, której pomysł my byśmy podsunęli. Teraz na przykład mam włoski szkic intrygi, gdzie by się znalazła ładna rola dla mnie, gdyby ktoś zechciał mi ją trochę opracować.

Mówiąc to, Izabela rzuciła baronowi spojrzenie tak słodkie i wymowne, że Sigognac nie mógł się oprzeć. Przybycie Piotra, z solidnym omletem na słoninie i nader pokąską ćwiartką szynki, przerwało rozmowę. Cała trupa zajęła miejsce naokoło stołu i z apetytem wzięła się do jedzenia. Sigognac udawał tylko, że je. Nie był przyzwyczajony do tak częstych posiłków, a poza tym pochłaniał go całkowicie zamiar wyjazdu.

Po śniadaniu, podczas gdy woźnica zakładał wołom

jarzma, Izabela i Serafina zapra-gnęły przejść się po ogrodzie widocznym z podwórza.

— Trzeba uważać, żeby ciernie nie podarły paniom sukien — rzekł baron sprowadzając aktorki po kamiennych stopniach, chwiejących się, obrosłych mchem — bo jeżeli według przysłowia nie ma róży bez kolców, to u mnie jest inaczej: są kolce, ale nie ma róż.

Powiedział to zdanie tonem smutnej ironii, jaki przybierał zawsze, ilekroć mówił o swoim ubóstwie. Ogród, jak gdyby dotknięty jego lekceważeniem, uniósł się honorem i dwie polne różyczki, nie całkiem jeszcze rozwinięte, zajaśniały nagle na gałązce zagrządzającej dro-gę. Sigognac zerwał je i z gracją ofiarował jedną Izabeli, drugą Serafinie, mówiąc przy tym:

— Nigdy bym nie przypuszczał, że znajdę tyle kwiatów w moim ogrodzie. Nic tu nie rośnie oprócz chwastów i bukiety można by robić tylko z pokrzyw i cykuty. Te dwie różyczki zakwitły dzięki paniom, wnosząc uśmiech w tę nędzę i poezję w te ruiny.

Izabela troskliwie przypięła kwiat do gorsu, dziękując młodemu człowiekowi przecią-głym spojrzeniem, świadczącym, jak wysoko ceniła ten skromny podarunek. Serafina nato-miast gryzła łydżkę, jakby chciała podkreślić czerwień swoich warg przez zestawienie ich z bladoróżowymi płatkami. Jej ostre rysy wyrażały pod maską grzeczności głęboką pogardę — mimo iż czuła szacunek dla ludzi utytułowanych, uważała, że ten szlachcic jest jednak zbyt zrujnowany.

Osiodłano siwego konia, ponieważ Sigognac chciał wsiąść na wóz aktorów dopiero o parę mil dalej, aby ukryć swój wyjazd. W ten sposób udawał, że odprowadza gości. Piotr miał iść za nim pieszo i zabrać wierzchowca z powrotem do stajni.

Woły czekały w zaprzęgu i próbowały mimo jarzma podnosić w górę swoje wilgotne i czarne pyski, z których zwisały srebrne nitki śliny; wóz drgnął, źle naoliwione koła skrzypnęły i ciężkie uderzenia kopyt rozległy się pod sklepieniem bramy. Zaprzęg ruszył.

Gdy baron siedział już w siodle i zbierał rzemienie uzdy, Miraut stanął po prawej, a Belzebub po lewej stronie konia, tak iż pan Sigognac opuścił zamek swych ojców w asyście psa i kota. Aby zdobyć się na taką odwagę, ostrożny kocur musiał odgadnąć jakieś niezłomne postanowienie swego pana.

Opuszczając swą smutną siedzibę, Sigognac poczuł, że serce jego ściska się boleśnie. Uważał, że jest niewdzięczny w stosunku do starego, zniszczonego zamku, który mu dawał najlepsze schronienie, na jakie go było stać, i mimo zgrzybiałości wysiłał się, aby go nie zmiażdżyć swoim upadkiem.

Tysiące gorzkich słodyczy, tysiące smutnych przyjemności, tysiące radosnych melancholii odżywało w jego pamięci.

Kiedy wyprzedzając wóz wyjechał z bramy, powiew wiatru przyniósł mu świeży zapach wrzосу skapanego w deszczu, słodki i przenikliwy zapach ziemi ojczystej; gdzieś daleko zaczął bić dzwon i jego srebrne tony przylatywały na skrzydłach tego samego wiatru. Tego już było za dużo i Sigognac, przejęty głęboką tęsknotą, choć był dopiero o parę kroków od domu, zrobił ruch, jakby chciał ściągnąć cugle i zawrócić; stary koń wykręcił już szyję w kierunku zamku z żywością nie oczekiwaną w jego wieku. Miraut i Belzebub równocześnie podnieśli głowy, jakby zdając sobie sprawę z uczuć swego pana, i zatrzymując się utkwili w nim pytające źrenice. Ten półobrót miał jednak skutek zupełnie inny, niż można by się spodziewać. Sigognac napotkał spojrzenie Izabeli tak tkliwe i tak pełne niemej, ale łatwej do zro-

zumienia prośby, że zaczął blednąć i czerwienić się na przemian i w jednej chwili zapomniał o popękanych murach zamku, o zapachu wrzosów i o głosie dzwonu, który wciąż wysyłał swoje melancholijne wezwanie; szarpnął nagle cugłami i gwałtownie spiąłszy konia obcasami, ruszył naprzód. Walka była skończona, Izabela zwyciężyła.

Miraut i Belzebub przez chwilę śledzili wzrokiem kłusującego w stronę wozu Sigogna-ca, ale straciwszy go z oczu na zakręcie drogi, podjęli po bratersku drogę powrotną. Sigognac uznał, że nie warto dłużej męczyć bez potrzeby starego konia, zeskoczył z siodła i rzucił lejce służącemu, na którego twarzy widać było pod ciemną opalenizną bladość głębokiego wzruszenia. Nadeszła chwila pożegnania ze starym sługą; chwila ciężka, gdyż Piotr nie rozstawał się z Sigognakiem od jego przyjścia na świat i odgrywał przy nim raczej rolę pełnego pokory przyjaciela niż służącego.

— Niech Bóg pana prowadzi — rzekł Piotr pochylając się nad ręką, którą baron wyciągnął do niego — i niech mu pozwoli podnieść z upadku fortunę Sigognaków; żałuję, że nie mogę towarzyszyć panu baronowi.

— W tym nieznanym życiu, w które wkraczam, nie będziesz mi potrzebny, mój biedny Piotrze. Mając tak skromne środki, nie potrafilibyśmy utrzymać się obaj. W zamku zawsze będziesz żyć jako tako; moi dawni dzierżawcy nie pozwolą umrzeć z głodu wiernemu słudze ich pana. Zresztą nie można zamknąć domu Sigognaków i oddać go orłom i zaskrońcom jak ruinę, w której panują już tylko śmierć i upiory; dusza tych starych murów jest we mnie i jak długo żyję, ktoś musi strzec bramy i nie pozwalać dzieciom, żeby strzelały z procy do tarczy herbowej.

Służący skinął potakująco.

— A poza tym — dodał baron uśmiechając się — kto by się opiekował Bayardem, Mirautem i Belzebubem?

— To prawda, panie baronie — odpowiedział Piotr i wziął cugle Bayarda, którego Sigognac klepał po karku na pożegnanie. Rozłączając się ze swym panem, poczciwy koń rżał co chwila i Sigognac długo jeszcze słyszał jego głos słabnący w dali.

Sigognac został sam, doznając uczuć człowieka, który wsiada na okręt pożegnawszy się z odprowadzającymi go przyjaciółmi; jest to może najbardziej gorzki moment odjazdu — świat, w którym żyłeś, odsuwa się, a ty śpieszysz do towarzyszy podróży, bo duszę masz smutną i opuszczoną, a twoje oczy chcą widzieć twarze ludzkie. Baron wydłużył krok, aby dotrzeć do wozu toczącego się z trudem po piasku i znaczącego w nim bruzdy głębokie jak skiby pługa.

Widząc, iż Sigognac maszeruje obok zaprzęgu, Izabela oświadczyła, że jej niewygodnie na wozie i chce rozprostować nogi. W rzeczywistości jednak nie chciała pozostawić młodego szlachcica na pastwę melancholii i spodziewała się, że go rozerwie wesołą rozmową.

Zasłona smutku, kryjąca twarz Sigognaca, rozdarła się jak obłok przecięty promieniem słonecznym, gdy dziewczyna zażądała, aby podał jej ramię. Szli krok w krok. Izabela recytowała Sigognacowi fragmenty swoich ról, z których nie była zadowolona i które chciała mu dać do przeróbki. Wtem w gęstwinie po prawej stronie rozległ się dźwięk myśliwskiej trąbki, konie rozsunęły gałęzie zagajnika i piękna Jolanta de Foix ukazała się na środku drogi, olśniewająca jak Diana łowczyni. Podniecenie gonitwą zaczerwieniło jej policzki, różowe nozdrza, drgały, a pierś falowała szybko pod naszywanymi złotem aksamitami. Rozdarta w kilku miejscach spódnica i zadraśnięcia na boku konia dowodziły, że nieustraszona amazonka nie lękała się zarośli; chociaż jej ognisty koń nie potrzebował podniety i węzły nabrzmiałych szlachetną krwią żył wystąpiły mu na szyi białej od piany,

uderzała go końcem szpicruty, której ametystowa gałka ozdobiona była herbem właścicielki. Jolanta szybko minęła Sigogna-ca, rzucając mu spojrzenie pełne pogardy i arystokratycznej arogancji.

— Patrzcie — powiedziała do trzech fircyków galopujących za nią — baron de Sigognac adoruje teraz Cyganke!

I cała grupa śmiejąc się przejechała w tumanie kurzu. Uniesiony gniewem i wstydem, Sigognac chwycił za rękojeść szpady, ale szedł pieszo i szaleństwem byłoby gonić jeźdźców, a zresztą Jolanty nie mógł wyzwąć na pojedynek. Spojrzenie aktorki, tkliwe i oddane, pozwoliło mu szybko zapomnieć o wyniosłej arystokratce.

Nic więcej już nie wydarzyło się tego dnia; koło godziny czwartej przyjechali na miejsce posiłku i noclegu.

W zamku Sigognaca smutno upływał wieczór. Twarze na portretach rodzinnych miały wyraz bardziej ponury i surowy niż zwykle; schody odbijały echo głośniejsze i bardziej puste, pokoje wydawały się większe i bardziej zniszczone. Wiatr gwizdał złowrogo na korytarzach; niespokojne i zaciekawione pająki schodziły z sufitów po swoich nitkach. Szczeliny murów wyglądały jak ziewające z nudów paszczęki; zrujnowany zamek zdawał się martwić nieobecnością młodego pana. Przy kominku, w świetle dymiącego łuczywa, Piotr dzielił swój nędzny posiłek z Mirautem i Belzebubem, a w stajni Bayard uderzał łańcuchem o żłób.

ROZDZIAŁ III

OBERŻA „POD BŁĘKITNYM SŁOŃCEM”

Była to zbieranina lepianek, której w żadnej innej, mniej dzikiej okolicy nie nazwano by wioską. Woły zatrzymały się same przed jednym z domów, gdyż instynkt nie pozwala zwierzętom zapomnieć miejsca, gdzie raz już znalazły jedzenie i nocleg. Dom ten należał do naj-większych we wsi. Stał dosyć pewny siebie na skraju drogi, gdy inne chatki stroniły od niego jakby zawstydzone swoim wyglądem. Pewny, iż jest najpiękniejszym budynkiem w tych stro-nach, zajazd zdawał się przyciągać spojrzenia i jego wywieszka wystawała na gościniec, jak-by chcąc zatrzymać wszystkich podróżnych, pieszych i konnych.

Jakiś wędrowny pacykarz wymalował na nim słońce, ale nie, jak zwykle, ze złotą twa-rzą i złotym owłosieniem — miało ono tarczę i promienie błękitne. Słusznie twierdził imć Chirriguirri, że na dziesięć mil dokoła nie ma zajazdu tak wygodnego, o tak dobrze zaopatrzo-nej spizarni, tak wesoło płonącym ogniu, o tak miękkich łózkach, o takim doborze bielizny pościelowej i zastawy — jak oberża „Pod Błękitnym Słońcem”; nie mylił się i nikogo nie wprowadzał w błąd, gdyż najbliższy zajazd był oddalony co najmniej o dwa dni marszu.

Niewątpliwie, wbrew twierdzeniom gospodarza, była to obskurna spelunka i samotny wędrowiec niekoniecznie musiał być tchórzem, żeby poczuć strach i wyobrazić sobie, że zostanie poczęstowany pasztetem przyrządzonym z poprzednich, też samotnie podróżujących gości; ale aktorów było zbyt dużo, aby mogli ulegać podobnym obawom. W swoim wędro-wnym życiu przyzwyczaili się zresztą do najdziwniejszych zajazdów.

W chwili gdy aktorzy weszli, na jednej z ławek drzemała dziewczynka mniej więcej dziewięcioletnia — w każdym

razie na tyle wyglądała, tak była drobna i wątła. Oparta plecami o poręcz ławki opuściła w dół głowę, z której spływały długie potargane włosy zasłaniające jej twarz. Jej chuda szyję, przypominającą szyję oskubanego ptaka, wyprężał wysiłek, jakby z trudem podtrzymywała obfite włosy. Ręce z otwartymi dłońmi opadały luźno wzdłuż ciała, a nogi, za krótkie, aby dosięgnąć ziemi, zwisały skrzyżowane w powietrzu. Te nogi, cienkie jak wrzeciona, stały się ceglasto-czerwone od słoty i mrozów. Zadrapania, jedne za-bliźnione, inne świeże, zdradzały częste przeprawy przez zarośla. Na małych stopach widać było warstwę zaschłego błota — jedyne zapewne obuwie, jakie dziewczynka posiadała.

Izabela, Serafina i subretka usiadły na tej samej ławce. Wspólny ciężar ich trzech i dziewczynki ledwie zdołał zrównoważyć ciężar dueny, która zajęła miejsce na drugim końcu. Mężczyźni rozsiedli się na innych ławkach, zostawiając przez uszanowanie pustą przestrzeń między sobą a baronem de Sigognac.

Kilka naręczy chrustu ożywiło płomień, trzask suchych gałązek, skręcających się wśród żaru, cieszył aktorów zmęczonych całodzienną podróżą. Chirriguirri podszedł do nich grzecznie i powiedział z całym wdziękiem, na jaki pozwalała jego powierzchowność z natury od-pychająca:

— Czym mogę służyć waszym dostojnościom? Moja oberża jest zaopatrzona we wszystko, co może odpowiadać osobom z wyższej sfery. Jaka szkoda, że nie przyjechaliście państwo na przykład wczoraj! Miałem głowiznę z dzika z pistacją o tak wyśmienitym zapachu, tak wspaniale przyprawioną, tak delikatną w smaku, że na nieszczęście nie pozostało z niej nawet na zapchanie dziurawego zęba!

— To rzeczywiście bardzo bolesne — rzekł Pedant oblizując sobie zmysłowo wargi. — Głowizna z pistacją pociąga mnie bardziej niż wszystkie inne przysmaki; bardzo

chętnie nabawiłbym się niestrawności z jej powodu.

— A co by pan powiedział na pasztet z dziczyzny? Panowie przebywający tu dziś rano zmiotli jego skórkę do ostatniego okrucha, pożarłszy wprzód całe wnętrze.

— Powiedziałbym, że to pasztet doskonały, mistrzu Chirriguirri, i chwaliłbym jak należy nieporównany talent kucharza; ale po co tak drażnić nasz apetyt zwodniczymi potrawami, które do tej pory już są strawione, bo na pewno nie oszczędzaliście pieprzu, papryki, gałki muszkatołowej ani innych rzeczy pobudzających pragnienie! Przez litość, niech pan nie opowiada o tym biedakom zgłodniałym i zgonionym jak psy myśliwskie.

— Ma pan rację, wspomnienia nie są pożywne — rzekł Chirriguirri z potwierdzającym gestem. — Nie mogłem jednak powstrzymać żalu, że tak nierozsądnie pozbyłem się zapasów. Wczoraj jeszcze moja spiżarnia pękała od nich i popełniłem te nieostrożność, że nie dawniej niż dwie godziny temu wysłałem do pałacu sześć ostatnich puszek kaczej wątróbki, wątróbki nadzwyczajnej, fantastycznej, po prostu królewskiej!

— Ach, jakież uczyty można by zastawić tymi daniami, których pan już nie ma i które zjedli goście szczęśliwsi od nas! Za długo każe nam pan się męczyć! Proszę wyznać bez retoryki, co pan ma, skoro pan tak pięknie opowiedział, czego nie ma.

— Słusznie. Mam gaskońską polewkę, szynkę i dorsza — odpowiedział oberżysta usiłując zarumienić się wstydliwie, jak dobra gospodyni zaskoczona przez męża, który przypro-wadza kilku przyjaciół na obiad.

— A więc — zawołała chórem wygłodzona trupa — proszę nam dać dorsza, szynkę i polewkę!

— A co to za polewka! — tonem przypominającym fanfary zawołał gospodarz odzy-skawszy pewnością siebie. — Grzanki smażone w najdelikatniejszym tłuszczu gęsim,

kapusta o smaku ambrozji, lepszej nie znają nawet w Mediolanie, a duszona ze słoniną bielszą niż śnieg na najwyższych szczytach. Polewka, którą można podać na stół bogów!

— Ślina mi cieknie do ust. Ale niechże pan prędko podaje, bo umieram ze straszego głodu — rzekł Tyran przybierając minę ludożercy, który poczuł zapach świeżego ciała.

— Zagarriga, nakrywaj prędko w dużym pokoju! — zawołał Chirriguirri do chłopca, który może wcale nie istniał, gdyż nie dawał znaku życia mimo natarczywego tonu pryncypała. — Co się zaś tyczy szynki, to mam nadzieję, że tak samo będzie smakowała waszym dostojnościom; jej białoróżowe płaty sprawiają wrażenie najapetyczniejsze w świecie.

— Wierzymy w to jak w nauki Ewangelii — rzekł rozdrażniony Pedant. — Dajcie nam tu prędko to cudo białoróżowe, bo inaczej dojdzie do ludożerstwa jak na rozbitym okręcie. Nie popełniliśmy zbrodni jak imć Tantalus *, żeby nas torturowano jedzeniem, które ucieka przed nami.

— Ma pan zupełną rację — odpowiedział spokojnym tonem Chirriguirri. — Hej tam! Wszystkie kuchciki! Bierzcie się do roboty, prędko, na jednej nodze! Ci szlachetni podróżni są głodni i nie powinni czekać!

Szczęk naczyń, dochodzący z sąsiedniej izby, świadczył, że stół nie był jeszcze nakryty, więc oberżysta podjął dla zabicia czasu pochwałę dorsza, temat dosyć jałowy i wymagający nie lada wysiłków elokwencji. Na szczęście Chirriguirri dobrze znał się na przyprawianiu

* Tantalus (albo Tantal) — za obrazę bogów olimpijskich strącony do piekieł, gdzie stał w sadzawce, której woda znikła, ilekroć chciał nią zaspokoić pragnienie. Cierpiał też ustawiczny głód, bo pokryta owocami jabłoń, rosnąca nad

sadzawką, odsuwała swoje gałęzie, kiedy wyciągał ręce, żeby zerwać jabłko.

słowami mało ponętnych potraw.

Dziewczynka, śpiąca na ławce, obudziła się i usiadła. Można było zobaczyć jej twarz, gdyż odgarnęła z niej włosy, których ciemny kolor jak gdyby udzielił się czołu, tak było opa-lone. Nie miała ani śladu rumieńców na policzkach o wystających kościach. Sine i popękane wargi odsłaniały w chorobliwym uśmiechu zęby perłowej białości. Tylko oczy żyły w tej twarzy niezwykle chudej, wskutek czego wydawały się ogromne, śniade obwódki potęgowały ich blask gorączkowy i niesamowity. Białka nabierały tonów niebieskich w zestawieniu z ciemnymi źrenicami i podwójną linią gęstych i długich rzęs. Te dziwne oczy wyrażały teraz dziecinny zachwyty i żarłoczną pożądlivość, uparcie wpatrując się w świecidla, które zdobiły toalety Izabeli i Serafyny.

Mała dzikuska nie podejrzewała, że są one fałszywe.

Lśniący pasmanteria z imitacji złota, zwodniczy blask naszyjnika ze sztucznych pereł weneckich olśniewały ją i napełniały ekstazą.

Zapewne nigdy w życiu nie widziała jeszcze rzeczy tak pięknych. Jej nozdrza drgały, policzki zaróżowiły się, gorzki uśmiech igrał na białych wargach, przerywany chwilami gorączkowym szczekaniem zębów.

Na szczęście nikt z obecnych nie patrzył na biedną kupkę łachmanów wstrząsaną nerwowym drżeniem, gdyż można było przerazić się dzikim i ponurym wyrazem tej twarzy.

Nie mogąc opanować ciekawości, dziewczynka wyciągnęła rękę ciemną, delikatną i zimną jak łapa małpy i dotknęła sukni Izabeli z widoczną przyjemnością. Ta materia, pognieciona i wytarta na wszystkich szwach, wydała się jej nowa i wykwinna.

Chociaż dotknięcie było bardzo lekkie, Izabela poczuła je,

odwróciła się i odpowiedziała na ruch małej macierzyńskim uśmiechem.

Widząc, że jest obserwowana, dziewczynka przybrała z powrotem wyraz bezmyślnego odrętwienia. Uczyniła to z instynktowną znajomością mimiki, godną aktorki najbardziej bie-głej w swej sztuce. Płaczliwym głosem powiedziała:

— To jak płaszcz Matki Boskiej na ołtarzu!

Następnie opuściła powieki o rzęsach tak długich, że sięgały prawie aż do policzków, oparła się o poręcz ławki, złożyła ręce i udała, że zasypia, jakby upadała ze zmęczenia.

Mionetta, wysoka, dziko wyglądająca dziewczyna, oznajmiła, że kolacja gotowa. Towa-rzystwo przeszło do sąsiedniej izby.

Aktorzy rzucili się z apetytem na jedzenie. Nie znajdując wprawdzie obiecanych przez imć Chirriguirri delicji, zaspokoili głód, a zwłaszcza pragnienie, gdyż często zaglądali do bu-kląka prawie pustego jak kobza, z której wypuszczono powietrze.

Mieli już wstać od stołu, gdy koło oberży dało się słyszeć ujadanie psów i tętent koni. Trzy niecierpliwie uderzenia oznajmiły przybycie podróżnego, który nie miał zwyczaju cze-kać; Mionetta podbiegła do drzwi, żeby otworzyć, i omal nie dostała nimi po głowie od wcho-dzącego szlachcica. Razem z nim wpadła sfora psów i rozproszyła się po izbie w podskokach, szukając resztek jadła na talerzach odstawionych na bok; w ciągu minuty psy wykonały swo-imi językami pracę trzech pomywaczek.

Kilka mocnych uderzeń biczem, nie rozróżniających winnych i niewinnych, uspokoiło to zamieszanie jak dotknięcie różdżki czarodziejskiej. Psy schroniły się pod ławki, sapiąc i wyciągając języki. Szlachcic, głośno pobrzękując ostrogami, wszedł do izby, gdzie aktorzy je-dli obiad ze spokojem ludzi, którzy są wszędzie u siebie.

Chirriguirri, trzymając beret w rękę, szedł za nim z miną usłużną i niemal lękliwą, mimo że wcale nie był nieśmiały.

Stojąc na progu, przybysz — markiz de Bruyeres, sąsiad Sigognaca — dotknął lekko brzegu kapelusza i obrzucił spokojnym spojrzeniem aktorów, którzy mu oddali ukłon.

— Zupa dla moich psów, miarka owsa dla konia, kawałek chleba i szynki dla mnie, coś do jedzenia dla mojego dojeżdżacza — polecił markiz jowialnie, zajmując miejsce na końcu stołu koło subretki, która, widząc pięknego pana tak wytwornie odzianego, rzuciła mu pło-mienne spojrzenie i zwycięski uśmiech.

Izabela odpowiadała uśmiechem baronowi, który coś do niej mówił szeptem; był to uśmiech tkliwy i ledwie dostrzegalny, raczej świadectwo sympatii niż wyraz wesołości, uśmiech, którego znaczenia nie mógł nie zrozumieć człowiek choć trochę znający się na kobietach, a markizowi nie brakło tej znajomości. Obecność Sigognaca w trupie wędrownych aktorów przestała go dziwić, a pogarda, którą w nim budził nędzny strój barona, bardzo się zmniejszyła. Pomysł, żeby towarzyszyć ukochanej na wozie Tespisa, ryzykując przygody śmieszne lub tragiczne, wydał mu się dowodem szlachetnej wyobraźni i niezależnego umysłu. Skinął porozumiewawczo, aby Sigognac wiedział, że go poznał i przeniknął jego plan; jak przystało wszakże na prawdziwego eleganta, nie zdradził się z tym wobec aktorów i odtąd po-święcił całą swą uwagę subretce, którą obsypywał najbardziej entuzjastycznymi komplementami, trochę na serio, a trochę żartem. Ona przyjmowała wszystkie wybuchami śmiechu, ukazującymi całe jej wspaniałe uzębienie.

Markiz pragnął wykorzystać spotkanie rokujące tak piękne możliwości, uznał więc za stosowne oświadczyć, że kocha teatr i jest znawcą komedii. Wyraził ubolewanie, że prowi-

ncja nie korzysta z tej rozrywki, która rozwija umysł, uszlachetnia wysłowienie, wsubtelnia maniery i udoskonala obyczaje; zwracając się do Tyrana, wyglądającego na szefa zespołu, zapytał go, czy nic mu nie stoi na przeszkodzie, żeby zagrał najlepsze sztuki z repertuaru swej trupy na zamku Bruyeres, gdzie w wielkiej sali albo w oranżerii łatwo byłoby urządzić teatr.

Tyran uśmiechnął się dobrodusznie i odpowiedział, że nie ma nic łatwiejszego i że cały jego zespół, jeden z najlepszych, jakie wędrują po prowincji, jest na usługi jego dostojności.

— Od króla do subretki — dodał żartobliwie.

— W takim razie wszystko się doskonale składa — stwierdził markiz. — O warunki nie będziemy się targowali, sami określicie sumę. Nie można być skąpym wobec Talii *, która jest muzą bardzo poważaną przez Apollina i równie dobrze widzianą na dworze królewskim, jak w całym Paryżu czy na prowincji, gdzie ludzie wcale nie są takimi barbarzyńcami, za jakich ich uważają mieszkańcy stolicy.

Zrobiło się już bardzo późno, a trzeba było wyruszyć wczesnym rankiem, gdyż zamek Bruyeres leżał dosyć daleko. Jeżeli koń berberyjski ** mógł prędko przebyć tych kilka mil bocznymi drogami, to znacznie więcej czasu potrzebował naładowany wóz jadący piaszczy-stym gościńcem i ciągnięty przez zmęczone woły.

Kobiety poszły spać do komory na poddaszu, gdzie rzucono parę wiązek słomy; mężczyźni zostali w izbie i rozłożyli się na ławkach i stołkach tak wygodnie, jak to było możliwe.

ROZDZIAŁ IV

BANDYCI STRASZĄCY WRÓBLE

Wróćmy teraz do dziewczynki, którą zostawiliśmy pogrążoną w śnie zbyt głębokim, aby nie był udany. Jej zachowanie wywołuje w nas uzasadnione obawy i musimy śledzić ją uważnie, pamiętając, z jak gwałtowną pożądlivością pochłaniała swoim dzikim spojrzeniem naszyjnik Izabeli.

Rzeczywiście, gdy tylko drzwi zamknęły się za aktorami, dziewczynka podniosła z wo-

* Talia — patronka komedii, jedna z dziewięciu muz towarzyszących Apollinowi jako bogu sztuki.

** koń berberyjski — odmiana konia arabskiego, odznaczająca się wielką wytrzymałością.

lna ciemne powieki o długich rzęsach i obejrzała badawczo wszystkie kąty kuchni. Nabrawszy pewności, że jest sama, spuściła nogi na podłogę, wstała, zwykłym u niej ruchem odrzuciła włosy do tyłu i skierowała się do drzwi, które otworzyła nie czyniąc więcej hałasu niż cień. Zamknęła je bardzo ostrożnie, delikatnie manipulując zasuwką, i wolnym krokiem poszła wzdłuż płotu aż do rogu, za który skręciła.

Pewna już wtedy, że nikt nie może jej widzieć z oberży, zaczęła biec przeskakując przez rowy, pełne cuchnącej wody, i pnie ściętych jodeł. Pędziła po wrzosowisku jak łania ścigana przez sforę psów myśliwskich. Długie kosmyki włosów smagały jej policzki jak czarne węże i chwilami, zasłaniając oczy, spadały na czoło; nie zwalniając biegu odgarniała je ruchem gniewnej niecierpliwości. Zresztą jej ruchliwe nogi nie potrzebowały wcale, żeby im oczy wskazywały kierunek, tak dobrze znały drogę.

Okolica, jeśli można ją było rozpoznać przy sinym świetle

księżycą na wpół zamaskowanego czarnym aksamitem chmury, wyglądała pusto i posepnie.

Jak widma zamordowanych drzew, jodły, z nacięciami do odprowadzania żywicy, ukaazywały czerwone rany na skraju piaszczystej drogi. Dalej, na lewo i na prawo, rozciągały się ciemnofioletowe wrzosowiska; nad nimi wisiały strzępy szarej mgły, w świetle księżycy sprawiające wrażenie procesji duchów.

Dziewczynka, zapewne przyzwyczajona do takich niesamowitych widoków, nie zwracała na nie uwagi i biegła dalej. W końcu znalazła się u stóp wzgórza, na którym rosło kilka-dziesiąt jodeł tworzących jakby mały las. Niezwykle szybko, bez śladów zmęczenia wbiegła na dość strome zbocze i dotarła do szczytu. Stojąc na tym wzniesieniu, przez chwilę spoglądała dokoła oczami, które zdawały się przenikać ciemności. Stwierdziła, że nigdzie nie ma żywej duszy, i włożywszy dwa palce do ust, wydała trzykrotnie jeden z tych gwizdów, których podróżny, jadący nocą przez las, słucha zawsze z tłumionym lękiem, choć je przypisuje puszczykom albo innym nieszkodliwym stworzeniom.

Wkrótce jeden ze stosów liści drgnął, zaczął rosnać, wstrząsnął się jak obudzone zwierzę, aż wreszcie postać ludzka stanęła powoli nad dziewczynką i zapytała:

— To ty, Chiquita? Co słyhać nowego? Nie czekałem już na ciebie i zdrzemnąłem się.

Człowiek, którego obudził gwizd Chiquity, miał dwadzieścia pięć do trzydziestu lat, był średniego wzrostu, chudy, muskularny i odpowiedni do wszelkiej, byle nie ucziwej roboty. Był kłusownikiem, przemytnikiem, złodziejem albo mordercą i uprawiał te miłe zawody równocześnie lub kolejno, jak popadło.

— No i co, Chiquita? — zapytał kładąc łagodnie swą ciężką rękę na głowie dziecka. — Co zauważyłaś w oberży?

— Przyjechał wóz pełen podróżnych — odparła dziewczynka. — Znieśli do szopy pięć wielkich kufrów. Chyba były ciężkie, bo każdy musiało nieść dwóch ludzi.

— Hm — mruknął mężczyzna — czasem podróżni kładą kamienie w swoje bagaże, żeby zyskać poważanie u oberżystów. Nieraz już się to zdarzało.

— Trzy młode damy, które z nimi przyjechały, mają suknie obszyte złotymi tasiemkami. A jedna, najładniejsza, ma na szyi sznur wielkich paciorków jasnych jak srebro i błyszczących w świetle. To jest bardzo, bardzo piękne!

— Perły! To dobre — mruknął przez zęby bandyta. — Żeby tylko nie fałszywe. Dzisiejsi eleganci tak nisko stoją pod względem moralności!

— Mój dobry Agostynie — ciągnęła Chiquita tonem pieścizotliwym — jeżeli utniesz głowę tej pięknej damie, to daj mi paciorki.

— Akurat by pasowały do twoich rozczochranych kudłów, do tej koszuli ze ścierek i żółtej kiecki — odparł człowiek nazwany Agostynem.

— Tyle razy stawałam na czatach, jak mi kazałeś, i biegłam boso po rosie, żeby cię uprzedzić. Czy czekałeś kiedy na jedzenie, nawet jeśli mi zęby szczękały od gorączki i ledwo mogłam się przedostać przez krzaki do twojej kryjówki?

— Tak — odpowiedział bandyta — jesteś odważna i wierna. Ale nie mamy jeszcze tego naszyjnika. Ilu naliczyłaś mężczyzn?

— Och, dużo. Jeden gruby, z wielką brodą, jeden stary, dwóch chudych, jeden z miną lisa i jeden, który wygląda na szlachcica, chociaż jest dosyć obdarty.

— Sześciu mężczyzn — rzekł Agostyn w zamyśleniu, licząc na palcach. — Ach, kiedyś ta liczba nie przestraszyłaby mnie, ale dziś pozostałem sam z całą bandą. Czy są uzbrojeni?

— Szlachcic ma szpadę, a wielki chudzielec — rapier.

— Żadnych pistoletów ani rusznic?

— Nie widziałam — odrzekła Chiquita — chyba że je zostawili na wozie, ale Chirri-guirri albo Mionetta daliby mi znak.

— W takim razie spróbujemy i urządzimy zasadzkę — zdecydował Agostyn. — Pięć kufrów, złote hafty, naszyjnik z pereł. Nieraz pracowałem dla mniejszego zysku.

Bandyta i dziewczynka weszli do jodłowego lasu i, dotarwszy do najbardziej zaciszne-go miejsca, zaczęli gorączkowo usuwać kamienie i gałęzie, aż odkryli kilka desek przysypa-nych ziemią. Agostyn podniósł deski, odrzucił je na bok i wszedł po pas w czarną jamę, którą odsłoniły. Czy było to wejście do jakiegoś podziemia albo jaskini, gdzie się zwykle ukrywał bandyta? Czy też miejsce, gdzie chował kradzione przedmioty, a może grób zamordowanych ofiar? To ostatnie przypuszczenie wydałoby się najbardziej prawdopodobne obserwatorowi, gdyby ta scena miała innych świadków prócz kawek siedzących na drzewach.

Agostyn schylił się, jak gdyby szukał czegoś na dnie jamy, następnie wyprostował się trzymając w ramionach sztywną jak trup postać ludzką, którą rzucił bez ceremonii na ziemię. Chiquita nie okazywała żadnego strachu wobec tej dziwnej ekshumacji. Odciągnęła ciało za nogi o parę kroków od dołu, z większą siłą, niż można by się spodziewać po jej wątłej figurce. Agostyn wyjął jeszcze pięć trupów, które dziewczynka złożyła obok pierwszego, uśmie-chając się jak młoda wampirzyca, która przygotowuje orgię na cmentarzu. Otwarty grób, bandyta zakłócający spoczynek swoich ofiar, dziewczynka pomagająca mu w jego grabarskim zajęciu — to wszystko w czarnym cieniu jodeł tworzyło obraz mogący przerazić nawet naj-odważniejszego człowieka.

Bandyta wziął jednego trupa, zniósł go na zbocze pagórka

i ustawił wbijając w ziemię kołek, do którego ciało było przywiązane. Tak podtrzymany trup dość dobrze udawał w cie-mnościach żywego człowieka.

— Ach, do czego mnie doprowadziły te straszne czasy! — rzekł Agostyn wzdychając ciężko. — Zamiast oddziału dzielnych bandytów, władających nożem i muszkietem jak wy-borowi żołnierze, mam tylko manekiny w łachmanach, strachy na podróżnych, beczynnych statystów przy moim samotnym bohaterstwie.

Ustawiwszy wszystkie manekiny, bandyta zszedł na drogę, aby ocenić wrażenie, jakie robiła ta maskarada. Bandyty ze słomy mieli miny całkiem groźne i dzikie. Nastraszonego podróżnika mógł się pomylić w mroku nocy lub szarym świetle brzasku, kiedy stare wierzby z resztkami gałęzi wyglądają na brzegach rowów jak ludzie pokazujący wam pięści lub wycią-gający noże.

— Agostynie — zawołała Chiquita — zapomniałeś uzbroić manekiny!

— To prawda — odrzekł zbój. — Co mi się stało? Najbardziej genialni ludzie mają chwile roztargnienia. Ale to się naprawi. — I włożył w bezsilne ramiona stare kolby od mu-szkietów, zardzewiałe szpady albo zwyczajne kije wycelowane w przestrzeń. — Tamci mają przed sobą długą drogę, wyruszą więc na pewno o trzeciej rano i będą koło zasadzki, kiedy zacznie świtać. To bardzo dobrze, bo naszym ludziom nie trzeba ani zbyt dużo światła, ani za wiele ciemności. Dzień zdradziłby ich, noc by zakryła. Tymczasem prześpijmy się. Skrzypie-nie nie nasmarowanych kół wozu zmusza do ucieczki nawet wilki. Słysząc je z daleka i zdą-żymy się obudzić.

Powiedziawszy to, Agostyn wyciągnął się na posłaniu z wrzosów, a Chiquita tuż koło niego, aby skorzystać z płaszcza, który narzucił na siebie jak kołdrę.

Bandyta i jego mała współniczka pili pełnymi haustami z czarnego pucharu snu, oto-czeni ze wszystkich stron landami. Tymczasem w oberży „Pod Błękitnym Słońcem” wolarz, stukając o ziemię kijem, dawał znać aktorom, że czas już wyruszać w drogę.

Usadowili się na kufrach, które bezładnie wypełniały wnętrze wozu. Tyran przyrównywał się do Polifema leżącego na szczycie górskim, co nie przeszkodziło, że po chwili chrapał jak organista. Kobiety zajęły miejsca w głębi pod płachtą, gdzie zwinięte dekoracje tworzyły jakby materac, dosyć nawet miękki. Mimo straszliwego skrzypienia kół, które łkały, miauczały, chrypiały i rzeziły, wszyscy zasnęli. Męczyły ich różne koszmary, bo dźwięki wydawane przez wóz przeobrażały się w ich snach w wycie dzikich lub jęk zarzynanych dzieci.

Sigognac, podniecony niezwykłością swej sytuacji i zgiełkiem tego cygańskiego życia, tak niepodobnym do klasztornej ciszy jego zamku, szedł obok wozu. Rozmyślał o tym, jak zachwycająca jest Izabela, która ze swą urodą i skromnością wyglądała raczej na szlachciankę niż na wędrowną aktorkę; zastanawiał się, jak mógłby wzbudzić jej miłość, nie przypuszczając, że to się już stało i że urocza dziewczyna czekała z oddaniem mu serca tylko na to, aby go od niej zażądał. Nieśmiały baron snuł marzenia o rozlicznych poświęceniach, jakie spotyka się w książkach opiewających życie błędnych rycerzy, o niezliczonych, mroźnych krew w żyłach przygodach, które ułatwiłyby mu wyznanie miłosne. A przecież wyznanie to, na które nie mógł się odważyć, kryło się w blasku jego oczu, w drzeniu głosu, westchnieniach wymykających się mimo woli z piersi, w tej usłużności trochę niezręcznej, jaką okazywał Izabeli, i w roztargnionych odpowiedziach na pytania aktorów. I chociaż nie powiedział

ani jednego miłosnego słówka, młoda dziewczyna dawno już odgadła, że jest kochana.

Świt zaczynał szarzeć. W smudze bladego światła na skraju równiny rysowały się wyraźnie, mimo oddalenia, czarne kontury drżących wrzosów i nawet żdźbła trawy. Tam zaś, gdzie rósł różowy blask, widać było dziwny kształt, jak gdyby cyrkiel, którym niewidzialny geometra mierzy landy.

Był to pasterz idący na szczydłach, jak pajak, przez mokradła i piaski.

Ten widok nie był nowy dla Sigognaca, nie zwrócił więc na niego uwagi. Zastanowił go natomiast jasny punkcik błyszczący w bardzo jeszcze gęstym cieniu jodeł, gdzie zostawiliśmy Agostyna i Chiquitę. Nie mógł to być robaczek świętojański, bo pora świecenia tych owadów minęła przed kilku miesiącami. Może zatem nocny ptak ślepy na jedno oko, ponieważ jaśniał tylko jeden punkt? To przypuszczenie nie zadowoliło Sigognaca. Więc raczej chyba żarzący się lont rusznicy?

Tymczasem wóz jechał wciąż naprzód i był coraz bliżej lasku jodłowego. Sigognac miał wrażenie, że widzi na zboczu szereg dziwacznych istot, jakby czyhających na coś i niewyraźnie oświetlonych pierwszymi promieniami słońca. Stwierdziwszy, że te postacie są nieruchome, doszedł do wniosku, że to stare pniaki, i jego niepokój wydawał mu się teraz śmieszny. Nie obudził więc aktorów, jak w pierwszej chwili zamierzał.

Koła wozu zrobiły jeszcze kilka obrotów. Błyszczący punkt, na który Sigognac wciąż patrzył, zmieniał położenie. Ognista i dymiąca raca huknęła i kula utkwiała w jarzmie wołów, które gwałtownie rzuciły się w bok, pociągając wóz za sobą, ale kupa piasku zatrzymała go na szczęście nad brzegiem rowu.

Wskutek huku i wstrząsu aktorzy obudzili się gwałtownie.

Młode kobiety zaczęły prze-raźliwie krzyczeć: tylko stara aktorka, przyzwyczajona do przygód, zachowała milczenie i przezornie wsunęła kilka monet między pończochę i podeszwę trzewika.

Stanąwszy przed wozem, z którego aktorzy próbowali wysiąść, Agostyn, w płaszczu narzuconym na ramiona, trzymając w ręku nóż, krzyczał grzmiącym głosem:

— Sakiewka albo życie! Żaden opór na nic się nie zda! Wystarczy jeden ruch i cały mój oddział da do was ognia!

Podczas gdy bandyta stawiał swoje ultimatum, Sigognac, którego szlachetne serce nie mogło znieść tej bezczelności, spokojnie wyjął szpadę z pochwy i ruszył do ataku. Agostyn parował uderzenia płaszczem i czekał na odpowiedni moment, aby rzucić w barona nożem. Oparł rękojeść o ramię na wysokości łokcia i, gwałtownie je prostując, cisnął nóż w brzuch Sigognaca, któremu teraz bardzo się przydała jego szczupłość, bo nieznaczny ruch w bok pozwolił mu uniknąć śmiertelnego ciosu. Nóż padł o kilka kroków od niego. Agostyn zbladł, gdyż był rozbrojony, a wiedział, że jego drużyna, składająca się ze strachów na wróble, nie przyjdzie mu z pomocą. Licząc jednak na zastraszenie, zawołał: — Hej tam, ognia!

W obawie przed rusznicami aktorzy uciekli za wóz, w głębi którego kobiety piszczały jak żywcem oskubywane sojki. Nawet Sigognac, mimo swej odwagi, schylił się.

Chiquita, która śledziła tę scenę ukryta w zaroślach, widząc niebezpieczeństwo grożące jej przyjacielowi podpełzła jak wąż do noża, podniosła go przez nikogo nie zauważona i je-dnym skokiem zwróciła broń bandycie. Nie można sobie wyobrazić twarzy bardziej dumnej i dzikiej niż twarz dziewczynki w tej chwili; błyskawice zajaśniały w jej ciemnych oczach, nozdrza poruszały się jak skrzydła jastrzębia; jej rozchylone wargi odsłaniały dwa szeregi zębów

drapieżnych jak u osaczonego zwierzęcia.

Agostyn ponownie zamierzył się sztyletem i baron de Sigognac zginąłby na początku swych przygód, gdyby ręki bandyty nie chwyciła w przegubie jakaś żelazna dłoń. Ta dłoń, silna jak imadło, miażdżyła mięśnie, gnioła kości, od jej ucisku nabrzmiewały żyły i krwa-wiły paznokcie. Agostyn próbował się uwolnić rozpaczliwym szamotaniem; nie miał odwagi obrócić się, gdyż baron uderzyłby go w plecy; odpierał jeszcze ciosy lewą ręką, ale czuł, że straci prawe ramię razem ze ścięgnami, jeżeli dalej będzie się szarpał. Ból stał się tak gwałtowny, że zdrętwiałe palce wypuściły nóż. Był to Tyran, który podszedłszy do Agostyna z tyłu, ocalił Sigognaca. Nagle zawołał:

— Do licha, jakaś zmija mnie kąsa! Czuję dwa kły, które wbijają się w moją nogę!

Rzeczywiście Chiquita jak pies gryzła go w łydkę, żeby zmusić siłacza do odwrotu; Tyran nie wypuszczając zdobyczy odepchnął dziewczynkę o kilka kroków. Matamor, zgiąwszy swe długie członki, schylił się, podniósł nóż, zamknął go i włożył do kieszeni.

W czasie tej sceny słońce wynurzało się powoli zza widnokregu i w jego ukazujących prawdę promieniach manekiny traciły coraz bardziej wygląd ludzi.

— Cóż to? — rzekł Pedant. — Zdaje się, że muszkiety tych panów nie mogły wystrze-lić z powodu nocnej wilgoci. W każdym razie nie są to ludzie odważni, skoro pozostawiają dowódcę w kłopotcie i stoją nieruchomo jak mitologiczne terminy*.

— Mają po temu ważne powody — odpowiedział Matamor wchodząc po zboczu. — To są ludzie ze słomy, ubrani w łachmany, uzbrojeni w stare żelastwo i doskonale się nadający do odpędzania wróbli z wiśni i winogron.

Sześciu kopnięciami przewrócił sześć manekinów.

Padając na piasek ze śmiesznymi gestami marionetek, które przestały być podtrzymywane za sznurki, parodiowały one, w sposób równie błazeński jak ponury, trupy na polu bitwy.

— Mogą panie zejść — rzekł baron do aktorek — nie ma już się czego lękać. To było tylko malowane niebezpieczeństwo.

Zrozpaczony niepowodzeniem fortelu, który mu się zwykle udawał — tak bardzo ludzie są tchórzliwi, a strach tak wielkie ma oczy — Agostyn opuścił głowę z żalną miną. Obok niego stała Chiquita, spłoszona, nieprzytomna i zła jak ptak nocny zaskoczony przez dzień. Bandyta bał się, że aktorzy mający przewagę liczebną, odpłacą mu pięknym za nadobne lub wydadzą go w ręce sprawiedliwości, ale komedia z manekinami wprowadziła ich w dobry humor i zataczali się ze śmiechu. Śmiech nie jest z natury okrutny; odróżnia człowieka od zwierzęcia i według Homera jest udziałem nieśmiertelnych bogów, którzy wypełniają nim wolne chwile

* termy — w starożytnym Rzymie posągi bożków strzegących granic pól.

wieczności. Wobec tego Tyran, dobroduszny z natury, rozluźnił trochę uścisk, ale wciąż trzymając bandytę, odezwał się swoim grubym, tragicznym głosem, którego intonację zachowywał czasem w życiu codziennym:

— Łajdaku, przestraszyłeś te panie i już za to samo wart jesteś, żeby cię powiesić wysoko na krótkim sznurze; ale chyba ulaskawią cię i nie zaprowadzą do sędziego, gdyż są to dobre dusze. Zawód donosiciela mnie nie pociąga; nie zależy mi na tym, żeby szubienicy dostarczać zwierzyny. Zresztą twój podstęp jest dość szelmowski i zabawny. Jako aktor, znający się na różnych sztuczkach, umiem to ocenić, twoja wyobraźnia skłania mnie do pobłażliwości. Nie jesteś złodziejem zwyczajnym i brutalnym, więc szkoda by było

przerwać ci tak piękną karierę.

— Niestety — odpowiedział Agostyn — nie mogę wybrać innej! Jestem bardziej godny litości, niż myślicie. Zostałem sam jeden z całego zespołu, niegdyś równie dobrze dobranego jak wasz. Kat zabrał mi specjalistów od pierwszych, drugich i trzecich ról; muszę sam grać moją sztukę na scenie gościńca, udając różne głosy i ubierając manekiny, aby mi uwierzono, że mam wielu współników. Ach, mój los jest bardzo smutny! W dodatku nikt nie podróżuje tędy, bo ta droga ma złą opinię — jest wyboista i niewygodna dla ludzi, koni i karet. Poza tym nie prowadzi do żadnej ważniejszej miejscowości. Ale cóż, nie mam środków, żeby sobie kupić prawa do działania na lepszej drodze; każda droga, choć trochę uczęszczana, ma swoich własnych bandytów. Nie udał mi się plan dobrze opracowany i wykonany bardzo starannie. Miałem za to żyć dwa miesiące i kupić coś do przyodziania tej biednej Chiquity. Nie mam szczęścia, urodziłem się pod złą gwiazdą! Wczoraj mój obiad polegał na tym, że zacisnąłem pas o jedną dziurkę. Wasza nieszczęsna odwaga odbiera mi chleb, a więc jeżeli nie mogę was okraść, dajcie mi przynajmniej jałmużnę.

— Słusznie — odpowiedział Tyran — skoro przeszkadzamy ci w wykonywaniu zawo-du, jesteśmy winni odszkodowanie. Masz dwa pistole, napij się za nasze zdrowie.

Izabela wzięła z wozu duży kawałek tkaniny i podarowała go Chiquicie.

— Och, ja chciałabym białe paciorki! — zawołała dziewczynka ze spojrzeniem pełnym namiętnej pożądlivości.

Aktorka zdjęła naszyjnik i włożyła go małej złodziejce, która, wzruszona tym i zachwycona, obracała białe kulki w swych ciemnych palcach, przechylając głowę i próbując obejrzeć naszyjnik na swej wątlej piersi. Potem nagle wyprostowała się, odrzuciła włosy do tyłu, utkwiała błyszczące spojrzenie w Izabeli i powiedziała z akcentem głębokim a

niezwykłym:

— Jesteś dobra, nigdy cię nie zabiję!

Przeskoczyła rów, wbiegła na mały pagórek i usiadła oglądając swój skarb.

Agostyn uklonił się, zebrał swoje zniszczone manekiny, odniósł je do lasku i zakopał na lepszą okazję. Zjawił się wolarz, który po strzale z rusznicy uciekł bohatersko i zostawił po-dróżnych ich własnej przemyślności. Wóz ruszył ociążale w drogę.

Duena wyciągnęła ukradkiem złote monety z trzewików i włożyła je do woreczka.

— Zachował się pan jak bohater powieści — powiedziała Izabela do Sigognaca. — Pod pańską opieką można podróżować bezpiecznie. Jak odważnie walczył pan z tym bandytą! Musiał pan przecież przypuszczać, że stoi za nim cała, dobrze uzbrojona banda!

— To była drobnostka, nic niebezpiecznego — odpowiedział skromnie baron. — W pa-ni obronie rozcinałbym olbrzymów od czaszki aż do pasa, zmusiłbym do odwrotu całą armię Saracenów, walczyłbym z potworami zionącymi ogniem i dymem, przebyłbym zaklęte lasy pełne zasadzek, zszedłbym do piekieł jak Eneasz, i to bez złotej różdżki *. W promieniach pani cudnych oczu wszystko stałoby się dla mnie łatwe, gdyż pani obecność, a nawet sama myśl o pani daje mi nadludzkie siły.

Ta retoryka była może nieco przesadna, ale szczerą. Izabela nie wątpiła ani na chwilę,

* ...zszedłbym do piekieł jak Eneasz, i to bez złotej różdżki — Eneasz, bohater poematu Wergiliusza „Eneida”, odbył wędrówkę do piekieł uzbrojony w magiczną różdżkę, którą torował sobie drogę.

że Sigognac dokona na jej cześć wszystkich tych bajecznych

czynów bohaterskich, godnych Amadisa, Esplandiona i Florimanta z Hyrkanii *. Miała rację. Najprawdziwsze uczucie dykto-owało te okrzyki baronowi, który z godziny na godzinę był coraz bardziej zakochany.

Miłość nie znajdzie nigdy słów dość mocnych do wypowiedzenia się. Serafina, słysząc słowa Sigognaca, nie mogła powstrzymać uśmiechu, gdyż każda młoda kobieta uznaje chętnie za śmieszne wypowiedzi miłosne kierowane do innej; te same słowa wydałyby się jej najnaturalniejsze w świecie, gdyby nieco zboczyły z drogi. Przez chwilę rozważała, czyby nie odebrać Sigognaca przyjaciółce, ale ta zachcianka trwała krótko. Serafina nie była, ściśle biorąc, chciwa, uważała jednak, że piękność jest diamentem, który należy oprawić w złoto. Posiadała diament, lecz brakło jej złota, a baron był tak straszliwie biedny, że nie mógł dostarczyć ani oprawy, ani nawet futerału. Kokietka schowała przygotowane już, czułe spojrzenie: doszła do wniosku, że takie miłostki są dobre dla naiwnych, nie dla pierwszych ról, i przybrała znowu obojętny i pogodny wyraz twarzy.

Milczenie zapadło na wozie i sen zaczynał już rzucać swój piasek w oczy podróżnych, gdy wolarz rzekł:

— Oto zamek Bruyeres!

ROZDZIAŁ V

U PANA MARKIZA

W promieniach pogodnego poranka zamek Bruyeres przedstawiał się jak najbardziej pociągająco. Dobra markiza,

położone na skraju landów, miały bardzo urodzajną glebę, a jałowy piasek układał swe ostatnie białe fale poza murami parku. Atmosfera dobrobytu, two-rząca zupełny kontrast z okoliczną nędzą, przyjemnie cieszyła wzrok od pierwszej chwili, gdy się tu stało.

Markiz de Bruyeres, który spostrzegł z daleka pochód aktorów, stał na tarasie zamku w kurtce z ciemnego aksamitu i w takich samych spodniach; na nogach miał pończochy z szare-go jedwabiu i białe trzewiki o kwadratowych nosach, całość zaś wytwornie zdobiły odpowiednie dobrane wstążki. Zszedł kilka stopni z owalnego tarasu jako uprzejmy gospodarz, który nie bada zbyt dokładnie, z jakiej sfery są jego goście, zresztą obecność barona de Sigognac w trupie pozwalała ostatecznie uzasadnić tę pobłażliwość. Zatrzymał się na trzecim stopniu, nie uznając za godne siebie, by iść jeszcze dalej: stamtąd dał aktorom znak ręką — przyjazny i opiekuńczy.

— Janie — rzekł do lokaja, który stał w pobliżu przywołany skinieniem swego pana — proszę odstawić ten wóz na podwórze przy czworakach i złożyć dekoracje oraz rekwizyty w jakiejś szopie; powiedz, aby zanesiono kufry tych panów i pań do izb wyznaczonych przez mego intendenta i dano im wszystko, czego mogą potrzebować. Chcę, żeby ich traktowano z respektem i kurtuazją. Możesz odejść!

Wydawszy te rozkazy pan de Bruyeres wrócił poważnie na taras, ale nim zniknął za drzwiami, posłał swawolne spojrzenie Zerbinie, która się doń uśmiechała w sposób zanadto obiecujący, zdaniem Serafiny, oburzonej bezwstydem subretki.

Chcąc się odziać nieco lepiej, Sigognac otworzył paczkę, w której Piotr umieścił skro-

* Amadis, Esplandion i Florimant z Hyrkanii — imiona

rycerzy występujących w hiszpańskiej powieści z XVI w. „Amadis z Galii”.

mne szaty swego pana. Wyjął zapas garderoby, który ta paczka zawierała, i nie znalazł nic od-powiedniego. Raz kaftan był za długi, innym razem spodnie za krótkie. Materiał na łokciach i na kolanach, bardziej narażony na wycieranie, jaśniał całymi placami startymi aż do osnowy. Wśród rozłazących się kawałków szwy wybuchały śmiechem i pokazywały zęby swych nici. Spłwiała w słońcu, na wietrze i deszczu barwy tych łachmanów stały się tak niepewne, że nawet malarz miałby kłopot z właściwym ich określeniem. Bielizna nie była wiele więcej warta. Liczne prania nadały jej wygląd nad wyraz delikatny. Były to raczej cienie koszul niż koszule. Można by powiedzieć, że zostały uszyte z pajęczyn rodzinnego zamku. Na domiar nieszczęścia szczury, nie znajdując nic do jedzenia w spiżarni, pogryzły niektóre z najmniej zniszczonych, wycinając w nich swoimi siekaczami tyle dziurek, ile ma gipiurowy kołnierzyk — strój nie na czasie i całkiem zbędny w garderobie biednego barona.

Ta melancholijna inspekcja tak mocno absorbowowała Sigognaca, że nie usłyszał dyskre-tnego pukania do drzwi, które się uchyliły dając przejście najpierw lśniącej czaszce, a potem opasłemu cielsku imć Blazjusza. Wszedł on do pokoju z mnóstwem reweransów przesadnych i uniżenie komicznych lub komicznie uniżonych, zaznaczając w ten sposób respekt na wpół rzeczywisty, a na wpół udany.

Gdy Pedant stanął przed Sigognakiem, ten, trzymając za oba rękawy i oglądając pod światło koszulę ażurową jak rozeta katedralna *, kiwał głową z miną rozpaczliwie beznadziejną.

— Corpo di Bacco! ** — zawołał Pedant, którego głos wstrząsnął zaskoczonym baro-nem. — Ta koszula ma minę odważną i triumfalną. Można by powiedzieć, że poszła do

ataku w celu zdobycia jakiejś fortecy umieszczonej na piersi boga Marsa. Tak jest przesiana, po-dziurawiona, pomereżkowana przez muszkiety, strzały, groty, lance i inne rodzaje broni. Nie trzeba się tego wstydzić, baronie. Te dziurki są ustami, którymi przemawia honor, podczas gdy jakaś tkanina fryzyjska czy holenderska, całkiem nowa i plisowana według ostatniej mo-dy dworskiej, chowa w sobie często infamię jakiegoś łajdaka — parweniusza, łapownika czy symonisty ***; wielu znakomitych bohaterów, o których czynach szeroko opowiada historia, nie było zbyt dobrze zaopatrzonych w bieliznę; przykładem Ulisses — człowiek poważny, rozsądny i subtelny, który się przedstawił pięknej księżniczce Nauzykai ubrany jedynie w rośliny morskie, jak o tym opowiada „Odyseja” imć Homerusa ****.

— Na nieszczęście — odpowiedział Pedantowi Sigognac — mój drogi Blazjuszu, przy-pominam tego dzielnego Greka, króla Itaki, tylko brakiem koszul. Me dawne czyny nie równoważą terażniejszej nędzy. Brak okazji nie pozwolił objawić się mej dzielności; wątpię, czy będę kiedykolwiek opiewany przez poetów heksametrami *****. Przyznaję, bardzo mnie to drażni, że muszę się pokazać w stroju podobnie dziwacznym wśród takiej kompanii, choć nie należy się wstydzić uczciwego ubóstwa. Markiz de Bruyeres poznał mnie, choć tego nie okazał, i może zdradzić mój sekret.

— To jest rzeczywiście niezmiernie przykre — odparł Pedant. — Ale jest lekarstwo na wszystko z wyjątkiem śmierci, jak mówi przysłowie. My, biedni komedianci, cienie ludzkie-

* rozeta — okrągłe okno, z misterną ornamentacją w stylu gotyckim.

** Corpo di Bacco! — przekleństwo włoskie („Na ciało Bachusa!”).

*** symonista — człowiek wykorzystujący kult religijny do celów materialnych (przez nadawanie godności kościelnych za pieniądze, sprzedawanie odpustów itp.).

**** ...Ulisses... który się przedstawił pięknej księżniczce Nauzykai ubrany jedynie w rośliny morskie, jak o tym opowiada „Odyseja” imię Homera — w szóstej pieśni „Odysei” opisuje Homer, jak Odyseusz (nazwany też Ulissesem) straciwszy w czasie burzy tratwę, na której wracał do ojczyzny, dostaje się wpław na brzeg wyspy zamieszkaney przez Feaków. Tam spotyka Nauzykaę, córkę króla Feaków, i prosi ją o pomoc. Pedant niezbyt dokładnie pamięta tę scenę, bo Odyseusz osłania swą nagość nie roślinami morskimi, ale liściastą gałęzią.

***** heksametr (dosłownie: wiersz „sześciomiarowy”) — wiersz używany w epopiejach greckich i łacińskich. Tu właściwie w znaczeniu odpowiadającego mu dwunastozgłoskowego wiersza francuskiego.

go życia i widma osób wszelkiego stanu, możemy zawsze udawać to, czym nie jesteśmy, a nasze udawanie jest tak dokładne jak odbicie w lustrze. Gdy nam się podoba, to dzięki naszej garderobie, w której się znajdują wszystkie nasze królestwa, dobra rodowe i lenne, przybieramy wygląd książąt, wielkich baronów, szlachty o dumnym spojrzeniu i wytwornej minie. Jako kierownik kostiumerii w trupie umiem zrobić z tchórze Aleksandra Wielkiego, z biedaka — bogatego pana, z ładacznicy — wielką damę i jeśli nie weźmie mi pan tego za złe, użyję mej umiejętności na rzecz pana. Skoro pan zechciał łaskawie podzielić nasz wędrowny los, proszę przynajmniej korzystać z naszych zasobów. Proszę porzucić tę liberię melancholii i nę-dzy, która zakrywa pańskie naturalne zalety i dyktuje panu niesłuszną nieufność wobec samego siebie. Mam właśnie w rezerwie w jednym z kufrów nowiutki ubiór z czarnego aksamitu i ognistych wstążek. Nie wygląda

on bynajmniej na strój teatralny i mógłby go nosić człowiek dworski. Często jest dziś modą u autorów i poetów, że pod zmienionymi nazwiskami ukazują na scenie głośne wydarzenia współczesne; wymaga to, aby komedjanci występowali w ubra-niach ludzi wysoko urodzonych, a nie dziwacznie przystrojeni na modłę starożytną czy romansową. Mam koszulę, pończochy jedwabne, trzewiki z mankietami, płaszcz, wszystkie akcesoria kostiumu, który zdaje się umyślnie uszyty na pańskie kształty, jakby w przewidy-waniu tej przygody. Niczego nie brakuje, nawet szpady.

— Och, co do tego — rzekł Sigognac z wyniosłym gestem, w którym odżyła duma szlachecka, nie dająca się pogneść żadną przeciwnością losu — mam szpadę mego ojca.

— Niech ją pan starannie zachowa — odpowiedział Blazjusz. — Szpada jest wiernym przyjacielem, strażnikiem życia i honoru swego pana. Nie opuszcza go w klęskach, niebezpie-czeństwach i złych przygodach, jak to czynią pochlebcy, wstrętne pasożyty pomyślności. Na-sze teatralne szpady są tępe, zadają tylko pozorne rany, z których można się wyleczyć nagle pod koniec sztuki, i to bez maści, szarpi czy driakwi *. Pańska szpada potrafi pana obronić w potrzebie, jak to uczyniła, gdy bandyta z manekinami dokonał tego przeraźliwego i śmieszne-go napadu na gościńcu. Niech pan więc pozwoli, że poszukam szat w głębi kufrów; pilno mi zobaczyć, jak się poczwarka przeobrazi w motyla.

Wypowiedziawszy te słowa z groteskową emfazą, która należała do jego zwyczajów i którą przenosił ze swych ról do codziennego życia, Pedant wyszedł z izby i wrócił niebawem, niosąc pakiet dość okazałych rozmiarów, zawinięty w serwetę. Z szacunkiem umieścił go na stole.

— Jeśli pan zechce przyjąć starego Pedanta z komedii jako kamerdynera — rzekł Bla-zjusz zacierając ręce z

zadowoleniem — zrobię z pana Adonisa ** i ufryzuję jak najpiękniej. Wszystkie damy oszaleją na pański widok, gdyż, bez obrazy pańskiej kuchni w Sigognac, dość się pan napościł w swej Wieży Głodu, by mieć prawdziwą fizjonomię umierającego z miłości.

W ten sposób zacny Blazjusz zabawiał barona Sigognaca, nie przestając go równocześnie ubierać, gdyż obrotność języka nie umniejszała ruchliwości jego rąk; nawet narażając się na przezwiska gaduły i natręta, wolał ogłuszyć młodego szlachcica potokiem słów niż zostać go pod ciężarem smutnych rozmyślań.

Toaleta barona została niebawem zakończona, gdyż teatr, wymagając szybkiej zmiany kostiumów, daje aktorom dużo zręczności w tego rodzaju metamorfozach. Blazjusz, zadowolony ze swego dzieła, ująwszy barona de Sigognac za mały palec, doprowadził go przed lustro weneckie umieszczone na stole, tak jak się prowadzi pannę młodą do ołtarza, i rzekł:

— Teraz proszę rzucić spojrzenie na postać waszej dostojności.

Sigognac zobaczył w lustrze obraz, który wziął zrazu za odbicie innej osoby, tak bardzo różnił się od jego własnego. Mimo woli odwrócił głowę i spojrzał poprzez ramię, by zoba-

* driakiew — dawny lek gojący, w którego skład wchodziło opium.

** Adonis — w mitologii greckiej młodzieniec, który odznaczał się tak wielką urodą, że zakochała się w nim Wenus. W przenośni: piękny młodzieniec, ulubieniec kobiet. czyć, czy przypadkiem ktoś za nim nie stoi. Odbicie powtórzyło jego ruch. Nie było wątpliwości, że to on sam: już nie Sigognac, chudy, smutny, żałosny, prawie śmieszny w swej nędzy, ale młody, elegancki, wspaniały; stare ubranie, porzucone na podłodze, przypominało ową szarą i martwą

skórę, którą pozostawiają gąsienice, aby ulecieć ku słońcu jako motyle o skrzydłach złotych, cynobrowych i lazurowych. Istota nieznana, więziona dotąd w nędznej powłoce, wyzwoliła się nagle i promieniowała w czystym świetle spływającym z okna jak posąg, z którego zdjęto zasłony na inauguracji publicznej. Sigognac ujrzał się takim, jakim się cza-sem widział we śnie, gdy równocześnie był aktorem i widzem fantastycznej akcji, rozgrywa-jącej się w zamku odbudowanym i ozdobionym przez zręcznych architektów snów na przy-jęcie uwielbianej infantki, przybywającej na białym wierzchowcu. Uśmiech dumy i triumfu błyszczał przez kilka sekund jak purpurowe światełko na jego bladych wargach i młodość, tak długo przygnieciona nieszczęściem, ukazała się na jego upiększonej twarzy.

Blazjusz, stojąc koło toalety, podziwiał swe dzieło, cofał się, by lepiej je objąć spojrze-niem, jak malarz dający ostatnie muśnięcie obrazowi, z którego jest zadowolony.

— Jeśli, jak mam nadzieję, dostanie się pan na dwór i odzyska swe dobra, niech mi pan da jako emeryturę zarząd swej garderoby — rzekł naśladowując petenta zgiętego w ukłonie przed baronem w nowej postaci.

— Wezmę pod uwagę tę prośbę — odpowiedział Sigognac z melancholijnym uśmie-chem. — Mości Blazjuszu, jesteś pierwszą istotą ludzką, która mnie o coś poprosiła.

— Po obiedzie, który nam zostanie podany osobno, należy złożyć wizytę panu markizo-wi de Bruyeres, by mu pokazać listę sztuk, które możemy grać, i dowiedzieć się, w której części zamku wzniesiemy nasz teatr. Będzie pan uchodził za poetę teatralnego, gdyż nie brak na prowincji znakomitych umysłów, które udają się czasem na służbę Talii, także w nadziei zmiękczenia serca jakiejś aktorki, co jest bardzo wytworne i modne. Izabela jest dobrym pretekstem, zwłaszcza że jest dowcipna, piękna i cnotliwa. Naiwne na scenie udają

czasem o wiele mniej, niż przypuszcza frywolna i pusta publiczność.

Powiedziawszy to Pedant, choć nie był zbyt wielkim elegantem, odszedł zająć się własną toaletą.

Piękny Leander, myśląc o pani markizie, upiększał się jak mógł, z nadzieją na ową nieosiągalną przygodę, którą nieustannie ściagał i która, według słów Scapina, przyniosła mu do-tąd tylko rozczarowanie i cięgi. Co do aktorek, którym pan de Bruyeres uprzejmie posłał kilka sztuk jedwabiu, by zrobiły z niego w razie potrzeby kostiumy do ról, można sobie wyobrazić, że uciekły się do wszelkich środków, jakim sztuka wspomaga naturę, i w ten sposób osiągnęły najwyższą gotowość bojową, na jaką pozwalała ich biedna garderoba wędrownych arty-stek. Po skończeniu tych zabiegów udano się na salę, gdzie czekał już obiad.

Niecierpliwy z natury markiz przyszedł przed końcem posiłku i zastał aktorów jeszcze przy stole; nie pozwolił im wstać i dopiero gdy im podano wodę do umycia rąk, zapytał Tyra-na, jakie zna sztuki.

— Wszystkie utwory nieboszczyka Hardy'ego * — odpowiedział Tyran swym dudnią-cym głosem — oraz „Pirama” Theophile'a, „Sylwie”, „Chryzeidę” i „Sylwanirę”, „Szaleń-stwo Cardenia”, „Niewierną powiernicę”, „Filisa z Cyru”, „Lygdamona”, „Ukaranego zwo-dnika”, „Wdowę”, „Pierścień zapomnienia” i wszystko, co najlepszego stworzyły najpierwsze umysły naszej epoki.

— Od kilku lat żyję z dala od dworu i nie znam się na nowościach — rzekł skromnie markiz. — Trudno by mi było wydać sąd o tylu sztukach doskonałych, których jednak prze-

* Aleksander Hardy — wybitny dramaturg francuski na początku XVII w. Herod przesadza twierdząc, że jego zespół

ma w swoim repertuarze wszystkie sztuki Hardy'ego, gdyż napisał on ich kilkaset. Wymienione następnie tragikomedie współczesnych pisarzy, Theophile'a de Viau, Maireta, Scudery'ego i in., popadły od lat w całkowite zapomnienie z wyjątkiem „Wdowy”, która jest jednym z młodzieńczych utworów największego dramaturga francuskiego, Piotra Corneille'a.

ważnie nie znam; moim zdaniem, najlepiej będzie zaufać waszemu wyborowi, który — opa-rtym na teorii i praktyce — na pewno będzie rozumny.

— Często grywaliśmy pewną sztukę — wtrącił Tyran — która może nie zasługiwałaby na druk, ale dzięki swym zaletom scenicznym, komicznemu dialogowi, sztuczkom i kawałom, zawsze rozśmiesza ludzi najbardziej szlachetnego stanu.

— Nie szukajcie innego utworu — rzekł markiz. — Jak się nazywa to wspaniałe arcy-dzieło?

— „Fanfaronady kapitana Matamora”.

— Dobry tytuł, na honor! Czy subretka ma w sztuce piękną rolę? — rzekł markiz rzu-cając spojrzenie Zerbinie.

— Najkomiczniejszą i najbardziej szelmowską w świecie, a Zerbina gra ją doskonale. To jej triumf. Zawsze ją w niej oklaskiwano i nigdy nie były to oklaski zamówione.

— Wydałem polecenie, aby opróżniono oranżerię, która jest największą salą w zamku; można tam urządzić teatr, należy tylko przenieść deski, estradę, dywany, ławki i wszystko w ogóle, co jest niezbędne do improwizowanego przedstawienia. Pilnujcie robotników, mało zręcznych w takich pracach; rozporządzajcie nimi jak władza sądowa galernikami. Będą wam posłuszni, tak samo jak mnie.

Służący poprowadził Tyrana, Blazjusza i Scapina do oranżerii, ci trzej bowiem zazwy-czaj troszczyli się o sprawy techniczne. Sala nadawała się doskonale na przedstawienie

dzięki swemu podłużnemu kształtowi, który pozwalał umieścić scenę na jednym z jej krańców i ustawić rzędami w wolnej przestrzeni fotele, krzesła, taborety i ławki według stanu widzów i honorów, jakie chciano im oddać. Ściany były pomalowane w zielone kraty na lazurowym tle, udając sielską architekturę z filarami; arkadami, niszami, kopułami — wszystko to z dobrą perspektywą i ozdobione lekkimi girlandami z liści i kwiatów, by przerwać monotonię rombów i linii prostych. Sufit na wpół sklepiony przedstawiał niebo, pręgowane kilim białymi obłokami i upstrzone różnobarwnymi ptakami, co tworzyło dekorację jak najodpowiedniejszą dla nowego przeznaczenia tego miejsca.

Ponieważ aktorzy umieli wszystkie role w tej sztuce, przedstawienie „Fanfaronad kapi-tana Matamora” mogło się odbyć, skoro tylko przybyli goście markiza.

Oranżeria zmieniona w salę teatralną wyglądała przepięknie. Pęki świec w kandelabrach przymocowanych do ścian rozsiewały łagodne światło, w którym bez szkody dla efektów sceny korzystnie prezentowały się toalety kobiece. Z tyłu za widzami, na deskach tworzących stopnie, umieszczono drzewa pomarańczowe, których liście i owoce, ogrzane ciepłą atmosferą sali, wydzielały niezmiernie miłą woń, mieszającą się z zapachami piżma, wina, ambry oraz irysu.

Za damami usiedli na taboretach i ławkach panowie i szlachta, ojcowie, mężowie i bracia owych piękności. Jedni przechyleni z wdziękiem nad oparciem foteli, szeptali madrygały do pobłażliwego uszka, inni wachlowali się pióropuszcami swych kapeluszy lub, stojąc z jedną ręką na biodrze, w postawie podkreślającej kształtną figurę, przesuwali po zgromadzeniu zadowolone spojrzenia. Szmer rozmów unosił się jak lekka mgła nad głowami i oczekiwanie zaczynało przechodzić w niecierpliwość, gdy zabrzmiały trzy

uroczyste uderzenia, natychmiast wywołując ciszę. Rozsunęła się kurtyna i ukazała dekorację przedstawiającą plac publiczny, czyli miejsce nieokreślone, sposobne do intryg i spotkań postaci komedii ludowej. Było to skrzyżowanie ulic, domy o spiczastych ścianach szczytowych, wykusze, małe okna okute ołowiem, kominy, z których wydobywał się naiwnie korkociąg dymu, wznoszący się ku chmurom na niebie, któremu miotła nie zdołała przywrócić całej pierwotnej czystości. Jeden z tych domów, tworzący róg dwóch ulic, które rozpaczliwym wysiłkiem perspektywy usiłowały zagłębić się w przestrzeni obrazu, miał bramę i okna prawdziwe. Dwie kulisy, kończące się u góry skrawkiem nieba poplamionym oliwą, były tak samo wyposażone, a ponadto jedna z nich miała balkon, na który można się było dostać za pomocą niedostrzegalnej dla widza drabiny; urządzenie to ułatwiało rozmowy, zakradanie się i porwania w stylu hiszpańskim. Teatr naszej małej trupy był zatem, jak na owe czasy, zaopatrzonej w niezłą maszynę. To prawda, że barwy dekoracji wydałyby się znawcom nieco dziecinne i dzikie. Dachówki na da-chu przyciągały oczy żywością swych czerwonych kolorów, liście drzew zasadzonych przed domami były zielone jak grynszpan, a błękitne części nieba — nieprawdopodobnie lazurowe; lecz całość pozwalała widzom obdarzonym dobrą wolą stworzyć sobie dostateczny obraz placu publicznego. Rząd dwudziestu dziewięciu świec starannie przyciętych rzucał dość jasne światło na ową szacowną dekorację, nie przyzwyczajoną do tak luksusowej jasności. Ten wspaniały widok wzbudził w audytorium szmer zadowolenia. Sztuka zaczynała się sporem poczciwego mieszczucha Pandolfa z córką Izabelą. Podając jako powód miłość do pewnego młodego blondyna, odmawiała ona stanowczo zaślubienia kapitana Matamora, którym zawrócił sobie głowę jej ojciec. Opór ten podtrzymywała z całych sił jej

subretka Zerbina, dobrze opłacona przez Leandra. Na obelgi, którymi obsypywał ją Pandolf, zuchwała subretka, szybka w ripocie *, odpowiadała rozmaitymi głupstwami i radziła mu, aby sam zaślubił Matamora, skoro tak go kocha. Co do niej, nie zgodzi się nigdy, by jej pani została żoną tego cymbała o twarzy nadającej się tylko do prztyczków, tego stracha na wróble. Poczciwiec, rozgniewany, chce rozmawiać z Izabelą samą i wypycha Zerbine do mieszkania, lecz ona, uchylając się przed kułakami starca, utrzymuje się na miejscu ruchem tak elastycznym, wykręcaniem bio-der tak szelmowskim, szelestem sukni tak kokieteryjnym, że zawodowa baletnica nie mogła-by tego zrobić lepiej, na każdą bezskuteczną próbę Pandolfa odpowiada śmiechem, nie lęka-jąc się otwierać ust jak najszerzej, i ukazuje trzydzieści dwie perły Wschodu, jeszcze bardziej lśniące przy sztucznym świetle i zdolne rozproszyć melancholię Heraklita **. Brylantowy błysk świecił w jej oczach, zapalony pokładem rózu na policzkach. Karmin ożywił jej wargi, a suknia, całkiem nowa, zrobiona z podarowanej przez markiza tafty, połyskiwała olśniewa-jąco w załamaniach, jak gdyby siejąc dokoła deszcz iskier.

Ta gra wzbudziła aplauz całej sali, a pan de Bruyeres powiedział sobie po cichu, że daje dowód dobrego smaku, snując zamysły co do tej perły subretek.

W tym momencie weszła nowa postać, rzucając na prawo i lewo spojrzenia jakby w obawie przed przyłapaniem. Był to Leander, postrach ojców, mężów i opiekunów, a przedmiot westchnień żon, córek i wychowanek; widząc Pandolfa tam, gdzie spodziewał się spotkać Izabelę, Leander zatrzymał się w pozie wielokrotnie studiowanej przed lustrem, co do której był pewien, że uwydatnia wdzięki jego osoby: ciało oparte na lewej nodze, prawa lekko zgięta, jedna ręka na rękojęści szpady, druga gładząca podbródek, z oczyma pełnymi ognia i tęsknoty, usta otwarte w słabym uśmiechu, pozwalającym

załśnić emalii zębów. Był rzeczywiście bardzo przystojny: jego kostium odświeżony nowymi wstążkami, jego śnieżna bielizna błyszcząca między kaftanem a spodniami, trzewiki wąskie, na wysokich obcasach, przybrane długą kokardą, przyczyniały się do nadania mu wyglądu doskonałego kawalera. Dzięki temu osiągnął pełny sukces u dam: nawet szydercza Jolanta nie uważała go za zbyt śmiesznego. Korzystając z tej niemej sceny Leander rzucał przez rampę uwodzicielskie spojrzenia. Namiętnie i błagalnie patrzył na markizę, przyprowadzając ją o mimowolny rumieniec, wzrok skierowany na Izabelę był już przygasły i roztargniony, jakby dla podkreślenia różnicy między miłością rzeczywistą a udaną.

Na widok Leandra Pandolf rozsierdził się jeszcze bardziej. Kazał wracać córce i subre-tce do domu, ale przed odejściem Zerbina zdążyła wsunąć do kieszonki bilecik zaadresowany do Izabeli, a zawierający prośbę o nocną schadzkę. Młody człowiek, zostawszy z ojcem, za-

* riposta (z włosk.) — w szermierce: zręczne odparowanie ciosu połączone z atakiem. W przenośni: cięta odpowiedź.

** Heraklit — filozof grecki żyjący na przełomie VI i V w. przed n.e. Głosił, że rzeczywistość znajduje się w ciągłym ruchu („wszystko płynie”). Według późniejszej i niczym nie uzasadnionej tradycji miał być uosobieniem smutku.

pewnił go jak najuprzejmiej, iż jego zamiary są uczciwe i dążyć będzie tylko do zawarcia naj-bardziej uświęconego związku; że jest dobrze urodzony, cieszy się szacunkiem wpływowych osobistości i pewnym kredytem u dworu i że nic, nie. wyłączając śmierci, nie zdoła go ode-rwać od Izabeli, którą kocha bardziej niż życie — piękne słowa, których dziewczyna słuchała z rozkoszą, wychylając się ze swego balkonu i dając Leandrowi znaki przyzwolenia. Mimo tej

słodkiej jak miód wymowy Pandolf ze starczym uporem przysięgał na wszystkie świętości, że pan Matamor zostanie jego zięciem albo córka pójdzie do klasztoru. On sam natomiast uda się do notariusza, by sprawę zakończyć.

Po odejściu Pandolfa Leander zaklinał piękną dziewczynę — ciągle jeszcze stojącą w oknie, gdyż starzec zamknął drzwi na dwa spusty — by dla uniknięcia nieszczęść zgodziła się, żeby ją porwał i zaprowadził do znanego mu klasztoru, gdzie nie robią trudności w udzielaniu ślubów młodym parom, których miłości staje na przeszkodzie tyrańska wola rodziców. Na co panna odpowiadała skromnie — przyznając, że nie jest obojętna na płomienne uczucia Leandra — iż winniśmy jednak szacunek dla tych, co nas wydali na świat, i że ów klasztor nie ma może wszystkich uprawnień do udzielania ślubów, ale przyrzekła stawiać jak najmocniejszy opór i raczej zostać mniszką niż oddać swą rękę Matamorowi.

Zakochany oddalił się, by ustawić swe baterie z pomocą pewnego sługi, szczwanego lisa, płodnego w szelmostwa, podstępny i podjazdy na wzór Ulissesa. Wieczorem miał wrócić pod balkon i zdać sprawę ukochanej z rezultatów swojego przedsięwzięcia.

Izabela zamykała okno, gdy wszedł Matamor, zgodnie ze swym zwyczajem zjawiania się w odpowiedniej chwili. Jego oczekiwane przybycie wywołało wielkie wrażenie. Ta popularna postać miała dar rozśmieszania najbardziej osowiałych ludzi.

Choć nic nie usprawiedliwiało tak gniewnego zachowania, Matamor, rozstawiając nogi na podobieństwo cyrkla i robiąc kroki na sześć stóp długie, jak słowa, o których wspomina Horacy *, wyszedł przed rząd świec i zatrzymał się tam z piersią wypiętą naprzód, arogancki i wyzywający, jakby szukał zaczepki z całą salą. Podkręcał węża, przewracał oczyma, rozdyrzał nozdrza i sapał przeraźliwie, jak gdyby

dusił się z gniewu wskutek jakiejś obelgi domagającej się zniszczenia całego rodzaju ludzkiego.

Na tę uroczystą okazję Matamor wyciągnął z głębi swego kufra kostium prawie nowy, który wkładał tylko od święta. Był chudy jak jaszczurka, co jeszcze podkreślało śmieszność dziwaczności i groteskowo hiszpańską przesadę stroju. Na głowie miał coś w rodzaju kapelusza a la Henryk IV, podwiniętego z jednej strony i ozdobionego czerwono-białymi piórami.

Postrzępiona na brzegach kapa, w tych samych kolorach co reszta kostiumu, spływała z jego ramion, błazeńsko podkasana przez olbrzymi rapier, który pod ciężarem brzeszczota przechylał się do przodu. Na końcu tego szabliska, mogącego służyć za rożen dla dziesięciu Saracenów, wisiała siatka misternie wykonana z bardzo cienkiego mosiężnego drutu, a przed-stawiająca pajęczynę, przekonywający dowód rzadkiego użytku, jaki Matamor czynił ze swego straszliwego narzędzia śmierci. Ci widzowie, którzy mieli dobry wzrok, mogli nawet dostrzec metalowego owada uczeplonego na swej nici z całkowitym spokojem, jakby był pe-wien, że nikt mu nie przeszkodzi w pracy.

Matamor, a krok w krok za nim jego służący Scapin, któremu groziło wybicie oka rapierem, przemierzył kilkakrotnie scenę stukając obcasami, nasuwając kapelusz aż po brwi, odgrywając masę śmiesznych pantomim, które sprawiały, iż widzowie pokładali się ze śmiechu, w końcu zatrzymał się i, stojąc przed rampą, zaczął mowę pełną samochwalstwa, blagi i fanfaronady, takiej oto mniej więcej treści, mogącej wykazać erudytom, że autor sztuki czytał komedię Plauta „Miles gloriosus” **, sławiącą protoplastę rodu Matamorów.

* Horacy — największy poeta rzymski (I w. przed n.e.); w

swojej „Sztuce poetyckiej” mówi o długich, sześciosylabowych słowach, których używanie dopuszcza tylko w utworach poważnych.

** Miles gloriosus” — „Żołnierz-samochwał”, najbardziej znany utwór komediopisarza rzymskiego Plauta (żyjącego na przełomie III i II w. przed n.e.), wywarł duży wpływ na komedię nowożytną.

— Chcę dziś, Scapinie, zostawić na kilka chwil w pochwie mój przyrząd śmiercionośny i zostawić lekarzom troskę o zaludnianie cmentarzy, których jestem największym dostawcą. Gdy się zrzuciło z tronu szacha Persji, wyciągnęło za brodę Amorabakina * z jego obozu i drugą ręką zabiło się dziesięć tysięcy niewiernych Turków, rozwaliło jednym kopnięciem fortyfikację stu twierdz, wyzywało los, obdarło przypadek ze skóry, spaliło nieszczęście, jak gąskę oskubało orła Jupiterowi **, kiedy nie chciał stanąć do pojedynku na moje wyzwanie, obawiając się mnie bardziej niż tytanów ***. gdy się używało piorunów zamiast krzesiwa, rozpruło niebo podkręceniem wąsa — wolno przecież pozwolić sobie na nieco odpoczynku i rozrywki. Zresztą posłuszny wszechświat nie stawia już oporu mej odwadze, a parka Atropos **** zawiadomiła mnie, że jej nożyczki wyszczerbiły się przecinaniem nici przeznaczeń, którą zżał mój miecz, i że musiała je odesłać do szlifierza. A więc, Scapinie, muszę trzymać oburącz mą odwagę, dać spokój pojedynkom, wojnom, masakrom, spustoszeniom, łupieniu miast, zapasom z olbrzymami, zabijaniu potworów na wzór Tezeusza i Herkulesa *****, do czego służy mi zazwyczaj dzikość mej nieokiełznanej brawury. Odpoczywam. Niech śmierć odetchnie! Lecz jakimież to rozrywkami wypełnia swe wywczasy imć Mars, który wobec mnie jest bardzo mizernym stworzeniem? Przebywa w białych i lalkowatych ramionach pani Wenus, która jako bogini rozumna ceni wojowników

wyżej niż wszelkich innych ludzi. Dlatego radzę stać się człowiekiem i widząc, że Kupido ***** nie odważy się wystrzelić swej złotej strzały w bohatera mego kalibru, dałem mu zachęcający znak. Aby jego strzała mogła przeniknąć do szlachetnego serca lwa, zdjąłem nawet kolczugę, sporządzoną z obra-czek podarowanych mi przez boginie, cesarzowe, królowe, infantki, księżniczki i damy wsze-lkich nacji — me znakomite kochanki — kolczugę, której magiczny hart chroni mnie w mych najbardziej zuchwałych bohaterstwach.

— To znaczy — rzekł lokaj słuchający tej gromkiej tyrady z wyrazem największego skupienia — jeśli mój słaby rozum zdoła pojąć wymowę tak wspaniałą pod względem reto-ryki, tak dobraną w trafne powiedzenia i wschodnie metafory, to znaczy, że fantazję waszej najwaleczniejszej dostojności zraniła słabość do jakiegoś mieszczańskiego podlotka — czyli, iż jest pan zakochany jak zwyczajny śmiertelnik.

— Rzeczywiście — odrzekł Matamor z prostotą niedbałą i wyniosłą. Masz dobrego nosa i jak na lokaja nie brak ci inteligencji. Tak, mam tę ułomność, że jestem zakochany, ale nie obawiaj się, by osłabiło to moją odwagę. Dobrze to dla Samsona ***** dać się ostrzyc i dla Alcyda ***** — prząść kądziel. Dalila nie ośmieliłaby się dotknąć mych włosów. Omfala zdejmowałaby mi buty. Na najmniejszy znak buntu kazałbym jej oczyścić na stole skórę lwa nemejskiego. W czasie odpoczynku przyszła mi do głowy ta refleksja upokarzająca dla śmiałka: zwyciężyłem, to prawda, rodzaj ludzki, ale tylko w połowie. Kobiety właśnie dzięki swojej słabości wymykają się spod mej władzy. Nie byłoby właściwe obcinać im głów,

* Amorabakin — fantastyczne imię sułtana tureckiego.

** Jupiter — albo Jowisz, w mitologii greckiej Zeus, używał orła jako oznaki swej władzy nad innymi bogami i

ludźmi.

*** tytani — bogowie, którzy zbuntowali się przeciw Jowiszowi i zostali pokonani dzięki pomocy Herkulesa.

**** Atropos — najstarsza z trzech mitologicznych bogiń przeznaczenia, zwanych parkami albo mojrami; przecinała symboliczną nić życia, kiedy człowiek miał umrzeć.

***** Tezeusz i Herkules – mityczni bohaterowie greccy zaprzyjaźnieni z sobą; pierwszy wsławił się zabiciem Minotaura, potwora o głowie byka, drugi – dwunastoma słynnymi pracami..

***** Kupido (albo Kupidyn) — bożek miłości, przedstawiany jako mały, skrzydlaty chłopiec uzbrojony w łuk.

***** Samson — bohater biblijny, który dostał się do niewoli, gdy Dalila ostrzygła mu włosy, wiedząc, że z nimi związana jest w sposób magiczny jego siła

***** Alcyd — Herkules, tak nazwany jako wnuk Alceusza, przez trzy lata służył u królowej Omfali i przadł kądziel; jako pamiątkę po pierwszej ze swych dwunastu prac, która polegała na zabiciu lwa nemejskiego, nosił na sobie jego skórę.

nóg i ramion, przepoławiać aż do pasa, jak zazwyczaj czynię z moimi męskimi wrogami. To są brutalności wojenne, które dobre wychowanie odrzuca. Wystarczy mi klęska ich serca, kapitulacja ich duszy, spustoszenie ich cnoty. To prawda, że podbiłem ich więcej, niż jest ziarenek w morskim piasku i gwiazd na niebie, że wlokę za sobą cztery kufry pełne bilecików, listów i wezwań miłosnych, że śpię na materacu z loków czarnych, kasztanowych, blond i rudych, które mi ofiarowywały nawet najbardziej wstydlive. Nawet Junona poczyniła mi awanse, które odrzuciłem, gdyż jej nieśmiertelność była trochę za dojrzała, choć co roku odnawia ona swe dziewictwo w źródle Kanathos *. Ale uważam

wszystkie te triumfy za klęski i nie chcę korony laurowej, w której brak choćby jednego listka: czoło moje byłoby tym brakiem zbezczeszczone. Śliczna Izabela śmie mi się opierać i choć cenię wszelką śmiałość, nie ścierpię tej impertynencji; chcę, by ona sama przyniosła mi złote klucze od swego serca na srebrnej tacy, na kolanach, z rozpuszczonymi włosami, prosząc o łaskę i przebaczenie. Wezwij tę twierdzę do poddania! Daję jej trzy minuty do namysłu, podczas tego czekania klepsydra będzie drżała w rękach przerażonego czasu.

To powiedziawszy, przybrał pozę dziwacznie powyginaną, której jego nadmierna chudość dodawała jeszcze śmieszności.

Okno pozostało zamknięte mimo drwiących napomnień lokaja. Pewny solidności murów i nie lękając się natarcia, garnizon złożony z Izabeli i Zerbiny nie dawał znaku życia. Matamor, nie dziwiący się niczemu, był jednak zdumiony tym milczeniem.

— Sangre y fuego! ** Ziemia i niebo! Pioruny i kartacze! — zawołał jeżąc wąsy jak rozgniewany kot. — Te podwinki nie ruszają się szybciej od zdechłych kóz. Niech wywieszą flagę, niech otrąbią poddanie twierdzy, bo zwałę dom jednym prztyczkiem. Słuszne będzie, jeśli okrutnica zostanie pogrzebana pod ruinami. Jakże to, Scapinie, mój przyjacielu, czy możesz sobie wytłumaczyć tę zaciętą obronę hyrkanejską *** przed mymi wdziękami, które — jak dobrze wiadomo — nie mają równych ani na tym globie ziemskim, ani nawet na Olimpie zamieszkanym przez bogów?

— Ja to tłumaczę całkiem po prostu. Niejaki Leander — bez wątpienia brzydszy od pana, ale nie wszyscy przecież odznaczają się dobrym gustem — ma tutaj swoje wpływy; pańskie zalety atakują fortecę już zdobytą. Pan podbił ojca, a Leander córkę. To wszystko.

— Leander, powiedziałaś? Ach, nie powtarzaj tego imienia, wstrętnego i obrzydłego, bo inaczej uniosę się wściekłością, zerwę słońce z nieba, zgaszę księżyc i chwyciwszy ziemię za koniec jej osi, spowoduję kataklizm potopu jak za Noego albo Ogygesa ****. Zalecać się w moich oczach do Izabeli, pani mych myśli! Przeklęty fircyku, hultaju, szubieniczniku, zalo-tniku spod ciemnej gwiazdy, gdzie jesteś? Niech ci nos obetnę, niech ci powycinam krzyże na twarzy, niech cię przebiję na wylot, niech cię naszpikuję ciosami, niech cię poszatkuje, niech cię zmiażdżę, wypatroszę, skopię, rzucę na stos i rozsypię twe popioły. Gdybyś się zjawił podczas paroksyzmu mej wściekłości, grzmot moich nozdrzy wystarczyłby, aby cię wysłać poza granice wszechświata między żywioły elementarne; rzuciłby cię tak wysoko, że nigdy nie spadłbyś z powrotem. Chodzić moimi tropami! Sam truchleję na myśl, jakie nieszczęście i klęski sprowadzić może na ludzkość podobna odwaga. Nie umiałbym godnie ukarać takiego przestępstwa, nie strzaskawszy za jednym zamachem planety. Leander, rywal Matamora! Na Mahometa! Przerażone słowa cofają się i nie chcą wyrazić podobnej okropności. Nie można ich ze sobą złączyć. Wyją, kiedy się chce je wziąć za kołnierze, żeby je do siebie zbliżyć — bo wiedzą, że będą miały ze mną do czynienia, gdyby sobie pozwoliły na taką swobodę. Leander (przebacz mi, języku, że każę ci wymawiać to imię haniebne!) może się już w tej

* Kanathos — źródło, w którym Junona, najstarsza z bogiń, małżonka Jowisza, miała corocznie zażywać odmładzającej kąpieli.

** Sangre y fuego! (hiszp) — Na krew i ogień!

*** Hyrkania — kraina w Persji, położona nad Morzem Kaspijskim, słynęła z drapieżnych tygrysów.

**** Ogyges — za czasów bajecznego króla tego imienia

miał nawiedzić Grecję potop.

chwili uważać za nieboszczyka i sam zamówić swój pomnik u kamieniarza, jeżeli oczywiście zechcą mu wspaniałomyślnie udzielić honorów pogrzebu.

— Na krew Diany! — zawołał lokaj. — Okazja niczym na zamówienie! Oto pan Lean-der maszeruje właśnie przez plac. Teraz mu pan wszystko wygarnie jak się patrzy, a spotkanie takich dwóch bohaterów będzie wspaniałym widowiskiem, bo nie ukrywam panu, że ten szla-chcic u tutejszych rębajłów i fechtmistrzów ma sławę niezłego gladiatora. Niech pan wyjmuje miecz z pochwy, ja będę na straży, gdy się weźmiecie za łby, żeby wam nie przeszkodzili strażnicy.

— Błyskawice naszych mieczów zmuszą ich do ucieczki i nie ośmielą się, łajdaki, wkroczyć w krąg krwi i płomieni. Zostań przy mnie, mój dobry Scapinie: gdybym przypadkiem był ranny jakimś cięciem, przyjmiesz mnie w swe ramiona — odpowiedział Matamor, który bardzo lubił, gdy mu przeszkadzano w pojedynku.

— Niech pan odważnie stanie przed nim — rzekł służący popychając swego pana — i zagrozi mu drogę.

Widząc, iż nie można się wycofać, Matamor wcisnął kapelusz na oczy, podkręcił wąsa, położył rękę na rękojeści swego ogromnego rapiera i, posunąwszy się ku Leandrowi, zmierzył go spojrzeniem od stóp do głów, najbardziej arogancko, jak tylko potrafił; była to jednak czy-sta fanfaronada, gdyż głośno rozlegało się szczęknięcie jego zębów, a szczupłe nogi drżały mu jak trzciny na wietrze. Pozostała Matamorowi jedna nadzieja: onieśmielić Leandra głosem, pogroźkami i pewnością siebie, jako że pod lwią skórą często kryją się zające.

— Panie, czy wiadomo ci, że jestem kapitanem Matamorosem, należącym do sławnego domu Cuerno de Cornazan i spokrewnionym z nie mniej znakomitą rodziną

Escobombardon de la Papirotonda? Po kądzieli pochodzę od Anteusza *.

— Ach, niech pan sobie pochodzi albo postoi, jak pan woli — odpowiedział Leander z pogardliwym wzruszeniem ramion. — Cóż mi po tych banialukach?

— Do kroćset piorunów, mój panie, zaraz się o tym przekonasz. Ale jest jeszcze czas — wynoś się, a oszczędzę cię. Wzrusza mnie twoja młodość. Proszę mi się dobrze przyjrzeć. Jestem postrachem wszechświata, przyjacielem Kostuchy, opatrnością grabarzy; któredy tylko przejdę, wyrastają krzyże. Mój cień ledwo ośmiela się iść za mną, w tak niebezpieczne wiodę go miejsce. Wchodzę wyłomem, wychodzę pod łukiem triumfalnym, posuwam się, by zrobić wypad; cofam się tylko dla nabrania rozmachu, ilekroć wymierzę cios, przeciwnik roz-ciąga się na ziemi, jeśli przekraczam strumień, jest to strumień krwi, a łuki mostu na nim to żebra mych wrogów. Wybucham śmiechem rozkoszy w samym ogniu walki, mordując, sie-kąc, masakrując, rozdając cięcia i pchnięcia, przebijając na wskroś. Konie razem z jeźdźcami wyrzucam w powietrze, jak źdźbła słomy łamię kości słonia. W szturmie przesadam mury pomagając sobie dwoma stemplami i wkładam rękę w lufy armatnie, aby z nich wyciągnąć kule. Sam podmuch idący od mego miecza przewraca bataliony jak cep snopy na klepisku. Gdy Mars spotka mnie na polu bitwy, ucieka w obawie, że go zatłukę, chociaż jest bogiem wojny; i wreszcie moja odwaga jest tak wielka, a strach, który budzę, tak przejmujący, że do tej pory mogłem — ja, aptekarz śmierci — widzieć mych odważnych przeciwników jedynie od tyłu.

— No, to teraz zobaczy pan jednego od przodu — rzekł Leander wymierzając Matamo-rowi potężny policzek, którego groteskowe echo rozbrzmiało na całą salę. Biedak okręcił się wkoło i omal nie upadł; następny policzek, nie mniej potężny,

ale wymierzony z drugiej stro-ny, wyprostował go.

W czasie tej sceny Izabela i Zerbina wróciły na balkon. Złośliwa subretka pękała ze śmiechu, a jej pani życzliwie skinęła głową Leandrowi. Z głębi placu wynurzył się Pandolf w towarzystwie notariusza i, rozcapierzywszy palce, patrzył wytrzeszczonymi ze zdumienia

* Anteusz — mityczny siłacz, który był nie do pokonania, kiedy dotykał ziemi; oderwany od niej, stawał się bezbronny. oczami, jak Leander bije Matamora.

— Na łuski krokodyli i rogi nosorożców! — krzyknął fanfaron. — Otworzył się twój grób, opryszku, tchórze, łachmaniarzu! Wrzucę cię do niego. Lepiej by ci było w indyjskiej puszczy pociągnąć tygrysa za wąsy albo węża za ogon. Drażnić Matamora! Nawet Pluton * ze swymi widłami nie odważyłby się na to — wydarłbym mu piekło i zabrał sobie Prozerpinę. Naprzód, naprzód, zabójcze narzędzie moje, pokaż się, zalśnij w słońcu i niech twój blask skryje się w brzuchu tego śmiałka, jak w pochwie! Łaknę jego krwi, jego szpiku, jego bebe-chów, wyrwę mu duszę z gardzieli!

Mówiąc to, Matamor okazywał wielkie podniecenie, przewracał oczami, mlaskał językiem i zdawał się czynić niezmiernie wysiłki, aby wyciągnąć oporną klingę z pochwy. Spociał się od tego szamotania, lecz ostrożne narzędzie mordu nie chciało tego dnia opuścić swego schroniska, zapewne dlatego, żeby na wilgotnym powietrzu nie zmatowiała jego połyskliwa stal.

Znudzony tymi grymasami, zalotnik jednym kopnięciem rzucił fanfaron na drugi ko-niec sceny i odszedł pozdrowiwszy Izabelę z nieopisanym wdziękiem.

Matamor, który upadł na plecy, ruszał swymi wątlými członkami jak przewrócona do góry nogami szarańcza. Gdy przy pomocy służącego i Pandolfa wstał i upewnił się, że

Lean-der na pewno poszedł sobie, zawołał głosem zdyszczanym i jakby przerywanym wściekłością:

— Zmiłuj się, Scapinie, skrępuj mnie żelaznymi więzami! Pękam z wściekłości, wybuchnę jak bomba, a ty, perfidne ostrze, które w ostatniej chwili zdradzasz swego pana, tak odwdzięczasz mi się za to, że cię zawsze poilem krwią najdumniejszych wodzów i najbardziej odważnych zapaśników? Nie wiem, co mnie wstrzymuje, żeby cię złamać na kolanie na tysiąc kawałków, skoroś takie tchórzliwe, wiarołomne i zdradzieckie. A może dajesz mi do zrozumienia, że prawdziwy wojownik nie powinien opuszczać pola walki i zapominać się w Kapuach ** miłości? Rzeczywiście, w tym tygodniu nie rozbiłem żadnej armii, nie walczyłem z żadnym smokiem, nie dostarczyłem śmierci jej porcji trupów; rdza pokryła mój miecz, rdza hańby, owoc bezczynności. Na oczach mej damy ten żółtodziób wyszydza mnie, znieważa i prowokuje. O głęboka lekcjo, filozoficzna nauko, przypowieści moralna! Od tej chwili będę zabijał przed śniadaniem dwóch lub trzech ludzi, aby być pewnym, że mój rapier nie zacina się. Przypominaj mi o tym.

— A może Leander jeszcze wróci? — odparł Scapin. — Gdybyśmy tak wszyscy razem spróbowali wyciągnąć z pochwy to olbrzymie żelazo?

Matamor oparł się o kamień, Scapin zaczął ciągnąć brzeszczot, Pandolf lokaja, a notariusz Pandolfa; po kilku szarpnięciach rapier ustąpił wysiłkom trzech pokracznych figur, które potoczyły się w jedną stronę, przebierając rękami i nogami w powietrzu, podczas gdy fanfa-ron zwałił się w przeciwnym kierunku i, wymachując nogami, trzymał w obu rękach pustą pochwę miecza.

Podniesiony natychmiast, ujął swój rapier i rzekł z emfazą:

— Teraz już po Leandrze. Aby uniknąć śmierci, musiałby

emigrować na jakąś daleką planetę. Gdyby nawet zagrzebał się w środku ziemi, sprowadziłbym go z powrotem na powierzchnię, żeby zginął przeszyty mieczem, jeśli moje przerażające jak u Meduzy *** spoj-rzenie nie zamieni go w kamień.

Mimo tej porażki uparty starzec Pandolf nie powziął najmniejszych wątpliwości co do bohaterstwa Matamora i obstawał przy swoim dzikim pomysle, żeby dać córce za męża tego wspaniałego rycerza. Izabela zaczęła płakać i powtarzać, iż woli klasztor od takiego małżeń-

* Pluton — bóg podziemnej krainy, gdzie przebywały dusze zmarłych; miał za żonę Prozerpinę.

** Kapua — miejscowość na Półwyspie Apenińskim, niedaleko Neapolu, w starożytności słynąca ze swego zbytku.

*** Meduza — mitologiczny potwór w postaci skrzydlatej kobiety z węzami zamiast włosów. Na jej widok ludzie obracali się w kamień.

stwa; Zerbina z całym oddaniem broniła pięknego Leandra i przysięgała na swą cnotę — o piękna przysięgo! — że to małżeństwo nie dojdzie do skutku. Matamor, widząc tak lodowate przyjęcie, przypisywał je nadmiernej wstydlivosti, ponieważ namiętność u osób dobrze wychowanych nie lubi się zdradzać. Zresztą jeszcze nie rozpoczął zalotów i nie ukazał się w całej świetności, naśladowując pod tym względem dyskrecję Jowisza wobec Semeli, która, chcąc poznać swego boskiego kochanka, w blasku jego potęgi spłonęła i zamieniła się w kupkę popiołu.

Nie słuchając go dalej, obie kobiety wróciły do mieszkania. Matamor, uważając się za wielkiego galanta, posłał służącego po gitarę, oparł stopę o próg bramy i zaczął łaskotać instrument. Następnie zamiauczał zwrotkę andaluzyjskiej piosenki, modulując głos tak dziwacznie,

charcząc niesamowicie i wydobywając tak niesłychane tony falsetowe, że można by to nazwać serenadą Raminagrobisa * pod rynną białej kocicy.

Dzbanek wody, wylany przez Zerbinę, udającą złośliwie, że podlewa kwiaty, nie uspo-koił jego muzycznej furii.

— Oto łzy wzruszenia z pięknych oczu Izabeli — rzekł Matamor. — Bohater łączy się w mej osobie z wirtuozem; władam lirą tak samo jak mieczem.

Na szczęście Leander, który znajdował się niedaleko, powrócił zaniepokojony hałaśliwą serenadą. Nie chcąc pozwolić, aby taki dureń grał pod balkonem jego damy, wyrwał gitarę zdębiałemu z przerażenia Matamorowi, po czym tak mocno uderzył go nią po czaszce, że instrument pękł i fanfaron uwiązał w nim szyją jak w chińskiej kandze **, z głową sterczącą na wierzchu. Leander, nie wypuszczając gitary z ręki, zaczął gwałtownie szarpać Matamora w lewo i w prawo, pchając go na kulisy, co dawało efekty teatralne równie śmieszne, jak zajmu-jące. Zabawiwszy się do woli, puścił go nagle i Matamor upadł na brzuch. Wyobraźcie sobie, jak wyglądał w tej pozycji nieszczęśnik z głową przybraną jakby w patelnię.

Jego nieszczęścia nie ograniczały się do tego. Służący Leandra z właściwą sobie pomy-słowością zorganizował podstęp mający przeszkodzić małżeństwu Matamora i Izabeli. Za jego sprawą niejaka Doralicja, kokietka bardzo zalotna, zjawiała się w towarzystwie brata-zawadiaki: grał go Tyran, uzbrojony w najdziksza minę i dźwigający pod pachą dwa długie rapiery, które tworzyły krzyż świętego Andrzeja ***, sprawiający nader groźne wrażenie. Przybyłe dziewczę żaliło się, iż zostało skompromitowane przez imć Matamora i opuszczone dla Izabeli, córki Pandolfa, co stanowi obrazę i wymaga krwawego zadośćuczynienia.

— Niech pan szybko załatwi się z tym zbójem — rzekł

Pandolf do przyszłego zięcia. — To będzie igraszka dla pańskiej nieporównanej odwagi, której nie przeraziłby cały hufiec Saracenów.

Bardzo niechętnie, wykonawszy całą serię zabawnych grymasów, Matamor stanął w po-zycji bojowej, ale drżał jak osika. Krewki brat Doralicji wytrącił mu broń z ręki w pierwszym skrzyżowaniu i tak długo okładał go płazem, aż Matamor musiał poprosić o łaskę.

Aby dopełnić komizmu sytuacji, zjawiała się jejmość Leonarda przebrana za hiszpańską duenę; wycierała swe okrągłe jak u sowy oczy rąbkiem wielkiej chustki, wydobywała z piersi westchnienia, które mogłyby skruszyć skałę, i podsuwała pod nos Pandolfowi przyrzeczenie małżeństwa ze sfalszowanym podpisem Matamora. Nowa burza ciosów spadła na nieszczę-snego, któremu dowiedziono tak skomplikowanej perfidii. Jednomyślnie został skazany na zaślubienie Leonardy jako karę za swe przechwałki, fanfaronady i tchórzostwo. Pandolf, znie-chęcony do Matamora, nie sprzeciwił się już oddaniu swej córki doskonałemu szlachcicowi, jakim był Leander.

Ta bufonada, ożywiona grą aktorów, zdobyła żywe oklaski. Mężczyźni zachwycali się

* Raminagrobis — w kilku bajkach La Fontaine'a takie imię noszą stare koty.

** kanga — narzędzie tortur, gruba trójkątna deska z trzema otworami, w które wkładano głowę i ręce skazańca.

*** krzyż św. Andrzeja — krzyż w kształcie litery x. urokiem subretki, kobiety oddawały sprawiedliwość dystyngowanemu wdziękowi Izabeli. Matamor zaś zjednoczył wszystkie głosy trudno było mieć lepsze warunki fizyczne do tej roli, bardziej groteskową emfazę, gesty bardziej dziwaczne i nieprzewidziane. Leander zdobył podziw pięknych dam,

choć kawalerowie osądzili, iż był nieco zbyt fircykowaty. Było to wrażenie, jakie zwykle wywoływał, i prawdę mówiąc, nie pragnął innego, ponieważ przejmował się bardziej swoją osobą niż swym talentem. Uroda Serafiny także znalazła adoratorów i niejeden młody szlachcic, ryzykując nawet, że się narazi pięknej sąsiadce, przysięgał na swe wasy, że to dziewczyna godna podziwu.

Siedzącemu za kulisami Sigognacowi gra Izabeli sprawiała wielką przyjemność, choć czasem budziło w nim zazdrość tkliwe brzmienie jej głosu, gdy odpowiadała Leandrowi, nie był bowiem jeszcze przyzwyczajony do udanych czułości teatralnych, które często ukrywają głęboką niechęć i prawdziwą nienawiść. Toteż kiedy po skończeniu sztuki prawił komplementy młodej aktorce, czynił to z przymusem, który ona spostrzegła i bez trudu odgadła jego przyczynę.

— Świetnie pani gra kobiety zakochanej, Izabelo. Można by się pomylić.

— Czyż to nie mój zawód? — odpowiedziała młoda panna uśmiechając się. — Czyż nie do tego zaangażował mnie dyrektor zespołu?

— Niewątpliwie — rzekł Sigognac — ale wyglądała pani na tak prawdziwie zakochaną w tym fircyku, który potrafi tylko szczerzyć zęby jak podrażniony pies, mizdrzyć się i wystawiać na pokaz swe piękne nogi!

— Tego żądała rola. Może miałam sterczeć jak pień, z miną nadętą i cierpką? Czyż zresztą nie zachowałam skromności dobrze urodzonej panny? Jeżeli pod tym względem nie byłam w porządku, niech mi pan powie. Poprawię się.

— Och, nie. Wyglądała pani na wstydliwą panienkę, której dokładnie wpojono dobre maniery, i nie można nic zarzucić pani grze tak trafnej, prawdziwej i pełnej godności, że naśladowuje do złudzenia rzeczywistość.

— Panie baronie, światła gasną. Wszyscy już poszli i zaraz znajdziemy się w ciemno-ściach. Niech mi pan narzuci płaszcz na ramiona i łaskawie zaprowadzi do mego pokoju.

Mimo drżenia rąk Sigognac wywiązał się dość zrećźnie z tej nowej dlań funkcji adora-tora i razem wyszli z sali, gdzie już nie było nikogo.

Oranżeria była położona w pewnej odległości od zamku, nieco na lewo od niego, wśród dużej kępy drzew. Fasada zamku z tej strony prezentowała się równie wspaniale jak frontowa. Ponieważ poziom parku był niższy od poziomu parteru, miała ona jako podstawę taras otoczony balustradą o brzuchatych kolumnkach.

Godzina była mniej więcej dziewiąta. Księżyc wzeszedł. Lekka mgła, podobna do sre-brnej gazy, zacierała kontury przedmiotów, ale pozwalała je rozpoznać. W doskonale widocznym zamku niektóre okna świeciły czerwonym blaskiem, gdy tymczasem w innych szyby, odbijając światło księżyca, błyskały jak rybie łuski.

Izabela i Sigognac weszli na schody i, oczarowani pięknnością nocy, spacerowali po tarasie przed udaniem się do swych pokojów. Ponieważ miejsce było widoczne, na oczach mieszkańców zamku, młoda aktorka nie lękała się tej nocnej przechadzki. Uspokajała ją zresztą nieśmiałość barona, a choć grała rolę naiwnych, wiedziała już dość o sprawach miłosnych, by uświadomić sobie, że głębokiemu uczuciu zawsze towarzyszy szacunek. Baron nie oświadczył się wyraźnie, ale czuła, że ją kocha, i nie lękała się z jego strony niczego, co by mogło być niebezpieczne dla jej cnoty.

Sigognac odprowadził Izabelę do jej pokoju i kiedy miał już wejść do swojego, spostrzegł w głębi korytarza jakąś tajemniczą postać, ubraną w szary płaszcz, którego poła zarzucona na ramię kryła twarz aż po oczy; głęboko nasunięty kapelusz zasłaniał czoło i nie pozwalał odróżnić rysów, jak

gdyby były zakryte maską. Widząc Izabelę i barona, nieznajomy skrył się, jak mógł, pod murem. Nie był to żaden z aktorów, którzy już odeszli do swych pokojów. Tyran był wyższy, Pedant grubszy, Leander szczuplejszy; nie miał ani wyglądu Scapi-na, ani Matamora, którego można by było zresztą poznać po niesłychanej chudości, niemo-żliwej do ukrycia pod jakimkolwiek płaszczem.

Nie chcąc uchodzić za ciekawego i przeszkadzać nieznajomemu, Sigognac spiesznie przekroczył próg swego pokoju; zauważył jednak, iż drzwi pokoju zajmowanego przez Zerbi-nę były dyskretnie uchylone, jakby w oczekiwaniu gościa, który nie chciał być zauważony.

Gdy się zamknął u siebie, lekkie skrzypnięcie trzewików i stłumiony zgrzyt zasuwki po-ruszanej ostrożną ręką dały mu znać, że wędrowiec, tak starannie okryty szerokim płaszczem, dotarł szczęśliwie do portu.

Mniej więcej w godzinę później Leander otworzył cichutko swe drzwi; sprawdził, czy korytarz jest pusty, i stąpając ostrożnie, jak Cyganka wykonująca taniec z jajami, wydostał się na klatkę schodową i zszedł na dół, lżejszy i cichszy niż duchy błędzące po zamkach, w któ-rych straszy. Trzymając się muru i korzystając z jego cienia, skierował się w stronę parku, ku gaikowi czy altanie, której środek zajmował posąg przedstawiający dyskretnego amorka z palcem w ustach. W tym miejscu, zapewne przez kogoś wyznaczonym, przystanął i zdawał się czekać.

Trzeba tu wyjaśnić, że Leander, tłumacząc sobie w sposób nadzwyczaj pochlebny ru-mieniec markizy, ośmielił się napisać do niej list, który pokojówka pani de Bruyeres, Joasia, zachęcona kilkoma pistolami, miała położyć na jej toalecie. Na nieszczęście list nie trafił pod właściwy adres. Leander, mając głowę nabitą wielkimi damami, nie zwracał uwagi na subre-tki i wcale nie był dla nich miły. Gdyby poparł pistole

paroma całusami i żarcikami, byłby zadowolili próżność pokojówki, która w niczym nie ustępuje próżności królowej, i Joasia z większą gorliwością i oddaniem wypełniłaby jego polecenie.

W tym jednak wypadku szła z listem, trzymając go niedbale w ręce, toteż markiz, spo-tkawszy ją, zapytał mimochodem, gdyż z natury nie był ciekawy, co to za papier.

— Ach, to nic wielkiego — odrzekła Joasia. — Pan Leander napisał parę słów do pani markizy.

— Leander, ten amant z trupy aktorskiej, który gra zalotnika w „Fanfaronadach kapita-na Matamora”? Z pewnością prosi o jakąś zapomogę.

— Nie sądzę — odparła mściwie panna służąca. — Oddając mi ten świstek, wzdychał czule i wywracał oczami jak omdlewający kochanek.

— Daj no ten list — powiedział markiz. — Ja na niego odpowiem. I nie wspominaj o niczym pani. Ci wędrowni kuglarze bywają czasem bezczelni i zepsuci pobłażliwością, jaką się im okazuje, nie umieją zachować odpowiedniego dystansu.

Istotnie, markiz, który lubił sobie pozartować, odpisał Leandrowi w takim samym stylu, w jakim był utrzymany list do pani de Bruyeres, wielkopańskim charakterem pisma, na papie-rze woniejącym piżmem, w kopercie zapieczetowanej pachnącym hiszpańskim lakiem; odcie-śnięty był na nim fantastyczny herb, który miał jeszcze podniecić miłosne złudzenia nie-szczęśnika.

Łatwo się domyślić, jaka szalona radość zalała serce Leandra, gdy przeczytał ten bile-cik. Udał się do parku na wyznaczone miejsce spotkania, gdzie zostawiliśmy go w wyczeku-jącej pozie, aby to wszystko opowiedzieć.

Niepokój oczekiwania i chłód nocy przyprawiły go o nerwowe dreszcze. Podskakiwał na odgłos spadającego liścia,

łowił najmniejsze szmery uchem wyćwiczonym w chwytaniu wypowiedzi suflera. Zdawało mu się, iż piasek skrzypiący pod nogami wywołuje potężny hałas, który można usłyszeć z zamku. Mimo woli ogarniał go nastrój religijnej grozy, udzielają-cy się człowiekowi w lesie, i wielkie, czarne drzewa niepokoiły jego wyobraźnię. Właściwie nie bał się, tylko jego myśli przybierały obrót dość ponury: markiza spóźniała się już trochę, Diana zbyt długo zostawiała Endymiona * stojącego w rosie.

* Endymion — urodziwy pasterz, w którym zakochała się Diana, bogini łowów.

W pewnym momencie zdawało mu się, że słyszy szelest zeschniętych gałęzi pod ciężkimi krokami. Nie mogła to być jego bogini — boginie ślizgają się po promieniach świetlnych i dotykają ziemi, nie muskając nawet trawy.

„Jeżeli markiza nie przyspieszy swego przybycia, znajdzie tylko zziębniętego wielbi-ciała zamiast ognistego galanta — myślał Leander. — Takie czekanie, które sprowadza katar, szkodzi miłosnym zapałom”.

Gdy tak rozmyślał, cztery masywne cienie, wynurzywszy się spomiędzy drzew i spoza cokołu posągu, zbliżyły się miarowym krokiem. Dwa z tych czterech cieni, które były ciałami potężnych drabów, lokajów w służbie markiza de Bruyeres, chwyciły ramiona aktora i przy-trzymały jak jeńcowi, którego się chce skępować; dwa pozostałe zaczęły go bić rytmicznie. Uderzenia rozbrzmiewały na jego plecach jak młoty na kowadle. Nie chcąc krzykami ściągać ludzi i rozgłosić swej przykrej przygody, chłostany biedak znosił bohatersko ból. Mucjusz Scewola *, trzymając rękę w ogniu, nie okazał więcej opanowania niż Leander pod kijami.

Skończywszy chłostę czterej oprawcy puścili swą ofiarę, złożyli jej głęboki ukłon i oddalili się, nie powiedziawszy ani

słowa.

Jakiż haniebny upadek! Ikar spadający z nieba nie zaznał głębszego.

Potłuczony, złamany, zbity, Leander wrócił na zamek kulejąc, garbiąc się i rozcierając sobie boki; lecz próżność jego była tak wielka, że myśl, iż zastawiono nań pułapkę, nie przy-szła mu do głowy. Jego miłość własna uważała za odpowiedniejsze dać tej przygodzie obrót tragiczny. Mówił sobie, że zapewne markiza, szpiegowana przez zazdrosnego męża, została porwana przed przybyciem na schadzkę i, pod grozą sztyletu opartego na gardle, zmuszona była przyznać się do wszystkiego. Widział w wyobraźni, jak klęcząc z rozwianym włosom błaga o łaskę markiza szalejącego z gniewu, płacze niczym fontanna i przyrzeka, że w przy-szłości będzie się lepiej opierać niespodziewanym porywom serca.

Mimo że był sam poturbowany, miał siłę współczuć markizie, iż z jego powodu naraziła się na takie niebezpieczeństwo; nie przypuszczał, że nie znała całej tej historii i w tej chwili spoczywała beztrosko na pościeli powleczonej holenderskim płótnem, uperfumowanej ekstraktem z drzewa sandałowego i cynamonu.

Idąc korytarzem, Leander musiał przeżyć jeszcze i tę przykrość, że ujrzał Scapina, który wyglądał spoza odemkniętych drzwi i uśmiechał się szyderczo. Rozprostował się, jak mógł, ale nie zwiodło to wstrętnego złośliwca.

Nazajutrz trupa przygotowywała się do odjazdu. Opuszczono, jako zbyt powolny, wóz zaprzężony w woły. Tyran, hojnie wynagrodzony przez markiza, wynajął dla swych towarzy-szy i bagażu wielki wóz z czterema końmi.

Ruszyli wreszcie, opuszczając gościnny zamek Bruyeres, którego żalowali wszyscy z wyjątkiem Leandra.

Tyran myślał o otrzymanych pistoletach. Pedant o

znakomitych winach, którymi hojnie się uraczył. Matamor o oklaskach, jakimi go obdarzono; Zerbina o sztukach jedwabiu, złotych naszyjnikach i innych wspaniałościach; Sigognac i Izabela żyli tylko swą miłością i zadowoleni, że są razem, nie odwrócili nawet głowy, aby raz jeszcze zobaczyć na horyzoncie niebie-skie dachy i różowe mury zamku.

* Mucjusz Scewola — legendarny bohater rzymski. Kiedy nie udało mu się zabić oblegającego Rzym króla Etrusków, włożył w jego obecności prawą rękę do ognia, aby się ukarać za chybiony zamach i jedno-cześnie pokazać wrogowi, jak odważni są Rzymianie.

ROZDZIAŁ VI

SCENA W ŚNIEGU

Jak łatwo można się domyślić, aktorzy byli zadowoleni z pobytu na zamku Bruyeres. Takie gratki nieczęsto się trafiały w ich wędrownym życiu. Tyran rozdzielił zarobki i każdy z rozkoszą dotykał kilku pistoli w głębi kieszeni przyzwyczajonych do służenia diabłu za obierzę. Zerbina, promieniejąc tłumioną i tajemniczą radością, przyjmowała pobłażliwie żarciki kolegów na temat siły swych wdzięków. Triumfowała, co przyprawiało Serafinę o wściekłość. Tylko Leander, jeszcze czujący w kościach nocną chłostę, zdawał się nie podzielać ogólnej wesołości, choć silił się na uśmiech; ale

był to uśmiech kwaśny i nieszczerzy. Poruszał się z trudem i podskoki wozu wyrywały mu niekiedy znamienne grymasy. Gdy sądził, że nikt go nie widzi, rozcierał sobie dłonią ramiona i ręce; te ukryte manewry mogły ujść uwagi in-nych aktorów, lecz nie wymknęły się złośliwej spostrzegawczości Scapina, ciągle czatującego na niepowodzenia Leandra, którego pyszałkowatość była dla niego nieznośna.

Uderzenie koła o dość duży kamień, którego woźnica nie dostrzegł, zmusiło zalotnika do okrzyku wyrażającego lęk i ból, na co Scapin rozpoczął rozmowę, udając, że go żałuje.

— Mój dobry Leandrze, dlaczego tak jęczysz i lamentujesz? Wyglądasz, jakbyś był zbity niczym Rycerz Ponurego Oblicza, gdy szalał nagi w górach Sierra Morena, uprawiając pokutę miłosną na wzór Amadisa *. Można by pomyśleć, że twoje łoże było zrobione ze skrzyżowanych kijów, a nie z mięciutkich materaców z kołdrami, poduszkami i jaškami; że łóżko to bardziej się nadawało do łamania członków niż do odpoczynku, taką kiepską masz minę, niezdrową cerę i podkrążone oczy. Z tego wszystkiego wynika, że Morfeusz ** nie odwiedził cię tej nocy.

— Morfeusz mógł zostać w swej jaskini, lecz mały bóg Kupidyn jest włóczęgą, które-mu nie potrzeba latarni, aby znaleźć drzwi w korytarzu — odrzekł Leander w nadziei, iż odwróci podejrzenia swego nieprzyjaciela Scapina.

— Jestem tylko służącym w komedii i nie znam się na romansach. Nigdy nie kochałem pięknych dam, lecz wiem dość dużo, by pamiętać, że bóg Kupidyn, według poetów i powie-ściopisarzy, używa na tych, których chce dosięgnąć, strzał, a nie drzewca swego łuku.

— Co chcesz powiedzieć? — spieszenie przerwał mu Leander zaniepokojony obrotem rozmowy, jej subtelnościami i mitologicznymi aluzjami.

— Nic poza tym, że choć próbujesz to ukryć swą

chusteczką, masz na szyi, nieco ponad obojczykiem, czarną smugę, która będzie jutro niebieska, pojutrze zielona, a potem żółta, aż się roztopi w kolory naturalne; smugę, która diabelnie przypomina autentyczną parafę *** uderzenia kijem na skórze cielejącej czy welinowej ****, jeśli wolisz ten wyraz.

— To widocznie — odpowiedział Leander, który z bladego stał się czerwony aż po uszy — jakaś umarła piękność, zakochana we mnie za życia, pocałowała mnie we śnie. Pocałunki zmarłych, jak powszechnie wiadomo, znaczą na ciele ślady, którym się dziwimy po obudzeniu.

* ...niczym Rycerz Ponurego Oblicza, gdy szalał nagi w górach Sierra Morena, uprawiając pokutę miłosną na wzór Amadisa — w jednym z rozdziałów „Don Kichota” Cervantesa bohater tej sławnej powieści (używający przydomka Rycerz Ponurego Oblicza) naśladuje sentymentalne dziwactwa zakochanego rycerza Amadisa, który jest główną postacią wspomnianej już poprzednio powieści „Amadis z Galii”.

** Morfeusz — w wierzeniach starożytnych Greków bóg snu.

*** parafa — skrócony podpis, znak zastępujący podpis.

**** welin — jeden z najlepszych gatunków papieru; pierwotnie nazwa ta oznaczała pergamin sporządzony z cielejącej skóry.

— Ta piękność zmarła i upiorna zjawia się w samą porę — odrzekł Scapin — ale ja bym przysiągł, że ten gwałtowny pocałunek został złożony drewnianymi ustami.

— Marny dowcipnisiu — rzekł Leander — przypierasz do muru moją skromność. Przez wstydlivość umieszczam na koncie zmarłych to, co słusznie należałoby się żyjącym. Jakko-lwiek silisz się, aby wyglądać na niewykształconego prostaka, słyszałeś na pewno o tych pię-knych znakach,

plamach, zadraśnięciach, śladach zębów, pamiątkach szalonych harców, które mają zwyczaj odprawiać kochankowie?

— Memorem dente notam * — przerwał Pedant zadowolony, iż może zacytować Horacego.

— To wyjaśnienie wydaje mi się rozsądne — odpowiedział Scapin — i poparte właściwymi autorytetami. Jednakże znak jest tak długi, że owa piękność nocna, umarła czy żywa, musiałaby posiadać w ustach ów jedyny ząb, który sobie nawzajem wypożyczały forkiady **.

Leander, ogarnięty wściekłością, chciał się rzucić na Scapina z pięściami. Ale skutki chłosty były jeszcze tak żywe w jego obolałych bokach i na plecach poznaczonych pręgami jak skóra zebry, że usiadł z powrotem odkładając zemstę do lepszych czasów. Tyran i Pedant, przyzwyczajeni do tych sporów, którymi się bawili, pogodzili ich. Scapin przyrzekł, że nie będzie już więcej robił przytyków do tych spraw.

— Usunę z mojego słownika „bicie” w każdej postaci — zapewnił. — Już nigdy nie będę mówił o biciu śmietany, biciu w dzwony, rozbiciu namiotu, a nawet o odbiciu w lustrze.

Podczas tej interesującej sprzeczki wóz stale posuwał się naprzód; niebawem dojechał do rozdroża. Na porośniętym trawą wzgórzu prosty drewniany krzyż, popękany pod działaniem słońca i deszczu, dźwigający Chrystusa, któremu jedno ramię oderwało się od ciała i smutnie zwisało na zardzewiałym gwoździu, oznaczał miejsce, w którym rozchodziły się cztery drogi.

Grupa złożona z dwóch ludzi i czterech mułów zatrzymała się na skrzyżowaniu, jakby czekając na kogoś, kto miał przejeżdżać. Jeden z mułów, widocznie zniecierpliwiony czekaniem, potrząsnął łbem ozdobionym pomponami, frędzlami najrozmaitszych kolorów i dzwonkami, które zabrzmiały srebrzyście. Choć haftowane zasłony na oczach

przeszkadzały mu rzucać spojrzenia na prawo i na lewo, wyczuwał zbliżanie się wozu; ruchy jego długich uszu dowodziły niespokojnej ciekawości, a rozchylone wargi odkrywały zęby.

— Mulica strzyże uszami i pokazuje dziąsła — rzekł jeden z ludzi. — Wóz nie powi-nien być daleko.

Istotnie, wóz z aktorami dotarł do skrzyżowania. Zerbina, siedząca na przodzie, rzuciła szybkie spojrzenie na grupę zwierząt i ludzi, których obecność w tym miejscu nie zdawała się jej dziwić.

— Na Boga, oto wytworny ekwipaż! — rzekł Tyran. — I piękne są te hiszpańskie muły, mogące zrobić piętnaście do dwudziestu mil na dzień. Gdybyśmy nimi jeździli, prędko dotarlibyśmy do Paryża. Ale na kogo one tu czekają? To pewno zaprzęg rozstawnny jakiegoś ma-gnata.

— Nie — odparła duena — muł jest przybrany w poduszki i kołdry jak dla kobiety.

— W takim razie — rzekł Tyran — przygotowuje się tu porwanie, gdyż ci dwaj masz-talerze w szarej liberii wyglądają bardzo tajemniczo.

— Możliwe — odpowiedziała Zerbina z uśmiechem, który można było rozmaicie rozu-mieć.

— Czyżby dama była wśród nas? — zapytał Scapin. — Jeden z dwóch masz-talerzy kieruje się ku wozowi, jakby chciał spróbować pertraktacji, zanim użyje przemocy.

— Och, nie będzie ona potrzebna — dodała Serafina rzucając na subretkę pogardliwe spojrzenie, które tamta wytrzymała ze spokojnym bezwstydem. — Nie brak istot dobrej woli,

* Memorem dente notam — Pozostawił trwałe ślad zębów; cytata z ody Horacego „Zazdrość”.

** forkiady (albo starki) — mitologiczne córki Forkisa.

posiadające razem tylko jeden ząb i jedno oko.
które same skaczą w ramiona porywających.

— Nie każdy jest porywany, kto tego pragnie —
zareplikowała subretka. — Nie wystarczy chcieć, trzeba mieć
do tego warunki!

W tym punkcie rozmowy masztalerz, dając woźnicy znak,
aby się zatrzymał, zapytał z czapką w rękę, czy panna Zerbina
jest na wozie. Zerbina, żywa i zwinna jak jaszczurka, wy-
chyliła spod płóciennej budy swą małą, czarną główkę i sama
odpowiedziała na pytanie, po czym zeskoczyła na ziemię.

— Jestem na pani rozkazy — rzekł masztalerz tonem
wytwornym i pełnym uszanowania.

Subretka zaszleściła spódnicami, przesunęła palcem po
wycięciu stanika, jakby chciała dać swobodniej odetchnąć
piersi, i zwracając się do aktorów, wygłosiła następujące
przemówienie:

— Kochani koledzy, przebaczcie mi, że was tak
porzucam. Czasem okazja zmusza do pochwycenia jej w locie,
pokazując swój loczek tuż przed nosem i w sposób tak
dogodny, że byłoby głupstwem nie chwycić zań oburącz, gdyż
raz zlekceważona, już nie wróci. Twarz Fortuny, która
dotychczas ukazywała mi się tylko skrzywiona i posepna,
śmieje się do mnie wdzięcznie. Korzystam z jej życzliwości,
zresztą na pewno chwilowej. W mym skromnym stanie
subretki mogłam pretendować tylko do Maskaryłów i
Scapinów. Tylko lokaje zalecali się do mnie, podczas gdy
panowie kochali Lucyndy, Leonory, Izabele i co najwyżej
raczyli mimochodem wziąć mnie za podbródek i podeprzeć
pocałunkiem w policzek owego półlu-dwika w srebrze, który
mi wsuwali do kieszeni w fartuszkę. Otóż znalazł się
śmiertelnik z lepszym gustem, który pomyślał, że poza
teatrem subretka jest warta tyle, co pani. A ponie-waż role
Zerbiny nie wymagają cnoty zbyt surowej, uznałam, że nie

trzeba doprowadzać do rozpaczy tego wytwornego pana, którego mój odjazd mocno zasmucił. Zatem pozwólcie mi wyjąć kufry z głębi wozu i przyjmijcie me pożegnanie. Odnajdę was któregoś dnia w Paryżu, gdyż jestem aktorką całą duszą i nigdy nie zdradziłam teatru na dłuższy czas.

Mężczyźni wzięli kufry Zerbiny i rozmieścili je na siodle muła tak, aby były w równo-wadze; subretka przy pomocy masztalerza, który jej trzymał stopę, wskoczyła na mulicę lekko, jakby miała za sobą studia jazdy w specjalnej akademii; po czym uderzyła obcasem o bok wierzchowca i oddaliła się, ruchem ręki żegnając kolegów.

— Szczęścia życzymy, Zerbino! — wołali aktorzy z wyjątkiem Serafiny, która zachowała do niej urazę.

— Szkoda, że odjeżdża — rzekł Tyran. — Bardzo chciałbym zatrzymać tę doskonałą subretkę, ale ona uznaje tylko zobowiązania swej fantazji. Trzeba będzie zamienić w sztukach subretkę na duenę lub guwernantkę, co będzie mniej przyjemne dla oka. Ale donna Leonarda ma dużo komizmu i zna wybornie teatr, więc jakoś damy sobie radę.

Wóz ruszył w dalszą drogę nieco prędzej niż zaprzęg z wołami. Jechał teraz przez okolicę bardzo różniącą się wyglądem od landów. Miejsca białych piasków zajęła gleba czerwo-nawa, dostarczająca roślinności więcej soków odżywczych; domy z kamienia, zapowiadające pewien dobrobyt, pokazywały się tu i ówdzie, otoczone ogrodami zamkniętymi przez pozba-wione już liści żywopłoty, wśród których widniała czerwień owoców głogu i granat tarniny.

Na skraju drogi piękne drzewa wznosiły swe potężne pnie i wyciągały rozłożyste gałęzie; opadłe z nich liście tworzyły na trawie żółte plamy lub, pędzone przez wiatr, unosiły się przed Izabelą i Sigognakiem, którzy, zmęczony się niewygodną pozycją na wozie, dla odmiany szli pieszo. Matamor wyprzedził ich i w czerwonym świetle zachodu

widać go było na pochyłym zboczu, gdzie ciemnymi liniami rysowała się jego wąska sylwetka, która w oddaleniu wydawała się jakby nadziana na jego własny rapier.

— Jak to się dzieje — rzekł w marszu Sigognac do Izabeli — że pani, która skromno-ścią swego zachowania, inteligencją swych wypowiedzi i umiejętnością wyrażania się zdradza dobre wychowanie wysoko urodzonej panny, jest tak przywiązana do tej wędrownej trupy aktorów, bez wątpienia ludzi zacnych, ale nie tego samego pokroju, co pani?

— Niech pan tylko nie myśli ze względu na pewien wdzięk, który ludzie we mnie widzą — odrzekła Izabela — że jestem księżniczką bez fortuny lub królową wygnaną ze swego państwa i doprowadzoną do smutnej konieczności zarabiania na utrzymanie w teatrze. Moja historia jest prosta i skoro interesuje się pan moim życiem, opowiem ją panu. Nie tylko nie zostałam doprowadzona do mego stanu przez jakąś katastrofę losu, niesłychaną ruinę czy romansową przygodę, ale jestem w nim właśnie urodzona. Wóz Tespisa jest mym miejscem rodzinnym i moją wędrowną ojczyzną. Moja matka, która grała w tragediach księżniczki, była kobietą bardzo piękną. Brała swe role na serio i nawet poza sceną nie chciała słyszeć o niczym innym, jak tylko o królach, księżętach, hrabiach i innych magnatach, uważając za prawdziwy blichtr swoich koron i berła z pozłacanego drzewa. Gdy wchodziła za kulisy, tak majestatycznie dźwigała fałszywy aksamit swych sukni, że można by powiedzieć, iż był to strumień purpury lub prawdziwy tren królewskiego płaszcza. Będąc tak dumna, zamykała zdecydowanie uszy na wyznania, prośby i przyrzeczenia tych fircyków, którzy krążyli zawsze wokół aktorek jak motyle wokół świecy. A nawet pewnego wieczoru, gdy jakiś blondyn chciał się posunąć za daleko, zerwała się na nogi i zawołała jak prawdziwa Tomirys, królowa Scytów: „Straż, do mnie! Bierzcie go!” — tonem tak królewskim,

pogardliwym i uroczystym, że zdumiony galant uciekł ze strachu. Otóż ta dumna i dziwna szorstkość aktorki, od której, jak od innych, oczekiwano lekkich obyczajów, stały się znane znakomitemu i potężnemu księciu; uznał je za objaw dobrego smaku i powiedział sobie, że ta pogarda dla pospolitości musi dowodzić duszy szlachetnej. Ponieważ jego ranga w świecie równała się stanowisku teatralnej królowej, został przyjęty łagodniej i mniej opryskliwie. Był młody, piękny, namiętny, wymowny i miał wielką zaletę szlachetnego urodzenia. Cóż mam panu powiedzieć więcej? Tym razem królowa nie przywołała swych strażników i ja jestem owocem tego pięknego romansu.

— To więc — rzekł wytwornie Sigognac — tłumaczy znakomicie owe wdzięki nieporównane, które panią zdobią. Książęca krew płynie w pani żyłach! Prawie się tego domyślałem!

— Ten związek — ciągnęła Izabela — trwał dłużej niż zwyczajne miłości teatralne. Książę znalazł u mojej matki wierność wynikającą zarówno z dumy, jak i miłości; wierność, która go nigdy nie zawiodła. Na nieszczęście racja stanu weszła mu w drogę; książę musiał wyruszyć, by wojować lub pełnić poselstwa w dalekich krajach. Wspaniałe małżeństwo, które odwlekał, jak długo mógł, zostało ustalone w jego imieniu przez rodzinę. Musiał ustąpić, gdyż nie miał prawa przerywać dla miłosnego kaprysu długiego szeregu pokoleń wywodzących się od Karola Wielkiego — nie mógł zakończyć na sobie swego sławnego rodu. Duże sumy ofiarowano mej matce, by złagodzić tę konieczną rozłąkę, zabezpieczyć ją i zapewnić moje utrzymanie oraz wychowanie. Ona jednak nie chciała słyszeć o niczym, mówiła, że nie przyjmuje sakiewki bez serca i że woli, aby książę był jej dłużnikiem, niż żeby ona miała być dłużniczką księcia; dała mu bowiem w swej wspaniałomyślności to,

czego nigdy nie będzie mógł jej oddać. „Nic przedtem, nic później” — taka była jej dewiza. Uprawiała więc dalej swój zawód księżniczki tragicznej, ale z rozpaczą w duszy. I nie przestała tęsknić aż do zgo-nu, który przyszedł niebawem.

Byłam wtedy dziewczynką siedmio — czy ośmioletnią; grałam dzieci i inne małe rótki odpowiednie do mego wzrostu i inteligencji. Śmierć mej matki sprawiła mi zmartwienie ponad mój wiek i pamiętam, że trzeba mnie było tego dnia wychłostać, by zmusić do zagrania roli jednego z dzieci Medei *.

* Medea — królowa kolchidzka, która okazała pomoc Jazonowi, kiedy na czele Argonautów przybył do Kolchidy, aby zdobyć bajeczne złote runo; później pobrali się, ale po pewnym czasie Jazon postanowił ją rzucić i wtedy Medea zamordowała ich dzieci. Istnieje szereg utworów dramatycznych osnutych na tle tej krwawej legendy.

Później ten wielki smutek uspokoił się dzięki pieczętom aktorów i aktorek, którzy mnie pielęgowali, jak mogli najlepiej, wkładając zawsze jakiś przysmak do mojego koszyczka. Pedant, który należał do naszej trupy i był już tak stary i pomarszczony, jak dzisiaj, zainteresował się mną, nauczył recytacji, harmonii i miary wiersza, sposobów mówienia i słuchania oraz wszelkich sekretów sztuki, w której celuje, choć jest tylko aktorem prowincjonalnym; odbył bowiem studia, był też regentem w kolegium *, skąd go wyrzucono za nałogowe pijaństwo. Wśród pozornego nieporządku wędrownego egzystencji żyłam niewinna i czysta, gdyż dla moich towarzyszy, którzy mnie widzieli w kołysce, byłam siostrą i córką, a co do zalotników, to miną zimną, pełną rezerwy i powściągliwą potrafiłam ich trzymać w należytej odległości od siebie, grając i poza sceną mą rolę naiwnej, bez hipokryzji i fałszywego wstydu.

W ten sposób, idąc na piechotę, Izabela opowiadała oczarowanemu Sigognakowi historię swego życia i swoich przygód.

Byłoby zbyt nudne śledzić etap po etapie drogę teatralnego wozu, tym bardziej że po-dróż odbywała się bez przygód, które należałoby zachować w pamięci. Przeskoczmy więc kilka dni i dotrzemy w okolice Poitiers. Dochody nie były wspaniałe, dla trupy nadeszły ciężkie czasy. Pieniądze markiza de Bruyeres wyczerpały się, podobnie jak i pistole Sigognaca, którego delikatność cierpiałaby, gdyby w miarę swych skromnych zasobów nie pomógł towarzyszom niedoli. Wóz ciągnięty przy wyjeździe przez czworo silnych zwierząt miał już tylko jednego konia — i to jakiego! Nieszczęsną szkapę, która wyglądała tak, jakby się żywiła nie sianem i owsem, lecz żelaznymi obręczami, tak sterczące były jej boki. Kości bioder przebiły jej skórę, a rozluźnione mięśnie ud rysowały się obwisłymi fałdami skóry; włogaczna wzdymała jej nogi zjeżone długimi włosami. Na łopatkach pod naciskiem chomąta, z którego znikła włosiana podściółka, ożgnęły się krwawe skaleczenia, uderzenia batem znaczyły pręgami umęczone boki biednego zwierzęcia. Głowa tego konia była całym poematem melancholii i cierpienia. Pod jego oczyma były wyżłobione głębokie bruzdy, jakby wydrażone skalpelem. Jego niebieskawe źrenice rzucały smętne, zrezygnowane i zamyślane spojrzenia zwierzęcia pracującego ponad siły. Można było tam wyczytać obojętność na uderzenia, spowodowaną przez bezużyteczność wysiłku, a szarpnięcie rzemienia nie mogło z nich wykrzesać ani iskierek życia. Oklapłe uszy, z których jedno miało urwany czubek, smutno kołysały się z obu stron czoła, skandując nierówny rytm marszu. Kosmyk grzywy, która z białej stała się żółtą, mieszał się z poszarpaną skórą upręży ścierającej

kościste wyniosłości policzków, uwydatnione przez chudość.

Na jego białej sierści, przetykanej rudym włosem, pot nakreślił linijki podobne do tych, jakie deszcz zostawia na tynku murów, pot też zlepił na brzuchu kępki włosów. Trudno było o bardziej żałosny widok, a koń, na którym jedzie śmierć w Apokalipsie **, wydawałby się rączym rumakiem, zdolnym brać udział w popisach jeździeckich, w porównaniu z tym smętnym stworzeniem. Jego barki zdawały się rozrywać za każdym krokiem, oczy spoglądały boleśnie z takim wyrazem, jakby błagały o wyzwalający cios oprawcy. Ponieważ temperatura zaczęła się obniżać, szedł teraz w oparze wydzielającym się z jego boków i nozdrzy.

Na wozie siedziały tylko trzy kobiety. Mężczyźni szli pieszo, żeby nie przeciążać biednego zwierzęcia, a nietrudno było dotrzymać mu kroku, a nawet je prześcignąć. Wszyscy, nie mając do powiedzenia nic przyjemnego, zachowywali milczenie i szli każdy osobno, okryci jak najszczelniej płaszczami.

Sigognac, zniechęcony już prawie, zadawał sobie pytanie, czy nie zrobiłby lepiej, gdyby — nawet umierając z głodu — został w zrujnowanym zamku swych ojców, obok zniszczonej

* regent w kolegium — nauczyciel w ówczesnej szkole początkowej.

** ...koń, na którym jedzie śmierć w Apokalipsie — w „Apokalipsie”, czyli „Objawieniu” św. Jana, jest wzmianka o czterech jeźdźcach, którzy symbolizują nieszczęścia wojny i dosiadają koni, przedstawianych według późniejszej tradycji malarskiej w postaci czworonożnych upiorów.

tarczy herbowej, w ciszy i samotności, zamiast ryzykować niebezpieczeństwa cygańskiego życia.

Myślał o zacnym Piotrze, o Bayardzie, Miraucie i Belzebubie, wiernych towarzyszach niedoli. Serce jego

ściskało się i od piersi do gardła podnosił się w nim ten spazm nerwowy, który zazwyczaj przechodzi w płacz; ale jedno spojrzenie rzucone na Izabelę, otuloną w płaszcz i siedzącą na przodzie wozu, wystarczyło, aby dodać mu odwagi. Młoda kobieta uśmiechała się do niego; nie wyglądało na to, żeby się martwiła tą biedą; jej serce było gorące, cóż więcej znaczyły cierpienia i umęczenie ciała?

Ostry wiatr gwizdał przylepiając cienkie płaszcze do ciał aktorów i smagając ich twarze swymi czerwonymi palcami. Do podmuchów wiatru dołączyły się niebawem płatki śniegu, sunące do góry i na dół, krzyżujące się, nie mogące dotknąć ziemi ani nigdzie się przyczepić, tak gwałtowna była zawieja. Śnieżyca stała się tak gęsta, że stworzyła rodzaj białej ciemności na kilka kroków od oślepionych piechurów. Poprzez to srebrzyste mrowie najbliższe przedmioty traciły swój prawdziwy wygląd i nie można ich już było rozróżnić.

— Zdaje się — rzekł Pedant, który szedł za wozem, aby się nieco osłonić — że niebieska gospodyni obdziera tam na górze gęsi z pierza i wytrząsa na nas puch z fartucha. Wolałbym mięso gęsi i przyznam się, żebym je zjadł nawet bez cytryny i korzeni.

— A nawet bez soli — odpowiedział Tyran — gdyż mój żołądek nie przypomina już sobie tego omletu, zrobionego z jajek, które piszczwały, kiedy się je rozbijało na brzegu patelni, i który połknąłem pod oszukańczym i sarkastycznym tytułem „śniadania”, mimo że był najeżony dziobami.

Sigognac również schronił się za wóz i Pedant odezwał się do niego:

— Oto okropna pogoda, panie baronie! Żałuje, że musi pan dzielić nasz zły los. Ale to są niedole przejściowe i choć nie jedziemy szybko, zbliżamy się przecież do Paryża.

— Nie wychowałem się w wygodach — odpowiedział Sigognac — i nie jestem człowiekiem, który by się przeraził

kilku płatków śniegu. Żał mi tylko tych biednych kobiet, które mimo słabości swej płci muszą znosić trudy i niedostatki jak żołnierze na polu bitwy.

— One są do tego od dawna przyzwyczajone, a to, co byłoby straszne dla szlachcianek czy mieszczek, nie wydaje im się tak przykre.

Zawieja rosła. Śnieg, pędzony przez wiatr, krążył białymi tumanami, dotykając ziemi i zatrzymując się tylko wtedy, gdy napotkał jakąś przeszkodę: zbocze pagórka, mur z kamieni, ogrodzenie, wał wzdłuż rowu. Tam się gromadził z zadziwiającą szybkością, wylewając się kaskadą z drugiej strony tymczasowej tamy. Kiedy indziej wpadał w wir trąby powietrznej i wznosił się do nieba, aby opaść na dół masą, którą wichur rozpraszał natychmiast. Kilka minut wystarczyło, żeby pod dygocącą płachtą wozu ośnieżyć Izabelę, Serafinę i Leonardę, choć się schroniły w głębi i zabezpieczyły barykadą z bagaży.

Ogłuszony biczowaniem wiatru i śnieżycy, koń posuwał się naprzód z wielkim trudem. Dyszał, robił bokami, kopyta ślizgały mu się przy każdym kroku. Tyran wziął go za trzęslę i krocząc obok, podtrzymywał swą potężną dłoń. Pedant, Sigognac i Scapin popychali koła. Leander trząsał z bicia, aby podniecić biedne zwierzę; uderzyć je byłoby zupełnym okrucieństwem. Co do Matamora, ten został nieco w tyle, gdyż z powodu swej fenomenalnej chudości był tak lekki, iż wiatr przeszkadzał mu się posuwać, choć wziął kamień do każdej ręki i kamieniami wypełnił kieszenie, aby się obciążyć.

Burza śnieżna nie tylko się nie uciszała, lecz nawet szalała coraz bardziej i toczyła się jak furia, gromadząc białe płatki, którymi poruszała w tysiącnych wirach jak pianą fal morskich. Stała się tak gwałtowna, że aktorzy, choć bardzo im było spieszno dotrzeć do wioski, musieli zatrzymać wóz i odwrócić się tyłem do wiatru.

Biedna szkapa doszła już do kresu sił; nogi jej sztywniały, dreszcze przebiegały skórę dymiącą i zlaną potem. Jeszcze jeden wysiłek i padłaby martwa. Już kropla krwi ukazała się na nozdrzach rozdętych pod naporem zadyszanych płuc, a w oczach widać było szkliste błyski.

Jak daleko sięgało oko, pole stało się niewidoczne pod srebrnym całunem.

— Gdzież jest Matamor? — zapytał Blazjusz. — Czy przypadkiem wiatr nie porwał go na księżyc?

— Rzeczywiście — odrzekł Tyran — nie widzę go. Może się zakopał pod dekoracjami gdzieś w głębi wozu? Hej, Matamorze! Otrząśnij się ze snu, jeżeli śpisz, i odpowiedz!

Matamor nie odpowiedział ani słowa. Żaden kształt nie poruszył się pod stosem starych płócien.

— Do licha! — rzekł Blazjusz. To bardzo dziwne. Żeby mu się tylko nie stało co złego.

— Nie widziałyśmy go — odezwały się aktorki. — A ponieważ oślepiały nas kłęby śniegu, nie niepokoiłyśmy się jego nieobecnością, myśląc, iż jest o kilka kroków od wozu.

— Na pewno — rzekł Sigognac — schronił się w czasie najsilniejszej śnieżycy za jakiś pień i zaraz do nas wróci.

— Hej, Matamorze! — ryczał raz po raz Tyran swym najgrubszym głosem tragicznym, zdolnym obudzić w grocie siedmiu braci śpiących wraz z psem.

Postanowiono zaczekać kilka minut, a następnie udać się na poszukiwania.

Nic nie było widać na drodze, a mimo zmierzchu od jej białego tła postać ludzka odci-nałaby się wyraźnie nawet w znacznym oddaleniu. Noc, która w grudniu zapada tak wcześnie, nadeszła już, ale nie ściągnęła ze sobą zupełnych ciemności. Blask bijący od śniegu rozjaśniał mrok płynący ze sklepienia niebieskiego i ziemia — w dziwnie odwróconym porządku rzeczy wydawała się teraz źródłem światła.

Widnokrąg rysował się ostro białymi liniami i nie ginął w nieokreślonej dali. Drzewa, jakby obsypane mąką, przypominały desenie roślinne, którymi mróz powleka szyby okien, i co pewien czas płatki śniegu, podobne do srebrnych łąz zdobiących całuny pogrzebowe *, opadały z potrąconej gałęzi na czarną krepę cienia.

Był to widok pełen smutku. Pies zaczął gdzieś wyc zapamiętałe, jakby chciał użyć głosu melancholijnemu krajobrazowi i wypowiedzieć wszystkie jego bolesne niepokoje. Cza-sami bowiem można by pomyśleć, że przyroda, zmęczona milczeniem, na które jest skazana, powierza swe ukryte cierpienia skargom wiatru i zawodzeniom zwierząt.

Wiadomo, jak ponuro brzmi w ciszy nocnej takie rozpaczliwe ujadanie, które przecho-dzi pod koniec w rżenie i jest podobno wywołane bliskością upiorów niewidzialnych dla oka ludzkiego. Instykt zwierzęcy, mający łączność z duszą wszechrzeczy, przeczuwa i opłakuje niebezpieczeństwo, zanim da się ono poznać. Jest w tym wyciu przeplatany łkaniem strach przed przyszłością, groza śmierci i przerażenie, jakie budzą zjawiska nadprzyrodzone. Największa nawet odwaga nie może się wtedy opanować i krzyk ów podnosi włosy na ciele jak duch, o którym mówi „Księga Hioba” **.

Dalekie zrazu wycie przybliżyło się i pośrodku równiny można było dostrzec wielkiego, czarnego psa, który przysiadł na śniegu i, ze wzniesionym do góry pyskiem, jak gdyby upajał się swoim ponurym zawodzeniem.

— Musiało się coś wydarzyć naszemu biednemu koledze!
— zawołał Tyran. — Ta przekłeta bestia wyje jak nad umarłym!

Z sercem ściśniętym przez ponure przeczucia kobiety przeżegnały się pobożnie. Dobra Izabela zaczęła szeptać

modlitwę.

— Trzeba pójść go szukać nie czekając dłużej — rzekł Blazjusz. — Weźmiemy lata-rnię, która mu posłuży za przewodnika i Gwiazdę Polarną, jeśli błądzi wśród pól; przy tej śnieżystej pogodzie, pokrywającej drogi białymi całunami, łatwo jest zabłądzić.

* ...płatki śniegu, podobne do srebrnych łez zdobiących całuny pogrzebowe — według dawnego zwyczaju do uroczystości pogrzebowych używany był czarny materiał w duże, srebrne kropki, przypominające łzy.

** „Księga Hioba” — rozdział Biblii opisujący dzieje Hioba, człowieka nawiedzonego przez najrozmaitsze nieszczęścia. „Zdjął mnie strach i lękanie, które wszystkie moje kości przestraszyło, a duch szedł przed twarzą moją, tak iż włosy wstały na ciele moim” — mówi jedna z postaci „Księgi Hioba”.

Kawałek świecy, zapalony we wnętrzu latarni, rzucił niebawem poprzez cienkie szybki rogowe dość żywe światło, aby je można było dostrzec z daleka.

Tyran, Blazjusz i Sigognac udali się na poszukiwania. Scapin i Leander zostali, by strzec wozu i uspokajać kobiety, które ta przygoda zaczęła denerwować. Uzupełniając ponury nastrój całej sceny, czarny pies wciąż wył rozpaczliwie, a wiatr toczył po polu swe powietrzne wozy z głuchym hałasem, jakby niósł podróżujące duchy.

Burza rozniosła śnieg i zatarła wszelkie tropy, a przynajmniej utrudniała ich odnajdywanie. Noc też utrudniała poszukiwania i gdy Blazjusz zbliżał latarnię do ziemi, znajdował czasem odcisniętą w białym pyłe wielką stopę Tyrana, ale nie Matamora, który — gdyby aż tu zawędrował — nie zostawiłby wyraźniejszych śladów niż ptak.

Zrobili w ten sposób ponad ćwierć mili, podnosząc

latarnię, aby zwrócić uwagę zagnętego aktora, i krzycząc całą siłą płuc: „Matamorze, Matamorze, Matamorze!”

Na ten apel, przypominający wołanie, jakie starożytni kierowali do zmarłych przed końcem pogrzebu, odpowiadało tylko milczenie albo też jakiś spłoszony ptak odlatywał z piskiem, szybko machając skrzydłami, aby rozpląnąć się w ciemnościach. Czasem sowa, którą raziło światło, zajęczała żałośnie. Wreszcie Sigognac, który miał wzrok przenikliwy, dojrzał poprzez mrok, u stóp drzewa postać o fantastycznym wyglądzie, dziwnie sztywne i złowieszczo nieruchome.

Zwrócił na nią uwagę towarzyszy i wszyscy pośpiesznie skierowali się w tę stronę.

Rzeczywiście był to biedny Matamor. Jego plecy opierały się o drzewo, a jego długie nogi, wyciągnięte na ziemi, nikły do połowy pod śniegiem.

Olbrzymi rapier, którego nigdy nie porzucił, tworzył z jego piersią dziwny kształt, który wydawałby się śmieszny w każdej innej okoliczności. Gdy jego towarzysze zbliżyli się, pozostał nieruchomy jak pień. Zaniepokojony tą nieruchomością Blazjusz skierował promień latarki na twarz Matamora i omal jej nie wypuścił z rąk, tak bardzo przeraziło go to, co zobaczył.

Twarz, w ten sposób oświetlona, nie zdradzała już kolorów życia. Była biała jak воск. Nos, ściśnięty przez twarde palce śmierci, lśnił jak kość mątwy*; skóra na skroniach była napięta. Płatki śniegu zatrzymały się na brwiach i rzęsach, a szeroko otwarte oczy wyglądały jak ze szkła. Na końcach wąsów, nagnając je ku dołowi, błyszczały sople lodu. Pieczęć wielkiego milczenia zamknęła te wargi, z których uleciało tyle pogodnych fanfaronad, i czaszka trupia, wyrzeźbiona przez chudość, była już widoczna pod bladą twarzą, na której stale powtarzane grymasy utrwaliły przerażające w swym komizmie zmarszczki — zachowały się

one u trupa, gdyż przekleństwo zawodu aktora chce, aby nawet jego śmierć pozbawiona była powagi.

Żywiąc jeszcze trochę nadziei, Tyran próbował potrząsnąć ręką Matamora, ale ramię, już sztywne, opadło z suchym trzaskiem jak drewniana ręka pajaca, kiedy się puści wolno sznurek. Biedak odszedł z teatru życia na scenę tamtego świata. Jednakże nie mogąc się pogodzić z jego śmiercią Tyran zapytał Blazjusza, czy nie ma przy sobie manierki. Pedant nie rozstawał się nigdy z tym cennym przedmiotem. Zostało mu jeszcze kilka kropel wina, włożył więc szyjkę naczynia między fioletowe wargi Matamora, ale zęby pozostały uparcie zwarte i krzepiący płyn spłynął czerwonymi kroplami z kątów ust. Życie opuściło na zawsze tę kruchą glinę, gdyż najlżejszy oddech spowodowałaby w tak zimnym powietrzu widzialny opar.

— Przestańcie męczyć jego biedne zwłoki — rzekł Sigognac. — Czyż nie widzicie, że umarł?

— Niestety, tak! — odpowiedział Blazjusz. — Jest tak samo nieżywy jak Cheops pod wielką piramidą. Najwidoczniej ogłuszony przez śnieżycę i nie mogąc stawić czoła jej furii, zatrzymał się przy tym drzewie, a ponieważ nie miał dwóch uncji ciała na kościach, wkrótce przemarzył do szpiku. Aby odnosić sukcesy w Paryżu, codziennie zmniejszał swą rację i był

* kość mątwy — muszla szczątkowa ukryta pod płaszczem mątwy, znana w handlu jako tzw. os sepiae: używa się jej w stanie sproszkowanym jako środka do polerowania. wyczerpany niedojadaniem bardziej niż chart po łowach. Biedny Matamorze, oto jesteś poza zasięgiem prztyczków, uderzeń, kopnięć i chłost, do których cię zmuszały twoje role. Już nikt nigdy nie roześmieje ci się w nos.

— Co zrobimy z ciałem? — przerwał Tyran. — Nie

możemy go zostawić tutaj nad rowem, żeby je rozszarpały wilki, psy i ptaki, choć nędzne to jest pożywienie nawet dla roba-ków, które niewiele będą miały z niego korzyści.

— Na pewno go nie zostawimy — rzekł Blazjusz. — To był dobry i szlachetny kolega. A ponieważ nie jest bardzo ciężki, ty weźmiesz go za głowę, ja za nogi i zaniemiemy go obaj na wóz. Jutro, kiedy się zrobi jasno, pochowamy go w jakimś zakątku, możliwie najprzyzwo-iciej. Nam, aktorom, kościół zamyka po macoszemu drzwi cmentarzy i odmawia pociechy odpoczywania w poświęconej ziemi. Jak zdechłe psy lub padłe konie musimy gnić w miej-scach niesławy po życiu, w którym zabawialiśmy przyzwoitych ludzi. Panie baronie, niech pan idzie przed nami i niesie światło.

Sigognac odpowiedział potakującym skinieniem głowy. Dwaj aktorzy schylili się, roz-sunęli śnieg, który już przykrywał Matamora jakby przedwczesnym całunem, podnieśli tego lekkiego trupa, który ważył mniej niż dziecko, i ruszyli naprzód, poprzedzani przez barona oświetlającego im drogę blaskiem latarni.

Na szczęście nikt o tej porze nie przechodził gościńcem. Orszak żałobny, dziwacznie oświetlony różowym odblaskiem kagańca i kładący za sobą na białym śniegu długie, bezkształtne cienie, przedstawiałyby dla podróżnego widok nader przerażający i tajemniczy. Na pewno pomyślałby on, że to jakaś zbrodnia lub czarnoksiężskie praktyki.

Czarny pies przestał wyc, jakby skończył już swoją rolę zwiastuna. Grobowe milczenie panowało wokoło na polach, gdyż śnieg ma właściwość tłumienia dźwięków.

Od pewnego czasu Scapin, Leander i aktorki widzieli małe, czerwone światełko koły-szące się w rękach Sigognaca i rzucające na otoczenie nieoczekiwane blaski, które je wydo-bywały z ciemności w kształtach dziwnych lub

niesamowitych, póki znów nie rozplynęły się w czerni. Raz po raz ukazujący się i chowający w tym niepewnym oświetleniu oddział Tyrana i Blazjusza, połączony poziomo niesionym ciałem Matamora jak kreską łączącą dwie części złożonego słowa, wyglądał zagadkowo i ponuro. Scapin i Leander, poruszeni niespokojną ciekawością, wyszli naprzeciw pochodu.

— No i co słyhać? — rzekł służący teatralny, gdy połączył się z kolegami. — Czy Matamor jest chory, że tak go niesiecie, jakby połknął swój rapier?

— Nie jest chory — odpowiedział Blazjusz — i cieszy się nawet żelaznym zdrowiem. Reumatyzm, gorączka, katar, kamienie nerkowe już nie są dla niego groźne. Jest wyleczony raz na zawsze z choroby, na którą żaden z lekarzy, nie wyłączając Hipokratesa, Galena i Avicenny * nie znaleźli lekarstwa — to znaczy z życia, na które się ostatecznie umiera.

— A więc umarł! — rzekł Scapin z nutą bolesnego zdumienia w głosie i pochylił się nad twarzą kolegi.

— Bardzo umarł, najbardziej jak można, jeżeli są stopnie w tym stanie, gdyż do natura-lnego zimna śmierci dodał zimno skostnienia — odpowiedział Blazjusz głosem zdradzającym większe wzruszenie, niż wynikało z treści jego słów.

— Dokonał żywota, jak się wyraża powiernik księcia w zakończeniach tragedii —

* Hipokrates i Galen — starożytni lekarze greccy.

Avicenna (980—1037) — słynny tadżycki medyk i filozof, jednocześnie przyrodnik, astronom, matematyk, muzykolog i poeta, rodem z Buchary, miasta w Azji Środkowej, zamieszkanego przez Tadżyków i Uzbeków, dziś stanowiącego stolicę Uzbekistanu, socjalistycznej republiki

radzieckiej.

Avicenna był autorem wielu prac naukowych, z których najświetniejsze; „Kanon Medyczny”, encyklopedia nauk lekarskich, oraz dzieło filozoficzne pt. „Księga Uzdrawienia”, pisane w języku arabskim, miały ogromne znaczenie dla dziejów kultury i cywilizacji światowej. Dzieła tych trzech uczonych przez długie wieki stanowiły autorytet w medycynie.

dorzucił Tyran. — Ale pomóżcie nam trochę jeśli łaska. Teraz wasza kolej. Dość długo już niesiemy naszego drogiego kolegę bez nadziei napiwku czy zapłaty.

Scapin zastąpił Tyrana, Leander Blazjusza, choć to zadanie grabarza nie było mu miłe, i pochód ruszył dalej. W ciągu kilku minut doszli do zaprzęgu stojącego na środku drogi. Mimo zimna Izabela i Serafina wyskoczyły z wozu, gdzie pozostała skulona duena otwierając szeroko swe sowie oczy. Blady, zeszywniały, złodowaciały Matamor, mający na twarzy tę nieruchomą maskę, poprzez którą dusza już nie przegląda, wyrwał z piersi aktorek okrzyk przerażenia i bólu. Z oczu Izabeli trysnęły nawet duże łzy i zamarzyły natychmiast w podmuchu ostrego wiatru. Jej piękne ręce, czerwone z zimna, złączyły się pobożnie, a gorąca modlitwa za tego, który tak nagle zniknął w lochu wieczności, wzleciała na skrzydłach wiary w bezkres ciemnego nieba.

Co należało robić? Sytuacja była w wysokim stopniu kłopotliwa. Od wioski, w której zamierzali nocować, dzieliło ich jeszcze dwie do trzech mil; gdy tam dotrą, wszystkie domy będą już od dawna zamknięte, a chłopci w łózkach; z drugiej strony, nie można w połowie drogi, wśród śniegu, nie mając drzewa, aby rozniecić ogień, bez żywności, aby się posilić, w dość ponurym towarzystwie trupa, czekać dnia, który w tej porze roku wschodzi bardzo późno.

Postanowiono wyruszyć. Godzina odpoczynku oraz

wiązka słomy podana przez Scapi-na wzmocniły nieco biednego konia. Wydawał się raźniejszy i zdolny do wysiłku. Matamora położono w głębi wozu, pod płótnem. Aktorki, nie bez dreszczu trwogi, usiadły na przedzie; śmierć czyni upiora z przyjaciela, który z nami rozmawiał przed chwilą, a ten, kto was rozwe-selał, przeraża, jak larwa czy zjawa.

Mężczyźni szli pieszo. Scapin oświetlał drogę latarnią, do której wstawiono nową świe-cę. Tyran trzymał trzęzłą konia, aby mu nie pozwolić się potknąć. Jechali wolno, gdyż droga była niełatwa, jednak po upływie dwóch godzin ujrzeli u podnóża dość stromej pochyłości pierwsze domy wsi. Śnieg nałożył białe koszule na dachy, pozwalając je odróżnić mimo nocy od ciemnego tła nieba. Słyszając z daleka dzwonienie żelastwa u wozu, zaniepokojone psy wszczęły hałas, a ich szczekanie obudziło inne w samotnych folwarkach położonych daleko od drogi. Był to koncert wycia, głuchego lub krzykliwego, z partiami solo, duetami i chórem, w którym brała udział cała psiarnia okoliczna. Gdy więc wóz nadjechał, wieś już nie spała. Niejedna głowa w nocnym czepku ukazywała się w obramowaniu okienka lub uchylonych drzwi, co ułatwiło Pedantowi rokowania w sprawie zdobycia noclegu. Wskazano mu oberżę lub raczej dom zastępujący oberżę, gdyż miejscowość nie była zbyt licznie odwiedzana przez podróżnych, którzy zazwyczaj tu się nie zatrzymywali. Było to na drugim krańcu wsi i biedna szkapą musiała jeszcze się wysilić, ale czuła już stajnię i jej kopyta przez śnieg krzeszały iskry z kamieni. Nie można się było pomylić: wiecha z ostrokrzewu, dość podobna do gałązek, któ-re się trzyma w wodzie święconej, zwisała nad drzwiami; Scapin podnosząc latarnię stwier-dził obecność tego gościnnego symbolu. Tyran zabębnił swymi wielkimi pięściami w drzwi i niebawem ze środka dało się słyszeć człapanie starych pantofli na schodach. Promień różowe-go światła przeniknął przez szpary w

drzwiach. Drzwi się otworzyły i stara kobieta, ochraniając suchą ręką, która zdawała się płonąć, chwiejne światło łożówki, ukazała się w całej obrzydliwości mało wytwornego negliżu.

Mając obie ręce zajęte, trzymała w zębach (lub raczej w dziąsłach) skraj swej koszuli ze zgrzebnego płótna, we wstydlivej intencji, by ukryć przed nieskromnymi spojrzeniami wdzięki, które zmusiłyby do panicznej ucieczki kozły sabatu. Wprowadziła aktorów do kuchni, postawiła świecę na stole, pogrzebała w popiołach paleniska, aby rozniecić dogasające zarzewie, którego iskry zatrzeszczały niebawem w naręczu chrustu; następnie wróciła do swej izby włożyć spódnicę i kaftan. Gruby chłopak, przecierając sobie oczy czarnymi od brudu rękami, poszedł otworzyć bramę, wprowadził wóz na podwórze, zdjął uprząż koniowi i umieścił go w stajni.

— Nie możemy jednak zostawić tego biednego Matamora na wozie jak jelenia, którego się przywozi z polowania — rzekł Blazjusz. — Psy podwórzowe mogłyby go poszarpać. Jest przecież ochrzczony. Trzeba się pomodlić u jego zwłok, jak to się zwykło czynić po śmierci każdego dobrego chrześcijanina.

Przynieśli ciało zmarłego aktora, który został rozciągnięty na stole i z czią przykryty płaszczem. Pod fałdami materiału rysowała się sztywność trupa i zaznaczał się ostry profil twarzy, bardziej może przerażającej, niż gdyby była odkryta.

Gdy więc oberżystka wróciła, o mało nie padła na wznak na widok zmarłego, biorąc go za ofiarę morderstwa, a aktorów za zbrodniarzy. I już, wyciągnawszy swe starcze, drżące ręce, błagała Tyrana, którego uważała za herszta bandy, by jej nie kazał umierać; przyrzekła mu absolutną tajemnicę, nawet gdyby miała zostać wzięta na tortury. Izabela uspokoiła ją i opowiedziała w niewielu słowach, co się wydarzyło. Wtedy

stara poszukała dwóch innych świeczek i umieściła je symetrycznie po obu stronach zmarłego, proponując, że będzie czuwała z donną Leonardą, gdyż często grzebała nieboszczyków w swojej wsi i wiedziała, co czynić przy tych smutnych obrzędach.

Urządziwszy to wszystko, aktorzy przeszli do innej izby na kolację, ale ledwo skosztowali, gdyż nie mieli apetytu po tylu przykrych wydarzeniach i byli przejęci do głębi stratą zacnego Matamora. Po raz pierwszy chyba w życiu, choć wino było dobre, Blazjusz zostawił swą szklankę nie dopitą, zapominając ją wypróżnić. Na pewno musiał być szczerze zmartwiony, gdyż należał do tych biboszków, którzy pragną być pochowani pod beczką tak, aby kurek puszczał im krople do ust; i zerwałby się z łoża śmierci, aby na widok szklanki wina pełnej po brzegi zawołać: „Pijmy!”

Izabela i Serafina urządziły sobie posłanie w sąsiedniej izbie. Mężczyźni rozciągnęli się na słomie, którą przyniósł chłopiec stajenny. Wszyscy spali źle, snem przerywanym przez przykre zwidzenia, i wczesnie byli na nogach, gdyż musieli pochować Matamora.

W braku prześcieradła, Leonarda i gospodyni okryły go strzępem starej dekoracji przedstawiającej las — całun godny aktora, jak płaszcz wojenny godny jest wodza. Resztki zielonego malowidła naśladowały na zużytej tkaninie girlandy i liście, sprawiając wrażenie warstwy traw rzuconej dla uczczenia ciała zaszytego i opakowanego jak mumia egipska. Deska umieszczona na dwóch kijach, których końce trzymali Tyran, Blazjusz, Scapin i Leander, tworzyła nosze. Wielka toga z czarnego aksamitu, ozdobiona gwiazdami i półksiężycami ze słomy, służąca do ról kapłanów i czarnoksiężników, dość przyzwoicie spełniała funkcję śmiertelnego całunu. Tak ustawiony pochód wyszedł tylnymi drzwiami w stronę pól, aby uniknąć spojrzeń i plotek

ciekawskich i dotrzeć na leżące odłogiem pole, które gospodyni wskazała im jako miejsce, gdzie będą mogli pogrzebać Matamora bez niczyjego sprzeciwu, ponieważ rzucano tam zwierzęta zdechłe wskutek choroby; było to miejsce niegodne i niewłaściwe dla przyjęcia ciała ludzkiego, gliny ulepionej na podobieństwo Boga, ale przepisy kościoła są wyraźne: obłożony klątwą komediant nie może leżeć w poświęconej ziemi, chyba że wyrzekł się teatru, jego blichtru i spraw, czego nie można było powiedzieć o Matamorze.

Poranek o szarych oczach zaczął się budzić i, brodząc w śniegu, schodził ze zboczy wzgórz. Zimne światło rozsnuwało się na równinie, której biel sprawiała, że niebo w porównaniu z nią wydawało się sine. Zdziwieni niesamowitym wyglądem orszaku, którego nie poprzedzał ani krzyż, ani ksiądz i który nie szedł w stronę kościoła, chłopci wybierający się po chrust przystawali i spoglądali z ukosa na aktorów, podejrzewając ich o herezję, czary i niedowiarstwo — nie śmieli jednak nic mówić. Wreszcie orszak dotarł na miejsce dość puste i chłopak stajenny, który niósł rydel, by wykopać grób, poradził tu właśnie się zatrzymać. Szkielety zwierząt, na wpół przykryte śniegiem, wzdymały ziemię naokoło i rozszarpane przez sępy i kruki wyciągały na końcu różańca kręgów swe długie głowy z wydrążonymi orbitami i ukazywały żebra огоłocone z ciała jak pręty wachlarza, z którego zdarto papier. Kupki śniegu, fantastycznie rozmieszczone, dodawały jeszcze grozy temu trupiemu widowi-sku, podkreślając wypukłości i stawy. Można by powiedzieć, że to zwierzęta, których dosiadają aspiole i gule * na kawalkadach sabatu.

Aktorzy złożyli ciało na ziemi, a chłopak z oberży zaczął z energią kopać dół, odrzucając czarne skiby na śnieg, co jest szczególnie smutne, gdyż żyjącym wydaje się, że biedni zmarli, choć już nic nie czują, będą bardziej marzli w pierwszą noc grobową.

Tyran zluzował chłopca i grób pogłębił się szybko. Otwierał już szczęki dość szeroko, by jednym zamachem połknąć wątłe ciało, gdy ze strony zgromadzonego chłopstwa zaczęły padać okrzyki przeciw hugonotom **, przy czym krzyczący wyglądali tak, jakby chcieli zaatakować aktorów. Rzucono nawet kilka kamieni, które na szczęście nie dosięgły nikogo. Rozgniewany na tę podłość Sigognac wyjął szpadę i zaczął ścigać brutali, bijąc ich płazem i grożąc ostrzem. Dostrzegłszy utarczkę, Tyran przeskoczył grób, chwycił kij od noszy i rzucił się na tych, którzy upadli pod natarciem barona. Grupa się rozproszyła wśród krzyków i przekleństw, można więc było dokończyć pogrzebu Matamora.

Ułożone na dnie dołu i zaszyte w dekorację z wymalowanym lasem, Podobniejsze było to ciało raczej do owiniętego w zieloną płachtę muszkietu niż do zwłok ludzkich w grobie. Gdy zaczęto zasypywać chude ciało aktora, wzruszony Pedant nie mógł powstrzymać łzy, która spadła w grób z końca jego czerwonego nosa jak serdeczna perła, i wypowiedział boleśnym głosem jako mowę pogrzebową te słowa, do których ograniczył się cały ceremoniał uroczystości: „Niestety! Biedny Matamor”.

Mówiąc to, zacny Pedant nie przypuszczał, że dokładnie powtarza słowa królewicza duńskiego Hamleta, obracającego w rękę czaszkę Yoricka, niegdyś błazna dworskiego, o czym wiadomo z tragedii, którą napisał imię Szekspir, poeta bardzo znany w Anglii i cieszący się opieką królowej Elżbiety.

W ciągu kilku minut grób został zasypany. Tyran rozrzucił na nim śnieg, aby ukryć miejsce, gdyż lękał się, że nieboszczyka może spotkać jakaś zniewaga. Skończywszy tę czynność powiedział:

— A teraz chodźmy stąd prędko, bo nie mamy tu już nic do roboty. Wróćmy do oberży. Musimy zaprzęgać i wiać, gdyż ci chłopcy, wróciwszy w większej liczbie, mogliby na nas

uderzyć. Pańska szpada i moje pięści nie pomogą już wtedy. Armia karłów potrafi pokonać olbrzyma. Nawet zwycięstwo byłoby niezaszczytne i bez żadnej korzyści. Gdyby pan zabił pięciu czy sześciu spośród tych łajdaków, pańska sława rycerska nie zwiększyłaby się, a zabi-ci sprawiliby nam kłopot. Byłyby tylko lamenty wdów, krzyki sierot, nieprzyjemne i żalosne historie, które wykorzystują adwokaci, aby wpłynąć na sędziów.

Rada była dobra i została przyjęta. W godzinę później, po zapłaceniu rachunku, wóz ruszył w drogę.

ROZDZIAŁ VII

W KTÓRYM POWIEŚĆ UZASADNIA SWÓJ TYTUŁ

Jechali najpierw tak szybko, jak na to pozwalały siły starego konia, który po dobrym

* aspiole i gule — potwory z ludowych legend wschodnich

** hugonoci — francuscy protestanci. We Francji nazwę taką nosili zwolennicy reform religijnych Kalwina (1503—1564). Kalwinizm był wyznaniem najbardziej wówczas odpowiadającym postępowej części mieszczaństwa. Hugonoci podlegali ostrym prześladowaniom ze strony stronnictwa katolickiego noszącego miano „Ligi”. (Rzeź hugonotów, tzw. „Noc św. Bartłomieja”, 23 sierpnia 1572 r.)
noclegu i na drodze pokrytej świeżym śniegiem czuł się znacznie lepiej. Chłopi pobici przez Sigognaca i Tyrana mogli

wrócić do ataku w większej liczbie; chodziło więc o to, aby odjechać od wsi na odległość, która by uniemożliwiła pogoń. Dobre dwie mile przebyli w milczeniu, gdyż tragiczna śmierć Matamora dodawała posępnych tonów niewesołej sytuacji. Każdy myślał, że pewnego pięknego dnia zostanie może tak samo pochowany na skraju drogi, wśród padliny, narażony na profanację ze strony fanatyków. Ten podróżujący wóz symbolizował życie, co wciąż posuwa się naprzód, nie przejmując się ludźmi, którzy nie mogą nadażyć i zostają w rowach konający lub martwi. Otóż symbol pozwala lepiej zrozumieć ukrytą prawdę i Blazjusz, którego język świerzbiał, zaczął perorować na ten temat, posługując się mnóstwem cytat, sentencji i maksym, które mu zostały w pamięci z jego ról pedantów.

Tyran słuchał go, milczący i nachmurzony. Jego myśli szły innymi drogami; Blazjusz, widząc roztargnienie towarzysza, zapytał go, o czym myśli.

— Myślę — odrzekł Tyran — o Milonie z Krotony *, który jednym uderzeniem pięści zabił wołu i zjadł w ciągu jednego dnia. Ten czyn mi się podoba i czuję, że jestem zdolny go powtórzyć.

— Na nieszczęście brak wołu — rzekł Scapin wtrącając się do rozmowy.

— Tak — odpowiedział Tyran — mam tylko pięść... i żołądek. Och, jakże szczęśliwe są strusie, które żywią się kamykami, czerepami, guzikami od kamaszy, trzonkami od noży, sprzączkami i innymi rzeczami niestrawnymi dla ludzi. W tej chwili pożarłbym wszystkie re-kwizyty teatralne. Zdaje mi się, że kopiąc grób dla tego biednego Matamora, wykopałem inny w sobie samym, tak szeroki, długi i głęboki, że nic go nie zdoła zapełnić. Starożytni byli bardzo mądrzy, bo urządzali po pogrzebach uczyt obfitujące w mięsa i wina, na większą chwałę zmarłych i lepsze zdrowie żywych.

Chciałbym teraz dokonać tego filozoficznego obrządku, który pomaga w osuszeniu łez.

— Innymi słowy — rzekł Blazjusz — chciałbyś jeść. Polifemie, wilkołaku, Gargantuo **, żarłoku, budzisz we mnie wstręt.

— A ty chciałbyś koniecznie pić — zareplikował Tyran. — Piasku, gąbko, konwio, lej-ku, baryło, lewarze, bukłaku, budzisz we mnie litość.

— Jak słodkie i korzystne byłoby połączenie przy stole tych dwóch elementów — rzekł Scapin tonem pojednawczym. — Oto nad brzegiem drogi mały laszek wybornie nadający się na postój. Można by tam skierować wóz i jeśli zostało jeszcze trochę zapasów, posilić się jako tako w tym miejscu zasłoniętym od wiatru przez naturalny parawan. Postój da koniowi czas na odpoczynek i pozwoli nam przy chrupaniu resztek pogwarzyć o przyszłości zespołu, która mi się zdaje diablo niepewna.

— Święte słowa, przyjacielu Scapinie! — rzekł Pedant. — Będziemy musieli wygrzebać z dna naszej dziadowskiej torby, niestety bardziej płaskiej i skurczonej niż sakiewka rozrutnika, kości od szynki, skórki z kiełbasy i skórki chleba. Są jeszcze w kufrze dwie lub trzy butle wina, niedobitki walecznej armii. Tym wszystkim można nie tyle zadowolić, co oszukać głód i pragnienie. Jaka szkoda, że ziemia tego niegościnnego powiatu nie jest podobna do owej gliny, którą niektórzy dzicy z Ameryki zapełniają sobie żołądek, gdy polowanie i rybołówstwo im się nie uda.

Zjechali z drogi i umieścili wóz w gęstwinie. Koń wyprzęgnięty zaczął szukać w śniegu rzadkich źdźbeł trawy, które wrywał swymi długimi, żółtymi zębami. Rozciągnięto dywan na nie zarośniętym kawałku ziemi. Aktorzy usiedli dokoła tego obrusa zaimprovizowanego na modłę turecką, a Blazjusz ustawił symetrycznie resztki wydobyte z wozu, jakby

się zano-siło na prawdziwą ucztę.

— Och, jaki piękny porządek! — zawołał Tyran rozweselony tym widokiem. — Major-

* Milon z Krotony — legendarny atleta grecki.

** Gargantua — jeden z bohaterów powieści renesansowego pisarza Franciszka Rabelais „Gargantua i Pantagruel”, odznaczający się bajecznym apetytem.

domus * księcia nie sprawiłby się lepiej. Choć jesteś znakomitym Pedantem, Blazjuszu, twym prawdziwym powołaniem jest stanowisko ochmistrza!

— Miałem istotnie ten zamiar, lecz zły los pokrzyżował moje plany — rzekł Pedant ze skromną miną. — Ale, moje małe żarłoki, nie rzucajcie się łapczywie na potrawy. Żujcie wo-lno i z namaszczeniem. Zresztą wydzielę wam porcje, jak się to robi na tratwach po rozbiciu okrętu. Dla ciebie, Tyranie, jest ta kość od szynki, na której wisi jeszcze kawałek mięsa. Roz-kruszysz ją swymi mocnymi zębami i filozoficznie wyciągniesz z niej szpik. Dla was, moje panie, ten spód pasztetu — jest tam jeszcze trochę mięsa z dodatkiem solidnej warstwy słoniny. Jest to danie delikatne, smaczne i pożywne; nie można pragnąć lepszego. Dla pana, baronie de Sigognac, ten kawałek kiełbasy; niech pan tylko uważa, aby nie połknąć sznurka, który wiąże skórę jak sakiewkę. Trzeba go zachować na kolację, ponieważ obiad zniesiemy jako posiłek niezdrowy, nieuzasadniony i zbyteczny. Leander, Scapin i ja zadowolimy się tym szanownym kawałkiem sera, pomarszczonym i brodatym jak pustelnik w swojej jaskini. Jeśli ktoś będzie uważał, że chleb jest zbyt twardy, będzie go mógł namoczyć w wodzie i wycią-gnąć z niego słomki na wykałaczki. Co do wina, każdy ma prawo do jednego kubka; a jako podczaszy, proszę was, żebyście pili do ostatniej kropli i nie marnowali trunku.

Sigognac był przyzwyczajony od dłuższego czasu do wstrzemięźliwości większej niżli hiszpańska; nieraz tak bywało w Pałacu Nędzy, że po jego posiłku nawet myszy niewiele mogły znaleźć dla siebie; on sam żył jak mysz. Mimo to podziwiał dobry humor i komiczną werwę Pedanta, który znajdował powód do śmiechu wtedy, gdy inni stękaliby jak krowy. Niepokoiła go tylko Izabela. Marmurowa bladość okrywała jej policzki; między jednym a drugim kąsem pożywienia jej zęby szczękały, jak kastaniety, w gorączkowym skurczu, który na próżno usiłowała przemóc. Jej cienkie ubranie źle ją chroniło przed zimnem, toteż Sigognac, siedzący blisko niej, zarzucił — choć się broniła — połowę swego płaszcza na jej ramiona i przyciskał ją do siebie, by jej udzielić swego ciepła. Izabela ogrzała się tym żarem uczucia i słaby rumieniec wrócił na jej skromną twarzyczkę.

Zajęci jedzeniem aktorzy usłyszeli nagle dziwny hałas, na który zrazu nie zwrócili żadnej uwagi, myśląc, że to wiatr gwizdże w ogołoconych gałęziach. Niebawem hałas stał się wyraźniejszy. Był to głos charczący, ochryply i ostry, którego naturę trudno było sobie wytlumaczyć.

Kobiety zaczęły się niepokoić.

— Czy to aby nie wąż?! — zawołała Serafina. — Umarłabym, taki wstręt budzą we mnie te ohydne zwierzęta.

— Przy tej temperaturze — rzekł Leander — węże drętwieją i śpią w swych kryjówkach, bardziej sztywne niż kije.

— Leander ma rację — rzekł Pedant — to musi być coś innego; jakaś bestia leśna, która się nas boi albo której przeszkadzamy. Ale nie odrywajmy się od jedzenia.

Usłyszawszy te głosy, Scapin nastawił swe lisie uszy, które, choć zaczerwienione od zimna, nie straciły swej wrażliwości, i patrzył bystrym okiem w stronę, skąd

dochodziły dźwięki. Trawa szeleściła, jakby poruszona przez jakieś zwierzę.

Scapin dał aktorom znak ręką, by się nie ruszali, i niebawem z gęstwiny wynurzył się wspaniały gąsior o wyciągniętej szyi i głowie wysoko uniesionej; kołysał się na swych wie-lkich, błoniastych łapach z wyrazem majestatycznej głupoty; dwie gęsi, jego małżonki, pełne zaufania i naiwności, tworzyły jego orszak.

— Oto pieczeń, która sama się nadziewa na rożen — rzekł Scapin półgłosem. — Niebo wzruszone głodem, który nam skręca kiszki, przysyła ją w samą porę!

Sprytny Scapin wstał i oddalił się od towarzyszy, robiąc półkole tak ostrożnie, że śnieg nie zaskrzypiał ani razu pod jego nogami. Uwaga gąsiora była skupiona na grupie aktorów,

* majordomus (z łac.) — marszałek dworu, sprawujący nadzór nad służbą.

których oglądał z ciekawością i nieufnie, nie mogąc sobie wytłumaczyć swym tępym gęsim mózgiem ich obecności w tym miejscu zazwyczaj pustym.

Widząc go tak pogrążonego w kontemplacji, aktor, widocznie znający się dobrze na sztukach tego rodzaju, zbliżył się do gąsiora od tyłu i narzucił na niego swój płaszcz ruchem tak celnym, zręcznym i nagłym, że całe to wydarzenie trwało krócej niż jego opisanie. Unie-ruchomiwszy w ten sposób swoją ofiarę, rzucił się na nią i chwycił za szyję pod płaszczem, który duszony ptak, bijąc skrzydłami, szybko by zrzucił.

— Brawo, Scapinie, oto sztuczka dobrze zagrana! — zawołał Tyran. — Godna jest tych, które praktykujesz w teatrze. Trudniej zaskoczyć gęsi niż Gerontów i Truffaldinów *, bo są z natury bardzo ostrożne i uważne, jak wynika z historii, która powiada, że gęsi kapitolińskie wyczuły nocą

zbliżanie się Galów i w ten sposób ocaliły Rzym. Ten wspaniały ptak ocalił nas co prawda w inny sposób, ale jest tak samo opatrnościowy.

Oskubaniem gąsiora zajęła się stara Leonarda. Tymczasem Blazjusz, Tyran i Leander, rozproszeni w zaroślach, zbierali chrust, strzepywali z niego śnieg i układali stos na suchym miejscu. Scapin uciął swym nożem pręt, który obdarł z kory, aby służył za rożen. Dwie gałęzie, ucięte poniżej rozwidlenia, zostały wsadzone w ziemię jako podpory. Dzięki garści sło-my, wziętej z wozu, i krzesiwu ogień zapłonął szybko i zaświecił radośnie, barwiąc swymi płomieniami gęś umieszczoną na rożnie i ożywiając miłym ciepłem grupę aktorów, siedzącą wokoło. Scapin, skromny i skupiony, jak przystało na bohatera sytuacji, trwał na swym miejscu ze spuszczonym wzrokiem; od czasu do czasu obracał gąsiora, który nabierał w ogniu pięknej, złocistej barwy, sprawiając wrażenie niezmiernie apetyczne, i rozsiewał zapach tak smakowity, że mógłby wprowadzić w ekstazę owego Cataligirona **, który w wielkim mieście Paryżu niczego nie podziwiał bardziej niż kramów, gdzie pieczono drób i mięsiwo.

Tyran wstał i chodził wielkimi krokami, aby — jak mówił — uniknąć pokusy rzucenia się na pieczone na wpół jeszcze surowe i połknięcia go razem z rożnem. Blazjusz poszedł do wozu, aby wyciągnąć z kufra wielki cynowy półmisek, który służył do uczt teatralnych. Gąsior został na nim uroczyście złożony i pod dotknięciem noża rozlał wokoło krwisty sok o rozkosznym zapachu.

Podzielono pieczone na równe części i śniadanie rozpoczęło się od nowa. Tym razem nie było to pożywienie iluzoryczne i oszukańcze. Ponieważ głód uciszył sumienia, nikt nie miał skrupułów co do postępowania Scapina. Pedant, który był człowiekiem dokładnym w sprawach kulinarnych,

usprawiedliwiał się, że nie podłożył pod gęs plasterków gorzkiej pomarańczy, co jest przyprawą konieczną, ale łatwo wybaczone mu to niedopatrzenie.

— A teraz, kiedyście się już najedli — rzekł Tyran wycierając sobie brodę dłonią — byłoby właściwe pomyśleć trochę o tym, co będziemy robili. Zostały zaledwie dwa lub trzy pistole w moim trzosie i moja posada skarbnika może się łatwo stać synekurą. Nasz zespół stracił dwóch cennych aktorów: Zerbinę i Matamora; zresztą nie możemy grać komedii w szczerym polu dla zabawienia kruków, wron, srok. Nie zapłaciłyby biletów, nic mając pieniędzy, może z wyjątkiem srok, które podobno kradną monety, klejnoty, łyżeczki i kubki. Ale nie byłoby rozsądne liczyć na takie dochody. Z tym rumakiem z Apokalipsy, który kona między dyszlami naszego wozu, niepodobieństwem będzie dotrzeć do Poitiers wcześniej niż za dwa dni. To jest bardzo tragiczne, gdyż grozi nam, iż do tego czasu zdechniemy z głodu nad brzegiem jakiegoś rowu. Gęsi pieczone nie wychodzą codziennie z lasów.

— Bardzo dobrze przedstawiasz chorobę — rzekł Pedant — ale nie mówisz nic o lekarstwie.

— Moim zdaniem — odpowiedział Tyran — musimy się zatrzymać w pierwszej wsi,

* Geront i Truffaldin — postaci komediowe.: Geront — łatwowierny starzec, Truffaldin — przebiegły lokaj.

** Cataligirone — franciszkanin włoski, według starej anegdoty podczas pobytu w Paryżu zachwycał się przede wszystkim kuchnią francuską.

którą napotkamy; prace na polach są ukończone. Jest to czas długich wieczornic. Użyczą nam pewno jakiejś stodoły czy szopy. Scapin będzie bić w bęben przed drzwiami, przyrzekając nadzwyczajne i cudowne widowisko ogłupiałym

gamoniom, mogącym łatwo zapłacić za bile-ty w naturze. Kurczę, ćwiartka szynki czy mięsa, dzban wina dadzą prawo do pierwszych miejsc. Za drugie miejsca przyjmować będziemy parę gołębi, tuzin jaj, wiązanek jarzyn lub jakieś podobne wiktuały. Chłopi są skapi, jeśli chodzi o pieniądze, ale nie o żywność, której zapasy mają w swych skrzyniach i która ich nic nie kosztuje, bo dostarcza jej natura. Nie napełni nam to sakiewki, lecz nasyci brzuch; rzecz ważna, gdyż od gastera * zależy cała ekonomia i zdrowie ciała, jak to mądrze zauważył Meneniusz **. Potem już nie będzie trudno dostać się do Poitiers, gdzie znam oberżystę, który udzieli nam kredytu.

— Ale jaką gralibyśmy sztukę, gdyby się znalazła odpowiednia wioska? — zapytał Sca-pin. — Nasz repertuar jest mocno nadszarpnięty. Tragedie i tragikomedie byłyby czystą he-brajszczyzną dla tych wieśniaków nie znających historii i mitologii, a nawet poprawnego ję-zyka francuskiego. Przydałaby się dobra farsa rozweselająca, okraszona nie solą attycką ***, ale zwyczajną, farsa, gdzie bez przerwy biją się i przewracają, kopią i błąznują na sposób włoski. „Fanfaronady kapitana Matamora” nadałyby się tu wybornie. Na nieszczęście Mata-mor przestał żyć i tylko robakom może opowiadać swe tyrady.

Gdy Scapin skończył mówić, Sigognac dał znak, że chce zabrać głos. Lekki rumieniec, ostatni przejaw szlacheckiej dumy, barwił jego twarz bladą zazwyczaj nawet w ostrych podmuchach wiatru. Aktorzy czekali w milczeniu.

— Nie mam wprawdzie talentu tego biednego Matamora, ale jestem prawie tak samo chudy. Obejmę jego rolę i zastąpię go, jak będę mógł najlepiej. Jestem waszym towarzyszem i chcę być nim we wszystkim. Toteż wstydzę się, że wykorzystywałem was w chwilach powodzenia, a byłem bezużyteczny w przeciwnościach. Zresztą któż w świecie

troszczy się o Sigognaca? Ruiny mego domu sypią się na groby mych przodków. W zapomnieniu pograża się nazwisko, niegdyś sławne, a bluszcz zakrywa mój herb w pustym przedsionku. Może któregoś dnia trzy bociany rozpostrą znów swe srebrzyste skrzydła i życie powróci wraz ze szczęściem do tego smutnego domu, gdzie moja młodość upływała tak beznadziejnie. Tym-czasem jednak wy, którzy wyciągnęliście rękę, aby mi pomóc wyjść z tego lochu, przyjmijcie mnie szczerze do swego grona. Nie nazywam się już Sigognac.

Izabela położyła rękę na ramieniu barona, jakby chcąc mu przerwać, ale Sigognac nie zważał na błagalne spojrzenie dziewczyny i mówił dalej:

— Składam w czworo mój tytuł barona i chowam go w głębi mego kuferka jak ubranie, które już nie jest do noszenia. Odtąd nie tytułujcie mnie w ten sposób. Zobaczymy, czy w takim przebraniu odnajdzie mnie zły los. A zatem jestem następcą Matamora, a za pseudonim biorę nazwisko kapitan Fracasse!

— Niech żyje kapitan Fracasse! — zawołał cały zespół na znak zgody. — Niech mu wszędzie towarzyszą oklaski!

To postanowienie, które zrazu zdumiało aktorów, nie było tak nagłe, jak się mogło zdawać. Sigognac myślał już o tym dawno. Wstydził się, że jest pasożytem w stosunku do tych uczciwych komediantów, którzy tak hojnie dzielili się z nim swymi dochodami, nigdy mu nie dając odczuć, że był im ciężarem; uważał za bardziej godne szlachcica występować na scenie i uczciwie zarabiać na swe utrzymanie niż przyjmować je jako próżniak w postaci jałmużny lub daru. Myśl o powrocie do Sigognac przychodziła mu wprawdzie do głowy, lecz

* gaster (z greek.) — żołądek.

** Meneniusz Agrypa — konsul z VI w, przed n.e.

Wygłosił do zbuntowanego ludu rzymskiego przemówienie, w którym porównywał harmonijne współżycie społeczne z dobrze funkcjonującym organizmem ludzkim.

*** sól attycka — przenośnia oznaczająca subtelny dowcip, jakim odznaczali się starożytni mieszkańcy Aten, głównego miasta Attyki.

odpychał ją jako tchórzliwą i haniebną. Żołnierz nie może się wycofywać w czasie klęski. Zresztą, gdyby nawet mógł odejść, zatrzymałaby go miłość Izabeli; a poza tym, choć umysł jego nie był skłonny do urojeń, dostrzegł w mglistych perspektywach różne zadziwiające przygody, zmiany losu i niespodzianki, z których trzeba by zrezygnować zagrzebując się znów w szlacheckim gnieździe.

Załatwiwszy sprawy w ten sposób, zaprzęgli konia do wozu i znów ruszyli w drogę. Dobry posiłek ożywił zespół i wszyscy (z wyjątkiem dueny i Serafiny, które maszerowały niechętnie) szli pieszo za wozem, dając wytchnienie biednej szkapie. Izabela opierała się o ramię Sigognaca, co pewien czas zwracając ku niemu ukradkiem tkliwe spojrzenie, gdyż nie wątpiła, że to z miłości dla niej postanowił zostać aktorem, co tak się sprzeciwia dumie do-brze urodzonego człowieka. Chciała mu z tego powodu czynić wyrzuty, lecz nie czuła się na siłach łąać go za ten dowód oddania, któremu by przeszkodziła, gdyby go mogła przewidzieć — należała bowiem do kobiet, które zapominają o sobie, gdy kochają, i widzą tylko ukocha-nego. Po pewnym czasie, czując się nieco zmęczona, wsiadła z powrotem na wóz i schowała się pod kołdrę obok dueny.

Z obu stron drogi rozciągały się pola białe od śniegu, puste jak okiem sięgnąć; ani śladu miasta, wsi czy osady.

— Nasze przedstawienie stoi pod znakiem zapytania — rzekł Pedant obejrzawszy hory-zont. — Nie widać, żeby publiczność napływała tłumnie, a dochód w wieprzowinie,

drobiu i pęczkach cebuli, którym Tyran podniecał nasz apetyt, wydaje się mocno zagrożony! Nie wi-dzę, żeby dymił się jeden komin. Jak daleko sięga mój wzrok, nie dojrzysz ani jednego kurka na dzwonnicy.

— Trochę cierpliwości, mój Blazjusz — odpowiedział Tyran, — Miejscowości stłó-czone jedna przy drugiej są niezdrowe, między wsiami powinny być duże odległości. Dzięki temu ludzie tutejsi nie muszą się obawiać epidemii, morowego powietrza, cholery, czarnej fe-bry, maligny i innych podobnych chorób, które, zdaniem lekarzy, wynikają z nagromadzenia ludności na małej przestrzeni. Bardzo się boję, że jeżeli tak dalej pójdzie, nasz kapitan Fracas-se nieprędko zadebiutuje!

W trakcie tych rozmów szybko zapadał zmierzch. Pod grubą kurtyną ołowianych chmur z trudem można było rozróżnić słaby, czerwonawy blask wskazujący miejsce, gdzie schowało się słońce znudzone rzucaniem światła na ten pejzaż siny i ponury, po którym kruki posuwały się jak ruchome cętki.

Lodowaty wiatr uczynił śnieg twardym i lśniącym. Biedny, stary koń posuwał się na-przód z największym trudem, na najmniejszych pochyłościach kopyta mu się obsuwały; na próżno wypręzał pokaleczone nogi i zginał chudy grzbiet; ciężar wozu popychał go naprzód, chociaż Scapin, idąc obok, trzymał go za uzdę. Mimo zimna pot zlewał jego słabe członki i wychudłe boki pokrywały się pianą wskutek tarcia uprzęży. Jego płuca dyszały jak miechy kowalskie, błyski przerażenia zapalały się w niebieskich oczach, jakby dostrzegał jakieś zja-wy; czasem próbował odwrócić się jak zatrzymany przez niewidzialną przeszkodę. Jego ciało chwiejne i jak gdyby pijane uderzało raz po raz o dyszle. Podnosił głowę, odsłaniając dziąsła, potem opuszczał ją, jakby chciał gryźć śnieg. Jego godzina nadeszła — konał

na stojąco, jak przystało na dzielnego konia. Wreszcie padł, raz jeszcze słabo wierzgnąwszy w obronie przed śmiercią. Wyciągnął się na boku, aby się więcej nie podnieść.

Kobiety przerażone tym nagłym wstrząsem, który ich o mało nie wyrzucił na ziemię, zaczęły krzyczeć. Aktorzy przybiegli na pomoc i szybko wyciągnęli je z wozu. Leonarda i Serafina nie odniosły żadnych obrażeń, lecz siła uderzenia i przestraszonych spowodowały zemdlenie Izabeli, którą Sigognac wyniósł na rękach bezwładną i nieprzytomną, podczas gdy Scapin, schylając się, macał uszy konia rozpląszonego na ziemi jak wycinanka z papieru.

— Zdechł — oświadczył wstając z zasepioną miną — ucho jest zimne i puls żyły usznej już nie bije.

— Będziemy wiec musieli — zawołał żałośnie Leander — wprząc się w postronki jak zwierzęta pociągowe albo burłacy i ciągnąć nasz wóz! Och, przekłeta zachcianka, która mi kazała zostać aktorem.

— Akurat czas na jęki i lamenty! — zgromił go Tyran znudzony tymi niewczesnymi narzekaniami. — Zastanówmy się raczej po męsku, jak ludzie, których Fortuna nie potrafi zaskoczyć, co trzeba zrobić. A najpierw zobaczymy, czy naszej drogiej Izabeli nie stało się nic poważnego. Na szczęście nie, bo znów otwiera oczy i odzyskuje przytomność dzięki troskliwości Sigognaca i donny Leonardy. Trzeba więc, żebyśmy się podzielili na dwie grupy. Jedni zostaną przy wozie razem z kobietami; drudzy rozejdą się po wsiach szukając pomocy. Nie jesteśmy Rosjanami przyzwyczajonymi do takiego zimna, żebyśmy tu mogli nocować w śniegu aż do rana. Brakuje nam do tego futer i świt zastałby nas w postaci podobnej do owo-ców smażonych w cukrze. Dalej, kapitanie Fracasse, Leandrze i ty, Scapinie! Jesteście naj-lżejsi i szybcy jak Achilles, syn Peleusza. W drogę! Biegnijcie na jednej nodze i sprowadźcie nam tu pomoc, a żywo. Blazjusz i ja

będziemy trzymali wartę przy bagażach.

Trzej wyznaczeni mężczyźni zamierzali wyruszyć, choć nie wróżyli wielkiego powodzenia swej wyprawie, gdyż noc była czarna jak czeluść pieca i tylko migotanie śniegu pozwalało się orientować; ale ciemność, skrywając wszystkie rzeczy, wydobywa światła — mała, czerwona gwiazdka zabłysła u stóp wzgórza w dość dużej odległości od drogi.

— Skierujemy się ku tej latarni zwiastującej zbawienie — rzekł Tyran. — Nie jest rzeczą prawdopodobną, żeby bandyci zjawili się w taką noc na tak pustej drodze i żeby chcieli zrabować nasz las, nasz rynek i salon z płótna. Niech każdy bierze swoje manatki, nie są takie ciężkie. Powrócimy jutro po wóz. Już zaczynam drętwieć i nie czuję końca nosa.

Aktorzy ruszyli przed siebie; Izabela wspierała się na ramieniu Sigognaca, Leander podtrzymywał Serafinę, Scapin ciągnął duenę, Blazjusz i Tyran tworzyli straży tylną. Szli na przełaj przez pola, prosto ku światłu, napotykając czasem przeszkody w postaci zarośli i rowów, wpadając w śnieg po kolana. Wreszcie, po wielu upadkach, trupa dotarła do jakiegoś dużego budynku otoczonego długim murem z bramą; wszystko to wyglądało na folwark, jeśli można się było zorientować w ciemnościach.

W czarnej ścianie światło lampy wycinało jasny kwadrat i pozwalało dojrzeć szyby małego okna, którego okiennice nie były jeszcze zamknięte.

Poczuwszy zbliżanie się obcych, psy podwórzowe zaczęły się poruszać i odzywać. Słysząc było w ciszy nocnej, jak biegały, skakały i kręciły się za murem. Kroki oraz głosy ludzkie mieszały się z ich szczekaniem. Niebawem cały folwark przebudził się.

— Stójcie na miejscu, dosyć daleko od muru — rzekł Pedant. — Jest nas tak dużo, że ci poczciwi ludzie mogliby się przerazić i wziąć nas za bandę opryszków chcących napaść ich

sielskie penaty. Ponieważ jestem stary, wyglądam poważnie i dobrodusznie, sam zapukam we wrota i rozpocznę rokowania. Nie złączną się mnie.

Rada była mądra i została przyjęta. Blazjusz, zgiąwszy palec wskazujący, zapukał do bramy, która się uchyliła, a potem otwarła szeroko. Następnie stojąc w śniegu na miejscu, gdzie się zatrzymali, aktorzy ujrzeli scenę trudną do wytłumaczenia i niespodziewaną. Pedant i gospodarz, który podniósł swą lampę, aby oświetlić twarz człowieka przybywającego o ta-kiej porze, wymienili kilka słów, których aktorzy nie mogli dosłyszeć, po czym zaczęli gesty-kulować w sposób dziwaczny i obejmować się w uściskach, jak to bywa w teatrze przy cudo-wnych spotkaniach.

Zachęteni tym przyjęciem, którego nie rozumieli, lecz które na podstawie czulej mimiki uznali za przyjazne, aktorzy zbliżyli się nieśmiało, przyjmując postawę żalną i skromną, jak przystoi na podróżnych zaskoczonych przez wypadek i błagających o gościnę.

— Hejże, koledzy! — zawołał Pedant wesoło. — Zbliźcie się bez obawy. Jesteśmy u człowieka naszego zawodu, ulubieńca Tespisa, faworyta Talii, muzy komicznej. Krótko mó-wiąc, u sławnego Bellombre'a, niegdyś tak oklaskiwanego na dworze i w mieście, nie mówiąc już o prowincji. Wszyscy znacie jego ogromną sławę. Błogosławcie przypadek, który nas kieruje właśnie do filozoficznej pustelni, gdzie ów bohater spoczywa na laurach.

— Wejdźcie, panowie i panie — rzekł Bellombre sunąc ku aktorom z wytworną grze-cznością zdradzającą człowieka, który nie zapomniał pięknych manier pod strojem wieśniaczym. — Zimny powiew nocy mógłby przyprawić o chrypkę drogocenne wasze gardła. A chociaż skromne jest moje mieszkanie, będzie wam tutaj na pewno lepiej niż pod gołym niebem.

Łatwo sobie wyobrazić, że towarzysze Blazjusza nie dali się prosić i weszli do folwa-rku, zachwyceni przygodą, która zresztą nie miała w sobie nic nadzwyczajnego poza tym, że wydarzyła się tak w porę. Blazjusz należał niegdyś do trupy, w której grał Bellombre, a po-nieważ rodzaje ról nie zmuszały ich do rywalizacji, cenili się i byli przyjaciółmi dzięki wspólnemu zamiłowaniu do boskiej butelki. Bellombre, którego do teatru rzuciło życie bardzo burzliwe, wycofał się z niego, odziedziczywszy po śmierci ojca ten folwark. Role, które grał, wymagały młodości; był więc zadowolony, że może zniknąć, zanim zmarszczki wypiszą mu dymisję na twarzy. Od dawna uważano go za zmarłego, a starzy bywalcy teatrów zniechęcali jego wspomnieniem młodych aktorów.

Izba, do której weszli komedianci, była dość duża; jak się to często zdarza na wsi, słu-żyła ona równocześnie za sypialnię i kuchnię. Komin z szerokim okapem, ozdobionym falba-ną z zielonej serży, zajmował jedną ze ścian. Na drugiej, pomalowany na kolor brązowy, rysował się łuk z cegieł; wskazywał on otwór pieca chlebowego, zamknięty w tej chwili bla-szanymi drzwiczkami. Na olbrzymich wilkach żelaznych * o wydrążonych półkulach, w któ-rych mogły zmieścić się miski, paliło się z radosnym trzaskiem kilka ogromnych polan, a raczej pni drzewnych.

Uczucie głębokiej błogości przenikało aktorów rozgrzanych ciepłą atmosferą. Różowe kolory życia wracały na pobladłe twarze i wargi spękane od zimna. Wesołość rozświetlała oczy przed chwilą bezbarwne i nadzieja podnosiła głowy. Ów bożek zezowaty, kulawy i zło-śliwy, którego nazywamy pechem, zmęczył się nareszcie prześladowaniem wędrownej kom-panii; widocznie uspokojony śmiercią Matamora, zadowolił się tą skromną zdobyczą.

Bellombre zawołał służących, którzy ustawili na obrusie talerze i brzuchate dzbany ku wielkiej radości Blazjusza,

zawsze spragnionego o najpóźniejszej nawet nocnej godzinie.

— Widzisz — rzekł do Tyrana — jak logiczne wysnułem przewidywania z czerwonego światełka. To nie było ani złudzenie, ani duchy. Tłusta para unosi się kłębamii z nad zupy, w której dużo jest kapusty, rzepy i innych jarzyn. Czerwone, klarowne wino, świeżo ściągnięte, musuje w dzbanach, ozdobione na powierzchni różową pianką. Ogień płonie tym żywiej, im zimniej jest na dworze. Co więcej, mamy jako gospodarza wielkiego, sławnego, nigdy dostatecznie nie chwalonego Bellombre'a, kwiat i chwałę aktorstwa dawnego, obecnego i przyszłego, nie obrażając niczyjego talentu.

— Nasze szczęście byłoby zupełne, gdyby biedny Matamor znajdował się tutaj — westchnęła Izabela.

— Co mu się stało? — rzekł Bellombre, który znał Matamora ze słyszenia.

Tyran opowiedział mu tragiczną przygodę kapitana zmarłego w śniegu.

— Gdyby nie szczęśliwe spotkanie dawnego i zacnego kolegi groziłoby nam to samo — rzekł Blazjusz. — Znaleziono by nas zmarzniętych niby marynarzy w ciemnościach i mroźnych podbiegunowych.

— Byłaby to wielka szkoda — odpowiedział wytwornie Bellombre rzucając spojrzenie Izabeli i Serafinie. — Ale te młode boginie na pewno by stopiły śnieg ogniem swych źrenic.

— Przypisuje pan zbyt wiele siły naszym oczom — odrzekła Serafina. — W tych ponurych i lodowatych ciemnościach łzy wyciśnięte przez mróz zgasiłyby płomienie miłości.

* wilki żelazne — ruchome, niekiedy bardzo ozdobne podstawki podtrzymujące drzewo, które płonie w kominku.

Nie przerywając jedzenia, Blazjusz poinformował

Bellombre'a o sytuacji swej trupy. Gospodarz nie wydawał się wcale zdziwiony.

— Fortuna teatralna jest jeszcze bardziej kobieca i kapryśna niż szczęście salonów — odrzekł. — Jej koła obracają się tak szybko, że zaledwie kilka chwil może się utrzymać w miejscu. Ale chociaż często upada, podnosi się zrećznie i lekko, natychmiast odzyskując równowagę. Jutro wyślę konie na poszukiwanie waszego wozu i urządzimy teatr w szopie. Niedaleko od folwarku jest dość duże miasteczko, skąd przyjdzie dosyć widzów. Jeżeli przed-stawienie nie wystarczy, to w głębi mej starej sakwy skórzanej śpi kilka pistoli z lepszego kruszcu niż monety teatralne... Na Apollina! Nie zostawię w kłopotach mego starego Blazju-sza i jego przyjaciół!

— Widzę — rzekł Pedant — że jesteś zawsze wspaniałomyślny, Bellombre, że nie zardzewiałeś w tych wiejskich i sielankowych zajęciach.

— Nie — odpowiedział Bellombre. — Uprawiając me pola, nie zaniedbuję ducha. Wra-cam do dawnych autorów, przy kominku, z nogami koło ognia. Przerzucam sztuki wybitnych talentów współczesnych, które mogę dostać na tym wygnaniu. Dla zabicia czasu studiuję sobie role, które mi odpowiadają, i przekonywam się, że byłem tylko wielkim pyszałkiem w czasach, gdy mnie oklaskiwano na scenie, ponieważ posiadałem donośny głos, wytworne ubranie i piękne nogi. Wtedy nie miałem wątpliwości co do moich zdolności i szedłem na przekór wszystkiemu bez zastanowienia jak kruk, który strząsa orzechy. Głupota publiczności była przyczyną mojego powodzenia.

— Tylko sam wielki Bellombre może mówić o sobie w ten sposób — rzeki Tyran z kurtuazją.

— Sztuka jest długa, a życie krótkie — ciągnął były aktor — zwłaszcza dla artysty teatralnego, który musi wyrażać

swoje koncepcje własną osobą. Mój talent zaczął dojrzewać właśnie wtedy, gdy zacząłem nabierać brzuszka — rzecz arcyśmieszna przy moich rolach po-sępnego adonisa i tragicznego kochanka. Nie chciałem doczekać się chwili, gdy dwaj pachół-kowie teatralni musieliby mnie podnosić za ramiona w momentach wymagających rzucenia się na kolana przed księżniczką, by jej oświadczyć miłość z astmatyczną czkawką i płaczliwym wywracaniem oczu. Skorzystałem z okazji, jaką mi dał spadek, i wycofałem się w porę, nie chcąc naśladować uparciuchów, których trzeba wyrzucać ze sceny za pomocą ogryzków, skórek pomarańczowych i jajek na twardo.

— Zrobiłeś rozsądnie — rzekł Blazjusz — choć wycofałeś się za wcześnie i mogłeś zostać w teatrze jeszcze z dziesięć lat.

Rzeczywiście Bellombre, mimo cery pociemniałej na wiejskim powietrzu, zachował doskonały wygląd; jego oczy przywykłe do wyrażania namiętności ożywiały się i wypełniały światłem w ogniu rozmowy. Jego wydatny i ruchliwy nos miał piękny kształt. Jego wargi rozchylając się ukazywały zęby, które mogłyby przynieść zaszczyt kokietce. Jego podbródek, przecięty rowkiem, podnosił się dumnie; obfite włosy, wśród których świeciły rzadkie nitki srebra, spadały w bujnych lokach aż na ramiona. Był to jeszcze mężczyzna bardzo przystojny.

Blazjusz i Tyran pili dalej w towarzystwie Bellombre'a. Aktorki schroniły się do pokoju, gdzie służba rozpałała potężny ogień. Sigognac, Leander i Scapin położyli się w kącie stajni, na kilku wiązках świeżej słomy; oddech zwierząt i derki na konie dobrze zabezpieczały ich przed zimnem.

Podczas gdy jedni piją, a inni śpią, wróćmy do

opuszczonego wozu i popatrzmy, co się w nim dzieje.

Koń leżał w zaprzęgu jak przedtem, tyle że jego nogi stały się sztywne jak kije, a głowa rozpląszczyła się na ziemi wśród rozrzuconych kosmyków grzywy, na której pot ściał się od zimna w lodowe kryształki. Oczodoły pogłębiły się, chude policzki były jeszcze bardziej kościste.

Świt zaczynał wstawać; zimowe słońce ukazywało między dwoma długimi pasmami chmur połowę swej tarczy koloru ziemistej bieli i rzucało blade światło na siny krajobraz, gdzie żalobną czernią rysowały się szkielety drzew. Wśród bieli śniegu podskakiwało kilka kruków; kierując się węchem, podchodziły ostrożnie do zdechłego zwierzęcia, obawiając się jakiegoś niebezpieczeństwa, zasadzki czy fortelu, gdyż przerażał je nieruchomy i posepny masyw wozu; mówiły sobie w swym kraczącym języku, że owa maszyna może kryć myśliwego na czatach, bo przecież kruk w potrawce nie jest rzeczą do pogardzenia. Posuwały się naprzód skokami, rozgorączkowane pożądaniem, cofały się odpędzane przez strach, wykonując przedziwny taniec. Jakiś śmiałek wysunął się z chmary, potrząsnął kilkakrotnie ciężkimi skrzydłami, oderwał od ziemi i spadł na głowę konia. Schylał już dziób, aby wykluć trupowi oczy, gdy zatrzymał się nagle i nastroszył pióra jak gdyby nasłuchując.

Śnieg skrzypiał pod ciężkimi krokami na drodze i ten chrzest, którego by może nie uchwycił słuch ludzki, zadźwięczał wyraźnie dla delikatnego ucha kruka. Niebezpieczeństwo nie było bliskie i czarny ptak nie opuszczał swego miejsca, ale miał się na baczności. Kroki zbliżyły się i niebawem postać ludzka, niosąca jakiś przedmiot, zamajaczyła w porannej mgle. Kruk uznał, że rozsądniej będzie wycofać się, i poleciał wydając długi krzyk dla ostrzeżenia towarzyszy przed niebezpieczeństwem.

Cała banda uniosła się ku sąsiednim drzewom, kracząc

ostro i chrapliwie. Człowiek był już blisko i, zdziwiony znalezieniem w środku drogi bezpieczeństwa wozu, zaprzęgniętego w zwierzę, które — jak klacz Rolanda * — miało tę główną wadę, iż było martwe, przystanął rzucając naokoło spojrzenie bystre a czujne.

By rzecz zbadać dokładniej, złożył swój ciężar na ziemi. Ów ciężar sam się utrzymał w pozycji pionowej i nawet zaczął chodzić; była to bowiem dziewczynka mniej więcej dziewięcioletnia; długa mantyla, która ją pokrywała od stóp do głów, mogła jej dać wygląd walizy czy worka podróżnego, gdy zwisała na ramieniu towarzysza. Pod chustą, którą miała na głowie, błyszczały ponurym blaskiem oczy czarne i rozgorączkowane, najzupełniej podobne do oczu Chiquity. Sznur pereł rysował kilka jasnych punktów na płowym cieniu jej szyi; ta zbytkowna błyskotka tworzyła kontrast ze szmatami, które owijały jej boscie nogi.

Była to rzeczywiście Chiquita, a jej towarzysz to nikt inny jak Agostyn, herszt bandy manekinów; zmęczony wykonywaniem swego szlachetnego zawodu na pustych drogach, udał się do Paryża, gdzie wszystkie talenty znajdują zastosowanie; maszerował nocą i krył się w dzień, jak to czynią wszelkie zwierzęta drapieżne i krwiożercze. Dziewczynka, utrudzona i zziębnięta, nie mogła mimo całej swej odwagi iść dalej, a Agostyn, szukając jakiegoś schronienia, niósł ją jak Homer lub Belizariusz **, z tą tylko różnicą, iż nie był ślepy, lecz wprost przeciwnie, miał wzrok rysia, który według Pliniusza Starszego *** widzi poprzez mury.

— Co to znaczy? — rzekł Agostyn do Chiquity. — Zwykle to my zatrzymujemy wozy, a tu wóz zatrzymuje nas; uważajmy, żeby nie był pełen podróżnych, którzy od nas zażądają pieniędzy lub życia!

— Nie ma tu nikogo — odpowiedziała Chiquita, która

wsunęła głowę pod płachtę wozu.

— Może więc coś znajdziemy — ciągnął bandyta. — Przystąpmy do oględzin.

Grzebiąc w fałdach swego pasa, wyciągnął hubkę i krzemień; skrzesawszy ognia, zapa-

* klacz Rolanda — w „Rolandzie Szalonym”, pełnym fantazji i humoru utworze Ludwika Ariosta (wielkiego poety włoskiego z epoki Odrodzenia), główny bohater, postradawszy zmysły, chce zabrać konia spotkanemu przypadkiem wieśniakowi i w zamian ofiarowuje mu swoją klacz; jest ona co prawda martwa — przyznaje Roland — ale poza tym „nie można się w niej dopatrzeć żadnej innej wady”.

** Belizariusz — wódz bizantyjski z VI w., według legendy popadł w niełaskę i, oślepiiony, miał wędrować w towarzystwie dziecka, żebrząc o jałmużnę. Legenda przedstawia Homera również jako wędrownego ślepcę.

*** Pliniusz Starszy — przyrodnik rzymski z I w. n.e.; autor „Historii naturalnej”, zawierającej wiele informacji fantastycznych.

lił ślepą latarnię, którą nosił stale przy sobie na wyprawy nocne, gdyż światło nie rozjaśniało jeszcze ciemności wnętrza wozu. Chiquita, zapominając o zmęczeniu na myśl o możliwej zdobyczy, weszła do środka, kierując światło na paczki, które się tutaj znajdowały; ujrzała jednak tylko stare malowane płótna, rekwizyty z kartonu i kilka bezwartościowych łachmanów.

— Szukaj dobrze, Chiquito — rzekł bandyta stojący na czatach. — Przetrząśnij schowki i woreczki przy drabinkach.

— Nie ma nic, ale to nic, co by było warto zabrać... A, jest!... Worek, w którym dźwięczy jakiś metal.

— Daj go zaraz i przysuń latarnię, żebym zbadał tę zdobycz. Na rogi diabła i ogon Lucyfera! Nie mamy szczęścia.

Miałem nadzieję, że to dobra moneta, a znajduję tylko żetony z miedzi i pozłacanego ołowiu. Przynajmniej wykorzystamy to spotkanie w ten sposób, że schronimy się na chwilę przed ostrym wiatrem do wozu. Twe biedne pokrwawione nóżki nie mogą cię dalej nosić; droga jest ciężka, a podróż daleka. Połóż się na płótnach i prześpij go-dzinę albo dwie. Ja tymczasem będę czuwał i w razie niebezpieczeństwa nie damy się zaskoczyć.

Chiquita zwinęła się w kłębek w głębi wozu, naciągając na siebie stare dekoracje, aby się trochę ogrzać, i wkrótce zasnęła. Agostyn został na przodzie wozu, z otwartym nożem w pogotowiu, oglądając okolicę przeciągłym spojrzeniem bandyty, któremu nie wymknie się nic podejrzanego. Głęboka cisza panowała na pustych polach.

Na zboczach dalekich wzgórz zaznaczały się pasma śniegu i świeciły w bladawych promieniach świtu jak białe upiory lub cmentarne marmury. Ale wszystko to zachowywało nieruchomość jak najbardziej uspokajającą. Agostyn, mimo swej silnej woli i żelaznej wytrzymaności, odczuwał senność. Już wiele razy opadały mu powieki, a on gwałtownie je podnosił; tracił poczucie rzeczywistości. Nagle poprzez chaotyczny półsen uderzyło w jego twarz mokre i ciepłe tchnienie. Obudził się i otwierając oczy, ujrzał dwie fosforyzujące źrenice.

— Wilki nie zjadają się między sobą, mój mały! — szepnął bandyta. — Nie masz dość ostrych zębów, żeby mnie ugryźć. — I ruchem szybszym niż myśl ścisnął szyję zwierzęcia swą lewą ręką; prawą podniósł nóż i zanurzył w serce wilka aż po rękojeść. Nie uważał je-dnak, mimo zwycięstwa, by miejsce było bezpieczne, i obudził Chiquitę, która nie objawiała żadnego strachu na widok martwego wilka, rozciągniętego na drodze.

— Lepiej dać drapaką — powiedział bandyta. — Ta

padlina przyciąga wilki, które wściekają się z głodu zimą, kiedy nie znajdują nic do jedzenia. Zabiję jeszcze kilka, tak jak tego, ale mogą przyjść tuzinami; jeżeli zasnę, byłoby mi nieprzyjemnie obudzić się w żołądku drapieżnego zwierzęcia. Gdyby mnie pożarły, ty, cherlaczku, wystarczyłabyś im na jeden kęs z twoimi drobnymi kostkami. Słuchaj więc, uciekajmy czym prędzej, a one zajmą się tą padliną. Możesz już iść, prawda?

— Tak — odpowiedziała Chiquita, która nie była dzieckiem rozpieszczonym i wychowanym w puchach. — Ten krótki sen wrócił mi siły. Biedny Agostynie, nie będziesz mnie musiał nieść jak ciężki tobolek. Zresztą, jeżeli nogi odmówią posłuszeństwa — dodała z dziką energią — utnij mi głowę tym wielkim nożem i rzuć mnie do rowu. Będę ci za to wdzięczna.

Herszt bandy manekinów i dziewczynka oddalili się szybkim krokiem. Po upływie kilku minut zniknęli w mroku.

Uspokojone ich odejściem kruki sfrunęły z sąsiednich drzew, rzuciły się na zdechłą szkapę i zaczęły swój trupi festyn. Kilka wilków nadciągnęło niebawem, aby wziąć udział w uczcie; ich czarni współbiesiadnicy, wymachujący skrzydłami, kraczący i walczący dziobami, nie sprawiali na nich żadnego wrażenia. W ciągu kilku godzin tak dzielnie pracowały czwo-ronogi i ptaki, że koń został oczyszczony aż do kości i w świetle porannym ukazał się w postaci szkieletu, spreparowanego, zda się, przez chirurgów-weterynarzy. Zostały tylko kości, ogon i kopyta.

Gdy był już jasny dzień, nadszedł Tyran w towarzystwie parobka z folwarku, aby zabrać wóz. Potknął się o nieżywego, na wpół zjedzonego wilka i zobaczył, że kły i dzioby nie oszczędziły biednego konia. Worek z żetonami rozsiewał fałszywą monetę po drodze, a śnieg ukazywał

wyraźne ślady, duże i małe, które prowadziły do wozu i następnie oddalały się od niego.

— Zdaje się — rzekł Tyran — że wóz Tespisa miał dziś odwiedziny różnego rodzaju. O szczęśliwy przypadku, któryś nas zmusił do przzerwania naszej aktorskiej odysei, nie mogę cię dość nabłogosławić! Dzięki tobie uniknęliśmy wilków na dwóch nogach i na czterech łapach, tak samo niebezpiecznych, jeżeli nie gorszych. Jakież to byłby dla nich przysmak miękkie ciało Izabeli i Serafiny, nie licząc naszej starej, łykowatej skóry.

Podczas gdy Tyran tak filozofował, służący Bellombre'a wyciągał wóz i zaprzęgał przy-prowadzonego konia, który parskał trwożnie, widząc szkielet i czując zapach wilka, którego krew plamiła śnieg.

Wóz został umieszczony na podwórzu folwarku pod szopą. Nie brakowało w nim niczego, a nawet znalazło się coś, czego nie było przedtem: mały nóż z tych, jakie się produkuje w Albacete *. Wypadł on z kieszeni Chiquity podczas jej drzemki i nosił na swej ostrej klindze tę groźną dewizę hiszpańską:

*Cuando esta vivora pica
No hay remedio en la botica **.*

Ta tajemnicza zdobycz bardzo zaintrygowała Tyrana i dała do myślenia Izabeli, która była nieco przesądna i lubiła wyciągać wróżby dobre lub złe z małych wydarzeń, nie dostrze-ganych albo lekceważonych przez innych.

Młoda kobieta znała język kastylski, jak znały go wtedy wszystkie osoby z jakim takim wykształceniem, i niepokojąca treść napisu nie uszła jej uwagi.

Scapin pojechał do miasteczka przywdziawszy swój piękny kostium w pasy różowe i białe oraz wielką krezę

należycie ukarbowaną; biret nasunął na oczy, na ramię narzucił płaszcz, a minę miał przy tym dumną i triumfującą. Chodził podrzucając bęben w górę auto-matycznym i rytmicznym ruchem kolan na sposób żołnierski — Scapin istotnie był żołnierzem, zanim został aktorem. Gdy dotarł na plac kościelny w eskorcie kilku uliczników, których oczarował jego niezwykły strój, poprawił swój biret, stanął w przepisowej pozycji i, uderzając pałeczkami w oślą skórę bębna, wydobył z niej werbel tak krótki, doskonały i właściwy, że obudziłby zmarłych niczym trąba sądu ostatecznego. Można więc wyobrazić sobie, jakie wrażenie wywarł na żywych. Wszystkie okna i drzwi otworzyły się, jakby poruszone tą samą sprężyną. Ukazały się w nich głowy przybrane czepkami, rzucające ciekawe i wyleknione spojrzenia na plac. Drugi werbel, ostry jak ogień muszkietów i dudniący jak grzmot, opróżnił domy, w których zostali jedynie ciężko chorzy i kobiety w połogu. Po upływie kilku minut cała osada otoczyła Scapina. Aby bardziej oczarować publiczność, spryciarz wykonał na swym bębnie jeszcze kilka werbli w sposób tak żywy i zręczny, że rozbiegane pałeczki stały się niewidoczne, choć ręce aktora wydawały się nieruchome. Gdy zobaczył, że usta poczciwych wieśniaków przybrały kształt litery O, którą mistrzowie malarstwa uważają w swych zapiskach teoretycznych za najwyższy wyraz zdumienia, przerwał nagle cały harmider; następnie, po chwili ciszy, zaczął piskliwym głosem, którego intonację zmieniał najdziwaczniej, taką oto przemowę pełną krotocwilnej przesady:

— Dziś wieczorem jedyna okazja! Wspaniałe widowisko! Przedstawienie nadzwyczajne! Sławni aktorzy wędrownego zespołu kierowanego przez pana Heroda, którzy mieli zaszczyt grać przed głowami koronowanymi i książętami krwi, przejeżdżając przez tę okolicę

* Albacete — miasto w pld.—wsch. Hiszpanii znane z wyrobu sztyletów i noży

** *Cuando esta vivora pica, No hay remedio en la botica* (hiszp.) — Kiedy ta żmija ukąsi, nie znajdzie się już lekarstwa w aptece.

dadzą tylko jeden jedyny raz — gdyż są oczekiwani w Paryżu, dokąd wzywa ich dwór — sztukę niesłychanie zabawną i komiczną pod tytułem „Fanfaronady kapitana Fracasse”! Nowe kostiumy, nieznane sceny bijatyk najkomiczniejsze w świecie. Na zakończenie przedstawienia panna Serafina wykona taniec mauretański, wzbogacony w figury, pozy i skoki według ostatniej mody, akompaniując sobie na bębenu baskijskim, na którym gra lepiej niż wszystkie Cyganki Hiszpanii. Będzie to bardzo zabawne. Przedstawienie odbędzie się w stodole pana Bellombre'a, odpowiednio w tym celu urządzonej i bogato zaopatrzonej w ławki oraz oświetlenie. Pracując więcej dla sławy niż dla zysku, przyjmujemy nie tylko pieniądze, lecz także produkty spożywcze, aby pomóc tym, co nie mają monety. Powtórzcie to wszystkim!!!

Skończywszy swą przemowę, Scapin, jakby konkludując, zabębnił tak wściekle, że szyby kościelne zadrżały w ołowianych ramach, a wiele psów, bardziej przerażonych, niż gdyby im przymocowano do ogonów miedziane patelnie, uciekło z wyciem.

Tymczasem na folwarku aktorzy przy pomocy Bellombre'a i jego służby dokonali już niemałej pracy. W głębi stodoły deski położone na beczkach utworzyły scenę. Kilka ław wypożyczonych z szynku zastępowało fotele; przy tak niskich cenach biletów nie można było przecież żądać, aby siedzenia były wyściełane i kryte aksamitem. Dekorację sufitu już dawniej wzięły na siebie pająki — utkane przez nie

rozłożyste rozety zwisały między belkami. Jakież tapicer, nawet i dworski, mógłby wykonać obicia cieńsze, delikatniejsze i misterniej wykończone, choćby z chińskiego atlasu? Te wiszące pajęczyny przypominały ozdobione herbami sztandary, które się widzi w kapitułach zakonów rycerskich i orderów królewskich. Widok bardzo piękny dla każdego, kto mógłby zrobić to porównanie.

Woły i krowy, którym podłożono świeżą ściółkę, dziwiły się tak niezwykłemu poruszeniu i często odwracały głowy od żłobów, przyglądając się uważnie teatrowi, gdzie biegali aktorzy, powtarzający swą sztukę, aby pokazać Sigognakowi kolejność scen.

— Pierwsze kroki na scenie — rzekł baron śmiejąc się — stawiam wobec widowni złożonej z rogacizny. Wystarczyłoby to, żeby urazić moją miłość własną, gdybym ją miał.

— Nie ostatni raz ma pan tego rodzaju publiczność — odrzekł Bellombre — zawsze znajdują się na sali durnie i żonaci.

Jak na nowicjusza, Sigognac grał wcale nieźle; widać było, że szybko wciągnie się w nowy zawód. Miał donośny głos, dobrą pamięć i umysł dość wykształcony, aby wzbogacać swą rolę nowymi replikami, które się rodzą na oczekaniu i dodają grze żywości. Sceny mimiczne sprawiały mu więcej kłopotu, ponieważ gęsto były przeplatane uderzeniami kija, przeciw którym buntowało się jego męstwo, chociaż razy były zadawane wałkami z pomalowanej materii, wypełnionej pakułami; koledzy, pamiętając o jego szlachectwie, oszczędzali go, jak mogli, a jednak mimo woli unosił się gniewem, robił straszne grymasy, groźnie marszczył brwi i spoglądał spode łba. Potem, przypominając sobie nagle rodzaj swojej roli, wracał do miny tchórzliwej i przerażonej.

Bellombre, który się przyglądał z przenikliwą uwagą starego i wytrawnego aktora, zawołał ze swego miejsca:

— Niech pan nie zmienia tych naturalnych odruchów! Są bardzo dobre i dadzą nową odmianę typu Matamora. Nawet gdy pan już nie będzie doznawał przyplływów gniewu i oburzenia, niech je pan sztucznie naśladuje. Fracasse to postać, którą pan sam ma stworzyć, bo ten, co naśladuje innych, jest zawsze tylko cieniem. Otóż Fracasse chciałby być odważny, ceni męstwo, podobają mu się dzielni ludzie i sam się na siebie oburza, że jest takim tchó-rzem. Z dala od niebezpieczeństwa marzy o czynach bohaterskich, przedsięwzięciach nadludzkich i gigantycznych, ale gdy sytuacja staje się groźna, jego zbyt żywa wyobraźnia ukazuje mu bolesne rany, sine oblicze śmierci — i już po odwadze! Zrazu buntuje się przeciw myśli, że będzie bity, i wściekłość roznosi go. Ale pierwszy cios niweczy jego postanowienie. Ta metoda jest lepsza niż chwianie się na nogach, wytrzeszczanie oczu i inne grymasy bardziej małpie niż ludzkie, jakimi źli aktorzy wymuszają śmiech publiczności i marnują sztukę.

Sigognac poszedł za radą Bellombre'a i wykonał swą rolę wedle tej koncepcji tak dobrze, że dostał brawa od aktorów; wszyscy zapewniali go, że odniesie wielki sukces.

Przedstawienie miało się zacząć o czwartej po południu. Na godzinę wcześniej Sigo-gnac przywdział kostium Matamora. Leonarda poszerzyła go przedtem, rozpuszczając zakładki, które powstawały, w miarę jak zmarły aktor chudł coraz bardziej.

Wkładając tę starzyznę, baron mówił sobie, że więcej sławy niż takie komedianckie przebranie, w którym miał przedstawiać chełpliwego tchórze, przysporzyłaby mu żelazna zbroja jego przodków, zwłaszcza że był naprawdę odważny i zdolny do bohaterskich czynów; nieprzyjazna Fortuna zmuszała go jednak do tej smutnej ostateczności, nie pozostawiając mu innych środków do życia.

Publika już napływała i gromadziła się w stodole. Kilka

latarni na belkach, które pod-trzymywały strop, rzucało czerwonawe światło na wszystkie te głowy czarne, jasne i siwieją-ce, wśród których wyróżniało się kilka czepków kobiecych.

Inne latarnie umieszczono na krawędzi sceny zamiast świec, bo trzeba było uważać, żeby nie zaproszyć ognia w słomie i sianie.

Przedstawienie zaczęło się, słuchano go uważnie. Za aktorami — bo tylna część sceny nie była oświetlona — snuły się wielkie, dziwaczne cienie, które zdawały się przedrzeźniać sztukę i powtarzać wszystkie ruchy fantastyczną i nieskładną gestykulacją, ale ten groteskowy szczegół nie został zauważony przez naiwnych widzów, całkowicie pochłoniętych treścią komedii i jej bohaterami, których uważali za prawdziwych.

Kilka krów, nie mogących spać wskutek tumultu, spoglądało na scenę tymi wielkimi oczami, z których starożytny Greczyn Homerus zrobił epitet wychwalający urodę Junony *; a nawet w momencie najwyższego napięcia jedno z cieląt wydało żałosny jęk, który nie zburzył iluzji zacnych chłopków, ale o mało nie przyprawił aktorów na scenie o wybuch śmiechu.

Kapitan Fracasse zdobył wielokrotne brawa, gdyż znakomicie grał swą rolę, nie odczu-wając wobec tak prostej publiczności emocji, której by doznał mając do czynienia z widzami trudniejszymi i bardziej wykształconymi. Był zresztą pewny, że nikt go tu nie zna. Inni akto-rzy też zbierali huczne oklaski przy bardziej efektownych scenach.

Serafina wykonała swój taniec mauretański dumnie i zmysłowo, przeginając się wyzy-wająco i skacząc lekko. Przebierała prędko nogami i stosowała najrozmaitsze efekty, które wywołałyby podziw nawet u osób z wielkiego świata i dworzan. Była czarująca, zwłaszcza gdy potrząsała nad głową

swym baskijskim bębenkiem i jego miedziane blaszki zaczynały dzwonić lub gdy pocierając palcem ciemną skórę bębenka, wydobywała z niej głuchy warkot tak zręcznie jak zawodowa panderera **.

Tymczasem na ścianach chylącego się ku ruinie zamku Sigognaca stare portrety przodków przybierały miny jeszcze bardziej groźne i nachmurzone niż zwykle. Rycerze wzdychali tak głęboko, iż podnosiła się żelazna zbroja na ich piersiach, i melancholijnie potrząsali głowami; dostojne wdowy krzywiły się pogardliwie nad rurkowanymi krezami i z powrotem nieruchomiały w swych gorsetach i robronach ***. Głos cichy, powolny i bez-dźwięczny, głos cienia wymykał się z malowanych ust i szeptał:

— Niestety! Ostatni z rodu Sigognaków pokalał klejnot szlachecki!

W kuchni, siedząc smutnie między Belzebubem a Mirautem, spoglądającymi nań pytająco, Piotr tonął w rozmyślaniach. Mówił sobie: „Gdzie jest teraz mój biedny pan!” I po ciemnym policzku starego sługi spłynęła łza, którą pies zlizzał natychmiast.

* ...epitet wychwalający urodę Junony — w „Iliadzie” i „Odysei” Junona jest rzeczywiście nazwana „wolooką”

** panderera (hiszp.) — artystka grająca na bębenku zwanym pandera.

*** robron (z franc. robe ronde) — sztywna, bufiasta spódnica.

ROZDZIAŁ VIII

SPRAWY SIĘ KOMPLIKUJĄ

Nazajutrz po przedstawieniu Bellombre odciągnął Blazjusza na stronę, rozwiązał długą skórzaną sakiewkę i wysypał z niej jak z rogu obfitości sto pięknych pistoli, które ułożył w stos ku wielkiemu podziwowi Pedanta, wpatrzonemu pożądliwie w ten skarb. Następnie gestem pełnym wielkoduszności Bellombre chwycił od razu cały stos i położył go na dłoni swe-go przyjaciela.

— Wiesz dobrze — rzekł — że nie pokazuję tej monety po to, aby cię podniecać i wzbudzać w tobie męki Tantalą. Weź te pieniądze bez skrupułów. Daję ci je lub pożyczam, jeżeli twa duma wzdraga się przed przyjęciem daru od dawnego kolegi. Pieniądz jest nerwem wojny, miłości i teatru. Zresztą monety są stworzone po to, żeby się toczyły — są przecież okrągłe i nudzą się leżąc w mroku tego trzосу, gdzie w końcu pokryłyby się pleśnią i grzybkiem. Ja tu nic nie wydaję, żyję po wiejsku u piersi karmicielki rodzaju ludzkiego — ziemi. Brak tej sumy nie robi mi więc różnicy.

Nie znajdując żadnej odpowiedzi na te słowa, Blazjusz schował pistole do kieszeni i serdecznie uściskał Bellombre'a. Oczy Pedanta bardziej niż zwykle błyszczały między mru-gającymi powiekami. Promień światła załamywał się w łzie, a wysiłki, jakie czynił stary aktor, aby powstrzymać wzruszenie, wprawiały jego krzaczaste brwi w arcyśmieszne ruchy. Wznosiły się one do środka sfałdowanego zmarszczkami czoła, po czym znowu opadały nie-mal tak nisko, że zakrywały oczy. Te wysiłki nie przeszkodziły jednak, iż łza się wymknęła i spływała wzdłuż nosa rozgrzanego wczorajszymi libacjami do czerwoności o wiśniowym od-cieniu, aż wreszcie zmieniła się w parę.

Nie ulegało wątpliwości: zły wiatr, który dotychczas nękał

trupe, zmienił kierunek. Dochód z przedstawienia połączony z pistolami Bellombre'a tworzył całość nader ponętą, składającą się z zapasów żywności i gotówki; wóz Tespisa, niedawno tak biedny, był teraz suto zaopatrzony. Aby nie załatwiać sprawy w sposób połowiczny, hojny Bellombre pożyczył aktorom dwa potężne konie w pięknej uprzęży z malowanymi chomałami, przy których dzwoneczki pobrzękiwały wesoło w takt solidnego i regularnego truchciku.

Nasi aktorzy, wypoczęci i weseli, wkroczyli do Poitiers nie tak wspaniale jak Aleksander Wielki do Babilonu, niemniej jednak majestatycznie. Chłopiec, który miał odprowadzić konie, siedział na koźle i powstrzymywał je, gdy wyrywały się, poczuwszy ciepły zapach stajni. Wśród krętych ulic miasta, na wyboistym bruku, koła dudniły, żelazo dzwoniło wesoło, ściągając ludzi do okien. Stanąwszy przed oberżą, woźnica dziarskim trzaśnięciem z bicia zażądał otwarcia bramy, a konie nagle poderwane tą salwą zadzwoniły dzwoneczkami u chomał.

Wyglądało to zupełnie inaczej niż nie tak dawno temu, gdy aktorzy zjawiali się w najnędzniejszych nawet oberżach nieśmiało, pokornie i ukradkiem. Właściciel zajazdu „Pod Herbem Francji” zrozumiał z tego triumfalnego hałasu, że nowo przybyli mają pieniądze, i sam pobiegł otworzyć na oścież bramę wjazdową.

— Jakież dobry los sprowadza pana, panie Herodzie? — rzekł oberżysta. — Już dawno nie widzieliśmy pana „Pod Herbem Francji”!

— To prawda — rzekł Tyran. — Ale nie można wygłupiać się stale w tym samym miejscu. Widzowie w końcu poznają wszystkie nasze sztuczki tak dobrze, że mogliby je sami wykonać. Trzeba niekiedy wyjechać na pewien czas: to, co ludzie zapomnieli, wygląda potem jak nowe. Czy jest teraz

dużo szlachty w Poitiers?

— Dużo, panie Herodzie! Polowania skończone i nie wiadomo, co robić z czasem. Nie można bez przerwy pić i jeść. Będziecie mieli dużo publiczności.

— Każ pan w takim razie przynieść klucze do siedmiu lub ośmiu pokoi — rzekł Tyran — zdjąć z rożna trzy lub cztery kapłony, wyciągnąć z piwnicy tuzin butelek tego winka, co to pan wie, i rozpuścić na mieście wiadomość, że sławna trupa Heroda stanęła „Pod Herbem Francji”, ma nowy repertuar i zamierza dać kilka przedstawień.

Podczas gdy Tyran i oberżysta tak rozmawiali, aktorzy wysiedli z wozu. Służący chwycili ich walizy i zanieśli na wskazane pokoje. Pokój Izabeli był oddzielony od innych, gdyż sąsiednie już poprzednio zostały zajęte. To oddalenie było na rękę skromnej dziewczynie, którą krępowała konieczność stałego przebywania z towarzyszami, na co skazuje wędrownych aktorów ich koczownicze życie.

Pod wpływem łagodniejszej temperatury śnieg stopniał, a jego resztki pozostały tylko od strony północnej. Promień słońca wpadł przez szybę. Izabela nie mogła się oprzeć pokusie, otworzyła okno i wytknęła na zewnątrz swój ładny nosek, aby zbadać, jaki widok roztacza się z jej pokoju. Była to fantazja tym niewinniejsza, że okno wychodziło na pustą ulicę, mającą po jednej stronie oberżę, a po drugiej długi mur ogrodowy, ponad którym wznosiły się wierzchołki ogołoconych z liści drzew. Spojrzenie sięgało w ogród i mogło błądzić po kwietniku obramowanym bukszpanem: w głębi stał pałac, którego starożytność zdradzały pociemniałe mury.

Dwaj mężczyźni spacerowali tutaj wzdłuż szpaleru grabowego. Obaj byli młodzi i przy stojni, lecz nierówni stanem, czego dowodził szacunek okazywany przez jednego z nich towarzyszowi i fakt, że pierwszy trzymał się nieco z tyłu

i ustępował kroku drugiemu za każdym razem, gdy zawracali. W tej przyjacielskiej parze pierwszy był Orestesem, a drugi Pyladesem *. Orestes — dajmy mu to imię, skoro jeszcze nie znamy prawdziwego — mógł mieć lat dwa-dzieścia, może dwadzieścia dwa. Miał bladą cerę, oczy i włosy bardzo czarne. Jego spencer z ciemnego aksamitu uwydatniał talię gibką i smukłą, krótki płaszcz tego samego koloru i z tej samej materii, obszyty potrójnym złotym galonem, zwisał mu z ramion, podtrzymywany jedwabną taśmą, której chwast spadał mu na piersi; na nogach miał miękkie trzewiczki z białej skóry rosyjskiej, a niejedna kobieta mogłaby pozazdrościć jego stopom małego kształtu i wysokiego podbicia, podkreślonego jeszcze wysokim obcasem. Po śmiałej swobodzie jego ruchów i wyniosłej pewności zachowania domyślić się było można wielkiego pana, pewnego, iż wszędzie znajdzie dobre przyjęcie, i przed którym otwierało się beztrudne życie. Pylades, z rudymi włosami i rudą brodą, ubrany na czarno od stóp do głów, nie miał tej triumfalnej pewności siebie, choć był wcale ładnym chłopcem.

— Powiadam ci, mój drogi, że Koryzanda mnie nudzi — rzekł Orestes zawracając przy końcu alei i prowadząc rozmowę rozpoczętą, zanim Izabela otworzyła okno. — Nie pozwoliłem jej wpuszczać do mnie i odeślę jej portret równie wstrętny, jak ona sama, a także listy jeszcze nudniejsze niż jej rozmowa.

— Ale Koryzanda kocha pana — nieśmiało sprzeciwił się Pylades.

— Co mi z tego, jeżeli ja jej nie Kocham! — odrzekł Orestes porywczo. — Właśnie o to chodzi. Czyż mam darzyć miłością z litości wszystkie gęsi i dzierlatki, którym przyjdzie ochota zakochać się we mnie? Jestem zbyt dobry. Daję się nabierać na te spojrzenia omdleającego karpia, płacze, wzdychania, jeremiady; i ostatecznie zaczynam się

podkochiwać, zło-rzecząc równocześnie swej dobroduszości i tchórzostwu. Od tej chwili będę zdecydowanie dziki, zimny jak Hipolit ** i unikający kobiet jak Józef ***. Bardzo zrećzna musi być ta

* Orestes — syn Agamemnona, jednego z wodzów greckich pod Troją. Pylades — wierny przyjaciel Orestesa.

** Hipolit — syn Tezeusza; przyplacił życiem swoją wierność cnocie.

*** Józef — biblijny cnotliwiec, na próżno kuszony przez żonę Putyfara wysokiego urzędnika na dworze egipskim.

Putyfara, która dosięgnie pazurkiem brzegu mego płaszcza! Staję się od tej chwili mizogi-nem *, wrogiem spódnic, wszystko jedno — zgrzebnych czy taftowych. Precz z księżniczkami, kurtyzanami, mieszczkami i pasterkami! Kobieta to tylko kłopoty, pomyłki i przykrości. Nienawidzę ich od fryzury do obcasów. Będę odtąd czysty jak zakonnik w swoim habicie. Ta przeklęta Koryzanda zniechęciła mnie do całej płci kobiecej raz na zawsze. Wyrzekam się jej...

Orestes doszedł do tego miejsca swego przemówienia, gdy podnosząc głowę, jakby chciał niebo wziąć na świadka swego postanowienia, dostrzegł przypadkiem Izabelę wyglądającą przez okno. Trącił łokciem towarzysza i rzekł:

— Spójrz w to okno i zobacz świeże jak Jutrzenka na krużganku Wschodu, cudowne i rozkoszne stworzenie, które wydaje się raczej bóstwem niż kobietą z tymi kasztanowatymi włosami, jasną twarzą i słodkimi oczyma! Z jakimże wdziękiem opiera się na łokciu i pochyła nieco naprzód, co pozwala lepiej dojrzeć pod gazą jej koszulki okragłości jej marmurowych piersi! Założę się, że ma doskonały charakter i niczym nie przypomina innych samiczek. Jej umysł musi być skromny, miły i ukształcony, rozmowa z nią przyjemna i urocza!

— Do licha! — odparł Pylades ze śmiechem. — Jaki pan musi mieć znakomity wzrok, aby to wszystko stąd zobaczyć! Ja widzę tylko kobietę w oknie, istotnie dość ładniutką, ale na pewno nie mającą wszystkich tych nieporównanych doskonałości, którymi ją pan obdarza tak hojnie.

— Ach, uwielbiam ją już całym sercem. Jestem w niej po uszy zakochany; pragnę jej i będę ją miał, choćbym miał użyć najsubtelniejszych forteli, opróżnić do dna wszystkie moje kufry i rozplatać stu rywali.

— No, no, niech pan się tak nie rozpędza — rzekł Pylades. — Mógłby pan dostać zapa-lenia płuc. A cóż się to stało z ową piękną nienawiścią do kobiet, którą tak się pan chełpił przed chwilą? Wystarczyła pierwsza lepsza twarzyczka, żeby się wycofać.

— Kiedy tak mówiłem i tak oczerniałem ród niewieści, nie wiedziałem, że istnieje ten anioł dobroci. I wszystko, co powiedziałem, jest tylko godnym potępienia bluźnierstwem, czystą herezją i dzikim wybrykiem. Błagam boginię miłości Wenus, aby mi to raczyła przeba-czyć.

— Przebaczy panu, niech pan nie wątpi. Jest przecież wyrozumiała dla nieprzytomnych kochanków, wśród których jest pan chyba najbardziej szalony.

— Rozpocznę kampanię — rzekł Orestes — i dwornie wypowiem wojnę mej pięknej nieprzyjaciółce.

Powiedziawszy to, zatrzymał się, utkwiał spojrzenie w Izabeli i ruchem zalotnym, a je-dnocześnie pełnym szacunku zdjął kapelusz, którego długie pióro zamiotło ziemię. Następnie końcami palców przesłał w kierunku okna pocałunek.

Młoda aktorka, która dostrzegła te gesty, odpowiedziała na nie zimnym i surowym wyrazem twarzy, jakby chcąc dać zuchwalcowi do zrozumienia, że się myli; potem zamknęła okno i opuściła firankę.

— Oto Jutrzenka skryła się za chmurami — rzekł Pylades.
— Nie jest to dobra wróżba na resztę dnia!

— Przeciwnie, uważam za znak pomyślny, że ta piękność wycofała się. Gdy żołnierz kryje się za blanki wieży, to znaczy, że strzała oblegającego nie chybiła. Ona już jest trafiona, mówię ci. Ten pocałunek zmusi ją do myślenia o mnie całą noc choćby dlatego, żeby mi zło-rzeczyć i nazywać mnie bezczelnym, a bezczelność nie działa źle na kobiety. Nitka jest je-szcze cienka, ale postaram się zrobić z niej sznur, który pozwoli mi wspiąć się na balkon infa-ntki.

— Zna pan cudownie całą teorię i podstępny miłości — rzekł z szacunkiem Pylades.

* mizogin (z greek.) — wróg kobiet.

— Chlubię się tym niekiedy — odpowiedział Orestes — ale teraz wracajmy. Spłoszona piękność nie pojawi się tak szybko. Wieczorem wyślę na plac boju moich zaufanych lokai.

Dwaj przyjaciele weszli z wolna na stopnie starego pałacu i znikli. Wróćmy teraz do naszych aktorów.

Niedaleko oberży była sala do gry w piłkę, doskonale nadająca się, aby w niej urządzić przedstawienie. Aktorzy wynajęli ją i miejscowy stolarz według wskazówek Tyrana szybko przystosował lokal do nowego przeznaczenia. Malarz, który wykonywał niezdarne szyldy i ozdabiał herbami powozy, odświeżył sfatygowane i spłowiałe dekoracje, a nawet nie bez powodzenia wymalował jedną nową. Pokój, gdzie się rozbierali gracze, został przerobiony na salę dla aktorów, przedzieloną parawanami, przez co powstały jakby garderoby dla aktorek. Wszystkie miejsca numerowane zostały z góry zarezerwowane i dochód zapowiadał się dobrze.

— Jaka szkoda — mówił Tyran do Blazjusza, wyliczając sztuki, które by można grać — że brak nam Zerbiny!

Subretka, prawdę mówiąc, to ziarno soli, mica salis, i cała przypra-wa komedii. Jej iskrząca się wesołość rozjaśnia scenę. Subretka ożywia słabsze miejsca sztuki i, ukazując swe trzydzieści dwie perły oprawne w karmin, zmusza do śmiechu nawet tych, którzy nie chcą się na to zdecydować.

Niebawem szybkie, rytmiczne kroki zadzwoniły na bruku; oparłszy się na balustradzie galerii, gdzie się przechadzali, rozmawiający dostrzegli trzy muły w hiszpańskiej uprzęży; na ich głowach kołysały się pióra, ponadto zdobiły je hafty, wełniane trzęzle, pęki dzwonek i pasiaste derki. Całość elegancka i świetna nie przypominała niczym wynajmowanych wierz-chowców.

Na pierwszym jechał lokaj w szarej liberii, mający za pasem nóż myśliwski i muszkiet zawieszony u siodła; twarz jego wyrażała pewność siebie jak u arystokraty i gdyby był ubrany inaczej, mógłby uchodzić za pana. Ciągnął za sobą na uździenicy, okręconej dokoła ramienia, drugiego muła, obciążonego dwoma olbrzymimi tobołami, umocowanymi po obu stronach i przykrytymi koronkową kapą.

Trzeci muł, wyglądający jeszcze piękniej i dumniej niż dwa poprzednie, niósł młodą ko-bietę, mającą na sobie ciepły płaszcz przybrany futrem i szary pilśniowy kapelusz z czerwonym piórem, opuszczony na oczy.

— Ejże! — rzekł Blazjusz do Tyrana. — Czy ten pochód czegoś ci nie przypomina? Zdaje mi się, że to nie pierwszy raz słyszę te dzwonki.

— Na świętego Alipantina — odpowiedział Tyran — to są te same muły, które zabrały Zerbinę na rozdrożu pod krzyżem. O wilku mowa...

— A wilk tu — przerwał Blazjusz. — O dniu po trzykroć i czterekroć szczęśliwy, godny zaznaczenia białą kredą! To rzeczywiście sama senora Zerbina! Zeskakuje ze swego wierzchowca z tym filuternym ruchem bioder, który jej tylko

jest właściwy; rzuca swój płaszcz lokajowi. Oto zdejmuje kapelusz i potrząsa włosami jak ptak piórami! Chodźmy naprzeciw niej, biegnijmy na jednej nodze!

Blazjusz i Tyran zeszli na podwórze i spotkali Zerbinę na ganku. Wesoła dziewczyna rzuciła się Pedantowi na szyję i zawołała obejmując go:

— Muszę cię uściskać i ucałować z całej siły tę twoją starą maskę z taką ochotą, jakbyś był ładnym chłopcem, bo tak się cieszę, że cię widzę! — I za słowami poszły czyny. — Nie bądź zazdrosny, Herodzie, i nie mruż tych swoich czarnych rzęsisk, jakbyś miał urządzić rzeź niewiniątek. Ciebie też pocałuję. Zaczęłam od Blazjusza, bo jest brzydszy.

Zerbina sumiennie dotrzymała przyrzeczenia, gdyż była dziewczyną słowną i na swój sposób uczciwą. Biorąc pod rękę obu aktorów, weszła na pięterko, gdzie pan Bilot kazał jej przygotować izbę. Zaledwie tam stanęła, rzuciła się na fotel i zaczęła oddychać głośno jak osoba uwolniona od wielkiego kłopotu.

— Nie możecie sobie nawet wyobrazić — powiedziała do aktorów po chwili milczenia — jakiej przyjemności doznaję, będąc znowu z wami. Nie myślcie aby, żem się zakochała w waszych starych mordach, zniszczonych bielidłem i szminką. Bogu dzięki, nie kocham niko-go! Moja radość wynika z tego, że wracam do swojego żywiołu; a poza swoim żywiołem nie można być szczęśliwym. Woda nie służy ptakom ani powietrze rybom — toną albo się duszą. Jestem z natury aktorką, teatr to moje powietrze. Tu tylko oddycham swobodnie, zapach kopących świec jest dla mnie bardziej przyjemny niż cyweta, będzwin, ambra, piżmo i skóra hiszpańska. Pachnące stęchlizną kulisy działają na mnie jak balsam. Słońce nudzi mnie, a życie rzeczywiste wydaje mi się płaskie. Potrzebuję miłości wysnutej z wyobraźni i naprawdę żyć mogę tylko w świecie nadzwyczajnych przygód

komediowych. Odkąd poeci nie udzielają mi swego głosu, czuję się, jakbym była niema. Chcę więc wrócić do moich ról; mam nadzieję, że nie zaangażowaliście nikogo na moje miejsce. Zresztą mnie nie można zastąpić. Gdybyście to zrobili, zaraz rozszarpałabym flądrze twarz paznokciami i wybiłabym jej cztery przednie zęby o kant sceny. Kiedy ktoś czyni zamach na moje przywileje, jestem zła jak diabeł.

— Nie będziesz się musiała uciekać do takiej rzezi — rzekł Tyran. — Nie mamy subre-tki. Leonarda grała twoje role przerobione na staro i poważnie — metamorfoza dosyć smutna i ponura, ale zmuszała nas do niej twarda konieczność. Gdybyś za pomocą jednej z tych maści czarodziejskich, o których mówi Apulejusz *, zamieniła się w ptaka i słuchała przed chwilą mej rozmowy z Blazjuszem, wydarzyłoby się coś, co rzadko spotyka nieobecnych: usłyszała-byś, jak cię chwala na nutę liryczną, pindaryjską i dytyrambiczną **.

— To chwała Bogu! — odpowiedziała Zerbina. — Widzę, że jesteście zawsze równie dobrymi kolegami jak niegdyś i że brakowało wam waszej małej Zerbinki.

Służący z oberży weszli do pokoju i złożyli na podłodze paczki, puzdra i walizy; aktor-ka dokonała ich przeglądu i otworzyła je w obecności obu kolegów wieloma kluczami umieszczonymi na srebrnym kółku.

— Serafina pękłaby z zazdrości, gdyby u mnie zobaczyła tyle pieniędzy — rzekła subretka do Heroda i Blazjusza — pokazuję je wam, aby udowodnić, że to nie nędza sprowadza mnie do owczarni, ale czysta miłość sztuki. Co do was, moi starzy, jeśli jesteście spłuka-ni, zanurzcie tu łapska i weźcie tyle, ile obejmiecie pięcioma palcami, a nawet i więcej, modą niemiecką.

Aktorzy podziękowali jej za hojność, utrzymując, że niczego im nie trzeba.

— Dobrze — rzekła Zerbina. — Przyda się na inną

okazję. Zachowam to w mej kasetce jak wierna skarbniczka.

— A więc porzuciłaś tego biednego markiza? — zapytał Blazjusz z udaną powagą. — Bo przecież nie należysz do tych, które się porzuca. Rola Ariadny *** nie odpowiada ci; raczej rola Circe ****. A przecież był to wspaniały pan, przystojny, z dworską miną, dowcipny i pod każdym względem wart, żeby go kochać dłużej.

— Mam zamiar — odpowiedziała Zerbina — zachować go jak pierścień na palcu i najcenniejszy klejnot mej szkatuły. Nie porzucam go wcale; jeśli go opuściłam, to tylko po to, żeby tu przyszedł za mną.

— Ale ładnie byś wyglądała, gdyby tak nie przyszedł — rzekł Herod tonem wyrażającym powątpiewanie.

Ta myśl wydała się Zerbinie tak dziwaczna, że wyciągnięta na fotelu wybuchnęła głośnym śmiechem, trzymając się za boki.

* Apulejusz — pisarz łaciński z II w. n.e. W powieści „Złoty osioł” opisuje on przygody człowieka, który wskutek działania magicznej maści zamienił się w osła.

** ...na nutę pindaryjską — na wzór Pindara, wielkiego poety greckiego, który w V w. przed n.e. pisał natchnione pochwały zwycięzców w zawodach sportowych.

...na nutę dytyrambiczną — przypominającą dytyramby, chóralne pieśni na cześć Bachusa.

*** Ariadna — córka Minosa, króla Krety, pomogła Tezeuszowi zabić Minotaura. Tezeusz zabrał ją ze sobą do Aten, ale porzucił po drodze.

**** Circe — czarodziejka, która zamieniła towarzyszy Odyseusza w wieprze.

— Markiz miałby nie przyjść! — zawołała, gdy się uspokoiła. — Możesz mu z góry zarezerwować pokój. Obawiałam się tylko, że w swej gorączce może mnie

wyprzedzić. Och, Tyranie, nie tylko okrutny, ale i niemądry, jakoś nie wierzysz w moje wdzięki. Tragedie zde-cydowanie cię ogłupiły. Dawniej miałaś więcej rozsądku.

Leander i Scapin, którzy od służby dowiedzieli się o przybyciu Zerbiny, weszli do pokoju i zaczęli jej prawić komplementy. Niebawem zjawiała się jejmość Leonarda, a jej sobie oczy zapłoneły na widok złota i klejnotów wyłożonych na stół. Okazała wobec Zerbiny najhaniebniejszą uniżoność. Izabela przyszła także; subretka obdarowała ją sztuką wspaniałej materii. Tylko Serafina została w swym pokoju. Jej miłość własna nie mogła wybaczyć rywalce niewy tłumacznego wyboru, jaki zrobił markiz.

Opowiedziano Zerbinnie, że Matamor zamarzył w drodze i że zastąpił go baron de Sigognac, który przybrał teatralny pseudonim kapitana Fracasse, dobrze dostosowany do jego roli.

— Będzie to dla mnie wielki zaszczyt występować ze szlachcicem, którego przodkowie uczestniczyli w wyprawach krzyżowych — oświadczyła Zerbina. — Postaram się, żeby uszanowanie nie stłumiło mojej werwy. Na szczęście jestem teraz przyzwyczajona do osób utytułowanych.

Na te słowa wszedł do pokoju Sigognac.

Zerbina, zginając kolana w taki sposób, by silnie wypiąć spódnice, złożyła mu dworski rewerans, według wszelkich przepisów.

— To — rzekła — dla pana barona de Sigognac, a to dla mego kolegi kapitana Fracasse — dodała całując go ogniście w policzki, co zażenowało Sigognaca nie przyzwyczajonego jeszcze do swobodnych manier teatralnych i zmieszanego poza tym obecnością Izabeli.

Zjawienie się Zerbiny pozwoliło na przyjemne urozmaicenie repertuaru i cały zespół, z wyjątkiem Serafiny, był niezmiernie zadowolony z jej powrotu.

A teraz gdy Zerbina rozgościła się już w swoim pokoju między wesołymi kolegami, zajmijmy się Orestesem i Pyladesem, których zostawiliśmy wracających do domu po przechadzce w ogrodzie.

Orestes — to znaczy młody książę de Vallombreuse, bo taki był jego tytuł — jadł bez apetytu i często zapominał o kieliszku świeżo napełnionym przez lokaja, tak bardzo wyobraźnię jego zajęła młoda kobieta, którą spostrzegł w oknie. Kawaler de Vidalinc, powiernik księcia, na próżno usiłował go rozerwać; Vallombreuse odpowiadał tylko monosylabami na przyjacielskie żarty swego Pyladesa.

Po deserze kawaler rzekł do księcia:

— Najkrótsze szaleństwa są najlepsze. Aby pan już więcej nie myślał o tej piękności, trzeba panu zapewnić jej posiadanie. Niebawem znajdzie się ona w sytuacji Koryzandy. Pan ma naturę myśliwych, którzy lubią tylko pościg, a gdy zwierzę zostanie zabite, nawet go nie podnoszą. Zorganizuję nagonkę, by panu zrzucić ptaszynę do sideł.

— O, nie! — odrzekł Vallombreuse. — Pójdę sam. Jak zauważyłeś, tylko pościg mnie bawi; czy to będzie czworonóg, czy ptak, aż na koniec świata pójdę za najmarniejszym zwierzęciem; od kryjówki do kryjówki będę je gonił, aż padnie ze zmęczenia. Nie odbieraj mi tej przyjemności. Ach, gdybym miał szczęście znaleźć oporną, myślę, żebym ją uwielbiał. Ale nie ma takiej na kuli ziemskiej.

Dwaj panowie wstali, nasunęli kapelusze na oczy, niedbale narzucili płaszcze na ramiona i opuścili salę. Vallombreuse kilka razy przemierzył uliczkę, spoglądając w górę, gdy przechodził pod szczęśliwym oknem, ale bez skutku. Izabela, teraz już bardzo ostrożna, nie ukazywała się więcej. Firanka była opuszczona, zdawało się, że w pokoju nie ma nikogo. Zmęczony wyczekiwaniem na pustej uliczce, po której hulał zimowy wiatr, książę Vallombreuse, nie

przyzwyczajony do podobnych sytuacji, wrócił do domu, złorzecząc zuchwałej pruderii tej gęsi tak pewnej siebie, że stroiła dąsy wobec młodego i przystojnego księcia. Myślał nawet z pewną życzliwością o pocziwej Koryzandzie, którą niedawno tak pogardził, ale duma szepnęła mu zaraz do ucha, że wystarczy, jeżeli się pokaże, aby zatriumfował jak Cezar. Co do rywala, gdyby zanadto przeszkadzał, załatwiłby się z nim przy pomocy pachołków lub wy-najętych zbirów, gdyż poczucie godności nie pozwoliłoby mu kompromitować się z hołotą.

Vallombreuse nie ujrzał co prawda Izabeli schowanej w głębi apartamentu, zazdrosne oko śledziło go jednak przez szybę innego okna, w czasie gdy wyczekiwał na ulicy. Było to oko Sigognaca, któremu bardzo nie podobała się postawa i manewry nieznanego. Dziesiątki razy miał ochotę zejść na ulicę i zaatakować galanta podniesioną szpadą, ale powstrzymał się. Nie było ostatecznie w tym spacerze wzdłuż muru nic, co by usprawiedliwiało taką napaść, którą uznano by za szaloną i śmieszłą. Rozgłos tej sprawy mógłby zaszkodzić opinii Izabeli, nie ponoszącej przecież odpowiedzialności za spojrzenia rzucone w górę, stale w jedno i to samo miejsce.

Sigognac przyrzekł sobie w każdym razie śledzić zalotnika z bliska i wyrył sobie jego rysy w pamięci, aby go rozpoznać w razie potrzeby.

Herod wybrał na przedstawienie, zapowiedziane na dzień następny i obębnione po całym mieście, „Lygdamona i Lydiasa, czyli Podobieństwo”, tragikomedie niejakiego Jerzego de Scudery *, szlachcica, który służył w gwardii, a później porzucił szpadę dla pióra i równie dobrze się nim posługiwał. Poza tym miały być też grane „Fanfaronady kapitana Fracasse”. Sigognac miał wystąpić po raz pierwszy przed prawdziwą publicznością, a nie tylko przed cielećkami,

krowami i chłopami jak w stodole Bellombre'a. Wszyscy aktorzy byli bardzo prze-jęci uczeniem się ról, sztuka pana de Scudery świeżo się ukazała — wcale jej jeszcze nie znali. Zamyśleni, poruszając wargami jak małpy odmawiające swoje różańce, przechadzali się po galerii, czasem mamrocząc pod nosem, a chwilami wydając głośne okrzyki. Kto by ich wtedy widział, powiedziałby, że są opętani i niespełna rozumu. Przystawali nagle, potem znów ruszali wielkimi krokami, a ich ramiona wymachiwały w powietrzu jak skrzydła popsu-tego wiatraka.

Vallombreuse w towarzystwie Vidalinca nie pominął tej sposobności, aby ujrzeć Izabe-lę. Uznał, iż jest jeszcze ładniejsza z bliska niż z daleka, i jego namiętność wzrosła. Młody książę wystroił się przy tej okazji jak bóstwo, a trzeba przyznać, że był niezwykle urodziwy.

Było jednak mimo wszystko coś nieprzyjemnego w jego doskonałości. Te rysy tak deli-katne, czyste i szlachetne były oszpecone jakimś rysem antyludzkim, jeżeli można tak powie-dzieć. Niewątpliwie cierpienia i radości ludzi bardzo mało wzruszały właściciela tej bezlito-śnie pięknej twarzy. Musiał uważać — i rzeczywiście uważał — że należy do istot wyższego gatunku.

Vallombreuse stanął w milczeniu tuż koło toalety Izabeli, wsparty ramieniem o lustro tak, aby wzrok aktorki, co chwila szukający porady w szklanej tafli, spotykał go jak najczę-ściej. Był to mądry manewr, oparty na zasadach zręcznej taktyki miłosnej, i na pewno po-wiódłby się z każdą inną, tylko nie z naszą pierwszą naiwną. Zanim przemówił, książę chciał zadać cios swą urodą, dumną postawą i wspaniałością.

Izabela, która rozpoznała młodego śmiałka spod okna i którą krępowało to spojrzenie pełne natrętnego żaru, zachowała zupełną obojętność i nie odwracała oczu od lustra. Zdawało się, że nie zauważyła obecności jednego z

najpiękniejszych arystokratów francuskich. Ale Izabela była oryginalną dziewczyną.

Znudzony swą pozycją, Vallombreuse powziął nagle decyzję i odezwał się do aktorki:

— To pani gra rolę Sylwii w sztuce pana de Scudery „Lygdamon i Lydias”, prawda?

— Tak, panie — odrzekła Izabela nie mogąc nie dać odpowiedzi na pytanie tak zrećźnie

* Jerzy de Scudery — drugorzędny poeta i dramaturg, który wślawił się tylko tym, że bez skutku usiłował szkodzić Corneille'owi w początkach kariery pisarskiej. Wspomniana już w rozdziale V sztuka „Lygdamon i Lydias” jest właściwie komedią o bardzo banalnej intrydze: dwaj młodzi ludzie, łądząco do siebie podobni i nie znający się nawzajem, co chwila wchodzą sobie w drogę i w ten sposób powstają coraz bardziej powikłane sytuacje.
banalne.

— Nigdy rola nie będzie lepiej odtworzona — mówił dalej Vallombreuse. — Jeżeli jest zła, pani ją naprawi; jeżeli dobra, uczyni ją pani doskonałą. Szczęśliwi poeci, którzy powie-rzają swe wiersze tak pięknym ustom!

Te ogólnikowe komplementy nie przekraczały granic galanterii, jaką dobrze wychowani ludzie stosowali zwykle wobec aktorek.

Izabela musiała więc przyjąć je, dziękując księciu słabym skinieniem głowy.

Sigognac, przebrawszy się przy pomocy Blazjusza w garderobie zarezerwowanej dla mężczyzn, wrócił do sali aktorek, aby poczekać na rozpoczęcie przedstawienia. Był w masce i zapiął już pas, na którym wisiał wielki rapier o ciężkim brzeszczocie, zakończony pajęczyną — spadek po biednym Matamorze. Szkarłatny płaszcz, postrzępiony na

krańcach jak ogon raka, spływał mu dziwacznie z ramion, w jednym miejscu zadarty do góry końcem rapiera.

Aby się dostosować do stylu swej roli, szedł jakby bokiem, gniewny i wyzywający, jak przystoi kapitanowi Fracasse.

— Bardzo dobrze pan wygląda — rzekła Izabela, gdy się z nią witał. — Żaden kapitan hiszpański nie miał jeszcze miny równie dumnej i zaczepnej.

Książę de Vallombreuse zmierzył wzgardliwym wzrokiem nowo przybyłego, do którego młoda aktorka mówiła tonem tak miłym. „To widocznie ten bałwan, w którym ona się kocha” — pomyślał rozczarowany, gdyż nie mógł pojąć, żeby jakakolwiek kobieta mogła choć przez chwilę wahać się w wyborze między młodym i wspaniałym księciem de Vallombreuse a tym śmiesznym komediantem.

Poza tym udawał, że nie dostrzega obecności Sigognaca. Traktował go jak mebel. Nie był to dla niego człowiek, lecz rzecz; zachowywał się wobec barona z taką swobodą, jakby był sam, i obrzucał Izabelę płomiennymi spojrzeniami, które się zatrzymywały na granicy zarysowujących się w dekolcie piersi.

Izabela, zmieszana, zarumieniła się mimo woli pod jego wzrokiem zuchwale w niej utkwionym, gorącym jak rozpuszczony ołów; śpieszyła się z zakończeniem toalety, aby się uwolnić od tych spojrzeń, zwłaszcza iż widziała rękę rozwścieczonego Sigognaca zaciśniętą konwulsyjnie na rękojeści rapiera.

Przylepiła sobie muszkę koło ust i miała wstać, aby iść na scenę, gdyż Tyran już parę razy pytał swym ryczącym głosem: „Czy panie są gotowe?”

— Przepraszam — odezwał się książę — zapomniała pani o jeszcze jednej muszce. — I zanurzywszy palec w szkatułce stojącej na toalecie, Vallombreuse wyjął z niej małą gwiazdkę

z czarnego jedwabiu. — Niech pani pozwoli — dokończył — że ją nałożę w tym miejscu, tuż koło piersi — uwydatni to jej białość i będzie wyglądać jak naturalny pieprzyk.

Ruch tak szybko uzupełnił słowa, że Izabela, oszołomiona tą pewnością siebie, miała zaledwie dość czasu, by się rzucić wstecz na oparcie krzesła i uniknąć zuchwałego dotknięcia, ale książę nie należał do tych, którzy łatwo dają się onieśmielić, i uzbrojonym w muszkę palcem miał już dotknąć piersi młodej aktorki, gdy żelazna ręka spadła na jego ramię i zatrzymała je niczym w imadle.

Książę de Vallombreuse, pełen wściekłości, odwrócił głowę i zobaczył kapitana Fracas-se w pozie, która nie miała już nic wspólnego z komediowym tchórzem.

— Mości książę — rzekł Fracasse trzymając rękę Vallombreuse'a w przegubie — ta pani sama sobie nakłada muszki. Nie potrzebuje niczyich usług.

Powiedziawszy to, puścił ramię młodego arystokraty, którego pierwszym odruchem było sięgnąć po szpadę. W tej chwili Vallombreuse mimo swej urody wyglądał bardziej groźnie i wstrętnie niż Meduza. Straszliwa bladość pokryła mu twarz, czarne rzęsy przesłoniły nabiegłe krwią oczy. Wargi z purpurowych stały się sine i białe od piany, nozdrza drgały, jakby czując krew.

Rzucił się w stronę Sigognaca, który stał nieruchomo i oczekiwał ataku, ale raptem zatrzymał się. Nagła myśl uciszyła jak strumień lodowatej wody kipiącą furie. Rysy przybrały zwykły wygląd, wróciły mu naturalne kolory, arystokrata odzyskał panowanie nad sobą, a jego twarz wyrażała zimną pogardę i najbardziej bezwzględne lekceważenie, jakie człowiek może okazywać człowiekowi. Książę pomyślał mianowicie, że jego przeciwnik nie jest szlachetnie urodzony i że zajście z komediantemomal go nie skompromitowało. Cała jego pycha szlachecka buntowała się

na podobną myśl. Obraza z ust człowieka tak niskiej kondycji nie mogła go dosięgnąć; czyż bijemy się z błotem, które nas opryskuje? Jednakże nie było w jego naturze puszczać płazem obelgi skądkolwiek pochodzącej. Zbliżając się do Sigognaca, powie-dział więc:

— Błaźnie, moi lokaje połamią ci kości.

— Ostrożnie, mości książe — odpowiedział Sigognac głosem spokojnym i z całkowitą swobodą. — Ostrożnie, mam twarde kości i kije połamią się na nich w drzazgi. Bywam bity tylko w komedii.

— Choć jesteś tak bezczelny, chامية, nie zrobię ci tego zaszczytu, żeby cię obić wła-snoręcznie. To ambicja, do której nie masz podstaw — rzekł Vallombreuse.

— Zobaczymy, mości książe — odpowiedział Sigognac. — Może za to ja, jako mniej dumny, pobiję cię własnoręcznie.

— Nie odpowiadam maskom — rzekł książe biorąc pod ramię Vidalinca, który stanął przy nim.

— Pokażę panu moją twarz, książe, w miejscu i w czasie właściwym — podjął Sigo-gnac. — I myślę, że stanie się dla pana bardziej nieprzyjemna niż mój przyprawiony nos. Ale skończmy na tym. Słyszę dzwonek i, zwlekając dłużej, mógłbym się spóźnić na scenę.

Aktorzy podziwiali jego odwagę, ale znając urodzenie barona dziwili się mniej niż inni świadkowie zajścia, oszołomieni podobną śmiałością. Wzruszenie Izabeli było tak żywe, że opadła jej szminka i Zerbina widząc śmiertelną błądź jej policzków musiała jej nałożyć grubą warstwę rózu. Z trudem utrzymywała się na nogach i gdyby subretka nie chwyciła jej za łokieć, przewróciłaby się, wchodząc na scenę. Stać się przyczyną kłótni było rzeczą wyso-ce przykrą dla łagodnej, dobrej i skromnej Izabeli, która niczego nie lękała się bardziej niż skandali i rozgłosu, zawsze przynoszącego ujmę reputacji kobiety. Kochała głęboko Sigogna-ca, a myśl,

że grozi mu zasadzka czy choćby pojedynek, niepokoiła ją w sposób nieopisany.

Mimo tego incydentu przedstawienie odbywało się normalnie, gdyż rzeczywiste wzruszenia życiowe nie mogą oderwać aktorów od ich fikcyjnych namiętności. Nawet Izabela grała bardzo dobrze, jakkolwiek serce jej było pełne troski. Fracasse, podniecony awanturą, olśniewał werwą, Zerbina przewyższała sama siebie. Każde jej słowo budziło wybuchy śmiechu i brawa bez końca.

Z jednego kąta widowni zrywały się oklaski wcześniejsze niż inne i milknące na ostatku; ich entuzjastyczna wytrwałość zwróciła wreszcie uwagę Zerbiny.

Subretka, udając, że rola jej tego wymaga, zbliżyła się aż do świec, wyciągnęła szyję ruchem ciekawego ptaka wyglądającego spoza liści, rzuciła spojrzenie na salę i odkryła markiza de Bruyeres, czerwonego z satysfakcji, którego roznamiętnione oczy płonęły jak dwa karbunkuły *. Był wniebowzięty.

— Pan markiz przyjechał — w przerwie między pytaniem a repliką szepnęła Zerbina do Blazjusza grającego rolę Pandolfa. Był to szept bez otwierania ust, którego potrafią używać aktorzy, gdy rozmawiają między sobą na scenie i nie chcą, aby ich słyszała publiczność. — Spójrz, jak się cieszy, jak promienieje, jak jest podniecony! Nie posiada się ze szczęścia i gdyby mu nie było wstyd, przeskoczyłby rampe, żeby mnie ucałować na oczach wszystkich! Więc lubi pan subretki, panie Bruyeres? Dobrze, dostanie pan subretkę przyrządzoną z solą, papryką i gałką muszkatołową.

* karbunkuły — drogie kamienie barwy ciemnoczerwonej.

Ale zostawmy już aktorów ich sprawom i odszukajmy księcia de Vallombreuse oraz jego przyjaciela Vidalinca.

Rozwścieczony sceną, w której nie osiągnął przewagi,

młody książę wrócił do pałacu Vallombreuse ze swym powiernikiem, obmyślając tysiące projektów zemsty. Najłagodniejsze z nich polegały ni mniej, ni więcej tylko na tym, aby kazać obić bezczelnego kapitana tak mocno, że nie będzie mógł ruszyć ręką ani nogą.

Vidalinc na próżno starał się go uspokoić; książę wyłamywał sobie ręce z wściekłości i biegał po pokoju jak szalenciec, walił pięściami w fotele, które komicznie przewracały się do góry nogami, demolował apartament, aby uśmierzyć swą wściekłość; na koniec chwycił japo-ńską wazę i rzucił ją o podłogę; rozbiła się na tysiące kawałków.

— Ach! — zawołał. — Chciałbym móc rozbić szubrawca jak tę wazę, podeptać go i wymieść resztki na śmietnik. Nędznik, który śmie wkraczać między mnie i przedmiot mego pragnienia! Gdyby przynajmniej był szlachcicem, walczyłbym z nim na długie czy krótkie szpady albo na pistolety pieszo czy konno, aż położyłbym nogę na jego piersi i splunął w twarz jego zwłokom.

— A może on jest szlachcicem? — rzekł Vidalinc. — Za tym przemawiałyby jego pewność siebie; imć Bilot opowiadał przecież o jednym takim, co się zaciągnął do teatru z miłości i na którego Izabela patrzy życzliwym okiem. To musi być ten, sądząc po jego za-zdrości i po wzruszeniu infantki.

— Wszystko jedno — rzekł książę naciskając dzwonek. — Najpierw ukarzę aktora, a później szlachcica, jeżeli naprawdę kryje się za tą śmieszną maską.

— Na pewno! — potwierdził przyjaciel księcia. — Jego oczy błyszczały pod przypra-wionymi brwiami jak lampy i mimo nosa z tektury, pomalowanego cynobrem, wyglądał szla-chetnie i groźnie, o co niełatwo w takim przebraniu.

— Tym lepiej — rzekł Vallombreuse — moja zemsta nie uderzy więc szpadą w wodę i ciosy trafią w pierś.

Wszedł służący, skłonił się głęboko i bez ruchu oczekiwał

rozkazów pana.

— Jeżeli Bask, Azolan, Merindol i Labriche już poszli spać, każ im, żeby wstali, uzbroili się w dobre pałki i oczekiwali przy wyjściu z teatru, w którym gra zespół Heroda, na nie-jakiego kapitana Fracasse. Niech go napadną, obiją i zostawią na ziemi, ale żywego, żeby kto nie pomyślał, że się go boję! Skutki biorę na siebie. Podczas bicia niech krzyczą: „To od księ-cia Vallombreuse!” Niech wie.

To polecenie, dosyć okrutne i brutalne, jakoś nie bardzo zdziwiło lokaja, który się wy-cofał zapewniając jego książęcą mość, iż rozkazy zostaną wykonane bez zwłoki.

— Przykro mi — rzekł Vidalinc po odejściu lokaja — że książę każe tak potraktować człowieka, który ostatecznie dowiódł odwagi ponad swój stan. Może ja bym pod jakimś pretekstem poszukał z nim zwady i zabił go? Każda krew jest czerwona, kiedy się ją rozlewa, choć mówią, że szlachecka ma barwę błękitną. Jestem ze starego i dobrego rodu, ale nie tak wysokiego, jak książę, i mój honor nie lęka się kompromitacji. Proszę powiedzieć jedno sło-wo i już idę. Ten kapitan wydaje mi się godniejszym szpady niż kija.

— Dziękuję za tę propozycję, która świadczy o twej wielkiej wierności dla mych interesów — odpowiedział książę — ale nie mogę jej przyjąć. Ten łajdak ośmielił się mnie dotknąć. Musi odpokutować tę zbrodnię. Jeżeli jest szlachcicem, będzie miał z kim porozma-wiać. Zawsze odpowiadam, kiedy mnie kto pyta, za pośrednictwem szpady.

ROZDZIAŁ IX

RAPIERY I KIJE W ROBOCIE ORAZ INNE AWANTURY

Przedstawienie skończyło się. Wróciwszy do garderoby aktorzy rozbierali się i przy-wdziewali zwykle ubrania. Sigognac przebrał się również, ale, spodziewając się napaści, za-chował rapier Matamora. Była to dobra, stara broń hiszpańska, długa jak dzień bez jedzenia, z ozdobną żelazną rękojeścią, która dokładnie chroniła dłoń; w rękach dzielnego człowieka ra-pier ten mógł parować ciosy i odpowiadać na nie solidnymi, choć nie śmiertelnymi pchnięcia-mi — był bowiem tępy i ze złamanym końcem, wedle teatralnego zwyczaju, lecz wystarczał na lokajów, którym ksiązę powierzył swą zemstę.

Herod, silne, barczyste chłopisko, zabrał ze sobą drag używany do dawania sygnału na podniesienie kurtyny; tę maczugę, którą obracał lekko jak słomką, zamierzał puścić w ruch przeciw zbirom grożącym Sigognacowi, gdyż taką już miał naturę, że nie porzuczał przyjaciół w niebezpieczeństwie.

— Kapitanie — rzekł do barona, gdy się znaleźli na ulicy — puśćmy naprzód kobiety, bo ich piski ogłuszyłyby nas. Niech idą z Leandrem i Blazjuszem; pierwszy to tylko fircyk, drugi jest za stary i jego siły nie dorównują jego odwadze; Scapin zostanie z nami — umie podstawiać nogę jak nikt i w ciągu minuty rozłoży panu na wznak jednego albo dwóch z tych łobuzów, jeżeli odważą się nas zaczepić; na wszelki wypadek mój kij jest blisko pańskiego rapiera.

— Dziękuję, zacny Herodzie — odpowiedział Sigognac — takiej oferty nie można od-rzucić. Ale musimy się przygotować, żeby nas nie zaatakowali znienacka. Maszerujmy gęsie-go, w sporych odstępach i samym środkiem

ulicy; w ten sposób ci łajdacy przyczajeni pod ścianami będą musieli wyjść z cienia, żeby na nas uderzyć, a my ich zawczasu zobaczymy. Teraz doładźmy miecza. Pan niech wywija swoją maczugą, a Scapin powinien zrobić parę przysiadów, żeby nadać odpowiednią giętkość kolanom.

Sigognac stanął na czele małej kolumny i ostrożnie posuwał się uliczką wiodącą od teatru do oberży „Pod Herbem Francji”. Była ona ciemna, kręta i wyboista — doskonale więc nadawała się na zasadzki. Daszki ganków wystawały na jezdnię, powiększając mrok i dając schronienie napastnikom. Żadne światło nie przenikało z uśpionych domów, noc była bez-księżycowa.

Bask, Azolan, Labriche i Merindol, słudzy młodego księcia, czekali od pół godziny na kapitana Fracasse, który nie mógł wracać do swojej oberży inną drogą. Azolan i Bask przy-kucnęli we wnęce drzwi z jednej strony ulicy; Merindol i Labriche, oparci o ścianę, zajęli sta-nowiska tak, aby ich kije spotkały się na plecach Sigognaca jak młoty cyklopów na kowadle. Grupa kobiet prowadzona przez Blazjusza i Leandra dała im znać, że Fracasse nadejdzie nie-bawem; trwali w pogotowiu, ściskając kije w rękach i nie przypuszczając, że się natkną na mocnych przeciwników, zazwyczaj bowiem poeci, aktorzy i mieszczanie, których wielcy panowie łaskawie każą obić, przyjmują to z pokorą i tylko się trochę przygarbiają.

Choć noc była ciemna, Sigognac, który miał dobry wzrok, widział już od dłuższej chwili czterech drabów na czatach. Zatrzymał się i udał, że chce zawrócić. Ten fortel wpłynął na decyzję opryszków. Widząc, że zdobycz im się wymyka, opuścili zasadzkę, aby pobiec ku kapitanowi. Azolan znalazł się na przedzie; wszyscy wołali: „Bij! Zabij! To od jego książęcej mości dla kapitana Fracasse!” Sigognac owinał sobie płaszcz dokoła lewego ramienia; kilka warstw tkaniny

utworzyło w ten sposób solidny zwój, którym odparował cios kija wymierzony przez Azolana, a swym rapierem zadał napastnikowi tak gwałtowne pchnięcie w samą szyję, że nędznik padł w środek rynsztoka ze złamanym obojczykiem, nogami do góry i głową w błocie. Gdyby ostrze nie było stępione, żelazo przeszłoby ciało i wyszłoby między łopatkami. Bask, mimo niepowodzenia swego towarzysza, posunął się śmiało naprzód; ale potężne uderzenie płazem zmiażdżyło mu guzik przyszyty dla ozdoby na czubku czapki i Bask zobaczył tysiące świeczek, mimo iż noc była bardziej czarna niż smoła. Maczuga Heroda rozbiła na drzazgi kij Merindola, który widząc, że jest rozbrojony, rzucił się do ucieczki, ale przeciwnik zdążył mu jeszcze porachować kości na plecach. Scapin zaś dokonał następującego czynu: chwycił Labriche'a w pół tak szybko i silnie, że ten, prawie uduszony, nie mógł zrobić żadnego użytku ze swego kija; po czym przycisnąwszy go prawą ręką do swego ramienia tak, że Labriche'owi zaczęła trzeszczeć kość pacierzowa, pomógł sobie ruchem nogi, ostrym, gwałtownym, mocnym jak sprężyna kuszy, i uniesiony nad ziemię napastnik przeleciał dziesięć kroków w powietrzu. Kark jego trafił na kamień, a wstrząs przy upadku był tak silny, że wykonawca zemsty Vallombreuse'a pozostał na polu bitwy bez przytomności, wyglądając, jakby całkiem wyzionął ducha.

Ulica była już wolna, aktorzy zwyciężyli. Azolan i Bask próbowali dostać się na czworakach pod jakiś okap, aby tam przyjść do siebie. Labriche leżał w poprzek rynsztoka jak pijany do nieprzytomności. Merindol, lżej poturbowany, dał drapaką po to zapewne, aby ktoś mógł ujść z życiem i opowiedzieć o klęsce. Jednakże zbliżając się do pałacu Vallombreuse, zwolnił kroku, gdyż miał stanąć wobec gniewu młodego księcia, gniewu równie groźnego, jak kij Heroda. Na myśl o tym pot zlewał mu czoło i już nie czuł bólu w

nadwreżonym barku, z którego zwisała ręka bezwładna jak pusty rękaw.

Zaledwie wrócił do pałacu, gdy księżę, oczekując niecierpliwie na rezultat wyprawy, kazał go przywołać. Merindol zjawił się zmieszany i niezdarny, gdyż ramię dokuczało mu ba-rdzo. Na smagłej jego twarzy wystąpiły plamy bladozielonkawe, pot zrosił czoło. Nieruchomy i milczący, stał w progu, czekając na słowo zachęty lub pytanie księcia, który milczał.

— No i cóż? — zapytał kawaler de Vidalinc widząc, że Vallombreuse spogląda srogo na Merindola. — Jakież przynosisz wiadomości? Widocznie złe, bo nie masz miny zanadto triumfalnej.

— Księżę pan — odpowiedział Merindol — nie może wątpić o naszej gorliwości w wypełnianiu jego rozkazów, ale tym razem szczęście nie dopisało naszemu męstwu.

— Jak to? — zapytał gniewnie księżę. — We czterech nie potrafiliście obić tego kome-dianta?

— Ten komediant — odpowiedział Merindol — prześcignął w odwadze i sile wszy-stkich bajecznych Herkulesów. Rzucił się na nas tak wściekle, że z napastników staliśmy się napadniętymi; w mgnieniu oka rozciągnął na ziemi Azolana i Baska. Pod jego ciosami prze-wrócili się jak domki z kart, a przecież to silne chłopy. Labriche'a wywrócił jakiś inny kome-diant za pomocą sprytnej sztuczki i jego kark wie teraz dokładnie, jak twardy jest bruk w Poitiers. Co do mnie, maczuga pana Heroda złamała mi kij i pokiereszowała ramię do tego stopnia, że przez dwa tygodnie nie będę mógł ruszyć ręką.

— Jesteście cieleta i bałwani, nie macie za grosz zręczności, odwagi ani przywiązania! — zawołał księżę Vallombreuse uniesiony wściekłością. — Stara baba przepędziłaby was kądzielą. Zrobiłem wielkie głupstwo, że

uratowałem was przed szubienicą i galerami. Lepiej by mi się opłacało wziąć na wasze miejsce ludzi uczciwych — nie byłiby wcale bardziej tchó-rzliwi i niezdarni. Kiedy nie wystarczyły kije, trzeba było chwycić szpady.

— Wasza książęca mość — odrzekł Merindol — zamówił bicie, a nie morderstwo. Nie śmieliśmy przekroczyć rozkazu.

— Oto — rzekł ze śmiechem Vidalinc — łajdak-formalista, dokładny, sumienny. Lubię taką uczciwość w zastawianiu pułapek. Co książę na to powie? Ta awanturka zaczyna się układać w sposób dosyć romansowy; powinna się podobać księciu Vallombreuse, którego odstręcza łatwizna, a pociągają trudności. Jak na aktorkę Izabela wydaje mi się bardzo trudna do zdobycia, mieszka w wieży, do której nie ma dojścia przez most zwodzony, i strzegą jej jak w opowieściach rycerskich smoki zionące ogniem oraz płomieniem. Ale oto wraca nasza rozbita armia.

Rzeczywiście, Azolan, Bask i Labriche, który odzyskał przytomność po swym omdle-niu, ukazali się w drzwiach salonu, błagalnie wyciągając ręce do księcia. Byli sini, oszołomie-ni, umazani błotem i krwią, choć nie ranni, tylko potłuczeni; siła uderzeń, które na nich spa-dły, wywołała jednak krwotoki z nosa i czerwone plamy szpeciły ich żółte spencery z bawolej skóry.

— Wracajcie do psiarni, kanalie! — zawołał książę nie rozczulony widokiem poturbo-wanego zastępu. — Nie wiem, co mnie wstrzymuje, żeby kazać was wychłostać za głupotę i tchórzostwo. Mój chirurg was zbada i powie mi, czy naprawdę oberwaliście tak, jak powiada-cie, bo jeżeli nie, to każę was żywcem obedrzeć ze skóry jak węgorze. Wynoście się!

Rozbita drużyna nie czekała na powtórzenie tych słów i znikła żwawo, tak wiele strachu budził młody książę w swych zbirach, którzy, jako szumowiny spod ciemnej gwiazdy, nie odznaczyli się przecież nieśmiałym usposobieniem.

Po ich odejściu Vallombreuse rzucił się na stos poduszek i trwał w milczeniu, którego Vidalinc nie ośmielił się przerwać. Gwałtowne myśli goniły jedna drugą w głowie księcia jak czarne chmury, które dziki wichur pędzi po niebie w czasie burzy. Chciał podpalić oberżę, porwać Izabelę, zabić kapitana Fracasse, wrzucić do wody cały zespół aktorski. Po raz pierwszy w swym życiu natrafił na opór! Wydał rozkaz, który nie został wykonany! Wędrowny komediant urągał mu! Jego ludzie uciekli pobici przez teatralnego samochwała! Jego duma buntowała się na myśl o tych faktach, które wprawiały go w rodzaj osłupienia. A więc to możliwe, żeby ktoś mógł mu stawić czoło? Następnie uprzytomnił sobie, że w swym wspaniałym stroju obsypanym diamentami, zbrojny we wszystkie swe wdzięki, w blaski swego tytułu i urody nie mógł zdobyć przychylnego spojrzenia jakiejś tam dziewczyny, wędrownej aktorki, lalki wystawiającej się co wieczór na gwizdy gawiedzi — on, którego królowny przyjmowały z uśmiechem na ustach, w którym kochały się księżniczki, który nigdy nie napotkał kobiety nieubłaganej. Zgrzytał zębami z wściekłości i zaciśniętą ręką miał olśniewający spencer z białego atlasu, którego jeszcze nie zdjął, jak gdyby chciał go ukarać, że mu tak źle służył w jego projektach uwodzicielskich.

Wreszcie podniósł się gwałtownie, skinieniem pożegnał przyjaciela i nie tykając kolacji, którą właśnie podano, poszedł do sypialni, ale sen nie zamknął adamaszkowych zasłon jego łoża.

Vidalinc, któremu filuternie towarzyszyło wspomnienie Serafyny, nie dostrzegł, że został sam przy kolacji, i jadł z doskonałym apetytem. Ukołysany przyjemnymi myślami, w których stale powracała młoda aktorka, spał bez przerwy aż do rana.

Gdy Sigognac, Herod i Scapin wrócili do oberży, zastali resztę aktorów bardzo niespo-kojnych. Krzyki: „Bij! Zabij!” i hałas bójki dotarły przez ciszę nocy do uszu Izabeli i jej towarzyszy. Dziewczyna o mało nie zemdląła i gdyby nie Blazjusz, który ją podtrzymał za łokieć, osunęłaby się na kolana. Błada jak воск i drżąca, czekała na wiadomości u progu swego pokoju. Widząc, że Sigognac wraca cały, wydała okrzyk, podniosła ramiona do nieba i opuściła je na szyję młodego człowieka, kryjąc twarz w jego objęciach ruchem pełnym wsty-dliwości. Ale opanowując wzruszenie, wyrwała się wkrótce z jego uścisku, cofnęła o kilka kroków i odzyskała zwykły spokój.

— Czy nie jest pan ranny? — zapytała łagodnie. — Jakże bym była zrozpaczona, gdyby pan doznał z mego powodu najmniejszej choćby krzywdy! Co to była za nieostrożność nara-zać się dla biednej dziewczyny temu księciu, który jest taki przystojny i taki zły, a patrzy dumnie jak sam Lucyfer. Nie jest pan rozsądny, baronie. Skoro jest pan teraz aktorem jak my, powinien pan umieć znosić podobne zniewagi.

— Nie pozwolę nigdy i nikomu — odrzekł Sigognac — obrażać w mej obecności cudo-wnej Izabeli, nawet gdy mam na twarzy maskę kapitana.

— Dobrze mówisz, kapitanie — potwierdził Herod — a jeszcze lepiej działasz. Do kaduka! Jakie to były przednie pchnięcia! Całe szczęście dla tych łajdaków, że miecz nieboszczyka Matamora nie był ostry, bo rozrąbałby ich pan od czaszki aż do obcasów, jak to błę-dni rycerze czynili z Saracenami i czarodziejami.

— Pański kij pracował równie dobrze, jak mój rapier — odrzekł Sigognac rewanżując się Herodowi za komplementy, — Pańskie sumienie może być spokojne, bo tym razem nie była to rzeź niewiniątek.

— Co to, to nie — przyznał Tyran z szerokim uśmiechem

w obramowaniu obfitej, czarnej brody. — To była śmietanka galer, szubienicznicy pierwszej klasy.

— Trzeba przyznać, że takich spraw nie mogą załatwiać ludzie porządni. Ale nie zapomnijmy uczcić należycie bohaterstwa znakomitego Scapina, bo walczył i zwyciężył tylko za pomocą broni dostarczonej mu przez Przyrodę.

Scapin, który lubił błaznować, napuszył się, jakby go rozsadzała duma, Położył rękę na sercu, schylił głowę i wykonał komiczny rewerans wyrażający skromność.

— Pomógłbym wam — rzekł Blazjusz — ale głowa trzęsie mi się ze starości i mogę się przydać tylko z kieliszkiem w garści, w starciach na butelki i walkach na garnki.

Ponieważ było już późno, aktorzy po skończeniu tej rozmowy odeszli do swoich pokojów, z wyjątkiem Sigognaca, który jeszcze pewien czas spacerował po galerii, rozmyślając, że tylko aktor został pomszczony, ale szlachcic — nie. Czy więc miał zrzucić maskę, która mu zapewniała incognito, wyjawić swe prawdziwe nazwisko, narobić hałasu, ściągnąć może na swych kolegów gniew młodego księcia? Zdrowy rozsądek odpowiadał na to przecząco, honor — twierdząco. Baron nie mógł się oprzeć temu stanowczemu głosowi i skierował się do pokoju Zerbiny.

Zapukał delikatnie do drzwi, które naprzód się uchyliły, a otwały na oścież, gdy powiedział swe nazwisko. Jasne światło zalewało pokój, bogate świeczniki, w których tkwiły różowe świece, były umieszczone na stole przykrytym adamaszkowym obrusem spływającym ku podłodze w symetrycznych fałdach. Na płaskich półmiskach dymiła wykwinna kolacja. Dwie kuropatwy, szpikowane złotawą słoniną, puszyły się wśród plasterków pomarańczy; towarzyszyło im mięso w galarecie oraz ryba w cieście, arcydzieło mistrza Bilot. W kryształowej karafce, ozdobionej deseniem

ze złotych kwiatuszków, błyszczało rubinowe wino; w drugiej takiej samej stało dla równowagi wino barwy topazu. Na stole były dwa nakrycia, a gdy Sigo-gnac wszedł, Zerbina nalewała wino markizowi de Bruyeres, którego wzrok błyszczał podwójnym upojeniem, gdyż przebiegła subretka nigdy nie była bardziej ponętna, a z drugiej znów strony markiz wyznawał zasadę, że bez Bachusa i Cerery * Wenus się nudzi.

Zerbina powitała Sigognaca pełnym wdzięku skinieniem głowy, które zręcznie łączyło poufałość aktorki wobec kolegi i szacunek kobiety dla szlachcica.

— To bardzo pięknie z pańskiej strony — rzekł markiz de Bruyeres — że pan odwiedza zakochanych w ich gniazdku. Mam nadzieję, że nie obawiając się zakłócać naszej samotności we dwoje, zje pan z nami kolację. Jakubie, daj nakrycie dla pana.

— Przyjmuję to uprzejme zaproszenie — rzekł Sigognac — nie żebym był bardzo głodny, ale nie chcę psuć waszej uczyty, a nie ma nic groźniejszego dla apetytu niż widok osoby, która nie je.

Baron zajął miejsce na fotelu, który Jakub przysunął dla niego, naprzeciwko markiza i obok Zerbiny. Pan de Bruyeres odkroił mu skrzydło kuropatwy i napełnił kieliszek; jako człowiek dobrze wychowany, nie postawił żadnego pytania, gdyż przypuszczał, że jakiś poważny powód sprowadza barona, zazwyczaj stroniącego od ludzi i lubiącego samotność.

* ...bez Bachusa i Cerery — to znaczy: bez picia i jedzenia (Bachus — bóg wina, Cerera — bogini płodów rolnych).

— Czy smakuje panu to wino, a może woli pan białe? — zapytał markiz. — Ja piję i jedno, i drugie, żeby nie zazdrościły sobie.

— Ja w ogóle mało piję, z natury i ze zwyczaju — rzekł Sigognac — i poskrwiam Bachusa przy pomocy nimf, jak

mówili starożytni. Czerwone wino mi wystarcza, ale nie po to, by się nim raczyć, popełniłem tę niedyskrecję i wdarłem się do przybytku waszej miłości o tak niewłaściwej porze. Markizie, proszę pana o przysługę, której szlachcic nie odmawia szlachcicowi. Panna Zerbina opowiedziała panu zapewne, że w garderobie artystek księżę de Vallombreuse chciał dotknąć ręką piersi Izabeli pod pretekstem nałożenia muszki; czyn niegodny, lubieżny i brutalny, którego nie usprawiedliwia żadna kokieteria ze strony młodej osoby, równie rozsądnej, jak skromnej, dla której żywię najpełniejszy szacunek.

— Ona zasługuje na to — wtrąciła Zerbina — i choć jestem kobietą oraz jej koleżanką, nie mogłabym powiedzieć o niej nic złego, nawet gdybym chciała.

— Powstrzymałem rękę księcia — kontynuował Sigognac. — Gniew jego wybuchł groźbami i obelgami, na które odpowiedziałem drwiąco z zimną krwią, ukryty pod maską Matamora. Zagroził, że każe mnie obić swoim lokajom, i rzeczywiście, właśnie teraz, kiedy wracałem ciemną uliczką do oberży, napadło na mnie czterech drabów. Kilku ciosami płazem załatwiłem się z dwoma, a Herod i Scapin też nieźle urządzili pozostałych napastników. Księżę wyobrażał sobie, że ma do czynienia tylko z biednym aktorem, ponieważ jednak w skórze aktora znalazł się szlachcic, obraza taka nie może ujść bezkarnie. Zna mnie pan, markizie, i choć do tej chwili nie zdradzał pan mego incognito, wie pan, kim byli moi przodkowie, może pan zaświadczyć, iż krew Sigognaców jest szlachecka od tysiąca lat, wolna od wszelkiej skazy i że ci wszyscy, którzy nosili to nazwisko, nie cierpieli nigdy plamy na swoim herbie.

— Baronie de Sigognac — rzekł markiz de Bruyeres, dając po raz pierwszy swemu go-ściowi jego prawdziwe nazwisko — wobec każdego zaświadczę moim honorem starożytność i szlachectwo pańskiego rodu. Palamed de

Sigognac dokazywał cudów podczas pierwszej wyprawy krzyżowej, na którą przywiózł oddział złożony ze stu kopijników okrętem wyekwipowanym na własny koszt. Przodkowie wielu z tych utytułowanych ludzi, którzy dziś zadzierają nosa, nie byli wówczas nawet giermkami. Pański przodek był bliskim przyjacielem Hugona de Bruyeres, mojego przodka, obaj spali pod jednym namiotem jako towarzysze broni.

— Skoro więc taka jest pańska opinia o moim rodzie — rzekł baron do markiza — czy wyzwie pan w moim imieniu księcia de Vallombreuse?

— Uczynię to — powiedział markiz powoli i uroczyście, tonem, który zupełnie nie przypominał jego zwykłej beztroski. — A nadto jako sekundant oddaję na pańskie usługi moją szpadę. Jutro stawię się w pałacu Vallombreuse. Młody książę jest wprawdzie arogancki, ale nie tchórzliwy — nie schowa się za swój tytuł, gdy usłyszy, kim pan jest naprawdę. Ale już dość na ten temat. Nie nudźmy dłużej Zerbiny naszymi męskimi kłótniami. Widzę, że jej purpurowe usteczka przybierają wyraz niezadowolenia, chociaż jest taka uprzejma; nie ziewa-nie, lecz uśmiech powinien ukazywać perły schowane w szkatułce jej ust. No, Zerbinko, rozchmurz się i nalej wina baronowi.

Subretka wykonała polecenie z wdziękiem i zręcznie. Hebe *, nalewając nektar, nie zabrałaby się do tego lepiej. Wszystko, co robiła, robiła dobrze.

Do końca wieczery nie dotykano już poważnych spraw. Rozmowa toczyła się na temat gry Zerbiny, którą markiz obsypywał komplementami. Sigognac przyłączył się do niego — bynajmniej nie z obłudy czy galanterii, gdyż subretka okazała nieporównany dowcip, talent i werwę.

Mówiono też o wierszach pana de Scudery, jednego z najtęższych umysłów epoki; markiz uważał, że są dobre, lecz

działają trochę usypiająco, i „Fanfaronady kapitana Fracasse” stawiał wyżej od „Lygdamona i Lydiasa”. Markiz był rzeczywiście człowiekiem o doskona-

* Hebe — bogini młodości. Do jej obowiązków należało rozlewanie bogom nektaru i ambrozji.
łym guście.

Gdy Sigognac uznał, że już może się wynieść, pożegnał gospodarzy i odszedł do swego pokoju, zaryglował drzwi, po czym wyjął swą starą, odziedziczoną po ojcu szpadę z płócien-nego pokrowca, który ją chronił od rdzy. Towarzyszyła mu ona na włóczędzie jak wierny przyjaciel. Wyciągnął powoli ostrze z pochwy i ucałował z szacunkiem rękojeść. Była to broń doskonała i piękna, choć bez niepotrzebnych ornamentów — oręż do walki, a nie od parady. Na klindze z niebieskiej stali, ozdobionej kilku złotymi prążkami, wyciśnięto znak jednego z najświetniejszych płatnerzy toledańskich.

Sigognac wziął wełnianą szmatkę i przetarł nią kilkakrotnie stal, przywracając jej po-łysk. Dotknął palcem ostrza i, oparłszy koniec szpady o drzwi, zgiął ją prawie do rękojeści, aby wypróbować jej giętkość. Szlachetny metal zwycięsko wytrzymał tę próbę na dowód, iż nie zdradzi swego pana w potrzebie. Podniecony blaskiem stali, czując rękojeść dobrze przy-legającą do dłoni, Sigognac zaczął się fechtować, atakując przeciwległą ścianę, i stwierdził, że nie zapomniał lekcji, które dawny jego nauczyciel Piotr dawał mu podczas długich dni bez-czynności w Pałacu Nędzy.

Zadowolony z siebie i ze szpady, którą umieścił u wezgłowia, Sigognac zasnął nieba-wem z poczuciem tak zupełnego bezpieczeństwa, jakby nie prosił markiza de Bruyeres, żeby przekazał jego wyzwanie potężnemu księciu de Vallombreuse.

Izabela natomiast nie zmrużyła oka; wiedziała, że Sigognac nie poprzestanie na tym, co zrobił, i lękała się skutków konfliktu, które mogły wyniknąć dla niego, ale nie przyszło jej do głowy wmieszać się między przeciwników. Sprawy honorowe były w owych czasach świętością, kobiety nie śmiały wtrącać się do nich lub powstrzymywać ich swymi szlochami.

Około godziny dziewiątej markiz, ubrany już do wyjścia, odwiedził Sigognaca w jego pokoju, aby ustalić z nim warunki spotkania.

Baron życzył sobie, aby markiz na wypadek, gdyby księżę okazał nieufność lub odmówił, wziął ze sobą jego dokumenty, stare pergaminy, z których zwisały na jedwabnych wstążkach duże pieczęcie woskowe, dyplomy przetarte na wszystkich zgięciach i opatrzone w pozółkłe już podpisy królewskie, drzewo genealogiczne o gęstych gałęziach usianych objaśnieniami, wszelkie w ogóle dokumenty poświadczające szlachectwo Sigognaca.

— Nie przypuszczam — rzekł markiz — aby trzeba było w tym wypadku dostarczać dowodów jak w urzędzie heraldycznym; wystarczy moje słowo, o którym nikt dotychczas nie wątpił. Skoro jest jednak możliwe, że księżę Vallombreuse przez ekstrawagancką wzgardę i nieprzytomną zarozumiałość będzie udawał, iż widzi w panu tylko kapitana Fracasse, aktora na gaży u imci Heroda, wezmę te dokumenty, które będzie miał przy sobie mój lokaj na wypadek, gdyby je było trzeba pokazać.

— Proszę zrobić to, co pan uzna za właściwe — odpowiedział Sigognac — ufam pańskiemu rozumowi i oddaję mój honor w pańskie ręce.

— Znajdzie się pod dobrą opieką — odrzekł pan de Bruyeres. — Niech pan będzie spokojny; damy sobie radę z tym zuchwałym księciem, którego wyniosłe zachowanie ogro-

mnie mnie drażni. Korony barona i markiza są warte tyle samo, co korona książęca, gdy ród jest stary, a linia przodków wolna od wszelkiej domieszki. Ale dosyć już słów, trzeba działać. Słowa — to kobiety, czyny — to mężczyźni, jak mówią Hiszpanie; do wyprania honoru konieczna jest krew.

Następnie markiz przywołał swego lokaja, wręczył mu plik papierów i udał się z oberży do pałacu Vallombreuse, aby wypełnić swoją misję.

Dla księcia była to jeszcze noc, gdyż wzburzony i rozgniewany wypadkami poprzedniego dnia zasnął bardzo późno. Gdy więc markiz de Bruyeres polecił służącemu Vallom-breuse'a, żeby go zapowiedział swemu panu, fagas wytrzeszczył oczy na tak niezwykle żądanie. Obudzić księcia! Wejść do niego, zanim zadzwoni! To tak, jakby wejść do klatki karta-gińskiego lwa lub indyjskiego tygrysa. Książę nie był przyjemny po przebudzeniu nawet wtedy, gdy się położył w doskonałym humorze.

— Może pan lepiej zaczeka — rzekł lokaj drżąc na myśl o takiej zuchwałości — albo przyjdzie później. Książę jeszcze nie zadzwonił, a ja sam nie mam śmiałości...

— Zaanonsuj markiza de Bruyeres — zawołał protektor Zerbiny głosem, w którym zaczynał drgać gniew — albo wyważę drzwi i wejdę sam! Muszę natychmiast mówić z twoim panem w sprawie bardzo ważnej i dotyczącej honoru.

— Ach, to pan markiz przychodzi w sprawie pojedynku? — zapytał pokojowiec, nagle ułagodzony. — Dlaczego pan nie powiedział od razu? Powiem nazwisko pana markiza księciu; położył się wczoraj w tak złym humorze, że będzie zachwycony, jeśli go zbudzi sprawa honorowa i będzie miał okazję do pojedynku.

I lokaj wszedł do apartamentu z miną zdecydowaną, poprosiwszy uprzednio markiza, aby zaczekał kilka minut.

Słyszając hałas otwieranych i zamykanych drzwi, Vallombreuse, który spał tylko jednym okiem, obudził się całkiem i skokiem tak nagłym, że łóżko zatrzeszczało, usiadł szukając jakiegoś przedmiotu, którym mógłby zdzielić lokaja w głowę.

— Niech diabeł nadzieje na rogi potrójnego durnia, który przerywa mój sen! — zawołał gniewnym głosem. — Czyż nie zakazałem wstępu, zanim zawołam? Każę ci dać sto batów, żeś mnie nie posłuchał. Jak ja teraz znowu zasnę? Bałem się przez chwilę, że to nazbyt tkliwa Koryzanda!

— Książę pan — odrzekł lokaj uniżenie — może mnie kazać zabić kijami, jeżeli ze-chce, ale przekroczyłem rozkaz z bardzo ważnej przyczyny. Przyszedł pan markiz de Bruyeres i zdaje się, że chciałby porozmawiać z księciem panem w sprawie honorowej. Książę pan nie unika takich okazji i zawsze przyjmuje wizyty tego rodzaju.

— Markiz de Bruyeres? — zapytał książę. — Czy ja z nim miałem jakąś zwadę? Nie przypominam sobie, a poza tym bardzo dawno z nim nie rozmawiałem. Może sobie wyobra-ża, że chcę mu zdmuchnąć sprzed nosa Zerbinę, bo zakochani wyobrażają sobie zawsze, że się dybie na przedmiot ich miłości. No, Picard, daj mi szlafrok i zasłoń łóżko, żeby nie było widać rozrzuconej pościeli. Nie trzeba pozwolić czekać temu zacnemu markizowi.

Picard wyjął z garderoby i podał księciu wspaniałą szatę wenecką wyszywaną w wielkie, czarne kwiaty na złotym tle. Vallombreuse zawiązał ten strój, aby uwydatnić swą piękną talię, po czym usiadł w fotelu, przybrał minę beztroską i powiedział lokajowi:

— Możesz już prosić.

— Pan markiz de Bruyeres! — zaanonsował Picard otwierając szeroko drzwi.

— Dzień dobry, markizie! — rzekł książę Vallombreuse

podnosząc się nieco ze swego fotela. — Jest pan mile widziany, jakikolwiek sprowadza pana powód. Picard, przysuń panu krzesło. Proszę wybaczyć, że przyjmuję gościa w tym nie sprzątniętym pokoju i w szlafroku; niech pan tego nie uważa za brak uprzejmości, lecz za objaw pośpiechu, z jakim chciałem pa-na powitać.

— Proszę wybaczyć — odrzekł markiz — nieokrzesaną natarczywość, z jaką zakłóci-łem pański odpoczynek wypełniony może rozkosznymi marzeniami. Powierzono mi wszakże pewną misję, która między szlachcicami nie znosi zwłoki.

— Podnieca pan do żywego moją ciekawość — odpowiedział Vallombreuse. — Nie odgaduję, co to może być za pilna sprawa.

— Księżę już raczył na pewno zapomnieć o niektórych wydarzeniach wczorajszego wieczoru. Tak nikłe szczegóły nie mogły się wyryć w pańskiej pamięci. Dlatego pomogę księciu, jeśli wolno. W garderobie aktorek raczył księżę zaszczyścić szczególną uwagą młodą osobę, która gra role naiwnych; na imię ma ona, zdaje się, Izabela. Żartem, którego ja osobi-ście nie uważam za godny nagany, chciał pan jej nałożyć muszkę na pierś. Na to postępowanie, którego nie chcę osądzać, oburzył się bardzo kapitan Fracasse i odważył się wstrzymać pańską rękę.

— Markizie, jest pan najwierniejszym i najsumienniejszym z historiografów. Wszystko to jest prawdziwe w każdym szczególe; aby dokończyć anegdoty, powiem jeszcze, że przy-rzekłem łotrzykowi, zuchwałemu, jakby był szlachcicem, że otrzyma karę odpowiednią dla takich jak on.

— Nic to zdrożnego obatożyć aktora czy gryzipiórka, z którego nie jest się zadowolonym — rzekł markiz z wyrazem całkowitej obojętności. — Takie istoty nie są warte kijów,

które się im rozbija na plecach, ale sytuacja jest nieco odmienna. Pod maską kapitana Fracas-se, który zresztą sprzął zdrowo pańskich ludzi, jest ukryty baron de Sigognac, szlachcic z dzia-da pradziada i chlubiący się najlepszym szlachectwem, jakie można znaleźć w Gaskonii. Tego nikt nie może podać w wątpliwość.

— Cóż, u diabła, robi on w tej trupie włóczegów? — zapytał młody książę bawiąc się sznurami szlafroka. — Czy mogłem podejrzewać, że to przebrany Sigognac z przyprawionym nosem, umalowanym na czerwono?

— Na pierwsze pytanie odpowiem krótko: między nami mówiąc, mam wrażenie, że jest mocno zadurzony w Izabeli; nie mogąc jej zatrzymać w swoim zamku, zaciągnął się do zespołu, aby towarzyszyć swej miłej. Chyba pan nie uzna tej sentymentalnej włóczęgi za dowód złego gustu, skoro właśnie dama jego myśli podnieca pańską fantazję?

— Nie. Pojmuję to wszystko. Ale musi się pan zgodzić, markizie, że nie mogłem odgadnąć tego romansu i że czyn kapitana Fracasse był impertynencki.

— Impertynencki o tyle, o ile pochodził od aktora — odrzekł pan de Bruyeres — naturalny natomiast ze strony szlachcica zazdrosnego o ukochaną. Dlatego kapitan Fracasse zrzuca swą maskę i przeze mnie proponuje panu pojedynek, żądając zadośćuczynienia za obrazę, którą mu pan wyrządził.

— Ale kto mi zaręczy — rzekł Vallombreuse — czy ten, który jest jakoby baronem de Sigognac i gra Matamorów w błazeńskich komediach, nie jest przypadkiem intrygantem niskiej kondycji, przywłaszczającym sobie szanowne nazwisko, aby zmierzyć swą komediancką pałkę z moją szpadą?

— Książę! — odparł markiz de Bruyeres tonem pełnym godności. — Nie służyłbym za świadka i sekundanta komuś, kto by nie był dobrze urodzony. Znam osobiście barona de Sigognac, którego zamek leży o kilka mil od moich

posiadłości, i ręczę za niego. Zresztą, jeżeli pan jeszcze wątpi o jego urodzeniu, mam tutaj wszelkie dokumenty, których trzeba dla uspokojenia pańskich skrupułów. Czy pozwoli mi pan zawołać mego lokaja, który czeka w przedpokoju i wręczy panu te pergaminy?

— Nie ma najmniejszej potrzeby — odpowiedział Vallombreuse. — Pańskie słowa, markizie, wystarczą mi, zgadzam się na pojedynek. Mój przyjaciel kawaler de Vidalinc będzie moim sekundantem. Może pan zechce łaskawie porozumieć się z nim. Wszystkie rodzaje broni i wszelkie warunki przyjmuję z góry. Będzie mi przyjemnie, jeżeli się dowiem, że baron de Sigognac umie dobrze parować ciosy szpady, jak kapitan Fracasse uderzenia kijem. Piękna Izabela uwieńczy zwycięzcę turnieju jak za dawnych rycerskich czasów. Pozwoli pan, że się oddalę — kawaler de Vidalinc, który mieszka w tym pałacu, zejdzie na dół i porozumiecie się panowie co do miejsca, broni i godziny. Wobec tego beso a vuestra merced la mano, caballe-ro *.

Powiedziawszy te słowa, książę de Vallombreuse pozdrowił z wyszukaną grzecznością markiza de Bruyeres, podniósł ciężką portierę i znikł.

W kilka minut później kawaler de Vidalinc zjawił się przed markizem i warunki pojedyńku zostały szybko ustalone. Wybrano szpadę, naturalny oręż szlachecki, spotkanie naznaczono na dzień następny, gdyż Sigognac nie chciał, żeby zapowiedziane już w całym mieście

* ...beso a vuestra merced la mano, caballero (hiszp.) — całuję rękę waszmości. Język hiszpański był w tej epoce bardzo modny we Francji.

przedstawienie miało być odwołane, gdyby mu przyszło zginąć lub zostać rannym. Miejsce spotkania wyznaczono

poza murami, na łączce, wysoko cenionej przez amatorów pojedynków w Poitiers ze względu na jej ustronność, twardy grunt i inne zalety terenu.

Markiz de Bruyeres wrócił do oberży „Pod Herbem Francji” i zdał sprawę ze swej misji Sigognakowi, który mu gorąco podziękował za tak dobre załatwienie sprawy, gdyż miał w żywej jeszcze pamięci zuchwałe i nieprzyzwoite spojrzenia, jakie młody książę rzucał Izabeli.

Przedstawienie miało się zacząć o trzeciej, ale już od rana chodził po ulicach wysłannik teatru, bił w bęben i zapowiadał widowisko, gdy zebrał się koło niego zaciekawiony tłum. Służący z oberży, którego przebrano za portiera teatralnego w zielono-żółty kitel, szeroki pendent, na którym poziomo wisiała szpada, kapelusz o wielkich kresach nasunięty na oczy i zaopatrzony w pióro tak długie, że mogło zamiatać pajęczynę z sufitu, powstrzymywał tłum przy drzwiach, które zastawiał rodzajem halabardy, nie przepuszczając nikogo, kto nie zapłacił za miejsce lub nie pokazał wcześniej nabytego biletu.

Niebawem sala była tak pełna, że nie można by tam wetknąć nawet szpilki. Po obu stronach sceny umieszczono fotele dla osób szczególnie dostojnych. Szkodziło to niewątpliwie iluzji teatralnej i przeszkadzało grze aktorów, ale było uświęcone zwyczajem i wskutek tego nie wydawało się śmieszne. Młody książę de Vallombreuse, w czarnych aksamitach naszywanych dżetami, tonący w powodzi koronek, siedział obok swego przyjaciela, kawalera de Vidalinc, ubranego w piękny kostium z zielonego atłasu, ozdobiony złotem. Co zaś do marki-za de Bruyeres, to chcąc swobodniej oklaskiwać Zerbine, nie rzucając się ludziom w oczy, zajął miejsce na parterze, za muzykantami.

Zaczęto „Lygdamonem i Lydiasem”.

Po „Lygdamonie i Lydiasie” zagrano „Fanfaronady

kapitana Fracasse”, które jak zwykle miały wielkie powodzenie, wywołując potężne wybuchy śmiechu.

Sigognac, zręcznie ucharakteryzowany przez Blazjusza i wspomagany wrodzoną inteligencją, był niesłychanie zabawny jako ekstrawagancki kapitan. Zerbina zdawała się skąpą w świetle, tak iskrzyła się dowcipem, markiz z zachwytu odchodził od przytomności i oklaskiwał ją jak szalony.

Izabela lękała się, że książę pozwoli sobie na jakiś zuchwały wybryk, że będzie wyzywająco szydził z jej gry. Obawy te były jednak płonne. Książę nie starał się jej zmieszać spojrzeniem zbyt uporczywym czy swobodnym, w odpowiednich momentach oklaskiwał ją nawet elegancko i spokojnie. Tylko gdy akcja sprowadzała na kapitana Fracasse prztyczki, szcutki i razy, szczególny grymas tłumionej pogardy zjawiał się na twarzy młodego księcia. Opuszczał dolną wargę, jakby sobie mówił po cichu: „Fe”, nie okazywał wszakże uczuć, które nim miały, i przez cały czas przedstawienia zachował postawę zuchwałą i wyniosłą. Miał usposobienie gwałtownika, ale gdy atak furii minął, był zanadto szlachcicem, aby sobie pozwolić na uchybienie prawom grzeczności wobec przeciwnika, z którym miał się bić nazajutrz; aż do tej chwili działania wojenne były wstrzymane, panował pokój boży.

Wybrane miejsce zasłaniał od wiatru długi mur, który miał także i tę dobrą stronę, że krył walczących przed podróżnymi jadącymi drogą. Ziemia była twarda, dobrze ubita, bez kamieni, nierówności ani kęp traw, które by narażały nogi walczących na niebezpieczeństwo — nadawała się więc wybornie dla ludzi honoru pragnących przepisowo podrzynać sobie gardła.

Książę de Vallombreuse i kawaler de Vidalinc w

towarzystwie cyrulika przybyli bez opóźnienia. Czterej szlachcice pozdrowili się z dumną kurtuazją i zimną uprzejmością, jaka przystoi ludziom dobrze wychowanym, którzy mają bić się na śmierć i życie.

Twarz młodego księcia wyrażała zupełną obojętność — był on bardzo odważny, a poza tym pewny swej zręczności. Sigognac zachowywał się równie dobrze, choć był to jego pierwszy pojedynek. Markiz de Bruyeres był bardzo zadowolony z jego zimnej krwi i widział w niej dobrą wróżbę.

Vallombreuse, zrzuciwszy płaszcz i kapelusz, rozpiął kaftan; Sigognac poszedł jego śladem. Markiz i kawaler zmierzyli szpady walczących — były równej długości.

Przeciwnicy stanęli na swoich miejscach, chwycili szpady i przyjęli przepisową pozycję.

— Zaczynajcie, panowie, i pokażcie waszą waleczność!
— zawołał markiz.

— Zbyteczne wezwanie — rzekł kawaler — będą się bić jak lwy. Zobaczymy wspaniały pojedynek.

Vallombreuse, który lekceważył Sigognaca i wyobrażał sobie, że spotka słabego partnera, zdumiał się dotykając niedbale ostrza barona, gdyż trafił na szpadę zręczną i pewną, która odparowywała jego ciosy z zadziwiającą łatwością. Zaczął bardziej uważać; następnie próbował kilku fint, natychmiast odgadniętych przez przeciwnika. Jeżeli odstąpił się na mgnienie oka, ostrze Sigognaca posuwało się naprzód, zmuszając go do prędkiej parady. Zaryzykował atak, ale jego szpada, odtracona po mistrzowsku, odkryła go całkowicie i gdyby się nie przechylił do tyłu, zostałby ugodzony w samą pierś. Pojedynek przybrał dla księcia postać nieoczekiwaną. Sądził, że pokieruje nim zgodnie ze swoją wolą i że za pomocą pchnięcia, które mu się do tej pory zawsze udawało, po kilku starciach zrani Sigognaca, gdzie tylko zechce. Tymczasem nie tylko nie mógł atakować dowolnie, ale musiał

skupić całą swą zręczność dla własnej obrony. Choć starał się zachować zimną krew, opanował go gniew; czuł, że się denerwuje i gorączkuje, gdy niewzruszony Sigognac widoczną znajdował przyjemność w drażnieniu go swą świetną postawą.

— Czy pozostaniemy bezczynni, gdy nasi przyjaciele fechtują się? — rzekł kawaler de Vidalinc do markiza de Bruyeres. — Jest dziś bardzo zimno, pobijmy się trochę choćby dla rozgrzewki.

— Bardzo chętnie — odparł markiz — to nas rozrusza.

Vidalinc przewyższał markiza de Bruyeres w szermierce i po kilku pchnięciach szybkim i ostrym ruchem wytrącił mu szpadę z ręki.

Ponieważ nie mieli do siebie żadnej urazy, poprzestali na tym i uwaga ich skupiła się znowu na Sigognacu i księciu de Vallombreuse.

Pod energicznym naporem księżę cofnął się już o kilka kroków. Zmęczył się i zaczynał ciężko dyszeć. Od czasu do czasu niebieskawa iskra wytryskała ze ścierających się kling, ale obrona słabła wobec ataku i ustępowała. Zmęczywszy przeciwnika, Sigognac zadawał coraz nowe pchnięcia, a księżę cofał się nieustannie.

Kawaler de Vidalinc zbladł bardzo i zaczął się lękać o przyjaciela. Dla znawcy było jasne, iż przewaga przechyliła się zdecydowanie na stronę Sigognaca.

— Dlaczego, u diabła — szepnął do siebie Vidalinc — Vallombreuse nie próbuje pchnięcia, którego nauczył się od Girolama z Neapolu i którego Gaskończyk nie powinien znać?

Jakby usłyszawszy myśl przyjaciela, młody księżę spróbował wykonać to sławetne pchnięcie; ale w momencie gdy miał je zadać z boku, Sigognac uprzedził go z przodu i wymierzył cios tak solidny, że przeszył mu na wylot przedramię. Pod wpływem bólu księżę otworzył dłoń i jego

szpada upadła na ziemię.

Sigognac dając dowód wzorowej kurtuazji zatrzymał się natychmiast, choć mógł powtórzyć cios nie naruszając warunków pojedynku, który nie miał być prowadzony tylko do pierwszej krwi. Koniec swej szpady wbił w ziemię, lewą rękę oparł na biodrze i zdawał się czekać, jakie życzenie wyrazi przeciwnik. Ale Vallombreuse, któremu na przyzwalający gest Sigognaca Vidalinc włożył szpadę do ręki, nie mógł jej utrzymać i dał znak, że ma już dosyć.

Wobec tego Sigognac i markiz de Bruyeres skłonili się z najbardziej wyszukaną grzecznością księciu Vallombreuse i kawalerowi de Vidalinc, a następnie skierowali się z powrotem do miasta.

ROZDZIAŁ X

GŁOWA W OKIENKU

Księżę de Vallombreuse został ostrożnie posadzony w lektyce, z ręką obandażowaną przez cyrulika i umieszczoną na temblaku. Jego rana, mimo że uniemożliwiała władanie bronią w ciągu kilku tygodni, nie była groźna, szpada przeszła tylko ciało, nie dotykając arterii ani ścięgien. Oczywiście ramię bolało go mocno, ale jego duma cierpiała jeszcze dotkliwiej. Toteż do lekkich zmarszczek, jakie ból fizyczny rysował od czasu do czasu między czarnymi brwiami młodego księcia, dołączał się wyraz zimnej wściekłości, a jego zdrowa ręka drapała aksamit lektyki skurczonymi palcami. Podczas drogi wychylał swą pobladłą twarz, aby karcić niosących go,

choć szli powoli, krok za krokiem, szukając miejsc równych, aby uniknąć najślabszych choćby wstrząsów, co nie przeszkadzało, że ranny nazywał ich bałwanami i przyrzekał im baty, ponieważ, jak twierdził, trzęśli nim jak sałatą w koszyku.

Wróciwszy do domu, nie chciał iść do łóżka, lecz położył się na szezlongu, wsparty plecami o poduszki, z nogami przykrytymi jedwabną kołdrą, którą przyniósł służący Picard, bardzo zdziwiony widokiem rannego pana, bo nie zdarzało się to nigdy księciu, który był mistrzem w szpadzie.

Usiadłszy na składanym krześle koło przyjaciela, kawaler de Vidalinc dawał mu co kwadrans łyżeczkę kordiału przepisanego przez cyrulika. Vallombreuse milczał, ale było rzeczą widoczną, że głuchy gniew wrzał w nim mimo udanego spokoju. W końcu wściekłość jego wybuchła gwałtownymi słowami:

— Czy ty rozumiesz, że ten chudy, oskubany bocian, który uciekł z ruin swego zamku, aby nie umrzeć z głodu, przebódl mnie swoim długim dziobem? Mnie, com się mierzył z najlepszymi szpadami naszych czasów i zawsze wracał z pojedynku bez jednego zadraśnięcia, owszem, zostawiając na ziemi jakiegoś chwata, który straciwszy przytomność oddawał ducha w ramionach swoich świadków!

— Najszczęśliwsi i najzręczniejsi mewają pechowe dni — sentencjonalnie odpowiedział Vidalinc. — Oblicze pani Fortuny jest zmienne, raz się uśmiecha, kiedy indziej krzywdzi. Dotychczas nie mógł się księżę na nią skarżyć. Rozpieszczała księcia na swym łonie jak najukochańsze dziecko.

— Czyż to nie hańba — ciągnął dalej Vallombreuse ożywiając się — że ten śmieszny pajac, ten groteskowy hreczkosiej, który dostaje na scenie kije i kułaki w plugawych farsach, pokonał zawsze dotąd zwycięskiego księcia de

Vallombreuse? To musi być jakiś zawodowy szermierz przebrany za wędrownego aktora.

— Książę zna jego prawdziwe nazwisko, za które ręczy markiz de Bruyeres — rzekł Vidalinc. — Co prawda jego zręczność w robieniu bronią dziwi mnie, bo przewyższa wszystkie znane mi przykłady. Nawet sławni mistrzowie fechtunku Girolamo i Paraguante nie pokazali większej sztuki. Obserwowałem go bacznie podczas tego spotkania: nasi najświetniejsi szermierze błędą przy tym człowieku. Trzeba było całej zręczności księcia oraz nauk neapolitańczyka, aby nie odnieść ciężkiej rany. Ta klęska jest i tak jeszcze zwycięstwem. Marcilly i Duportal, którzy przecież znajdują się na szermierce i należą do najlepszych szpad w mieście, na pewno zostaliby na placu, mając takiego przeciwnika.

— Niech się tylko zagoi moja rana — odrzekł książę po chwili milczenia. — Wyzwę go jeszcze raz i zrewanżuję się.

— Byłoby to przedsięwzięcie ryzykowne i nie radziłbym go księciu — rzekł kawaler. — Ramię byłoby może jeszcze osłabione, co zmniejszyłoby szansę zwycięstwa. Ten Sigognac jest groźnym przeciwnikiem, którego nie trzeba zaczepiać lekkomyślnie. Zna teraz styl walki księcia, a pewność siebie, która daje początek przewagi, podwoi jego siły. Honor jest już zaspokojony, spotkanie było poważne. Niech się książę tym zadowoli.

Vallombreuse czuł w głębi duszy słuszność tych argumentów. Sam dostatecznie poznał szermierkę (uważał, że opanował ją doskonale), aby wiedzieć, że jego szpada, jakkolwiek zręczna, nie dosięgnie piersi Sigognaca, bronionej przez tę nieprzeniknioną sztukę, o którą rozbiły się wszystkie jego wysiłki. Musiał nawet przyznać, że baron, nie chcąc go zabić, zadał mu umyślnie tylko taką ranę, która mu uniemożliwiała dalszą walkę. Ta wspaniałomyślność, która by wzruszyła człowieka mniej zarozumiałego, irytowała jego

dumę i jątrzyła urazę. Być zwyciężonym! Myśl o tym doprowadzała go do szalu. Pozornie zgodził się na rady swego przyjaciela, ale po posepnym i dzikim wyglądzie jego twarzy można było odgadnąć, że jakiś ciemny plan zemsty rodzi się w jego mózgu.

— Ładnie teraz będę wyglądał wobec Izabeli, raniony w rękę przez jej zalotnika — rzekł zmuszając się do śmiechu, ale był to śmiech kwaśny. — Gracje * nie są wrażliwe na zaloty przetrąconego Kupidyna.

— Niech książę zapomni o tej niewdzięcznicy — rzekł Vidalinc. — Ostatecznie nie mogła przewidzieć, że księciu przyjdzie do głowy kaprys zakochania się w niej. Lepiej wrócić do tej poczciwej Koryzandy, która kocha księcia całą duszą i płacze godzinami pod drzwiami jak przepędzony pies.

— Nie wymawiaj nawet tego imienia — zawołał książę — jeżeli chcesz, żebyśmy pozostali przyjaciółmi! Ta rozlazła czułość zbrzydła mi i mam jej dość. Trzeba mi zimnej wyniosłości, odpornej dumy i niezdobytej cnoty! Jakże mi się ona wydaje wspaniała i urocza ta niedostępna Izabela! Jakże jej jestem wdzięczny za odtrącenie mej miłości, która by już z pewnością minęła, gdyby była odwzajemniona. Na pewno nie może mieć duszy niskiej i po-spolitej, jeżeli, pochodząc z takiego stanu, odrzuca propozycje arystokraty; który ją wyróżnił, a nie jest odrażający, jeśli można wierzyć wielkim damom. W mojej namiętności jest teraz rodzaj szacunku, którego zazwyczaj nie doznawałem wobec kobiet; ale jak pozbyć się tego przekłętogo szlachciury, tego fatalnego Sigognaca, którego diabeł tu nasłał?

— To nie jest łatwa rzecz — rzekł Vidalinc — zwłaszcza teraz, gdy się ma na baczności. Nawet gdybyśmy go zgładzili, Izabela nie przestanie go kochać; a książę wie lepiej niż ktokolwiek inny, bo nieraz doświadczył tego na sobie, jak uparte bywają uczucia kobiet.

— Ach, gdybym mógł zabić barona — ciągnął Vallombreuse, którego nie przekonały argumenty kawalera — zaraz zdobyłbym pannę, mimo jej czystych i cnotliwych minek. Niczego się tak szybko nie zapomina jak zmarłego zalotnika.

Vidalinc nie podzielał tego zdania, lecz nie uważał za stosowne rozpocząć na ten temat sporu, który mógłby źle podziałać na drażliwe usposobienie Vallombreuse'a.

— Niech książę najpierw wyzdrowieje, później zobaczymy. Rozmowa męczy księcia. Przede wszystkim trzeba odpocząć, a nie trapić się w ten sposób.

Ranny zastosował się do tej uwagi — umilkł, zamknął oczy i wkrótce zasnął.

Sigognac i markiz de Bruyeres wrócili spokojnie do zajazdu, gdzie jako dyskretni szla-chcice nie wspomnieli ani słowem o pojedynku; ale ścianom, o których się mówi, iż mają uszy, nie brak także i oczu — widzą co najmniej równie dobrze, jak słyszą.

Ta prawdziwa, choć bardzo romansowa historia miała wielkie powodzenie w Poitiers. Powszechne zainteresowanie wzbudził ten szlachcic tak dzielny i tak znakomicie władający

* gracje — boginie wdzięku.

szpada. Gdy na scenie zjawiał się kapitan Fracasse, nie milknące oklaski świadczyły — zanim jeszcze otworzył usta — o życzliwości, jaką go darzono. Najmożliwsze i najwytworniejsze damy nie lękały się powiewać chusteczkami. Izabela także dostawała oklaski głośniejsze niż zazwyczaj; wprawiały one w zakłopotanie młodą dziewczynę i wywoływały na jej uszmińko-wanych policzkach naturalny rumieniec wstydu. Nie przerywając swej roli, odpowiadała na te dowody przychylności skromnym ukłonem i wdzięcznym

pochyleniem głowy.

Herod zacierał ręce z radości, a jego szeroka, blada twarz błyszczała jak księżyc w pełni, gdyż dochód był wspaniały i kasa o mało nie pękła od nadmiaru monety; wszyscy chcieli oglądać sławnego kapitana Fracasse, aktora i szlachcica, którego nie przerażały ani kije, ani szpady i który jako waleczny obrońca piękności zmierzył się z księciem, postrachem najdzielniejszych. Blazjusz nie wróżył jednak nic dobrego z tego triumfu, bał się nie bez racji mściwego usposobienia Vallombreuse'a, który na pewno znajdzie sposób, żeby odplacić pięknym za nadobne i zaszkodzić zespołowi.

— Garnki gliniane — mówił Blazjusz — powinny unikać zderzenia z żelaznymi, nawet jeśli nie rozbiły się przy pierwszym uderzeniu, bo przecież metal jest twardszy od gliny.

Herod, ufny w poparcie Sigognaca i markiza, odpowiadał mu na to, nazywając go tchó-rzem, który z byle powodu się trzęsie i szczeka zębami.

Aktorzy wrócili do oberży. Sigognac odprowadził Izabelę aż do jej pokoju i młoda aktorka, wbrew swemu zwyczajowi, pozwoliła mu wejść do środka. Pokojówka zapaliła świeczkę, dorzuciła drew na kominek i wycofała się dyskretnie. Gdy portiera za nią zapadła, Izabela ujęła dłoń Sigognaca i ścisnęła ją z większą siłą, niżby można było sądzić po jej szcuplech i delikatnych palcach, następnie powiedziała głosem załamującym się ze wzruszenia:

— Niech pan przysięgnie, że nigdy więcej nie będzie się pan o mnie bił. Niech pan przysięgnie, jeżeli mnie pan naprawdę tak kocha, jak pan mówi.

— Niech mi pani pozwoli wierzyć, cudna Izabelo — rzekł Sigognac — że szpada oddanego mężczyzny może wesprzeć w odpowiedniej chwili honor uczciwej kobiety. I niech mi

pani nie odbiera stanowiska opiekuna i rycerza.

Izabela trzymała wciąż dłoń Sigognaca i patrzyła na niego swymi niebieskimi oczyma pełnymi tkliwości i niemej prośby, aby wydobyć z niego upragnioną przysięgę, ale baron myślał inaczej; był nieubłagany na punkcie honoru jak hiszpański hidalgo i raczej naraziłby się tysiąc razy na śmierć, niżby ścierpiął, żeby uchybiono kobiecie, którą kochał; pragnął, aby Izabela była szanowana na scenie tak jak księżniczka w salonie.

— Niechże mi pan przyrzeknie — ciągnęła młoda aktorka — że nie będzie się już pan tak narażał z błahych powodów. Och, z jakim niepokojem i trwogą czekałam na pański powrót! Wiedziałam, że będzie się pan bił z tym księciem, którego wszyscy się boją. Zerbina opowiedziała mi wszystko. Jaki pan jest okrutny, że może tak torturować moje serce! Mężczyźni wcale nie myślą o kobietach, kiedy ich duma wchodzi w rachubę; odchodzą nie słuchając szlochów i nie widząc łez, głusi, ślepi i bez serca. Czy pan wie, że gdyby pan został zabity, ja bym umarła?

Łzy, które błyszczały w oczach Izabeli na samą myśl o niebezpieczeństwie, w jakim znalazł się Sigognac, i nerwowe drżenie jej głosu dowodziły, że urocze stworzenie mówiło prawdę. Niezmiernie wzruszony tym szczerym uczuciem baron de Sigognac wolną ręką przy-ciągnął Izabelę do piersi i objął ją wpół. Nie stawiała mu oporu. Jego wargi dotknęły czoła dziewczyny, której przyspieszony oddech Sigognac czuł na swoim sercu.

Pozostali tak kilka minut w niemej ekstazie, którą inny, pozbawiony skrupułów, kochanek na pewno by wykorzystał; on jednak nie chciał nadużywać tego niewinnego zapomnienia spowodowanego cierpieniem.

— Niech się pani pocieszy, droga Izabelo — rzekł głosem wzruszonym i pogodnym — jestem żywy, a nawet zraniłem

przeciwnika, chociaż mówią, że jest dosyć mocny w szpadzie.

— Wiem, że pan jest odważny i umie się bić — podjęła Izabela — dlatego kocham pana i nie boję się panu tego wyjawić, bo jestem pewna, że pan uszanuje moją szczerość i nie zechce jej wykorzystać. Kiedy pana widziałam tak smutnego i opuszczonego w tym ponurym zamczysku, gdzie marnowała się pańska młodość, poczułam serdeczną litość dla pana. Szczęście mnie nie pociąga, jego blask mnie przeraża. Gdyby pan był szczęśliwy, wzbudzałby we mnie lęk. Podczas tej przechadzki po parku, kiedy pan usuwał ciernie spod moich nóg, zerwał pan dla mnie małą, dziką różyczkę, jedyny podarunek, jaki mógł mi pan ofiarować. Spadła na nią moja łaza, zanim ją schowałam na piersi. I nic nie mówiąc, dałam panu wtedy w zamian moje serce.

W przypiływie uczucia dziewczyna ujęła jego głowę i złożyła na wargach barona krótki pocałunek; następnie odsunęła się o kilka kroków.

— Będzie pani moją żoną — rzekł Sigognac upojony dotknięciem ust świeżych jak kwiat, a gorących jak płomień.

— Nigdy! Nigdy! — odrzekła Izabela z niezwykłym podnieceniem. — Okażę się godna tego zaszczytu przez to, że go odrzucę. Och, przyjacielu, w jakim niebiańskim upojeniu znajduje się moja dusza! Więc ma pan dla mnie szacunek? Śmiałyby pan poprowadzić mnie z podniesionym czołem na te pokoje, gdzie wiszą portrety pańskich przodków, do kaplicy, gdzie się znajduje grobowiec pańskiej matki? Zniosłabym bez obawy spojrzenie umarłych, którzy wiedzą wszystko, a wianek dziewiczy nie skłamałby na moim czole.

— Jak to? — zawołał baron. — Mówi pani, że mnie kocha, a nie chce mnie pani przyjąć ani za kochanka, ani za męża?

— Ofiarował mi pan swoje nazwisko, to wystarczy. Zwracam je panu, zatrzymawszy je przez chwilę w moim

sercu. Przez chwilę byłam pańską żoną i nigdy nie będę należała do nikogo innego. Przez cały czas mojego pocałunku dawałam panu w myśli odpowiedź: „Zga-dzam się”. Nie mam jednak prawa do tak wielkiego szczęścia na ziemi. Byłoby niewybaczalnym błędem z pańskiej strony obarczyć się biedną aktorką, której by zawsze wyrzucano życie teatralne, choć było pełne godności i czyste. Zimne i nieszczerze miny, którymi by mnie przyjęły wielkie damy, sprawiłyby panu przykrość, a tych złośliwych istot nie mógłby pan wyzwalać na pojedynkach. Jest pan ostatnim potomkiem szlacheckiego rodu i ma pan obowiązek podnieść z ruin dom prześladowany przez wrogi los. Gdy skłoniłam pana czułym spojrzeniem do porzucenia zamku, myślał pan o jakiejś miłostce czy romansie. To było całkiem naturalne, ale ja, uprzedzając przyszłość, myślałam o zupełnie innych sprawach. Widziałam już, jak pan wraca z królewskiego dworu we wspaniałym stroju, obdarzony jakimś wybitnym stanowiskiem. Gniazdo Sigognaców odzyskało swój dawny blask, w myślach moich już wyrywałam bluszcz otaczający mury, na powrót przykrywałam łupkiem stare wieże, wstawiałam szyby w oknach, złociłam przybladłe bociany na pańskim herbie i, odprowadziwszy pana do granic pańskich włości, znikłam tłumiąc westchnienie.

— Dawać się i jednocześnie całkowicie się odbierać! Częstować człowieka zarazem taką słodką i tak wielką goryczą, miodem i piołunem. Tylko pani jest zdolna do podobnej sprzeczności.

— Tak, jestem dziwną dziewczyną — odparła Izabela — odziedziczyłam to po matce, ale trzeba mnie brać taką, jaką jestem. Jeżeli pan będzie upierał się i nękał mnie, potrafię uciec tak daleko, że mnie pan już nigdy nie znajdzie. Wszystko jest już więc jasne, a ponieważ zrobiło się późno, niech pan idzie do swojego pokoju i przerobi w sztuce, którą

mamy grać, wiersze mojej roli nie pasujące do mojego wyglądu. Jestem pana małą przyjaciółką, niech pan będzie moim wielkim poetą.

Powiedziawszy te słowa, Izabela wyjęła z szuflady zwój przewiązany różową wstążeczką i wręczyła go baronowi.

— A teraz niech mnie pan pocałuje — powiedziała nadstawiając policzek. — Będzie pan dla mnie pracował, a praca wymaga zawsze zapłaty.

Wróciwszy do siebie, Sigognac przez dłuższy czas nie mógł ochłonąć z wrażenia. Był zarazem zrozpaczony i zachwycony, promienny i ponury, czuł się w niebie i w piekle. Śmiał się i płakał, wystawiony na uczucia burzliwe i sprzeczne; radość, że jest kochany przez osobę tak piękną i tak szlachetnego serca, oszołamiała go, ale pewność, że nigdy nic u niej nie osiągnie, pogrążała go w skrajnym przygnębieniu. Te gwałtowne burze ucichły powoli i spokój powrócił. Powtórzył sobie po kolei wszystkie słowa Izabeli, aby je lepiej zrozumieć, a wywołany przez nią obraz odbudowanego zamku w Sigognac ukazał się jego rozgorączkowanej wyobraźni w barwach niezmiernie żywych i mocnych.

Otrząsnąwszy się z tych nieprzytomnych marzeń, skarcił sam siebie za opieszałość i nie bez trudu zdołał skupić uwagę na sztuce, którą mu powierzyła Izabela, aby w niej dokonać kilku retuszów. Wykreślił wiersze, nie odpowiadające wyglądowi młodej aktorki, dodał inne; wyznania miłosne zalotnika, zimne, pretensjonalne, nadęte i mętne, zastąpił słowami, które niewątpliwie były bardziej naturalne, namiętne i gorące — kierował je w myśli do samej Izabeli.

Ta praca przeciągnęła się do późnej nocy, ale wywiązał się z niej dobrze i był zadowolony. Nazajutrz otrzymał w nagrodę wdzięczny uśmiech Izabeli, która natychmiast zaczęła się uczyć wierszy opracowanych przez swego poetę, jak go

nazywała. Ani Hardy, ani Tristan * nie napisaliby ich lepiej.

Wieczorem na przedstawieniu tłok był jeszcze większy niż dnia poprzedniego; mało brakowało, a portier zostałby uduszony przez tłum widzów, którzy chcieli wejść na komedię wszyscy razem, gdyż obawiali się, że nie znajdą miejsc, choć za nie zapłacili. Sława kapitana Fracasse, pogromcy Vallombreuse'a, rosła z godziny na godzinę, przybierając fantastyczne proporcje; chętnie przypisano by mu nawet prace Herkulesa i bohaterskie czyny dwunastu rycerzy Okrągłego Stołu **.

Jedna tylko łoża była jeszcze pusta, najkorzystniej umieszczona i najlepiej widoczna z sali, wszystkie oczy kierowały się ciekawie w tę stronę. Brak pośpiechu, jaki wykazywali ci, którzy ją wynajęli, dziwił szlachtę i mieszczan z Poitiers, już od przeszło godziny znajdujących się na posterunku. Herod, zaglądając ukradkiem przez uchyloną kurtynę, widocznie czekał ze swymi trzema sakramentalnymi sygnałami na spóźniających się, ponieważ dla aktorów komediowych nie ma nic gorszego niż późne i denerwujące wchodzenie widzów, którzy przesuwają krzesła, hałaśliwie zajmują miejsca i odwracają uwagę od sceny.

Gdy kurtyna się już podniosła, miejsce w łoży zajęła młoda kobieta, a obok niej usiadł z trudem szlachcic o wyglądzie patriarchalnym i dostojnym.

Niebawem, zapewne zmęczone gorącem na sali lub pragnąc może okazać śmiertelnikom wspaniałomyślność, której nie są godni, młode bóstwo odsunęło zasłonę z kartonu, ukrywającą przed widownią połowę jego wspaniałości. Ujrzano wtedy przepiękne oczy, których przezroczyście źrenice świeciły jak drogie kamienie wśród długich rzęs koloru złotego brązu; widać było i nos, na pół grecki, a na pół orli, i policzki niedostrzegalnie wycieniowane karmieniem, przy którym kolor najświeższej róży wydawałby się ziemisty. Była

to Jolanta de Foix.

Wodząc spokojnym wzrokiem po pełnej podniecenia sali, Jolanta oparła się o krawędź łoża, z ręką na policzku, w pozie, która by przyniosła sławę artyście pracującemu w marmurze lub kamieniu, gdyby się znalazł taki, co by wymyślił postawę o podobnie roztargnionym wdzięku i równie naturalnej elegancji — a nie potrafiłby tego żaden Greczyn ani Rzymianin.

— Proszę cię bardzo, wuju, nie zaśnij przypadkiem — odezwała się półgłosem do starego szlachcica, który natychmiast otworzył szeroko oczy i poprawił się na krześle. — To było-by niemiłe dla mnie i przeciwne prawom tradycji galanterii, którą zawsze chwalisz.

— Bądź spokojna, moja droga. Gdy zanadto znudzą mnie głupstwa i brewerie tych

* Tristan — poeta i autor dramatyczny w XVII w.

** rycerze Okrągłego Stołu — tak nazywano, od okrągłego stołu, przy którym się zbierali, legendarnych towarzyszy króla Artura, opiewanych w wielu poematach średniowiecznych.

włóczęgów, którzy mało mnie zajmują, będę patrzył na ciebie, dzięki czemu zaraz otworzę oczy szeroko jak bazyliszek.

Podczas tej rozmowy Jolanty i jej wuja kapitan Fracasse, krocząc jak para rozwartych nożyc, zbliżył się aż do świec na krawędzi sceny, toczył dokoła wściekłym spojrzeniem i robił najbardziej wyzywające i aroganckie miny, jakie można sobie wyobrazić.

Frenetyczne oklaski zabrzmiały ze wszystkich stron na widok aktora, który był faworytem widowni. Uwaga publiczności odwróciła się na chwilę od Jolanty. Sigognac na pewno nie był próżny, a jego duma szlachecka gardziła włóczęgowskim zawodem narzuconym przez konieczność.

Jednakże nie chcemy twierdzić, że jego miłość własna nie była nieco połączona tym gorącym i głośnym aplauzem.

Gdy ustały brawa, kapitan Fracasse powiódł po sali spojrzeniem, którego nie omieszka rzucić żaden aktor, gdy chce się przekonać, czy ławki są wypełnione i czy publiczność jest w usposobieniu wesołym lub opornym, aby dostosować swą grę do nastroju sali i pozwolić so-bie na mniejszą lub większą swobodę.

Nagle baron doznał olśnienia; światła zabłyśły w jego oczach jak słońca, a następnie wydały mu się czarnymi plamami na jasnym tle. Głowy widzów, które rozpoznawał niewyraźnie, zlały się w jakąś bezkształtną masę. Pot palący i w jednej chwili zlodowaciały zmoczył go od głowy po obcasy. Nogi bardziej miękkie niż bawełna ugięły się pod nim i doznał uczucia, że deski sceny sięgają mu aż po pas. Wysznięte usta nie miały już śliny, żelazna obręcz dusiła go jak hiszpańskie narzędzie tortur; słowa, które miał wypowiedzieć, uciekały przerażone w nieładzie, zderzając się i mieszając ze sobą jak ptaki, które umykają z otwartej klatki. Zimna krew, opanowanie, pamięć — wszystko znikło równocześnie. Można by powiedzieć, że uderzył weń niewidzialny piorun, i mało brakowało, a padłby martwy twarzą na świecę. Zobaczył właśnie Jolantę de Foix, spokojną i promienną w swej loży, kierującą nań swe piękne, niebiesko-zielone oczy.

O wstydzie! Wściekłości! Złośliwy losie! Przygodo nieznośna dla szlachetnej duszy! Był widziany w tym groteskowym przebraniu i w tej niegodnej sytuacji przez damę tak pełną pogardy, dumną, wobec której — aby ją upokorzyć i poniżyć — chciałoby się dokonywać jedynie czynów wspaniałych, nadludzkich! I nie móc uciec, zniknąć, zagrzebać się we wnę-trzu ziemi! Sigognac miał przez chwilę ochotę zawrócić i rzucić się na dekoracje, dziurawiąc je głową jak kuszą, ale miał u nóg jakby ołowiane podeszwy, podobne

tym, których biegacze czasem używają do ćwiczeń, aby potem mieć uczucie lekkości — nie mógł oderwać się od podłogi i stał przerażony, z otwartymi ustami, ogłupiały, ku wielkiemu zdziwieniu Scapina, który przypuszczał, iż kapitan zapomniał roli, i podpowiadał mu po cichu początek jego tyrady.

Publiczność myślała, że aktor zatrzymał się, czekając na drugą salwę braw, zaczęła więc klaskać i tupać czyniąc najbardziej triumfalny hałas, jaki kiedykolwiek słyszano w teatrze. To dało Sigognakowi czas na odzyskanie przytomności. Zrobił ostateczny wysiłek i w jednej chwili opanował się. „Niech nam przynajmniej zostanie sława naszego upodlenia — rzekł sobie, opierając się silniej na nogach. — Tylko tego by brakowało, żebym został wygwizdany w jej obecności i żeby spadł na mnie grad surowych ziemniaków czy jaj na twardo. Może wcale mnie nie poznała pod tą haniebną maską. Któż by podejrzewał, że to Sigognac przywdział strój tresowanej małpy, w czerwone i żółte pasy? A więc odwagi, naprzód! Jeżeli zagram dobrze, nagrodzi mnie oklaskiem. To będzie niemały triumf, bo ona nie jest skłonna do pochwał”.

Powyższe refleksje Sigognaca trwały krócej, niżesmy je opisywali, ponieważ pióro nie może nadążyć za biegiem myśli. On już tymczasem zaczął swą wielką tyradę z wybuchami głosu tak niezwykłymi, intonacjami tak nieoczekiwanymi, furią komiczną tak potężną, że publiczność biła brawo i sama nawet Jolanta, choć twierdziła, że nie smakuje w podobnych farsach, mimo woli uśmiechnęła się. Jej wuj, gruby komandor, był najzupełniej przytomny i zacierał wilgotne dłonie na znak zadowolenia. Nieszczęśliwy Sigognac widocznie pragnął z rozpaczyszydzić siebie samego i posunąć śmieszność swego losu do ostatnich granic przez-sadną grą, nadmiernym błazeństwem i orgią fanfaronad; rzucał sobie pod nogi swój tytuł, szlachectwo, szacunek dla

siebie, pamięć przodków; deptał po tym wszystkim, z radością szaloną i okrutną: „Masz, czegoś chciałem, losie przeciwny, bo jestem dość upokorzony, głęboko pograżyłem się w ohydzie — myślałem zbierając prztyczki, szcutki i kopniaki. — Zrobiłeś mnie nieszczęśliwym i śmiesznym, swym przewrotnym zrządzeniem zmuszasz mnie jeszcze, nikczemny, żebym się upodlił przed tą dumną kobietą! Cóż mi więcej zrobisz?”

Chwilami znów wpadał w gniew i pod razami Leandra prostował się z miną tak straszną i złowrogą, że tamten cofał się ze strachem. Ale wracając nagłym skokiem myśli do charakteru swej roli, po chwili drżał już na całym ciele, szcukał zębami, chwiało się na nogach, jękał i, ku wielkiemu zadowoleniu widzów, okazywał wszelkie objawy najbardziej niskiego tchórzostwa.

Te ekstrawagancje, które byłyby nadmierne w roli mniej przesadnej niż rola Matamora, publiczność przypisywała werwie aktora, który wszedł całkowicie w skórę odtwarzanej przez siebie postaci — wywierał więc jak najlepsze wrażenie. Tylko Izabela odgadła powód niepokojącego barona: obecność na sali aroganckiej amazonki, której rysy aż nazbyt mocno utkwily w jej pamięci. Grając swą rolę, ukradkiem odwracała oczy ku łożu, gdzie z pogardliwą dumą i pewną swą doskonałości królowa wyniosła piękność, której nie śmiała w swej pokorze nazywać rywalką. Znajdowała gorzką przyjemność stwierdzając w myśli jej niezaprzeczoną wyższość i mówiła sobie, że żadna kobieta nie mogłaby mierzyć się urodą z taką boginią. Ten królewski urok pozwolił jej zrozumieć bezmyślną miłość, jaką wzbudza niekiedy u prostych ludzi nieporównany urok młodej królowej ukazującej się w czasie triumfu lub ceremonii publicznej — miłość, której skutkami są szaleństwa, więzienia i tortury.

Co do Sigognaca, to przyrzekł on sobie, że nie będzie patrzył na Jolantę, w obawie, że ogarnięty nagłym

wzruszeniem, straci rozsądek i dopuści się publicznie jakiegoś wybryku, który go skompromituje. Próbował więc uspokoić się, zatrzymując spojrzenie, gdy tylko rola mu pozwalała, na łagodnej i dobrej Izabeli. Ta urocza twarz, na której malował się lekki smutek, uzasadniony wstrętną tyranią ojca, który w komedii chciał wydać ją za męża wbrew jej woli, dawała jego duszy nieco ukojenia; miłość do jednej pocieszała go w smutku spowodowanym pogardą drugiej. Odzyskiwał szacunek dla siebie i znajdował siłę, żeby grać dalej.

Jego męczarnie doszły wreszcie kresu. Sztuka skończyła się i gdy Sigognac, wróciwszy za kulisy, zdjął maskę, pod którą się dusił, kolegów uderzyły jego dziwnie zmienione rysy. Był siny i upadł jak martwy na stojącą opodal ławkę. Widząc, że jest bliski omdlenia, Blazjusz przyniósł mu karafkę wina, mówiąc, że w takich wypadkach nie ma nic lepszego niż jeden dobry ryk lub — jeszcze lepiej — dwa. Sigognac dał znak, że chce tylko wody.

— Godny potępienia system — oświadczył Pedant — poważny błąd dietetyczny. Woda przystoi tylko żabom, rybom i cyrankom, nigdy ludziom; według zdrowych zasad farmacji powinno się pisać na karafkach z wodą: „Lekarstwo na użytek zewnętrzny”. Umarłbym zaraz, gdybym wchłonął choć kroplę tej mdłej wilgoci.

Rozumowanie Blazjusza nie przeszkodziło baronowi w pochłonięciu całego dzbanka wody. Jej chłód robił mu doskonale i podniecenie, widoczne w spojrzeniu, zaczęło znikać.

— Grał pan nadzwyczaj groteskowo — rzekł Herod zbliżając się do kapitana. — Ale nie wolno tak się przejmować. Prędko by pana spalił taki ogień. Sztuka aktorska polega na oszczędzaniu się i ukazywaniu tylko pozorów. Aktor powinien być zimny, nawet kiedy od jego gry zapala się ogniem podłoga sceny, musi pozostać spokojny w

największym uniesieniu. Nikt jeszcze nie przedstawił tak żywo przesady, bezczelności i głupoty Matamora; i jeżeli uda się panu zapamiętać te improwizowane efekty, zdobędzie pan pierwsze miejsce wśród akto-rów komicznych.

— Czy to nie dlatego — zapytał z goryczą baron — że całkowicie wszedłem w swoją rolę? Sam czułem się wielkim i śmiesznym błaznem w scenie, gdy moja głowa przechodzi przez gitarę, którą Leander rozbija na mnie.

— Rzeczywiście — podjął Tyran — to była najdziwaczniejsza mieszanina furii i śmie-szności, jaką można sobie wyobrazić. Panna Jolanta de Foix, ta piękna osoba, tak dumna, szlachetna i poważna, raczyła się uśmiechać. Wyraźnie to zauważyłem.

— Wielki to dla mnie zaszczyt — rzekł Sigognac, którego policzki zaczerwieniły się nagle — że ubawiłem tę piękność.

— Niech mi pan wybaczy — powiedział Tyran dostrzegłszy rumieniec barona. — Sukces, który oszałamia nas, biednych komediantów zawodowych, musi być obojętny osobie pańskiego stanu, wyższej nad wszelkie oklaski, nawet pochodzące od najwybitniejszych osób.

— Wcale mnie pan nie rozgniewał, zacny Herodzie — odparł Sigognac wyciągając rękę do Tyrana. — Trzeba robić dobrze to wszystko, co się robi. Ale trudno mi obronić się przed myślą, że w młodości marzyłem o innych triumfach.

Izabela, która już się przebrała do następnej sztuki, przeszła koło Sigognaca i rzuciła mu przed wejściem na scenę spojrzenie anioła pocieszyciela tak pełne czułości i sympatii, tak namiętne, że natychmiast zapomniał o Jolancie i przestał się czuć nieszczęśliwym. Był to bo-ski balsam, który zabliznił rany jego dumy, przynajmniej na chwile, gdyż takie blizny otwie-rają się znów i krwawią zawsze.

Markiz de Bruyeres był na posterunku; i choć zajęty podczas przedstawienia oklaskiwa-niem Zerbiny, poszedł się

przywitać z Jolantą, którą znał i u której czasem polował. Opowiedział jej, nie wymieniając nazwiska barona, o pojedynku kapitana Fracasse z księciem Vallombreuse, znając szczegóły lepiej niż ktokolwiek, jako sekundant jednego z walczących.

— Niepotrzebnie bawi się pan w dyskrecję — odpowiedziała Jolanta — od razu zga-dłam, że kapitan Fracasse to baron de Sigognac. Czyż nie widziałam, jak wyruszał ze swej so-wiej wieży w towarzystwie tej dzierlatki, tej Cyganki grającej rolę naiwnych z tak bogobojną minką? — dodała śmiejąc się nieco sztucznie. — I czyż nie był w pańskim zamku razem z aktorami? Nigdy bym, sądząc po jego bezmyślnej minie, nie przypuszczała, że jest tak do-brym aktorem i takim zuchem.

Wróciwszy do swego pokoju, Izabela znalazła na środku stołu kasetkę tak umieszczoną, aby mogła zwrócić uwagę osoby nawet najbardziej roztargnionej. Złożony papier podsunięto pod jeden z rogów skrzynki, która musiała zawierać rzeczy bardzo cenne, gdyż sama była prawdziwym cackiem. List nie był zapieczętowany i zawierał słowa mozolnie skreślone pismem drżącym, jakby ręka piszącego nie mogła poruszać się swobodnie: „Dla Izabeli”.

Rumieniec oburzenia wykwitł na policzkach aktorki, gdy zobaczyła prezenty, które mogły zachwiać niejedną cnotę. Nie otwierając kasetki, nawet przez ciekawość kobiecą, zawołała imć Bilota, który się jeszcze nie położył, gdyż przygotowywał posiłek dla kilku magnatów, poleciła mu, aby zabrał skrzynkę i zwrócił, komu należy, gdyż nie chciała jej mieć ani minuty w swoim posiadaniu.

Oberżysta był zdumiony i zaklął się na sto piorunów — co u niego znaczyło tyle, ile przysięga bogów olimpijskich na Styks * — że nie wie, kto umieścił tę kasetkę, choć domyślał

się jej pochodzenia. Rzeczywiście — to jejmość Leonarda (do której zwrócił się książę uważając, że stara baba da sobie radę nawet i tam, gdzie się nie uda diabłu) położyła klejnoty na stole pod nieobecność Izabeli. Ale w tym wypadku występna matrona sprzedała to, czego nie mogła dostarczyć, przeceniając demoralizującą siłę drogich kamieni i złota, działającą jedynie na niskie charaktery.

— Zabierzcie to stąd — rzekła Izabela do Bilota — zwróćcie tę haniebną skrzynkę temu, kto ją przysłał. A przede wszystkim ani słowa o tym kapitanowi; choć moje zachowanie

* Styks — mitologiczna rzeka w królestwie zmarłych. Bogowie zaklinali się na nią, kiedy składali najbardziej uroczyste przysięgi.

w niczym tutaj nie zawiniło, mógłby wpaść w furję i zrobić skandal, od którego by ucierpiała moja reputacja.

Bilot podziwiał bezinteresowność młodej aktorki, która nawet nie spojrzała na klejnoty mogące zawrócić w głowie księżniczce i odsyłała je pogardliwie jak cukierki z gipsu albo puste orzechy. Wychodząc, złożył jej ukłon najbardziej uniżony — nie inaczej kłaniałby się królowej, tak go zdumiewała ta cnota.

Podniecona Izabela po wyjściu oberżysty otworzyła okno, by świeżością nocy ochłodzić rozognione policzki i czoło. Poprzez gałęzie drzew jaśniało światło na czarnej fasadzie pałacu Vallombreuse, zapewne w pokoju rannego księcia. Uliczka wyglądała bezludnie. Ale Izabeli, która miała czuły słuch aktorki przyzwyczajonej chwytać w lot szept suflera, wydało się, że słyszy słowa wymówione bardzo cichym głosem: „Jeszcze się nie położyła”.

Żywo zaintrygowana tym zdaniem, wychyliła się nieco i miała wrażenie, że w cieniu, u stóp muru, rozróżnia dwie

postacie ludzkie ubrane w płaszcze i nieruchome jak kamienne posągi w przedsionku kościoła; na drugim końcu uliczki, mimo ciemności, jej rozszerzone trwogą oczy odkryły trzecie widmo, które jak gdyby stało na straży.

Czując, że są obserwowane, zagadkowe istoty znikły lub też ukryły się starannej, gdyż Izabela nie zobaczyła już i nie usłyszała nic więcej. Znużona wypatrywaniem, sądząc, że stała się ofiarą przywidzenia, zamknęła po cichu okno, zaryglowała drzwi, postawiła świecę na stole i położyła się do łóżka z niejasnym lękiem, którego nie mogła sobie wyperswadować. Istotnie, czegoż mogła się obawiać w oberży pełnej ludzi, o dwa kroki od przyjaciół, w pokoju solidnie zaryglowanym, zamkniętym na cztery spusty? Jakież związki z nią mogły mieć te cienie dostrzeżone na dole? Pewnie jakieś rzezimieszki, czekające na zdobycz, którym przeszka-dzało światło z jej okna.

Wszystko to było logiczne, ale nie przekonywało jej; trwożne przeczucie ścisnęło jej serce. Gdyby się nie lękała wyśmiania, wstałaby i poszukała schronienia u jednej z koleżanek, ale Zerbina nie była sama, Serafina jej nie lubiła, a duena budziła w niej instynktowny wstręt. Została więc, ale dręczył ją jakiś nieokreślony strach.

Najmniejsze skrzyknięcie boazerii, najlżejsze trzaskanie świecy, której nie obcięty knot ozdobił się czarnym grzybkiem, sprawiało, że wstrząsana dreszczem trwogi kryła głowę pod kołdrą, ponieważ z przestachu widziała już w ciemnych kątach jakieś potworne kształty; później odzyskiwała odwagę, gdy obejrzawszy uważnie pokój, przekonywała się, że nic w nim nie wyglądało podejrzanie czy nienaturalnie.

Wysoko na jednej ze ścian znajdowało się okienko mające zapewne oświetlać jakąś alkowę. To okienko rysowało się na

ciemnym tle ściany przy słabych odblaskach światła niczym olbrzymia, czarna źrenica cyklopięgo oka, które jak gdyby śledziło zachowanie się młodej kobiety. Izabela nie mogła się powstrzymać od spoglądania w ten otwór głęboki i ciemny, zakratowany co prawda dwiema skrzyżowanymi sztabami żelaznymi. Nie było więc z tej strony powodu do obaw; jednak w pewnym momencie wydało się jej, że widzi w głębi tej ciemności dwoje ludzkich oczu.

Wkrótce potem ogorzała twarz, którą otaczały drugie, czarne i rozczochrane włosy, uka-zała się w niewielkiej przestrzeni między sztabami; za nią zjawiło się chude ramię, następnie przeszły plecy, ocierając się mocno o żelazo, i dziewczynka ośmio — lub dziesięcioletnia zawisała na murze wątlým ciałkiem, po czym skoczyła na podłogę, nie czyniąc więcej hałasu niż spadające na ziemię pióro lub płatek śniegu.

Sądząc po nieruchomości skamieniałej ze strachu Izabeli, przypuszczała, że aktorka śpi, ale gdy się zbliżyła do łóżka, aby sprawdzić, czy sen jest głęboki, najwyższe zdumienie odbi-ło się na ciemnobrunatnej twarzyczce.

— Pani z naszyjnikiem! — powiedziała dziewczynka dotykając pereł, które szeleściły na jej chudej i ciemnej szyi. — Pani z naszyjnikiem!

Izabela, na pół martwa ze strachu, również poznała dziewczynkę spotkaną w oberży „Pod Błękitnym Słońcem” i na drodze do Bruyeres w towarzystwie Agostyna. Usiłowała we-zwać pomocy, ale dziewczynka położyła jej rękę na ustach.

— Nie krzycz, nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo. Chiquita powiedziała przecież, że nigdy nie utnie szyi pani, która jej dała perły.

— Ale co ty robisz tutaj, nieszczęsne dziecko? — zapytała Izabela odzyskując zimną krew na widok istoty słabej i wątłej, która nie mogła być bardzo groźna, a zresztą okazywała jej

wdzięczność, dziką co prawda i dziwaczną.

— Przyszłam odsunąć rygiel, na który zamykasz się co wieczór — odpowiedziała Chi-quita najspokojniejszym tonem i jak gdyby nie mając żadnych wątpliwości, że jej postępowanie nie ma w sobie nic złego. — Wysłali mnie, bo jestem zwinna i cienka jak wąż. Nie ma takiej dziury, przez którą bym nic przeszła.

— Ale dlaczego chcą odsunąć rygiel? Żeby mnie okraść?

— Och, nie! — odpowiedziała Chiquita z pogardliwym wyrazem twarzy. — Chodzi o to, żeby ludzie mogli wejść do pokoju i zabrać ciebie.

— Mój Boże, jestem zgubiona! — jęknęła Izabela załamując ręce.

— Wcale nie, bo przecież ja zostawię rygiel zasunięty. Nie będą mieli odwagi wyłamać drzwi, bo zrobiłby się z tego hałas, nadbiegliby ludzie, a oni poszliby na szubienicę. Nie są tacy głupi.

— Ale ja bym krzyczała, chwyciłabym się ścian, usłyszano by mnie.

— Knebel głuszy krzyki — rzekła Chiquita z dumą artysty, który wyjaśnia profanowi sekrety swego kunsztu. — Kołdra owinięta dokoła ciała nie pozwala się ruszyć. To bardzo łatwe. Stajenny został przekupiony i miał otworzyć tylną bramę.

— A kto wymyślił ten straszny podstęp? — zapytała biedna aktorka, przerażona grożącym jej niebezpieczeństwem.

— Wielki pan, który dał pieniądze. Och, wielkie pieniądze! Tyle, pełne ręce — odpowiedziała Chiquita, a oczy jej błyszczały przy tym chciwością i okrucieństwem. — Ale to wszystko jedno, ty mi podarowałaś perły; powiem im, że nie spałaś, że w twoim pokoju był jakiś człowiek, że się nie udało, i oni pójdą sobie. Pozwól mi popatrzeć na siebie; jesteś

pię-kna, kocham cię... tak, bardzo cię kocham, prawie tyle, co Agostyna. O! — zawołała nagle, widząc na stole nóż znaleziony w wozie. — Masz nóż, który zgubiłam, nóż mojego ojca. Zachowaj go, to dobra broń.

*Cuando esta vivora pica,
No hay remedio en la botica.*

Widzisz, trzeba przekręcić skuwkę, a potem uderzyć w ten sposób, od dołu. Wtedy ostrze wchodzi lepiej. Noś ten nóż za stanikiem, a kiedy źli ludzie będą chcieli zrobić ci przy-krość, trach! Rozwalisz im brzuch. — Dziewczynka ilustrowała swe słowa odpowiednimi gestami.

Ta lekcja nożownictwa udzielana przez małą złodziejkę, dziką i na wpół obłąkaną, wśród nocy, w tak dziwnych okolicznościach, wywierała na Izabeli wrażenie koszmaru z rodzaju tych, które nas czasem nękają we śnie.

— Trzymaj nóż w ten sposób, mocno ściskając palce. Nic ci nie zrobią. Teraz już idę. Do widzenia, pamiętaj o Chiquicie!

Mała współpracowniczka Agostyna przystawiła krzesło do ściany, weszła na nie, stanęła na palcach, chwyciła za sztabę, wygięła się w łuk i oparła pięty o ścianę, po czym gwałtownym ruchem podciągnęła się do okienka, w którym zniknęła nucąc półgłosem jakąś nie rymowaną piosenkę: „Chiquita przechodzi przez dziurki od klucza, tańczy na ostrzach żelaznych ogro-dzeń albo na skorupach butelek i nic jej to nie szkodzi. Mądry będzie, kto ją złapie”.

Izabela niecierpliwie oczekiwała świtu, nie mogąc zmrużyć oka, tak bardzo ją wzburzył ten dziwaczny wypadek; reszta nocy upłynęła jednak spokojnie.

Ale gdy rano młoda dziewczyna zeszła do jadalni, aktorów uderzyła jej bladość i pod-krażone oczy. Zasykali ją

pytaniem, opowiedziała więc swą nocną przygodę. Sigognac pro-ponował w uniesieniu ni mniej, ni więcej tylko wyprawę na pałac księcia Vallombreuse, któremu bez wahania przypisał to zbrodnicze przedsięwzięcie.

— Moim zdaniem — rzekł Blazjusz — trzeba jak najprędzej spakować nasze dekoracje i zginąć, a raczej ocalić się w oceanie Paryża. Sytuacja się psuje.

Aktorzy poparli Pedanta i postanowiono wyjechać nazajutrz.

ROZDZIAŁ XI

NOWY MOST

Byłoby rzeczą zbyt długą i nudną dzień po dniu towarzyszyć wozowi aktorów aż do wielkiego miasta Paryża; w czasie drogi nie zdarzyła się żadna przygoda, która by zasługiwała na opowiedzenie. Nasi aktorzy mieli dobrze zaopatrzoną sakiewkę i jechali zwawo, mogąc wynajmować konie i przebywać duże etapy. W Tours i Orleanie trupa zatrzymała się, aby dać kilka przedstawień; przyniosły one dochód, którym ucieszył się Herod, jako dyrektor i kasjer bardziej niż inni czuły na sukcesy wyrażające się w brzęczącej monecie. Blazjusz zaczął się już uspokajać i nawet wyśmiewać z obaw, które w nim wzbudziło mściwe usposobienie Vallombreuse'a. Jednakże Izabela drżała wciąż na wspomnienie nieudanego porwania i nieraz zdawało jej się w czasie snu (choć w oberżach sypiała razem z Zerbina), że widzi niesamowitą głowę Chiquity, wysuwającą się z

ciemnego okienka i ukazującą wszystkie swe białe zęby. Przerażona tym obrazem, budziła się krzycząc i towarzyszka uspokajała ją z trudem. Nie zdradzając na zewnątrz żadnego niepokoju, Sigognac spał zawsze w najbliższej izbie ze szpadą pod poduszką i całkowicie ubrany na wypadek napadu. W dzień szedł najczęściej pie-szo przed wozem jako zwiadowca, zwłaszcza gdy w pobliżu drogi widać było lasek, zagajnik, kawał muru lub zrujnowaną chatkę, mogącą służyć za miejsce zasadzki. Gdy spostrzegał grupę podróżnych o podejrzanym wyglądzie, wracał ku wozowi, gdzie Tyran, Scapin, Blazjusz i Leander stanowili garnizon nie do pogardzenia, choć przedostatni z nich był stary, a ostatni tchórzliwy jak zajęć. Kiedy indziej jak dobry dowódca armii, umiejący odgadywać podstępny przeciwnika, szedł w straży tylnej, gdyż niebezpieczeństwo mogło się zjawić także i z tej strony. Ale wszystkie te środki ostrożności były niepotrzebne. Żaden atak nie zaskoczył trupy — czy to, że książę nie miał czasu go przygotować, czy też, że zrezygnował ze swego pomysłu, czy może wreszcie cierpienia spowodowane raną odebrały mu odwagę.

Wreszcie trupa przybyła około czwartej po południu w pobliże wielkiego miasta, od strony rzeki Bievre, gdzie przebyła mostek, kierując się wzdłuż Sekwany, rzeki najświetniejszej ze wszystkich, której nurty mają zaszczyt obmywać pałace naszych królów i tyle innych budynków słynnych na cały świat. Dymy, unoszące się z kominów domów, tworzyły na niebie jakby wielką chmurę rudej, na wpół przezroczystej mgły, poza którą wschodziło czerwone i pozbawione promieni słońce. Na tym tle o stłumionych barwach rysowały się szarofioletowe kontury budynków prywatnych, kościelnych i państwowych, które można było objąć spojrzeniem z tego miejsca. Po drugiej stronie rzeki, za wyspą Louviers, widniał bastion Arsenалу, klasztor

Celestynów i bardziej na wprost — cypel wyspy Notre-Dame. Gdy aktorzy przebyli bramę Świętego Bernarda, ujrzeli obraz wspaniały. Katedra Notre-Dame ukazała się w całej świetności od frontu, prezentując swe przypory podobne do żeber gigantycznych ryb, dwie kwadratowe wieże i ostrą wieżyczkę umieszczoną w miejscu przecięcia naw. Inne, skromniej-sze dzwonniczki wznosiły się nad dachami kościołów i kaplic zagubionych w tłumie do-mostw i wczepiały się czarnym grzebieniem w jasną smugę nieba. Ale szczególnie katedra przyciągała spojrzenie Sigognaca, który nigdy dotąd nie był w Paryżu i zdumiewał się jej ogromem.

Ruch wozów naładowanych przeróżnymi towarami, tłum jeźdźców i pieszych, którzy mijali się wśród zgiełku na brzegach rzeki lub na równoległych do niej ulicach, hałas tego wielkiego tłumu — wszystko to zachwycało i oszalało barona przyzwyczajonego do bez-troskiej pustki landów i martwej ciszy swego zniszczonego zamku. Miał uczucie, że w głowie obraca mu się kamień młyński, chwiał się jak pijany.

Niebawem wyjrzały z cienia wzdłuż Sekwany kościół i klasztor Augustianów, a na pla-cu przy Nowym Moście Sigognac zobaczył po prawej stronie, ledwo widoczne w gęstniejącej ciemności, kształty konnego posągu dobrego króla Henryka IV; ale wóz skręcił na rogu w nowo przeprowadzoną przez tereny klasztorne ulicę Dauphine i koń znikł razem z jeźdźcem. W górnej części ulicy Dauphine, niedaleko bramy tej samej nazwy, znajdował się duży za-jazd, gdzie stawały czasem ambasady najdziwaczniejszych, bajecznych krajów.

Ta oberża mogła przyjmować bez zapowiedzenia bardzo duże kompanie. Konie mogły tu zawsze znaleźć siano w drabkach, a ich panom nigdy nie zabrakło łóżek. Tam właśnie wyznaczył Herod miejsce postoju swej teatralnej hordy. Świętny stan kasy pozwolił na ten zbytek — zbytek

pożyteczny zresztą, gdyż podnosił znaczenie trupy, dowodząc, że składają się nie z włóczków, rzezimieszków i rozpustników, zmuszonych nędzą do wykonywania niezaszczytnego zawodu prowincjonalnych histrionów, ale z dzielnych artystów, którym ich talent dawał uczciwy dochód, co jest możliwe, jak tego dowodzi pan Piotr de Corneille, znany poeta, w swej sztuce „Złudzenie komiczne”.

Właśnie w chwili gdy służący powiedział aktorom, iż pokoje są gotowe, jakiś podróżny wszedł do kuchni i zbliżył się do komina. Był to człowiek około trzydziestki, wysokiego wzrostu, szczupły, silny, o rysach niesympatycznych, choć regularnych. Odblask ognia obra-mował jego profil światłem, podczas gdy reszta twarzy kryła się w cieniu. Ta linijka światła podkreślała dość wydatny łuk brwi ukrywający spojrzenie twarde i badawcze, orli nos opada-jący jak dziób na obfite wąsy, bardzo wąską wargę dolną, z którą łączył się nagle podbródek spłaszczony i krótki, jakby naturze zabrakło materii do ukończenia tej twarzy.

Trudno było ustalić, do jakiej sfery należał nowo przybyły. Nie był to ani kupiec, ani mieszczanin, ani żołnierz. Najbardziej właściwe byłoby przypuszczenie, że pochodzi z bieżącej szlachty i zaciągnął się na służbę do jakiegoś magnata.

Sigognac, który nie miał zamiłowania do kuchni jak Blazjusz czy Herod i nie pogrążył się w kontemplacji przygotowywanego posiłku, patrzył ciekawie na tego wielkiego draba, którego twarz wydawała mu się znana, choć nie mógł sobie przypomnieć, gdzie i kiedy go spotkał. Na próżno przetrząsał wspomnienia, nie mógł nic odnaleźć. Czuł jednak niejasno, że nie pierwszy raz widzi tego zagadkowego człowieka, który zdawał sobie chyba sprawę, że jest przedmiotem czyjejś badawczej uwagi, ale mało tym wzruszony, odwrócił się tyłem do zebranych i pochylił nad

kominem, jakby chciał ogrzać sobie ręce przy ogniu.

Ponieważ pamięć nie odpowiadała na wezwanie, a dłuższa obserwacja mogła wywołać niepotrzebną awanturę, baron poszedł za aktorami, którzy objęli w posiadanie pokoje i, poprawiwszy toalety, zebrali się w dolnej sali, gdzie podano kolację. Przyjęli ją z entuzjazmem, ponieważ wszyscy byli zgłodniali i spragnieni. Blazjusz, mlaskając językiem, ogłosił, że wino jest dobre, i raz po raz napełniał sobie kieliszek, nie zapominając o kolegach; nie był to bowiem jeden z owych egoistycznych biboszków, którzy oddają Bachusowi kult w samotności — niemal w tym samym stopniu lubił częstować winem, jak pić; Tyran i Scapin dotrzymywali mu kroku.

Izabela, która już od dłuższego czasu przestała jeść, machinalnie ugniatała w palcach kulkę z chleba, nadając jej kształt gołąbka, i spoglądała na siedzącego po drugiej stronie stołu Sigognaca wzrokiem pełnym czystej miłości i anielskiej tkliwości. Ciepła temperatura sali pokryła delikatnym rumieńcem jej policzki, przedtem trochę przybladłe ze zmęczenia. Była zachwycająco piękna i gdyby młody książę de Vallombreuse mógł ją teraz zobaczyć, oszalał-by z miłości.

Sigognac wpatrywał się w Izabelę z pełnym szacunku zachwytem; wzniosłe uczucia tej uroczej dziewczyny wzruszały go w tym samym stopniu, co wdzięki, którymi natura hojnie ją obdarzyła; żałował też bardzo, że przez nadmierne skrupuły odmówiła mu swojej ręki.

Po skończonej kolacji kobiety odeszły, podobnie jak Leander i baron, pozostawiając trójce zasłużonych pijaków opróżnienie napoczętych butelek. Lokajom napełniającym kieliszki wydało się to zbyt sumiennością, ale pocieszył ich upominek w postaci srebrnej monety.

— Niech się pani dobrze u siebie zabarykaduje — powiedział Sigognac odprowadzając Izabelę do drzwi jej pokoju. — Tyle jest ludzi w tych zajazdach, że trudno być

zbyt ostro-żnym.

— Może pan być zupełnie spokojny, drogi baronie — zapewniła młoda aktorka — mój pokój zamyka się na trzy spusty. Taki zamek wystarczyłby nawet przy drzwiach więzienia. Jest tam jeszcze rygiel dłuższy niż ramię, kraty w oknie, a żadne małe okienko nie otwiera na ścianie swej ciemnej źrenicy. Podróżni miewają tu przedmioty nęcące dla opryszków, pokoje muszą więc być dobrze zamykane. Nigdy zaczarowana księżniczka z bajki nie była bezpieczniejsza w swej wieży strzeżonej przez smoki.

— Czasem — odpowiedział Sigognac — nawet zaklęcia nie wystarczają i wróg wdziera się do twierdzy mimo filakterów, tetragramów i abrakadabry *.

— To tylko dlatego — uśmiechając się rzekła Izabela — że księżniczka sprzyjała i pomagała nieprzyjacielowi z ciekawości albo z miłości, lub też znudzona zamknięciem, mimo że służyło jej dobru. Ze mną jest zgoła inaczej. A więc skoro ja się nie boję, choć mam charakter bardziej lękliwy niż sarna spłoszona dźwiękiem rogu myśliwskiego i odgłosem psiarni, czy pan nie powinien być spokojny? Pan, który męstwem dorównuje Aleksandrowi Wielkiemu i Cezarowi? Niech pan śpi spokojnie.

Na znak pożegnania podała Sigognakowi do pocałowania rękę wątlą i miękką, której białość umiała pielęgnować, równie dobrze jak księżniczka, za pomocą talku, pomad ogórkowych i specjalnych rękawiczek. Gdy weszła do pokoju, Sigognac usłyszał uspokajający szczeł zamka i zgrzyt zasuwanego rygla. Kiedy jednak stanął przed swymi drzwiami, dostrzegł przesuwający się po ścianie cień człowieka, którego kroków nie słyszał, chociaż jego ciało omal go nie musnęło. Sigognac żywo odwrócił głowę: był to nieznamy z kuchni, widocznie udający się do pokoju wyznaczonego mu przez gospodarza. Nie było w tym nic

nadzwyczajnego, ale baron, pod pozorem, że nie może trafić kluczem do zamka, śledził wzrokiem tajemniczego i podejrzanego osobnika dopóty, dopóki nie zniknął na zakręcie korytarza. Odgłos zatraskiwanych drzwi, tym wyraźniejszy, że w obojętnej panowała cisza, sprawił, iż Sigognac uświadomił sobie, że nieznajomy wszedł już do pokoju i że mieszka dosyć daleko.

Chociaż było już późno, baron słyszał głuchy szum wielkiego miasta, które jest jak ocean — nie milknie, nawet gdy zdaje się cichnąć. Był tam trucht konia, dudnienie karety ginące w oddali, piosenka spóźnionego pijaka, łoskot skrzyżowanych szpad, krzyk przechodnia napadniętego przez opryszków na Nowym Moście, wycie zbłąkanego psa i inne jakieś hałasy nie dające się określić. Sigognakowi wydało się, że wśród tych dźwięków odróżnia kroki człowieka w długich butach, idącego ostrożnie, jakby nie chciał być słyszany. Baron zgasił lampę, aby go nie zdradziła smuga światła, i uchyliwszy drzwi, ujrzał w głębi korytarza człowieka starannie otulonego w ciemny płaszcz; nieznajomy kierował się ku pokojowi

* filaktery, tetragramy, abrakadabry — znaki wyrażające zaklęcia magiczne.

pierwszego podróźnego, którego zachowanie było tak podejrzanym. W kilka chwil później inny mężczyzna, którego buty skrzypiały, choć starał się swój krok uczynić lekkim, przeszedł tą samą drogą, co pierwszy. Nie upłynęło nawet pół godziny, a już trzeci dryblas, o nader brutalnym wyglądzie, ukazał się w niepewnym oświetleniu dogasającej w korytarzu lampki. Był ubrany tak jak dwaj poprzedni i długa szpada podnosiła mu z tyłu płaszcz do góry. Rondo kapelusza ozdobionego czarnymi piórami rzucało cień na jego twarz i nie pozwalało dostrzec rysów.

Ta procesja tajemniczych drabów wydała się Sigognakowi co najmniej zastanawiająca, a liczba czterech przypominała mu zasadzkę, której ofiarą o mało nie padł w Poitiers, kiedy wyszedł z teatru po sprzeczce z księciem de Vallombreuse. Nagle wszystko stało się dla niego jasne; mężczyzna spotkany w kuchni był opryszkiem, którego napaść mogła wtedy stać się dlań fatalna, gdyby nie był na nią przygotowany; tym samym opryszkiem, co przewrócił się pod ciosami zadanymi płazem rapiera przez odważnego kapitana Fracasse. Pozostali — to niewątpliwie jego towarzysze poskromieni tak dzielnie przez Heroda i Scapina. Jakiż przypadek czy, lepiej powiedziawszy, jaki plan połączył ich w tej oberży, gdzie zamieszkała trupa aktorów? I to w sam wieczór ich przybycia. Widocznie podróżowali ich śladem, etap za etapem. A przecież Sigognac dokładnie badał drogę.

Ale jak rozpoznać przeciwnika w jeźdźcu, który mija was z miną obojętną i, nie zatrzymując się, ledwie rzuca to nieuważne spojrzenie, które w czasie podróży wywołuje każde spotkanie? Pewne było tylko to, że nienawiść i miłość młodego księcia nie wygasły i że oba te uczucia szukały ujścia. Jego zemsta próbowała objąć tą samą siecią Izabelę i Sigognaca. Bardzo odważny z natury, baron nie lękał się tego, co mogło przedsięwziąć przeciw niemu paru najemnych zbirów — zmusiłby ich do ucieczki sam dźwięk jego szpady, bo na pewno nie byli odważniejsi ze szpadą w ręku niż z kijem; obawiał się jednak podłych a przebiegłych knowań skierowanych przeciw młodej aktorce. Dlatego przedsięwziął środki ostrożności i postanowił się nie kłaść. Zapaliwszy wszystkie świece, znajdujące się w pokoju, otworzył drzwi tak, aby snop światła padł na przeciwległą ścianę korytarza w miejscu, gdzie były drzwi Izabeli; następnie usiadł spokojnie, wyciągnąwszy swoją szpadę i sztylet, aby mieć je pod ręką, gdyby się coś stało. Długo czekał bez skutku. Wybiła druga na

Samarytance * i na bliższym zegarze klasztoru Augustianów, gdy coś zaszeleściło i niebawem w prostokącie światła ukazał się niepewny i zakłopotany pierwszy nieznajomy, którym był nie kto inny jak Merindol, jeden z zabijaków w służbie księcia de Vallombreuse. Sigognac stał wyprostowany na progu i ścisnął szpadę w dłoni, gotów atakować lub bronić się, a wyglądał tak bohatersko, dumnie i triumfalnie, że Merindol przeszedł bez słowa, schyliwszy głowę. Trzej inni, nadchodzący gęsiego i zdziwieni niespodziewanym potokiem światła, w środku którego jaśniała groźna postać barona, uciekli czym prędzej, a ostatni zgubił nawet obcegi przeznaczone zapewne do otworzenia drzwi kapitana Fracasse w czasie jego snu. Baron pozdrowił ich drwiącym gestem i niebawem usłyszał tupot koni, które wyciągano ze stajni. Czterej łajdacy, którym nie udało się przygotowana sztuczka, zmykali co siłą.

Przy śniadaniu Herod rzekł do Sigognaca:

— Kapitanie, czy nie ma pan ochoty zwiedzić trochę to miasto, jedno z największych na świecie i o którym tyle się opowiada? Jeżeli pan chce, będę pańskim przewodnikiem i pilotem, jako że znam od dawna wszystkie rafy, mielizny, Eurypy, Charybdy i Scylle ** tego morza niebezpiecznego dla cudzoziemców i ludzi z prowincji. Jesteśmy w tym szczęśliwym położeniu, że mamy tuż obok całe widowisko, gdyż Nowy Most jest dla Paryża tym, czym

* Samarytanka — wielka studnia publiczna niedaleko Nowego Mostu (zburzona w początkach XIX w.); znajdował się na niej zegar i płaskorzeźba przedstawiająca Samarytanę, która przy studni podała wodę Chrystusowi; tej płaskorzeźbie studnia zawdzięczała swą nazwę.

** Euryp — cieśnina na Morzu Jońskim. Charybda i Scylla — wir i skała podwodna koło Sycylii, postrach

żeglarzy starożytnych.

była dla Rzymu Via Sacra *: ulicą oraz miejscem spotkań i przechadzek nowinkarzy, gapiów, poetów, oszustów, złodziejasków, kurtyzan, szlachty, mieszczan, żołnierzy i ludzi wszelkie-go w ogóle stanu.

— Pańska propozycja bardzo mi się podoba, dzielny Herodzie — odpowiedział Sigo-gnac — ale niech pan uprzedzi Scapina, żeby został w hotelu i swoim lisim wzrokiem nadzo-rował wchodzących i wychodzących o podejrzanym zachowaniu. Niech nie opuszcza Izabeli. Zemsta Vallombreuse'a krąży dokoła nas i próbuje nas pożreć. Tej nocy znów widziałem tych czterech drabów, których tak dobrze urządziliśmy w Poitiers. Mieli zamiar, wyobrażam sobie, wtargnąć do mojego pokoju, zaskoczyć mnie we śnie i dobrać mi się do skóry. Ponieważ czu-wałem w obawie przed zasadzką na naszą młodą przyjaciółkę, nie mogli urzeczywistnić swe-go projektu i kiedy zrozumieli, że są odkryci, pod pretekstem, że spieszo im w dalszą drogę, uciekli natychmiast na koniach, które stały już osiodłane w stajni.

— Nie myślę — odrzekł Tyran — żeby się ośmielili przedsięwziąć coś w dzień. Na naj-mniejszy alarm nadeszłaby pomoc, a zresztą mają jeszcze pewno nosy potłuczone po ostatnim laniu. Scapin, Blazjusz i Leander wystarczą dla strzeżenia Izabeli aż do naszego powrotu. Ale lękając się jakiejś zwady czy zasadzki na ulicy, wezmę broń, aby w razie potrzeby wesprzeć pańską szpadę.

To powiedziawszy, Tyran opiął swój majestatyczny brzuch pasem podtrzymującym długi i solidny rapier. Narzucił na ramię krótki płaszcz, który nie mógł mu przeszkadzać w ruchach, i nasunął aż po brwi swój kapelusz z czerwonym piórem, gdyż przechodząc przez mosty, trzeba uważać na wiatr, który łatwo może porwać kapelusz ku wielkiej radości

pa-ziów, lokai i gawiedzi. Taki przynajmniej powód podawał Herod, ale zacny aktor myślał tak-że i o tym, że Sigognakowi mogłoby zaszkodzić ukazywanie się w towarzystwie komedianta. Dlatego chciał ukryć swoją twarz, zbyt znaną publiczności.

Na rogu ulicy Dauphine, u przedsionka klasztoru Augustianów, Herod zwrócił uwagę Sigognaca na ludzi kupujących mięso skonfiskowane rzeźnikom w dniach, w których handel mięsem był zakazany; tłoczyli się, żeby dostać choć trochę, po niższej niż zwykle cenie. Pokazał mu także nowinkarzy roztrząsających losy królestw, zmieniających wedle swej woli granice, dzielących imperia i bardzo dokładnie powtarzających rozmowy, które ministrowie prowadzili w swych gabinetach. Tam sprzedawano również gazety, paszkwile, pisma satyryczne i broszury kolportowane nielegalnie. Wszyscy ci dziwacy wyglądali nędznie, zachowywali się jak ludzie niespełna rozumu i ubrania mieli obszarpane.

— Nie zatrzymujmy się tu — rzekł Herod — i nie słuchajmy tych bzdur; nigdy byśmy nie skończyli! Chyba że pan koniecznie chce znać ostatni edykt szacha perskiego albo ceremoniał obowiązujący na dworze króla Gwoździka. Chodźmy jeszcze kilka kroków dalej, a będziemy mogli rozkoszować się jednym z najpiękniejszych widoków świata, jakich teatry nie mogą pokazać za pomocą swych dekoracji i maszynerii.

Rzeczywiście panorama, która ukazała się oczom Sigognaca i jego przewodnika, gdy przekroczyli most na węższej odnodze Sekwany **, nie miała wtedy i dziś jeszcze nie ma równej w świecie.

— Bardziej jeszcze — rzekł Sigognac — niż wielkość, bogactwo i wspaniałość budynków, zarówno publicznych, jak i prywatnych, dziwi mnie nieskończona ilość ludzi rojących

się po ulicach, placach i mostach jak mrówki, którym zniszczono mrowisko i które biegają nieprzytomnie tu i tam, nie wiadomo w jakim celu. Aż dziw bierze, gdy pomyśleć, że wśród jednostek, które tworzą tę nieskończoną mnogość, każda ma swój pokój, złe lub dobre łóżko i jada prawie codziennie, bo inaczej by umarła. Jakiej ogromnej ilości pożywienia, ilu stad wołów, pudów zboża i konwi wina trzeba, aby nakarmić tych wszystkich ludzi zgromadzonych

* Via Sacra — Święta Droga, główna ulica starożytnego Rzymu.

** ...most na węższej odnodze Sekwany — Nowy Most, który łączy nadbrzeże rozdwarzającej się w tym miejscu Sekwany z najstarszą częścią Paryża, wyspą Cite. na jednym miejscu, gdy tymczasem na naszych landach spotyka się tak rzadko człowieka!

Rzeczywiście, tłum krążący po Nowym Mieście mógł zadziwić przybysza z prowincji. Na środku jezdni mijały się lub ciągnęły jedna za drugą karoce zaprzężone w dwa albo nawet cztery konie; jedne z tych karoc były świeżo malowane i złocone, wysłane aksamitem, miały oszklone drzwiczki i elastyczne resory, z tyłu siedzieli lokaje, a na koźle woźnice o rumia-nych gębach i we wspaniałej liberii, z niemałym trudem powstrzymujący w tłoku niecierpliwe konie; inne karoce były mniej efektowne — farba na nich straciła już świeżość, zamiast szyb miały skórzane zasłony, resory były zużyte, ciągnęły je konie znacznie spokojniejsze, wymaga-ające bata do pobudzenia ich zapału i zdradzające mniejszą zamożność swoich właścicieli. W pierwszych dostrzec było można przez szyby wspaniale ubranych dworzan i elegancko wystrojone damy; w drugich — prawników, lekarzy i inne poważne osoby. Z tym wszystkim mieszały się wózki naładowane kamieniami, drzewem i beczkami, prowadzone przez bruta-

lnych woźniców, którzy przy każdej sposobności bluźnili z niesłychanym temperamentem. Przez ten ruchomy labirynt pojazdów usiłowali torować sobie drogę przechodnie, ale nie zawsze byli na tyle zręczni, aby ich nie szarpnęła za cholewę jakaś oś albo nie ochlapało błoto spod kół. Lektyki, własne lub wynajęte, próbowały unikać głównego nurtu, żeby nie wciągnął ich w wir, i posuwały się o ile możliwości wzdłuż barier. Jeżeli jeszcze przechodziło stado wołów, zamęt dochodził do szczytu.

— To wszystko — rzekł Herod do Sigognaca, którego pochłaniało oglądane widowisko — jest rzeczą najzwyczajniejszą. Spróbujmy wyrwać się z ciżby i dostać do miejsc, gdzie się znajdują oryginały z Nowego Mostu, figury dziwaczne i pocieszne, które warto obejrzeć z bliska. Żadne inne miasto poza Paryżem nie wytwarza ich w takiej różnorodności. Rosną na jego brukach jak kwiaty lub raczej grzyby bezkształtne i potworne, którym żadna ziemia tak nie odpowiada jak to czarne błotko. O proszę, oto du Maillet, zwany ubłoconym poetą, zaleca się do brązowego króla. Jedni twierdzą, że to małpa, która uciekła z jakiejś menażerii, drudzy, że to jeden z wielbłądów przywiezionych przez pana de Nevers. Jeszcze nie rozstrzygnięto tego problemu; ja go uważam za człowieka ze względu na jego szaleństwo, arogancję i nie-chlujstwo. Małpy wyłapują swoje robactwo i zjadają je przez zemstę i za karę, on się o to nie troszczy; wielbłądy przyglądają sobie uwłosienie i posypują się kurzem jak pudrem; mają zresztą po kilka żołądków i przeżuwiają swe pożywienie, on nie mógłby tego zrobić, gdyż ma stale żołądek równie pusty, jak głowę. Niech mu pan rzuci jakąś jałmużnę; przyjmie ją złorze-cząc i przeklinając pana. Trzeba go więc uznać za człowieka, bo jest zwariowany, brudny i niewdzięczny.

Sigognac wyciągnął ze swego trzosa srebrny pieniążek i

wręczył go poecie, który trwał pogrążony w głębokim zamyśleniu, częstym u ludzi chorych na umyśle lub podlegających zmiennym nastrojom, i nie widział barona stojącego naprzeciw niego. W końcu dostrzegł go i, porzuciwszy swe jałowe myśli, wziął pieniądz gestem gwałtownym i nieprzytomnym, na-stępnie włożył go do kieszeni, pomrukując jakieś niewyraźne obelgi, a po chwili demon poe-zji opanował go na nowo. Zaczął więc ruszać wargami, wywracać oczyma i robić grymasy co najmniej tak dziwaczne, jak te, które Germain Pilon wyrzeźbił maszkarom na gzymsach Nowego Mostu; jednocześnie zaś liczył na palcach sylaby wierszy, mruczając przez zęby, co niezmiernie bawiło zebraną dookoła niego gromadkę uliczników.

Nieco dalej, w jednym z półkolistych zagłębień znajdujących się nad każdym filarem mostu, jakiś ślepiec w towarzystwie grubej kumoszki, która mu zastępowała oczy, krzykliwie wyśpiewywał wesołe kuplety lub też tonem śmiesznie ponurym zawodził pieśń o życiu, zbro-dniach i śmierci sławnego przestępcy. W innym jeszcze miejscu, ubrany na czerwono szarla-tan, z dentystycznymi obcęgi w rękę, popisывał się na estradzie, którą zdobiły girlandy przednich i trzonowych psich zębów, nanizanych na drut mosiężny. Przemawiał do stojących wokoło gapiów, zapewniając, że najodporniejsze korzenie wyrywa bez bólu jednym uderze-niem szabli lub pistoletu, wedle wyboru pacjenta, chyba że ten ostatni woli być operowany sposobem zwyczajnym. „Ja nie wyrywam zębów! — wołał piskliwym głosem. — Ja zrywam je jak owoce! A więc proszę! Każdy, kto cierpi na zęby, niech bez obawy wejdzie do koła. Ulecę go w jednej chwili”.

Jakiś wieśniak, którego nabrzmiały jak balon policzek świadczył, iż cierpi na fluksję, zasiadł na fotelu i dentysta wsadził mu w usta groźne szczypce ze stali. Zamiast trzymać

się poręczy fotela, biedak podązał za upartym zębem i podniósł się w powietrze na wysokość dwóch stóp z górą, co bardzo rozbawiło tłum. Nagłe szarpnięcie ukończyło jego męki i operator potrząsnął nad głowami zebranych swą okrwawioną zdobyczą. W czasie tej błazeńskiej sceny małpka, przywiązana do estrady na łańcuszku, przedrzeźniała krzyki, gesty i grymasy pacjenta.

To zabawne widowisko nie zatrzymało zbyt długo Heroda i Sigognaca, którzy woleli przystawać przed gazeciarzami i księgarzami handlującymi przy parapetach nabrzeża. Tyran pokazał swemu towarzyszowi żebraka w łachmanach, który ze swą kulą i miseczką ulokował się na gzymsie za barierą mostu, wyciągał stamtąd rękę, podsuwając lepki od brudu kapelusz pod nos ludzi przeglądających książki i wpatrzonych w wodę, aby mu rzucili denara czy te-stona * albo nawet więcej; przyjmował każdą monetę, umiejąc równie dobrze puścić w dalszy obieg pieniądz fałszywy.

— U nas — rzekł Sigognac — tylko jaskółki mieszkają na gzymsach, a tu i ludzie.

— Tę kanałię nazywa pan człowiekiem? — odparł Herod. — To duża uprzejmość, chociaż co prawda chrześcijanin nie powinien gardzić nikim. A poza tym na Nowym Moście znajdzie pan wszystkiego po trochu, może nawet i ludzi uczciwych, skoro my tu jesteśmy. Według przysłowia nie można przejść nie spotykając mnicha, białego konia i ładaczniczy. Oto właśnie zakonnik, który idzie szybkim krokiem, tupiąc sandałami. Biały koń musi być gdzieś niedaleko. Och, na Boga, niechże pan spojrzy na szkapę, co wierzga tam między filarami! Brak tylko kurtyzany, ale nie będziemy czekali długo. Już idzie — nawet nie jedna, ale trzy, wydekoltowane, umalowane jak koło karocy i uśmiechnięte sztucznie, aby pokazać zęby. Przysłowie nie skłamało!

Nagle dał się słyszeć zgiełk na drugim końcu mostu i tłum

pospieszył w tym kierunku. U stóp pomnika, gdzie było najwięcej miejsca i najmniej tłoczno, wybuchła utarczka na szpa-dy. Walczący krzyczeli: „Bij, zabij!” i udawali, że atakują z furją. Ale były to tylko ataki na niby, pchnięcia nieszkodliwe, wstrzymywane w ostatniej chwili jak w pojedynkach komedio-wych, gdzie jest tylu zabitych i rannych, ale nikt nie umiera. Awanturników było czterech i bili się parami, robiąc wrażenie ludzi rozwścieczonych i odtrącając szpady, którymi towarzy-sze usiłowali ich rozdzielić. Ta zmyślona zwada miała spowodować zbiegowisko, aby zło-dzieje rozmaitego autoramentu mogli swobodnie operować wśród tłumu. Rzeczywiście nieje-den ciekawski, który wszedł w ciżbę w pięknym płaszczu podszytym pluszem z dobrze wy-pchaną sakiewką, wychodził w zwyczajnym kaftanie, pozbywszy się pieniędzy nie wiedząc jak i kiedy. Walczący, którzy przez cały czas byli ze sobą w najlepszej złodziejskiej komi-tywie, godzili się i ściskali sobie dłonie gestem ostentacyjnie rycerskim, oświadczając, iż honorowi stało się zadość. To zresztą nie było trudne, bo ich łajdacki honor nie mógł być drażliwy.

Za radą Heroda Sigognac nie zbliżał się zanadto do walczących. Dlatego widział ich niedokładnie poprzez głowy i ramiona gapiów. Jednakże zdawało mu się, że w czterech drabach rozpoznał tych samych ludzi, których tajemnicze zachowanie śledził poprzedniej nocy w oberży przy ulicy Dauphine, podzielił się więc swymi podejrzeniami z Herodem. Zapaśnicy zdążyli już jednak zniknąć przezornie w tłumie i odnaleźć ich byłoby trudniej niż igłę w stogu siana.

— Możliwe — rzekł Herod — że taka walka była tylko manewrem, aby pana ściągnąć

* teston — drobna moneta srebrna.

w to miejsce, gdyż wysłannicy księcia de Vallombreuse na

pewno nas śledzą. Jeden z zabija-ków udałby, że pańska obecność przeszkadza mu albo działa mu na nerwy, i, nie zostawiając panu czasu na wyjęcie szpady z pochwy, zadałby, niby przez nieuwagę, śmiertelny cios. W razie potrzeby dobiliby pana jego kompani. Wszystko poszłoby na karb przypadkowego spo-tkania i bójki. W takich przypadkach nie można udowodnić działania z premedytacją.

— Nie chce mi się wierzyć — rzekł Sigognac — żeby szlachcic zdolny był do takiej podłości i chciał zamordować swego rywala przez wynajętych ludzi. Jeżeli go nie zadowala pierwszy pojedynek, gotów jestem na nowo skrzyżować z nim szpady, aż jeden z nas padnie. Tylko tak zwykli postępować ludzie honoru.

— Niewątpliwie — odrzekł Herod — ale księżę, choć szalenie dumny, wie dobrze, że wynik walki musiałby być dla niego fatalny. Spróbował pańskiej szpady i odczuł jej ostrość. Niech mi pan wierzy, że z powodu swej porażki zachował piekielną urazę i że nie będzie miał skrupułów co do sposobności szukania zemsty.

— Jeżeli nie chce szpady, walczmy konno na pistolety — rzekł Sigognac. — Nie będzie mógł wtedy powoływać się na moją przewagę w szermierce.

Rozprawiając w ten sposób, dotarli do Bulwaru Szkolnego. Tam jakaś karoca omal nie zmiażdżyła Sigognaca, mimo iż szybko usunął się z drogi. Tylko swej szczupłości zawdzię-czał, iż nie został przygnieciony do muru, tak ostro najechał nań ekwipaż, chociaż z drugiej strony było dosyć miejsca, a woźnica jednym ruchem lejc mógł wyminąć tego przechodnia, którego zdawał się ścigać.

Szyby karocy były podniesione, a zasłony od wewnątrz spuszczone, kto by je jednak odsunął, zobaczyłby wspaniale ubranego arystokratę, którego jedno ramię podtrzymywała opaska z czarnej tafty, zawiązana jak temblak. Mimo

czerwonego odblasku, padającego od zasłony, wyglądał mizernie, a cienkie łuki czarnych jego brwi rysowały się na matowej bieli skóry. Zębami pięknymi jak perły przygryzał aż do krwi dolną wargę, a jego cienkie, napomadowane wąsy jeżyły się gorączkowo jak u wężącego zdobycz tygrysa. Był bardzo urodziwy, lecz jego fizjonomia miała wyraz takiego okrucieństwa, że mogłaby prędzej wzbudzić strach niż miłość, przynajmniej w tej chwili, gdy wykrzywiały ją nienawiść i zawziętość. W tym portrecie, ukazanym przez podniesienie firanki pędzącej karocy, nietrudno chyba poznać młodego księcia Vallombreuse.

„Znowu się nie udało — rzekł do siebie, kiedy karoca wiozła go wzdłuż Tuileries ku Bramie Narad *. — A przecież przyrzekłem mojemu woźnicy dwadzieścia pięć ludwików, jeżeli będzie dość zręczny, żeby zaczepić o tego przekłętego Sigognaca i zmasakrować go niby przypadkiem. Stanowczo moja gwiazda blednie, ten nędzny hreczkosiej zwycięża mnie. Izabela uwielbia go, a mnie nienawidzi. Pobił moich ludzi, mnie samego zranił. Choćby go chronił jakiś amulet, musi zginąć albo niech stracę moje nazwisko i tytuł książęcy”.

— Hm — rzekł Herod odetchnąwszy głęboko. — Konie tej karety wydają się podobne do rumaków Diomeda, które atakowały ludzi, rozdzierały ich i żywiły się ich ciałem. Czy pan przynajmniej nie jest ranny? Ten przekłety woźnica doskonale pana widział i założyłbym się o największy dochód z przedstawienia, że chciał pana przejechać, skierował na pana swój pojazd, mając w tym jakiś cel, może zemstę. Jestem tego pewien. Czy nie zauważył pan herbu na drzwiczkach? Jako szlachcic, zna pan przecież dostojną wiedzę heraldyczną, a herby głównych rodów nie są panu obce.

— Nie mogę tego powiedzieć — odrzekł Sigognac. — Nawet heraldyk nie rozpoznałby w tych okolicznościach barw, a tym mniej podziałów, figur i emblematów. Zanadto byłem

pochłonięty myślą, jak uskoczyć przed kareta, żebym mógł dojrzeć, czy była przyozdobiona w lwy, lamparty, orłeta czy kosy, bezany ** czy jeżokraby, krzyże kluczowe czy koronkowe

* Brama Narad — nie istniejąca już brama na końcu ogrodu tuileryjskiego, nazwana tak dla upamiętnienia układów Henryka IV z protestantami.

** bezan — moneta bizantyńska, której wizerunek umieszczano na herbach rycerzy krzyżowych. albo jakieś inne jeszcze figury.

— Szkoda — odrzekł Herod. — Może by to nas naprowadziło na ślad i pomogło znaleźć nici tej czarnej intrygi; bo oczywiste jest, że ktoś próbuje pana pozbawić życia quibuscumque viis *, jakby powiedział w swej łacinie pedant Blazjusz... Choć brak nam do-wodów, nie byłbym wcale zdziwiony, gdyby ta kareta należała do księcia Vallombreuse, któ-ry chciał sprawić sobie przyjemność przejechania się po martwym ciele swego przeciwnika.

— Cóż za myśl, Herodzie! — zawołał Sigognac. — To byłby czyn niski, haniebny i zbrodniczy, zupełnie niegodny syna wielkiego rodu, jakim mimo wszystko jest ten Vallombreuse. Zresztą czyż nie zostawiliśmy go w jego pałacu w Poitiers jeszcze nie wyleczonego z ran? Jakże by mógł się już znaleźć w Paryżu, dokąd przyjechaliśmy dopiero wczoraj?

— Czy nie zatrzymaliśmy się dość długo w Orleanie i Tours, gdzie dawaliśmy przed-stawienia? Mógł przecież dzięki ekwipażom, którymi dysponuje, jechać tuż za nami czy na-wet nas prześcignąć. Co do jego rany, to leczona przez doskonałych lekarzy, mogła się szy-bko zamknąć i zagoić. Poza tym nie była tak niebezpieczna, żeby człowiekowi młodemu i pełnemu życia uniemożliwić podróż karocą lub lektyką. Trzeba więc, kapitanie, żebyś się dobrze pilnował,

gdyż chcą pana wyraźnie wciągnąć w zasadzkę pozorowaną przypadkiem. Pańska śmierć uczyniłaby Izabelę bezbronną wobec zakusów księcia. Cóż moglibyśmy zrobić przeciw tak potężnemu panu my, biedni komedianci? Jeżeli nawet nie jest pewne, czy Vallombreuse przebywa w Paryżu, to zastępują go wysłannicy; tej właśnie nocy byłoby panu ślicznie poderżnięli gardziółko w pańskiej izdebce, gdyby pan nie czuwał z bronią w ręku, pobudzony do ostrożności słusznym podejrzeniem.

Argumenty Heroda były zbyt przekonywające, aby z nimi dyskutować, dlatego baron skinął tylko głową na znak potwierdzenia i położył dłoń na rękojeści swej szpady; wyciągnął ją do połowy, aby się przekonać, czy jest gotowa do użytku i nie zacina się w pochwie.

W trakcie rozmowy dwaj towarzysze zbliżyli się wzdłuż Luwru i Tuileries aż do Bramy Narad, gdy ujrzeli przed sobą wielką, skłębioną smugę jasności, a w niej błyskawice szpad i lśnienie pancerzy. Zeszli z drogi oddziałowi konnicy, który poprzedzał powóz królewski wra-cający z Saint-Germain do Luwru. Mogli zobaczyć w karocy — gdyż szyby jej były opuszczone i firanki odsunięte, zapewne po to, by ludność mogła nacieszyć się widokiem monar-chy, pana jej losów — upiora bladego, ubranego na czarno, z niebieską wstążką na piersi, nieruchomego jak figura z wosku. Długie, ciemne włosy otaczały tę martwą twarz, na której ponurym cieniem kładła się nieuleczalna nuda, nuda hiszpańska w stylu Filipa II **, jaką sam tylko Eskurial *** może wytworzyć swą ciszą i pustką. Oczy zdawały się nic nie dostrzegać, żadne pragnienie, żadna myśl, żaden odruch woli nie zapalał w nich swego płomienia. Głę-boki wstręt do życia sprawił, że dolna warga króla zwisała ponuro, jakby był nadaśany. Białe i chude ręce spoczywały na kolanach jak u bóstw egipskich. Jednakże był jeszcze królewski majestat w tej posepnej postaci, w której żyłach krzepła szlachetna krew Henryka IV.

Pojazd znikł w mgnieniu oka, a za nim grupa jeźdźców tworząca eskortę. Sigognac zdumiał się po tym spotkaniu. W swej naiwnej wyobraźni przedstawiał sobie króla jako istotę nadnaturalną, promieniejącą potęgą w blasku złota i drogich kamieni, wyniosłą, wspaniałą, triumfalną, piękniejszą, większą i silniejszą od wszystkich innych ludzi; zobaczył natomiast postać smukłą, wątłą, cierpiącą, prawie budzącą litość, ubraną w strój czarny jak żałoba, i zdającą się nie dostrzegać świata zewnętrznego, pogrążoną w jakichś ponurych marzeniach.

„No i cóż — mówił sobie. — Oto król, który reprezentuje tyle milionów ludzi, który włada u szczytu piramidy, do którego tyle rąk wyciąga się błagalnie z dołu, który poleca zagrzmieć lub zamilknać armatom, podnosi lub obniża, karze lub nagradza, jeśli chce, mówi »łaska« tam, gdzie sąd powiedział »śmierć«, i może jednym słowem zmienić los człowieka.

* quibuscumque viis (łac.) — wszelkimi sposobami.

** Filip II — król Hiszpanii, wsławiony swoim fanatyzmem i okrucieństwem.

*** Eskurial — rezydencja królewska pod Madrytem.

Gdyby jego spojrzenie padło na mnie, stałbym się z biedaka bogaczem, ze słabego — silnym; człowiek nieznanym przemieniłby się w takiego, któremu wszyscy się kłaniają i pochlebiają. Wieżyczki zamku Sigognac podniosłyby się dumnie z ruin; wielkie posiadłości powiększyłyby resztki ojcowizny. Byłbym potężnym panem. Ale jakże można przypuścić, że kiedykolwiek odnajdzie mnie w tym mrowisku ludzkim, które roi się u jego stóp i na które nawet nie patrzy? A gdyby mnie i zobaczył, jakież uczucia mogłyby nas zbliżyć do siebie?”

Te refleksje (i wiele innych, które zabrałyby zbyt dużo

miejsca, gdyby je tutaj przyta- czać) zajmowały Sigognaca krocącego w milczeniu obok towarzysza. Herod uszanował jego zadumę zabawiając się oglądaniem przejeżdżających ekwipaży. Niebawem zwrócił uwagę barona, iż zbliża się południe i należy skierować igiełkę busoli ku biegunowi zupy, jako że nie istnieje nic gorszego niż zimny obiad, a jeżeli istnieje, to tylko obiad odgrzewany.

Sigognaca przekonało to nieodparte rozumowanie. Wrócili więc do oberży. Nic nadzwyczajnego nie zdarzyło się podczas ich nieobecności, która trwała tylko dwie godziny. Izabela siedziała spokojnie przy stole nad zupą mieniącą się okami tłuszczu liczniejszymi niż oczy Argusa * i przywitała przyjaciela zwykłym swym słodkim uśmiechem oraz podaniem białej dłoni. Aktorzy żartobliwie wypytywali barona o jego wycieczkę po mieście, ciekawi, czy jeszcze posiada płaszcz, chustkę do nosa i sakiewkę. Sigognac odpowiedział z humorem, że tak. Ta miła pogawędka pozwoliła mu wkrótce zapomnieć o smutnych rozmyślaniach. Miał nawet wątpliwości, czy nie stał się przypadkiem ofiarą chorobliwej wyobraźni widzącej zasadzki na każdym kroku.

A jednak nie mylił się. Nieprzyjaciele jego nie zrezygnowali ze swych podłych zamia-rów mimo kilku nieudanych prób. Merindol, któremu książę zagroził powrotem na galery, skąd go wyciągnął, jeżeli nie zabije Sigognaca, postanowił zażądać pomocy jednego ze swych przyjaciół, który nie wzdragał się przed żadnym przedsięwzięciem, choćby najbardziej ryzy-kownym, jeżeli tylko było dobrze płatne. Nie czuł się na siłach, aby samemu dać radę barono-wi, który go zresztą już znał, co utrudniało zadanie, ponieważ Sigognac miał się na baczności.

Merindol poszedł więc, aby odszukać owego zbira, który przebywał na Nowym Rynku, blisko Małego Mostu, w okolicy zamieszkiwanej głównie przez awanturników,

oszustów, złodziei i innych wyrzutek. Wśród wysokich, czarnych domów opierających się o siebie jak pijacy, którzy boją się upaść, wynalazł jeden jeszcze czarniejszy, bardziej zniszczony i trędo-waty niż inne, mający okna zawieszane brudnymi łachmanami, podobne do otwartych brzuchów, z których wyciekają wnętrzności. Wszedł w ciemny zaułek prowadzący do tej jaskini. Niebawem światło ulicy skończyło się i Merindol, macając ściany wilgotne i śliskie, jakby oślinione przez ślimaki, znalazł sznur zastępujący poręcz schodów, sznur sprawiający wrażenie, że został zdjęty z szubienicy i nasmarowany tłuszczem ludzkim. Wspinał się, jak mógł, po schodach, potykając się co krok o wzniesienia i chropowatości, które tam utworzyło błoto gromadzone pokładami jeszcze od czasów, gdy Paryż nosił nazwę Lutecji.

W miarę jak Merindol odbywał swą niebezpieczną wspinaczkę, ciemności stawały się mniej gęste, bladawe i zamglone światło przenikało przez żółte szyby okienek wybitych dla oświetlenia schodów i wychodzących na podwórze czarne i głębokie jak szyb kopalni. Kilko-ro drzwi otwierało się na korytarz o brudnym suficie, przyozdobionym w nieprzyzwoite arabskie, korkociągi i słowa mocniejsze niż u Rabelais'go **, które nakreślono za pomocą kopających świec. Były to freski najzupełniej godne tego rodzaju rudery.

Jedne drzwi były uchylone. Merindol pchnął je kopnięciem, nie chcąc dotykać ich ręką, i wszedł bez dalszych ceremonii do jednoizbowego apartamentu stanowiącego Luwr Jacques-mina Lampourde'a.

Cierpki dym drażnił oczy i gardło przybysza tak, iż zaczął kasłać jak kot, który pożera-

* Argus — stuoki potwór mitologiczny.

** ...słowa mocniejsze niż u Rabelais'go — Rabelais używa w swojej powieści „Gargantua i Pantagruel” wyrażen

bardzo dosadnych, czasami nawet nieprzyzwoitych.

jąc ptaka połyka jego pióra. Minęły dwie minuty, zanim zdołał przemówić. Przez otwarte drzwi dym przeniknął na korytarz, powietrze stało się mniej gęste i gość mógł mniej więcej rozpoznać wnętrze pokoju.

Przyjaciel, którego Merindol zrazu nie zauważył, spał z pięściami wyciągniętymi na stole, trzymając w zębach złamany ustnik fajki; jej druga połowa nabita tytoniem, który pija-ny opryszek zapomniał zapalić, spadła na podłogę.

— Hej, Lampourde! — zawołał zbir Vallombreuse'a. — Dosyć już tego spania! Nie wytrzeszczaj na mnie oczu! Nie jestem ani komisarzem, ani sierżantem, który przyszedł, żeby cię zaprowadzić do więzienia w Chatelet. Chodzi o sprawę poważną; spróbuj wyłowić swój pomysłupek utopiony w winie i posłuchaj mnie.

Tak zainterpelowany osobnik podniósł się sennym ruchem, następnie usiadł, przecią-gnął się, rozpostarł długie ramiona, których pięści niemal dotknęły ścian pokoju, otworzył wielkie usta uzbrojone w ostre kły i, narażając się na zwichniecie szczęki, ziewnął potężnie jak znudzony lew. Wszystkim tym czynnościom towarzyszyło nieartykułowane bulgotanie w gardzieli.

— Dość głupstw! — zniecierpliwił się Merindol. — Posłuchaj mnie uważnie przez dwie minuty.

— Nie słucham nikogo, kiedy jestem pijany — odpowiedział z godnością Jacquemin Lampourde opierając się na łokciu. — Mam zresztą pieniądze, i to dużo pieniędzy. Obrabowaliśmy tej nocy angielskiego lorda wypchanego pistolami. Przejadam właśnie i przepijam moją część łupu. Mała partyjka kart może to wszystko wykończyć. Sprawy poważne zała-twiam dziś wieczorem. Bądź o północy na placyku przy Nowym Moście, koło konia z brązu. Będę tam świeży, trzeźwy, rześki, panujący nad wszystkimi zmysłami.

Nastroimy nasze flety i zgodzimy się co do pieniędzy, których musi być dużo, gdyż mam nadzieję, że tak dzielnemu człowiekowi jak ja nikt nie będzie zawracał głowy byle jakim łajdactwem, małą kradzieżą i innymi drobiazgami. Kradzieże stanowczo już mnie znudziły, zajmuję się tylko morderstwami, to szlachetniejsze. Lampourde jest lwem, a nie hieną. Jeżeli trzeba kogoś zabić, chętnie służę, ale pod warunkiem, że atakowany będzie się bronił. Ofiary są czasem tak tchórzliwe, że to budzi we mnie wstręt. Trochę oporu zachęca człowieka do roboty.

— O, co do tego, bądź spokojny! — odrzekł Merindol ze złym uśmiechem. — Będziesz miał z kim pomówić.

— Tym lepiej — rzekł Jacquemin Lampourde. — Już od dawna nie miałem partnera równego sobie. Ale dosyć rozmowy. Dobranoc! Pozwól mi spać.

Gdy Merindol wyszedł, Lampourde próbował zasnąć na nowo. Na próżno jednak, prze-rwany sen nie wrócił. Bandyta podniósł się, potrząsnął mocno swym towarzyszem chrapiącym pod stołem i obaj udali się do spelunki, gdzie grywano w landsknechta i w kości. Publi-czność składała się tam z pijaków, zbirów, oszustów, lokai, pisarczyków z kancelarii adwoka-ckich i sprowadzonych przez dziewczki naiwnych mieszczuchów przeznaczonych na oskubanie żywcem. Słysząc tu było tylko łoskot kości do gry potrząsanych w kubkach oraz szelest kart rzucanych o stół, gdyż gracze tutejsi zazwyczaj milczeli, poprzestając jedynie na paru bluźnierczych okrzykach, gdy dotknęła ich przegrana. Lampourde doświadczał kolejno szczęścia i pecha, aż wreszcie doskonała próżnia, której nie znosi natura w ogóle, a zwłaszcza człowiek, zapanowała w jego kieszeni. Chciał grać dalej na słowo, ale ta moneta nie miała kursu w lokalu, gdzie gracze, odbierając wygraną, gryźli monety, aby je wypróbować i sprawdzić, czy luidory nie są przypadkiem z

połączanego ołowiu, a testony z cyny używanej na łyżki. Musiał więc wycofać się, goły jak święty turecki, choć przyszedł z miną wielkiego pana i rzucał pistole pełnymi garściami.

— Uf! — odetchnął, gdy świeże powietrze wionęło mu w twarz i przywróciło zimną krew. — Teraz jest mi lżej; to śmieszne, jak mnie pieniądz upaja i ogłupia. Nie dziwię się już, że poborcy podatków są tacy głupi. Teraz kiedy nie mam ani grosza, czuję, że jestem inteli-gentny; myśli roją mi się w głowie jak pszczoły. Z ciury znów staję się Cezarem! Ale uwaga, na Samarytance bije pomoc, Merindol pewnie czeka przed pomnikiem króla.

I skierował się ku Nowemu Mostowi. Merindol był już na miejscu, zajęty oglądaniem swego cienia przy świetle księżyca. Obaj bandyci rozejrzeli się naokoło, aby sprawdzić, czy ich ktoś nie słyszy. Następnie szeptali długi czas. Nie wiemy, o czym mówili, ale pożegna-wszy wysłannika Vallombreuse'a, Lampourde pobrzękiwał złotem z beztroską, dowodzącą, jak bardzo bali się go wszyscy na Nowym Moście.

ROZDZIAŁ XII

„POD RZODKIEWKĄ W KORONIE”

Po rozmowie z Merindolem Lampourde przeżył moment meczącej niepewności. Kiedy dotarł do końca Nowego Mostu, zatrzymał się i przez długą chwilę stał bezradnie jak osioł z bajki, któremu kazano wybrać między owsem a sianem. Albo,

jeśli się wam nie podoba to porównanie, jak żelazo między dwoma magnesami o równej mocy. Z jednej strony, landsknecht przyciągał go silnie dalekim pobrząkiem złotych monet, z drugiej — nie mniej nęcił go szynk dzwoniący butelkami. Trudny wybór! Choć teologowie uważają wolność za najpiękniejszy atrybut człowieka, Lampourde, opanowany przez dwie nieodparte skłonności, gdyż w równym stopniu był graczem, jak pijakiem, doprawdy nie wiedział, na co się zdecydować. Zrobił trzy kroki w kierunku szulerni, ale brzuchate i omszone butelki, okryte pajęczynami, zapieczętowane czerwonym woskiem, ukazały się jego wyobraźni w promieniach tak żywych, że postąpił trzy kroki ku szynkowi. A wtedy znów hazard potrząsnął mu przy samych uszach kubkiem pełnym ołowianych kości i ukazał półkole kart znaczonych, różnobarwnych jak ogon pawia; ta czarodziejska wizja przykuła nogi Lampourde'a do ziemi.

Szybko wyciągnął z kieszeni monetę i rzucił ją do góry, powiedziawszy sobie: „Jeżeli orzeł — to szynk, jeżeli reszka — szulernia”.

Moneta zawirowała w powietrzu i, ściągnięta do ziemi siłą ciężkości, spadła na bruk, świecąc złotem w srebrzystym płomieniu księżyca nie przyćmionego w tej chwili przez obłoki. Bandyta przyklęknął, aby odczytać wróżbę losu. Pieniądz odpowiedział orłem na postawione pytanie. Bachus zwyciężył Fortunę.

— Dobrze, upiję się — stwierdził Lampourde wycierając monetę z błota i chowając ją do głębokiej jak przepaść sakiewki, której przeznaczeniem było pochłaniać wiele rzeczy.

Wielkimi krokami skierował się do szynku „Pod Rzodkiewką w Koronie”, zwykłego sanktuarium libacji ofiarowywanych przez niego bogu winorośli. „Rzodkiewka w Koronie” miała dla Lampourde'a tę zaletę, że znajdowała się

na rogu Nowego Rynku, o dwa kroki od jego mieszkania, do którego mógł dotrzeć zygzakami, jeżeli spił się na umór.

Była to najobrzydliwsza nora, jaką można sobie wyobrazić. Przysadkowate filary, całe w plamach barwy krwi i wina, podtrzymywały olbrzymią belkę służącą za fryz i pokrytą resztkami dawnych rzeźb, na wpół zatartych przez czas. Przypatrując się bardzo uważnie, można tam było jeszcze rozpoznać gałęzie winorośli, wśród których podskakiwały mały ciągnące za ogon lisy. Nad drzwiami widniał herb: ogromna rzodkiewka z liśćmi wymalowanymi przepisową zielenią heraldyczną i z wielką koroną u góry; całość bardzo już wypełzła, gdyż służyła wielu pokoleniom pijaków za szyld i hasło oberży.

Okiennice szynku były w tej chwili zamknięte, a ciężkie ich rygle mogły wytrzymać obleżenie; nie były jednak aż tak szczelne, żeby nie przepuszczały stłumionych odgłosów piosenek i kłótni oraz czerwonego blasku świec; te światła kładły się długimi smugami na lśniącym od błota bruku. Lampourde nie odczuł wprawdzie malowniczości tego efektu, zrozumiał jednak w tej chwili, że „Pod Rzodkiewką w Koronie” była jeszcze liczna kompania.

Bandyta zastukał rękojęścią szpady i rytm jego uderzeń — oznajmiający przybycie stałego bywalca, sprawił, że drzwi otworzyły się, aby go wpuścić.

Nasz mistrz szpady był w szynku już kilka minut, gdy drzwi się znowu uchyliły i wszedł osobnik cały w czerni, tylko kołnierzyk i rąbek bielizny, widoczny na brzuchu między kurtką i pludrami, były białe. Kilka na wpół sprutych haftów bezskutecznie usiłowało ukryć zły stan jego stroju, którego krój zdradzał jednak dawną elegancję.

Przybyły tym się odznaczał, że twarz miał sinawoblada, jakby przypudrowaną mąką, a nos czerwony jak płonący węgiel i usiany drobnymi, fioletowymi cętkami, co świadczyło

o żarliwym kulcie boskiej butelki. Ilość beczek wina i flaszek wódki, które musiały być zużyte, aby doprowadzić ten nos do stanu intensywnej czerwieni, przerażała wyobraźnię. Ta dziwa-czna fizjonomia przypominała ser, w który wetknięto pigwę. Aby wykończyć powyższy portret, wystarczyłyby dwie pestki z jabłek zamiast oczu i wąska szrama podobna do otworu, jaki ma gliniana skarbonka. Tak wyglądał Malartic, przyjaciel od serca, Pylades, fidus Achates * Jacquemina Lampourde'a; istotnie nie był piękny, ale zalety duchowe równoważyły jego drobne niedostatki fizyczne. Po Jacqueminie, dla którego żywił głęboki podziw, był najlepszą szpadą Paryża. Grając w karty, wyciągał króla z niezmiennym szczęściem, czego nikt nie śmiał uważać za beczelność; pił bez przerwy, nigdy nie wyglądając na pijanego, i choć nie miał swojego krawca, był lepiej zaopatrzony w płaszcze niż niejeden elegancki dworzanin. Poza tym człowiek na swój sposób delikatny, przestrzegający zasad jaskiniowej uczciwości, zdolny umrzeć, byle ratować towarzysza i raczej odcierpieć z zaciśniętymi zębami torturę kozła, kleszczy, koła drewnianego, a nawet najstraszliwszą dla takiego pijaka, jak on, próbę wody, niż narazić swą bandę niedyskretnym słowem. W swoim rodzaju człowiek pełen zalet, toteż cieszył się powszechnym szacunkiem w świecie, w którym uprawiał swoje rzemiosło.

Malartic podszedł prosto do Lampourde'a, wziął stołek, usiadł naprzeciw przyjacielowi, chwycił w milczeniu pełny kieliszek i wypróżnił go jednym haustem. Jego system różnił się od metody Jacquemina, był jednak nie mniej skuteczny, jak tego dowodziła kardynalska purpura jego nosa. Pod koniec posiedzenia dwaj przyjaciele mieli tę samą liczbę kresek znaczonych kredą na tablicy oberżysty, a dobry ojciec Bachus, siedzący okrakiem na baryłce, uśmiechał się do nich jako do jednakowo pobożnych wyznawców dwóch różnych kultów.

Ten spieszył się z nabożeństwem, tamten je przeciągał; ale i jeden, i drugi odprawiał je nale-życie.

Lampourde, który znał obyczaje towarzysza, wielokrotnie nappełniał mu kieliszek. Ten manewr spowodował konieczność pojawienia się drugiej butelki; wysuszono ją tak szybko jak pierwszą, po niej przyszła trzecia, która trwała dłużej i robiła więcej ceremonii z poddaniem się. Następnie, by zaczerpnąć tchu, obaj szermierze zażądali fajek i zaczęli wysyłać ku sufitowi, przez gęstą mgłę wiszącą nad ich głowami, długie zygzaki dymu podobne do tych, które dzieci, gryzmołąc na swych książkach i zeszytach, rysują nad kominami domów. Zaciągnąwszy się i wypuściwszy dym parę razy, znikli jak bogowie Homera i Wergiliusza w obłoku, w którym tylko nos Malartica płonął niby czerwony meteor.

Oślonięci chmurą dymu i oddzieleni od pozostałych pijaków, dwaj towarzysze zaczęli rozmowę, której treść byłoby niebezpiecznie zdradzić strażnikowi miejskiemu. Na szczęście „Rzodkiewka w Koronie” była miejscem bezpiecznym, żaden szpieg nie miałby odwagi wejść tutaj, a drzwiczki od piwnicy na pewno by się otwarły pod stopami strażnika dość lekkomyślnego, aby się wśliznąć do tej spelunki. Wyszedłby z niej posiekany drobniutko jak mięso na pasztet.

* fidus Achates — wierny Achates, w „Eneidzie” Wergiliusza nieodstępny towarzysz Eneasza.

— Jak tam interesy? — zapytał Lampourde tonem kupca informującego się o ceny artykułów spożywczych. — Mamy martwy sezon. Król mieszka w Saint-Germain, za nim pociągnęli dworzanie. W Paryżu zostało tylko mieszczaństwo, biedota albo zgoła nędza.

— Ach, nie mów mi o tym — odrzekł Malartic. — To zaczyna być okropne. Któregoś dnia zatrzymuję na Nowym

Moście osobnika wyglądającego dosyć porządnie i żądam od nie-go sakiewki albo życia, a on rzuca mi sakiewkę, w której były trzy, może cztery sztuki; zostawił mi też płaszcz — zwyczajny łachman obszyty galonem. Zamiast ukraść, zostałem okradziony. W szulerni można spotkać już tylko lokajów, pisarczyków albo przedwcześnie rozwinięte dzieci, które zabrały ojcu z szuflady kilka pistoli, żeby spróbować szczęścia. Kończą się czasem już po dwóch partiach kart czy trzech rzutach kości. To wstyd po prostu używać swojego talentu dla byle czego.

— Dobre czasy minęły — odrzekł Jacquemin Lampourde. — Dawniej wielki pan wziąłby na swe usługi naszą odwagę. Pomagalibyśmy mu w jego sprawkach. Teraz trzeba pracować dla rozmaitej publiki. A jednak trafiają się jeszcze dobre okazje.

Powiedziawszy te słowa potrząsnął sztukami złota w kieszeni. Ten dźwięk dziwnie roziskrzył oczy Malartica, natychmiast wszakże spojrzenie jego odzyskało poprzedni spokój, gdyż pieniądze kolegi to rzecz święta; zadowolił się westchnieniem, które można było przetłumaczyć na słowa: „Ty masz szczęście!”

— Myślę — ciągnął Jacquemin — że w krótkim czasie będę ci mógł dostarczyć pracy, bo nie marudzisz, kiedy się nadarza okazja, i zaraz podwijasz rękawy, jeżeli trzeba pchnąć szpadą czy strzelić z pistoletu. Jako człowiek solidny, wykonujesz zlecenia terminowo i bierzesz na kark ryzyko policji. Dziwię się, że Fortuna nie zagościła na twoim progu, ale ta lada-cznica o złym smaku właściwym kobiecie obdarza swymi łaskami różnych chłystków i żółto-dziobów, a nie ludzi wartościowych. Zanim łajdaczka poczuje słabość do ciebie, spędzimy czas papaliter * przy winie, aż się zapijemy do szpiku kości.

To filozoficzne postanowienie było zbyt rozsądne, aby

towarzysz Jacquemina mógł mu przeciwstawić choćby najłżejszy sprzeciw. Dwaj bandyci, napełniwszy fajki, nalali wina do kieliszków, po czym oparli łokcie o stół jak ludzie, którzy się umacniają w dobrym samopo-czuciu i nie chcą, by im przeszkadzano.

A jednak przeszkodzono im. W kącie sali podniósł się hałas — grupka ludzi otoczyła dwóch mężczyzn ustalających warunki zakładu, ponieważ jeden nie chciał wierzyć w to, co opowiadał drugi, jeżeli nie przekona się na własne oczy.

Grupa dyskutujących rozstała się. Malartic i Lampourde, których ciekawość została pobudzona, ujrzeli człowieka średniego wzrostu. Był dziwnie zwinny i mocny, opalony jak Maur hiszpański, z głową owiniętą w chustkę, ubrany w opończę kasztanowatego koloru, pod którą można było dostrzec spencer ze skóry bawolej i brązowe spodnie ozdobione na szwach miedzianymi guzikami w kształcie dzwonek. Szeroki pas z czerwonej wełny otaczał jego biodra. Zza pasa wyciągnął składany sztylet, który po otwarciu dorównywał długością szpadzie. Nasunął mocniej skuwkę, sprawdził palcem ostrze i wydawał się zadowolony ze swej broni, gdyż rzekł do swego przeciwnika: „Jestem gotowy”. Po czym gwałtownym głosem zawołał: „Chiquita! Chiquita!” To dziwne imię było nie znane pijakom z „Rzodkiewki w Koronie”, ale nieraz figurowało już na kartkach tej opowieści.

Na powtórne wezwanie chuda i zabiedzona dziewczynka, która spała w ciemnym kącie izby, zrzuciła z siebie płaszcz spowijający ją jak paczkę gałganów, podeszła do Agostyna, bo to był on, i utkwivszy w bandycie oczy wielkie i błyszczące, lśniące w jej śniadej twarzy, powiedziała głosem poważnym i głębokim, który nie harmonizował z jej wątłą postacią:

— Czego żadasz ode mnie, mój panie? Będę ci posłuszna,

tutaj tak samo jak i na lan-dach, gdyż jesteś odważny, a twój sztylet zdobią czerwone pręgi.

* papaliter (łac.) — po papiesku.

Chiquita wypowiedziała te słowa w języku eskuara, czyli w narzeczu Basków, równie niezrozumiałym dla Francuzów, jak dialekt dolnoniemiecki albo język hebrajski czy chiński.

Agostyn ujął ją za rękę i ustawił przed drzwiami, polecając, aby tkwiła tam bez ruchu. Dziewczynka, przyzwyczajona do tych ćwiczeń, nie objawiała ani strachu, ani zdziwienia; stała z rękami opuszczonymi, pogodnie patrząc przed siebie, gdy tymczasem na drugim końcu sali Agostyn, z jedną nogą wysuniętą do przodu, drugą cofniętą w tył, kołysał w ręku sztylet, którego rękojeść opierała się o jego ramię.

Podwójny szereg ciekawych tworzył rodzaj szpaleru, ciągnący się od Agostyna do Chi-quity. Pijacy, szczególnie brzuchaci, wstrzymywali oddech i wciągali brzuchy w obawie, aby nie znalazły się na linii rzutu. Nawet dłuższe nosy cofały się ostrożnie, aby ich nie obcięło lecące ostrze.

Wreszcie ramię Agostyna wyprostowało się jak zwolniona sprężyna, błyskawica rozda-rla powietrze i straszna broń, nie naruszywszy ani jednego włosa Chiquity, utkwiała tuż nad jej głową, jakby chodziło o dokładne zmierzenie na drzwiach wzrostu dziewczynki.

Gdy sztylet przelatywał z gwizdem przez izbę, widzowie nie mogli nie zmrużyć oczu, ale powieki dziewczynki nawet nie drgnęły. Zręczność bandyty wywołała szmer podziwu u tej niełatwo dającej się zadowolić publiczności. Nawet człowiek, który trzymał zakład przeciw Agostynowi i przedtem nie wierzył w możliwość rzutu, klaskał z entuzjazmem.

Agostyn wyjął ze ściany wibrujący sztylet, wrócił na swoje miejsce i rzucił jeszcze raz, ale w ten sposób, że sztylet

przeszedł między nieruchomym ciałem Chiquity a jej lewym ramieniem. Gdyby ostrze zboczyło o trzy lub cztery cale, trafiłoby w samo serce.

Choć galeria wołała, że ma już dosyć, Agostyn zaczął popis od nowa, celując z prawej strony, żeby pokazać, że jego zręczność nic nie zawdzięczała przypadkowi.

Chiquita, którą wbiły w dumę oklaski na cześć jej odwagi i zręczności Agostyna, wodziła dokoła wzrokiem triumfalnym; jej dyszące nozdrza silnie wciągały powietrze, a w otwartych ustach zęby jak u dzikiego zwierzęcia olśniewały białością. Te piękne zęby i fosfo-ryzujące źrenice stanowiły na smutnej jej twarzy trzy jasne punkty. Jej nigdy nie czesane włosy wiły się dokoła czoła i policzków jak czarne węże, słabo podtrzymywane przez różową wstążkę, która nie mogła objąć tych opornych pukli i sama tonęła pod nimi. Na płowym karku dziewczyny świeciły jak krople mleka perły naszyjnika Izabeli. Jej ubranie nie było może lepsze niż dawniej, ale w każdym razie inne. Chiquita nie nosiła już kanarkowej spódnicy z wyszytą na niej papugą, co by jej nadawało w Paryżu wygląd zbyt dziwaczny i rzucający się w oczy. Miała krótką, granatową suknię przymarszczoną na biodrach i coś jakby czarny kaftanik czy kurtkę zapinaną na rogowe guziczki. Jej nogi, przyzwyczajone do stąpania po rozkwitłych i pachnących wrzosach, były obute w zbyt luźne trzewiki, gdyż szewc nie mógł znaleźć w swoim kramiku dość małych. Ten zbytek zdawał się ją krępować, ale musiała zrobić to ustępstwo wobec błota paryskiego. Była zupełnie tak samo dzika jak w oberży „Pod Błękitnym Słońcem”; widoczne wszakże było, że więcej teraz myślała i że zaczynała się w niej rozwijać kobieta. Od chwili opuszczenia landów widziała wiele nowych rzeczy, a jej zachwycona wyobraźnia zachowała wspomnienie tych przeżyć.

Wróciła na swoje miejsce w kącie i, okrywszy się

płaszczem, znowu zasnęła. Człowiek, który przegrał zakład, zapłacił pięć pistoli towarzyszowi Chiquity. Ten ostatni wsunął monety do pasa i z powrotem usiadł przed dzbankiem na wpół wypróżnionym, który kończył powoli, gdyż, nie mając mieszkania, wolał zostać w szynku niż dygotać z zimna pod mostem czy na progu klasztoru w oczekiwaniu poranku tak późnego o tej porze roku. Takie samo było położenie innych nędzarzy, którzy chrapali w najlepsze na ławkach lub pod ławkami, otuleni w płaszcze zamiast kołder. Niesamowite wrażenie sprawiały te buty wyciągnięte na podłodze jak nogi nieboszczyków po bitwie. Istotnie stoczono tu bitwę z Bachusem i zwyciężeni uciekli chwiejnym krokiem do ciemnych kątów.

— Na krew świętych pańskich! — rzekł Lampourde do Malartica. — Ten drab to człowiek do rzeczy, warto go sobie zapamiętać na wypadek trudniejszych przedsięwzięć. Taki rzut nożem jest więcej wart niż strzał z pistoletu, który zostawia po sobie ogień, dym i hałas przywołujący strażników.

— Tak — odpowiedział Malartic. — To była ładna robota i wykonana jak należy, ale komu się taki cios nie uda, ten jest rozbrojony i znajduje się w głupiej sytuacji. Co mnie najbardziej zachwyca w tym ryzykownym ćwiczeniu, to odwaga dziewczyny. Taki cherlaczek, nie ważący dwóch uncji, kryje jednak w swej chudej piersi serce lwa lub starożytnego bohatera. Podobają mi się zresztą jej wielkie oczy, czarne jak węgiel i rozgorączkowane, z wyrazem spokojnego oblędu. Wśród tych dropi, kaczek, gęsi i innych ptaków podwórzowych wygląda jak młody sokół w kurniku. Znam się na kobietach i na podstawie pączka mogę przewidywać, jaki będzie kwiat. Chiquita, jak ją nazywa ten opalony łapserdak, stanie się za kilka lat istnym kąskiem królewskim...

— Albo złodziejskim — dokończył filozoficznie

Jacquemin Lampourde. — Ale skończmy tę zbyteczną gadaninę i wróćmy do rzeczy poważnych. Będę może potrzebował w niedługim czasie kilku tęgich chłopów na wyprawę, którą mi proponują, nie tak daleką zresztą jak wyprawa Argonautów po złote runo.

— Piękne runo! — rzekł Malartic z nosem w kieliszku, przy czym wino zdawało się syczeć i wrzeć w zetknięciu z tym rozżarzoną węglem.

— Wyprawa to dosyć skomplikowana i niebezpieczna — ciągnął bandyta. — Polecono mi zlikwidować niejakiego kapitana Fracasse, aktora z zawodu. Przeszkadza on podobno pewnemu magnatowi w miłości. Tej pracy podołałbym sam, ale chodzi też o porwanie panny, kochanej równocześnie przez pana i komedianta. Otóż tej donny będą bronili koledzy z zespołu. Zestawmy więc listę przyjaciół solidnych i pozbawionych skrupułów. Co myślisz o naszym Piquenterre?

— Doskonały! — odpowiedział Malartic. — Ale nie można na niego liczyć. Znajduje się w Montfaucon * i czeka na żelaznym łańcuchu, żeby jego kościotrup, podziobany przez ptaki, spadł w dół pod szubienicą na kości kolegów, którzy go wyprzedzili.

— A wiec to tak? — rzekł Lampourde z doskonałą flegmą, jaką rzadko widywano u niego ostatnimi czasy. — Takie jest to życie. Jednego dnia siedzisz sobie najspokojniej w po-rządnej knajpie i doisz wino z przyjacielem, potem idziecie każdy w swoją stronę do waszych zajęć. W tydzień później pytasz: „Co słyhać z takim a takim?” i odpowiadają ci krótko: „Wisi”.

— Niestety, tak to już jest — westchnął przyjaciel Lampourde'a przybierając pozę tragi-cznie elegijną lub elegijno tragiczną. — Jak mówił pan de Malherbe w swych wierszach „Na pocieszenie pana Duperrier”:

*Bo żył on na tej ziemi, gdzie wszystko, co dobre,
Najgorszy miewa los... ***

— Nie poddawajmy się jednak babskiej płaczliwości — rzekł bandyta — okażmy męską i stoicką odwagę, maszerujmy dalej przez życie z kapeluszem wciśniętym na brwi i z pięściami na biodrach, śmiejąc się z szubienicy, która zresztą, jeżeli pominiemy honor, nie bardzo się różni pod względem niebezpieczeństwa od armat, kolubryn i moździerzy, którym stawiają czoło żołnierze i dowódcy, nie mówiąc już o muszkietach i broni białej. Zamiast Piquenterre'a, który zażywa już pewnie chwały dobrego łotra, weźmy Corneboeufa. To chłopak barczysty i krzepki, dobry do ciężkiej pracy.

— Corneboeuf — odpowiedział Malartic — odbywa obecnie podróż wzdłuż berberyj-

* Montfaucon — miejscowość pod Paryżem, gdzie na ogromnej szubienicy tracono przestępców.

** Bo żył on na tej ziemi, gdzie wszystko, co dobre, najgorszy miewa los... — cytata trochę zmieniona („żył” zamiast „żyła”) i w odniesieniu do opryszka tym niezwyklejsza, że Malherbe (znakomity poeta tej epoki) opłakuje w swoim utworze śmierć pięcioletniej dziewczynki. skich wybrzeży *. Król ceni go tak wysoko, że kazał mu wycisnąć rozpalonym żelazem kwiat lilii na ramieniu, żeby go odnaleźć, gdyby się gdzieś zapodział. Ale na przykład Piedgris, Tordgueule, La Rapee i Bringuenarilles są wolni i a la disposition de usted **.

— Wystarczą mi te nazwiska, należą do ludzi dzielnych; ułatwisz mi spotkanie z nimi, kiedy będzie czas. A teraz kończmy tę czwartą butelkę i wynośmy się stąd. To miejsce zaczy-na bardziej cuchnąć niż Jezioro Awerneńskie we

Włoszech, nad którym ptaki nie mogą latać, bo spadają martwe od straszliwych wyziewów. Śmierdzi tu potem i brudem. Świeże powietrze nocy dobrze nam robi. Nawiasem mówiąc: gdzie dziś nocujesz?

— Nie wysłałem naprzód kwatermistrza, żeby mi przygotował mieszkanie — odpowiedział Malartic. — Mój namiot nigdzie nie jest rozbity. Mógłbym zapukać do zajazdu „Pod Ślimakiem”, ale mój rachunek jest długi jak szpada. A nie ma nic przykrzejszego niż zobaczyć po przebudzeniu nadąsaną minę oberżysty, który opryskliwie odmawia ci dalszego kredytu i żąda zapłacenia należności, potrząsając nad głową plikiem rachunków jak Jupiter swoim piorunem. Nagłe zjawienie się żandarma nie byłoby dla mnie bardziej nieprzyjemne.

— Objaw czysto nerwowy, słabość zrozumiała, gdyż każdy wielki człowiek ma swe słabości — oświadczył sentencjonalnie Lampourde. — Skoro więc nie chcesz iść do „Ślima-ka”, a zajazd „Pod Gołym Niebem” jest nieco zbyt chłodny w obecnej porze roku, ofiarowuję ci starodawną gościnę w moim podniebnym mieszkaniu, a jako łożę: połowę mojego barłogu.

— Przyjmuję z głęboką wdzięcznością — odrzekł Malartic. — Trzykroć i czterokroć szczęśliwy jest śmiertelnik, który ma swe lary i penaty: taki może usadować przy swoim ognisku serdecznego przyjaciela.

Jacquemin Lampourde dotrzymał przyrzeczenia, które sobie złożył po wróżbie wypadającej na korzyść szynku. Był pijany jak drozd podczas winobrania, lecz nikt tak jak Lampourde nie umiał panować nad swym zamroczeniem. On rządził winem, a nie wino nim. Wstając od stołu, miał wrażenie, że stopy ciążą mu, jakby były odlane z ołowiu, i zagłębiają się w podłogę. Gwałtownym wysiłkiem mięśni uruchomił nogi i z podniesioną głową pomaszerował ku drzwiom, stanowczy i

masywny. Malartic towarzyszył mu krokiem dość pewnym, gdyż nic nie mogło uczynić go bardziej pijanym. Zanurzcie w morzu gąbkę nasiąkniętą wodą — nie wchłonie już ani kropli więcej. Taki sam był stan Malartica, z tą tylko różnicą, że u niego płynem nie była woda, lecz czysty sok winny. Wyjście przyjaciół dokonało się zatem bez przeszkód i choć nie byli aniołami, równie dobrze udało im się wdrapać po drabinie Jaku-ba, łączącej z ulicą poddasze Lampourde'a.

W tej chwili szynk miał wygląd żałośnie komiczny. Ogień gasł na palenisku. Świece, których już nie przycinano, kopcily długimi, opalonymi knotami. Stalaktyty łożu spływały po lichtarzach, na których sztywniały i stygły. Dym z fajek, oddechy ludzi i odór jedzenia utwo-rzyły pod sufitem gęsty opar; pokrytą okruchami i błotem podłogę można by oczyścić chyba tylko przepuszczeniem rzeki, jak stajnię Augiasza ***. Stół był zasłany resztkami potraw oraz kośćmi z mięs i wędlin, które wyglądały jak poszarpane przez kły brytanów. Tu i tam jakiś dzbanek, przewrócony w czasie sprzeczki, rozlewał resztę wina, którego krople, wpadając do powstałej w ten sposób czerwonej kałuży, przypominały krople krwi; ich rytmiczny szelest akompaniował chrapaniu pijaków jak tykanie zegarka.

Na Nowym Rynku wybiła godzina czwarta. Szynkarz, który drzemał z głową opartą na skrzyżowanych ramionach, zbudził się i potoczył badawczym spojrzeniem po sali, a widząc, że konsumpcja zmniejszyła się, zawołał służbę i polecił:

— Już późno. Weźcie się za śmiecie i jednocześnie wymiećcie całą tę hołotę, bo i tak

* berberyjskie wybrzeża — wybrzeża Afryki Północnej; galery królewskie, poruszane wiosłami przykutych pod pokładem i napiętnowanych skazańców, prowadziły tam walki

z korsarzami.

** a la disposicion de usted (hiszp.) — do pańskiej dyspozycji.

*** stajnia Augiasza — stajnia króla Elidy, który przez trzydzieści lat nie kazał sprzątać w swoich stajniach i oborach. Oczyszczył je Herkules, wykonując w ten sposób jedną ze swoich dwunastu prac.

nikt nie pije.

Służący zaczęli machać miotłami, wyleli kilka kubłów wody i w ciągu niespełna pięciu minut, przy wydatnej pomocy szturchańców szynk został opróżniony.

ROZDZIAŁ XIII

PODWÓJNY ATAK

Książę de Vallombreuse nie był człowiekiem, którego by zemsta zaprzętała więcej od miłości. Jeżeli śmiertelnie nienawidził Sigognaca, to dla Izabeli żywił szaleńczą namiętność, jaką poczucie beznadziejności wywołuje w duszach dumnych i gwałtownych, przyzwyczajonych do tego, że nikt im się nie opiera. Zatriumfować nad aktorką — to była teraz zasadnicza myśl jego życia. Zepsuty łatwymi zwycięstwami, które odniósł w swej karierze uwodziciela, nie mógł zrozumieć swej klęski i często wśród rozmów, spacerów i ćwiczeń, w teatrze lub w kościele, na mieście albo na dworze królewskim, ogarnięty nagłym zdumieniem, w trakcie swych głębokich rozmyślań zadawał sobie pytanie: „Jakże się to

dzieje, że ona mnie nie ko-cha?”

Rzeczywiście, było to trudne do zrozumienia dla kogoś, kto nie wierzył w cnotę kobiet, a jeszcze mniej — w cnotę aktorek. Vallombreuse zastanawiał się, czy obojętność Izabeli nie jest ukartowaną grą, aby osiągnąć odeń coś więcej, gdyż nic tak nie rozpała pragnienia, jak udana wstydlivość i mina niewiniątka. Jednakże pogarda, z jaką odesłała klejnoty pozostawione w jej pokoju przez Leonardę, dowodziła dostatecznie, że Izabela nie należy do kobiet, które prowadzą targi, aby się drożej sprzedać. Nawet bogatsze dary nie zrobiłyby na niej wrażenia. Skoro Izabela nawet nie otworzyła szkatułki, cóż by pomogło, gdyby w niej były perły i diamenty zdolne skusić królową? Nie wzruszyłyby jej także i listy miłosne, choćby sekretarze młodego księcia z największą elegancją i namiętnością odmalowali uczucie swego pana. Nie rozpieczętowałyby nawet tych listów. Tak więc na nic by się nie zdały ani wiersze, ani proza, ani tyrady, ani sonety. Zresztą te tkliwe sposoby, dobre dla zalotników nieśmiałych, nie odpowiadały przedsiębiorczemu usposobieniu Vallombreuse'a. Kazał więc wezwać Leonardę, z którą nie przestawał utrzymywać tajnego kontaktu, gdyż uważał, iż zawsze dobrze jest mieć szpiega w twierdzy, choćby nawet nie dającej się zdobyć. Czasem załoga pozwoli sobie na chwilę odpoczynku, a wtedy można szybko otworzyć furtkę i wśliznąć się do środka.

Wprowadzono Leonardę przez ukryte drzwi do pokoju, gdzie książę przyjmował naj-bliższych i przyjaciół i najwierniejszą służbę.

Vallombreuse powitał ją ruchem głowy i wskazał jej krzesło. Leonarda miała wygląd typowej dueny, a lśniące świeżością i wykwintem urządzenie pokoju podkreślało jeszcze jej żółtowoskową cerę i odrażającą brzydotę. Czarny strój obszyty dżetami i głęboko nasunięty czepiec nadawały

jej zrazu wygląd surowy i budzący szacunek, lecz dwuznaczny uśmiech drgający w owłosionych kącikach warg, niski, chciwy i służalczy wyraz jej twarzy prędko odbierały złudzenia i mówiły wam, że nie macie przed sobą pani Pernelle *, ale jedną z czarownic, co w sobotę latają na miotłach.

— Mościa pani Leonardo — rzekł książę przerywając milczenie — wezwałem panią, gdyż wiem, że zna się pani dobrze na sprawach miłosnych, skoro sama praktykowała je pani

* pani Pernelle — niesympatyczna starsza dama w „Świętoszku” Moliera.

w młodości i pomagała przy nich w latach dojrzałych. Chodzi mi o to, żeby się z panią nara-dzić nad sposobem zdobycia tej upartej Izabeli. Duena, która kiedyś była pierwszą naiwną, powinna znać najróżniejsze metody.

— Książę pan — odpowiedziała z powagą stara aktorka — czyni wiele zaszczytu mej słabej wiedzy i nie wątpi zapewne o mym pragnieniu, aby mu we wszystkim usłużyć.

— Wcale nie wątpię — rzekł niedbale Vallombreuse — jednakże moje sprawy nie postąpiły naprzód ani na krok. Cóż słyhać u tej opornej piękności? Wciąż taka zakochana w swoim Sigognacu?

— Wciąż — odrzekła pani Leonarda wzdychając. — Młodość ma swoje dziwaczne upory, które trudno wytłumaczyć. Zresztą Izabela jest chyba ulepiona z niezwyklej gliny. Żadna pokusa jej nie zneći, a w raju byłaby kobietą zdolną nie posłuchać węża.

— Jakże to?! — zawołał książę z gniewnym odruchem. — Ten przekłety Sigognac umiał przemówić do ucha tak głuchego na słowa innych? Ma może jakiś napój miłosny, amu-let czy talizman?

— Nic takiego, mości książę. Był tylko nieszczęśliwy, a dla dusz czułych, romanso-wych i wyniosłych najwyższym szczęściem jest pocieszać innych. Wolą one dawać niż przyjmować, a litość i oczy mokre od łez otwierają u nich bramę miłości. Tak jest właśnie z Iza-belą.

— Mówi mi pani rzeczy nie z tego świata! Być chudym, biednym jak mysz kościelna, nieszczęśliwym, nieeleganckim, śmiesznym, to według pani miałyby być powody, żeby rozbudzać miłość? Damy dworu wyśmiałyby podobną teorię.

— Rzeczywiście, to nie jest wypadek pospolity. Na szczęście niewiele kobiet ulega takim dziwactwom. Wasza wysokość trafił właśnie na wyjątek.

— Jeżeli tak jest — rzekł Vallombreuse — czy może pani coś zrobić dla mnie? Niech no pani poszuka w jakiejś skrytce swojej przewrotności nieodpartego fortelu, wspaniałego szelmostwa, skomplikowanej intrygi, która by mi przyniosła zwycięstwo. Wie pani, że złota i srebra mam w bród. — Tu zanurzył rękę, bielszą i delikatniejszą niż ręka kobiety, w pucharze roboty Benwenuta Celliniego *, ustawionym na stole i wypełnionym złotymi monetami. Na widok tych monet, które dźwięczały przekonująco, sowie oczy dueny zapłonęły jasno na jej ciemnej i zwiędłej twarzy. Wydawała się pogrążona w głębokim zamyśleniu i milczała przez dłuższą chwilę.

Vallombreuse czekał niecierpliwie na wynik tych rozmyślań. W końcu stara odezwała się:

— Dlaczegoż to, będąc urodziwym jak Adonis, faworyt bogini Wenus, wyglądając wspaniale w tych pięknych strojach, mając wpływ na dworze królewskim i wszystko, co się podoba kobietom, nie zaleca, się książę po prostu do Izabeli?

— Ach, na Boga, stara ma rację! — zawołał Vallombreuse spoglądając z zadowoleniem w lustro weneckie, którego

pochylenie można było dowolnie regulować za pomocą dwóch rzeźbionych amorków umieszczonych po bokach na złotym pręcie. — Izabela jest oziębła i cnotliwa, ale nie ślepa, a przecież przyroda nie była dla mnie taką macochą, żebym wzbudzał strach. W najgorszym razie będzie mnie traktowała jak posąg lub obraz, który się podziwia, choć się go nie lubi, obraz, który przykuwa i urzeka wzrok symetrią czy przyjemnym kolory-tem. Ponadto użyję słów o wypróbowanym działaniu i będę pomagał sobie spojrzeniami, które stopiłyby lód i których ogień — mogę to powiedzieć bez samochwalstwa — rozpałił najzimniejsze i najbardziej nieczule piękności na dworze. Zresztą ta aktorka jest dumna, a zaloty księcia będą pochlebiały jej ambicji. Stanie się cud, jeśli jeszcze pomyśli o tym małym Sigognacu, którego zresztą potrafię się pozbyć.

— Książę pan nie ma mi już nic do powiedzenia? — rzekła pani Leonarda wstając z

* Benvenuto Cellini — sławny rzeźbiarz i złotnik włoski z XVI w.

rękami skrzyżowanymi poniżej biustu, w pozie wyczekującej i pełnej szacunku.

— Tak jest — odpowiedział Vallombreuse — może pani odejść, ale najpierw niech pani weźmie to — i wręczył jej garść złotych ludwików. — To nie pani wina, że w trupie Heroda znalazła się osoba nieprawdopodobnie cnotliwa.

Stara podziękowała księciu i odeszła cofając się aż do drzwi, nie zaplątała przy tym nóg w spódnicy dzięki wprawie nabytej w teatrze. W drzwiach odwróciła się nagle i szybko znikła w głębi klatki schodowej. Zostawszy sam, Vallombreuse zadzwonił na służącego.

— No, Picard — rzekł książę — musisz sam siebie prześcignąć i ubrać mnie wspaniale; chcę być piękniejszy niż

Buckingham *, kiedy się starał spodobać królowej Annie Austria-czce. Jeżeli spudłuję na dzisiejszym polowaniu miłosnym, dostaniesz kije, bo nie mam żadnego braku ani ułomności, które bym musiał sztucznie zakrywać.

— Wasza wysokość jest najpiękniejszym mężczyzną na świecie — odpowiedział Pi-card. — Sztuka może u pana tylko uwydatnić świetność urody. Proszę usiąść przed zwierciadłem i zachować spokój przez kilka minut. Uczeszę księcia i wymuskam na Adonisa, tak że kobiety będą się poddawały bez oporu.

Powiedziawszy te słowa, Picard zanurzył rurki do fryzowania w srebrnym pucharze, gdzie pestki oliwne przysypane popiołem paliły się powoli jak w hiszpańskich piecykach. Zbliżywszy po chwili instrument do policzka i stwierdziwszy, że rozgrzał się dostatecznie, lokaj chwycił końce pięknych pukli barwy hebanu, które same układały się w urocze spirale.

Gdy książe de Vallombreuse był już uczesany i gdy kosmetyk o miłej woni, pachnący piękniej niż balsam, usztywnił delikatne jego wąsy podobne do łuku Amora, zadowolony ze swego dzieła lokaj cofnął się, aby je obejrzeć jak malarz, który zmrużywszy oczy bada ostatecznie dotknięcie pędzla, jakim ukończył obraz.

— Które ubranie książe pan życzy sobie włożyć dzisiaj? Gdybym śmiał wypowiedzieć opinię, czego książe zresztą nie potrzebuje, radziłbym czarny aksamitny kostium z wycięciami i bufami tego samego koloru, jedwabne pończochy i prosty kołnierz z raguzańskich koro-nek. Pstrokaczna, wzorzyste atłasy, tkaniny złote i srebrne, drogie kamienie mogłyby tylko swym natrętnym przepychem odciągnąć spojrzenia od twarzy, której urok nigdy nie był świe-tniejszy. Czerń podkreśli tę delikatną bladość, która pozostała po ranie i jest tak interesująca.

— Łajdak ma dobry gust i umie kadzić jak dworzanin — mruknął do siebie Vallombre-use. — Tak, w czerni będzie mi dobrze. Izabela nie należy zresztą do kobiet, które można olśnić pstrokatymi lamówkami lub garściami diamentów. — Picard — rzekł następnie głośno — daj mi kaftan, aksamitne spodnie i szpadę! Każ zaprząć do karocy czwórkę gniadych. Ale prędko, bo chcę wyjechać za kwadrans.

Picard zniknął natychmiast, aby wykonać rozkazy pana. Vallombreuse, czekając na powóz, przechadzał się po pokoju, rzucając za każdym razem pytające spojrzenie w weneckie lustro, które — inaczej niż zazwyczaj lustra — udzielało mu na każde pytanie odpowiedzi pochlebnej.

— Ta gąska musiałaby być diabelnie dumna, oporna i kapryśna, gdyby nie zakochała się we mnie natychmiast jak szalona mimo swych pretensji do cnoty i platonicznych wzdychań do Sigognaca. Tak, mój skarbie, wkrótce będziesz figurowała w jednej z tych owalnych ram, sportretowana jako Diana, która, chociaż była z natury zimna, całowała Endymiona. Zajmiesz miejsce wśród tych bogiń, które z początku były nie mniej ostrożne, dzikie i odporne niż ty, a są o wiele większymi damami, niż ty kiedykolwiek będziesz. Niedługo już twoja klęska uświetni moją sławę, bo wiedz, mała komediantko, że nic nie może stanąć na przeszkodzie woli Vallombreuse'a. Frango, nec frangor ** — oto moja dewiza.

* Jerzy Buckingham — arystokrata angielski (występujący w „Trzech muszkietierach” Dumasa). Podczas pobytu w Paryżu, dokąd przyjechał jako wysłannik króla angielskiego, próbował nawiązać romans z Anną Austriaczką, żoną Ludwika XIII.

** Frango, nec frangor (łac.) — Łamię innych, ale sam nie daję się złamać.

Lokaj oznajmił, że karetą zajechała. Przestrzeń między ulicą Tournelle, gdzie mieszkał książę de Vallombreuse, a ulicą Dauphine przebyto prędko dzięki rączości czterech pięknych koni meklemburskich kierowanych przez stangreta, który by nie ustąpił miejsca nawet księciu krwi i bezczelnie przecinał drogę wszystkim mijanym pojazdom. Jakkolwiek śmiały i pewny siebie był książę, opanowało go teraz wzruszenie, co mu się zdarzało dosyć rzadko. Niepewność, jak zostanie przyjęty przez wyniosłą Izabelę, przyśpieszała bicie jego serca. Uczucia, których doznawał, były sprzecznej natury. Wahały się między miłością a nienawiścią, zależnie od tego, czy w myślach widział młodą aktorkę oporną, czy też posłuszną jego pragnieniom.

Gdy karetą lśniącą od złocień, zaprzężoną w piękne konie i obsługiwana przez lokajów w liberii książąt de Vallombreuse, zajechała przed oberżę na ulicy Dauphine, bramy otwały się przed nią na oścież, a oberżysta z czapką w ręku wyskoczył raczej, niż wyszedł na spotkanie znakomitego gościa, aby mu ofiarować swoje usługi.

Choć śpieszył się bardzo, Vallombreuse, który wysiadł z karety nie czekając na opuszczenie stopnia, w jednej chwili był przy schodach. Nisko pochylone czoło oberżysty niemal uderzyło o kolana księcia, który odezwał się ostro i zwięźle, jak zawsze w chwilach, gdy nurtowała go jakaś namiętność.

— Tu mieszka panna Izabela. Chciałbym ją zobaczyć. Czy jest teraz u siebie? Może jej pan nie uprzedzać o mojej wizycie, proszę mi tylko dać lokaja, który mnie zaprowadzi.

Oberżysta potwierdzał słowa księcia ruchami głowy, po czym dodał:

— Może wasza wysokość raczy udzielić mi tego zaszczytu, żebym go sam zaprowadził. Lokaj nie jest godzien takiego honoru. Tu zaledwie wystarczy gospodarz.

— Jak pan chce — rzekł Vallombreuse z wyniosłą

nonszalancją — byle prędko. Widzę już głowy, które wychylają się z okien i oglądają mnie, jakbym był sułtanem tureckim czy Amorabakinem.

— Pójdę przed panem, żeby wskazać drogę — rzekł oberżysta trzymając oburącz czapkę przyciśniętą do piersi.

Wszedłszy po schodach, księżę i jego przewodnik znaleźli się w długim korytarzu, na który otwierały się drzwi jak w klasztorze. Doszedłszy do pokoju Izabeli, gospodarz zatrzymał się i rzekł:

— Kogo będę miał zaszczyt oznajmić?

— Może pan już odejść — odrzekł Vallombreuse kładąc rękę na klamce. — Ja sam to zrobię.

Izabela siedziała na wysokim krześle koło okna, w rannym stroju, z nogami opartymi o taboret. Uczyła się roli, którą miała grać w nowej sztuce. Zamknawszy oczy, aby nie widzieć słów napisanych w zeszycie, powtarzała po cichu, jak uczeń lekcje, osiem czy dziesięć wierszy, które już kilkakrotnie przeczytała. Światło padające z okna rysowało miękki kontur jej profilu i zapalało złote iskry w niesfornych loczkach na jej karku, jednocześnie uwydatniając perłowy połysk jej zębów w rozchylonych ustach. Srebrzysty refleks rozjaśniał zbyt głęboki cień, w którym tonęła reszta jej postaci, i stwarzał ów magiczny efekt, tak poszukiwany przez malarzy, a nazywany w ich języku „światłocieniem”. Upozowana w ten sposób, młoda kobieta przedstawiała czarujący obraz; wystarczyło tylko zręcznie go skopiować, aby stał się dumą i klejnotem jakiejś galerii.

Przekonana, że to pokojówka przychodzi sprzątać, Izabela nie podniosła powiek, których drugie rzęsy wyglądały w świetle słonecznym jak nitki złota, i w sennej zadumie powtarzała machinalnie wiersze swojej roli tak, jak się przesuwają paciorki różańca, z myślą prawie nieobecną. Nie miała

zresztą żadnych obaw — był jasny dzień, oberża pełna ludzi, reszta aktorów tuż obok; nie wiedziała nawet, że Vallombreuse przebywa w Paryżu. Zamachy na Sigognaca już się nie powtarzały i młoda aktorka, choć lękliwa z natury, zaczynała odzyskiwać pewność siebie. Sądziła, że jej obojętność podziałała zniechęcająco na kaprys księcia, który w tej chwili był dalszy od jej myśli niż cesarz chiński.

Vallombreuse doszedł do środka pokoju, stąpając na palcach i wstrzymując oddech, aby nie spłoszyć tego wdzięcznego obrazu, który oglądał ze zrozumiałym zachwytem; w oczekiwaniu na moment, kiedy Izabela podniesie oczy i zobaczy go, przyklęknął na jedno kolano, trzymając w ręku kapelusz, którego pióro zamiatało podłogę, drugą rękę opierał na sercu gestem, który nie mógłby być bardziej pełny uszanowania nawet wobec królowej.

Jeżeli młoda aktorka była piękna, to trzeba przyznać, że i Vallombreuse pociągał niezwykłym urokiem; pełne światło padało na jego twarz o rysach nieskazitelnie regularnych, piękną jak twarz młodego boga greckiego, który został księciem po upadku Olimpu. W tej chwili miłość i zachwyt, bijące z tej twarzy, zatarły przykry rys bezwzględного okrucieństwa, który czasem widniał na niej. Oczy rzucały płomienie, usta zdawały się świecić, na jego blade policzki wypływała z serca różowa jasność. Granatowe błyskawice biły z lśniących pukli jego włosów, upomadowanych i pachnących. Jego odsłonięta szyja, delikatna zarazem i muskularna, miała białość marmuru. Rozświetlony namiętnością, książę lśnił cały i błyszczał. Naprawdę można było zrozumieć, że człowiek tak wyglądający nie jest w stanie znieść myśli, iż mogłaby mu się oprzeć jakakolwiek kobieta, bogini, królowa czy aktorka.

Izabela podniosła w końcu głowę i zobaczyła księcia de Vallombreuse klęczącego o sześć kroków przed nią. Nie

osłupiałaby bardziej, gdyby Perseusz przysunął jej przed oczy głowę Meduzy, z grymasem agonii na twarzy okolonej żmijami. Siedziała zimna jak lód, skamieniała, z rozszerzonymi strachem oczami, wyschniętym gardłem, nie mogąc zrobić ruchu ani wydać okrzyku. Śmiertelna bladość powlekła lico aktorki, jej plecy zwilżył zimny pot: czuła, że zemdleje, ale gwałtownym wysiłkiem woli utrzymała przytomność, aby nie być wy-daną na łaskę i niełaskę tego zuchwalca.

— A więc wzbudzam w pani tak nieprzewyciężony strach — rzekł łagodnie Vallom-breuse nie zmieniając pozycji — że sam mój widok wywołuje już taki skutek. Gdyby jakiś zwierz afrykański wyszedł ze swej jaskini z krwawym pyskiem, szczerząc ostre zęby i grożąc pazurami, na pewno by panią mniej przeraził. Przyznaję, iż moje wejście było trochę niespo-dziane i nagłe, ale trzeba darować uczuciu, że popełnia nietakty. Za wszelką cenę chciałem panią ujrzeć i moja miłość, nie bacząc, że może zostać odepchnięta, ściele się do pani stóp, błagalna i nieśmiała.

— Na litość boską, mości księżę, proszę wstać! — zawołała młoda dziewczyna. — To nie jest przecież pozycja odpowiednia dla księcia. Jestem tylko biedną prowincjonalną aktor-ką, a moje mizerne wdzięki nie zasługują na triumf tak wspaniały. Proszę zapomnieć o tym przelotnym kaprysie i skierować gdzie indziej pragnienia, na które tyle innych kobiet najchę-tniej odpowie. Proszę nie przyprawiać z mojego powodu o zazdrość królowych, księżniczek i markiz.

— Co mi po tych wszystkich kobietach — rzekł namiętnie Vallombreuse podnosząc się z klęczek — jeżeli uwielbiam właśnie pani dumę, jeżeli pani surowość ma dla mnie więcej uroku niż łaski innych, jeżeli pani cnota mnie upaja, a pani skromność podnieca moją namię-tność aż do szału i jeżeli trzeba, żebym był kochany przez panią albo umarł! Proszę nie

mieć żadnej obawy — dodał widząc, że Izabela otwiera okno, jakby chciała wyskoczyć, gdyby spróbował użyć siły. — Nie żądam niczego więcej, jak tylko żeby pani zносиła moją obecność, pozwoliła, abym uwielbiał ją i z największym szacunkiem dążył do podbicia jej serca.

— Jeżeli księżę oszczędzi mi tego — odpowiedziała Izabela — w braku miłości będę przynajmniej miała dla niego bezgraniczną wdzięczność.

— Nie ma pani ani ojca, ani męża, ani kochanka, który by mógł mieć coś przeciwko te-mu, że wytworny mężczyzna pragnie panią zdobyć. Mój hołd nie ma w sobie nic obraźliwego. Dlaczego mnie pani odpycha? Ach, jak wspaniałe byłoby pani życie, gdybyś mi zechciała ulec! Moja miłość i chęć przypodobania się stworzyłyby ci życie piękniejsze niż w bajce. Stałaabyś po obłokach jak bogini. Stopami dotykałabyś tylko błękitów i światła. Wszystkie rogi obfitości rozsypałyby swe skarby przed tobą. Pragnienia nie miałyby czasu się rodzić — uprzedzałbym je wpatrzony w twe oczy. Cały świat zniknąłby daleko od nas jak sen i w naszym locie przez słoneczne promienie wspinalibyśmy się na Olimp piękniejsi, szczęśliwsi i bardziej upojeni niż Amor i Psyche. Ach, Izabelo, niech pani nie odwraca głowy, nie milczy tak uparcie, nie skazuje na rozpacz mej namiętności, która może wszystko, tylko nie to, aby się wyrzec samej siebie, pani!

— Nie potrafię dzielić tej namiętności, z której każda inna kobieta czerpałaby chlubę — odpowiedziała skromnie Izabela. — Gdyby nawet cnota, którą cenię bardziej niż życie, nie wносиła sprzeciwu, wyrzekłabym się tego niebezpiecznego zaszczytu.

— Niech pani spojrzy na mnie przychylnym okiem! — ciągnął Vallombreuse. — Uczy-nię panią przedmiotem zazdrości najświetniejszych i najwyżej postawionych dam. Gdybyś była inną kobietą, powiedziałbym: bierz, co ci się

tylko podoba z moich zamków, ziem i pałaców, opróżnij moje szkatuły pełne brylantów i pereł, zanurz ręce aż po ramiona w moje kufry, ubierz swoją służbę w stroje zbyt bogate dla książąt, każ podkuć czystym srebrem twoje konie cugowe, żyj w królewskim przepychu, olśnij Paryż, któremu tak trudno jest zaimponować. Te wszystkie przynęty byłyby jednak zbyt pospolite dla takiej duszy jak pani. Ale może przecież wzruszy panią myśl o sławie, jaką by pani zyskała zdobywszy Vallombreuse'a, prowadząc go jako jeńca za swym wozem triumfalnym, nazywając swoim sługą i niewolnikiem tego, który nikomu nie przyrzekał posłuszeństwa i którego nie mogły zniewolić żadne okowy.

— To byłby jeniec zbyt znakomity na moje więzy — odparła młoda aktorka. — Nie chciałabym krępować tak cennej wolności.

Dotąd księżę Vallombreuse powstrzymywał się, przybierając swą wrodzoną gwałtowność w pozory łagodności. Ale opór Izabeli, pełen szacunku, lecz nieustępliwy, zaczął budzić w nim wściekłość. Wyczuwał, że za tą cnotą kryje się miłość do innego, i zazdrość podsycała jego gniew. Postąpił kilka kroków ku dziewczynie, która trzymała już rękę na ramie okna. Jego twarz była skurczona, gryzł wargi, a zły wyraz zespecił znowu jego rysy.

— Niech pani przyzna raczej — podjął zmienionym głosem — że do szaleństwa kocha Sigognaca. Oto przyczyna tej ostentacyjnej cnoty. Cóż jest w tym szczęśliwym śmiertelniku, że tak panią oczarował? Czyż nie jestem piękniejszy, lepiej urodzony, bogatszy od niego, a równie młody, dowcipny i zakochany jak on?

— Odznacza się zaletą — rzekła Izabela — jakiej pan nie posiada: szanuje osobę, którą kocha.

— Bo nie kocha dostatecznie — rzekł Vallombreuse chwytając w ramiona Izabelę, która, wychylona z okna,

wydała w uścisku śmiałka słaby okrzyk.

W tej samej chwili drzwi się otworzyły. Tyran zginając się w ukłonach i przesadnie gestykulując wszedł do pokoju i zbliżył się do Izabeli, którą Vallombreuse puścił natychmiast, wściekły, iż mu przerwano miłosne zabiegi.

— Przepraszam najmocniej — rzekł Tyran spoglądając zezem na księcia — nie wiedziałem, że pani jest w tak dobrym towarzystwie. Ale godzina próby wybiła już na wszystkich zegarach i czekamy tylko na panią.

Rzeczywiście, przez uchylone drzwi widać było Pedanta, Scapina, Leandra i Zerbinę, którzy stanowili siłę wystarczającą dla zabezpieczenia zagrożonej cnoty Izabeli. Księżę przez chwilę miał zamiar rzucić się ze szpadą na całą tę hołotę i rozpedzić ją, ale wywołałoby to niepotrzebny skandal. Zabijając jednego lub paru aktorów, nic by właściwie nie osiągnął, a poza tym była to krew zbyt marna, aby mógł w niej zanurzyć swe wytworne ręce. Powstrzymał się zatem i, z lodowatą uprzejmością żegnając Izabele, która cała drżąca zbliżyła się do swych przyjaciół, wyszedł na korytarz mówiąc: „Do widzenia, panienko!” Słowa oczywiście dosyć banalne, ale ton jego głosu nadawał im znaczenie jakiejś strasznej pogroźki. Twarz Vallombreuse'a, przed chwilą tak piękna, nabrała znów wyrazu szatańskiej przewrotności. Izabela nie mogła opanować drżenia, choć obecność aktorów chroniła ją przed wszelką próbą użycia przemocy. Miała uczucie śmiertelnej trwogi, jakie przeżywa gołąb, kiedy kania zakreśla nad nim coraz ciaśniejsze kręgi,

Vallombreuse wrócił do karety odprowadzony przez oberżystę, który zasypywał go lawiną natrętnych i niepotrzebnych komplementów. Niebawem dudnienie kół obwieściło, że niebezpieczny gość wreszcie odjechał.

A teraz wytłumaczmy, dlaczego pomoc nadeszła Izabeli w tak odpowiednim momencie. Przybycie księcia Vallombreuse

w złoconej karocy do oberży na ulicy Dauphine wywołało głośne zdumienie i podziw w całym domu. Wiadomość dotarła wkrótce do uszu Heroda, zajętego w swoim pokoju, podobnie jak Izabela, uczeniem się roli. Pod nieobecność Sigognaca, który przymierzał w teatrze nowy kostium, dzielny Herod, mając w pamięci złe intencje Vallombreuse'a postanowił czuwać i działać, jeżeli zajdzie potrzeba. Przytknąwszy ucho do dziurki od klucza, wysłuchał z chwalebnią niedyskrecją całej tej niebezpiecznej rozmowy, gotów w każdej chwili wkroczyć, gdyby sytuacja stała się zbyt groźna. Jego roztropność ocalała w ten sposób cnotę Izabeli od zakusów aroganckiego i nikczemnego księcia.

Dzień miał być burzliwy aż do końca. Lampourde, jak pamiętamy, zobowiązał się wobec Merindola, że wyprawi kapitana Fracasse na tamten świat, i teraz, szukając okazji do napaści, czekał na placyku koło króla z brązu, ponieważ Sigognac musiał wracać do oberży przez Nowy Most.

Czekał już więcej niż godzinę, chuchając w palce, żeby nie były sztywne w czasie akcji, i przytupując raz po raz dla rozgrzania nóg. Powietrze było zimne i słońce zachodziło już nad Czerwonym Mostem za Tuilieriami wśród krwawych obłoków. Zmierzch zapadał szybko i ulice pustoszały.

W końcu Sigognac ukazał się idąc pośpiesznym krokiem, gdyż nieokreślony niepokój o Izabelę pędził go ku domowi. W pośpiechu nie zauważył Lampourde'a, który chwycił skraj jego płaszcza i zerwał mu go ruchem tak gwałtownym, iż pękły sznury. Sigognac został w samym kaftanie. Nie próbując walczyć o swój płaszcz z napastnikiem, którego wziął zrazu za zwykłego rzezimieszka, błyskawicznie dobył szpady i stanął w pozycji do walki. Lampourde również szybko chwycił za broń. Był zadowolony z postawy przeciwnika i powiedział sobie: „Będzie trochę zabawy”. Szpady spotkały się. Po kilku wypadach Lampourde

spróbował pchnięcia, które zostało natychmiast odparte. „Ładna obrona — rzekł do siebie. — Ten młody człowiek ma dobre przygotowanie”.

Sigognac zwał swoją szpadę ze szpadą opryszka, po czym zadał pchnięcie flankowe, które Lampourde odparował cofając się i jednocześnie podziwiając świetny, wzorowy pod względem dokładności cios przeciwnika.

— A to dla pana! — zawołał i jego broń zakreśliła w powietrzu łuk, ale spotkała klingę Sigognaca, która już wróciła na swoje miejsce.

Szukając punktu, w który można by uderzyć, dotykające się ostrzami szpady krążyły jedna koło drugiej, raz wolno, raz szybko, podstępnie i ostrożnie, świadcząc o wysokiej sztuce obu partnerów.

— Czy pan wie — odezwał się Lampourde nie mogąc już dłużej opanować podziwu dla gry tak pewnej, rozważnej i poprawnej — czy pan wie, że ma pan wspaniałą metodę?

— Do usług — odpowiedział Sigognac zadając mu głęboki cios, który bandyta odparował za pomocą rękojeści sprężystym ruchem dłoni w przegubie.

— Wspaniałe pchnięcie — mówił zbir coraz bardziej zachwycony — cudowny cios! Logicznie biorąc, powinienem już być trupem i sam sobie jestem winien. Moja obrona była przypadkowa, nieprawidłowa, nieopanowana. Dobra tylko po to, żeby się ratować w ostateczności. Rumienię się prawie, że się tak zachowałem wobec takiego szermierza jak pan.

Wszystkie te słowa przeplatały się ze zgrzytem stali, kwartami, tercjami, połówkami, uderzeniami, paradami, które powiększały szacunek Lampourde'a dla Sigognaca. Ten gladia-tor szanował tylko jedną rzecz na świecie: szermierkę, i oceniał wartość ludzi według ich umiejętności we władaniu bronią. Sigognac rósł w jego oczach.

— Czy byłaby to niedyskrecja, drogi panie, gdybym

zapytał o nazwisko pańskiego mistrza? Girolamo, Paraquantes i Côte-d'Acier byliby dumni z takiego ucznia.

— Miałem za nauczyciela tylko starego żołnierza imieniem Piotr — odrzekł Sigognac, którego bawiło to dziwne gadulstwo. — O, proszę, niech się pan broni; to jedno z jego ulubio-nych cięć. — I baron uderzył.

— Do diabła! — zawołał Lampourde odskakując. — Mało brakowało, a dostałbym. Ostrze prześliznęło się pod pachą. Gdyby było jasno, byłbym przedziurawiony, ale pan nie ma jeszcze wprawy w walce o zmierzchu czy w nocy, wymagającej kociego wzroku. W każdym razie cięcie było dobrze wymierzone i zadane. A teraz niech pan uważa, nie chcę pana zaskoczyć podstępnie. Wypróbuję na panu mój sekret, rezultat długich dociekań; nec plus ultra * mej wiedzy, eliksir mojego życia. Jak dotąd ten cios zawsze zabijał. Jeżeli go pan od-paruje, nauczę go pana. To moje dziedzictwo, zapiszę je panu w testamencie, inaczej zabiorę to boskie pchnięcie ze sobą do grobu, gdyż nie spotkałem jeszcze nikogo, kto by był zdolny je zadać, chyba tylko pan, cudowny młodzieńcze. Ale może chce pan trochę odpocząć?

Mówiąc te słowa, Jacquemin Lampourde opuścił ostrze swej szpady. Sigognac zrobił to samo. Po upływie kilku minut pojedynek rozpoczął się na nowo.

Po kilku wypadach Sigognac, który znał wszystkie fortele szermiercze, wyczuł z taktyki Lampourde'a niezmiernie zręcznie unikającego zwarcia, że sławne pchnięcie będzie zadane w piersi. Rzeczywiście, zbir schylił się nagle, jak gdyby padał na ziemię, i baron straciwszy z oczu przeciwnika, dojrzał tylko błysk świszczącej stali tak krótki, iż ledwo zdążył wymierzyć cios półkolisty, który złamał szpadę Lampourde'a.

— Jeżeli pan nie ma reszty mojej klingi w brzuchu — rzekł Lampourde do Sigognaca, wstając i potrząsając

odłamkiem, który mu został w dłoni — jest pan wielkim człowiekiem, bohaterem, bogiem!

— Nie — odpowiedział Sigognac — nic mi się nie stało i gdybym chciał, mógłbym teraz przybić pana do muru jak sowę, ale z natury odznaczam się wspaniałomyślnością. A poza tym jest z pana zabawny oryginał.

— Baronie, niech mi pan pozwoli zostać pańskim wielbicielem, niewolnikiem, psem! Zapłacono mi, żebym pana zabił. Dostałem nawet zaliczkę, którą już przepuściłem. Ale nic nie szkodzi, ukradnę i zwrócę te pieniądze.

To powiedziawszy, podniósł płaszcz Sigognaca, podał mu go jak lokaj, złożył niski ukłon i znikł. Oba zamachy księcia de Vallombreuse skończyły się niepowodzeniem

ROZDZIAŁ XIV

SKRUPUŁY LAMPOURDE'A

Łatwo można sobie wyobrazić wściekłość Vallombreuse'a po klęsce, jaką mu zadała cnota Izabeli, wsparta w odpowiedniej chwili przez wkroczenie aktorów. Gdy wrócił do pała-cu, służba na widok jego sinej z furii twarzy zaczęła dzwonić zębami i pocić się jak w agonii, gdyż wrodzone okrucieństwo księcia wyładowywało się zwykle przy takim rozdrażnieniu w sposób przypominający Nerona i kosztem pierwszej ofiary, która mu wpadła w ręce. Vallom-

* nec plus ultra (łac.) — najwyższy szczyt, coś najdoskonalszego.

breuse nie był miły dla służby nawet wtedy, gdy mu dopisywał humor; ale kiedy wpadał w gniew, lepiej było spotkać na wąskiej kładce głodnego tygrysa. Teraz zatrząskiwał za sobą drzwi tak gwałtownie, że o mało nie wylatywały z zawiasów, a zdobiące je złocenia odpadały kawałkami.

Doszedłszy do swego pokoju, rzucił kapelusz na ziemię tak silnie, że spłaszczył go i złamał przypięte do niego pióro. Aby zaczerpnąć trochę powietrza, rozerwał kaftan pod szyją, nie zważając na brylantowe guziki, które sypnęły się jak groch na podłogę. Koronkowy kołnierz koszuli stał się wkrótce w nerwowych palcach księcia wystrzępioną szarpia. Jednym kopnięciem wywrócił fotel, który napotkał spacerując w gniewnym zamyśleniu, mając pre-tensję nawet do przedmiotów martwych.

— Bezczelne stworzenie! — wołał przechadzając się z niesłychanym wzburzeniem. — Mam wielką ochotę kazać ją wsadzić do więzienia, z którego by wyszła ostrzyżona i wychłostana, a potem do domu poprawczego albo do klasztoru. Nietrudno by mi to było uzyskać. Ale lepiej nie. Jej upór wzmocniłby się tylko wskutek tych prześladowań, a miłość do Sigognaca wzrosłaby o całą nienawiść do mnie. To nie zda się na nic. Co robić w takim razie?

I wciąż jak dzikie zwierzę w klatce przechadzał się z jednego końca pokoju w drugi, nie mogąc opanować swej bezsilnej wściekłości.

Gdy tak się szamotoł nie zdając sobie sprawy, że godziny mijają — a mijają one z jednakową szybkością bez względu na to, czy jesteśmy w dobrym humorze, czy się złościmy — zapadła noc i Picard, choć nie wołany, odważył się wejść i zapalił świece, gdyż nie chciał pozwolić, aby jego pan oddawał się melancholii w ciemnościach rodzących czarne nastroje.

Rzeczywiście, jak gdyby światła kandelabrow rozjaśniły mu umysł, Vallombreuse, którego pochłaniała miłość do Izabeli, przypominał sobie o swojej nienawiści do Sigognaca.

— Co to właściwie znaczy, że ten nieszczęsny szlachetka nie został jeszcze sprząnięty? — rzekł zatrzymując się nagle. — Przecież dałem wyraźny rozkaz Merindolowi, żeby go zabił własnoręcznie albo przez jakiegoś zbira zręczniejszego i dzielniejszego niż on! „Gdy zginie bestia, zginie też i jej jad”, wbrew temu, co mówi Vidalinc. Kiedy Sigognac będzie usunięty, Izabela pozostanie zdana na moją łaskę i niełaskę, drżąca ze strachu i uwolniona od wierności. Teraz na pewno dąży do tego, żeby ten drab ożenił się z nią, i dlatego udaje wsty-dliwą i arcycnotliwą, odrzucając miłość najprzystojniejszych książąt, jakby byli żebrakami. Kiedy zostanie sama, szybko dam sobie z nią radę, a w każdym razie zemszczę się na aroga-ncję, który mnie złapał za rękę i wciąż zjawia się na drodze między mną a moim pragnieniem. Tak, każmy przyjść Merindolowi i dowiedzmy się, jak sprawa stoi.

Wezwany przez Picarda, Merindol stanął przed księciem bardziej blady niż złodziej, którego mają powiesić; na jego skroniach perlił się pot, język mu skołowaciał w wyschłych ustach. W tych ciężkich chwilach dobrze by zrobiło fagasowi, gdyby włożył do ust kamyk, jak to czynił przemawiający do fal morskich Ateńczyk Demostenes, aby mieć więcej śliny, poprawić sobie wymowę i wyzwolić swadę oratorską — tym bardziej że twarz młodego księ-cia była wzburzona jak niespokojne morze czy ateńskie zgromadzenie ludowe. Nieszczęśli-wiec usiłował trzymać się prosto na drżących nogach, wyglądał jak pijany, choć od rana nie wziął do ust ani kropelki, i z miną idioty obracał w rękach kapelusz. Nie śmiał podnieść oczu na swego pana, którego spojrzenie czuł na sobie jak strumień wody, na przemian wrzącej i lodowatej.

— No i cóż, bydlaku? — odezwał się nagle Vallombreuse.

— Czy długo tak będziesz stał z miną szubienicznika, jakbyś już miał na szyi ten krawat z konopi, na który zasługujesz bardziej jeszcze za tchórzostwo i niezręczność niż za zbrodnię?

— Czekałem na rozkazy waszej wysokości — rzekł Merindol usiłując zdobyć się na uśmiech. — Książę wie, że jestem mu oddany aż do szubienicy włącznie; pozwałam sobie na ten żarcik ze względu na tę piękną aluzję, którą...

— Dobrze, dobrze — przerwał książę. — Czy nie kazałem, żebyś mi oczyścił drogę z tego przekłętego Sigognaca, który mi przeszkadza i zawadza? Nie zrobiłeś tego, bo widać po spokojnym i pogodnym wyglądzie Izabeli, że ten łajdak jeszcze oddycha i mój rozkaz nie jest wykonany. Naprawdę, czy warto mieć na żołdzie bandytów, jeżeli jest się tak obsługiwanym? Przecież wy powinniście zgadywać moje uczucia po jednym błysku moich oczu, po drgnieniu powiek, i bez słowa zabijać od razu każdego, kto mi się nie podoba. Ale wam śpieszy się ty-lko do kuchni i odważni jesteście jedynie przy zarzynaniu kurczaków. Jeżeli tak dalej pójdzie, oddam was wszystkim katowi, który na was czeka, wstrętne kanalie, zbrodniarze podszyci tchórzem, niezdarni zabójcy, plugawe szumowiny galer!

— Książę pan, widzę to z przykrością — odparł Merindol tonem pokornym — nie docenia oddania i, śmiałym powiedzieć, talentu swych sług. Przecież ten Sigognac nie jest zwyczajną zwierzyną, którą można wyśledzić i ubić po kilku minutach polowania. Podczas pierwszej potyczki mało brakowało, a rozplątałyby mi głowę aż do podbródka. Ocaliło mnie tylko to, że miał tępy rapier teatralny. Przy drugiej naszej zasadzce był już bardziej ostrożny i tak gotowy do obrony, że musieliśmy uciekać, nie ryzykując bezużytecznej walki, bo towa-rzysze pośpieszyliby mu zaraz z pomocą i skończyłoby się przykrym skandalem. Teraz już zna moją

twarz i nie mogę się do niego zbliżyć, żeby natychmiast nie chwycił za broń. Musiałem więc pójść do jednego z moich przyjaciół, który najlepiej w całym mieście włada szpadą. On go śledzi i pod pretekstem napadu rabunkowego sprzątnie przy pierwszej okazji o zmroku lub nocą tak, że nazwisko księcia pana nie będzie w to wmieszane, co by się na pewno stało, gdyby napaści dokonali słudzy jego wysokości.

— Plan nie jest zły — odpowiedział niedbale Vallombreuse, nieco ułagodzony. — Może tak rzeczywiście będzie lepiej. Ale czy jesteś pewny odwagi i siły tego zbira? Trzeba śmiałka nie lada, żeby sprzątnąć Sigognaca, który, przyznaję, choć go nienawidzę, nie jest wcale tchórzem, skoro się odważył zmierzyć nawet ze mną.

— Och! — odrzekł Merindol z powagą i głębokim przekonaniem. — Jacquemin Lampourde to bohater... który zszedł na złe drogi. Jest więcej wart od mitycznego Achillesa i historycznego Aleksandra. Nie jest bez skazy, ale jest bez trwogi.

Picard, który od kilku minut krążył po pokoju, widząc, że poprawił się humor Vallom-breuse'a, odważył się powiedzieć, że człowiek o dość dziwnej powierzchowności koniecznie chce mówić z księciem w ważnej sprawie.

— Każ wejść temu drabowi — polecił książę. — Ale biada mu, jeżeli przeszkadza mi dla jakiegoś głupstwa! Każę go tak obić, że zostawi tu swoją skórę.

Lokaj wyszedł, aby wprowadzić nowego gościa. Merindol chciał dyskretnie wycofać się, gdy wejście dziwnej osoby przykuło mu stopy do podłogi. Można było w samej rzeczy zgłupieć, gdyż człowiekiem wprowadzonym do Vallombreuse'a przez Picarda nie był kto inny, tylko Jacquemin Lampourde we własnej osobie. Jego nieoczekiwana w tym miejscu obecność kazała się domyślać jakiegoś szczególnego wydarzenia. Merindol był więc bardzo

niespokojny widząc, że tak bez pośrednika zjawia się narzędzie pomocnicze, którego praca miała się dokonać w cieniu.

Jacquemin Lampourde wcale zresztą nie wyglądał na zmieszanego. Już od drzwi mru-gnął przyjaźnie do Merindola i stanął o kilka kroków przed księciem, w pełni oświetlony świecami, które uwydatniały jego charakterystyczne rysy. Czoło, na którym kapelusz wyci-snął czerwoną pręgę podobną do blizny, było jeszcze mokre od potu, co dowodziło, iż zbir maszerował szybko albo że zmęczył go jakiś poważny wysiłek; jego szaroniebieskie oczy o metalicznym odbłasku spoczęły na młodym księciu z zimną bezczelnością, przygotowując Merindola o drżenie. Co do jego nosa, którego cień zakrywał cały policzek, podobnie jak cień Etny zakrywa znaczną część Sycylii, ów przyładek twarzy nadawał profilowi Lampourde'a wyraz groteskowy i monstrualny; na samym zaś czubku, gdzie padał promień światła, lśnił jak złoto. Jego wąsy, natarte ordynarną pomadą, przypominały rożenek przekreślający twarz między nosem a górną wargą, pod wargą dolną sterczała bródka, ostrzyżona na sposób zwany królewskim i podobna do odwróconego przecinka. Całość składała się na fizjonomię najdzi-wniejszą w świecie, jedną z tych, które Jakub Callot * lubił szkicować swym rylcem oryginalnym i żywym.

— No i cóż, chamie? — rzekł książę przypatrzwszy się do woli tej zabawnej postaci. — Chcesz mi może dać jałmużnę, że mi podsuwasz pod nos sakiewkę tą twoją ręką długą jak wywieszka przed sklepem?

— Przede wszystkim, mości książę — rzekł zbir wprawiając swoje zmarszczki na poli-czkach i koło ust w nerwowe drgania — choćby się to waszej wysokości miało nie spodobać, muszę powiedzieć, że nie jestem chamem. Nazywam się Jacquemin Lampourde, moim zawo-dem jest

szpada. Żyję po szlachecku, bo nigdy nie zhańbiłem się pracą ręczną, handlem czy rzemiosłem. W najcięższych przeciwnościach losu nie poniżyłem się nawet na tyle, żeby pracować przy wydmuchiwaniu szkła, to znaczy w jedynym zawodzie, który ze względu na niebezpieczeństwo śmierci, zawsze straszne dla ludzi podłej kondycji, nie pociąga za sobą utraty szlachectwa. Zabijam, żeby żyć, ryzykując swoją skórę i szyję, ponieważ pracuję zawsze sam, uprzedzam przed atakiem, brzydę się zdradą i tchórzostwem. Czy może być coś szlachetniejszego? Proszę zatem cofnąć ten epitet chama, który mógłbym przyjąć tylko w charakterze przyjacielskiego żartu, bo zbyt dotkliwie obraża on moją niezwykle drażliwą miłość własną.

— Niech będzie, mistrzu Lampourde, skoro panu na tym zależy — odpowiedział książę de Vallombreuse, którego mimo woli bawiła zawiadańska formalistyka tego opryszka dumnie wspartego pod bok. — A teraz proszę mi wyjaśnić, co pan robi u mnie z trzosem w ręku, potrząsając monetami jak wariat błazeńskim berłem albo trędowatą klekotką?

Jacquemin, zadowolony z tego ustępstwa na rzecz jego wrażliwości, skinął głową, bez poruszenia tułowiem, po czym wykonał kapeluszem kilka ruchów, które według niego składały się na ukłon łączący zadzierżystą niezależność wojownika z elegancją dworaka.

— Oto jak wygląda sprawa, mości książę. Otrzymałem od Merindola zaliczkę, aby sprzątnąć niejakiego Sigognaca, zwanego kapitanem Fracasse. Wskutek okoliczności niezależnych od mojej woli nie mogłem wykonać tego zamówienia, a ponieważ jestem uczciwy, zwracam pieniądze, które mi się nie należą.

Powiedziawszy te słowa, nie bez godności położył sakiewkę na rogu pięknego stołu ozdobionego florencką inkrustacją.

— Oto macie — rzekł Vallombreuse — tych zuchów dobrych tylko do komedii, do wybijania otwartych drzwi, do bohaterskiej walki z niemowlętami przy piersi. Uciekają, gdzie pieprz rośnie, kiedy ofiara pokaże im zęby, osły w lwiej skórze, które niby pomrukują groźnie, ale naprawdę umieją tylko ryczeć. No, powiedz szczerze: zląkłeś się Sigognaca, co?

— Jacquemin Lampourde nie zaznał nigdy uczucia lęku — odrzekł zbir, który mimo swej groteskowej powierzchowności wcale nie był pozbawiony szlachetnej dumy. — Mówię to bez fanfaronady i samochwalstwa w stylu hiszpańskim czy gaskońskim. W żadnej walce przeciwnik nie widział jeszcze kształtu moich pleców, nie znany jestem z tej strony i mógł-bym być garbaty jak Ezop **, a nikt by tego nie zauważył. Ci, którzy mieli okazję zobaczyć mnie przy pracy, wiedzą, że mam wstręt do łatwych zadań. Niebezpieczeństwo pociąga mnie i pływam w nim jak ryba w wodzie. Zaatakowałem Sigognaca secundum artem *** jedną z moich najlepszych szpad toledańskich, która wyszła z pracowni Alonza de Sahagun starszego.

— Cóż się więc stało w tej szczególnej walce? — zapytał młody książę. — Nie wygra-łeś jej widocznie, skoro przychodzisz zwrócić pieniądze?

* Jakub Callot — świetny grafik i malarz francuski żyjący na przełomie XVI i XVII w. Z mistrzowskim realizmem utrwał w swoich licznych dziełach życie swej epoki.

** ...garbaty jak Ezop — na wpół legendarny bajkopisarz grecki Ezop (z przełomu VII i VI w. przed n.e.), był, według tradycyjnych opisów, odrażająco brzydki i garbaty.

*** secundum artem (łac.) — „według przepisów sztuki”.

— W pojedynkach, spotkaniach i napadach na jednego lub kilku przeciwników położy-łem trupem trzydziestu siedmiu ludzi; nie liczę ciężej albo lżej rannych. Ale ten cały Sigognac

jest mocny w obronie, jak gdyby siedział w spiżowej wieży. Użyłem przeciw niemu wsze-lkich sztuk szermierczych: zwrotów, zaskoczeń, zwolnień, cofań, nieznanym ciosów, ale on ma odpowiednią paradę i ripostę na każdy atak, a jakie mocne i szybkie ma uderzenie, jaki jest odważny i zarazem ostrożny, opanowany i mistrzowsko dokładny! To nie jest człowiek, ale bóg ze szpadą w ręku. Ryzykując, że będę nadziany jak na rożen, rozkoszowałem się tą grą delikatną, nieskazitelną i świetną. Miałem partnera godnego siebie. Kiedy jednak trzeba było z tym skończyć, przedłużywszy walkę, żeby podziwiać jak najdłużej tę wspaniałą metodę, zaryzykowałem wreszcie pchnięcie neapolitańskie, które ja jeden już tylko znam na całym świecie, bo Girolamo umierając zostawił mi je w spadku. Poza mną zresztą nikt nie jest zdolny do wykonania go w całej doskonałości, a od tego zależy wynik. Zadałem to pchnięcie tak dobrze i tak głęboko, że sam Girolamo nie mógłby lepiej. I co? Ten diabelski kapitan Fracasse, jak go nazywają, odparował pchnięcie z olśniewającą szybkością i tak pewnie, że zostawił mi w garści tylko odłamek szpady, którym mogłem walczyć jak stara baba grożąca dzieciakowi warząchwią. Proszę, oto co zrobił z moim Sahagunem!

Jacquemin Lampourde wyciągnął żałośnie z pochwy koniec szpady ozdobionej literą S w koronie i pokazał księciu wyraźne i lśniące miejsce złamania.

— Czyż to nie wspaniałe uderzenie? — ciągnął zbir. — Można by je przypisać mieczowi Durandal Rolanda *. Zabicie kapitana Fracasse przekracza możliwości mojego talentu, przyznaję to z całą skromnością. Moje ostatnie pchnięcie dopuszczało dotychczas jedną tylko obronę, najgorszą ze wszystkich, dokonywaną własnym ciałem. Każdy, kto się o nią otarł, miał w spencerze o jedną dziurkę więcej niż guzików — dziurkę, przez którą uciekło życie.

Poza tym, jak wszyscy ludzie waleczni, ten kapitan był wspaniałomyślny; trzymał mnie na końcu swej szpady, osłupiałego niepowodzeniem, i mógł przebić jak figojadkę jednym tylko wyciągnięciem ramienia, ale nie zrobił tego, co jest dowodem wielkiej delikatności u człowie-ka napadniętego po ciemku na środku Nowego Mostu. Winien mu jestem życie i — choć życie to nie jest wiele warte, zważywszy użytek, jaki z niego robię — mam wobec niego dług wdzięczności. Niczego więcej przeciw niemu nie podejmę, jest dla mnie święty. Choćbym zresztą i mógł, miałbym skrupuły kalecząc czy niszcząc tak świętego szermierza, zwłaszcza że w tej dziedzinie robi się coraz gorzej i ludzie trzymają szpadę jak kij od miotły. Dlatego przyszedłem uprzedzić księcia, żeby więcej na mnie nie liczył. Mógłbym zapewne schować pieniądze jako odszkodowanie za ryzyko, ale moje sumienie nie pozwala mi na to.

— Do wszystkich diabłów, zabieraj to złoto jak najprędzej — rzekł Vallombreuse to-nem nie dopuszczającym sprzeciwu — albo cię razem z sakiewką każę wyrzucić przez okno, nie otwierając go przedtem. Nigdy nie widziałem łajdaka tak skrupulatnego! Ty, Merindol, nie byłbyś zdolny do tak pięknego czynu, który można by umieścić w księgach jako przykład dla młodych. — Widząc, że zbir się ociąga, dodał: — Daję ci te pistole, abyś wypił za moje zdrowie!

— To będzie akuratnie wykonane, mości książę. Myślę jednak, że wasza wysokość nie pogniewa się, jeśli część tej sumy zużyję do gry.

Kończąc te słowa, zrobił krok ku stołowi, wyciągnął swe kościste ramię, chwycił sakiewkę ze zręcznością kuglarza i sprawił, że znikła jak zaczarowana w głębinach kieszeni, gdzie wydała metaliczny dźwięk ocierając się o kubek z kośćmi i talią kart. Ten gest był widocznie o wiele bardziej naturalny u niego niż jakikolwiek inny — tak lekko i prędko

wszystko to się odbyło.

— Wycofuję się ze sprawy, jeśli idzie o Sigognaca — rzekł Lampourde. — Ale jeżeli to

* Durandal — legendarny miecz, którym Roland, siostrzeniec Karola Wielkiego, miał dokonać wszystkich swych bohaterskich czynów.

odpowiada waszej wysokości, podejmie pracę mój alter ego *, kawaler Malartic, któremu można powierzać najbardziej ryzykowne przedsięwzięcia, tak jest zręczny. Ma świetną głowę do pomysłów i znakomitą rękę do ich wykonywania. Jest to zresztą umysł najzupełniej pozbawiony przesądów i uprzedzeń. Naszkicowałem rodzaj planu porwania aktorki, którą książę zaszczycą swym zainteresowaniem. Malartic wykona go z dokładnością i ścisłością, która go charakteryzuje. Niejeden z autorów komedii teatralnych powinien by się radzić Malartica w sprawach prowadzenia intrygi, wymyślania powikłań i innych sztuczek tego rodzaju. Merindol, który go zna, może potwierdzić moje słowa. Na pewno nie mógłby książę pan dokonać lepszego wyboru; jest to prawdziwy podarunek, który ofiarowuję księciu. Ale nie chcę dłużej nadużywać cierpliwości księcia pana.

Gdy się książę zdecyduje, proszę tylko kazać swojemu człowiekowi nakreślić kredą krzyż na lewym filarze gospody „Pod Rządkiem w Koronie”. Malartic to zrozumie i odpowiednio przybrany zjawi się w pałacu Vallombreuse, żeby odebrać rozkazy i przygotować się do drogi.

Ukończywszy to triumfalne przemówienie, mistrz Lampourde wykonał kapeluszem te same ewolucje, co na początku rozmowy; potem włożył kapelusz na głowę, spuścił jego rondo i wyszedł z pokoju krokiem miarowym i poważnym, zadowolony ze swej wymowy i swego

zachowania wobec tak wielkiego pana.

Ta dziwaczna wizyta — co prawda nie tak znów wyjątkowa w tym stuleciu ludzi wy-twornych i awanturników — ubawiła i zainteresowała Vallombreuse'a. Oryginalny i na swój sposób uczciwy charakter bandyty podobał mu się; przebaczył nawet Lampourde'owi to, że nie potrafił zabić Sigognaca. Skoro baron nie dał się pokonać zawodowemu rębajle, to wido-cznie był naprawdę nie do zwyciężenia, wobec czego hańba otrzymania rany z jego ręki stała się mniej bolesna dla dumy księcia. Poza tym Vallombreuse, mimo iż był dosyć niepoczyta-ny, zaczął się cofać przed myślą zamordowania Sigognaca — nie przez litość albo na skutek wyrzutów sumienia, ale dlatego, że jego przeciwnik był szlachcicem. Bez skrupułów zamo-rdowałby pół tuzina zawadzających mu mieszczan — krew takich istot nie miała dla niego większej wartości niż woda studzienna. Ale tego rywala wolałby sprzątnąć osobiście, gdyby nie wyższość Sigognaca w szpadzie, wyższość, którą mu przypominało jego ledwo zabliznio-ne ramię. I to właśnie nie pozwalało mu ryzykować nowego pojedynku czy zbrojnego ataku. Zaczął więc myśleć raczej o porwaniu Izabeli. Nęciło go ono miłosnymi perspektywami otwierającymi się przed jego wyobraźnią. Nie miał wątpliwości, że aktorka, oddzielona od Sigognaca i kolegów, stanie się bardziej ludzka i wrażliwa na uroki młodego księcia, tak przystojnego i pożądanego przez najpierwsze damy na dworze. Zarozumiałość Vallombre-use'a w tym względzie była całkowicie uzasadniona, a więc zupełnie nieuleczalna. Uroda księcia usprawiedliwiała jego pretensje i najbardziej zuchwałe samochwalstwa, które wygłaszał, istotnie odpowiadały prawdzie. Dlatego, mimo klęski niedawno doznanej u Izabeli, wy-dawało mu się rzeczą nielogiczną, absurdalną, nie do wiary i obraźliwą — że nie jest kocha-ny.

* alter ego (łac.) — dosłownie: drugi ja; mój godny zastępca.

ROZDZIAŁ XV

MALARTIC DZIAŁA

Jeżeli wściekłość rozsadzała księcia, kiedy wracał do pałacu, to i baron usłyszawszy, na co sobie pozwolił Vallombreuse wobec Izabeli, wpadł w gniew nie mniej gwałtowny. Tyran i Blazjusz musieli mu długo tłumaczyć, że nie może biec do pałacu magnata w celu sprowokowania pojedynku, którego by Vallombreuse na pewno nie przyjął, Sigognac bowiem, nie będąc ani bratem, ani mężem, ani oficjalnym adoratorem aktorki, nie miał żadnych podstaw, aby się domagać zadośćuczynienia za czyn zupełnie zresztą dopuszczalny. We Francji zawsze było wolno zalecać się do ładnych kobiet. Bandycki napad na Nowym Moście trudniej zapewne było rozgrzeszyć, ale — choć wydawało się rzeczą niewątpliwą, że zorganizował go książę — jak wyśledzić tajemnicze nici łączące opryszka z wielkim panem? Założywszy nawet, że uda się je wykryć, jak zdobyć dowody i

od kogo żądać sprawiedliwości za te niecne napaści? W oczach świata Sigognac ukrywający swoje prawdziwe nazwisko był tylko nędznym komediantem, pogardzanym wesołkiem, którego szlachcic, taki jak Vallombreuse, mógł wedle swej fantazji kazać wychłostać, uwięzić czy zabić, gdyby go rozgniewał lub mu w czymkolwiek przeszkadzał, i nikt by o to nie miał do niego pretensji. Cnotę i upór Izabeli uznano by za wdzięczenie się i obłudę, ponieważ moralność aktorek znajdowała wówczas wielu niewiernych Tomaszów i sceptycznych Pyrronów *. Nie było więc możliwe otwarcie wystąpić przeciw księciu, co niezmiernie drażniło Sigognaca, który chcąc nie chcąc musiał uznać słuszność rozumowania Heroda i Pedanta, przemawiających za tym, aby zachowując spokój wyteżać wzrok i słuch, ponieważ przeklęty magnat, piękny jak anioł, a zły jak szatan, z pewnością nie porzuci swych zamysłów, mimo iż na razie przegrał na całym froncie. Słodkie spojrzenie Izabeli, która wzięła w swe białe dłonie dygocące ręce Sigognaca prosząc go, by poskromił swą odwagę przez miłość do niej, uspokoiło barona i sprawy wróciły na zwykłe tory.

Dlatego też Herod wcale się nie zdziwił, gdy pewnego poranka do oberży przy ulicy Dauphine przyszedł jakiś intendent czy majordomus o czcigodnym wyglądzie, jaki miewają ludzie, którzy zestarzelili się w służbie wielkich rodów. Oświadczył, że chce porozmawiać o sprawach teatralnych w imieniu swego pana hrabiego de Pommereuil.

Doskonale wrażenie zrobiły na Herodzie maniery i stateczność intendenta, który po powitaniu odezwał się dwornie:

— Więc to pan jest owym Herodem rządzącym, jak Apollo muzami, tą doskonałą kompanią, której sława szerzy się po mieście i przekroczyła już rogatki, dotarła nawet aż do wiejskiego zakątka, gdzie mieszka mój chlebowca?

— Tak jest, mam ten zaszczyt — odpowiedział Herod składając ukłon tak grzeczny, jak mu tylko na to pozwalał jego groźny i tragiczny wygląd.

— Hrabia de Pommereuil — rzekł starzec — pragnąłby urządzić na swym zamku przedstawienie dla zabawy znakomitych gości. Uważając, że żadna trupa nie nadaje się do tego lepiej niż wasza, przysłała mnie z zapytaniem, czy moglibyście wystąpić w jego majątku odległym stąd o kilka mil. Mój pan jest człowiekiem hojnym, nie liczącym się z groszem, i dla pozyskania waszego wspaniałego zespołu nie cofnie się przed żadnymi kosztami.

— Zrobię wszystko, aby zadowolić tak łaskawego dla nas człowieka — odparł Tyran — choć trudno nam nawet na kilka dni opuścić Paryż w okresie, gdy cieszymy się największym powodzeniem.

* Pyrron — filozof grecki z IV w. przed n.e., założyciel szkoły sceptyków.

— Trzy dni wystarczą — rzekł majordomus. — Jeden na podróż, drugi na przedstawienie, ostatni na powrót. Na zamku jest teatr zaopatrzony we wszelkie urządzenia, będziecie tylko musieli ustawić wasze dekoracje. Oto sto pistoli, które hrabia de Pommereuil kazał wam wręczyć na koszty przejazdu; dostaniecie drugie tyle po przedstawieniu, a aktorki otrzymają na pewno jakieś prezenty, pierścionki, szpilki czy bransoletki — rzeczy zawsze miłe kobiecej kokieterii.

Łącząc czyny ze słowami, intendent hrabiego de Pommereuil wyciągnął długą i ciężką sakiewkę napęczniałą pieniędzmi, odwrócił ją i wysypał na stół sto pięknych monet, bardzo ponętnie błyszczących.

Tyran spoglądał na ten stos pieniędzy z wyrazem zadowolenia, gładząc swą długą, czarną brodę. Gdy już się napatrzył, zebrał je i wrzucił do kieszeni gestem oznaczającym

zgode.

— A więc — rzekł intendent — zgadza się pan i mogę powiedzieć hrabiemu, że przy-jmujecie jego zaproszenie?

— Jestem do dyspozycji pana hrabiego razem ze wszystkimi kolegami — odrzekł Herod. — Proszę mi wyznaczyć dzień, w którym ma się odbyć przedstawienie, oraz sztukę, której pan hrabia sobie życzy, bo musimy zabrać niezbędne kostiumy i akcesoria.

— Najlepiej byłoby już w czwartek, ponieważ mój pan czeka z wielką niecierpliwością, a co do sztuki — to zostawia wybór waszemu gustowi i wygodzie.

— Pewien młody i obiecujący autor normandzki napisał ostatnio „Złudzenie komiczne” — rzekł Herod. — Jest to rzecz najmodniejsza w tej chwili.

— Niech będzie „Złudzenie komiczne”. Wiersz jest niezły, a postać Matamora świetna.

— A teraz proszę nam jeszcze powiedzieć dokładnie, żebyśmy nie błędzili, gdzie leży zamek i którędy do niego dojedziemy.

Intendent hrabiego de Pommereuil dał wskazówki tak dokładne i szczegółowe, że wystarczyłyby ślepcowi szukającemu drogi laską, ale, obawiając się widocznie, że Herod pomie-sza te wszystkie „prosto”, „później na prawo”, „a później na lewo” i tak dalej, dodał:

— Nie obciążajcie tą wulgarną prozą waszej pamięci zajętej tak pięknymi wierszami naszych doskonałych poetów! Przyślę lokaja, który wam posłuży za przewodnika.

Zawarłszy w ten sposób umowę, starzec odszedł kłaniając się raz po raz, a na każdy jego rewerans Herod odpowiadał ukłonem jeszcze niższym. Wyglądali jak dwa nawiasy w ataku epilepsji. Nie chcąc być pokonanym w tym turnieju grzeczności, Tyran zszedł ze scho-dów na podwórze i zatrzymał się dopiero w bramie, skąd skierował do pocziwca

ostatni ukłon; miał przy tym plecy zgięte w pałąk, pierś wklęsłą (o ile mu na to pozwalał brzuch), wymachiwał rękami i głową dotykał niemal ziemi.

Gdyby Herod obserwował wysłannika hrabiego aż do końca ulicy, zauważyłby może zjawisko sprzeczne z prawami perspektywy: postać intendenta rosła w miarę oddalania się. Jego zgarbione plecy wyprostowały się i starcze drżenie rąk znikło, ale Herod wrócił już do domu i niczego nie widział.

W środę rano, gdy służący pakowali dekoracje i kufry na wóz zaprzężony w dwa mocne konie, wynajęty do tej podróży przez Tyrana, przybył konno lokaj, wielki drab w pięknej liberii, i zaczął trzaskać z biczem przed drzwiami oberży na znak, że chce przyśpieszyć odjazd aktorów i pokazać im drogę. Kobiety, zawsze leniwe do wstawania z łóżka i spędzające dużo czasu przy toalecie (nawet aktorki, mimo że teatr przyzwyczajają je do ubierania się i rozbierania w mgnieniu oka), zeszły wreszcie i zasiadły, najwygodniej jak mogły, na ławkach wyściełanych słomą.

Zegar Samarytanki wybił ósmą, gdy ciężki wehikuł ruszył w drogę. Po blisko półgo-dzinnej jeździe aktorzy minęli Bramę Świętego Antoniego i Bastylie, następnie przedmieście z jego nielicznymi domkami i przez pola uprawne kierowali się w stronę zamku Vincennes, który daleko przed nimi ukazywał swą basztę w lekkiej gazie z niebieskawej mgły pozostałej po nocy i rozplywającej się w promieniach słońca jak dym dział artyleryjskich na wietrze.

Ponieważ konie były wypoczęte i szły rączym truchtem, wóz dotarł niebawem do stare-go zamku, którego gotyckie umocnienia dobrze jeszcze wyglądały, choć nie były już zdolne stawić czoła armatom i moździerzom. Złocone półksiężycy na kaplicy w stylu minaretu, zbudowanej przez Piotra de Montereau, lśniły radośnie ponad wałami, jakby były dumne, że sąsiadują z krzyżem, symbolem odkupienia. Przez

kilka minut aktorzy podziwiali ten pomnik dawnej wspaniałości naszych monarchów, po czym wjechali do parku, gdzie ujrzeli kilka majestatycznych dębów, zapewne rówieśników tego, pod którym wymierzał sprawiedliwość król Ludwik Święty.

Opuszczając park, wóz miał do pokonania niewielkie wzgórze. Sigognac zaproponował Izabeli:

— Zanim wóz będzie na szczycie, moglibyśmy trochę przejść się pod rękę. Rozgrzeje to panią i rozrusza. Droga jest równa, a pogoda piękna; powietrze zimowe, świeże i ostre, ale mrozu nie ma.

Wóz wjeżdżał wolno na dość strome zbocze, do którego podnóża przytuliło się kilka chatek, jakby chcąc uniknąć trudu wspinaczki. Ich mieszkańcy poszli pracować w polu. Dokoła nie było widać żywej duszy, tylko na skraju drogi stał ślepy żebrak w towarzystwie chłopca, liczący zapewne na miłosierdzie przejeżdżających tędy ludzi.

Ten niewidomy, wyglądający na bardzo sędziwego, śpiewał przez nos pieśń, w której oplakiwał swą ślepotę i błagał przechodniów o litość, przyrzekając im swe modły i gwarantując raj w zamian za jałmużnę. Już od dłuższego czasu jego żałobny głos docierał uszu Izabeli i Sigognaca, uparcie przeszkadzając rozmowie zakochanych.

Baron zaczął się już niecierpliwić, gdyż przykro jest słyszeć kruka, gdy śpiewa słowik.

Kiedy byli już blisko starego nędzarza, ten ostatni, na znak dany przez swego przewoźnika, podwoił jęki i błagania. Aby podniecić hojność przechodzących, potrząsał drewnianą miseczką, w której brzęczało kilka groszy, denarów, srebrników i różnych innych monet. Na głowie miał dziurawą szmatę, a plecy, zgarbione jak łuk mostu, okrył brązową derką z szorstkiej i ciężkiej wełny, odpowiedniejszą raczej dla zwierzęcia niż dla człowieka i odziedziczoną chyba po jakimś

mule zdechłym na nosaciznę lub parchy. Wywrócone oczy ślepcy świeciły białkami i sprawiały ohydne wrażenie na ciemnej i pomarszczonej twarzy; dolna jej część była pokryta długą aż do pasa, siwą brodą, godną kapucyna lub pustelnika, stanowiącą jakby drugi biegun uwłosienia głowy. Z całego ciała widoczne były tylko drżące ręce, które wydo-bywały się poprzez otwór siermięgi, aby potrząsać miseczką. Na znak pokory i poddania woli Opatrzności żebrak ukląkł na garści słomy bardziej wygniecionej i zgniłej niż legowisko Hio-ba. Litość dla tego ludzkiego łachmana musiała się mieszać z odrazą i, rzucając mu jałmużnę, nie można było nie odwrócić głowy.

Chłopiec stojący obok żebraka miał spojrzenie błędne i dzikie. Jego twarz była przykryta do połowy długimi kosmykami czarnych włosów, spływającymi po policzkach. Stary, zniszczony kapelusz, o wiele za duży dla niego i znaleziony zapewne na jakiejś miedzy, pograżał w cieniu górną część twarzy, odsłaniając tylko podbródek i usta, w których dziko błyszczały zęby. Rodzaj kaftana z grubej, łataniej materii stanowił całe jego ubranie i uwydatniał smukłe ciało, mimo całej nędzy nie pozbawione wdzięku. Nogi bez butów i pończoch, delikatne i zgrabne, były czerwone od zimna.

Izabela wzruszona widokiem tej nieszczęśliwej grupy, łączącej niedole starości i dzieciństwa, zatrzymała się przed ślepcem, który przy piskliwym akompaniamencie swego przewodnika coraz prędzej klepał modlitwy, i sięgnęła do kieszeni po srebrną monetę dla żebraka. Ale nie znalazła sakiewki i, zwracając się do Sigognaca, poprosiła go o dwa testony. Baron oczywiście nie odmówił, chociaż nie bardzo mu się podobał ten żebrak i jego jeremiady. Jako człowiek dobrze wychowany, chciał uchronić Izabelę „od zbliżenia się do tego plugastwa, podszedł więc sam i rzucił pieniądz do miseczki.

W tej chwili, zamiast podziękować Sigognacowi za jałmużnę, żebrak — przed chwilą jeszcze skurczony — wyprostował się ku przerażeniu Izabeli i, otwierając ramiona jak jastrząb, który dla nabrania rozpędu trzepoce skrzydłami, rozwinął brązową derkę, która go okrywała, chwycił ją w obie ręce i rzucił ruchem rybaka zanurzającego sieć w stawie lub rzece. Gęsta wełniana materia otoczyła głowę Sigognac niczym chmura i spadła wzdłuż jego ciała, gdyż brzegi miała obszyte ołowiankami jak sieć na ryby.

Sigognac stracił za jednym zamachem wzrok, oddech, władzę w rękach i nogach. Młoda aktorka skamieniała z przerażenia, chciała krzyczeć, uciekać, wołać pomocy. Zanim jednak zdołała wydobyć głos z gardła, poczuła, że ktoś ją błyskawicznie unosi z ziemi. Stary ślepiec, odzyskawszy w jednej sekundzie młodość i wzrok dzięki cudowi nie tyle niebieskie-mu, co piekielnemu, chwycił ją za ręce, podczas gdy chłopiec trzymał ją za nogi. Obaj milczeli i nieśli aktorkę gdzieś daleko od drogi. Zatrzymali się za nędzną chatką, gdzie czekał jeździec w masce. Dwaj inni ludzie, również na koniach i tak samo zamaskowani, uzbrojeni po zęby, stali za murem, który zasłaniał ich od strony drogi. Obaj byli gotowi w razie potrze-by przyjść z pomocą pierwszemu.

Półmartwą z przerażenia Izabelę umieszczono na łuku siodła, przykrytym płaszczem, który złożono w kilkoro tak, iż tworzył rodzaj poduszki. Jeździec opasał długim rzemieniem ją i siebie i dokonawszy tego ze zręcznością i szybkością dowodzącą wielkiej wprawy w po-rywaniu kobiet, spiął ostrogami konia, który ruszył szybko, jakby, podwójny ładunek ludzki nie ciążył mu wcale; przyznać trzeba zresztą, że młoda aktorka nie ważyła wiele.

Wszystkie powyższe wydarzenia zajęły mniej czasu, niż go potrzeba do ich opisania. Sigognac miotał się pod ciężką derką jak rzymski gladiator obezwładniony siatką przez

przeciwnika. Kipiał gniewem, podejrzewając nowy zamach Vallombreuse'a na Izabelę, i tracił siły w tym szamotaniu. Na szczęście przyszło mu do głowy wyciągnąć sztylet i rozciąć grubą materię, która go obciążała jak ołowiane habity potępieńców u Dantego *.

Kilku pchnięciami sztyletu otworzył swoje więzienie. Spoglądając przed siebie jak sokół, któremu zdjęto kaptur, ujrzał ludzi porywających Izabelę, którzy pędzili przez pole i widocznie chcieli dotrzeć do pobliskiej kępy drzew.

Ślepy żebrak i chłopiec znikli ukrywszy się w jakimś rowie lub w zaroślach. Ale nie o tę nędzną zdobycz chodziło Sigognacowi. Rzuciwszy na ziemię przeszkadzającą mu derkę, z rozpaczliwą furją zaczął ścigać trzech jeźdźców; był zwinny, silny, jakby stworzony do bie-gów, i jako młody chłopak nieraz zwyciężał najlepszych biegaczy z całej wsi. Obracając się na siodłach, napastnicy widzieli, że przestrzeń między nimi a baronem zmniejsza się; jeden z nich nawet strzelił z pistoletu, aby zatrzymać pościg. Chybił jednak, bo Sigognac biegł zygza-kiem, utrudniając w ten sposób celowanie.

Jeździec, który wiózł Izabelę, usiłował zyskać na odległości, zostawiając swej tylnej straży troskę o rozprawienie się z Sigognakiem. Młoda kobieta, unieruchomiona na siodle, nie pozwalała mu swobodnie kierować wierzchowcem, gdyż wyrywała się, próbując zeskoczyć na ziemię.

Sigognac zbliżał się do nich coraz bardziej dzięki temu, że teren nie był dogodny dla koni. Nie przystając ani na chwilę, wyciągnął szpadę i trzymał ją w pogotowiu, ale cóż, był pieszo, sam przeciw trzem ludziom na dobrych wierzchowcach — zaczynało mu brakować tchu. Zdobył się na olbrzymi wysiłek i kilku skokami dopadł do dwóch jeźdźców osłaniają-cych ucieczkę ich towarzysza, który unosił

Izabelę. Aby nie tracić czasu na walkę z nimi, dźgnął kilkakrotnie kłęby koni ostrzem szpady, spodziewając się, że poniosą pod wpływem takiego bodźca. Istotnie, oszalałe z bólu konie stawały dęba, wierzgały i mimo wszystkich wysiłków jeźdźców, aby je powstrzymać, pogalopowały, jakby je pędził sam diabeł, przez rowy i nierówności terenu, aż w pewnej chwili przestały być widoczne.

* ...ołowiane habity potępieńców u Dantego — Dante Alighieri, średniowieczny poeta włoski, przedstawia w „Boskiej komedii” obłudników, którzy po śmierci dostali się do piekła i za karę noszą grube habity i kaptury z ołowiu.

Zdyszany, oblany potem, z suchymi ustami i sercem walącym, jakby lada chwila miało mu pęknąć w piersi, Sigognac dopędził wreszcie zamaskowanego człowieka, który wiózł Izabelę. Młoda kobieta wołała:

— Ratunku, baronie, ratunku!

— W tej chwili — odpowiedział baron przerywanym, świszczącym głosem.

Lewą ręką uwiesił się pasa wiążącego Izabelę z bandytą. Usiłował ściągnąć tego ostatniego na ziemię, biegnąc obok konia jak rzymscy desultores *, ale jeździec ścisnął kolana i łatwiej byłoby odśrubować tors centaura niż jego oderwać od siodła; równocześnie szukał obcasami brzucha swego wierzchowca, żeby go popędzić i próbował uwolnić się od Sigo-gnaca, do którego nie mógł strzelać, gdyż ręce miał zajęte trzymaniem cugli i szamotaniem się z Izabelą. Bieg konia, hamowany w ten sposób, stracił na szybkości, co pozwoliło Sigo-gnacowi zaczerpnąć nieco tchu. Skorzystał z tego, aby zaatakować przeciwnika szpadą, ale obawa, aby wśród bezładnych ruchów nie zranić Izabeli, sprawiła, że źle wymierzył cios. Jeździec, puściwszy na chwilę cugle, wyjął z kieszeni nóż i odciął rzemień, którego rozpaczliwie trzymał

się Sigognac; następnie zatopił gwiazdziste ostrogi w boku biednego zwierzęcia i, ukłuty do krwi, koń rzucił się naprzód. Tylko skórzany pas został w rękach Sigognaca, który straciwszy oparcie i nie przeczuwając podstępu, upadł gwałtownie na wznak. Wstał wprawdzie w tej samej chwili i podniósł szpadę, leżącą o cztery kroki dalej, ale ta krótka przerwa wystarczyła jeźdźcowi, aby zyskać na odległości. Zmęczony nierówną walką i szalonym biegiem baron nie mógł już mieć nadziei, że dopędzi bandytę. Jednakże słysząc słabnące krzyki Izabeli rzucił się znowu w pościg. Bezżyteczne bohaterstwo wiernego serca w obronie ukochanej! Sigognac wyraźnie zostawał w tyle. Jeździec dotarł już do lasu, którego gąszcz, jakkolwiek огоłocony z liści, zasłonił kierunek ucieczki masywną ścianą pni i gałęzi.

Mimo swej furii i rozpaczony baron musiał przystanąć zostawiając swą ukochaną w rękach tego demona, ponieważ nie mógł jej uwolnić nawet z pomocą Heroda i Scapina, którzy, podejrzewając jakąś napaść, wypadek czy zasadzkę, na odgłos strzelaniny zeskoczyli z wozu, choć lokaj próbował ich powstrzymać.

W kilku urywanych słowach Sigognac opowiedział im o porwaniu Izabeli i o wszystkim, co się wydarzyło.

— To ręka Vallombreuse'a — rzekł Herod. — Albo się dowiedział o naszej podróży na zamek Pommereuil i urządził zasadzkę, albo też wymyślił to przedstawienie, za które dostałem pieniądze, żeby nas wywabić za miasto, gdzie podobna napaść byłaby trudna i niebezpieczna. W tym drugim wypadku łajdak grający rolę majordoma był największym aktorem, jakiego kiedykolwiek widziałem. Przysięgłbym, że to poczciwy intendent jakiegoś arystokraty, uosobienie cnót i zalet. Ale teraz, kiedy już jesteśmy we trójkę, przeszukajmy na wszystkie strony ten gaj — może znajdziemy przynajmniej ślady naszej Izabeli, którą, choć jestem Tyranem, Kocham

bardziej niż własne wnętrzności i kiszki. Bardzo się jednak boję, że ta nie-winna pszczołka została schwytana w sieć potwornego pająka i zginie, zanim ją zdołamy wy-plątać z matni.

— Zmiażdżę — zawołał Sigognac uderzając obcasem w ziemię, jakby trzymał pająka pod butem — zmiażdżę to jadowne zwierzę!

Straszliwy wyraz jego twarzy, zazwyczaj tak spokojnej i łagodnej, dowodził, że nie by-ły to czcze przechwałki i że zrobi to, co zapowiada.

— A teraz — rzekł Herod — nie tracąc już czasu na rozmowy wejdźmy do tego lasu i przetrząsnijmy go. Zwierzyna musi być jeszcze niezbyt daleko.

Rzeczywiście, po drugiej stronie gęstwiny, przez którą Sigognac i jego towarzysze prze-darli się mimo krzaków hamujących ich kroki i gałęzi chłoszczących po twarzy, karoca ze spuszczoneymi firankami oddalała się pędem, unoszona przez cztery konie pocztowe. Obaj

* desultores (łac.) — akrobaci cyrkowi, którzy wskakiwali na biegnącego konia i w biegu przeskakowali na innego. jeźdźcy, którym Sigognac pokłął wierzchowce, zdołali je uspokoić i galopowali teraz koło drzwiczek karety, a jeden z nich prowadził luzem konia należącego do człowieka w masce, gdyż ten widocznie pilnował Izabeli, żeby jej przeszkodzić, gdyby próbowała podnieść firanki i wołać pomocy czy nawet, narażając życie, wyskoczyć na ziemię.

Nie mając siedmiomilowych butów byłoby głupotą gonić pieszo za kareto pędzącą co koń wyskoczy i tak dobrze strzeżoną. Jediną rzeczą, która pozostała Sigognacowi i towarzy-szom, było zaobserwowanie kierunku obranego przez uciekający konwój — słaba wskazówka dla odnalezienia

Izabeli. Baron próbował iść śladami kół, ale na suchej i stwardniałej ziemi koleiny ledwo się znaczyły, ponadto ślady karety gmatwały się z innymi, zostawionymi przez karety i wozy, które jechały tą samą drogą w dni poprzednie. Doszedłszy do miejsca, gdzie droga rozchodziła się w różnych kierunkach, baron całkiem stracił trop i był bardziej zakłopotany niż Herkules wybierający między cnotą a występkiem *. Musiał wracać, gdyż popełniając teraz omyłkę mógłby się jeszcze bardziej oddalić od celu. Mały oddziałek wrócił więc przygnębiony do wozu, gdzie pozostali aktorzy niepokoiili się, czekając na wyjaśnienie całej tej tajemnicy.

Od początku zajścia lokaj, służący za przewodnika, przynaglał do szybszej jazdy, aby pozbawić Sigognaca pomocy aktorów, mimo iż chcieli się zatrzymać, a gdy Tyran i Scapin, słysząc strzały pistoletowe, wbrew jego naleganiom zeszli z wozu, spiął konia i przesadziwszy rów puścił się w kierunku swoich współników. Nic go już nie obchodziło, czy zespół aktorów dojedzie do zamku Pommereuil, jeżeli w ogóle taki zamek istniał — sprawa co najmniej wątpliwa po wszystkim, co się wydarzyło.

Gdy Herod zapytał się starej kobiety, przechodzącej z wiązką chrustu na plecach, czy daleko do Pommereuil, ta orzekła, że w promieniu wielu mil nie zna żadnej posiadłości, osady czy też zamku o takiej nazwie, choć ma siedemdziesiąt lat i od dzieciństwa krąży po okolicy, jako iż jej zawodem jest zebranie po drogach i gościńcach.

Stało się teraz oczywiste, że cała historia z przedstawieniem była podstępem ukartowanym przez pomysłowych łotrów na rzecz jakiegoś wielkiego pana, którym mógł być tylko za-kochany w Izabeli Vallombreuse, gdyż trzeba było wielu ludzi i dużo pieniędzy dla wykonania tego skomplikowanego planu.

Wóz wrócił do Paryża, ale Sigognac, Herod i Scapin

zostali na miejscu, zamierzając w pobliskiej wsi wynająć konie, które by im ułatwiły poszukiwanie bandytów.

Po upadku barona zamaskowany napastnik zawiózł Izabelę na polankę w zagajniku, zdjął ją z konia i zaprowadził do karety, choć szarpała się z całych sił. Trwało to kilka minut. Następnie karetka ruszyła wśród stukotu kół. Naprzeciw aktorki siedział w postawie pełnej szacunku zamaskowany człowiek, który ją porwał na siodło.

Gdy zrobiła ruch, aby wychylić się na zewnątrz, nieznajomy wyciągnął rękę i zatrzymał ją. Nie sposób było walczyć z tym stalowym uściskiem. Izabela zaczęła więc krzyczeć w nadziei, że ją usłyszy jakiś przechodzień.

— Na Boga, pani! Proszę się uspokoić — rzekł tajemniczy bandyta zachowując nieska-zitelne maniery. — Niech mnie pani nie zmusza do zastosowania siły fizycznej wobec osoby tak pięknej i czarującej. Nic złego nie chcemy zrobić, a może nawet chcemy dla pani jak najlepiej. Niech się pani nie buntuje, bo to jest beznadziejne. Jeżeli pani okaże rozsądek, będę miał dla pani najwyższe względy, jakich nie okazuje się nawet królowej wziętej do niewoli; ale jeżeli zacznie się pani pieklić, szamotać i wołać pomocy, która zresztą nie nadejdzie, znaj-dę sposoby, żeby panią uspokoić. Bo to chyba skłoni panią do milczenia i zachowania spo-koju.

* ...Herkules wybierający między cnotą a występkiem — epizod z legend o młodym Herkulesie, gdy na progu dojrzałości zastanawiał się, jak pokierować dalszym swoim życiem.

I nieznajomy wyciągnął z kieszeni kunsztownie sfabrykowany knebel oraz długi, zwi-nięty w kłębek, jedwabny sznur.

— Byłoby barbarzyństwem — ciągnął dalej — nakładać

kaganiec na usta tak świeże, różowe i słodkie. Przyzna też pani, że sznur szpeciłby te rączki, śliczne i delikatne, stworzone do noszenia złotych bransolet wysadzanych brylantami.

Jakkolwiek rozgniewana i zrozpaczona, młoda aktorka uległa tym argumentom, niewąt-plitwie przekonującym. Opór fizyczny nie mógł się na nic przydać. Izabela wtuliła się więc w kąć karety i zamilkła. Ale westchnienia unosiły jej pierś, a z jej pięknych oczu łzy spływały po bladych policzkach jak krople deszczu po białej róży. Myślała o niebezpieczeństwach grożących jej cnocie i o rozpacy Sigognaca.

„Po ataku nerwowym — myślał człowiek w masce — przychodzi kolej na łzy. Wszy-stko odbywa się normalnie. Tym lepiej, bo przykro by mi było traktować brutalnie tak miłą dziewczynę”.

Ukryta w swoim kącie Izabela rzucała od czasu do czasu lękliwe spojrzenie na swego strażnika, który to spostrzegł i rzekł siląc się na ton łagodny, choć głos miał z natury chrypliwy:

— Nie ma pani żadnego powodu, żeby się mnie obawiać. Jestem człowiekiem dobrze wychowanym i nie zrobię nic, co by się pani mogło nie podobać. Gdyby Fortuna była dla mnie pomyślniejsza, nigdy bym nie porwał dla kogoś innego takiej kobiety, jak pani, szlache-tnej, pięknej i utalentowanej, ale los zmusza czasem nawet ludzi delikatnych do czynów nieco dziwaczych.

— Przyznaje pan zatem — rzekła Izabela, — że wziął pan pieniądze, żeby mnie porwać. Rzecz haniebna, występna i okrutna!

— Po wszystkim, co zrobiłem — odparł najspokojniej w świecie człowiek zamaskowa-ny — byłoby bezcelowe zaprzeczać temu. Na bruku paryskim jest pewna liczba takich,

jak ja, filozofów bez namiętności, interesujących się dla pieniędzy cudzymi szaleństwami, użyczają-cych im swej pomysłowości i odwagi, mózgu i dłoni. Ale — żeby zmienić temat rozmowy — jaka pani była piękna w ostatnim przedstawieniu! Oklaskiwałem panią jak szalony. Ten człowiek, co tak hałasował jak praczka kijanką, to byłem ja!

— Teraz ja panu powiem: zostawmy te rozmowy i niewczesne komplementy. Dokąd mnie pan wiezie wbrew mej woli, na przekór wszelkim prawom obyczajowości?

— Nie mogę powiedzieć, a poza tym byłoby to dla pani najzupełniej nieużyteczne. Obowiązuje nas tajemnica jak spowiedników i lekarzy; najbardziej absolutna dyskrecja jest niezbędna w tych sprawach niebezpiecznych i niezwykłych, którymi kierują cienie anonimowe i zamaskowane. Często, dla większego bezpieczeństwa, nie znamy nawet tego, który nam każe działać, a on też nas nie zna.

— Więc nawet nie zna pan ręki, która pana pcha do tego grzesznego występku — do porwania na gościńcu dziewczyny spośród jej towarzyszy!

— Znam czy nie znam, to wychodzi na jedno, skoro tajemnica zawodowa zamyka mi usta. Niech pani poszuka wśród swoich zalotników najbardziej namiętnego i najgorzej potra-ktowanego. To na pewno będzie ten.

Widząc, że niczego więcej z niego nie wyciągnie, Izabela przestała się odzywać do swe-go strażnika. Zresztą nie wątpiła, że autorem zamachu był Vallombreuse. Pogróżka brzmiąca w słowach: „Do widzenia, panienko”, które rzucił wychodząc z jej pokoju przy ulicy Dauphine, została w jej pamięci. Wypowiedziane przez człowieka tego pokroju, tak nieokiełzanego w swych pożądanach i tak bezwzględneho w zachciankach — nawet to proste zdanie nie mogło wróżyć nic dobrego. To przekonanie podwajało niepokój biednej aktorki, która bladła na myśl o atakach grożących jej cnocie ze strony

tęgo zuchwałęgo panka, bardziej jeszcze zranionęgo w swej dumie niż w miłości. Miała nadzieję, że nieustraszony Sigognac przyjdzie jej z pomocą. Ale czy ten wierny i odważny przyjaciel zdoła odkryć ją w kryjówce odciętej od świata, do której ją wieźli bandyci? „Na wszelki wypadek — pomyślała sobie — gdyby ten podły książę chciał mi zrobić krzywdę, mam przecież w zanadrzu nóż Chiquity i raczej poświęcę życie niż honor”. Powziąwszy to postanowienie, trochę się uspokoiła.

Kareta pędziła już od dwóch godzin, nie zmniejszając szybkości i zatrzymując się tylko na kilka minut, aby zmienić konie. Ponieważ okienka pojazdu były zasłonięte, Izabela nie mogła odgadnąć, w jakim kierunku ją wiozą. Choć nie znała okolicy, według słońca zoriewntowałyby się z grubsza, ale nie mogąc wyjrzeć — jechała po ciemku w nieznanę.

Dzwoniąc na żelaznych okuciach zwodzonego mostu, koła karety dały znać Izabeli, że kres podróży jest blisko. Rzeczywiście, pojazd stanął, drzwiczki otwarły się i zamaskowany człowiek podał rękę młodej aktorce pomagając jej wysiąść. Rzuciła spojrzenie naokoło i zobaczyła wielkie, kwadratowe podwórze między czterema mieszkalnymi budynkami z cęgly, która pod wpływem czasu zamieniła swą jasną czerwień na ponurą szarość. Wąskie i wysokie okna, wychodząc na podwórze, ukazywały za pozieleniałymi szybami zamknięte okiennice wewnętrzne, co świadczyło, że pokoje, którym te okna użyczały światła, były od dłuższego czasu nie zamieszkałe. Mech utworzył zielone obwódki dokoła kamieni, którymi było wybrukowane podwórze, a pod ścianami wyrosła trawa.

Przed tarasem dwa sfinksy w stylu egipskim wyciągały na podmurowaniu poobtlukiwane szpony; żółte i szare plamy pleśni, która obrasta stare kamienie, upstrzyły ich grzbiety.

Choć zionęło od niego melancholią właściwą nie

zamieszkanym siedzibom ludzkim, nieznanemu zamkowi wyglądał jeszcze bardzo dobrze i po wielkopańsku. Był pusty, ale nie opuszczone; nie dostrzegało się tu żadnych symptomów ruiny. Ciało nietknięte, tylko że bez duszy. Zamaskowany człowiek oddał Izabelę pod opiekę lokaja w szarej liberii. Schodami o barierze ozdobionej w misterne zwoje i arabeski z kutego żelaza, według mody poprzedniej epoki, lokaj zaprowadził ją do apartamentu, który kiedyś mógł przedstawiać nec plus ultra zbytku, a teraz swym spłowiałym przepychem wytrzymywał porównanie z nowoczesnym wykwinem.

Drugi służący podsunął w milczeniu fotel, jeszcze inny otworzył srebrną wazę, z której wydobywała się wonna para zapowiadająca smakowitą zupę.

Mimo przygnębienia wywołanego całą tą przygodą, Izabela dokuczał głód, który sobie wyrzucała, jakby natura mogła kiedykolwiek stracić swe prawa. Ale na myśl, że jedzenie może zawierać jakiś narkotyk, który by ją uczynił bezbronną, powstrzymała się i odepchnęła talerz, do którego już włożyła łyżkę.

Lokaj w szarej liberii, jakby odgadując jej podejrzenia, sam skosztował wina, wody i wszystkich dań umieszczonych na stole. Uwięziona aktorka uspokoiła się nieco, przełknęła trochę bulionu, zjadła odrobinę chleba i kawałek skrzydła kurczaka, po czym, czując dreszcze po wzruszeniach dnia, przysunęła fotel do ognia i siedziała tak, z łokciem na poręczy i głową wspartą na dłoni, zatopiona w nieokreślonym i bolesnym zamyśleniu.

Po pewnym czasie podniosła się i podeszła do okna, żeby zobaczyć co z niego widać. Okno nie miało kraty ani prętów żelaznych, niczego co by przypominało więzienie. Ale wychyliwszy się trochę, zobaczyła u stóp muru nieruchomą, zieloną wodę głębokiej fosy otaczającej zamek. Podniesiono

już zwodzony most, przez który przejechała karetą i wszelka komu-nikacja ze światem zewnętrznym była niemożliwa inaczej niż wpływ przez wodę; byłoby zresztą rzeczą bardzo trudną wydostać się na kamienne obramowanie fosy. Horyzont zakrywała aleja odwiecznych drzew, ciągnąca się dokoła zamku. Z okna widać było tylko splątane gałęzie, które nawet bez liści zasłaniały perspektywę. Należało więc zrezygnować z wszelkiej nadziei ucieczki czy wyzwolenia i czekać wypadków w nerwowym podnieceniu, gorszym może od najstraszliwszej katastrofy.

Toteż nieszczęśliwa Izabela dygotała słysząc najłżejszy nawet szmer, plusk wody, szum wiatru, trzaskanie boazerii i płonących w kominku drewnien — wszystko przyprawiało ją o zimne poty. Oczekiwała, że lada chwila otworzą się drzwi lub odsunie płyta, która ukáže tajemne przejście, i z ciemności wyjdzie ktoś, człowiek albo duch. Może nawet duch mniej by ją przeraził. W miarę zapadania zmierzchu groza rosła. Kiedy do jej pokoju wszedł barczysty lokaj przynoszący lichtarze z zapalonymi świecami, Izabela była bliska zemdlenia.

Podczas gdy drżała ze strachu w swym samotnym apartamencie, na dole bandyci, którzy ją tu przywieźli, raczyli się winem, gdyż musieli pozostać w zamku w charakterze garni-zonu na wypadek ataku ze strony Sigognaca. Pili wszyscy jak gąbki, ale zwłaszcza jeden odznaczał się ogromną chłonnością. Był to ten, który porwał Izabelę na swego konia. Gdy zdjął maskę, każdy mógł podziwiać jego bladą jak ser twarz, w której błyszczał nos rozpalony do czerwoności. Ten nos koloru wiśni na pewno wystarczył czytelnikowi, aby rozpoznać Malartica, przyjaciela Jacquemina Lampourde'a.

ROZDZIAŁ XVI

W ZAMKU VALLOMBREUSE

Samotność w tym nieznanym pokoju, gdzie bez przerwy groziło jej tajemnicze niebez-pieczeństwo, napępiała serce Izabeli uczuciem nieopisanej trwogi, choć jej wędrowne życie wyrobiło w niej odwagę większą niż się zwykle spotyka u kobiet. Niebawem jej lęk tak bardzo wzrósł, że postanowiła opuścić to miejsce oświetlone, ciepłe i wygodne, aby — nawet ryzykując spotkanie z upiorami — spróbować przechadzki po korytarzach zamkowych w poszukiwaniu jakiegoś zapomnianego wyjścia albo bezpiecznej kryjówki. Stwierdziwszy, że drzwi nie są zamknięte na klucz, wzięła ze stolika przy łóżku nocną lampkę pozostawioną przez lokaja i, osłaniając dłonią jej płomień, ruszyła naprzód.

Odnalazła schody o barierze z wymyślną ornamentacją — tedy wchodziła pod eskortą służącego; teraz zeszła na parter, uważając słusznie, że na pierwszym piętrze nie znajdzie wyjścia z zamku.

Widok nieba, gdzie srebrzyło się kilka gwiazd,, których nie zaćmiła poświata księżycowa, ożywił Izabelę uczuciem radości rozkosznej i głębokiej, jakby wracała do życia z krainy śmierci; zdawało się jej, że teraz Bóg patrzy na nią z firmamentu — myślała, że kiedy była zgubiona w ciemnościach, zakryta sufitem w labiryncie pokojów i korytarzy, mógł o niej zapomnieć. Choć jej sytuacja w niczym się nie poprawiła, wielki ciężar spadł jej z serca. Szukała więc dalej, ale podwórze było dokładnie zamknięte jak mury fortecy, z wyjątkiem jednej furtki pod arkadą wychodzącą widocznie na fosę, gdyż wychylając się ostrożnie,

Izabela po-czuła mokry chłód głębokiej wody, który owionął jej twarz jak powiew wiatru; usłyszała też cichy szelest fali rozbijającej się o brzeg. Tą drogą dowożono prawdopodobnie zapasy żywności do kuchni zamkowych; aby się jednak tu dostać lub wydostać na zewnątrz, trzeba było użyć łódki umieszczonej pewnie gdzieś w dole, poza zasięgiem wzroku Izabeli.

Ucieczka zatem była niemożliwa z tej strony, tak jak z każdej innej. Tłumaczyło to względną swobodę, jaką rozporządzała młoda aktorka uwięziona w otwartej klatce na podobieństwo egzotycznych ptaków przewożonych na statkach; pozwalała się im latać, ponieważ wiadomo, że i tak wrócą, bo ląd jest zbyt daleko i przed dotarciem do niego opadłyby z sił.

W kącie podwórza czerwone światło przenikało przez ciemne okiennice parterowej izby i wśród ciszy nocnej wydobywał się spoza nich jakiś hałas. Dziewczyna skierowała tam swe kroki, powodowana złością i ciekawością; przyłożyła oko do szpary okiennicy, nie tak dokładnie zamkniętej jak inne, i wyraźnie zobaczyła, co działo się w środku.

Naokoło stołu oświetlonego lampą o trzech płomieniach, zwisającą z sufitu na miedzianym łańcuchu, ucztowali ludzie wyglądający dziko i brutalnie.

Izabela bez trudu rozpoznawała w nich uczestników porwania, chociaż przedtem widziała ich zamaskowanych. Byli to Piedgris, Tordgueule, La Rapee i Bringuenarilles. Światło, padające z góry, uwydatniało ich czoła, zasłaniało oczy, podkreślało kształt nosów i zawadziaćkie wąsy, dodając jeszcze dzikości tym twarzom, które i bez tego budziły strach. Nieco dalej, na końcu stołu — jako bandyta prowincjonalny, nie mogący się równać z paryskimi zbirami — siedział Agostyn, już bez peruki i fałszywej brody, które mu posłużyły

do odegrania roli ślepeca. Honorowe miejsce zajmował Malartic, jednomyślnie wybrany na króla uczty. Jego twarz była bardziej bezkrwista, a nos bardziej czerwony niż zwykle —zjawisko dające się wytłumaczyć liczbą pustych butelek na kredensie, wyglądających jak trupy zniesione z pola bitwy, a także liczbą butelek pełnych, które piwniczy stawiał przed nim z niezmordowanym pośpiechem.

Z bezładnej rozmowy pijących Izabela dosłyszała tylko kilka słów, których sensu prze-ważnie nie rozumiała, gdyż był to język spelunki, szynku i sali szermierczej, a czasem nawet wstrętne wyrażenia zaczerpnięte z żargonu złodziejskiego.

Zniechęcona tym widokiem, odeszła od okiennicy i udała się na dalsze poszukiwania, które ją zaprowadziły niebawem pod sklepienie, gdzie wisiały łańcuchy i przeciwwaga zwo-dzonego mostu. Nie miała żadnej nadziei, że uda jej się poruszyć tę ciężką maszynę, a po-nieważ z fortecy nie było innego wyjścia i trzeba było opuścić most, aby wydostać się na zewnątrz, młoda aktorka musiała zrezygnować z wszelkich planów ucieczki.

Przebyła schody, po których dopiero co zeszła wstrzymując oddech, na palcach, lękając się obudzić najśłabsze echo.

Ale jakież było jej przerażenie, gdy z progu pokoju dostrzegła dziwną postać siedzącą w kącie przy kominku. Nie był to na pewno duch, gdyż świece i ogień oświetlały ją zbyt wyra-źnie. Nie ulegało wątpliwości: to było ciało, wątłe i delikatne co prawda, ale najzupełniej ży-we, czego dowodziła para wielkich, czarnych oczu o dzikim blasku, który niczym nie przypo-minał błędnego spojrzenia upiorów; oczy te wpatrywały się w Izabelę z urzekającym spoko-jem. Bujne, ciemne włosy zaczesane do tyłu pozwalały dokładnie obejrzeć twarz o cerze oliwkowej i rysach delikatnie rzeźbionych, chudą i dziecinną; widać też było w półotwartych ustach zęby

olśniewająco białe. Ręce opalone, ale bardzo zgrabne, z paznokciami bledszymi od palców, spoczywały skrzyżowane na piersiach. Nagie stopy wisiały w powietrzu, gdyż nogi były za krótkie, aby dosięgnąć z fotela podłogi. Przez rozchyloną koszulę z grubego płótna przeświecał naszyjnik z pereł.

Po tym naszyjniku czytelnik na pewno poznał Chiquitę. Rzeczywiście, była to ona, co prawda nie w sukni dziewczyny, ale jeszcze przebrana za chłopca, przewodnika fałszywego ślepcy. Ten strój składający się z koszuli i szerokich spodni dobrze na niej leżał, gdyż była w tym wieku, w którym dziewczyna ma jeszcze kształty chłopięce.

Rozpoznawszy dziwaczne stworzenie, Izabela ochłonęła ze wzruszenia, o jakie ją przy-prawiło nieoczekiwane zjawisko. Chiquita nie była groźna, a zresztą zdawała się odczuwać w stosunku do młodej aktorki jakąś nieokreśloną wdzięczność, którą okazała na swój sposób przy pierwszym spotkaniu.

Chiquita, patrząc na Izabelę, szeptała rodzaj pieśni prozą, którą nuciła w czasie pierwszego próby porwania w oberży „Pod Herbem Francji”, gdy się przeciskała przez okienko: „Chiquita tańczy na ostrzach żelaznych ogrodzeń, Chiquita przechodzi przez dziurki od kłucza...”

— Czy masz jeszcze nóż? — zapytała Izabeli, gdy ta zbliżyła się do kominka. — Nóż, na którym są trzy prążki?

— Tak, Chiquito — odrzekła młoda aktorka — noszę go na piersiach między koszulą a suknią. Ale dlaczego pytasz? Czy moje życie jest zagrożone?

— Nóż — rzekła mała, której oczy błyszczały dzikim blaskiem — to wierny przyjaciel, nie zdradza swego pana, jeżeli pan daje mu pić, bo nóż ma pragnienie.

— Przerażasz mnie, niedobre dziecko — odrzekła Izabela, zaniepokojona dziwną i zło-wrogą treścią tych słów, które w jej sytuacji mogły zawierać cenne ostrzeżenie.

— Naostrz koniec noża o marmur kominka — ciągnęła Chiquita — a potem o skórę trzewików.

— Dlaczego mi to mówisz? — zapytała aktora blednąc.

— Tak sobie. Kto chce się bronić, trzyma broń pod ręką; to wszystko.

Te niesamowite słowa zaniepokoiły Izabelę, ale z drugiej strony, obecność Chiquity uspokajała ją. Dziewczynka okazywała jej swego rodzaju przywiązanie, które było rzeczywi-ste, choć wywodziło się z błahego powodu. „Nigdy ci nie utnę głowy” — powiedziała; w jej dzikim umyśle był to rodzaj solennego przyrzeczenia, paktu, którego nie wolno było naru-szyć. Izabela była poza Agostynem jedyną ludzką istotą, od której Chiquita doznała dowodu sympatii. Po raz pierwszy w życiu dostała nawet prezent, który dogadzał jej dziecięcej kokieterii, za młoda jeszcze na uczucie zazdrości, podziwiała naiwnie urodę aktorki. Dobroć promieniejąca z jej twarzy pociągała dziewczynkę, która dotąd widziała tylko twarze dzikie i okrutne, wyrażające pragnienie buntu, rabunku i mordu.

— Skąd się tu wzięłaś? — zapytała Izabela po chwili milczenia. — Czy ci kazali, żebyś mnie pilnowała?

— Nie — odpowiedziała Chiquita. — Przyszłam sama, przyprowadziło mnie światło i ogień. Znudziło mi się siedzieć w kącie, podczas kiedy oni pili butelkę za butelką. Jestem taka mała i chuda, że nikt nie zwraca na mnie więcej uwagi niż na kota śpiącego pod stołem. Wymknęłam się, kiedy zaczęli hałasować. Nie znoszę odoru wina i mięsa, bo przyzwyczaiałam się do zapachu wrzosów i żywicy.

— A nie bałaś się iść po ciemku przez te długie korytarze i wielkie pokoje?

— Chiquita nie wie, co to strach; jej oczy widzą w nocy, jej nogi stąpają bez trudu po ciemku. Jeżeli spotka sowę, sowa zamyka oczy; nietoperz zwija skrzydła na jej widok. Upiór

cofa się pod ścianę, aby dać jej przejście, albo ucieka. Noc jest przyjaciółką i nie kryje przed nią żadnej tajemnicy. Chiquita wie, gdzie jest gniazdo sowy, kryjówka złodzieja, grób zamordowanego człowieka, i zna miejsce, gdzie straszy duch, ale jasny Dzień nigdy się od niej o tym nie dowie.

Kiedy wypowiadała te dziwne słowa, oczy jej świeciły nienaturalnym blaskiem. Widocznie pod wpływem egzaltacji, rozbudzonej w samotności, przypisywała sobie jakąś potęgę magiczną. Krwawe sceny, które przeżywała od dzieciństwa w świecie bandytów, musiały siłnie podziałać na jej wyobraźnię bujną, prymitywną i gorącą. Izabela, ulegając sile jej przekonania, patrzyła na nią z zabobonnym lękiem.

— Wolę zostać tu, blisko ognia i koło ciebie — ciągnęła dziewczynka. — Przypominasz dobrą Dziewicę, którą widziałam na ołtarzu, ale tylko z daleka, bo wyrzucili mnie z kościoła jak psa, dlatego że jestem źle uczesana i że moja żółta spódnica może wzbudzić śmiech wiernych. Jaką białą masz rękę! Moja, przyłożona do twojej, wygląda jak łapa małpy. Ty masz włosy takie delikatne, jakby były z jedwabiu, a moje rozczochrane kudły jeżą się jak szczotka. Och, jestem bardzo brzydka, prawda?

— Nie, moja mała — odpowiedziała Izabela, którą ten naiwny podziw mimo woli wzruszył — ty też jesteś ładna; gdyby cię lepiej ubrać, dorównałabyś najpiękniejszym dziewczętom.

— Tak uważasz? W takim razie ukradnę najpiękniejsze suknie i Agostyn pokocha mnie.

Ta myśl rozjaśniła różowym światłem bladą twarz dziecka i Chiquita zatoneła na długą chwilę w rozkosznych i głębokich marzeniach.

— Czy wiesz, gdzie jesteśmy? — podjęła Izabela, gdy Chiquita podniosła powieki, ozdobione frędzlami długich, czarnych rzęs, które na chwilę opuściła.

— Na zamku należącym do wielkiego pana, który ma dużo pieniędzy i chciał cię już porwać w Poitiers. Wtedy mogłam po prostu odsunąć zasuwkę i byłoby po wszystkim. Ale ty mi dałaś naszyjnik z pereł i nie chciałam ci zrobić przykrości.

— Tym razem jednak pomogłaś mnie porwać — rzekła Izabela. — Czy mnie już nie lubisz, żeś mnie wydała moim wrogom?

— Agostyn kazał, musiałam słuchać. Zresztą gdyby nie ja, to ktoś inny udawałby prze-wodnika ślepego dziada, a wtedy nie dostałabym się na zamek razem z tobą. Tu może przy-dam ci się na coś. Jestem odważna, zręczna i mocna, chociaż mała. A nie chcę, żeby cię skrzywdzili.

— Czy daleko jest stąd do Paryża? — zapytała młoda kobieta sadzając sobie Chiquitę na kolanach. — Czy który z tych ludzi mówił może, jak się nazywa ten zamek, gdzie mnie uwięzili?

— Tak. Tordgueule powiedział, że to miejsce nazywa się... zaraz, zaraz... Jak? — rzekła dziewczynka drapiąc się w głowę z miną zakłopotaną.

— Spróbuj przypomnieć sobie, moje dziecko — rzekła Izabela głaszcząc ręką opalone policzki Chiquity, która zaczerwieniła się pod wpływem tej pieszczoty doznawanej pierwszy raz w życiu.

— Zdaje mi się, że to jest Vallombreuse — odpowiedziała rozdzielając poszczególne sylaby, jakby nasłuchiwała wewnętrznego echa. — Tak Vallombreuse, teraz już jestem pe-wna. Tak samo nazywa się pan, którego twój przyjaciel, kapitan Fracasse, zranił w pojedynku. Byłby lepiej zrobił gdyby go zabił. Książę jest bardzo zły, choć złoto rzuca garściami jak siewca ziarno. Nienawidzisz go, prawda? I byłabyś bardzo zadowolona, gdyby ci się udało uciec od niego, tak?

— Ach, tak! Ale to niemożliwe. Głęboka fosa otacza zamek, most jest podniesiony. Ucieczka jest zupełnie niemożliwa.

— Chiquita śmieje się z krat, zamków, murów i fos. Chiquita może wyjść z najdokładniej zamkniętego więzienia i wyfrunąć w noc na oczach zdumionego dozorca. Jeżeli zechce, przed wschodem słońca kapitan będzie wiedział, gdzie jest schowana ta, której szuka.

Słyszając te bezładne słowa, Izabela lękała się, że szaleństwo opanowało słaby umysł Chiquity; ale twarz dziecka była tak spokojna, spojrzenie tak jasne, a w głosie dźwięczał ton takiej pewności, że to przypuszczenie było nie do przyjęcia; dziwna istota posiadała widać przynajmniej część władzy magicznej, którą sobie przypisywała.

Jakby chcąc przekonać Izabelę, że to nie przechwałki, powiedziała:

— Wyjdę stąd na chwilę. Pozwól mi zastanowić się nad znalezieniem sposobu; nie myśl, wstrzymaj oddech; najmniejszy szmer rozprasza moją uwagę, a muszę usłyszeć Ducha.

Chiquita pochyliła głowę, zasłoniła oczy ręką i przez kilka minut trwała w zupełnym bezruchu; następnie wyprostowała się, otworzyła okno, weszła na parapet i utkwiała w ciemnościach wyteżone spojrzenie. U podnóża muru pluskała ciemna woda fosy, poruszana nocnym powiewem.

„Czy rzeczywiście polecę jak nietoperz?” — pomyślała młoda aktorka śledząc uważnym okiem każdy, ruch dziewczynki.

Naprzeciw okna, z drugiej strony fosy, wznosiło się wielkie, kilkusetletnie drzewo, którego konary rosły prawie poziomo, częścią nad trawą, częścią nad wodą, ale od końca najdłuższej gałęzi do muru było z osiem do dziesięciu stóp. To drzewo stało się dla Chiquity podstawą planu ucieczki. Nie

opuszczając pokoju, wyciągnęła z kieszeni sznur z włosia, cienki i gęsto spleciony, długi na siedem do ośmiu sążni, rozwinęła go starannie na podłodze, z drugiej kieszeni wydobyła stalowy haczyk, który przywiązała do sznura, po czym zbliżyła się do okna i rzuciła haczyk między gałęzie drzewa. Za pierwszym razem stalowy szpon nie chwycił i spadł wraz ze sznurkiem, dzwoniąc po kamieniach muru. Przy drugiej próbie haczyk wbił się w korę i Chiquita pociągnęła sznur, prosząc Izabelę, żeby się na nim uwiesiła całym ciężarem. Zaczepiona gałąź ustąpiła o tyle, o ile pozwalała giętkość pnia, i zbliżyła się do okna o jakieś pięć lub sześć stóp. Wtedy Chiquita mocno przywiązała wolny koniec linki do kraty balkonu, po czym z niezwykłą zręcznością zawisła obiema rękami na sznurze i, prze-suwając się po nim, dotarła wkrótce do gałęzi, na której siadła okrakiem, gdy poczuła, że sta-nowi ona dla niej dość mocne oparcie.

— Odwiąż teraz sznur, to ja go przyciągnę do siebie — poleciała uwięzionej głosem cichym, ale wyraźnym. — A może masz ochotę iść ze mną? Lepiej nie, strach ścisnąłby cię za szyję i zawrót głowy pociągnął za nogi; wpadłabyś do wody. Do widzenia! Pójdę do Paryża i niedługo wrócę. Przy świetle księżycy prędko się idzie.

Izabela posłuchała i gałąź, nie przytrzymywana linką, wróciła do swej zwykłej pozycji, przenosząc Chiquitę na drugi brzeg fosy. W ciągu niespełna minuty dziewczynka, pomagając sobie kolanami i rękami, znalazła się u stóp pnia, na ziemi. Niebawem uwięziona aktorka ujrzała, jak Chiquita oddała się szybkim krokiem i ginie w granatowych cieniach nocy. Wszy-stko, co przed chwilą zaszło, zdawało się Izabeli snem. Zdrętwiała ze zdumienia, nie zamknę-ła okna i wpatrywała się w nieruchome drzewo, które rysowało swój czarny kontur na tle opalowszarej chmury, rozświetlonej promieniami kryjącej się za nią gwiazdy. Izabela drżała

widząc, jak cienka była gałąź, na której odważyła się usiąść Chiquita. Wzruszenie ogarnęło ją na myśl o dowodzie przywiązania, jaki jej dała ta biedna i dzika istotka, która miała oczy piękne, pełne światła i płonące uczuciem, oczy kobiety w twarzy dziecka, i która okazywała tyle wdzięczności za tak drobny upominek. Chłód przeniknął Izabelę i jej zęby podobne do pereł zaczęły szczełkać jak w gorączce, zamknęła więc okno, opuściła zasłonę i usiadła w fotelu, z nogami blisko ognia.

Niemal w tej chwili wszedł majordomus w towarzystwie dwóch — tych samych co poprzednio — lokajów; nieśli oni mały stolik przykryty bogatym obrusem z frędzlami, na którym podano kolację nie mniej delikatną i smaczną niż obiad. Wejście służby o kilka minut wcześniej uniemożliwiłoby ucieczkę Chiquity, toteż Izabela, wzburzona jeszcze tą wzruszającą sceną, nie dotknęła nawet potraw postawionych przed nią i dała znak, aby je odniesiono. Ale majordomus kazał postawić koło łóżka przygotowane na wszelki wypadek galaretki i marcypany; polecił także zawiesić na fotelu suknię, czepki i szlafrok, wszystko przybrane koronkami i pochodzące spod igły dobrej szwaczki. Do ognia na kominku dorzucano olbrzymie szczapy drzewa, zmieniono też świece. W końcu majordomus zaproponował Izabeli, że przyśle pokojówkę, która pomoże jej rozebrać się. Gdy młoda aktorka odpowiedziała gestem przeczącym, odszedł z ukłonem wyrażającym najgłębszy szacunek.

Po odejściu służby Izabela narzuciła szlafrok na ramiona i położyła się w ubraniu na kołdrze, aby na wypadek alarmu móc od razu wstać. Wyjęła z zanadru sztylet Chiquity, otworzyła go, przekręciła skuwkę i umieściła tę broń koło siebie. Tak przygotowana do obrotu, zamknęła oczy, aby zasnąć, ale sen dawał się prosić. Wypadki dnia wzburzyły nerwy Izabeli, a wrażenia doznane w nocy nie były wcale

uspokajające. Poza tym stare i nie zamieszka-ne zamki przybierają w ciemnościach szczególny wygląd; człowiek ma zawsze wrażenie, jakby komuś przeszkadzał i jakby niewidzialny gospodarz uciekał przez nim jakimś tajnym korytarzem ukrytym w murach. Daje się słyszeć całe mnóstwo niewytłumaczalnych szmerów. Jakiś mebel trzeszczy, chrząszcz kołatek wystukuje w boazeriach swe suche uderzenia, szczur przemyka za obiciem, polano stoczone przez owady wybucha w ogniu jak dziki kasztan i bu-dzi nas gwałtownie, gdy mieliśmy zasnąć na dobre. Tak właśnie było z młodą artystką; pod-nosiła się, otwierała przerażone oczy, spoglądała dokoła i, nie widząc nic nadzwyczajnego, z powrotem kładła głowę na poduszkę. Ostatecznie jednak sen przyszedł, oddzielając ją od świata rzeczywistego, którego odgłosy przestały do niej docierać. Gdyby Vallombreuse był na miejscu, miałby łatwe zadanie, gdyż zmęczenie zwyciężyło wstydlivość. Na szczęście dla Izabeli młody książę nie przybył jeszcze na zamek. Czy się nie troszczył o swą zdobycz, mając ją już w swym gnieździe? Czy możliwość zaspokojenia kaprysu zabiła już sam kaprys? Bynajmniej. Ten piękny i zły arystokrata nie zmieniał tak łatwo swych postanowień, zwła-szcza gdy postanowił popełnić coś złego. Poza przyjemnością, do której dążył, drwił sobie ze wszelkich praw boskich i ludzkich. Ale w dniu porwania, aby odwrócić podejrzenia, pokazał się w Saint-Germain, asystował królowi, był na polowaniu i niby przypadkiem rozmawiał z wielu osobami. Wieczorem grał i przegrał ostentacyjnie sumy, które by się wydały olbrzymie komuś mniej bogatemu. Wyglądał na człowieka w świetnym humorze, zwłaszcza od chwili, gdy ktoś z jego służby, przybywszy na spienionym koniu, wręczył mu z ukłonem zwitek pa-pieru. Konieczność zapewnienia sobie przekonywającego alibi * na wypadek śledztwa uchroniła tej nocy cnotę Izabeli.

Po odpoczynku wypełnionym dziwacznymi snami, w których widziała Chiquitę biegnącą z rękami wyciągniętymi jak skrzydła przed kapitanem Fracasse jadącym na koniu, a później księcia de Vallombreuse, który rzucał jej ogniste spojrzenia, pełne nienawiści i miłości, Izabela obudziła się zdumiona, że spała tak długo. Świece spaliły się aż do profitek **, ogień w kominku zgasł i wesoły promień słońca, przedostawszy się przez zasłonę w oknie, pozwolił sobie, choć nieupoważniony, na igraszki na łóżku Izabeli. Powrót dnia sprawił jej dużą ulgę. Sytuacja wcale nie była lepsza, ale niebezpieczeństwa nie wyolbrzymiał już strach, jaki noc i tajemnicze otoczenie narzucają nawet umysłom najbardziej opanowanym. Radość Izabeli nie trwała jednak długo — zazgrzytały łańcuchy, most zwodzony opuścił się, koła szybko pędzącej karety zadudniły na podjeździe, zagrzmiały głucho pod sklepieniem i ucichły na podwórku wewnętrznym.

Któż mógł przybywać tak dumnie i rozgłośnie, jeżeli nie pan domu, książę de Vallom-breuse? Ten sam instynkt, który uprzedza gołębice o bliskości niewidocznego jeszcze jastrzębia, ostrzegł Izabelę, że to na pewno jej prześladowca, a nie ktoś inny. Jej piękne policzki zbladły jak wosk, a biedne serduszko zaczęło bić ze wzruszenia. Ale opanowawszy się w jednej chwili, dzielna dziewczyna przywołała całą przytomność umysłu i przygotowała się do obrony. „Żeby tylko Chiquita nadeszła na czas i sprowadziła mi pomoc” — mówiła sobie i jej oczy zwróciły się mimo woli ku medalionowi wiszącemu nad kominkiem: „O ty, który masz wygląd tak szlachetny i dobry, broń mnie przed zuchwalstwem i podłością potomka twego rodu. Nie pozwól, żeby to miejsce, gdzie widnieje twoja podobizna, stało się świadkiem mojej hańby!”

Po upływie godziny, której młody książę użył, aby

naprawić nieład, jaki szybka podróż zawsze wprowadza do stroju, majordomus wszedł uroczyście do Izabeli i zapytał jej, czy może przyjąć księcia de Vallombreuse.

— Jestem uwięziona — odrzekła z wielką godnością. — Moja odpowiedź będzie równie pozbawiona swobody, jak moja osoba. To pytanie, które by było uprzejme w normalnej sytuacji, jest śmieszne w takim stanie rzeczy. Nie mogę księciu zabronić wejścia do pokoju, w którym muszę pozostawać. Działa tu przemóc. Nie przyjmę jego wizyty, ale ją po prostu zniosę. Niech przyjdzie, jeżeli mu się tak podoba, teraz czy kiedy indziej, wszystko mi jedno. Proszę mu powtórzyć moje słowa.

Majordomus złożył jej ukłon, po czym wycofał się tyłem ku drzwiom — Polecono mu, aby okazywał Izabeli jak największe względy — i poszedł oznajmić księciu, że „panienka” gotowa jest go przyjąć.

Po chwili wrócił i zameldował księcia de Vallombreuse.

Izabela uniosła się ze swego fotela i pod wpływem wzruszenia opadła z powrotem, śmiertelnie blada. Vallombreuse zbliżył się do niej z kapeluszem w ręku, w postawie wyra-

* alibi (łac.) — dosłownie: gdzie indziej. Termin używany w sądownictwie na oznaczenie dowodu, który stwierdza, że oskarżony nie mógł popełnić zarzucanego mu czynu, ponieważ w danej chwili znajdował się w innym miejscu.

** profitka — wklęsły krążek metalowy nakładany na dolny koniec świecy dla zatrzymania spływającego, roztopionego tłuszczu.

zajęcej głęboki szacunek. Gdy zauważył że jego widok przyprawia młodą aktorkę o drżenie, przystanął na środku pokoju, ukłonił się i powiedział głosem, któremu nadał ton uwodzicielskiej łagodności:

— Jeżeli moja obecność jest teraz zbyt przykra dla uroczej Izabeli i jeżeli musi się ona najprzód przyzwyczaić do mojej osoby, odejdę. Uwięziłem panią, ale mimo to jestem pani niewolnikiem.

— Ta galanteria jest spóźniona po gwałcie, którego się książę dopuścił wobec mnie.

— Oto do czego można doprowadzić człowieka zbyt nieprzejednaną cnotą. Straciwszy wszelką nadzieję, uciekamy się do ostateczności, widząc, że nic już nie pogorszy sytuacji. Gdyby się pani zgodziła na moje zaloty i okazała moim uczuciom pewną łaskawość, pozo-stałbym w rzędzie pani wielbicieli, usiłując rozczulić oporne serce delikatnymi uprzejmościami, rycerskim oddaniem, namiętnością gorącą i stałą. Wzbudziłbym w pani jeżeli nie miłość, to przynajmniej tkliwe współczucie, które ją czasem poprzedza i sprowadza. W końcu może sama uznałaby pani swą oziębłość za niesprawiedliwą, gdyż nie zaniedbałbym niczego, aby ją skłonić do zmiany uczuć.

— A jak długo ma pan zamiar więzić mnie bezprawnie, nie jak szlachcic i chrześcija-nin, ale jak barbarzyński korsarz?

— Aż do chwili, kiedy mnie pani pokocha lub powie, że pokocha, co na jedno wycho-dzi — odpowiedział książę z całą powagą i głębokim przekonaniem. Po czym ukłonił się Izabeli jak najwdzięczniej i wyszedł ze swobodą dworaka, którego nic nie może wprawić w zakłopotanie.

W pół godziny później lokaj przyniósł bukiet najrzadszych kwiatów o różnych barwach i zapachach; o tej porze roku kwiatów było mało i tylko największe wysiłki ogrodników oraz sztuczne lato cieplarni skłoniły te piękne dzieci Flory do wcześniejszego rozkwitu. Łodygi były związane bransoletką godną królowej. Między kwiatami widniał biały papier złożony we dwoje. Izabela wyjęła go, gdyż w tej sytuacji takie dowody uprzejmości miały inne znaczenie, niż gdyby była na

swobodzie.

Był to list od Vallombreuse'a skreślony śmiałym pismem odpowiadającym charakterowi autora. Uwięziona aktorka poznała tę samą rękę, która napisała „Dla Izabeli” na szkatułce z klejnotami podrzuconej do pokoju w Poitiers:

Droga Izabelo! Wysyłam te kwiaty, choć wiem, że nie będą dobrze przyjęte. Ponieważ pochodzą ode mnie, ich świeżość nie znajdzie łaski wobec Pani surowości nie mającej równej sobie. Ale jakikolwiek byłby ich los i gdyby Pani nawet miała się nimi zająć jedynie po to, aby je wyrzucić przez okno, na znak pogardy, zmuszą myśli Pani, choćby tylko gniewne, do zatrzymania się przez chwilę nad tym, który wbrew wszystkiemu pozostaje Pani upartym wielbicielem.

Vallombreuse

Ten list niezmiernie wytworny, ale zdradzający nieugięty upór, wywarł istotnie skutek przewidziany przez księcia. Przygnębiona Izabela, trzymając papier w rękę, widziała w swej wyobraźni diabelską twarz Vallombreuse'a. Zapach kwiatów leżących koło niej na stoliku, gdzie je umieścił lokaj, rozchodził się w ciepłe pokoju, mocny i upajający. Izabela wzięła bukiet i nie zdejmując bransoletki z brylantów wyrzuciła go do sąsiedniego pokoju, obawiała się bowiem, że był nasycony jakimś narkotykiem, zdolnym pomieszać jej rozum. Nigdy równie piękny bukiet nie został gorzej potraktowany, a przecież Izabela bardzo lubiła kwiaty; bała się jednak, że jeżeli je przyjmie, książę stanie się jeszcze pewniejszym siebie, a poza tym te kielichy o dziwnych kształtach, niezwykłych barwach i nieznanym zapachach nie miały skromnego uroku zwykłych kwiatów — ich dumna piękność przypominała księcia de Vallombreuse i zbyt była do

niego podobna. Zaledwie pozbyła się wzgardzonego bukietu i usiadła na powrót w swym fotelu, zjawiała się pokojówka, aby ją ubrać. Ta dziewczyna, dosyć ładna, bardzo blada, o smutnym i łagodnym wyrazie twarzy, miała w swej usłudze coś biernego i zdawało się, że nęka ją ukryty lęk lub uległość wobec jakiejś straszliwej siły. Ofiarowała swe usługi Izabeli, prawie nie patrząc na nią i odzywając się głosem bezdźwięcznym, jakby w obawie, że usłyszą ją ściany. Wyciągnęła z umieszczonej w murze szafy suknie niezwykle bogate i eleganckie. Były one jak uszyte na miarę Izabeli, ale choć jej własna była zniszczona i zmięta, młoda aktorka nie chciała włożyć żadnej, gdyż miałaby uczucie, że nosi liberię księcia, a postanowiła nic nie przyjmować od niego, choćby niewola miała trwać dłużej, niż myślała.

Pokojówka nie nastawiała i uszanowała ten kaprys, tak jak się pozwala osobom skazanym na śmierć robić, co chcą, w obrębie więzienia. Wydawało się też, że nie zamierza wdawać się w rozmowy ze swą chwilową panią, aby nie polubić jej niepotrzebnie. Starła się ograniczyć do roli automatu. Izabela, która myślała z początku, że zdobędzie od niej jakieś informacje, zrozumiała, że nie ma po co zadawać pytań, i poddała się niemych usługom nie bez pewnego strachu.

Gdy służąca wyszła, przyniesiono obiad. Mimo smutnej sytuacji Izabela zjadła go z apetytem — natura bezwzględnie domaga się swych praw, nawet u osób najsubtelniejszych. Posiłek przywrócił dziewczynie siły, a bardzo tego potrzebowała, gdyż wyczerpały ją poprzednie wzruszenia i walki. Uwięziona aktorka, trochę już spokojniejsza, zaczęła myśleć o odważnym Sigognacu, który zachował się tak dzielnie i byłby ją sam jeden wyrwał z rąk napastnika, gdyby nie stracił kilku minut na wydostanie się z derki, narzuconej przez podstępного ślepcę. W tej chwili już musiał wiedzieć wszystko i na pewno wkrótce zjawi się, aby bronić tej, którą

kochał bardziej niż życie. Na myśl o niebezpieczeństwach grożących mu w tym ryzykownym przedsięwzięciu — książkę nie należał do ludzi, którzy oddają zdobycz bez walki — Izabela westchnęła i jej oczy napęłniły się łzami; wyrzucała sobie, że wywołała cały ten konflikt, i prawie przeklinała swą piękność, przyczynę tylu nieszczęść. A przecież była skromna i nie próbowała przez kokieteryę podniecać namiętności dokoła siebie, jak to czyni wiele aktorek, a nawet wielkich dam i mieszczanek.

Tak sobie rozmyślała, gdy ostre uderzenie zadzwoniło w okno i na szybie zarysowało się gwiazdziste pęknięcie, jakby od ziarna gradu. Izabela podeszła bliżej i zobaczyła naprzeciwko Chiquitę siedzącą na drzewie. Dziewczynka dawała jej na migi znak, żeby otworzyła okno, i jednocześnie wywijała linką zaopatrzoną na końcu w żelazny hak. Uwięziona aktorka zrozumiała zamiar dziecka, wykonała polecenie i hak rzucony pewnym ruchem zaczepił o poręcz balkonu. Chiquita przywiązała do drzewa drugi koniec linki i zawisała na niej podobnie jak dnia poprzedniego, ale nie dotarła jeszcze do środka drogi, gdy ku przerażeniu Izabeli węzeł rozwiązał się. Zamiast wpaść do zielonej wody fosy, jak można się było obawiać, Chiquita, której to niepowodzenie — o ile rzeczywiście coś jej się tu nie powiodło — nie odebrało przytomności umysłu, uderzyła tylko wraz z linką przyczepioną do balkonu o mur zamkowy pod oknem, na który się wspięła niebawem, pomagając sobie rękami i nogami. Lekko wskoczyła do pokoju i, widząc Izabelę pobladłą i prawie zemdloną, powiedziała do niej z uśmiechem:

— Bałaś się, że Chiquita wpadnie w fosę, między żaby, prawda? Zawiązałam linkę na pętlę, żeby ją móc ściągnąć do siebie. Jestem chuda i czarna, więc na końcu tego czarnego sznura wyglądałam na pewno jak pajak, który wchodzi po swojej nitce.

— Drogie maleństwo — rzekła Izabela całując Chiquitę w czoło — dzielne z ciebie i odważne dziecko.

— Widziałam twoich przyjaciół; szukali cię; ale bez Chiquity nigdy by nie odnaleźli twojej kryjówki. Kapitan chodził tam i z powrotem jak lew; jego głowa płonęła, oczy ciskały błyskawice. Posadził mnie na łęku siodła i teraz skrył się w lasku niedaleko zamku, razem z towarzyszami. Nie trzeba, żeby ich ktoś zobaczył. Dziś wieczorem, kiedy zapadnie zmrok, spróbują cię uwolnić. Będzie walka na szpady i pistolety, to wspaniała rzecz! Nie ma nic piękniejszego niż bijący się mężczyźni. Tylko nie bój się i nie krzycz. Krzyki kobiet źle działają na odwagę. Jeżeli chcesz, będę blisko ciebie, żeby ci dodać otuchy.

— Bądź spokojna, Chiquito, nie przeszkodzę dzielnym przyjaciołom, którzy z narażeniem życia chcą mnie ocalić.

— To dobrze, broń się aż do wieczora nożem, który ci podarowałam. Cios trzeba zadawać z dołu do góry, nie zapominaj o tym. Nie powinni nas widzieć razem, więc poszukam sobie jakiegoś kącika do spania. Nie wyglądaj oknem, to wzbudziłoby podejrzenia i mogłoby zdradzić, że oczekujesz pomocy z tej strony. Przetrzęsneliby wtedy okolice zamku i odkryliby twoich przyjaciół. Ich plan nie udałby się i zostałabyś w ręku Vallombreuse'a, którego nienawidzisz.

— Nie zbliżę się do okna, przyrzekam ci, choćbym umierała z ciekawości.

Uspokojona co do tego, Chiquita znikła i wróciła na parter. Bandydzi, zamroczeni winem i zaspani, nie spostrzegli nawet jej nieobecności. Oparła się o mur, złożyła ręce na piersiach, przymknęła oczy i zasnęła natychmiast, gdyż jej sarnie nóżki zrobiły poprzedniej nocy osiem mil z Vallombreuse do Paryża. Jazda na koniu, do czego nie była przyzwyczajona, zmęczyła ją może jeszcze bardziej. Choć jej drobne ciało miało odporność stali, była bardzo znużona i

zapadła w sen tak głęboki, że wydawała się martwa.

— Jak te dzieci śpią! — zawołał Malartic, który wreszcie się obudził. — Ona przespała sobie całą naszą ucztę! Hej tam, poczciwe zwierzaki, podnieście się na tylne łapy i idźcie na podwórze wylać sobie po kubie zimnej wody na głowę. Circe pijaństwa zamieniła was w wieprze, stańcie się więc z powrotem mężczyznami przez ten chrzest, bo musimy obejść zamek i zobaczyć, czy coś się nie knuje w obronie tej piękności, nad którą pieczę powierzył nam książę de Vallombreuse.

Bandyci podnieśli się ciężko i wyszli chwiejnie, posłuszni mądrym zaleceniom dowódcy. Gdy wrócili do stanu mniej więcej normalnego, Malartic w towarzystwie Tordgueule'a, Piedgrisa i La Rapeego skierował się ku bramie i otworzył kłódkę zamykającą łańcuch czółna uwięzianego przy bramie koło kuchni. Pchnięta żerdzią łódź, rozsuwając ciemnozielony płaszcz rzęsy, dotarła niebawem do wąskich schodków wykutych w obmurowaniu fosy po drugiej stronie.

— Ty — rzekł Malartic do Rapeego, gdy wyszli na brzeg — zostaniesz tutaj i będziesz pilnował łódki na wypadek, gdyby nieprzyjaciel chciał nią zawładnąć i dostać się do zamku. Nieszczególnie trzymasz się na nogach, więc my sami przetrząśniemy krzaki i wypłoszymy z nich ptaszki.

Malartic w towarzystwie swych dwóch towarzyszy przechadzał się naokoło zamku ponad godzinę i nie znalazł nic podejrzanego, a gdy wrócił do punktu wyjścia, ujrzał, że La Rapee, oparty o drzewo, śpi na stojąco.

— Gdybyśmy byli wojskiem regularnym — oświadczył budząc go uderzeniem pięści — kazałbym cię rozstrzelać. Ponieważ jednak nie mogę tego zrobić, przebaczam ci i skazuję tylko na wypicie miarki wody.

— Wolałbym — odrzekł pijak — dwie kule w głowie niż

miarękę wody w żołądku.

— To piękna odpowiedź — rzekł Malartic — i godna bohatera Plutarcha *. Wina będzie ci przebaczona bez pokuty, ale nie grzesz więcej.

Patrol wrócił do zamku i łódź została przywiązana i zamknięta na kłódkę tak starannie, jakby się znajdowali w twierdzy. Zadowolony z wyniku inspekcji Malartic powiedział sobie:

— Jeżeli piękna Izabela stąd wyjdzie albo waleczny kapitan Fracasse wejdzie do zamku, niech mój nos stanie się biały albo twarz czerwona.

* Plutarch z Cheronei — pisarz grecki urodzony w połowie I w. n.e., autor życiorysów sławnych ludzi, mężów stanu i wojowników starożytności.

Zostawszy sama, Izabela otworzyła tom „Astrei” pana Honoriusza d'Urfe * zapomniany na konsoli. Próbowała skupić uwagę na tej lekturze, ale tylko jej oczy machinalnie śledziły litery, myśl ulatywała daleko i nie zatrzymywała się ani na chwilę na tych już przestarzałych opowieściach pasterskich. Znudzona, rzuciła książkę i skrzyżowała ramiona na piersiach, oczekując wypadków. Zmęczyła się przewidywaniami i, nie próbując już odgadnąć, jak ją Sigognac wyzwoli, liczyła na poświęcenie tego rycerskiego młodzieńca.

Nadszedł wieczór. Lokaje zapalili świece i niebawem ukazał się majordomus zapowiadając wizytę księcia de Vallombreuse, który wszedł natychmiast i pozdrowił uwięzioną z największą elegancją. Był naprawdę niezwykle piękny i wytworny. Atlasowy kaftan koloru perłowego, spodnie z różowego aksamitu, buty z miękkiej, białej skóry, ozdobione koronkami, szarfa ze złotogłowi podtrzymująca szpadę, której rękojeść połyskiwała drogimi kamieniami —

wszystko to świetnie uwydatniało urodę księcia. Trzeba było niezwykłej cnoty i stałości Izabeli, aby nie poddać się jej urokowi.

— Przyszedłem zobaczyć, czarująca Izabelo — rzekł Vallombreuse siadając w fotelu obok młodej kobiety — czy będę lepiej przyjęty niż mój bukiet; nie jestem tak próżny, aby tego się spodziewać, ale chcę panią do siebie przyzwyczać. Jutro będzie nowy bukiet i nowa wizyta.

— Bukiety i wizyty są zbyteczne — odpowiedziała Izabela. — Przykro mi to powie-dzieć, ale nie mogę panu dać żadnej nadziei.

— A zatem — rzekł książę z gestem wyniosłej beztroski — dam sobie radę bez nadziei i zadowolę się rzeczywistością. Nie wie pani, drogie dziecko, kim jest Vallombreuse, któremu usiłujesz się opierać. Nigdy żadne jego pragnienie nie zostało nie spełnione; dąży on do tego, czego pragnie, i nic nie może go zachwiać czy zwrócić w inną stronę: ani łzy, ani błagania, ani krzyki, ani trupy rzucone pod nogi, ani pożary. Świat może się zawalić, ale jego to nie zdziwi i nie przeszkodzi mu w zaspokojeniu kaprysu na ruinach. Niech pani nie potęguje mej namiętności czyniąc się niedostępną, o nierozsądna, która podsuwasz jagnię tygrysowi, żeby je zabrać w tej samej chwili.

Izabela była przerażona wyrazem twarzy Vallombreuse'a, gdy mówił te słowa; twarz jego wyrażała coś więcej niż brak serca i nieugiętą stanowczość. Instynktownym ruchem cofnęła swój fotel i podniosła rękę do stanika, aby dotknąć przez materię noża Chiquity. Vallombreuse spokojnie przysunął się do niej. Opanowując gniew, zdołał już przywołać na twarz wdzięk, pogodę i tkliwość.

— Niech pani dokona wysiłku i odwróci się od dotychczasowego życia, które powinno stać się zapomnianym snem. Niech pani porzuci te urojenia wierności i omdlewającej

miłości, niegodnej pani. Proszę pomyśleć, że w oczach świata już pani do mnie należy. Proszę przede wszystkim pomyśleć, że uwielbiam panią tak namiętnie i nieprzytomnie, jak żadną dotąd ko-bietę. Nie ma po co wrywać się z płomienia, który panią otacza, i spod władzy tej nieod-partej woli, której nic nie może odwrócić. Jak zimny metal wrzucony do tygła, gdzie jest już roztopiony inny kruszec, pani obojętność zmieszana z moją namiętnością stworzy z niej amalgamat. Cokolwiek pani zrobi, pokocha mnie pani, dobrowolnie czy zmuszona do tego, ponieważ ja tego chcę, ponieważ jesteś młoda i piękna i ponieważ ja też jestem młody i piękny. Na próżno się opancerzasz i bronisz, nie uwolnisz się z uścisku, który cię objął. Żaden więc opór nie ma sensu, bo byłby bezskuteczny. Niech się pani podda z uśmiechem; czy to ostatecznie tak straszne nieszczęście być kochaną do nieprzytomności przez księcia de Vallombreuse? To nieszczęście niejedna kobieta uważa, łaby za największe szczęście.

Podczas kiedy mówił z owym uniesieniem, które porywa kobiety i rozbraja ich cnotę,

* „Astrea” Honoriusza d'Urfe — ckliwie sentymentalna powieść z początków XVII w., rozwlekłe opisująca przygody zakochanych pasterzy; ogromne powodzenie „Astrei” u współczesnych pozostawiło jeden tylko trwalszy ślad — od imienia jej bohatera Seladona nazwano seledynem niebieskawą odcień zieleni, budzący skojarzenia z czułościowym charakterem tej postaci.

Izabela, czujna na najmniejszy odgłos z zewnątrz, skąd miało przyjść wyzwolenie, miała wrażenie, że słyszy lekki szmer po drugiej stronie fosy, głuchy i rytmiczny, jakby tam ktoś systematycznie pracował nad usunięciem jakiejś przeszkody. Bojąc się, żeby Vallombreuse nie zwrócił na to uwagi, młoda kobieta odpowiedziała tak, aby podrażnić próżność księcia:

— To szczęście byłoby hańbą, której uniknę drogą śmierci, jeżeli nie będę miała innego sposobu. Zdobędzie pan tylko mego trupa. Był mi pan obojętny, teraz nienawidzę pana za to postępowanie obraźliwe, bezwstydné i brutalne. Tak, kocham Sigognaca, którego pan tyle razy próbował zamordować!

Szmer wciąż było słychać i Izabela, nie troszcząc się już o nic, podnosiła głos, aby go zagłuszyć.

Na jej odważne słowa Vallombreuse pobladł z gniewu, jego oczy rzucały spojrzenia pełne nienawiści, lekka piana wystąpiła w kącikach ust i konwulsyjnym ruchem chwycił rękę-jeść swej szpady. Myśl, żeby zabić Izabelę, przeszła mu głowę jak błyskawica, ale potężnym wysiłkiem woli powstrzymał się i, wybuchnąwszy śmiechem hałaśliwym i nerwowym, podszedł bliżej do młodej aktorki.

— Do stu tysięcy diabłów — zawołał — podobasz mi się taka właśnie! Kiedy gniewasz się na mnie, twoje oczy nabierają szczególnego blasku, twoja cera promienieje nieziemską jasnością, jesteś piękniejsza niż zwykle. Dobrze zrobiłaś mówiąc szczerze, drażniło mnie, żeś kryła swoje myśli. Więc kochasz Sigognaca? Tym lepiej! Jeszcze przyjemniej będzie posiąść ciebie. Cóż to za przyjemność całować usta, które mówią: „Nienawidzę cię!” To ma więcej smaku niż wieczne i nudne „kocham”, którym nas zamęczają kobiety.

Przerażona gwałtownością Vallombreuse'a, Izabela podniosła się i wyjęła z zanadrza nóż Chiquity.

— Dobrze — rzekł książę widząc, że młoda kobieta jest uzbrojona — sztylet jest już w pogotowiu! Jeżeli pani nie zapomniała historii rzymskiej, wie pani, moja najpiękniejsza, że Lukrecja posłużyła się sztyletem dopiero po zamachu Sekstusa, syna Tarkwiniusza Pyszne-go *. Warto naśladować ten starożytny przykład.

I nie troszcząc się o nóż bardziej niż o żądło pszczoły, zbliżył się do Izabeli, którą chwycił w ramiona, zanim zdążyła podnieść ostrze.

W tej samej chwili coś zatrzeszczało, a następnie rozległ się straszliwy huk; okno jakby uderzone od zewnątrz kolaniem olbrzyma wpadło wśród brzęku tłukących się szyb do pokoju, do którego jednocześnie wtargnęła masa gałęzi, tworząca rodzaj obrośniętej liśćmi katapu- lty ** i ruchomego pomostu.

Był to wierzchołek tego samego drzewa, które ułatwiło wyjście i powrót Chiquity. Pień, podpłowany przez Sigognaca i jego towarzyszy, uległ prawu ciężkości. Jego upadek był tak skierowany, aby powstało połączenie między skarżą a oknem Izabeli.

Vallombreuse, zdumiony nagłym wdarciem się drzewa w scenę miłosną, puścił aktorkę i chwycił szpadę, gotów stawić czoło pierwszemu z napastników.

Chiquita, która weszła na palcach lekka jak cień, pociągnęła Izabelę za rękaw i powie-działa jej:

— Schowaj się za ten mebel, bo zaraz zaczną taniec!

Dziewczynka mówiła prawdę. Kilka wystrzałów zabrzmiało w ciszy nocnej. Garnizon zwietrzył napaść.

* ...zamach Sekstusa, syna Tarkwiniusza Pysznego — wydarzenie z historii Rzymu, które miało spowodować obalenie władzy królewskiej i wprowadzenie republiki (w VI w. przed n.e.).

** katapulta — machina oblężnicza do rzucania pocisków.

ROZDZIAŁ XVII

PIERŚCIEN Z AMETYSTEM

Malartic, Bringuenarilles, Piedgris i Tordgueule, przeskakując po cztery stopnie naraz, przybyli do pokoju Izabeli, aby odeprzeć atak i przyjść z pomocą Vallombreuse'owi. Tymcza-sem La Rapee, Merindol i nadworne zbiry księcia, których ze sobą przywiózł, przebywali fosę łódką, aby dokonać wypadu i zająć nieprzyjaciela od tyłu. Była to strategia przebiegła, godna dobrego generała.

Wierzchołek drzewa zatarasował okno, dość zresztą wąskie, a gałęzie sięgały prawie do połowy pokoju; nie można więc było przeciwstawić się napastnikom dostatecznie szerokim frontem. Malartic stanął z Piedgriséem z jednej strony muru i pchnął Tordgueule'a z Bringuenarilles'em na drugą stronę, aby im oszczędzić pierwszego uderzenia i zapewnić korzystniejszą pozycję. Przed wkroczeniem do fortecy trzeba było przełamać tę pierwszą linię opryszczków, czekających ze szpadą w jednej ręce, a pistoletem w drugiej. Wszyscy włożyli z powrotem maski, bo żaden z tych zacnych ludzi nie chciał być poznany na wypadek, gdyby sprawa przybrała zły obrót. Był to widok dosyć ponury: czterej mężczyźni o czarnych twarzach, nieruchomi i milczący jak upiory.

— Może książę wyjdzie albo włoży maskę? — szepnął Malartic do Vallombreuse'a. — Lepiej, żeby nikt nie poznał waszej wysokości w tym starciu.

— Wszystko mi jedno — odrzekł książę. — Nie boję się nikogo na świecie. Zresztą ci, co mnie zobaczą, nie opowiedzą o tym nikomu — dodał wymachując groźnie szpadą.

— Może więc książę przynajmniej zaprowadzi do innego pokoju Izabelę, Helenę * tej drugiej wojny trojańskiej, bo

jakaś zabłąkana kula mogłaby ją zranić, a szkoda by było.

Książę uznając słuszność tej rady, podszedł do Izabeli, która wraz z Chiquitą schowała się za ciężkim dębowym kufrem; wziął ją na ręce, choć się czepiała palcami rzeźby i przeciw-stawiała wysiłkom Vallombreuse'a jak najżywszy opór. Szlachetna dziewczyna, przewycię-żając lękliwość swojej płci, wołała raczej pozostać na polu walki, wystawiona na kule i ciosy szpady, które mogły jej odebrać tylko życie, niż w bezpiecznym miejscu narażać się na utratę czci.

— Nie, nie, proszę mnie zostawić! — wołała szamocząc się i chwytając rozpaczliwym wysiłkiem za futrynę, gdyż czuła, że Sigognac musi być niedaleko. Wreszcie udało się księciu uchylić drzwi i miał już wciągnąć Izabelę do drugiego pokoju, gdy młoda kobieta wyrwała się z jego rąk i podbiegła do okna, ale Vallombreuse złapał ją znowu, podniósł z ziemi i zaniósł w głąb apartamentów.

— Niech mnie pan ratuje! — wołała słabym głosem, czując że jest u kresu sił. — Niech mnie pan ratuje, baronie de Sigognac!

W tej samej chwili rozległ się chrzęst łamanych gałęzi i silny głos, zdający się spadać z nieba, zawołał: „Jestem!” Czarny cień, szybki jak błyskawica, przebiegł między czterema zbirami i był już na środku pokoju, kiedy cztery wystrzały z pistoletów zabrzmiały niemal równocześnie. Kłęby gęstego dymu rozpełzły się po pokoju, zakrywając na przeciąg kilku se-kund skutki tego poczwórnego ognia; kiedy się nieco przerzedziły, bandyci ujrzeli Sigognaca — a raczej kapitana Fracasse, gdyż znali go tylko pod tym nazwiskiem — stojącego ze szpa-dą w ręku i jeżeli nie liczyć pióra na kapeluszu, które odcięła kula, nawet nie draśniętego, ponieważ skałkowe pistolety nie mogły dać ognia dość prędko, aby dosięgnąć barona wbiega-

* Helena — żona króla Sparty, została porwana przez Parysa, królewicza trojańskiego, i to dało początek wojnie Greków przeciw Troi, opisanej w „Iliadzie”.

jącego równie nieoczekiwanie, jak szybko. Ale Izabeli i Vallombreuse'a już nie było. Książę skorzystał z tumultu i wyniósł swoją na wpół zemdloną ofiarę. Ciężkie drzwi i zasunięty rygiel stały między biedną aktorką a jej szlachetnym obrońcą, który zresztą miał na karku całą bandę opryszków. Na szczęście zwinna jak jaszczurka Chiquita, mając nadzieję, że pomoże Izabeli, zdążyła wśliznąć się za księciem, który w tym zamieszaniu, wśród huku wystrzałów, nie zwrócił na nią uwagi, tym bardziej że skryła się szybko w ciemnym kącie sali, dość słabo oświetlonej lampą stojącą na kredensie.

— Nędznicy, gdzie Izabela?! — krzyknął Sigognac widząc, że nie ma aktorki. — Dopiero co słyszałem jej głos!

— Nie dał nam jej pan pod opiekę — odpowiedział Malartic z najzimniejszą krwią. — Zresztą nie jesteśmy zbyt dobrymi damami do towarzystwa.

Powiedziawszy te słowa, natarł z podniesioną szpadą na barona, który przyjął go odpowiednio. Malartic nie był przeciwnikiem zasługującym na lekceważenie; po Jacqueminie Lampourde uchodził za najzręczniejszego szermierza w Paryżu, ale nie był w stanie długo walczyć przeciw Sigognacowi.

— Pilnujcie okna, a ja tymczasem zajmę się tym kamratem! — zawołał do Piedgrisa, Tordgueule'a i Bringuenarilles'a, którzy pośpiesznie ładowali swe pistolety.

W tejże chwili nowy uczestnik napadu, wykonawszy niebezpieczny skok, wylądował w pokoju. Był to Scapin, któremu dawna jego przeszłość kuglarza i żołnierza szczególnie uła-twiała tego rodzaju obłęźnicze wspinaczki. Jednym rzutem oka stwierdził, że ręce zbirów są zajęte

ładowaniem prochu i kul, a szpady leżą obok nich: błyskawicznie skorzystał z chwili niepewności opryszków zaskoczonych jego dziwnym wejściem, zebrał szpady i wyrzucił je za okno; następnie podbiegł do Bringuenarilles'a i zrobił sobie z niego tarczę, trzymając opryszka przed sobą w taki sposób, aby był wystawiony na lufy pistoletów.

— Do wszystkich diabłów, nie strzelajcie! — wył Bringuenarilles, na wpół uduszony krzepkim uściskiem Scapina. — Nie strzelajcie! Roztrzaskalibyście mi kręgosłup albo głowę, a byłoby mi szczególnie przykro zostać postrzelonym przez kolegów.

Aby uniemożliwić Tordgueule'owi i Piedgrisowi strzelanie od tyłu, Scapin przezornie oparł się o mur, używając Bringuenarilles'a jako osłony, a chcąc zmylić cel, na wszystkie strony potrzasał zbirem, który nie zdobywał nowych sił jak Anteusz, choć jego stopy czasem dotykały ziemi.

Ten manewr był bardzo rozsądny, gdyż Piedgris, który nie bardzo lubił Bringuenarilles'a, a o życie człowieka troszczył się mniej niż o funt kłaków, choćby ten człowiek był jego towarzyszem — wycelował w głowę Scapina, nieco przewyższającego wzrostem bandytę. Padł strzał, ale aktor schylił się, podnosząc równocześnie Bringuenarilles'a, i kula przeszła boazerię, dziurawiąc ucho opryszka, który zaczął wyć: „Jestem zabity! Jestem zabity!...” z siłą dowodzącą, że był najzupełniej żywy.

Scapin, który nie miał ochoty czekać na drugi strzał, wiedząc dobrze, iż dosięgnąłby go i przez Bringuenarilles'a poświęconego przez niezbyt delikatnych przyjaciół, i mógłby go jeszcze ciężko zranić, posłużył się rannym jak pociskiem i rzucił go na zbliżającego się z wymierzoną bronią Tordgueule'a tak gwałtownie, że pistolet wypadł mu z rąk, a bandyta potoczył się po podłodze wraz z towarzyszem, którego krew trysnęła mu na twarz i zalała oczy. Upadek był

tak mocny, że Tordgueule leżał oszołomiony przez dłuższą chwilę, dzięki czemu Scapin zdążył kopnąć pistolet pod mebel i wyjąć sztylet, aby stawić czoło Piedgrisowi, który, rozwścieczony chybionym strzałem, ruszył do ataku także ze sztyletem w rękę. Scapin schylił się, lewą ręką chwycił za pięść, w której Piedgris trzymał sztylet, a prawą zadał przeciwni-kowi cios, który by go na pewno zabił, gdyby nie gruby spencer z bawolej skóry. Sztylet prze-ciął ubranie i zagłębił się w ciało, ześliznął się jednak po żebrach. Choć rana nie była śmie-rtelna ani nawet groźna, zdetonowała Piedgrisa, który się zachwiał, tak iż aktor, szarpnąwszy przeciwnika za ramię, przewrócił go bez trudu. Na wszelki wypadek kopnął go jeszcze w głowę, aby się do reszty uspokoił.

Kiedy się to wszystko działo, Sigognac toczył walkę przeciw Malarticowi z zimną za-ciekłością człowieka, który umie oddać doskonały kunszt na użytek wielkiego męstwa. Odpa-rował wszystkie pchnięcia zbira i już go zranił w ramię, czego dowodziła czerwień na rękawie Malartica. Czując, że będzie zgubiony, jeżeli walka przedłuży się, bandyta postanowił doko-nać ostatecznego wysiłku i wymierzył głębokie pchnięcie z prawej strony. Ostrza szpad ude-rzyły o siebie tak gwałtownie, że posypały się iskry, ale szpada barona, nieugięta w spiżowej dłoni, odtrąciła broń opryszka. Jej ostrze prześliznęło się pod pachą kapitana Fracasse drasną-wszy materię kaftana, nie dotykając jednak ciała. Malartic wyprostował się, ale nim zajął po-zycję obronną. Sigognac wytrącił mu broń, postawił na niej stopę i, przykładając przeciwni-kowi koniec szpady do gardła, zawołał:

— Poddaj się albo zginiesz!

W tej krytycznej chwili jakieś wielkie ciało przyłączyło się do walki, łamiąc drobne ga-łęzie; nowo przybyły, widząc trudną sytuację Malartica, rzekł do niego z powagą:

— Możesz bez ujmy dla honoru poddać się temu

dzielnemu człowiekowi, który trzyma twoje życie na końcu szpady. Lojalnie wypełniłeś obowiązek, teraz uważaj się za jeńca wo-jennego. — Następnie zwrócił się do Sigognaca:

— Zaufaj pan jego słowu — jest to na swój sposób człowiek honorowy i odtąd nie przedsięweźmie nic przeciw panu.

Malartic skinął potakująco i baron opuścił ostrze swej straszliwej szpady. Skonfundo-wany zbir podniósł broń, wsadził ją do pochwy i, zasiadłszy milcząco w fotelu, chustką do nosa obwiązał sobie rękę, na której powiększała się czerwona plama.

— Co do tych hultajów, lżej czy ciężiej rannych, a może i zabitych — rzekł Lampourde, bo on to był — lepiej ich będzie unieszkodliwić. Jeżeli pan pozwoli, powiążemy im łapy jak ptactwu niesionemu na targ głowami do dołu; inaczej mogliby wstać i gryźć, co najmniej w obcasy. To są pierwszorzędni łajdacy i potrafią udawać, że są już niezdolni do walki, żeby ocalić swą skórę, która co prawda niewiele jest warta.

I schylając się ku ciałom leżącym na podłodze, wydobył z kieszeni kawałki sznura, po czym z wielką zręcznością powiązał nogi i ręce Tordgueule'a, który chciał się opierać, Brin-guenarilles'a, który zaczął krzyczeć jak żywcem skubana sojka, a nawet i Piedgrisa, choć ten leżał nieruchomy i siny jak trup.

Gdyby czytelnika dziwiło, że Lampourde znalazł się wśród oblegających, odpowiemy, że ten zbir nabrał fanatycznego podziwu dla Sigognaca; mistrzostwo barona w szpadzie tak go oczarowało podczas spotkania na Nowym Moście, że oddał się na usługi kapitana, rzecz nie do pogardzenia w podobnie trudnych okolicznościach. W tej epoce zdarzało się często, że zaprzyjaźnieni z sobą specjaliści od takich niebezpiecznych przedsięwzięć, opłaceni przez dwie wrogie strony, spotykali się ze szpadą lub sztyletem w rękę i

nie budziło to niczyich skrupułów.

Jak pamiętamy, La Rapee, Agostyn, Merindol, Azolan i Labriche na samym początku ataku wydostali się łódką z zamku, aby dokonać dywersji i uderzyć na tyły przeciwnika. Płynąc w milczeniu wzdłuż fosy, dotarli do miejsca, gdzie podpiłowane i przerzucone przez wodę wielkie drzewo służyło równocześnie za most zwodzony i drabinę dla oswobodzicieli młodej aktorki.

Dzielny Herod, jak można się łatwo domyślić, nie omieszkał ofiarować swej pomocy Sigognacowi, którego wysoko cenił i z którym poszedłby i do piekła, nawet gdyby w grę nie wchodziła Izabela, kochana przez cały zespół, a przez niego w szczególności. Jeżeliśmy go jeszcze nie widzieli w ogniu walki, nie wynikało to bynajmniej z tchórzostwa; bo, chociaż był aktorem, miał tyle odwagi, co wojskowy. Usiadł na drzewie okrakiem jak inni i posuwał się naprzód, drąc spodnie o nierówności kory. Przed nim siedział portier z teatru, tak samo usiłujący się przedostać do zamku. Był to odważny dryblas, przyzwyczajony do używania pięści w utarczkach z napierającą publiką. Dotarłszy do miejsca, gdzie konar się rozdwajał, wybrał sobie grubą gałąź i na niej zamierzał dokończyć przeprawę. Herod natomiast, obdarzony kor-pulencją Goliata bardzo odpowiednią w rolach Tyrana, ale utrudniającą udział w imprezach obelężniczych, poczuł przybywszy do rozwidlenia, że gałąź ugina się pod nim i trzeszczy niepokojąco. Spojrzał na dół i w ciemnościach, o trzydzieści stóp niżej, zobaczył czarną wodę fosy. Ta perspektywa kazała mu zastanowić się i wybrać konar bardziej solidny, zdolny unieść jego potężne ciało.

„Hm — rzekł do siebie — słoń tańczący na pajęczynie byłby równie rozsądny, jak ja, kiedy zapuszczam się na te gałązki, które mogą się zgiąć pod wróblem. To jest zabawa

dobra dla zakochanych, dla Scapinów i innych ludzi ruchliwych, bo rodzaj ich ról wymaga od nich szczupłości. Jako król i tyran teatralny, bardziej oddany uciechom stołu niż kobietom, nie mam lekkości akrobaty i linoskoczka. Jeżeli zrobię choć jeden krok, żeby iść na pomoc kapi-tanowi — a musi on jej potrzebować, gdyż wnioskując z wystrzałów i szczęku szpad sprawa jest gorąca — wpadnę w tę wodę styksową, gęstą i czarną jak atrament, zieloną od lepkich roślin, pełną żab i ropuch. Zanurzę się powyżej głowy. Będzie to śmierć niesławna, grób cu-chnący, koniec nędzny i bez żadnej korzyści, gdyż nie zabiłbym wtedy żadnego przeciwnika. Gdybym był nawet Achillesem, Rolandem czy Cydem *, nie mógłbym sobie nakazać, żebym ważył mniej niż dwieście czterdzieści funtów i kilka uncji na gałęzi grubej jak mały palec. To już nie jest sprawa bohaterstwa, lecz statyki. A więc w tył zwrot! Znajdę jakiś fortel, żeby się dostać do twierdzy i stać się użytecznym dla dzielnego barona, który teraz musi wątpić o mojej przyjaźni, jeżeli ma czas myśleć o czymkolwiek”.

Wypowiedziawszy ten monolog z szybkością myśli, sto razy prędszej od słowa mówio-nego, któremu przecież dobry Homer daje epitet „uskrzydłonego”, Herod gwałtownie zawrócił na swym drewnianym koniu, to znaczy na pniu drzewa, i zaczął ostrożnie schodzić. Nagle zatrzymał się. Lekki szmer jakby muśnięcia kolanem o korę i oddechu człowieka wspinające-go się doszedł jego uszu, a choć noc była ciemna i mniej przezroczysta niż cień zamku, zdawało się Herodowi, że rozróżnia niewyraźny kształt tworzący jakby garb po prawej stronie drzewa. Aby nie być dostrzeżonym, przechylił się, rozplaszczył, o ile mu na to pozwalał jego majestatyczny brzuch, i czekał nieruchomo, wstrzymując oddech. Podniósł nieco głowę i po upływie dwóch minut, widząc przeciwnika tuż koło siebie, wyprostował się nagle, ukazując swą wielką

twarz zdrajcy, który chciał go podstępnie uderzyć w plecy. Żeby mieć wolne ręce, Merindol, jako dowódca napastników, trzymał nóż między zębami, co w ciemnościach sprawiało wrażenie, że ma jakieś dziwne wąsy. Herod chwycił go krzepką ręką za kark i ścisnął mu gardło tak mocno, że Merindol, jakby już wisiał na stryczku, otworzył usta dla zaczerpnięcia oddechu i nóż spadł w fosę. Ponieważ uścisk dokoła gardła nie ustawał, kolana bandyty puściły gałąź, ręce wykonały kilka ruchów konwulsyjnych i niebawem łoskot ciężkiego upadku zabrzmiał w ciemności, a woda prysnęła aż na nogi Heroda.

„To jeden — rzekł sobie Tyran. — Jeżeli go nie udusiłem, utonął. Ta alternatywa jest dla mnie miła, ale schodźmy dalej tą niebezpieczną drogą”.

Posunął się jeszcze o kilka stóp. Mała, niebieskawa iskierka migotała na kilka kroków od niego, zdradzając krzesiwo pistoletu; zabrzmiał suchy trzask, światełko przeszło ciemności, rozległa się detonacja i kula przeszła o jakieś dwa albo trzy cale nad głową Heroda, który na szczęście schylił się, gdy tylko zobaczył świecący punkt, i schował głowę w ramiona jak żółw kryjący się w skorupie.

— Na potrójny róg rogakza! — zaklął ochryply głos, który był głosem La Rapego. —

* Achilles, Roland, Cyd — postacie z literatury, będące uosobieniem męstwa; Achilles — najodważniejszy z wodzów greckich w wojnie trojańskiej, Roland — nieustraszony rycerz z średniowiecznych poematów francuskich, Cyd — narodowy bohater Hiszpanii, spopularyzowany we Francji przez dramat Piotra Corneille'a „Cyd”.

Chybiłem.

— Troszeczkę, mój mały — odrzekł Herod. — A jestem przecież dość gruby; musisz być diabło niezgrabny. A teraz

spróbuj to odparować.

I podniósł pałkę przywiązaną rzemieniem do przegubu ręki. Nie był to oręż zbyt elega-ncki, ale Tyran władał nim z godną podziwu zręcznością, gdyż w czasie swych wędrówek długo uczył się tego sportu u mistrzów w Rouen. Pałka trafiła na szpadę, którą zbir tymcza-sem wyciągnął z pochwy, zatknąwszy niepotrzebny już pistolet za pas; wskutek tego ciosu stalowa klinga prysła na kawałki jak szkło i w ręku La Rapego został tylko odłamek. Koniec pałki dosięgnął nawet jego ramienia, dość lekko co prawda, gdyż siła uderzenia była już mniejsza.

Przeciwnicy znaleźli się oko w oko, ponieważ jeden schodził, a drugi chciał iść w górę. Chwycili się w ramiona i usiłowali zrzucić się nawzajem w czeluść fosy, czarnej i ziejącej u ich stóp. Choć La Rapee był drabem silnym i zręcznym, masa taka, jak ciało Heroda, nie była łatwa do obalenia. Równie łatwo można by wyrwać wieżę z fundamentami. Herod oplótł no-gami pień drzewa i trzymał się go jak zanitowaną klamrą. La Rapee w uchwycie jego ramion, równie muskularnych jak ramiona Herkulesa, pocił się i dyszał z trudem. Rozpłaszczony na szerokiej piersi Tyrana, opierał mu ręce na barkach, aby się wyzwolić z jego straszliwych objęć. Herod zręcznym fortem rozluźnił trochę uścisk, zbir wyprostował się, wciągając po-wietrze głęboko w płuca. W tej chwili Herod puścił go nagle, schwycił nieco niżej i, podno-sząc w górę, odebrał mu punkt oparcia. Teraz już wystarczyło Herodowi otworzyć ręce, aby przy pomocy La Rapego przedziurawić płaszcz rzęsy na wodzie fosy. Zrobił to i zapaśnik runął w dół. Był to jednak drab, jak mówiliśmy, zwinny i silny — zdążył przytrzymać się drzewa kurczowo zaciśniętymi palcami i wisząc nad otchłanią, próbował z powrotem chwycić pień za pomocą stóp i łydek. Nie udało mu się to wszakże i trwał wyciągnięty jak wielkie „I” z ramieniem

straszliwie naprężonym pod ciężarem reszty ciała. Jego palce wpijały się w korę jak żelazne szpony, a ścięgna na rękach omal nie pękały jak zbyt napięte struny skrzypiec. Gdyby było jasno, można by dojrzeć krew tryskającą z sinych paznokci.

Sytuacja nie była wesoła. La Rapee poza bólem fizycznym doznawał zawrotnego strachu przed upadkiem, zmieszanego z uczuciem przyciągania, jakie budzi zawieszenie nad przepaścią. Jego rozszerzone źrenice patrzyły uparcie w ciemną głębinę, w uszach mu szumiało, łoskot rozsadzał skronie, miał ochotę skoczyć, ale wstrzymywał go wciąż jeszcze żywy instynkt samozachowawczy: nie umiał pływać, więc ta fosa byłaby dla niego grobem.

Mimo okrutnego wyrazu twarzy i czarnych jak smoła brwi Herod był w głębi serca dobroduszny. Żał mu się zrobiło draba, który zwisał nad otchłanią od kilku długich jak wieczność minut, w agonii przedłużającej się wśród strasznych skurczów niepokoju. Pochylając się nad pnem, rzekł do La Rapego:

— Łajdaku, jeżeli mi przyrzekniesz na swe życie zagrodowe (gdyż doczesne do mnie już należy), że zostaniesz neutralny w dalszej walce, odwiążę cię z szubienicy, na której wisisz jak zły łotr.

— Przysięgam — zachrypiało głucho La Rapee będący u kresu sił. — Ale pośpiesz się, na litość, bo już spadam.

Herod chwycił draba swą herkulesową pięścią za ramię, podniósł na drzewo i posadził okrakiem na wprost siebie, poruszając nim z taką łatwością, jakby to była lalka z gałganków.

Choć La Rapee w niczym nie przypominał salonowej damy cierpiącej na wapory, był prawie nieprzytomny, gdy dzielny aktor wyciągnął go z przepaści, i wpadłby w nią na powrót jak bezwładna masa, gdyby go nie podtrzymywała potężna dłoń przeciwnika.

— Nie mam soli trzeźwiących ani piór, żeby ci je zapalić pod nosem, ale oto kordiał, który ci pomoże, prawdziwy koniak z Hendayes, kwintesencja słońca.

I przytknął wylot butelki do ust omdlałego bandyty.

— No, pociągnij tego mleczka. Jeszcze ze dwa lub trzy hausty i będziesz żwawy jak kobuz, któremu zdjęto kaptur.

Szlachetny napój podziałał szybko na zbira, który podziękował Herodowi gestem dłoni i zaczął wymachiwać zdrętwiałym ramieniem, aby je rozruszać.

— Teraz — rzekł Herod — nie bawiąc się dłużej w smarkaczy, schodźmy z tej grzędy, gdzie czuję się skrepowany, na niziny, które lepiej odpowiadają mojej tuszy. Ty pierwszy — dodał odwracając La Rapego i sadzając go okrakiem w przeciwnym kierunku.

La Rapee zaczął się zsuwać. Tyran za nim. Doszedłszy do stóp drzewa, mając Heroda za sobą, zbir dostrzegł przy fosie posterunek składający się z Agostyna, Azolana i Baska.

— Swój! — zawołał do nich głośno, po czym odwróciwszy głowę, szepnął do aktora: — Nie mów nic i idź krok w krok za mną.

Gdy stanęli na ziemi, La Rapee zbliżył się do Azolana i powiedział mu na ucho hasło. Następnie dodał:

— Jesteśmy obaj ranni i musimy odejść trochę na bok, żeby przemyć i obwiązać nasze rany.

Azolan skinął na znak zgody. To tłumaczenie było bardzo wiarogodne. La Rapee i Tyran odeszli. Gdy się znaleźli wśród drzew, które w ciemnościach nocy kryły ich, choć były pozbawione liści, zbir rzekł do Heroda:

— Wspaniałomyślnie darowałaś mi życie. Ja za to wybawiłem cię od śmierci, bo tych trzech drabów na pewno zabiłoby cię. Spłaciłem mój dług, ale nadal winienem ci wdzięczność; jeżeli mnie będziesz potrzebował, licz na mnie. A teraz wracaj do swoich spraw. Ja skrećę w tę stronę, ty idź

w drugą.

Herod, zostawszy sam, poszedł aleją, spoglądając na widoczny między pniami fatalny zamek, dokąd ku swemu wielkiemu żalowi nie mógł się dostać. Żadne światło nie było wido-czne w oknach, z wyjątkiem miejsca, w którym przypuszczono atak; reszta budynku tonęła w ciemnościach i ciszy. Na jednym rogu wszakże księżyc zaczynał już kłaść swój miękki blask i powlekał srebrem fioletowe dachówki z łupku. Jego nikła poświata pozwalała dojrzeć czło-wieka na warcie, przesuwającego swój cień po placyku nad fosą. Był to Labriche strzegący łódki, na której Merindol, La Rapee, Azolan i Agostyn przebyli fosę.

Ten widok skłonił Heroda do rozmyślań: „Cóż u diabła ten samotny człowiek może robić w tym pustym miejscu, podczas gdy jego towarzysze walczą? Niewątpliwie z obawy przed zaskoczeniem lub dla zabezpieczenia odwrotu strzeże jakiegoś tajnego przejścia czy zamaskowanej furtki, przez którą może, oszołomiwszy go jednym ciosem swej pałki, zdołał-bym się przedostać do przeklętego budynku i dowieść Sigognacowi, że o nim nie zapomi-nam”.

Deliberując w ten sposób, Herod zbliżył się do wartownika tak cicho, jakby jego buty były podbite futrem, i z tą kocią powolnością, która cechuje ludzi otyłych. Kiedy wartownik był już w zasięgu jego ręki, Herod wymierzył mu w czaszkę cios wystarczający, aby go wyłą-czyć z walki, ale nie do tego stopnia, aby zabić. Jak już widzieliśmy, Herod nie odznaczał się okrucieństwem i nie pragnął śmierci grzesznika.

Zaskoczony, jak gdyby piorun spadł na niego z jasnego nieba, Labriche przewrócił się i pozostał nieruchomy, gdyż siła uderzenia ogłuszyła go. Herod podszedł do parapetu fosy i stwierdził, że do wąskiego przejścia pozostawionego w barierze wiodły schody, wykute uko-śnie w obmurowaniu fosy i prowadzące do samego jej dna, a przynajmniej do

poziomu wody pluskającej koło widocznych stopni. Zerwanie łańcucha było igraszką dla krzepkiego aktora. Następnie Herod wszedł do łódki, która zachybotwała pod jego ciężarem. Kiedy się uspokoiła i nabrała równowagi, Herod zaczął delikatnie poruszać jedynym wiosłem, umieszczonym na rufie i służącym jednocześnie za ster. Łódka wypłynęła z cienia w sferę światła, gdzie na olei-stej wodzie drgały jak rybie łuski blaski księżyca. Dzięki nim Herod odkrył w fundamentach zamku pod murowaną arkadą małe schody, poszedł nimi i dotarł bez przeszkód na wewnę-trzny dziedziniec, zupełnie w tej chwili pusty.

„Jestem więc w samym sercu fortecy — powiedział do siebie, zacierając ręce. — Moja odwaga lepiej się czuje na szerokich i twardych płytach niż na tej grzędzie dla papug, z której dopiero co zszedłem. Ale zorientujmy się, gdzie jesteśmy, i odnajdźmy towarzyszy”

Dostrzegł taras strzeżony przez dwa kamienne sfinksy i wywnioskował trafnie, że to o-zdobne wejście prowadzi do najbogatszych sal pałacu gdzie Vallombreuse z pewnością ukrył młodą aktorkę i gdzie musiała się toczyć bitwa o tę Helenę bez Menelausa, cnotliwą przede wszystkim wobec Parysa *. Sfinksy nie drgnęły nawet, aby podnieść łapy i wstrzymać kroki Heroda.

Zdawało się, że zwycięstwo odnieśli oblegający. Bringuenarilles, Tordgueule i Piedgris leżeli na ziemi jak cielęta na słomie; Malartic, dowódca bandy, był rozbrojony. W rzeczywi-stości jednak zwycięzcy byli uwięzieni. Drzwi zamknięte od strony zewnętrznej odgradzały ich od celu poszukiwań. Te grube drzwi dębowe, ozdobione wytwornymi okuciami z polero-wanej stali, mogły się okazać zaporą nie do przebycia dla ludzi, którzy nie mieli toporów ani łomów. Sigognac, Lampourde i Scapin próbowali je otworzyć siłą, ale trzymały się dobrze, a zjednoczone siły oblegających słabły.

— Gdybyśmy tak podłożyli ogień? — zaproponował Sigognac, który począł tracić nadzieję. — Na kominku są przecież płonące głownie.

— To by trwało za długo — odrzekł Lampourde — dąb źle się pali; weźmiemy raczej ten kufer i zrobimy z niego rodzaj katapulty czy tarana, który może rozbije tę fatalną przeszkodę.

Jak powiedział, tak zrobili i cennym sprzętem, ozdobionym delikatnymi rzeźbami, z całej siły rzucili w drzwi, ale bez większego skutku. Porysowała się tylko politura na dębowych deskach, a kufer stracił pięknie rzeźbioną na jednym z rogów głowę anioła czy amorka. Baron szalał, gdyż wiedział, że Vallombreuse opuścił pokój unosząc Izabelę, mimo rozpaczliwego oporu dziewczyny.

Nagle rozległ się potężny hałas. Gałęzie zasłaniające dotąd okno znikły i drzewo wpa-dło do wody z trzaskiem, z którym zmieszały się krzyki człowieka; był to portier teatralny, unieruchomiony w trakcie przeprowiania się do zamku, gdyż gałąź była zbyt słaba, aby mu umożliwić dalszą drogę. Azolan, Agostyn i Bask wpadli na wspaniałą myśl rzucenia drzewa do wody, aby oblegającym odciąć odwrót.

— Jeżeli nie wyważymy tych drzwi — rzekł Lampourde — znajdziemy się w potrzasku jak szczury. Spróbuję wyciąć sztyletem drzewo naokoło zamka. Trzeba stąd wyjść za wszelką cenę! — Lampourde miał się wziąć do dzieła, gdy zamek lekko zgrzytnął, jakby ktoś obracał w nim klucz. Drzwi, do których na próżno szturmowali, otworzyły się same.

— Cóż to za dobry anioł — zawołał Sigognac — przychodzi nam z pomocą i jakimże cudem drzwi ustępują po tak długim oporze?!

— To nie żaden anioł ani cud — powiedziała Chiquita, która stanęła na progu, utkwiwszy w baronie swoje spojrzenie tajemnicze i spokojne.

— Gdzie jest Izabela? — zapytał Sigognac przebiegając wzrokiem salę słabo oświetloną chwiejnym płomykiem lampy.

Nie dostrzegł jej w pierwszej chwili. Vallombreuse, zaskoczony nagłym otwarciem drzwi, wcisnął się w kąt, pociągając za sobą młodą aktorkę na wpół omdlałą ze strachu i wyczerpania. Izabela osunęła się na kolana, opierając głowę o ścianę; włosy miała rozwiane, suknię w nieładzie, gdyż miotała się rozpaczliwie w ramionach uprowadzającego ją księcia. Czuł on, że zdobycz wymyka mu się, i na próżno usiłował ukraść jej kilka lubieżnych pocałunków jak ścigany faun, który unosi dziewicę w głąb lasu.

— Ona jest tutaj — powiedziała Chiquita — w kącie za księciem Vallombreuse. Ale

* ...bitwa o tę Helenę bez Menelausa — walka o Izabelę przypomina wojnę trojańską, ale nie we wszystkich szczegółach: aktorka nie została porwana od męża, jak Helena od Menelausa, króla Sparty, i stawia opór księciu, który ją porwał.

żeby zdobyć kobietę, trzeba zabić mężczyznę.

— Mniejsza o to, zabiję go! — zawołał Sigognac ruszając z wyciągniętą szpadą wprost na księcia, który już stał w pozycji obronnej.

— To dopiero zobaczymy, panie kapitanie Fracasse, obrońco wędrownych komediantek — odparł młody książę z wyrazem głębokiej pogardy.

Skrzyżowane klingi szukały się nawzajem, wykonując jedna dokoła drugiej ruchy obrotowe z tą ostrożną powolnością, jaką znawcy szermierki stosują w walce, która ma być śmiertelna. Vallombreuse nie dorównywał Sigognacowi; miał jednak za sobą długi okres nauki we władaniu bronią, jak przystało na człowieka jego stanu; nieraz

wychodził zlany potem z sal ćwiczeń, gdzie uczył się pod kierunkiem najlepszych mistrzów. Nie należał więc do tych, co trzymają szpadę jak miotłę — według pogardliwego wyrażenia, którym Lampourde określał niezręcznych szermierzy, jego zdaniem profanujących tę sztukę.

Wiedząc, jak niebezpieczny jest jego przeciwnik, młody książę ograniczał się do obrony, parował ciosy i nie uderzał. Spodziewał się zmęczyć Sigognaca, już i tak wyczerpanego atakiem na zamek i pojedynkiem z Malartikiem, którego odgłosy można było słyszeć poprzez drzwi. Odpierając ataki barona, lewą ręką szukał na piersi srebrnego gwizdka wiszącego na łańcuszku; podniósł go do ust i zagwizdał przeciągle i ostro. Ten ruch mógł księcia drogo kosztować — szpada barona o mało nie przygwoździła mu ręki do ust, ale podbita nieco spóźnioną ripostą, drasnęła tylko palec. Vallombreuse wrócił do obrony. Spoglądał dziko jak czarnoksiężnik rzucający uroki albo bazyliszek, którego wzrok zabija; szatański uśmiech wykrzywił kąciki jego ust. Biło od niego zadowolone z siebie okrucieństwo. Nie odsłaniając się, parł na Sigognaca, zadając mu pchnięcia za każdym razem parowane.

Malartic, Lampourde i Scapin patrzyli z podziwem na ten interesujący pojedynek, od którego zależał los całej bitwy, skoro wodzowie obu stron sami walczyli ze sobą. Scapin przyniósł nawet lichtarze z drugiego pokoju, aby szermierzom było widniej. Dowód wzruszającej uwagi!

— Książątko nieźle sobie daje radę — stwierdził Lampourde jako bezstronny znawca rzemiosła — nie przypuszczałem, że jest zdolny do takiej obrony, ale jeżeli zaatakuje, to przegrał. Do diabła, ta półkolista parada jest za szeroka. Nie mówiłem? Szpada przeciwnika przechodzi w odsłoniętym miejscu. Vallombreuse dostał. Nie, cofnął się w porę.

W tej samej chwili dał się słyszeć tumult nadchodzących kroków. Otworzyły się drzwi i pięciu czy sześciu uzbrojonych lokajów wpadło z impetem do pokoju.

— Wynieście kobietę — rozkazał Vallombreuse — i zaatakujcie tych hultajów. Ja się rozprawię z kapitanem — po czym podbiegł do niego z podniesioną szpadą.

Wtargnięcie służby zaskoczyło Sigognaca. Słabiej teraz trzymał rękojeść szpady, gdyż patrzył na zupełnie omdlałą Izabelę, którą dwóch lokajów ciągnęło ku schodom; w końcu szpada Vallombreuse'a drasnęła mu rękę. Przywołany tym skaleczeniem do rzeczywistości, zadał księciu głębokie pchnięcie, które dosięgło go ponad obojczykiem; Vallombreuse za-chwiał się.

Tymczasem Lampourde i Scapin godnie przyjmowali lokajów; Lampourde szpikował ich swą długą szpadą jak szczury. Scapin bił po głowach kolbą podniesionego z podłogi pisto-letu. Widząc, że pan jest ranny i, stojąc pod ścianą, opiera się na rękojeści szpady, z twarzą sinoblada, podłe i tchórzliwe fagasy porzuciły pole walki. Co prawda Vallombreuse nie zdo-był przywiązania swej służby, gdyż był dla niej tyranem i traktował ją z niesamowitą bruta-łnością.

— Do mnie, łajdaki, do mnie! — jęczał słabnącym głosem. — Czy zostawicie waszego księcia bez pomocy?

Kiedy to wszystko się działo, Herod szedł tak szybko, jak mu na to pozwalała jego tusza, po wielkich schodach, gdzie od chwili przybycia Vallombreuse'a do zamku płonęła wielka, ozdobna latarnia, zawieszona jedwabnym sznurze. Dotarł właśnie do pierwszego piętra, gdy lokaje unosili Izabelę z rozwianym włosiem, bladą i jakby martwą. Przypuszczając, że za opór przeciw zamachom na jej cnotę młody książe zabił ją lub kazał zabić, rozwście-czony tą myślą Herod zaczął drabów okładać pałką; ci zaś zaskoczeni nagłą napaścią, przeciw

której nie mogli się bronić mając zajęte ręce, puścili swą ofiarę i uciekli, jakby diabeł następował im na pięty. Herod pochylił się i podniósł Izabelę, położył jej głowę na swych kolanach, po czym stwierdził, że serce jeszcze bije. Spostrzegł, że nie jest wcale ranna i że zaczyna lekko oddychać jak człowiek, któremu wraca świadomość.

W tej postawie zastał go niebawem Sigognac. Rozprawił się już z Vallombreuse'em za pomocą strasznego pchnięcia, tak podziwianego przez Lampourde'a. Baron ukląkł przy ukochanej, ujął jej ręce i głosem, który Izabela słyszała niewyraźnie, jakby dochodził do niej z głębi snu, powiedział:

— Uspokój się, najdroższa, i nie lękaj się niczego. Jest pani w rękach przyjaciół i nikt już teraz pani nie skrzywdzi.

Izabela nie otwierała jeszcze oczu, ale słaby uśmiech zakwitł na jej bladych wargach i białe palce, wilgotne od zimnego potu, ścisnęły lekko rękę Sigognaca. Lampourde spoglądał z rozczuleniem na ten wzruszający obrazek, gdyż był człowiekiem romansowym i uważał się za wybitnego znawcę sercowych spraw.

Nagle w ciszy, która nastąpiła po zgiełku bitwy, zabrzmiał władczy głos rogu. Po kilku chwilach powtórzył się, ostry i przeciągły. Był to rozkaz pana, żądający posłuszeństwa. Zgrzytneły łańcuchy i głuchy łoskot oznajmił opuszczenie mostu zwodzonego; koła zadudniły pod sklepieniem, w oknach wychodzących na dziedziniec zabłyśły czerwone światła pochodni płonących w różnych miejscach podwórza. Drzwi przedsionka otworzyły się z trzaskiem i szybkie kroki rozległy się wśród ciemnych ścian klatki schodowej.

Niebawem ukazało się czterech lokajów w galowej liberii, niosących zapalone świece z tym kamiennym spokojem na twarzach i niemą gorliwością, jakie cechują służbę w wielkich domach. Za nimi szedł człowiek wyglądający bardzo dostojnie, ubrany od stóp do głów w czarny aksamit

naszywany dżetami. Order, nadawany tylko monarchom oraz najwybitniej-szym osobistościom, zdobił jego pierś, lśniąc na ciemnym tle materii. Przybywszy na górę, lokaje ustawili się pod ścianą jak posągi ze świecznikami w rękach; ani jednym drgnieniem powiek, żadnym najlżejszym choćby ruchem nie zdradzili, że widzą dość dziwną scenę roz-grywającą się przed ich oczami. Ponieważ ich pan jeszcze nie przemówił, nie mogli mieć o tym swego zdania.

Mężczyzna w czerni zatrzymał się na progu. Choć wiek pokrył zmarszczkami jego czo-ło i policzki, teraz już pożółkłe, choć przyprószył włosy siwizną, można w nim było jeszcze rozpoznać twarz z portretu, który przyciągał spojrzenia zrozpaczonej Izabeli i do którego zwracała się o pomoc jak do przyjaciela. Był to stary książę, ojciec Vallombreuse'a *.

Na widok Izabeli podtrzymywanej przez Sigognaca i bladej, jakby już nie żyła, książę z westchnieniem podniósł rękę do nieba.

— Przybyłem za późno — rzekł — choć spieszyłem się bardzo — i, schyliwszy się ku młodej aktorce, ujął jej bezwładną rękę.

Na tej ręce, białej, jakby była rzeźbiona w alabastrze, świecił na serdecznym palcu pierścień z dużym ametystem. Stary pan zdawał się być dziwnie wstrząśnięty widokiem tego sygnetu. — Zdjął go z palca Izabeli z konwulsyjnym drżeniem, dał znak jednemu z lokajów niosących świeczniki, żeby się zbliżył, i przy lepszym teraz świetle odcyfrował herb wyryty w

* ...książę, ojciec Vallombreuse'a — Vallombreuse nie jest nazwiskiem rodzowym. Zgodnie z dawnym zwyczajem arystokracji młody książę za życia ojca używa jako nazwiska nazwy jednej z rodzinnych posiadłości. Aż do końca książki nie dowiadujemy się, jak brzmi nazwisko rodowe

Vallombreuse'a. Gautier naśladowuje w ten sposób dyskrekcję starych powieściopisarzy, którą dyktowała po części ostrożność w używaniu znanych nazwisk, przede wszystkim zaś chęć podniecenia ciekawości czytelników.

kamieniu, następnie odsunął go od siebie, aby jego starczy wzrok mógł dokładnie rozpoznać szczegóły.

Sigognac, Herod oraz Lampourde niespokojnie śledzili niezrozumiałe gesty księcia i zmiany jego fizjonomii na widok tego klejnotu, który wydawał się dobrze mu znany. Obracał go w rękę, jakby broniąc się przed jakąś przykrą myślą.

— Gdzie jest mój syn?! — zawołał wreszcie donośnym głosem. — Gdzie jest ten po-twór, niegodny mego rodu?

Rozpoznał w sposób nie dopuszczający żadnej już wątpliwości sygnet z wymyślonym przez siebie herbem, którym pieczętował niegdyś listy pisane do Kornelii, matki Izabeli. Jaką drogą znalazł się ten pierścień na palcu młodej aktorki porwanej przez Vallombreuse'a i od kogo go dostała? „Czyżby to była córka Kornelii i moja? — myślał książę. — Zawód aktorki, jej wiek, twarz, w której odnajduję rysy przypominające jej matkę, wszystko za tym przemawia. A więc ten przekłety rozpustnik prześladował swoją własną siostrę — to miłość kaziro-dcza. Ach, okrutnie jestem ukarany za mą dawną winę!”

Izabela otworzyła w końcu oczy i pierwsze jej spojrzenie padło na księcia trzymającego w rękę pierścień. Wydało się jej, że już widziała tę głowę, ale jeszcze młodą i nie posiwiłą. Można by powiedzieć, że to postarzała kopia portretu nad kominkiem. Na jej widok uczucie głębokiej czci ogarnęło serce Izabeli. Zobaczyła też koło siebie dzielnego Sigognaca i poczciwego Heroda, obu całych i zdrowych; po gwałtownych wzruszeniach walki przyszło uczucie spokoju i wyzwolenia. Nie miała już powodu lękać się o siebie ani o przyjaciół. Podnosząc się nieco, schyliła głowę przed księciem, który

patrzył na nią z wyteżoną uwagą i zdawał się szukać w rysach dziewczyny podobieństwa do istoty niegdyś mu drogiej.

— Po kim ma pani ten pierścień, który mi nasuwa pewne wspomnienia? Czy dawno jest w pani posiadaniu? — zapytał stary pan wzruszonym głosem.

— Mam go od dzieciństwa i jest to jedyny spadek po mojej matce — odpowiedziała Izabela.

— A kim była pani matka, co robiła? — zapytał księżę z rosnącą ciekawością.

— Na imię miała Kornelia — odpowiedziała skromnie Izabela — była biedną aktorką prowincjonalna i grała role królowych i księżniczek w zespole, do którego ja teraz należę.

— Kornelia! A więc nie ma już wątpliwości — rzekł wstrząśnięty księżę — tak, to ona.

Ale opanowując wzruszenie, przybrał z powrotem ton majestatyczny i spokojny.

— Niech mi pani pozwoli zachować ten pierścień. Oddam go, kiedy będzie pani potrzebny.

— Nic złego nie stanie mu się w rękach waszej wysokości — odrzekła młoda aktorka i w jej mglistych wspomnieniach z dzieciństwa odżyła twarz pochylona nad jej kołyską.

— Panowie — rzekł księżę utkwivszy jasne i stanowcze spojrzenie w Sigognacu i jego towarzyszach. — We wszystkich innych okolicznościach mógłbym uważać, że dziwna jest wasza zbrojna obecność w moim zamku, ale znam powód, który kazał wam wtargnąć w te miejsca dotychczas szanowane. Gwałt wywołuje i usprawiedliwia gwałt. Zamykam więc oczy na to, co się stało. Ale gdzież jest księżę Vallombreuse, ten syn wyrodny, który hańbi moją starość?

Jakby odpowiadając na wezwanie ojca, Vallombreuse stanął w tej chwili na progu komnaty, podtrzymywany przez Malartica; był straszliwie blady i ręką kurczowo przyciskał do piersi chustkę. Szedł wprawdzie, ale tak, jak chodzą duchy,

nie podnosząc stóp. Tylko ogro-mny wysiłek woli, który nadawał jego rysom nieruchomość marmurowej maski, trzymał go na nogach. Usłyszał głos ojca, którego jeszcze się bał, mimo swego zdeprawowania, i miał nadzieję, że ukryje swą ranę. Zagryzł wargi, aby nie krzyczeć, i połykał krwawą pianę, która pokazywała mu się w kącikach ust; zdjął nawet kapelusz, mimo okropnego bólu, jaki mu sprawiło podniesienie ramienia, i stał tak z gołą głową, milczący.

— Mój panie — rzekł ojciec — twoje wybryki przekraczają wszelkie granice; będę musiał prosić króla o łaskę uwięzienia cię lub skazania na dożywotne wygnanie. Porwanie i gwałt to już nie są miłostki i jeżeli mogę darować błędy rozpustnej młodości, nie usprawiedli-wię nigdy zbrodni przemyślanej na zimno. Czy wiesz, potworze — ciągnął zbliżając się do Vallombreuse'a i szepcząc mu do ucha, aby go nie słyszał nikt inny — czy wiesz, kim jest dziewczyna, którą porwałeś wbrew jej cnotliwemu oporowi? To jest twoja siostra!

— Oby mogła zastąpić ci syna, którego właśnie tracisz — odpowiedział Vallombreuse słabnąc tak, że na jego posiniałą twarz wystąpiły poty agonii. — Nie jestem jednak tak winny, jak myślisz. Izabela jest czysta, zaświadczam to wobec Boga, przed którym staję. Śmierć nie zwykła kłamać i można uwierzyć słowu konającego szlachcica.

Zdanie to zostało wypowiedziane dość głośno, aby je mogli usłyszeć wszyscy. Izabela zwróciła swe piękne oczy, mokre od łez, ku Sigognacowi i dojrzała na twarzy tego młodzień-ca, który był wzorem kochającego mężczyzny, że nie czekał na przedśmiertne świadectwo Vallombreuse'a, aby uwierzyć w cnotę swej ubóstwianej.

— Cóż ci jest? — zapytał stary książę wyciągając ręce ku synowi, który omal nie upadł, choć Malartic go podtrzymał.

— Nic, ojcie — odpowiedział Vallombreuse głosem ledwie dosłyszalnym. — Nic... Umieram... — i padł na kamienne płyty posadzki, tak iż nawet Malartic nie mógł go utrzymać.

— Nie przewrócił się na twarz — oświadczył sentencjonalnie Lampourde — więc to tylko omdlenie. Może się jeszcze z tego wygrzebać. My, ludzie szpady, znamy te sprawy lepiej niż doktorzy czy aptekarze.

— Lekarza! Lekarza! — zawołał książę zapominając o swym gniewie. — Może jest jeszcze jakaś nadzieja. Dam majątek temu, kto ocali mojego syna, ostatniego potomka rodu. Na co czekacie? Biegnijcie, prędko!

Dwaj posągowi lokaje, którzy oświecali tę scenę świecznikami, nie mrugnawszy nawet okiem, odskoczyli od ściany, aby pospiesznie wykonać rozkazy pana.

Inni służący podnieśli młodego Vallombreuse'a ze wszystkimi możliwymi środkami ostrożności. Na rozkaz ojca przenieśli rannego do jego pokoju i umieścili na łóżku.

Stary pan śledził ten smutny orszak spojrzeniem, w którym ból zajął miejsce gniewu. Wyobrażał sobie, że ród jego umiera, kończy się razem z tym synem, którego jednocześnie kochał i nienawidził. Zapomniał w tej chwili o złych cechach jego charakteru i pamiętał tylko zalety. Ogarnął go głęboki smutek i przez kilka minut trwał w milczeniu, które wszyscy uszanowali.

Izabela, całkiem już wróciwszy do sił, stała ze spuszczonej oczami obok Sigognaca i Heroda, porządkując wstydliwie nieład swego stroju. Lampourde i Scapin zajęli miejsca nieco w tyle jak drugoplanowe figury na obrazie, a zza drzwi wyglądały głowy zaciekawionych bandytów, którzy wzięli udział w walce i byli niezbyt spokojni o swój los, bojąc się, czy nie pójdą na galery albo na szubienicę za to, iż pomagali Vallombreuse'owi w jego niecznych poczynaniach.

Stary książę przerwał wreszcie to męczące milczenie i rzekł:

— Wynoście się zaraz z zamku, wy wszyscy, którzyście oddali wasze szpady na służbę złych namiętności mego syna. Jestem szlachcicem, nie chcę pełnić obowiązków policji i kata. Uciekajcie mi stąd natychmiast, wracajcie do swych kryjówek. Sprawiedliwość i tak was odnajdzie.

Przemówienie to nie odznaczało się tkliwością, ale nie na miejscu byłaby zbyt wielka drażliwość. Bandyci, których Lampourde uwolnił z więzów na początku tej sceny, odeszli z Malartikiem na czele, nie upominając się o resztę należności.

Po ich odejściu ojciec Vallombreuse'a wziął Izabelę za rękę i, przygarnawszy ją do siebie, rzekł:

— Proszę tu zostać; twoje miejsce jest odtąd przy mnie. Powinnaś mi przynajmniej zwrócić córkę, skoro mi zabierasz syna.

Otarł łzę, która mimo woli zawisła mu na powiece, po czym zwracając się do Sigogna-ca, z gestem niezrównanej szlachetności rzekł:

— Może pan odejść razem z towarzyszami. Izabela nie ma się czego lękać u swego ojca, ten zamek będzie odtąd jej mieszkaniem. Teraz, gdy znane jest jej urodzenie, nie wypada, żeby wracała do Paryża. Płacę zresztą wysoką cenę za prawo zatrzymania jej. Dziękuję panu, choć mnie pan pozbawił nadziei przedłużenia mego rodu, dziękuję, że oszczędziłeś me-mu synowi czynu haniebnego, co mówię — potwornego! Wolę, żeby mój herb był splamiony krwią niż błotem. Skoro Vallombreuse był nikczemnikiem, dobrze zrobiłeś zabijając go; działał pan jak prawdziwy szlachcic, chroniąc słabość, niewinność i cnotę. To było pańskie prawo. Honor mojej ocalonej córki okupuje śmierć jej brata. Oto co mi mówi rozum, ale moje ojcowskie serce przeciwstawia się temu i mogłoby mną owładnąć niesłuszne pragnienie zemsty.

Proszę zniknąć; nie nakażę żadnego pościgu i postaram się zapomnieć, że bezwzględna konieczność skierowała pańską szpadę w pierś mojego syna!

— Wasza dostojność — odrzekł Sigognac tonem najgłębszego szacunku — przyznaję boleści ojca prawa tak wielkie, że w milczeniu przyjąłbym najbardziej krwawe i gorzkie słowa gniewu, choć w tym fatalnym zbiegu okoliczności sumienie nic mi nie wyrzuca. Nie chciałbym dla usprawiedliwienia się w pańskich oczach powiedzieć czegoś, co by oskarżało nieszczęsnego księcia, ale proszę mi wierzyć, że go wcale nie szukałem, że sam stanął mi na drodze i że w niejednym spotkaniu zrobiłem wszystko, aby go oszczędzić. Nawet i tu tylko jego nieprzytomna wściekłość sprawiła, iż stał się ofiarą mej szpady. Zostawiam w pańskich rękach Izabelę, która jest mi droższa niż życie, i odchodzę na zawsze, zrozpaczony tym smutnym zwycięstwem, które jest dla mnie prawdziwą klęską, gdyż zabiera mi moje szczęście. O ileż byłoby lepiej, gdybym padł i stał się ofiarą, zamiast być zabójcą!

Powiedziawszy to, Sigognac złożył księciu ukłon, rzucił Izabeli spojrzenie pełne miłości i smutku i zszedł po schodach razem ze Scapinem i Lampourde'em. Niejednokrotnie odwracał się i widział dziewczynę opartą o barierę w obawie przed omdleniem i podnoszącą chusteczkę do oczu pełnych łez. Co opłakiwała? Śmierć brata czy odejście Sigognaca? Sądzi-my, że to drugie, gdyż niechęć, jaką w niej budził Vallombreuse, nie mogła jeszcze zmienić się w czułość pod wpływem nagle odkrytego pokrewieństwa. W każdym razie baron, choć skromny, też tak myślał i — jak dziwne jest serce ludzkie! — odszedł pocieszony łzami tej, którą kochał.

Sigognac i jego towarzysze wyszli przez most zwodzony i idąc wzdłuż fosy, aby zabrać konie pozostawione w małym

lasku, usłyszeli głos wydobywający się z wody w miejscu, gdzie leżało przewrócone drzewo. Był to portier, który nie mógł się wydostać ze splątanych gałęzi i błagalnie wołał o pomoc. Tylko głowa wystawała mu nad wodę i połykanie tego mdłego płynu, którego nienawidził bardziej niż diabła, groziło mu za każdym razem, gdy otwierał usta wołając ratunku. Scapin, który był bardzo zwinny, dostał się na drzewo i niebawem wyłowił przemoczonego portiera okrytego wodorostami.

Konie czekały w kryjówce i po chwili dziarsko uniosły całą kompanię w stronę Paryża.

— Co pan myśli, baronie, o tych wszystkich wydarzeniach? — rzeki Herod do Sigogna-ca, który jechał koło niego. — Wszystko się układa jak w tragikomedii. Któż by oczekiwał w czasie całej tej awantury, że poprzedzony lichtarzami wkroczy ojciec i będzie chciał położyć kres zbyt swobodnym wybrykom swojego synalka? A to rozpoznanie Izabeli dzięki sygneto-wi z herbem? Czy nie widzieliśmy takich rzeczy w teatrze? Zresztą, jeżeli teatr jest obrazem życia, to życie powinno być do niego podobne jak oryginał do portretu. Zawsze słyszałem w naszym zespole, że Izabela jest szlachetnie urodzona. Blazjusz i Leonarda pamiętają nawet księcia z czasów, kiedy zalecał się do Kornelii. Leonarda namawiała nieraz dziewczynę, żeby odszukała swego ojca. Ale Izabela, łagodna i wstydliwa z natury, nie zrobiła nic w tym kierunku. Nie chciała narzucać się rodzinie, która może nie przyznałaby się do niej. Wystarczył jej skromny los aktorki.

— I ja wiedziałem o tym — odparł Sigognac. — Nie przywiązując zresztą zbyt wielkiej wagi do tego świetnego pochodzenia, Izabela opowiedziała mi historię swojej matki i mówiła o pierścieniu. Ale cóż to za fatalność, że właśnie ten przeklęty Vallombreuse był jej bratem. Między nami stoi teraz trup, rozdziela nas strumień krwi, a przecież mogłem ocalić jej

honor tylko przez tę śmierć. Jakiż jestem nieszczęśliwy! Sam stworzyłem przeszkodę, przez którą musi umrzeć moja miłość, i zabiłem moją nadzieję szpadą, która broniła mego dobra. Aby zachować to, co kocham, odbieram je sobie na zawsze. Z jakimże czołem mógłbym stanąć teraz przed Izabelą noszącą żalobę — ja, który mam ręce czerwone od krwi? Niestety! Krew, którą przelałem dla jej własnej obrony, była krwią jej brata! Gdyby mi nawet przebaczyła i patrzyła na mnie bez wstrętu, książę, który ma teraz wobec niej prawa ojcowskie, odepchnął-by z przekleństwem mordercę swego syna. Och, urodziłem się pod nieszczęśliwą gwiazdą!

— To wszystko jest niewątpliwie bardzo smutne — odpowiedział Herod — ale historia Cyda i Szymeny była jeszcze bardziej powikłana, jak to widać ze sztuki pana de Corneille'a *, a jednak, po wielu konfliktach między miłością a obowiązkiem, wszystko się ostatecznie ułożyło. Vallombreuse jest tylko przyrodnim bratem Izabeli. Nie pochodzą od jednej matki i znali się jako krewni tylko kilka minut, co bardzo zmniejsza boleść. Zresztą nasza młoda przyjaciółka nienawidziła jak zarazy tego zwariowanego arystokraty, który ją prześladował skandalicznie gwałtownymi zalotami. Sam książę nie był wcale zadowolony ze swego syna, który był okrutny jak Neron, rozpustny jak Heliogabal **, przewrotny jak szatan i wisiałby dwadzieścia razy, gdyby nie był księciem. Niech więc pan tak nie rozpacza. Sprawy przybiorą może lepszy obrót, niż pan myśli.

— Oby Bóg tak zechciał, mój drogi Herodzie, ale ja nigdy nie mam szczęścia. Pech i złe, garbate wróżki kierują moim losem. Byłoby naprawdę szczęściem dla mnie, gdybym zginął, skoro przybycie ojca mogło uratować cnotę Izabeli bez śmierci Vallombreuse'a. A poza tym, szczerze mówiąc, strasznie mi się zrobiło i poczułem mróz aż w szpiku kości, kiedy zobaczyłem, jak ten piękny młodzieniec, dopiero co

pełen życia i namiętności, leży u moich stóp sztywny, zimny i blady. Herodzie, śmierć człowieka to sprawa poważna i choć nie mam wyrzutów sumienia, bo nie popełniłem zbrodni, widzę jeszcze Vallombreuse'a leżącego z rozrzuconymi włosami na marmurowych schodach i z czerwoną plamą na piersiach.

— To są tylko przywidzenia — rzekł Herod — zabił go pan według wszelkich reguł. Sumienie pańskie może być spokojne. Przejazdówka galopem rozproszy te skrupuły, które ro-dzi gorączka i dreszcz nocy. O czym trzeba szybko pomyśleć, to o porzuceniu Paryża i dosta-niu się do jakiejś kryjówki, gdzie by o panu zapomniano. Śmierć Vallombreuse'a narobi ha-łasów na dworze i w całym Paryżu, choćby ją starannie ukrywano. I aczkolwiek wcale nie był lubiany, mogliby zacząć pana ścigać. A więc nie bawiąc się w dalsze rozmowy, popędźmy nasze konie, zwińmy prędzej tę monotennie szarą wstęgę gościńca, która między dwoma szpalerami mioteł rozciąga się przed nami w zimnym świetle księżyca.

Konie spięte ostrogami pomknęły żywo. My zaś tymczasem wrócmy na zamek, tak spokojny teraz, jak niedawno był hałaśliwy, i wejdźmy do pokoju, gdzie służba złożyła Vallombreuse'a. Wieloramienny świecznik ustawiony na okrągłym stoliku oświetlał młodego księcia, który leżał na łóżku nieruchomy jak trup i wydawał się jeszcze bledszy na karmazynowym tle firanek, w czerwonych odbłyśkach jedwabiu.

Izabela stała przy łóżku, modląc się z uniesieniem za tego brata, którego śmierć bezwie-dnie spowodowała i który odpokutował życiem za zbrodnię zbyt gorącej miłości; zbrodnię,

* ...historia Cyda i Szymeny była jeszcze bardziej

powikłana — sytuacja Sigognaca w tej chwili rzeczywiście przypomina „Cyda” Corneille'a; występując w obronie honoru swojego ojca, Cyd zabił w pojedynku ojca ukochanej Szymeny i utracił wskutek tego nadzieję, że będzie ją mógł poślubić.

** Heliogabal — cesarz rzymski z III w. n.e., podobnie jak wcześniejszy od niego Neron niesławnie zapisany w historii rozkładającego się Imperium Rzymskiego.

którą kobiety przebaczą chętnie, zwłaszcza gdy są jej przedmiotem.

— A lekarz wciąż nie przychodzi! — rzekł niecierpliwie stary książę. — Może jest jeszcze jaki ratunek?

Kiedy wymawiał te słowa, drzwi się otwarły i wszedł chirurg w towarzystwie ucznia, który niósł instrumenty. Złożywszy lekki ukłon i nie mówiąc ani słowa, lekarz podszedł do łóżka młodego księcia, zbadał mu puls, położył rękę na sercu i potrząsnął głową ze zniechęceniem. Aby jednak dodać swemu orzeczeniu naukowej pewności, wydobyl lusterko z polerowanej stali i zbliżył je do warg Vallombreuse'a, po czym uważnie spojrzal na lśniący metal. Lekka mgiełka osiadła na jego powierzchni. Zdziwiony lekarz powtórzył doświadczenie. Mgiełka znowu pokryła stal. Izabela i książę śledzili z lękiem ruchy chirurga, którego twarz trochę się rozchmurzyła.

— Życie niezupełnie zagasło — rzekł wreszcie, zwracając się do księcia i wycierając lusterko. — Ranny jeszcze oddycha, a jak długo śmierć nie położyła swego palca na chorym, jest jeszcze nadzieja. Jednakże nie oddawajcie się przedwczesnej radości, która by później uczyniła wasz ból bardziej dotkliwym. Powiedziałem, że książę de Vallombreuse nie wydał dotąd ostatniego tchnienia, to wszystko. Od tego do wyzdrowienia jeszcze daleko. Teraz zbadam ranę, która może nie jest śmiertelna, skoro nie zabiła go na miejscu.

— Nie patrz na to, Izabelo — rzekł ojciec Vallombreuse'a.
— Widok taki jest zbyt wstrząsający i bolesny dla młodej dziewczyny. Dowiesz się o wszystkim, kiedy lekarz skończy badanie.

Dziewczyna wyszła odprowadzona przez lokaja do innej komnaty — tej, gdzie niedawno stoczyła się walka.

Przy pomocy swego ucznia chirurg rozpiął kaftan i koszulę Vallombreuse'a. Odślonił pierś bladą jak marmur, na której widniała mała, trójkątna rana i kilka kropel krwi. Krwawienie było nieznaczne — wylew nastąpił do środka.

Kapłan Eskulapa * otworzył ranę i zaczął ją sondować.

Lekkie drgnienie przebiegło po twarzy pacjenta, miał on wciąż oczy zamknięte i leżał nieruchomo jak posąg na grobowcu w rodzinnej kaplicy.

— To dobry znak — rzekł chirurg obserwując bolesny skurcz. — Cierpi, więc żyje. Ta wrażliwość jest szczęśliwą wróżbą.

— Prawda, że będzie żył? — zapytał książę. — Jeżeli pan go ocali, uczynię pana bogatym, urzeczywistnię wszystkie pańskie pragnienia. Dostanie pan, czego pan tylko zażąda.

— Niech się książę tak nie spieszy — rzekł lekarz. — Na razie nie odpowiadam za nic. Szpada przeszła górną część prawego płuca. Przypadek jest ciężki, bardzo ciężki. Ale ponieważ pacjent jest młody, zdrowy i tak silny, że gdyby nie ta przeklęta rana mógłby żyć sto lat, kto wie, może z tego wyjdzie, jeśli nie nastąpią jakieś nieprzewidziane powikłania; czasem zdarza się w takich przypadkach wyzdrowienie. Natura u młodych jest taka żywotna! Za pomocą ciętych baniek spróbuję oczyścić pierś z krwi, która wylała się do środka i w końcu udusiłaby księcia, gdyby nie dostał się szczęśliwie w ręce człowieka nauki, o co nie jest łatwo w tych wsiach i zamkach dalekich od Paryża. No, trutniu — zwrócił się do ucznia — zamiast gapić się na mnie jak na tarczę

zegara, przygotuj kompresy i bandaże, żebym mógł zrobić pierwszy opatrunek.

Skończywszy zabieg, chirurg rzekł do księcia:

— Może wasza wysokość zechce zarządzić, żeby nam ustawiono łóżko polowe w kącie pokoju i podano lekką kolację, gdyż na zmianę z moim uczniem będziemy czuwać przy młodym księciu. Jest rzeczą ważną, abym był tutaj, śledził wszelkie objawy, zwalczał niekorzystne i pomagał pomyślnym. Proszę mieć do mnie zaufanie i wierzyć, że wszystko, co wiedza ludzka może zrobić dla ocalenia życia, będzie zrobione z odwagą i rozsądkiem. Proszę wrócić

* Eskulap — syn Apollina, bóg lekarzy.

do swych apartamentów, odpowiadam za życie rannego... aż do jutra.

Nieco uspokojony tym zapewnieniem, ojciec Vallombreuse'a udał się do siebie, gdzie lokaj co godzinę przynosił mu wiadomości o stanie młodego księcia.

Izabela odnalazła w nowym pokoju, który jej przydzielono, tę samą co przedtem służącą, ponurą i dziką, która czekała na nią, aby ją rozebrać; była teraz zupełnie zmieniona.

Oczy jej błysnęły jasno i wyraz zaspokojonej nienawiści bił z bladej jej twarzy. Nareszcie doczekała się pomszczenia jakiejś nieznannej krzywdy, którą długo dławiała w zimnej i bezsilnej wściekłości; nieme widmo przeobraziło się w żywą kobietę. Czesła piękne włosy Izabeli z ledwo ukrywaną radością, usłużnie pomagała włożyć szlafrok, ukłękła zdejmując jej trzewiki; była teraz tak przyjaźnie nastrojona jak przedtem wroga. Wargi, niedawno milczące, drgały od pytań, które z trudem powstrzymywała. Ale Izabela, przejęta burzliwymi wypadkami wieczoru, nie zwróciła na to uwagi; nie dostrzegła też zmarszczenia brwi i gniewnego wyrazu jej

twarży, gdy służący przyszedł powiedzieć, że jest jeszcze nadzieja uratowania młode-go księcia.

Na tę wiadomość radość znikła z pociemniałego znowu oblicza pokojówki, które nie rozpogodziło się aż do chwili, kiedy młoda kobieta odprawiła ją życzliwym skinieniem.

Leżąc w miękkim łóżku, jakby stworzonym na ołtarz Morfeusza, choć sen nie spieszył jej nawiedzić, Izabela chciała zdać sobie sprawę z uczuć, jakie w niej wzbudzał ten niespo-dziewany zwrot w jej losach. Nagle zauważyła Chiquitę, która, stojąc u nóg łóżka, przygląda-ła się jej milcząca i zamyślona.

— Czego chcesz, drogie dziecko? — zapytała Izabela łagodnym głosem. — Nie poje-chałaś z nimi? Jeżeli chcesz zostać ze mną, chętnie cię zatrzymam, bo oddałaś mi wielkie usługi.

— Kocham cię bardzo — odrzekła Chiquita — ale nie mogę zostać z tobą, dopóki Ago-styn żyje. Na szpadach z Albacete jest napisane: „Soy de un dueno”, co znaczy: „Mam tylko jednego pana”. To są piękne słowa, godne niezawodnej stali. Ale chciałam cię o coś prosić. Jeżeli uważasz, że już zapłaciłam za naszyjnik, pocałuj mnie. Nigdy jeszcze nikt mnie nie pocałował. To musi być bardzo przyjemne.

— Och, z całego serca! — zawołała Izabela obejmując rękami głowę dziewczynki i całując jej ciemne policzki, które wzruszenie pokryło rumieńcem.

— A teraz do widzenia! — rzekła Chiquita odzyskawszy swój zwykły spokój.

Miała już odejść, tak jak przyszła, gdy spostrzegła na stole sztylet, którym młoda akto-rka miała według jej wskazówek bronić się przed Vallombreuse'em. Powiedziała do Izabeli:

— Oddaj mi mój nóż, już ci nie jest potrzebny.

I znikła.

ROZDZIAŁ XVIII

W RODZINIE

Chirurg zaręczył za życie Vallombreuse'a do dnia następnego. Jego obietnica ziściła się. Kiedy poranek zajrzał do pokoju, gdzie panował nieład i na stołach leżały zakrwawione ban-dażę, ranny jeszcze oddychał. Gdy stary książę ukazał się w drzwiach, mistrz Wawrzyniec podszedł do niego tym cichym krokiem, którym stąpają ludzie mający do czynienia z chorym, i odciągnawszy go na stronę, rzekł:

— Wasza wysokość widzi, że stan młodego księcia nie tylko się nie pogorszył, ale nawet poprawił. Nie jestem jeszcze zupełnie pewny, czy go uratuję, jeżeli jednak nie znajdą powikłania, którym wszelkimi siłami staram się zapobiec, myślę, iż wyjdzie z tego i będzie mógł żyć długie lata, zgodnie ze swoim świetnym przeznaczeniem, jakby nigdy nie był ranny.

Żywe uczucie ojcowskiej radości rozjaśniło twarz księcia, ale kiedy skierował się w głąb pokoju, aby ucałować syna, mistrz Wawrzyniec z szacunkiem położył mu rękę na ramieniu i zatrzymał go.

— Proszę mi pozwolić, abym się przeciwstawił temu tak naturalnemu pragnieniu; doktorzy są często bardzo nieprzyjemni, bo medycyna w swojej surowości nie ma równej so-bie *. Błagam, niech książę nie wchodzi. Widok waszej wysokości, miły i groźny zarazem, mógłby w tym stanie osłabienia, w jakim się chory znajduje, wywołać niebezpieczny kryzys. Wszelkie wzruszenie byłoby dla niego

fatalne i mogłoby zerwać tę delikatną nić, którą go połączyłem z życiem. W ciągu kilku dni rana się zablizni i siły zaczną wracać, wtedy będzie mógł książę do woli i bez ryzyka cieszyć się oglądaniem syna.

Uspokojony książę uznał słuszność argumentów chirurga i wrócił do swego apartamentu, gdzie się zajął pobożną lekturą aż do południa, to jest do chwili, kiedy majordomus przyszedł oznajmić, że „obiad jego wysokości jest podany”.

— Proszę powiedzieć mojej córce, hrabiance Izabeli de Lineuil — bo taki tytuł będzie odtąd nosiła — żeby zechciała zejść na obiad — rzekł książę do majordoma, który pospiesznie wykonał ten rozkaz.

Gdy Izabela weszła, książę już siedział na krześle, którego wysokie oparcie tworzyło rodzaj baldachimu. Za nim stali dwaj lokaje w galowej liberii. Młoda dziewczyna złożyła ojcu ukłon pełen skromności, który wcale nie przypominał teatru i który by pochwaliła każda wie-lka dama. Służący podsunął krzesło, na którym Izabela usiadła bez zakłopotania naprzeciw księcia w miejscu przez niego wskazanym.

Wzruszona ostatnimi wypadkami, olśniona zarazem i zakłopotana nagłą odmianą losu, niespokojna o ciężko rannego brata, zatrwożona o los ukochanego Sigognaca, zaledwie dotykała postawionych przed nią potraw,

— Nic nie pijesz i nie jesz, hrabianko — rzekł książę. — Weź przynajmniej to skrzydło kuropatwy.

Słyszając tytuł hrabianki, wypowiedziany tonem serdecznym i poważnym, Izabela skierowała ku księciu swe piękne oczy z wyrazem nieśmiałego pytania.

— Tak, hrabianko de Lineuil; to jest nazwa posiadłości, którą ci daję, gdyż imię Izabeli, choć śliczne, przystoi mojej córce tylko wtedy, kiedy nie jest samo.

Posłuszna gwałtownemu impulsowi serca Izabela podniosła się, obeszła stół i, klękając koło księcia, ucałowała

jego rękę w dowód wdzięczności.

— Podnieś się, moja córko — rzekł wzruszony książę — i wróć na swoje miejsce. To, co robię, jest słuszne. Los przeszkodził mi wcześniej to uczynić, a w tym strasznym spotkaniu, które nas wszystkich złączyło, widzę palec Opatrzności. Twoja cnota nie dopuściła do strasznej zbrodni; kocham cię za tę uczciwość, choć mogła spowodować śmierć mego syna.

Ale Bóg go ocali, aby odpokutował za obrażenie najczystszej niewinności. Mistrz Wawrzyniec zrobił mi poważną nadzieję. Widziałem Vallombreuse'a z progu jego pokoju i nie wydał mi się naznaczony tym piętnem śmierci, które my, ludzie znający się na rzemiośle wojennym, umiemy łatwo dostrzec.

Podano wodę do mycia rąk we wspaniałym srebrnym naczyniu, po czym książę, rzucając serwetkę, skierował się do salonu, dając znak, aby Izabela podążyła za nim. Stary pan zasiadł przy kominku wspaniale rzeźbionym i wznoszącym się aż do sufitu; dziewczyna usiadła obok na krzeselku. Gdy lokaje wyszli, książę wziął czule rękę Izabeli w swe dłonie i przez

* bo medycyna w swojej surowości nie ma równej sobie — żartobliwa przeróbka wiersza tego samego poematu Malherbe'a, który w rozdziale dwunastym cytował Malartic: Bo śmierć w swej surowości nie ma równej sobie.

chwile obserwował w milczeniu tę córkę tak dziwnie odnalezioną. Jego oczy wyrażały radość zmieszaną ze smutkiem, gdyż mimo zapewnień lekarza życie Vallombreuse'a wisiało jeszcze na włosku. Był jednocześnie szczęśliwy i nieszczęśliwy; ale piękna twarz Izabeli rozproszyła niebawem jego smutne myśli i książę przemówił do nowej hrabianki tymi słowy:

— Droga moja córko, wśród tych wydarzeń, które nas łączą w sposób dziwny jak w po-wieści i nadnaturalny, pomyślałaś sobie na pewno, że przez cały czas, od twego dzieciństwa aż dotąd, nie szukałem cię i że tylko przypadek zwrócił zagubione dziecko ojcu nie dbające-mu o nie. Byłoby to błędne mniemanie o moich uczuciach; ale duszę masz tak dobrą, że na-tychmiast je porzuciłaś. Twoja matka Kornelia miała, jak wiesz, usposobienie twarde i du-mne; przyjmowała wszystko bardzo gwałtownie i gdy konieczność — powiedziałbym nawet racja stanu — zmusiła mię do rozłączenia się z nią wbrew mej woli dla małżeństwa nakazanego jednym z tych najwyższych rozkazów, którym nikt się opierać nie może, pełna urazy i gniewu odrzucała uparcie wszystko, co mogło złagodzić jej położenie i zabezpieczyć twoją przyszłość. Wszystko mi odsyłała z obraźliwą pogardą: zapisane jej majątki i zamki, renty, pieniądze, klejnoty. Ta bezinteresowność, którą podziwiałem, napotykała z mej strony nie mniejszy opór. Zostawiłem u pewnej znajomej osoby pieniądze i dokumenty, aby mogła ode-brać je na wypadek, gdyby jej przeszedł ten kaprys. Ale trwała w swym uporze i, zmieniwszy nazwisko, przeszła do innego zespołu. Podróżowała z nim po prowincji, unikając Paryża i miejsc, gdzie przebywałem. Straciłem niebawem ślad, zwłaszcza iż król powierzył mi posel-stwa i delikatne misje, które mnie długo zatrzymały za granicą. Kiedy wróciłem, zaufani i rozumni ludzie, którzy rozpytywali aktorów z różnych teatrów, donieśli mi, że Kornelia zmarła przed kilku miesiącami. O dziecku nikt nie słyszał i nie było wiadomo, co się z nim stało. Ustawiczne podróże tych zespołów, pseudonimy przybierane przez aktorów i często zmienia-ne, z konieczności czy dla fantazji, utrudniają takie poszukiwania komuś, kto ich nie może sam przedsiębrać. Nikły ślad, który by pokierował samym zainteresowanym, nie wystarcza agentowi

powodowanemu tylko chęcią zysku. Mówiono mi o kilku dziewczynkach w tych zespołach, ale szczegóły dotyczące ich pochodzenia nie mogły odnosić się do ciebie. Czasami nawet miałem do czynienia z matkami pragnącymi pozbyć się swoich dzieci, musiałem więc mieć się na baczności przed takimi podstępami. Nikt nie podejmował pieniędzy z depozytu. Najwidoczniej mściwa Kornelia chciała mi na zawsze odebrać córkę i ukarać mnie w ten sposób. Musiałem poprzestać na przypuszczeniu, że umarłaś, ale przecucie mówiło mi, że żyjesz. Przypominałem sobie, jaka byłaś grzeczna i śliczna w kołysce i jak swoimi różowymi paluszkami ciągnęłaś mnie za ciemne jeszcze wtedy wąsy, kiedy się schylałem, żeby cię pocałować. Narodziny syna ożywiły to wspomnienie, zamiast je stłumić. Widząc, że rośnie wśród zbytku, cały we wstążkach i koronkach niczym królewicz, że ma zabawki, które dla niejednej zamożnej rodziny oznaczałyby majątek, myślałem, że ty w tym czasie, może ubrana tylko w jakieś nędzne teatralne szmatki, znosisz zimno i głód na wozie albo w szopie otwartej na wszystkie wiatry. Jeżeli żyje, mówiłem sobie, jakiś dyrektor teatru znęca się nad nią. Wi-sząc na drucie, na wpół martwa ze strachu, gra amorki i małe latające duszki albo też, drżąc ze wzruszenia, przy świetle kopających świec, recytuje niezdarnie jakąś dziecienną rolękę, która ściągnęła na nią niejednego policzek. Żałowałem, że nie zabrałem dziecka zaraz po urodzeniu, ale wtedy myślałem, że nigdy nie rozłączę się z Kornelią.

Później przyszły inne niepokoje. Wszystko przemawiało za tym, że dziecko wyrośnie na piękną kobietę. Ileż ataków na swą cnotę będzie musiała znieść w tym wędrownym życiu ze strony rozpustników, którzy ciągną do aktorek jak motyle do światła; czarno mi się robiło przed oczami na myśl, że moja krew, płynąca w jej żyłach, doznaje takiej zniewagi. Nieraz też udając więcej zainteresowania komedią, niż go naprawdę

miałem, chodziłem do teatrów, próbując odszukać wśród pierwszych naiwnych jakąś osobę w twoim wieku i tak piękną, jak wyobrażałem sobie ciebie. Ale znajdowałem tylko twarze mizdrzące się i wymalowane; widziałem bezczelność kurtyzany pod grymasami niewinności. Żadna z tych dziewcząt nie mogła być tobą.

Wyrzekłem się więc ze smutkiem nadziei odnalezienia córki, której bliskość rozradowa-łaby moje stare lata; moja żona zmarła po trzech latach małżeństwa. Zostawiła mi tylko jedno dziecko: Vallombreuse'a, który swoim wyuzdanym usposobieniem sprawił mi wiele zgryzot. Przed kilku dniami byłem w Saint-Germain u króla, pełniąc obowiązki mojego urzędu, i usły-szałem, jak dworacy mówili z uznaniem o zespole Heroda; to, czego się dowiedziałem, skło-niło mnie, żeby pójść na przedstawienie tej trupy, najlepszej podobno, jaka kiedykolwiek przybyła z prowincji do Paryża. Szczególnie chwalono niejaką Izabelę za to, że gra bardzo poprawnie, naturalnie, z umiarem i wdziękiem. Tę rolę naiwnej, która jej tak dobrze wycho-dziła w teatrze, grała, jak mnie zapewniano, również w życiu prywatnym i najzłośliwsze języki nie mogły nic zarzucić jej cnocie. Idąc za głosem przeczucia, udałem się do teatru, gdzie występowali ci aktorzy, i widziałem twoją grę, za którą zbierałaś powszechnie oklaski. Twoja powierzchowność uczciwej dziewczyny, zachowanie nieśmiałe i skromne, dźwięk twojego głosu, świeży i srebrzysty, wszystko to dziwnie mnie wzruszyło. Nawet oko ojca nie może w pięknej dwudziestoletniej dziewczynie rozpoznać dziecka nie widzianego od kołyski — zwłaszcza w blasku świec i atmosferze teatralnej złudy. Wydało mi się jednak, że gdyby kaprys losu pchnął na deski sceniczne pannę dobrze urodzoną, miałyby ten sam wyraz reze-rwy i taktu, trzymający w oddaleniu innych aktorów, tę samą dystynkcję wywołującą u wszy-stkich pytanie: „Jakim

sposobem ona się tu znalazła?” W tej samej sztuce grał Pedant, którego pijacka twarz nie wydała mi się obca. Lata w niczym nie zmieniły jego groteskowej brzydoty; przypomniałem sobie, że grywał Pantalónów * i śmiesznych starców w zespole Kornelii. Nie wiem dlaczego, ale wyobraźnia moja ustaliła związek między tobą i Pedantem, niegdyś kolegą twojej matki. Rozsądek twierdził wprawdzie, że stary aktor mógł zaangażować się do tej tru-py, a mimo to ciebie tam nie ma; zdawało mi się jednak, że trzymam w ręku koniec tajemniczej nici, która pozwoli mi się zorientować w labiryncie nie wyjaśnionych wydarzeń. Dlatego postanowiłem go wypytać i byłbym to zrobił, ale kiedy posłałem po niego na ulicę Dauphine, powiedziano mi, że aktorzy Heroda wyjechali dać przedstawienie na zamku w okolicach Paryża. Czekalbym bezczynnie na powrót zespołu, gdyby pewien wierny sługa nie uprzedził mnie, że Vallombreuse, zakochany do szaleństwa w aktorce zwanej Izabelą, która mu się opierała jak najcnotliwiej, postanowił podczas ukartowanej przez niego wyprawy po-rwać ją przy pomocy płatnych zbirów.

Był to czyn zbyt już zuchwały i mógł się źle skończyć, jako że dziewczyna znajdowała się w towarzystwie uzbrojonych przyjaciół. Na tę wiadomość przypuszczenia moje co do two-go pochodzenia wprawiły mnie w zrozumiały niepokój. Drżałem na myśl o tej miłości, która mogła się stać miłością potworną, jeżeli przecucia mnie nie zwodziły, bo okazałabyś się wtedy siostrą Vallombreuse'a. Dowiedziałem się, że sprawcy porwania mieli cię przewieźć do tego zamku, udałem się więc tu z całym pośpiechem. Byłaś już ocalona, twój honor nie ucierpiał, a pierścień z ametystem potwierdził to, co mi mówił na twój widok głos krwi.

— Proszę mi wierzyć, księżę panie i ojczy — odrzekła Izabela — że nigdy cię nie oskarżałam. Przyzwyczajona od dzieciństwa do wędrownego życia aktorki, łatwo przyjąłem

mój los, nie znając innego i o żadnym innym nie marząc. Niewiele wiedziałam o świecie, ale to, co wiedziałam, pozwoliło mi zrozumieć, że źle zrobiłabym wchodząc do znakomitej rodziny i że na pewno ważne powody zmuszały mego ojca do pozostawienia mnie w zapomnieniu. Niejasne wspomnienie mego pochodzenia czasem budziło we mnie dumę i, widząc pogardliwą minę, jaką przybierają wielkie damy wobec aktorek, mówiłam sobie: „Ja także jestem z wielkiego rodu”. Ale te lekkie opary pychy rozpraszały się szybko i zostawało mi tylko silne poczucie szacunku dla siebie samej. Za nic na świecie nie zhańbiłabym czystej krwi płynącej w mych żyłach. Rozpusta zakulisowa i zaloty, których przedmiotem bywają

* Pantalone — postać z improwizowanej komedii włoskiej, identyczna z Pedantem, tak jak Fracasse z Matamorem.

wszystkie aktorki nawet brzydkie, budziły we mnie tylko niesmak. Żyłam w teatrze prawie tak, jak w klasztorze, gdyż wszędzie można być rozsądną, jeżeli się chce. Pedant był dla mnie dobry jak ojciec, a Herod niechybnie połamałby kości każdemu, kto by się ośmielił dotknąć mnie palcem czy choćby powiedzieć swobodniejsze słówko. Są to ludzie bardzo zacni; polecam ich księciu na wypadek, gdyby się kiedykolwiek znaleźli w ciężkiej sytuacji. W dużej mierze im właśnie zawdzięczam, że mogę bez rumieńca wstydu przyjąć pocałunek ojca i z dumą nazwać się córką księcia. Żałuję tylko, że stałam się mimowolną przyczyną nieszczęścia młodego księcia; wolałabym wejść do rodziny w szczęśliwszych okolicznościach.

— Nie masz sobie nic do wyrzucenia, droga córko. Nie mogłaś przecież odgadnąć tego, co się nagle ujawniło wskutek zbiegu okoliczności, które byśmy uważali za dzieło romanso-

wej wyobraźni, gdybyśmy o nich czytali w jakiejś powieści. Radość, że widzę cię znów, i to godną mnie, jak gdybyś nie żyła wśród niebezpieczeństw wędrownego życia i zawodu zazwyczaj mało moralnego, łagodzi cierpienie, jakie mi sprawia rana mojego syna. Czy przeżyje ją, czy też umrze, nie będę mógł o to żywić żalu do ciebie. W każdym razie twoja cnota uratowała go od zbrodni. Nie mówmy już o tym. A kto jest ten młody człowiek, jeden z twoich wybawców, który kierował atakiem i zranił Vallombreuse'a? Zapewne aktor, choć zauważyłem, że ma szlachetną postawę i dużo odwagi.

— Tak, ojciec — odrzekła Izabela, której policzki zaróżowiły się wstydliwie — aktor. Ale jeżeli mi wolno zdradzić pewną tajemnicę, która nie jest już tajemnicą dla Vallombreuse'a, powiem ci, że ten rzekomy kapitan Fracasse, bo pod takim imieniem gra w trupie, kryje pod swoją maską twarz szlachcica, a pod teatralnym pseudonimem — nazwisko sławnego rodu.

— Zdaje się, że już o tym słyszałem. Byłoby istotnie rzeczą zdumiewającą, gdyby aktor miał odwagę przeciwstawić się księciu de Vallombreuse i stanąć do walki z nim. Taki czyn wymaga szlacheckiej krwi. Tylko szlachcic może zwyciężyć szlachcica, podobnie jak diament może być porysowany tylko przez diament.

Arystokratyczna дума księcia doznawała pewnej pociechy na myśl, że jego syn nie został zraniony przez plebejusza. Sytuacja była już teraz normalna. Ta walka stawała się rodzajem pojedynku między ludźmi równego stanu i jej powód mógł być wyjawiony; dobry ton nie ucierpiał wskutek tego spotkania.

— A jakże się nazywa ten świetny szermierz — podjął książę — ten dzielny rycerz, obrońca niewinności?

— Baron de Sigognac — odpowiedziała Izabela trochę drżącym głosem. — Wyjawiam to nazwisko bez obawy,

ufając twej wielkoduszności, ojcze. Jesteś zbyt sprawiedliwy, aby ścigać go w odwecie za nieszczęśliwe zwycięstwo, które sam oplakuje.

— Sigognac? Myślałem, że ten ród wygasł. To przecież rodzina gaskońska.

— Tak, mój ojcze, jego zamek leży w okolicach Dax.

— Właśnie! Sigognacowie mają w herbie trzy złote bociany. Ich szlachectwo jest bardzo dawne. Palamed de Sigognac zdobył sławę w pierwszej wyprawie krzyżowej. Raimbaud de Sigognac, zapewne ojciec naszego, był bliskim przyjacielem i towarzyszem Henryka IV w jego młodości, ale nie poszedł za nim na dwór, gdyż jego położenie materialne było bardzo zachwiane.

— Tak zachwiane, że nasz zespół, zmuszony szukać schronienia w deszczową noc, znalazł tego Sigognaca w opustoszałym i zrujnowanym zamku, gdzie trawił swą młodość; wyciągnęliśmy go z tego przybytku nędzy, bojąc się, że duma i melancholia doprowadzą go do głodowej śmierci. Nigdy nie widziałam niedostatku znoszonego bardziej mężnie.

— Ubóstwo nie jest przestępstwem i każdy szlachetny ród, który nie zhańbił swej czci, może się podnieść. Dlaczego jednak, będąc w kłopotach, baron de Sigognac nie zwrócił się do któregoś z dawnych towarzyszy broni swego ojca czy nawet do króla, który jest z istoty rzeczy obrońcą każdego szlachcica?

— Nieszczęście onieśmiela nawet najdzielniejszego, a duma powściąga odwagę. Udając się z nami, baron spodziewał się znaleźć pomyslną sposobność w Paryżu, ale na próżno. Żeby nie być dla nas ciężarem, postanowił zastąpić jednego z naszych kolegów, zmarłego w drodze, a ponieważ tę rolę grywa się w masce, nie uważał, że będzie skompromitowany.

— Chociaż nie jestem jasnowidzem, domyślam się, że to aktorskie przebranie ukrywa jakąś miłość — rzekł książę uśmiechając się przebiegle i dobrotliwie. — Ale to nie moje sprawy. Znam za dobrze twoją cnotę i nie przejmuję się kilkoma dyskretnymi westchnieniami adresowanymi do ciebie. Zresztą jestem zbyt krótko twoim ojcem, żebym sobie mógł pozwałać na prawienie ci kazań.

Kiedy tak mówił, Izabela wpatrywała się w księcia wielkimi, niebieskimi oczami, w których błyszczała najczystsza niewinność i najdoskonalsza szczerłość. Lekki rumieniec, wywołany na dźwięk nazwiska Sigognaca, znikł; jej twarz nie zdradzała żadnego objawu wstydu czy zakłopotania. W sercu Izabeli nie znalazłoby nic nagannego ani spojrzenie ojca, ani nawet wzrok Boga.

W tym momencie oznajmiono wizytę ucznia mistrza Wawrzyńca. Przynosił on pomyślnie wiadomości o zdrowiu Vallombreuse'a. Stan rannego był jak najbardziej zadowalający; po lekarstwie nastąpiło szczęśliwe przesilenie i lekarz gwarantował już, że młody książę będzie żył. Jego wyzdrowienie było teraz kwestią czasu.

W kilka dni później Vallombreuse, wsparty na poduszkach, ubrany w koszulę z koronkowym kołnierzem i uczesany, przyjmował w łóżku wizytę swego wiernego przyjaciela kawalera de Vidalinc, którego mu dotychczas nie pozwolono widywać. Stary książę siedział obok, patrząc z głęboką ojcowską radością na twarz syna bladą i wychudłą, ale nie dającą już powodów do obaw. Kolory powróciły na wargi, życie błyszczało w oczach. Izabela stała u wezglowia. Młody książę trzymał jej rękę w swych palcach szczupłych i bladych jak zwykle u chorych, którzy przez dłuższy czas pozbawieni są powietrza i słońca. Ponieważ nie wolno mu było mówić inaczej niż monosylabami, w ten sposób okazywał swą sympatię tej, która mimo woli była przyczyną

jego rany, i dawał do zrozumienia, że jej wybaczył z całego serca. Zalotnik przedzierzgnął się w brata, a uspokajające działanie choroby bardzo ułatwiło tę prze-mianę. Izabela była już dla niego hrabianką de Lineuil, a nie aktorką z trupy Heroda. Przyja-źnie skinął głową Vidalincowi i puścił na chwilę dłoń siostry, aby ją podać przyjacielowi. To wszystko, na co tym razem pozwolił lekarz.

Po upływie kilku tygodni Vallombreuse, wzmocniony odpowiednim odżywianiem, mógł spędzać parę godzin dziennie na szezlongu koło otwartego okna, przez które wchodziły balsamiczne powiewy wiosny. Izabela często dotrzymywała mu towarzystwa i czytała ksią-żki. Robiła to doskonale, gdyż zawód aktorki nauczył ją dykcji i odpowiedniego modulowa-nia głosu.

Pewnego dnia, kiedy skończywszy rozdział miała rozpocząć następny, którego nagłó-wek już przeczytała, Vallombreuse dał znak, aby odłożyła książkę, i powiedział:

— Wkrótce będę już zupełnie zdrowy, moja siostrzyczko, i wprowadzę cię w towarzy-stwo, do którego wzywa cię twoja pozycja i gdzie twoja wspaniała uroda ściągnie do twych stóp niezliczonych wielbicieli. Wśród nich hrabianka de Lineuil będzie sobie mogła wybrać męża.

— Nie mam najmniejszej ochoty na małżeństwo. Nie myśl, że to takie panięskie po-wiedzenie, którego nie należy brać poważnie. Zbyt wiele razy oddawałam swą rękę w sztukach teatralnych, żeby się z tym tak śpieszyć w życiu rzeczywistym. Nie wyobrażam sobie przyjemniejszej egzystencji niż przy ojcu i tobie.

— Ojciec i brat nie wystarczą na zawsze nawet osobie najdelikatniejszej. Te uczucia nie wypełnią całego serca.

— Moje serce wypełnią, a gdyby mi ich kiedyś zabrakło, wstąpię do klasztoru.

— Posunęłabyś zbyt daleko twą surowość. Czy na

przykład kawaler de Vidalinc nie ma według ciebie danych na doskonałego męża?

— Bez wątpienia. Kobieta, z którą się ożeni, będzie się mogła uważać za szczęśliwą, ale jakkolwiek uroczy jest twój przyjaciel, nigdy nie zostanę jego żoną.

— Kawaler de Vidalinc jest rudawy i może, tak jak nasz król Ludwik XIII, nie bardzo lubisz tę barwę włosów, wysoko jednak cenioną przez malarzy. Ale nie mówmy już o Vidalinu. Jak ci się podoba markiz d'Estang, który przed kilku dniami przyszedł zapytać o moje zdrowie i przez całą wizytę ani na chwilę nie spuszczał cię z oczu? Był tak zachwycony twoim wdziękiem, tak olśniony twoją urodą, że zaplątał się w komplementach i zaczął się jąkać. Jeżeli pominąć tę nieśmiałość — którą musisz wybaczyć, ponieważ byłaś jej przyczyną — jest to kawaler bez zarzutu: młody, piękny, świetnie urodzony, niezmiernie bogaty. Bardzo by był odpowiedni dla ciebie.

— Odkąd mam zaszczyt należeć do waszej znakomitej rodziny — odrzekła Izabela nieco zniecierpliwiona tymi żartami — nie wypada mi okazywać zbyt wiele pokory. Nie po-wiem więc, że uważam się za niegodną takiego związku, ale gdyby markiz d'Estang poprosił ojca o moją rękę, odmówiłabym. Powiedziałam ci już, bracie, że nie chcę wyjść za mąż. Wiesz o tym dobrze, a tak mnie dręczysz.

— Ach, jakież dzikie i dziewicze masz humory. Diana nie jest bardziej nieprzystępna w swych lasach i dolinach; zresztą, jeżeli wierzyć plotkom mitologicznym, Endymion znalazł łaskę w jej oczach. Gniewasz się, że proponuję ci kilka dobrych partii; jeżeli te się nie podo-bają, znajdziemy ci inne.

— Nie gniewam się, braciszku, ale stanowczo za dużo mówisz jak na chorego i mistrz Wawrzyniec skarci cię. Na kolację nie dostaniesz skrzydełka kurczęcia.

— Skoro tak, to już milczę — rzekł Vallombreuse

pokornie — wierz mi jednak, że weźmiesz męża z mojej ręki.

Aby się zemścić na bracie za jego żarty, Izabela zaczęła czytać historię barbarzyńskiego korsarza głosem donośnym i dźwięcznym, zagłuszającym Vallombreuse'a.

— „Mój ojciec, książę de Fossombrone, w towarzystwie mojej matki, jednej z najpiękniejszych kobiet, a może nawet po prostu najpiękniejszej w Księstwie Genueńskim, przechadzał się na brzegu Morza Śródziemnego, dokąd prowadziły schody wspaniałej willi, którą zamieszkiwał w lecie. Nagle rzucili się na niego piraci z Algieru, ukryci za skałami, dzięki przewadze liczebnej pokonali jego rozpaczliwy opór, zostawili go jak martwego na placu i księżnę, noszącą mnie w łonie, mimo jej krzyków, porwali do swej łódki, która oddaliła się prędko, gdyż wiosłowali energicznie, i dotarła do galery ukrytej w zatoce. Zaprowadzona do ich dowódcy, moja matka przypadła mu do gustu i stała się jego faworytą...”

Broniąc się przed złościwością Izabeli, Vallombreuse zamknął oczy i udał, że zasnął przy tym interesującym fragmencie. Po chwili spał już naprawdę i młoda dziewczyna widząc to oddaliła się na palcach.

Niebawem książę czuł się tak dobrze, że mógł siadać do obiadu razem z ojcem i siostrą; podczas tych posiłków okazywał staremu księciu głęboki szacunek, wobec Izabeli był serdeczny i delikatny mimo pozornej frywolności, odsłaniał przy tym umysł głębszy, niżby się można było spodziewać po młodzieńcu, którego dotąd pochłaniały wyłącznie kobiety, pojedynki i tym podobne rozrywki. Izabela czasem wtrącała się skromnie do rozmowy, a to, co mówiła, było tak trafne, subtelne i na miejscu, że książę był zachwycony, tym bardziej że pełna rozsądku dziewczyna umiała unikać pretensjonalności i pedanterii.

Któregoś dnia Vallombreuse, całkowicie już wyleczony,

zapropował siostrze konną przejażdżkę po parku. Jechali stępa wzdłuż alei, której stuletnie drzewa tworzyły sklepienie nie dopuszczające promieni słonecznych.

Księżę odzyskał całą swą urodę. Izabela wyglądała czarująco i razem stanowili najpiękniejszą parę, jaką można sobie wyobrazić. Ale podczas gdy młody człowiek promieniał radością, twarz panny była smutna. Czasem jakiś dowcip Vallombreuse'a wywołał na niej słaby i nieokreślony uśmiech, zaraz jednak potem wracało tęskne zamyślenie; brat zdawał się nie dostrzegać jej melancholii i podwajał swą werwę.

— Ach, jakie wspaniałe jest życie! — mówił. — Nie masz pojęcia, ile przyjemności sprawia rzecz tak prosta, jak oddychanie. Drzewa nie wydawały mi się nigdy takie zielone, niebo takie niebieskie ani kwiaty takie pachnące! — Czuję się, jakbym dopiero wczoraj przy-szedł na świat i widział go po raz pierwszy. Kiedy pomyślę, że mógłbym leżeć teraz pod marmurową płytą, a jestem na spacerze w towarzystwie siostry — nie posiadam się z radości. Rana wcale już mnie nie boli i myślę, że możemy wrócić galopem na zamek, bo ojcu jest już nudno bez nas.

Mimo sprzeciwu Izabeli, ciągle jeszcze obawiającej się o jego zdrowie, Vallombreuse spiał swego rumaka i oba konie ruszyły dość żywo. Pomagając zsiąść siostrze przed gankiem, młody księżę powiedział:

— Teraz już jestem dorosły i będzie mi wolno wyjeżdżać samemu.

— Ledwie się wyleczyłeś i już chcesz nas porzucić?

— Tak, muszę udać się w kilkudniową podróż — odpowiedział niedbale.

I rzeczywiście odjechał nazajutrz, pożegnawszy się z ojcem, który nie miał nic przeci-wko temu.

— Do widzenia, siostrzyczko, będziesz ze mnie zadowolona — powiedział.

ROZDZIAŁ XIX

POKRZYWY I PAJĘCZYNY

Rada Heroda była rozsądna i Sigognac postanowił pójść za nią. Odkąd Izabela stała się z aktorki wielką damą, nic go już nie łączyło z zespołem. Powinien zniknąć na jakiś czas, aby zapomniano o nim aż do chwili, gdy minie wzburzenie, jakie wywoła niebawem śmierć Vallombreuse'a. Toteż pożegnawszy nie bez wzruszenia poczciwych aktorów, którzy byli dlań tak dobrymi towarzyszami, Sigognac wyjechał z Paryża na dziarskim koniku, mając kieszenie przyzwoicie wypełnione pistołami, które stanowiły jego udział w zyskach trupy. Krótkimi etapami zmierzał do swej zniszczonej siedziby, gdyż po burzy każdy ptak wraca do rodzinnego gniazda, choćby było sklecone tylko z chrustu i starej słomy. Było to jedyne miej-sce, gdzie mógł się schronić, i mimo rozpaczki odczuwał pewną przyjemność wracając do opuszczonego zamku swych ojców, którego nie powinien był nigdy porzucać, bo przecież wcale nie poprawił sobie losu, a ostatnia przygoda mogła mu tylko zaszkodzić. „No cóż — mówił sobie w drodze — sądzone mi było umrzeć z głodu i smutku w tych zwietrzałych mu-rach pod dachem, który przepuszcza deszcz jak sito. Nikt nie ucieknie przed przeznaczeniem i ja poddam się swemu losowi — będę ostatnim z Sigognaców”.

Nie ma potrzeby opisywać całej tej podróży, która trwała dwadzieścia dni i nie była urozmaicona żadnym interesującym

spotkaniem. Wystarczy powiedzieć, że pewnego wieczora Sigognac dostrzegł baszty swego zamku skąpane w świetle zachodu i odcinające się wyraźnie na różowo-niebieskim horyzoncie. Dzięki temu oświetleniu wydawały się bliższe niż w rzeczywistości; w jednej z nielicznych szyb słońce odbijało swą intensywną czerwień, która wyglądała jak jakiś gigantyczny karbunkuł.

Ten widok dziwnie rozrzewnił barona. Niewątpliwie wiele wycierpiał w tych ruinach, a jednak wracając do nich doznawał wzruszenia; tak samo wzrusza widok starego przyjaciela, gdy nieobecność usunęła z pamięci jego wady. Tutaj upłynęły długie lata życia Sigognaca, życia w nędzy, zapomnieniu, samotności, lecz nie pozbawionego pewnej ukrytej słodyczy, gdyż młodość nigdy nie może być całkiem nieszczęśliwa.

Baron spał ostrogami konia, aby stanąć na miejscu przed zapadnięciem nocy. Słońce było już bardzo nisko i ukazywało nad ciemną linią, wzdłuż której landy stykały się z niebem, tylko małą część swej tarczy; czerwone światło na szybie zgasło i zamek tworzył szarą plamę niemal zlewającą się z mrokiem, ale Sigognac znał dobrze okolicę i niebawem skreślił na niegdyś uczęszczaną, a dziś zapuszczoną drogę wiodącą do zamku. Wybujące gałęzie żywopłotu uderzały go po butach, wystraszone przez kopyta konia żaby skakały w trawie wilgotnej od wieczornej rosy; wśród głębokiej ciszy pól rozległo się słabe i dalekie szczekanie samotnego psa, tropiącego coś jakby dla zabicia nudów. Sigognac zatrzymał konia, aby lepiej słyszeć. Zdawało mu się, że poznaje ochryply głos Mirauta. Niebawem szczekanie zbliżyło się i przeszło w radosny skowyt przerywany zdyszczanym biegiem; Miraut poczuł pana i pędził, ile miał sił w swoich starych łapach. Baron zagwizdał na niego jak dawniej i po kilku minutach poczciwe psisko wynurzyło się gwałtownie z

żywopłotu, wyjąc, łkając, niemal krzycząc ludzkim głosem. Choć zdyszany i zziajany, Miraut skakał koniowi do pyska, usiłował wdra-pać się aż do swego pana i okazywał radość tak wielką i nieopanowaną, jak żaden dotąd przedstawiciel psiego rodu. Sigognac schylił się i pogłaskał go po głowie, by uspokoić ten szal tkliwości.

Zadowolony z powitania, chcąc uszczęśliwić dobrą nowiną pozostałych mieszkańców zamku: Piotra, Bayarda i Belzebuba, Miraut pomknął jak strzała do kuchni i zaczął szczekać natarczywie, aż stary służący zrozumiał, że dzieje się coś nadzwyczajnego.

„Może to powrócił młody pan?” — pomyślał i wstał idąc za Mirautem, który go ciągnął za połę. Zapadła już noc, więc od ogniska, na którym gotowała się jego wieczerza, zapalił smolną drzazgę i w jej dymiącym świetle ujrzał nagle Sigognaca na koniu o parę kroków przed bramą.

— To pan, panie baronie! — zawołał radośnie zacny Piotr. — Miraut już mi to powiedział w swoim pocziwym psim języku, bo jesteśmy tutaj tacy samotni, że zaczynamy się rozumieć. Ale nie byłem uprzedzony o pańskim przyjeździe i myślałem, że się mylę. W każdym razie serdecznie pana witamy i postaramy się jak najlepiej uczcić ten powrót.

— Tak, to ja, mój dobry Piotrze, Miraut nie skłamał. Jeżeli nie wracam bogatszy, to przynajmniej zdrowy i cały. Poświeć mi i chodźmy do domu.

Piotr nie bez wysiłku otworzył na oścież stare wrota i baron de Sigognac przejechał pod bramą fantastycznie oświetloną łuczywem. W jego blasku trzy bociany wyrzeźbione na herbie jak gdyby ożyły i ruszając skrzydłami, witały powrót ostatniego potomka rodziny, której służyły za symbol przez wiele wieków. W tej chwili zabrzmiało przeciągłe rzenie. To Bayard w głębi stajni poczuł pana i wydobył ze swych astmatycznych płuc tę grzmącą fanfarę.

— Dobrze, dobrze, słyszę cię, mój drogi Bayardzie — rzekł Sigognac zsiadając z konia i rzucając cugle Piotrowi. — Już idę przywitać się z tobą — i ruszył w stronę stajni, gdy nagle o mało nie upadł; jakieś czarne ciało wplątało mu się między nogi, miauczając, mruczając i wygi-nając grzbiet.

Był to Belzebub, który wyrażał swą radość wszelkimi sposobami, jakie natura dała kotom; Sigognac wziął go na rękę i podniósł na wysokość twarzy. Kot był w siódmym niebie; jego okrągłe oczy iskrzyły się fosforycznym światłem; drgając nerwowo, wysuwał i chował pazury. Mruczał tak prędko, że aż się dusił, i namiętnie ocierał czarny i ziarnisty jak trufla nos o wąsy Sigognaca. Baron, któremu te oznaki przywiązania ze strony jego skromnych przyjaciół nie były obojętne, pogłaskawszy serdecznie Belzebuba postawił go delikatnie na ziemi i z kolei poklepał kilkakrotnie Bayarda po szyi i grzbiecie. Poczciwe zwierzę kładło głowę na ramieniu swego pana, uderzając kopytem o klepisko i kołyszając się z gracją. Bayard przyjął uprzejmie nowego konia, którego umieszczono obok niego; czuł się pewny sympatii Sigognaca i może nawet cieszył się, że po raz pierwszy od niepamiętnych czasów nawiązuje stosunki ze stworzeniem swojego gatunku.

— Teraz kiedy odpowiedziałem na uprzejmości moich zwierząt — rzekł Sigognac do Piotra — dobrze będzie pójść do kuchni zobaczyć, co masz w spiżarni; mało dziś jadłem w południe, a potem już nic, bo chciałem tu być przed nocą. W Paryżu odwykłem od mojej dawnej wstrzeźliwości i nie pogniewałbym się za kolację nawet byle jaką.

— Jest, proszę pana, resztką placka, kawałek słoniny i kozi ser — jedzenie bardzo pro-ste jak to na wsi, i może pan nim pogardzi, zakosztowawszy wykwintnej kuchni. Ale przynajmniej nie pozwoli ono umrzeć z głodu, chociaż nie są to żadne specjały.

— Więcej człowiek nie powinien żądać. Nie myśl, że źle

wspominam te proste potrawy, na których się chowałem. Im to zawdzięczam, że jestem zdrowy, zwinny i silny. Podaj twoje ciasto, słoninę i ser z dumą ochmistrza wnoszącego pieczonego pawia na złotym półmisku.

Uspokojony co do swej kuchni, Piotr szybko nakrył skromnym, lecz czystym obrusem stół, przy którym Sigognac zwykle spożywał swój posiłek; postawił z jednej strony kubek, z drugiej dzban pełen cienkusza, pośrodku umieścił ciasto. Sam stanął za panem jak majordo-mus obsługujący księcia. Według tradycyjnego ceremoniału Miraut siedzący po prawej, a Belzebub po lewej ręce barona przypatrywali się mu z uniesieniem i śledzili drogę, jaką odbywała jego dłoń od półmiska do ust i z powrotem — w oczekiwaniu kąsków, które im sprawiedliwie wydzielał.

Ten dziwny obraz był oświetlony blaskiem łuczywa, które Piotr umocował na żelaznym ostrzu wewnątrz kominka, żeby dym nie szedł na izbę. Dokładnie powtarzała się scena opisana na początku naszej powieści i baron, uderzony tym podobieństwem, myślał, że ocknął się z długiego snu i nigdy nie opuszczał zamku. Ale pokonał to złudzenie, a ponieważ widział w oczach Piotra nieśmiałe pytanie, opowiedział krótko zacnemu słudze główne wydarzenia tej historii, które go mogły zainteresować. Kiedy przyszła kolej na dwa pojedynki z Vallombre-use'em, pocziwiec nie posiadał się z dumy i radości, że wykształcił takiego mistrza, i za pomocą kija powtarzał cięcia, które mu opisywał Sigognac.

— Niestety, mój dobry Piotrze — rzekł baron z westchnieniem — zbyt dobrze nauczyłeś mnie wszystkich tajników szermierki, których nikt tak nie zna jak ty. To zwycięstwo zgubiło mnie i odesłało na długo, jeżeli nie na zawsze, do tego smutnego domu. Mam to szczególne szczęście, że powodzenie mnie niszczy i rujnuje, zamiast mi pomóc. Byłoby lepiej, gdy-bym został ranny czy nawet zabity

w tym fatalnym spotkaniu.

— Żaden Sigognac nie może być zwyciężony — rzekł sentencjonalnie stary sługa. — Cokolwiek miałyby z tego wynikać, jestem zadowolony, że zabił pan de Vallombreuse'a. Wszystko odbyło się zgodnie z regułami pojedynku — tego jestem pewien. Czegóż więcej trzeba? Jaką pretensję może mieć człowiek, który ginie od pięknego pchnięcia szpada, jeżeli się bronił?

— Na pewno nie może mieć żadnej — odrzekł Sigognac uśmiechając się z powodu tej filozofii starego fechtmistrza. — Wiesz, jestem trochę zmęczony. Zapal lampę i zaprowadź mnie do pokoju.

Minęło kilka miesięcy. Pewnego dnia Sigognac siedział u siebie i szukał efektownego zakończenia do sonetu na cześć swojej ukochanej, gdy Piotr oznajmił mu, że przybył jakiś szlachcic, który chce z nim mówić.

— Szlachcic, który chce ze mną mówić? — odrzekł Sigognac. — Przyśniło ci się albo to jakaś omyłka. Nie ma na świecie człowieka, który by miał mi coś do powiedzenia. Takie to jednak niesłychane, że możesz wprowadzić tego dziwnego osobnika. Jak się nazywa?

— Nie chce powiedzieć. Mówi, że jego nazwisko nic panu nie wyjaśni — odrzekł Piotr otwierając szeroko drzwi.

Na progu ukazał się piękny młodzieniec w eleganckim stroju podróżnym z sukna orzechowego koloru, przybranym zielonymi szamerunkami; na nogach miał szare filcowe buty do kolan, ze srebrnymi ostrogami; kapelusz o szerokim rondzie, ozdobiony długim, zielonym piórem, trzymał w ręku, co pozwalało podziwiać w pełnym świetle jego głowę dumną, subtelną i piękną, której niejedna kobieta mogłaby pozazdrościć regularności rysów, godnych starożytnego posagu.

Ten świetny kawaler nie zrobił widocznie na Sigognacu przyjemnego wrażenia, gdyż baron zbladł lekko i jednym skokiem podbiegł do szpady zawieszanej nad łóżkiem, wyciągnął ją z pochwy i zajął pozycję obronną.

— Na Boga, mości księżę. Myślałem, że pan nie żyje! Czy to pan, czy pański duch?

— To ja, Hannibal de Vallombreuse, we własnej osobie, najzupełniej żywy. Schowaj tę szpadę, baronie. Biliśmy się dwukrotnie, to wystarczy. Przysłowie mówi, że to, co podoba się, powtórzone drugi raz, za trzecim razem jest już nudne. Nie przychodzę jako wróg. Jeżeli mam do wyrzucenia sobie pewne grzeszki wobec pana, to wzięłeś sobie dobry odwet, więc jeste-śmy skwitowani. Proszę przekonać się o moich dobrych intencjach — oto patent podpisany przez króla, który ci daje pułk. Razem z moim ojcem przypomniał mi jego królewskiej mości przywiązanie rodu Sigognac do jego przodków. Chciałem panu osobiście przywieźć tę miłą nowinę; a teraz jako gość błagam: ukręć kark jakiej kwoce, włóż cokolwiek na rożen, ale, na Boga, daj mi coś do zjedzenia. Oberże po drodze były beznadziejne, a moje wozy z prowizjami utknęły w piasku niedaleko stąd.

— Bardzo się boję, mości księżę, żeby mój obiad nie wydał się panu zemstą — odpowiedział Sigognac z pełną swobody grzecznością. — Proszę nie przypisywać urazie nędznej kuchni, jaką pana uraczę. Pańskie szlachetne i serdeczne postępowanie głęboko mnie wzrusza, będzie pan miał odtąd we mnie najbardziej oddanego przyjaciela. Chociaż nie potrzebuje pan moich usług, może pan na nie liczyć. Piotrze, rozejrzyj się za kurczętami, jajami i mięsem. Trzeba ugościć jak najlepiej tego pana, który umiera z głodu, a nie przywykł do tego tak jak my.

— Widzę, drogi baronie de Sigognac, że chociaż jest pan bardzo grzeczny, dziwi się pan mojemu postępowaniu. Mówi

pan sobie:

„Jakim sposobem ten Vallombreuse, taki pyszny, arogancki i porywczy, stał się z tygrysa jagnięciem, które nawet pasterka mogłaby prowadzić na pasku?” W ciągu sześciu tygodni, kiedy byłem przykuty do łóżka, snułem sobie pewne refleksje, na które w obliczu wieczności może sobie pozwolić człowiek najdzielniejszy, mimo że dla nas, ludzi szlachetnie urodzonych, śmierć jest fraszką, bo szafujemy naszym życiem z elegancką bez troską, której plebs nigdy nie potrafi naśladować. Zrozumiałem nicość wielu rzeczy i przyrzekłem sobie, że będę żył inaczej, jeżeli wyliżę się z rany. Ponieważ moja miłość do Izabeli zamieniła się w czystą i zdrową przyjaźń, nie miałem już żadnego powodu, aby cię nienawidzić. Przestałeś być rywalem — brat nie może być zazdrosny o siostrę. Wdzięczny nawet panu jestem za pełną szacunku troskliwość, jaką pan ją zawsze otaczał, kiedy się jeszcze znajdowała w sytuacji narażającej ją na różne zaczepki. Pan pierwszy zrozumiał tę cudną duszę ukrytą w przebraniu aktorki. Mimo swego ubóstwa ofiarował pan pogardzanej przez wszystkich kobiecie największe bogactwo, jakie posiada szlachcic: nazwisko swych przodków. Należy więc do pana teraz, kiedy jest bogata i sama nosi świetne nazwisko. Wielbiciel Izabeli powinien zostać mężem hrabianki de Lineuil.

— Ale ona mi uparcie odmawiała swej ręki, kiedy mogła wierzyć w moją całkowitą bezinteresowność.

— To były skrupuły najwyższej, anielskiej delikatności, poświęcającej się w obawie, aby nie zaszkodzić pańskiej karierze. Sytuacja jednak zmieniła się.

— Ale teraz ja nie jestem odpowiedni do jej wspaniałej pozycji. Czy mam prawo okazywać mniej poświęcenia niż ona?

— Czy kocha pan jeszcze moją siostrę? — zapytał

Vallombreuse tonem poważnym. — Jako brat, mam prawo postawić panu to pytanie.

— Z całej duszy, z całego serca, ze wszystkich sił! Żaden mężczyzna nie kochał nigdy kobiety bardziej niż ja Izabelę, która jest najdoskonalszą istotą na świecie.

— Wobec tego, panie kapitanie muszkietarów, a niebawem gubernatorze prowincji, każ sobie osiodłać konia i jedź ze mną do Vallombreuse, abym pana formalnie przedstawił ojcu i siostrze. Izabela odmówiła ręki kawalerowi de Vidalinc i markizowi d'Estang, dwóm bardzo przystojnym młodzieńcom, ale myślę, że nie da się prosić, żeby wyjść za barona de Sigognac.

Nazajutrz księżę i baron jechali strzemię w strzemię drogą wiodącą do Paryża.

ROZDZIAŁ XX

MAŁŻEŃSTWO

Lokaj wprowadził do hrabianki de Lineuil Chiquitę. Na jej widok Izabela położyła książkę, którą właśnie czytała, i spojrzała na dziewczynkę pytającym wzrokiem. Chiquita stała nieruchoma i milcząca aż do chwili, gdy służący odszedł. Wtedy z dziwnie uroczystym wyrazem twarzy podeszła do Izabeli, ujęła jej rękę i powiedziała:

— W sercu Agostyna utkwiał nóż; nie mam już pana i muszę się komuś poświęcić. On nie żyje, więc mam tylko ciebie na świecie. Dałaś mi perły i pocałowałaś mnie. Chcesz, żebym była twoją niewolnicą, twoim psem? Będę sypiała na

progu twoich drzwi. Nawet mnie nie zauważysz. Kiedy zechcesz, zagwizdziesz na mnie tak — tu gwizdnęła — i ja przyjdę. Dobrze?

Izabela za całą odpowiedź przycisnęła Chiquitę do serca i ucałowała ją w czoło.

Przyzwyczajona do zagadkowego zachowania dziewczynki, nie pytała jej o nic. Domyślała się jakiejś strasznej historii, ale biedne dziecko oddało jej tyle przysług, że postanowiła wziąć je do siebie bez dociekania szczegółów. Powierzywszy Chiquitę pokojówce, wróciła do przerwanej lektury, choć książka nie interesowała jej wcale; po kilku minutach, nie mogąc skupić uwagi, wsunęła zakładkę między kartki.

Z głową opartą na ręce i ze spojrzeniem zagubionym w przestrzeni Izabela pograżyła się w zwykłych swych myślach: „Co się stało z Sigognakiem? Czy jeszcze pamięta o mnie? Czy mnie jeszcze kocha? Na pewno wrócił do swego zrujnowanego zamku i nie ma odwagi dać znaku życia, przekonany, że brat mój umarł. Gdyby nie to, spróbowałby mnie znów zoba-czyć; przynajmniej napisałby. Może onieśmiela go myśl, że jestem teraz bogata? A może zapomniał? Ale nie, to niemożliwe. Powinnam go była zawiadomić, że Vallombreuse wyleczył się z rany; nie wypada jednak, żeby młoda osoba wzywała do siebie adoratora; to by obrażało delikatność kobiecą. Często sobie myślę, czy nie lepiej by mi było pozostać biedną aktorką. Mogłam go chociaż widzieć co dzień i pewna swojej cnoty oraz jego szacunku cieszyć się w spokoju myślą, że jestem kochana. Mimo wzruszającej czułości ojca jestem smutna i samotna w tym wspaniałym pałacu. Póki Vallombreuse był tutaj, jego towarzystwo było dla mnie rozrywką, ale jego nieobecność przedłuża się i na próżno zastanawiam się, co znaczyły słowa, które mi z uśmiechem powiedział przy odjeździe: »Do

widzenia, siostrzyczko, będziesz ze mnie zadowolona«. Czasem zdaje mi się, że rozumiem, ale nie chcę w to wierzyć, bo rozczarowanie byłoby zbyt bolesne. Ach, gdyby to była prawda, oszalałabym z radości”.

Hrabianka de Lineuil (gdyż byłoby może zbytnią poufałością nazywać po prostu Izabelą prawowitą córkę księcia) prowadziła taki monolog wewnętrzny, gdy wszedł lokaj z zapytaniem, czy może przyjąć księcia de Vallombreuse, który wrócił z podróży i pragnie się przywitać.

— Niech zaraz przyjdzie — odpowiedziała — jego wizyta sprawi mi wielką przyjemność.

Po kilku minutach zjawił się w salonie młody książę. Miał kwitnącą cerę, żywe spojrzenie, chodził swobodnie i wyglądał tak dobrze jak przed pojedyńkiem. Rzucił swój kapelusz na fotel i ująwszy rękę siostry, podniósł ją do ust z uszanowaniem i tkliwością.

— Droga Izabelo, byłem poza domem dłużej, niżbym chciał. Przykro mi jest nie widzieć ciebie, tak prędko przyzwyczaiłem się do twojej obecności; ale nie zapomniałem o tobie w czasie mej podróży i pocieszała mnie trochę nadzieja, że sprawię ci przyjemność.

— Największą przyjemnością, jaką mogłeś mi zrobić — rzekła Izabela — byłoby zostać w pałacu razem z ojcem i ze mną i nie udawać się dla fantazji w podróż z ledwie zagojoną raną.

— Czyż ja byłem ranny? — rzekł śmiejąc się Vallombreuse. — Doprawdy, o ile pamiętam, wcale tego nie pamiętam. Nigdy się tak dobrze nie czułem i ta mała wycieczka doskonale mi zrobiła. Siodło służy mi lepiej niż szeszlony. Ale widzę, siostrzyczko, że schudłaś i przybladłaś. Czy masz zmartwienie? Ten dom nie jest wesoły, a samotność nie odpowiada dziewczętom. Lektura i haft to na dłuższą metę nudne rozrywki; są chwile, kiedy najbardziej nawet

rozsądna kobieta ma już dosyć oglądania przez okno zielonej wody i wolałaby widzieć twarz pięknego rycerza.

— Nieprzyjemne są te twoje żarty, mój bracie. Jak ty lubisz rozdrażniać mój smutek! Czy zresztą nie miałam towarzystwa księcia, tak miłego i mądrego ojca?

— Niewątpliwie, nasz zacny ojciec jest ideałem szlachcica — rozsądny w radzie, śmiały w działaniu, wyborny dworak u boku króla, wielki pan u siebie w domu, uczenie rozprawia a wszystkich dziedzinach wiedzy, ale rozrywki, jakie znajdziesz w jego towarzystwie, są pełne powagi, a ja nie chciałbym, żeby moja droga siostrzyczka przeżywała młodość uroczyście i ponuro. Ponieważ odrzuciłaś kawalera de Vidalinc i markiza d'Estang, zacząłem szukać dalej i w podróży znalazłem świetnego kandydata na męża. Jestem pewny, że będziesz nim zachwycona.

— To jest okrucieństwo tak mi dokuczać! Niedobry bracie, wiesz przecież, że nie chcę wyjść za mąż. Nie mogę oddać ręki bez serca, a serce już nie należy do mnie.

— Zmienisz zdanie, kiedy ci przedstawię męża, którego ci wybrałem.

— Nigdy, nigdy! — zawołała Izabela głosem, który zmieniło wzruszenie. — Zostanę wierną drogiemu wspomnieniu; nie myślę, że chciałbyś mnie zmuszać.

— Bynajmniej. Nie jestem takim tyranem. Proszę tylko, żebyś nie odrzucała mego pro-tegowanego, zanim go nie zobaczysz.

Nie czekając na zgodę siostry, Vallombreuse wstał i przeszedł do sąsiedniej komnaty. Wrócił natychmiast, prowadząc Sigognaca, któremu serce biło jak młotem. Dwaj młodzi mężczyźni, trzymając się za ręce, przystanęli na chwilę na progu, mając nadzieję, że Izabela zwróci oczy w ich stronę. Ale ona opuściła je skromnie i myślała o swym drogim przyjacielu, nie przeczuwając, że jest tak blisko.

Ponieważ nie zwracała na nich uwagi i trwała w zamyśleniu, Vallombreuse zbliżył się kilka kroków do siostry, prowadząc barona, jak się prowadzi tancerkę. Następnie złożył ceremonialny ukłon, który Sigognac powtórzył za nim. Ale podczas gdy książę uśmiechał się, baron był blady. Dzielny wobec mężczyzn — odznaczał się nieśmiałością wobec kobiet jak wszyscy ludzie szlachetnego serca.

— Hrabianko de Lineuil — rzekł Vallombreuse nieco pompatycznie i z przesadną ceremonialnością — proszę mi pozwolić, że przedstawię ci jednego z dobrych mych przyjaciół, którego — mam nadzieję — przyjmiesz życzliwie: barona de Sigognac.

Słyszając to nazwisko, Izabela pomyślała najpierw, że to żart; zadrżała jednak i rzuciła szybkie spojrzenie na nowo przybyłego. Widząc, że Vallombreuse jej nie zwodzi, doznała niesłychanego wzruszenia. W pierwszej chwili zbladła jak ściana, gdyż krew spłynęła jej do serca, następnie piękny rumieniec pokrył jej czoło i policzki. Bez słowa rzuciła się Vallombreuse'owi na szyję i położyła mu głowę na ramieniu.

— Myślę — rzekł Vallombreuse — że zrobię dobrze, jeżeli teraz pójdę do ojca i uprzedzę go o przybyciu barona, którego zresztą trochę się spodziewał. A zatem, hrabianko, zgadzasz się na małżeństwo z baronem de Sigognac? Przykro by mi było, gdybym źle trafił. Zgadzasz się więc? To dobrze. W takim razie mogę odejść; narzeczeni zwykle mają sobie do powiedzenia dużo rzeczy całkiem niewinnych, ale o których trudno jest mówić w obecności brata. Zostawiam was samych, pewien, że mi będziecie wdzięczni. Do widzenia! Wrócę niebawem po Sigognaca i zaprowadzę go do ojca.

Gdy Vallombreuse wrócił i oznajmił baronowi, że stary książę czeka na niego, Sigognac wstał, ukłonił się Izabeli i przeszedł za Vallombreuse'em wiele komnat, za którymi

znajdował się pokój księcia.

Stary pan ubrany na czarno, ze wstęgami orderów, siedział koło okna w wielkim fotelu, za stołem przykrytym tureckim dywanem, zarzuconym papierami i książkami. Mimo uprzejmego wyrazu twarzy siedział nieco sztywno jak człowiek czekający na uroczystą wizytę. Podniósł się z fotela, aby odpowiedzieć na ukłon Sigognaca, i dał mu znak, aby usiadł.

— Ojciec — rzekł Vallombreuse — przedstawiam ci barona de Sigognac, niegdyś mego rywala, dzisiaj przyjaciela, niebawem, jeśli się zgodzisz, szwagra. Jemu zawdzięczam, że się ustatkowałem, a niemała to przysługa. Baron przybywa tu, aby przedłożyć pełną szacunku prośbę. Jeśli jej wysłuchasz, będę niezmiernie szczęśliwy.

Książę skinął głową na znak, że Sigognac może mówić. Zachęcony tym baron wstał i rzekł:

— Proszę księcia o rękę jego córki, hrabianki Izabeli de Lineuil.

Jakby chcąc sobie dać pewien czas do namysłu, stary pan zachował przez chwilę milczenie, po czym odrzekł:

— Baronie de Sigognac, przyjmuję pańską prośbę i zgadzam się na małżeństwo, jeśli moja ojcowska wola nie jest sprzeczna z życzeniem mej córki, której nie będę do niczego przymuszać. Nie chcę być tyranem, więc niech hrabianka sama rozstrzygnie tę sprawę. Trze-ba jej zapytać. Fantazja młodych osób bywa czasem dosyć dziwaczna.

Książę wypowiedział te słowa z żartobliwym i dowcipnym uśmiechem dworaka, jakby nie wiedział od dawna, że Izabela kocha Sigognaca. Ale należało do jego roli udawać, że nic o tym nie wie, dając równocześnie do poznania, że nie ma żadnych wątpliwości. Po pauzie dodał:

— Vallombreuse, idź po siostrę, ponieważ bez niej doprawdy nie mogę dać odpowiedzi baronowi de Sigognac.

Młody książę znikł i wrócił niebawem z Izabelą

omdlewającą ze wzruszenia. Mimo zapewnień brata, nie mogła jeszcze uwierzyć w swoje szczęście; przyspieszony oddech wzno-sił jej piersi, twarz straciła kolory, kolana uginały się pod nią. Książę przyciągnął córkę do siebie, ale drżała tak mocno, że musiała oprzeć się o fotel, aby nie upaść.

— Moja córko — rzekł książę — oto szlachcic, który zaszczyca cię prośbą o twą rękę. Widziałbym ten związek z radością, gdyż jest to potomek starego rodu, ma reputację bez ska-zy i, jak sędzę, wszystkie potrzebne zalety. Odpowiada mi, ale czy podoba się tobie? Główki blond nie zawsze dzielają zdania głów siwych. Zapytaj serca i duszy, a potem powiedz, czy przyjmujesz barona de Sigognac na męża. Nie śpiesz się, bo w tak poważnej sprawie należy działać powoli.

Życzliwy i serdeczny uśmiech księcia dowodził, że żartuje. Ośmielona tym Izabela zarzuciła mu ramiona na szyję i powiedziała z cudownym wdziękiem:

— Nie potrzebuję się namyślać. Skoro ty przyjmujesz barona de Sigognac, wyznam szczerze, mój ojczy, że kocham go od pierwszej chwili i nigdy nie pragnęłam innego małżo-nka.

— A więc podajcie sobie ręce i pocałujcie się na znak zaręczyn — rzekł wesoło książę de Vallombreuse. — Cała historia kończy się lepiej, niż można było przypuszczać po trudnych początkach. Kiedy urządzamy wesele?

— Krawcy — rzekł stary książę — potrzebują mniej więcej tygodnia na uszycie stro-jów, tyle samo czasu zajmie doprowadzenie powozów do odpowiedniego stanu. Tymczasem, Izabelo, oto twoje wiano: hrabstwo de Lineuil, od którego pochodzi twoje nazwisko i które daje pięćdziesiąt tysięcy dukatów dochodu ze swych lasów, łąk, stawów i pól uprawnych — tu wręczył jej zwój papierów. — Co do ciebie, baronie de Sigognac, przyjmij patent króle-wski, który cię mianuje gubernatorem prowincji. Nikt bardziej niż ty nie

nadaje się na to stanowisko.

Pod koniec tej sceny Vallombreuse znikł, ale niebawem wrócił z lokajem, który niósł skrzynkę w pokrowcu z czerwonego ałtasu.

— Siostrzyczko — rzekł do młodej narzeczonej — oto mój prezent ślubny. — I wręczył jej skrzynkę. Na wieku widniały słowa: „Dla Izabeli”. Była to szkatułka, którą niegdyś ofiarował aktorcy i którą ona cnotliwie odrzuciła.

— Teraz chyba ją przyjmiesz — dodał uśmiechając się. — Nie możesz pozwolić, żeby te brylanty najczystszej wody i wschodnie perły bez skazy posłużyły do złych celów. Niech zostaną tak czyste jak ty.

Izabela wzięła z uśmiechem naszyjnik i włożyła go na szyję, aby udowodnić klejnotom, że nie żywi do nich urazy. Następnie włożyła potrójną bransoletę z pereł i zawiesiła w uszach bogate kolczyki.

Co jeszcze dodać? Po upływie tygodnia w kaplicy zamkowej, zasłanej kwiatami i jarzącej się od świateł, ksiądz połączył Izabelę i Sigognaca. Jako świadek barona występował markiz de Bruyeres.

Muzycy sprowadzeni przez młodego księcia odśpiewali motet Palestriny * głosami, które zdawały się spływać z nieba. Sigognac promieniał, Izabela wyglądała przepięknie w długim, białym welonie ślubnym i nikt, kto o tym nie wiedział, nie uwierzyłby, że ta piękna osoba, tak pełna godności i tak skromna zarazem, wyglądająca na księżniczkę krwi, grała kiedyś na oświetlonej łożówkami scenie. Sigognac — gubernator prowincji i kapitan muszkietarów — był wspaniale odziany i także niczym nie przypominał nieszczęśliwego szlachcica, którego nędzę opisaliśmy na początku tej opowieści.

EPILOG

PAŁAC SZCZĘŚCIA

Nikt chyba nie wątpi, że dobra Izabela, zostawszy baronową de Sigognac, nie zapomniała o dzielnych kolegach z trupy Heroda. Często chodziła na ich przedstawienia i była bra-wo jak osoba znająca się na teatrze. Młoda baronowa nie ukrywała bowiem swojej aktorskiej przeszłości; był to znakomity sposób, żeby uciszyć złe języki, które na pewno by o tym rozpowiadały, gdyby robiła z tego tajemnicę.

Jej świetny ród nakazywał zresztą potwarcom milczenie, a poza tym skromność pani de

* motet — utwór chóralny z tekstem liturgicznym. Palestrina — kompozytor włoski z XVI w.

Sigognac podbiła wszystkie serca, nawet serca kobiet, które zgodnie uznały ją za damę, jakich mało nawet na dworze. Król Ludwik XIII, słysząc o przygodach Izabeli, pochwalił ją za wierność cnocie, a Sigognacowi okazał szczególny szacunek za jego umiarkowanie, gdyż sam będąc wzorem cnoty, nie lubił młodzieży zuchwałej i rozpustnej. Vallombreuse wyraźnie poprawił się pod wpływem szwagra i stary książę doznawał z tego powodu wielkiej radości. Młodym małżonkom niczego więc nie brakowało, byli coraz bardziej zakochani w sobie i nie odczuwali przesytu szczęścia, który zatruwa życie wśród największych bogactw.

Od pewnego czasu Izabela wydawała się pochłonięta jakąś tajemniczą działalnością. Odbywała tajne konferencje z intendentem; przychodził do niej z planami jakiś architekt;

rze-źbiarze i malarze dostali polecenia i pojechali w nieznanym kierunku. To wszystko było pi-lnie skrywane przed Sigognakiem i tylko Vallombreuse został, jak się zdawało, dopuszczony do sekretu.

Pewnego pięknego poranka, po upływie kilku miesięcy niezbędnych widocznie do urzeczywistnienia jej projektu, Izabela zwróciła się do Sigognaca, jak gdyby nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł:

— Czy nigdy nie myślisz, mój drogi baronie, o swym biednym zamku Sigognac i nie zbiera cię ochota, żeby odwiedzić miejsce, gdzie narodziła się nasza miłość?

— Nie jestem tak niewdzięczny. Nieraz o tym myślałem, ale nie śmiałem cię namawiać na tę podróż, nie wiedząc, czy będzie ci odpowiadać. Nie chciałem cię odrywać od dworu, którego jesteś ozdobą i gdzie żyje się tak przyjemnie. Mój zamek jest zniszczony, pełen szczurów i sów, wolę go jednak od najbogatszych pałaców, bo to odwieczne gniazdo moich przodków i miejsce, w którym cię zobaczyłem po raz pierwszy.

— A ja zadawałam sobie nieraz pytanie, czy krzak dzikiej róży jeszcze zakwita.

— Przysięgnę, że tak. Te polne krzaki są bardzo żywotne. Zresztą ty go dotknęłaś, musi więc kwitnąć, nawet jeżeli nikt nie zrywa jego kwiatów.

— Inaczej niż to zwykle bywa w małżeństwie — odpowiedziała śmiejąc się baronowa de Sigognac — jesteś bardziej miły dla żony po ślubie niż przedtem. Ponieważ twoje pragnie-nie zgadza się z moim kaprysem, może pojechalibyśmy do Sigognac w tym tygodniu? Pogoda jest piękna, najsilniejsze upały już minęły, będziemy mieli przyjemną podróż. Vallombreuse pojedzie z nami, zabiorę też Chiquitę, którą ucieszy widok rodzinnych stron.

Przygotowania zostały niebawem ukończone. Podróż była

szybka i piękna. Ponieważ Vallombreuse wysłał naprzód konie do zmiany, po upływie kilku dni znaleźli się w miejscu, gdzie od gościńca odchodziła droga prowadząca do zamku Sigognac. Mogła być druga po południu, słońce stało jeszcze wysoko na niebie.

W chwili gdy karetka skręciła w stronę zamku, którego perspektywa odsłoniła się nagle, Sigognac doznał jakby olśnienia — nie poznawał już tych miejsc tak przecie żywych w jego pamięci.

Na miejscu rudery, której wygląd czytelnik pamięta, stał w radosnym blasku słońca zamek całkiem nowy, podobny do tamtego jak syn do ojca. Nie zmienił kształtów, zachował dawną architekturę, ale w ciągu kilku miesięcy odmłodził się o wiele wieków. Rozpadające się mury były znowu całe. Wysokie, białe wieżyczki, przykryte ładną dachówką z łupku, ułożoną w geometryczne wzory, wznosiły się dumnie jak feudalne strażniczki w czterech rogach zamku, rysując na tle nieba swoje złożone chorągiewki. Dach na środkowej części budynku też był nowy. W oknach, z których usunięto deski, świeciły szyby oprawione w ołowiane ramki, okrągłe albo ukośnokątne. Ani jedno pęknięcie nie szpeciło odnowionej fasady. Wsporniki drzwi dębowe z bogatym okuciem wstawiono na miejsce starych, spróchniałych i odra-panych. Nad wejściem błyszczał, wśród ornamentów wyrytych zręcznym dłutem w głazie, herb Sigognaców: trzy bociany na lazurowym polu z tą szlachetną dewizą, niedawno jeszcze zatartą, a teraz jaśniejącą złotymi literami: Alta petunt *.

* Alta petunt (łac.) — dążą wzwyż.

Sigognac milczał przez długą chwilę, podziwiając ten wspaniały widok, po czym zwrócił się do Izabeli:

— Tobie, kochana czarodziejko, zawdzięczam przeobrażenie mojego domu. Wystarczyło ci dotknąć go

swym pierścieniem i znowu stał się świetny, piękny i młody. Jestem ci nie-skończenie wdzięczny za tę niespodziankę, piękną i pełną wdzięku jak wszystko, co od ciebie pochodzi. Chociaż nic ci na ten temat nie mówiłem, sama odgadłaś pragnienie mej duszy!

W tym czasie kareta dotarła na podwórze. Kominy z czerwonej cegły buchały wielkimi kłębamii dymu, dowodząc, że oczekiwano tutaj dostojnych gości.

Piotr stał w pięknej liberii u progu bramy, którą otworzył, gdy kareta się zatrzymała. Dziesięciu lokajów, ustawionych w szpaler na stopniach schodów, złożyło głęboki ukłon baronowi i baronowej, których jeszcze nie znali.

Sigognac, zdumiony i zachwycony, kroczył jak we śnie. Przycisnął do serca ramię Iza-beli i dwie łzy rozczulenia spłynęły mu po policzkach.

— A teraz — rzekła Izabela — musimy zwiedzić posiadłości, które odkupiłam, żeby przywrócić do dawnych rozmiarów baronię Sigognac. Przepraszę was na chwilę, bo muszę włożyć strój do konnej jazdy. Nie będzie to trwało długo — w swoim poprzednim zawodzie nauczyłam się prędko zmieniać kostiumy. Tymczasem wybierzcie sobie konie i każcie je osiodłać.

Przejażdżka, w której wzięło udział także kilku szlachciców z sąsiedztwa, wystrojonych wspaniale na tę okazję, wyglądała jak pochód triumfalny. Posuwając się dobrze utrzymaną drogą, jeźdźcy przecinali zielone łąki i pola, którym uprawa przywróciła żyzność, kwitnące folwarki i piękne lasy. To wszystko należało do Sigognaca. Landy z ich fioletowymi wrzosa-mi jak gdyby oddaliły się od zamku.

Gdy dotarli do świerkowego lasu na granicy posiadłości, usłyszeli szczekanie psów i po chwili ujrzeli Jolantę de Foix, której towarzyszył jej wuj komandor i kilku zalotników. Droga była wąska i dwa orszaki otarły się o siebie, podążając

w przeciwnych kierunkach, choć ka-żdy próbował ustąpić miejsca drugiemu. Jolanta, której koń przebierał nogami i stawał dęba, dotknęła spódnicą sukni Izabeli. Gniew zaczerwienił jej policzki i szukał ujścia w jakiejś obeldze, ale dusza Izabeli była wyższa nad kobiecą próżność; nie przyszło jej nawet do gło-wy, żeby się zemścić za pogardliwe spojrzenie, jakie niegdyś, prawie w tym samym miejscu, rzuciła jej Jolanta, nazywając ją Cyganką; pomyślała sobie, że triumf dawnej aktorki zranił może jeżeli nie serce, to przynajmniej dumę Jolanty, i zachowując postawę pełną godności, skromnie i z wdziękiem ukłoniła się pannie de Foix, która kipiąc gniewem, musiała odpowie-dzieć lekkim skinieniem głowy. Baron de Sigognac, obojętny i spokojny, również złożył jej ukłon. Jolanta uderzyła szpicrutą swego konia i ruszyła galopem, ciągnąc za sobą swoją świtę.

— Na boginię Wenus i wszystkich kupidynów! — zawołał wesoło Vallombreuse do markiza de Bruyeres, obok którego jechał. — Co za piękna dziewczyna, ale jaką nieprzyje-mną ma minę! Jak patrzyła na moją siostrę — każde jej spojrzenie było jak cios sztyletem!

— Jeżeli się kiedyś królowało w całej okolicy — odpowiedział markiz — nieprzyje-mnie jest być zdetronizowaną. Pani baronowa de Sigognac niewątpliwie odniosła zwycię-stwo.

Kawalkada wróciła na zamek. Czekał już na zachwyconych gości wspaniały obiad po-dany w sali, gdzie niegdyś biedny baron przyjmował aktorów kolacją z własnych ich zapa-sów, nie mając nic w swojej spiżarni. Bogata srebrna zastawa z herbami Sigognaców lśniła na adamaszkowym obrusie, na którym były wyhaftowane herbowe bociany. Niektóre przedmioty z dawnego gospodarstwa, jeszcze zdadne do użytku, zostały z pietyzmem zachowane i stały obok nowych, aby zbytek nie wyglądał zbyt świeżo i zawdzięczał

coś ze swojej świetności staremu zamkowi Sigognaca. Gospodarze i goście zasiedli do stołu.

Koło kredensu, na którym krojczy dzielił mięso, stał atletycznie zbudowany mężczyzna o dużej, bladej twarzy i gęstej, czarnej brodzie. Był ubrany w czarne aksamity i na szyi miał srebrny łańcuch. Od czasu do czasu majestatycznie rzucał rozkazy lokajom. Przy baterii butelek najrozmaitszego rodzaju, pękatych, wysmukłych, otoczonych plecionką, kręcił się energicznie, mimo starczego drżenia głowy, niepozorny człeczyna o rabelesowskim nosie ozdobionym bąbelkami, policzkach zaczerwienionych od wina i bezbarwnych oczach. Sigognac, przypadkowo spojrzawszy w tę stronę, rozpoznał w pierwszej z tych osób tragika Heroda, w drugiej — groteskowego Blazjusza.

Widząc, że spostrzegł ich obecność, Izabela szepnęła mężowi, że pierwszego zrobiła intendentem, a drugiego podczaszym, aby im oszczędzić nędzy teatralnego żywota. Były to zajęcia bardzo łatwe i nie wymagające wielkich wysiłków. Baron pochwalił decyzję żony.

Nad ranem Belzebub, dziwnie niespokojny, porzucił fotel, na którym spędził noc, i z trudem wdrapał się na łóżko. Dotarłszy tam, trącił nosem rękę swego pana jeszcze pogrążonego we śnie i próbował zamruczeć, ale wydobył z siebie tylko jakieś rżenie. Sigognac obudził się i ujrzał kota, który patrzył na niego, jakby błagał o pomoc, otwierał szeroko swoje wielkie, zielone oczy już szkliste i prawie zagasłe. Jego sierść straciła połysk, lepka od potu agonii. Drżał i z największym wysiłkiem utrzymywał się na nogach. Widać było, że przeżywa coś strasznego. W końcu upadł na bok w konwulsyjnych drgawkach, wydał szloch podobny do krzyku duszonego dziecka i zeszywniał wyprężony, jakby niewidzialne ręce rozciągnęły jego członki; już nie żył. Jego

przedśmiertny skowyt obudził Izabelę.

— Biedny Belzebub! — powiedziała na widok martwego kota. — Zniósł nędzę w Sigognac, a nie zazna czasów pomyślności.

Nie można ukrywać, że Belzebub zginął jako ofiara łakomstwa. Zdechł z przejedzenia, bo jego wygłodniały żołądek nie był przyzwyczajony do takich uczt.

Śmierć kota wzruszyła Sigognaca w nieopisany sposób. Ze łzami w oczach i z sercem pełnym smutku owinął starannie biednego Belzebuba w skrawek materii, żeby go pochować wieczorem, gdyż ta ceremonia mogłaby się wydawać ludziom śmieszna i bluźniercza.

Gdy zapadła noc, Sigognac wziął rydel, latarnię i sztywne ciało Belzebuba w jedwabnym całunie. Poszedł do ogrodu i koło krzaka dzikiej róży, przy świetle latarni, zaczął kopać dół. Latarnia budziła owady i ćmy uderzały swymi zakurzonymi skrzydełkami o jej rogowe szybki.

Było bardzo ciemno, zza chmury czarnej jak atrament wyglądał tylko kawałek księżyca, pogrzeb odbywał się więc w niezwykłym nastroju. Sigognac kopał przez kilka minut, gdyż chciał pogrzebać Belzebuba tak głęboko, aby nie mogły go wyciągnąć drapieżne zwierzęta. Nagle żelazo rydla sypnęło iskrami, jakby trafiło na krzemień. Baron był przekonany, że natknął się na kamień, i podwoił wysiłki, ale uderzenia rydla brzmiały dziwnie i nie posuwały pracy naprzód. Poświecił sobie latarnią, żeby zobaczyć przeszkodę, i nie bez zdziwienia ujrział pokrywę dębowego kufra, okutą grubymi i bardzo jeszcze dobrze zachowanymi sztabami żelaza. Rozgrzebując ziemię naokoło i posługując się rydlem jak dźwignią, zdołał wydobyć na powierzchnię tajemniczy i bardzo ciężki kufer. Na jego miejscu ułożył Belzebuba i zasypał grób.

Skończywszy tę pracę, chciał zanieść niespodziewaną zdobycz na zamek, ale ciężar był za wielki dla jednego, nawet

silnego człowieka. Sigognac poszedł więc po wiernego Piotra. Lokaj i pan chwycili za żelazne kółka przymocowane z obu stron skrzyni i, uginając się pod ciężarem, zanieśli kufer na zamek.

Piotr rozbił sztaby siekierą i wieko odskoczyło ukazując wielką ilość złotych monet: były to hiszpańskie uncje, kwadryple, cekiny, genowiny, portugale, dukaty, kruzady, angeloty i inne pieniądze o rozmaitych nazwach, pochodzące z różnych krajów, ale wszystkie bardzo stare. Wśród nich znajdowały się stare klejnoty wysadzone drogimi kamieniami. Gdy baron opróżnił kufer, ujrzał na jego dnie pergamin opieczętowany herbami Sigognaców. Wilgoć uczyniła pismo nieczytelnym i tylko podpis był jeszcze dosyć wyraźny. Baron odcyfrował litera po literze słowa: „Rajmund de Sigognac”. Tak nazywał się jeden z jego przodków, który pojechał na wojnę i nie wrócił, a tajemnica jego śmierci nigdy się nie wyjaśniła. Wyru-szając okrętem na niebezpieczną wyprawę i zostawiając w domu jedyne-go syna, który był wtedy małym chłopcem, ukrył swoje skarby. Powiedział o nich zaufanemu człowiekowi, któ-rego zapewne zaskoczyła śmierć, nim mógł pokazać schowek prawowitemu dziedzicowi.

Od tego to Rajmunda zaczął się upadek rodu Sigognaców, niegdyś bogatego i potężne-go. Tak przynajmniej baron odtworzył sobie całą historię na podstawie tego, co znalazł. Wyglądało to bardzo prawdopodobnie, a żadnej już wątpliwości nie ulegało, że skarb należał do niego. Przeprowadził Izabelę i pokazał jej złoto wyjęte z kufra.

— Tak — powiedział — Belzebub był dobrym duchem Sigognaców. Po śmierci dał mi te bogactwa, a odszedł w chwili, kiedy tu przybył anioł — uważał, że nie jest już potrzebny, bo ty mi przyniosłaś szczęście.

SPIS ROZDZIAŁÓW

Wstęp	002
I. Pałac nędzy	004
II. Wóz Tespisa	008
III. Oberża „Pod Błękitnym Słońcem” 017	
IV. Bandyci straszący wróble 020	
V. U pana markiza	026
VI. Scena w śniegu	041
VII. W którym powieść uzasadnia swój tytuł 052	
VIII. Sprawy się komplikują	066
IX. Rapiery i kije w robocie oraz inne awantury 076	
X. Głowa w okienku	086
XI. Nowy Most	096
XII. „Pod Rzodkiewką w Koronie” 107	
XIII. Podwójny atak	113
XIV. Skrupuły Lampourde'a	120
XV. Malartic działa	126
XVI. W zamku Vallombreuse	134
XVII. Pierścień z ametystem 145	
XVIII. W rodzinie	

159		
XIX. Pokrzywy i pajęczyny		166
XX. Małżeństwo		170
Epilog	Pałac szczęścia	
173		